ISSN 2353-1037
NR 1-2(44-45)/2023
50 PLN
2023

projektor

kielecki magazyn kulturalny

10 URODZINY MAGAZYNU

PREMIERA W GRUDNIU.
TRWA PRZEDSPRZEDAŻ
NA NASZEJ STRONIE INTERNETOWEJ
WWW.PROJEKTORKIELCE.PL

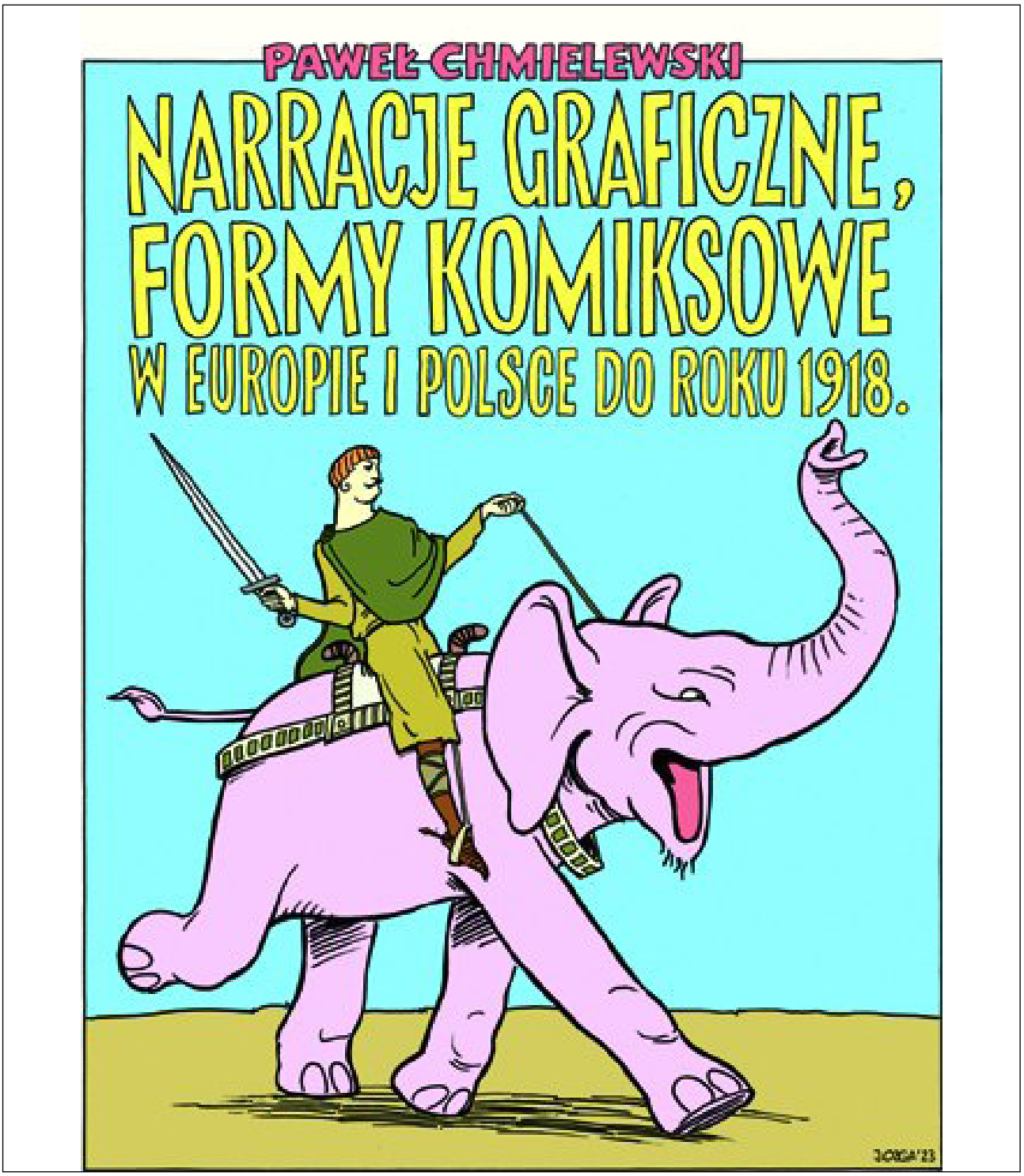

Ostatni muszkieter wielkiej czwórki rozpłynął się w bezcielesnej, niedotykalnej mgiełce. Ojciec Bąbla i Kękusia nie żyje. Tak pisałem w październiku dziesięć lat temu. Gdy zmarł Edmund Niziurski był słoneczny, trochę wilgotny poranek.

Gruby Cypek, Inocent Ankohlik, Wieńczysław Nieszczególny, stryj Dionizy Kiwajłło, Hippollit Kwass, Feliks Bańka, Kleksik – to postaci, które znał nieomal każdy czytelnik w Polsce. Był w zasadzie piękny, słoneczny poranek. Co może nas spotkać przez dwie godziny? Najpierw stłuczemy probówkę z pchłami, zostaniemy nakarmieni tabletkami przez troskliwą ciotkę, bokser Buba II nas znokautuje, roztrzaskamy wiolonczelę sublokatora Surmy, Torbacz przyniesie nam do mieszkania bombę, grubasek-wędkarz zostanie ogłuszony żyrandolem i wreszcie przyjedzie karetka pogotowia ratunkowego. Jesteśmy jak Marek Piegus.

Groteskowy świat wykreowany przez autora „Awantury w Niekłaju" obłaskawia i wyśmiewa okrucieństwo, głupotę, wreszcie śmierć. Niziurski w sposób rzadko spotykany nawet w „dorosłej" literaturze igrał z językiem – jak w reklamie Spółdzielni Pracowników i Użytkowników „Trumna" znanej nam z „Awantur kosmicznych": *Wstąp i podpisz umowę wstępną! Skorzystaj z naszej usługi. To potrwa tylko chwilę, a ułożysz sobie sprawy na wieczność. Dla młodzieży szkolnej, żołnierzy i emerytów 50% zniżki. Oferujemy losowanie pogrzebów klasy S i „trumny familijne" – szczególnie przydatne dla ofiar rodzinnych kraks samochodowych.*

Przepis Niziurskiego na literaturę był porażająco prosty w swej konstrukcji, a jednocześnie niezwykle wyrafinowany. To zwykle trzy składniki – zwielokrotniony, perfekcyjny absurd jak geomilitarna parodia wojny dwóch stronnictw w „Siódmym wtajemniczeniu" i niekonwencjonalne środki rażące w niej wykorzystane - pchły, świerzb i podstępne pułapki. To arena nieustannej walki i podchodów jaką jest szkoła. Z jednej strony pechowi, lecz sprytni uczniowie prześladowani przez „czwororęcznych", „przerośniętych" i matematyczne zadania o złośliwych rolnikach sadzących peluszkę z bobem, a z drugiej grono pedagogiczne: *Groźny jest także Trąbaczewski, nasz chemik, zwany popularnie Trąbą. Z powodu sinusoidy psychicznej. Ma niebezpieczne zafalowania, przypływy i odpływy energii.* To radosny świat a'rebours z uczniowską Spółdzielnią „Ściągaczka" i „Bractwem Szepczących".

To wreszcie nieodłączna w powieściach autora „Sposobu na Alcybiadesa" intryga kryminalna. Uwikłani w nieoczekiwane sytuacje bohaterowie walczą z „groźnymi przestępcami", znanymi powszechnie z zamiłowania do zapachów, wręcz swego rodzaju fobii i kosmicznych natręctw - doktor Bogumił Kadryll uwielbia wodę jaśminową, Wieńczysław Nieszczególny walerianę, groźny Albert Flasz śliwowicę, a Teofil Bosmann wciąż pierze rękawiczki w benzynie. Są to jednak przestępcy szczególnego rodzaju, wręcz dżentelmeni, którzy wprawdzie okradają i usypiają swe ofiary, ale z czasem przyznają im nawet rentę ze specjalnych funduszy prowadzonych przez Bank Przelewów Jednostronnych i Niedobrowolnych znany nam z „Klubu włoczykijów".

Najlepiej jednak nawet stworzonym organizacjom niewiele pomaga, gdyż zawsze znajdzie się kilku poszukujących skarbu uczniów klasy siódmej, którzy pokrzyżują plany wywiezienia „najnowszego modelu silnika" („Fałszywy trop"), obezwładnią złodziei drogocennych klejnotów gazem rozweselającym („Awantury kosmiczne") lub rozbiją szajkę okradającą muzea, kościoły i cmentarze („Niewiarygodne przygody Marka Piegusa").

A gdy już bohaterowie rozwiążą wszystkie kryminalne zagadki nadejdzie czas matury (lub innego w swej nuturze eksperymentu). Popłyńmy wtedy wraz z dryfem pedagogicznym, radosną męką Zielonych Jaszczurek, Matusów i drobiem Więckowskiej wrzeszczącym nieświeżo w odmęty matematycznej łamigłówki: *124 uczniów w internacie miało zjeść w ciągu 300 dni 3200 kg kaszy. Po zjedzeniu 36 procent kaszy 64 procent uczniów uciekło z internatu, a nadto 18 uczniów odmówiło stanowczo jedzenia kaszy. Zamiast nich przystąpiło do jedzenia kaszy 96 nowo przyjętych uczniów. W jakim czasie zostanie zjedzony cały zapas kaszy?*

Dziesięć lat temu złamał szpadę ostatni z z wielkiej powojennej czwórki klasyków literatury młodzieżowej (Alfred Szklarski, Zbigniew Nienacki, Adam Bahdaj, Edmund Niziurski).

Paweł Jmielewski

Kielecki magazyn kulturalny
„PROJEKTOR”
ISSN 2353-1037

WWW.PROJEKTORKIELCE.PL
e-mail: **projektorkielce@onet.eu**
tel. **605 343 341**

Wydawca: **Stowarzyszenie Twórcze „Zenit”**
ul. Zbożowa 4 lok. 12, 25-416 Kielce
WWW.ZENIT.ORG.PL

Redaktor naczelny: **PAWEŁ CHMIELEWSKI**
Okładka: **TOMASZ ŁUKASZCZYK**
Logo: **TOMASZ ŁUKASZCZYK**
Layout: **KRYSTIAN MUCHA**
Korekta: Renata Wierusz-Kowalska
Skład: **PAWEŁ CHMIELEWSKI**
Adres do korespondencji: **Magazyn „Projektor”**
Os. Na Stoku 75/8, 25-430 Kielce

Numery archiwalne dostępne w redakcji

Powstanie numeru dofinansował
Urząd Marszałkowski Województwa Świętokrzyskiego

URZĄD MARSZAŁKOWSKI
WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

Druk prac konkursowych dofinansował
Urząd Miasta Kielce

CK

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do redagowania nadesłanych tekstów. Odpowiedzialność za treść zamieszczanych reklam ponoszą wyłącznie reklamodawcy.

projektor
kielecki magazyn kulturalny

WSPÓŁPRACA:
Zbigniew Brzeziński, Szymon Brzeziński, Krzysztof Churski, Piotr Kardyś, Piotr Kletowski, Mirosław Krzysztofek, Agnieszka Majcher, Grzegorz Niemiec, Dorota Nowak-Baranowska, Emmanuella Robak, Łukasz Szaruga, Szczęsny Wroński

ZDJĘCIA:
Zbigniew Brzeziński, Julia Brzezińska, Paweł Chmielewski, Tomasz Kozłowski, Piotr Machłajewski, Grzegorz Wawrzyńczak

POEZJA I PROZA:
Radosław Dąbrowski, Izabella Gądek, Maria Jolanta Fraszewska, Jan Hyjek, Grzegorz Janusz, Michał Kaczmarek, Stanisław Klimek, Robert Kraik, Sławomir Lęga, Jerzy Marciniak, Wiktor Orłowski, Dawid Ożóg, Lux Profus, Weronika Sikorska, Łukasz Szaruga, Cove H. Warrenn, Barbara Wrońska, Szczęsny Wroński, Przemysław Znojek

RYSUNKI I KOMIKSY:
Marcin Burbo, Piotr Burzyński, Paweł Chmielewski, Krzysztof Churski, Antonina Czech, Jacek Frąś, Grzegorz Janusz, Robert Kolasa, Tomasz Łukaszczyk, Magdalena Łysak, Tomasz Niewiadomski, Bartłomiej Ogonowski, Krzysztof Otorowski, Jerzy Ozga, Andrzej Płoski, Klaudiusz Stochmal, Luiza Sułkowska, Adam Święcki, Grzegorz Wawrzyńczak, Piotr Wojciechowski, Wiesław Wojciechowski, Jarosław Wojtasiński, Jagoda Wróbel, Zvyrke

Spis treści:

Tomasz Łukaszczyk
Okładka

Paweł Chmielewski
1. Od wydawcy

POŻEGNANIE - JAN NOWICKI (1939-2022)

Paweł Chmielewski
5. Śnieżne króliki o świcie

TEMAT NUMERU - EDMUND NIZIURSKI

Paweł Chmielewski
11. „Wciąż słychać tupot czwororęcznych i krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży (*Krzysztof Varga „Księga dla starych urwisów"*)

Zbigniew Brzeziński
14. Kielce widziane z salonu wytrzeźwień (*O pewnej powieści Edmunda Niziurskiego*)
16. Wyniki konkursu na opowiadanie i komiks inspirowane twórczością Edmunda Niziurskiego

Lux Profus
19. Zastępstwo (*Opowiadanie*)

Jacek Frąś, Grzegorz Janusz
22. Nadzwyczajna lekcja techniki... (*Komiks*)

Grzegorz Janusz
24. Turbulencje i perturbacje *(Opowiadanie)*

Tomasz Niewiadomski, Grzegorz Janusz
30. Pora sucha *(Komiks)*

Stanisław Klimek
36. Żaba, dasz radę *(Opowiadanie)*

Adam Święcki
42. Wielkie wtajemniczenie *(Komiks)*

Marcin Burbo
45. Tropicielka niedźwiedzi *(Komiks)*

Robert Kraik
50. Piraci z Niekłaja *(Opowiadanie)*

Bartłomiej Ogonowski
56. Twierdza Persil *(Komiks)*

Jan Hyjek
66. Bocianiec na drumlinie *(Opowiadanie)*

Luiza Sułkowska
72. Sposób na Alcybiadesa *(Komiks)*

Dawid Ożóg
78. Złota piątka *(Opowiadanie)*

Antonina Czech
84. Jedna z przygód Marka Piegusa *(Komiks)*

Piotr Burzyński
91. Spon *(komiks)*

Wiesław Wojciechowski
94. Ancymon, nicpoń i inni... *(Komiks)*

Wiktor Orłowski
97. Awantura na Niekłańskiej *(Opowiadanie)*

Izabella Gądek
102. Odwyk *(Opowiadanie)*

Radosław Dąbrowski
108. Śledztwo *(Opowiadanie)*

Jagoda Wróbel
115. Sen *(Komiks)*

4. KIELECKIE PREZENTACJE KOMIKSOWE

Zbigniew Brzeziński
126. Książę ilustracji i wizja średniowiecza *(O cyklu Hala Fostera „Prince Valiant")*

Robert Kolasa
130. Tip, tip, tip *(Komiks)*

Klaudiusz Stochmal, Magdalena Łysak
131. Gorące palce *(Komiks, fragment)*

Emmanuella Robak
132. Czy Dedal wciąż buduje labirynt *(Komiks a edukacja, seria „Adaptacje komiksowe arcydzieł literatury")*

Grzegorz Wawrzyńczak
137. Holy mountains 2 *(Ilustracja)*
138. Fotoreportaż

Tomasz Kozłowski
140. Malowane podwórka *(Wrocławska narracja w stylu street artu, wystawa)*

Piotr Burzyński
141. Wiedźmin *(Ilustracja)*

Jerzy Ozga, Paweł Chmielewski
142. Przygody Władka *(Komiks, fragment)*

Tomasz Łukaszczyk
143. Na podstawie dyskusji... *(Komiks, fragment)*

Jarosław Wojtasiński
144. Tytus ziniarzem *(Komiks)*

Krzysztof Churski
145. Teodor Niegrzeczny *(Komiks)*

Grzegorz Wawrzyńczak
146. Amazon *(Komiks)*

Krzysztof Churski
148. Opowieść wytyczona okładkami *(Historia toruńskiego magazynu AKT)*

Krzysztof Otorowski
158. Dobre alibi nie jest złe *(Komiks)*

Piotr Wojciechowski
159. Opowieści Grabarza *(Komiks)*

Zvyrke
160. Kuchenne ewolucje *(Komiks, fragment)*

Jerzy Ozga
161. Obywatel Szrajbman *(Ilustracje)*

Paweł Chmielewski
163. Pływak *(Fenomen Tarzana w przedwojennej Polsce – książki, komiks, film; Ilia Szrajbman – fragmenty opowieści)*

Jerzy Ozga
168. Obywatel Szrajbman *(Komiks niepublikowany, fragment)*

NASZE WYDAWNICTWA

Piotr Kletowski
169. Tarzan z warszawskiego getta *(O książce „Obywatel Szrajbman")*

Piotr Kletowski
170. Juki podróżne Jerzego Żuławskiego *(Emmanuella Robak, „Wędrowiec i wizjoner")*

Tomasz Łukaszczyk
172. Na srebrnym globie *(Komiks, fragment)*

Piotr Kletowski
173. Z prehistorii opowieści obrazkowych *(O książce „Kolacja u Jedynaczka. Franciszek Kostrzewski, pionier polskiego komiksu prasowego")*

Grzegorz Niemiec
174. Zanim wymyślono Szalonego Grzesia *(O książce „Rozmaite gatunki szarańczy. Cykle ilustracyjne i formy komiksowe w polskiej prasie XIX wieku")*

KSIĄŻKI

Grzegorz Niemiec
177. Kampinoskie pejzaże *(Lechosław Herz, „Puszcza. Kampinoskie opowieści")*

Zbigniew Brzeziński
179. O zabójczej i ozywczej sile rozmowy *(„Życie mimo wszystko")*

Agnieszka Majcher
181. Język ciała *(Marlena Niemiec, „Cierpkie")*

Szymon Brzeziński, Zbigniew Brzeziński
182. Pierwsze sto siedem dni z pierwszego roku wojny *(„Piszą więc żyją. Pierwsze sto dni wojny")*

Piotr Kletowski
183. METAfizyka Johna Steinbecka *(William Sounder, „Steinbeck.Wściekły na świat")*

Paweł Chmielewski
185. Wędrówki do jaskini potworów lub piekielne kręgi Ameryki *(John Steinbeck, „Podróże z Charleyem")*

Zbigniew Brzeziński
187. O sile człowieka rozczarowanego (*Boris Sokołow, „Prorok i dysydent. Aleksander Sołżenicyn")*

Piotr Kletowski
188. Ambasador kultury polskiej *(Dariusz Michalski, „Ten Bryll ma styl")*

Zbigniew Brzeziński
189. Ex cathedra... *(Jan Skoczyński, „Poza katedrą")*

Piotr Kletowski
191. Z perspektywy nietoperza *(Joanna Jeśman, Mateusz Skrzeczkowski „Naturakultura")*

Piotr Kletowski
192. Naukowo o walkach w klatce *(Adrian Dobrzyński, „Kariery sportowe polskich zawodników MMA")*

Zbigniew Brzeziński
193. Feudałowie w kosmosie *(Piotr Nikolski, „Przypadki rycerza Fredegara von Stettena")*

Paweł Chmielkewski
194. Apokryficzna ewangelia z potu i łez *(Nick Cave i Sean O'Hagan „Wiara, nadzieja i krwawa łaźnia"; Nick Cave „Rewolta w niebie")*

Agnieszka Majcher
197. Odczarowanie formy *(Jakub Pszoniak „Lorem ipsum")*

Piotr Kardyś
198. Pamięć zamknięta w kamieniach *(Książki Cezarego Namirskiego)*

Paweł Chmielewski
199. Zielone pola nowojorskie *(Ewa Winnicka, „Greenpoint")*

Agnieszka Majcher
200. „Dziady" z chowu klatkowego *(Roman Honet, „żal, może on")*

Paweł Chmielewski
201. Kalejdoskop nowości *(Felicja Kruszewska, „Pisane wiatrem na skórze"; Berengere Cournut „Z kamienia i kości", Marek Vadas „Ucieczka")*

MUZYKA

Mirosława Krzysztofek
204. Passenger wciąż trwa *(Off Festival 2022)*

Łukasz Szaruga
213. „Fiordy lodowe mgłami zasnute..." *(Isafjord, „Hjartastjaki")*

Łukasz Szaruga
214. Komando z Przyszłości *(Valborg „Der Alte")*

KOMIKS

Grzegorz Niemiec
215. Piątka z Fortville *(Bruno Gazotti, Fabien Vehlmann „SAMi")*

Emmanuella Robak
217. Sny dinozaury i wojna maszyn *(Vincent Perriot, „Negalyod. Ostatnie słowo")*

Paweł Chmielewski
218. Rozmowy przy stole *(Marjane Satrapi, „Wyszywanki")*

Paweł Chmielewski
219. Maryline Monroe cudowna i tragiczna *(Zbigniew Kasprzak „Wielkie wyprawy")*

Paweł Chmielewski
220. Kadry w kalejdoskopie *(50. Festiwal w Angouleme; „Czeski komiks i jego świat" w Brnie; wystawa Karela Saudka w Pradze; Bogusław Polch w BWA Jelenia Góra, Rzeszowie, Ostrowcu Świętokrzyskim i katalog „Retrospektywa")*

TEATR

Szczęsny Wroński
238. How death is brouht life *(Krzysztof Miklaszewski, "Światowy żywot Umarłej Klasy")*
242. Konkurs plastyczno-literacki "Napisz do Nas o Nas" *(spektakle Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach)*
243. Plakaty i recenzje nagrodzone: Agnieszka Pałgan, Iga Kumańska, Wiktoria Słabisz, Polina Zachainova, Maria Jasztal, Maja Kania, Olga Skrzeczowska, Amelia Żelazna, Gabriela Kupis, Kinga Michalska, Maria Góźdź

MUZEUM

Zbigniew Brzeziński
259. Nieruchomy obraz wzbudza więcej emocji *(Centrum Fotografii w Porto)*

Dorota Nowak-Baranowska
263. Antropologia jest kobietą *(Wystawa „Etnografki, antropolożki, profesorki" w Państwym Muzeum Etnograficznym w Warszawie)*

POEZJA

Barbara Wrońska
265. Wiersze

Szczęsny Wroński
267. Wiersze

Jerzy Marciniak
268. Wiersze

Maria Jolanta Fraszewska
271. Wiersze

Łukasz Szaruga
272. Wiersze

Sławomir Lęga
274. Wiersze

Cove H. Warrenn
275. Wiersze

Michał Kaczmarek
276. Wiersze

Weronika Sikorska
278. Wiersze

PROZA

Przemysław Znojek
279. Dwudziesty czwarty

Paweł Chmielewski

Śnieżne króliki o świcie

Był niesamowity, lepki upał. I dziesiątki białych, kicających królików, niczym w onirycznym finale jednego z arcydzieł kinematografii. Nikt ich nie ścigał, nikt nie strzelał. To zespolenie z naturą było niczym preludium, sontagowski zestaw do śmierci. Wśród nich Jan Nowicki, radosny, skowronkowaty w swoim zamku, otoczonym dwudziestopięcioletnimi sosnami, na Kujawach. Te sosny, staw i jezioro kupione za udział w filmie kręconym w mroźnych Helsinkach i fińskie marki, stały się azylem dla pisarza. Wtedy już felietonisty „Projektora", który przez parę sezonów (2015-2019) opublikował kilkadziesiąt tekstów, a wybrane mogą czytelnicy spotkać na kartach „Moich psich myśli". U schyłku pozostał Fiodor Dostojewski, rozsmakowany poczas szpitalnych antraktów Wiesław Myśliwski, tylko dla starców – jak mawiał – Michel de Montaigne, ale – być może kogoś zaskoczę – również Dino Buzzati. Filmowe role to już tylko – na wzór hollywoodzkich mistrzów – cameo, którymi, mam takie wrażenie, doskonale się bawił. Uliczny sprzedawca w „Panu T." Marcina Krzyształowicza, czy żebrak w „Liczbie doskonałej" Krzysztofa Zanussiego. Pozostały też jego opowieści – na pograniczu wspomnienia, prozy i mitu – w których mniej ważna była prawda, a istotniejszy ustny epos snuty wśród drzew. Na rozedrganej strunie o podróży śladami zamordowanego w ochłani gułagu ojca Márty Mészáros, lub komiczne, może nawet kolorytem opowieści barwione, historyjki o nocnej rozmowie w pociągu z Maciejem Słomczyńskim, niezwykych zjawiskach na planie „Wielkiego Szu", tajemniczym zniknięciu nagrody za rolę w bułgarskim obrazie Borisława Punczewa, czy epizodzie niczym z „Ziemi obiecanej", gdy na fali radości z „odzyskanego śmietnika", śladem innych aktorów, usiłował prowadzić niewielką fabrykę tkanin (!).

Pisał niewielkie książki, syntetyczne, pełne krótkich zdań. Rozbudowana kadencja to była domena ról teatralnych i listów. I rozmów. Dlatego przypominam wywiad sprzed dziesięciu lat, publikowany na łamach „Projektora".

54 strony – świata

Z Janem Nowickim, aktorem, pisarzem, autorem scenariusza „Łagodnej" Fiodora Dostojewskiego dla Teatru Ecce Homo, rozmawia Paweł Chmielewski.

Zaczęliśmy od fenomenu teatru alternatywnego i od Teatru Ecce Homo, który w tym nurcie się mieści.

Powiedzmy sobie – jest spektakl według „Łagodnej", ale tu chodzi o coś znacznie ważniejszego. Chodzi o bardzo specyficzne miejsce – Bazę Zbożową – do którego nie bez powodu przylgnąłem. To jest miejsce wyjątkowe, w dużej mierze ze względu na scenerię. Niesamowite, a przecież już wcześniej zetknąłem się z ruchem alternatywnym. Z teatrem niezależnym. Tu został wypracowany wzorcowy system prowadzenia aktorów. Wczoraj byłem świadkiem debiutu dziewczyn, które tygodniami chodzą na próby, znają wszystkie teksty, przyglądają się swoim mistrzom. Tu muszę zaznaczyć, że w teatrze repertuarowym każdy chce być mistrzem natychmiast. Za pomocą reklamy, skrótu, który nie może mieć miejsca. Natomiast stąd wychodzą ludzie, którzy tworzą – z plusami i z minusami – typ aktora Ecce Homo. Tak jak typ aktora kantorowskiego, którym bywał najczęściej amator, ktoś niezwiązany zawodowo z teatrem.

Jeśli już padło to porównanie – powiedzmy z czego jest ulepiony aktor w typie alternatywnego teatru, aktor w „typie Ecce Homo"? Kim jest ta figura?

To polega przede wszystkim na klimacie, nie tylko na sposobie mówienia, poruszania się. Ten teatr swoją atmosferą tworzy aktora, tak jak choćby Piwnica pod Baranami tworzyła swoich wykonawców. To często byli ludzie, którzy nie nadawali się do profesjonalnego zespołu, a z drugiej strony zawodowy aktor – Leszek Herdegen czy Maklakiewicz, który był niesamowitym zjawiskiem estradowym, w „Piwnicy" wypadał żenująco. Wiesław Dymny był natomiast niesamowity. To jest właśnie klimat danego miejsca i osobowość prowadzącego – w tamtym wypadku Piotra Skrzyneckiego. Tutaj, w Bazie Zbożowej, te młode dziewczyny wchodzą w zawód nie będąc jeszcze aktorkami, poprzez uczestnictwo w próbach. Tutaj odbywa się edukacja, rozmawiają o przeklętych problemach Dostojewskiego. Muszę jednak stwierdzić, że trochę za bardzo rozpędzili się w stronę ponuractwa, bo aktorom często się wydaje, że jeśli jest ponuro, to jest już wielka sztuka.

Przecież mają w repertuarze „Barbarzyńców..." według Stasiuka i to już nie jest tekst ponury.

Trochę tak, ale chciałoby się zobaczyć na przykład „Kram z piosenkami" Schillera. Nawiasem mówiąc jest to wyższy stopień wtajemniczenia aktorskiego. Rozśmieszyć jest znacznie trudniej niż wzruszyć. Wzruszenie bardzo łatwo pomylić można u widza ze snem. Widz drzemie emocjonalnie. Ja boję się wielkich słów w odniesieniu do religii, Boga, sztuki, ale tu w Ecce Homo jesteśmy świadkami cudu, cudu dochodzenia tych ludzi do rezultatu, zmian – można nawet powiedzieć, że – pokoleniowych, bo niektórzy z tych młodych ludzi już są starsi, przyszli jako dzieci i postarzeli się w tym teatrze. Zaś to miejsce, samo w sobie już jest sztuką, wykreowane przez ludzi, ale i ludzie wciąż je kreują. Istnieje romans między nimi a scenerią. Również widownia, wierna, która przychodzi czasem na spektakl po kilka razy. To nie jest ta widownia, którą ciągnie się do teatru zawodowego na przykład na „Śluby panieńskie". Stąd wychodzą – mówiąc górnolotnie – mądrzejsi Polacy. Takich miejsc powinno być setki.

Mówimy o sprawach górnolotnych, to w takim razie zadam pytanie – czy to jest przyszłość polskiego teatru, lub czy może się nią stać?

Ja nie wiem co to jest przyszłość polskiego teatru. W ogóle nie lubię już mówić o teraźniejszym teatrze, bo od jakiegoś momentu w nim nie jestem. Mam teraz zupełnie inne zainteresowania: piosenki, pory roku, zwierzęta, wiersze, prozę. Kilka razy poszedłem do teatru i widzę, że znowu wychodzą z tej strony, idą w tamtą. Jeśli natomiast czegoś nie rozumiem, to nie wpadam z tego powodu w kompleksy. Nie muszę patrzeć, co robi pan Klata. Ja widziałem co robił Jerzy Jarocki, Konrad Swinarski, Wajda. Nie mam ochoty uczyć się nowych smaków. Jestem najedzony, a nie chcę być przejedzony. Nie będę już uczył się nowego świata. Mój świat mi w zupełności wystarcza. Zresztą w moim wieku chodzi już o inny świat.

Chodzi raczej o temat współczesny, czy może o uwspółcześnienie repertuaru klasycznego?

Nie jestem zamknięty na młodą sztukę. Bynajmniej. Pod warunkiem, że ma ona ręce i nogi. Rzecz jest w czymś innym. Absolutnie żenujące jest to unowocześnianie klasyki, np. poprzez użycie garnituru, żeby udowodnić, że ponadczasowa klasyka jest w istocie... ponadczasowa. Garnitury można kupić

nawet z drugiej ręki i udowadnianie Molierowi, że jest wielki – jak to zrobił w „Skąpcu" w Starym Teatrze Grabowski – właśnie poprzez garnitur jest absurdem. Molier doskonale „wie" o swej wielkości. Idąc do teatru nie chcę oglądać ulicy. Sztuka nie powinna pokazywać życia takim, jakie ono jest, ale takim, jakie powinno być. Oczywiście, że takie udawanie ulicy, odbicie w skali jeden do jednego jest dla aktora prostsze, bo niestety, aktorzy stali się bardzo leniwi. Nie chce im się – przykładowo – mówić głośno.

Słyszałem kilka opinii starszych aktorów, którzy mówiąc o młodszych kolegach twierdzili, że to właśnie unowocześnianie, skrótowe traktowanie klasyki, wynika czasem z nieumiejętności mówienia wierszem przez absolwentów szkół teatralnych.

To o czym mówisz – mówienie wierszem, łączenie wiersza z gestem, to jest sprawa w zasadzie nieobecna w polskim teatrze. Z kilku powodów: wymagania widza są znacznie zaniżone, jeszcze w latach 80. w Krakowie było zrzeszonych czterdzieści tysięcy miłośników teatru. Mieli ogromne wymagania wobec aktorów, a jak wiadomo w teatrze, w przypadku zwłaszcza komedii, to widz jest ostatecznym reżyserem. Przestała istnieć jednolitość stylu aktorskiego i współbrzmienia.

Jak w filharmonii.

Tak, zespół jak orkiestra. A dziś jeden gra farsę, drugi dramat, trzeci kabaret. To wystarczy. W gruncie rzeczy wystarczy, że aktor nauczy się tekstu na pamięć. Nie ma również w teatrze ruchu scenicznego, nie ma, bo wszyscy gdzieś pędzą, nikt nie ma czasu. A co to jest ruch sceniczny? Weźmy jedną z tyrad Papkina. Wiersz jest w odłożeniu kapelusza. Tekst został napisany wierszem po to, aby aktor wierszem się zachowywał. Można inaczej – niby prościej (tu Jan Nowicki odegrał scenę z „Zemsty" w stylu filmów Martina Scorcese), ale to już jest mówienie wierszem, a zachowywanie się prozą. Moja wypowiedź to trochę taki jęk z przeszłości.

Wróćmy do spektaklu według Dostojewskiego. Dlaczego właśnie „Łagodna"?

A dlaczego nie?

Wiem, że jest to pytanie wyciągnięte z szuflady z napisem „dziennikarski wytrych"...

To jest pięćdziesiąt cztery strony najlepiej napisanej literatury w dziejach świata. Pojemnej intelektualnie w sposób przerażający. Moje spotkania z Dostojewskim dotyczyły kilku ról – Swidrygajłow w „Zbrodni i karze", który jest o niebo ciekawszy od Raskolnikowa i Porfirego, Rogożyn, wreszcie Stawrogin w „Biesach".

Układa się to w pewien cykl: Rogożyn, a nie Myszkin, Swidrygajłow, Stawrogin – postaci kierujące się jakimś pierwotnym instynktem, brutalne, ale i zarazem w tym swoim instynkcie tragiczne. Czy nie padł pomysł zagrania chociażby młodego Wierchowieńskiego?

Przed wiekami oglądałem film „Bitwa nad Neretwą". Podszedł do mnie Andrzej Wajda i zaproponował mi rolę właśnie Wierchowieńskiego w „Biesach". Wtedy rzuciłem się na Dostojewskiego. Na całe lata. Zobaczyłem w spektaklu dyplomowym Wojtka Pszoniaka i powiedziałem „Panie Andrzeju to powinien zagrać Pszoniak, a ja spróbuję Stawrogina". To była postać, o której jeszcze nic nie wiedziałem. Zrozumiałem ją dopiero po lekturze Bachtina, Grossmana. Wchodząc w świat Dostojewskiego dotarłem do „Łagodnej". Lata prób, usiłowań. Zaczęliśmy z Jandą, z Budzisz-Krzyżanowską i jeszcze z kimś, i jeszcze z kimś. Potem przygotowałem adaptację, będąc absolutnie, od początku przeciwnikiem monodramu, który jest świadectwem pychy. Monodram jest czymś chorym.

?

Człowiek nie tylko przy stole, także na scenie, nie może mówić bez przerwy sam. To świadectwo złecgo wychowania i... biedy. I znów jesteśmy przy „Łagodnej". Wystawiamy w teatrze coś, co Dostojewski przeznaczył do czytania. Zaciągamy w ten sposób dług u pisarza. Dług, który musimy spłacić, ale inną monetą. Podam przykład z „Biesów". Stawrogin, który był w powieści pięknym mężczyzną, u mnie od razu miał garb. I znów powraca „Łagodna". Lata, lata przygotowań, scenariusz, adaptacja, miał powstać spektakl, aktorka się zestarzała, została bardziej Anną Kareniną niż bohaterką z „Łagodnej", a we mnie ciągle ten strach przed zagraniem roli lichwiarza. Grałem wcześniej Dostojewskiego i znałem cenę grania Dostojewskiego. Ja przecież rujnowałem sobie życie emocjonalne. Te role trzeba odchorować. Tam nie wystarczy talent.

W Londynie po premierze „Zbrodni i kary" – entuzjastycznie przyjętego przedstawienia – spotkałem Lubimowa. Był smutny. Zapytałem go, co się stało, a wiedziałem, że widział wcześniej naszą „Nastassję Filipownę". Powiedział mi, że aktorzy angielscy mają tylko talent, a to jest za mało, żeby zagrać Dostojewskiego. Więc wracamy do „Łagodnej", od której w pewnym momencie uciekłem, bo nie chciałem

chorować. Pan Piotr Skrzynecki nie tykał Dostojewskiego mówiąc, że „sobie nie życzy", że jest z kultury śródziemnomorskiej. I tak rozmawiałem o tej „Łagodnej" z Domalikiem... W pewnym momencie zobaczyłem Ecce Homo i pomyślałem, że do tego ich „smutactwa" dorzućmy jeszcze „smutactwo" totalne. Ania wzięła tekst, znalazła reżysera.. Przede wszystkim mnie zdziwiło, że... tak po prostu wzięli i zrobili. To mi przypomina sytuację, gdy przyszedłem kiedyś do Jurka Jarockiego i siedzi tam Różewicz. Pyta się mnie – co teraz robicie? „Biesy". Jak to „Biesy"? Tak po prostu robicie? Ja się do ich adaptacji od trzydziestu lat zabieram. I zrobiliśmy „Biesy" genialne, bo każdy z nas zachorował na Dostojewskiego. Mówię o głównych wykonawcach. Jeszcze jeden aktor zmarł...

... Fabisiak.

Tak Kazimierz Fabisiak. Więc oni zrobili sobie „Łagodną". Przyjechał pan Stanisław. I zrobił. W wielu fragmentach bardzo zręcznie. Zrobił i wyjechał, a tak nie wolno, bo przedstawienia rodzą się po wyjeździe reżysera. I tu dopiero zaczyna się spektakl. Można inaczej, tak jak Jerzy Jarocki, który potrafił parę razy przereżyserować całą „Matkę".

Mówimy o „Matce" Witkacego z Markiem Walczewskim?

Także o „Szewcach". Był na każdym spektaklu i złożył przedstawienie na nowo. Zrobił też wspaniały „Proces" według Kafki. Przyszedł na jedną z prób i powiedział – odrzucamy te wszystkie teatralne ornamenty, które widzowi będą się tak podobać, bo za nimi zniknął Kafka. Zatem tu w Ecce Homo – jeśli tylko czas mi pozwoli – będę czasem obecny, bo ci ludzie już nadgryźli Dostojewskiego. Powoli zaczynają zapominać o formie i stałych akcentach. Momentami na „Łagodnej" ludzie zaczynają się śmiać. Tam w foyer między oficerami zaczyna coraz lepiej się dziać. Trzeba tylko uważać, żeby z tego nie wyszedł jakiś Bałucki.

Czyli istotą jest rozwiązanie problemu, jak Dostojewskiego nie przerobić na farsę.

Tak na farsę. Choć u Dostojewskiego też jest humor. I jedna bardzo ważna sprawa związana z realizacją. Ciągłe zmiany. Zespół się zmienia. Ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają. Demontują dekoracje. Wciąż jeżdżą, biorą ze sobą kostiumy, jeden drugiemu pomaga nosić tobołek. To jest prawdziwy teatr. Taki był stary teatr lat 70. i 80., teatr elżbietański, Reduta Juliusza Osterwy.

To przemieszczanie, wędrowanie trochę przypomina ideę teatru, który zmienia się w klasycyzmie wraz z powstaniem budynku teatralnego. Ale ja miałem naszą rozmowę zacząć całkiem inaczej. Od tytułów prasowych. Czytamy: „Przyjechał. Powiedział. Był – nie Jan Nowicki – a Wielki Szu". Dlaczego nie Stawrogin od Wajdy? Józef z filmu Hasa?

Imre Nagy z „Niepochowanego".

Lub Imre Nagy.

Przy pomocy zabiegów, które czyni całymi latami telewizja i prasa, widownia równo kretynieje albo, mówiąc bardzo elegancko, zaniża kryteria oceny. Trudno, żeby widz, który ogląda „M jak miłość" był człowiekiem rozgarniętym. To wszystko, co nas otacza – nowy kapitalizm – stało się nagle bogatsze, a bogactwo na początku otumania. Otumaniony widz produkuje głupiego aktora. Taki jest mechanizm. Żeby napisać – przyjechał Imre Nagy z „Niepochowanego", trzeba wiedzieć chociażby, co to była rewolucja węgierska 1956 r. Ludzi nie interesuje historia. Ludzi nie interesuje tak fascynujące zjawisko jak śmierć. Oddalają najistotniejszy problem jaki nas dotyka. Poza tym za każdym aktorem wlecze się czasem nieszczęście. Tak wszechstronny talent aktorski, również pedagogiczny jak Jerzy Stuhr postrzegany jest na przykład poprzez „Seksmisję".

Gdy już jesteśmy przy, największym chyba polskim reżyserze filmowym, Wojciechu Hasie. Jak wyglądała praca nad „Sanatorium pod klepsydrą"? Przecież to proza i szalona, i nierzeczywista.

Zetknięcie z wielkim talentem zawsze musi boleć. Prawdziwy artysta – w tym wypadku reżyser – zawsze cierpi i nigdy nie jest zadowolony. Wojtek był absolutnie największym reżyserem powojennym w Polsce. Suwerennym jeśli chodzi o wyobraźnię. Z nim praca była radosnym cierpieniem. Na szczęście byłem wtedy bogatszy o doświadczenie wyniesione z tej szczególnej inscenizacji „Procesu" Kafki, gdzie aktor był jak oko kamery. Tylko patrzył. Gdy więc wziąłem „Sanatorium...", to stwierdziłem, że tego bohatera nie ma, fizycznie, nie ma określonego wieku, wyglądu, zachowań. Na dobrą sprawę nie ma człowieka – trzeba go wymyślić. Nie wiadomo kogo grasz. Zaczynamy, kończy się scena. Wojtek było dobrze? No tak... Ale dobrze było czy niedobrze. Eee... Zmieniamy plan. Ciągłe poczucie nieokreśloności bohatera. Gdybym nakręcił tylko ten film, wiedziałbym po co się urodziłem.

A plan filmowy u Jerzego Skolimowskiego?

Trochę w anegdoty idziemy.

Może tak.

Muszę się do czegoś przyznać. Rzadko chodzę do kina, które uważam za sztukę jarmarczną. Teraz – na Szumowską, na „Drogówkę", idę sobie popatrzeć, „Ida", „W imię". Widzę, że są zdolni ludzie. Tyle, że niestety mniej. Ja pamiętam jak po łódzkiej wytwórni biegał młody Romek Polański, Skolimowski, Kluba, w sumie młody Wajda. I wszyscy byli niewyobrażalnie bezczelni. Gdy jechaliśmy ze Skolimowskim do Bergamo z „Barierą", to on mówił – tylko ten Visconti, a reszta nieważna. Nie było w tym chamstwa, tylko pewność artysty. Ci chłopcy byli niezwykle utalentowani i przekonani, że zawojują świat. Stąd się wziął „Nóż w wodzie", „Walkower", „Bariera", pierwsze filmy Kutza, Majewskiego. To były perły. Czasem w koronie, innym razem bez.

Niedawno obejrzałem kilka filmów z początku lat 90 o naszym przekraczaniu Rubikonu, o tym uliczno-bazarowym, w sensie scenografii łóżkowym (od rozkładanych łóżek z towarami), powiedziałbym szczękowym kapitalizmie. Niby o nowych sprawach, nowymi środkami, ale bardzo się zestarzały w porównaniu z kinem lat 60.

Tu dotykasz bardzo ważnej sprawy. Mieszkałem jeszcze w bloku, włączyłem telewizor i patrzę jakiś socrealistyczny film. Potworne dyrdymały, jakieś garnki dostali od rady zakładowej. I oczu nie mogłem oderwać. Ten film miał duszę. A dzisiaj? Oglądam „Drogówkę" i co? Ano to, że nie ma w tym duszy.

A „Wesele"?

„Wesele" w porządku. Gorzki obraz naszej rzeczywistości, skarykaturyzowany. Tylko, że patrzysz na kolejny film Smarzowskiego i on jest zrobiony tym samym kluczem. Żeby zagrać prawdziwego mężczyznę, to trzeba go ogolić na łysą pałę, trochę pobrudzić i zostawić trzydniowy zarost? Z kolei Skolimowski niedawno do mnie zadzwonił, żebym zagrał u niego Pana Boga. Czemu nie? W każdym z nas jest kawałek Boga. Do realizacji nie doszło. Jednym z powodów może być śmierć jego żony – Joanny Szczerbic. Zbieram się, żeby coś o tym napisać. To mnie interesuje... Naprawdę... Chyba się rozgadałem? Dużo tego materiału. I co z nim zrobisz?

Będę ciął i... montował. Dziękuję za rozmowę.

Ja również.

(Rysunki i zdjęcie wykonał Tomasz Łukaszczyk.)

Paweł Chmielewski

Wciąż słychać tupot czwororęcznych i krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży

Krzysztof Varga, znany przede wszystkim czytelnikom jako błyskotliwy i często złośliwy felietonista „Gazety Wyborczej", a od 2020 r. „Newsweeka" oraz autor kilku książek (z których „Turula". „Nagrobek z lastryko" i „Gulasz z turula" znalazły się w finale literackiej Nagrody Nike) wziął się tym razem za wiwisekcję ikony literatury młodzieżowej. Nie wiem nawet, czy nie najwybitniejszego reprezentanta tego nurtu w polskim pisarstwie – i niech tutaj wybaczą mi wielbiciele Kornela Makuszyńskiego, Zbigniewa Nienackiego oraz innych – Varga zajął się Edmundem Niziurskim (1925-2013).

Pisarzem wybitnym, niedocenionym, oczekującym na drugą młodość w komputerowej grze lub serialu streamingowym, a w moim przekonaniu chyba najbardziej elitarnym i pokoleniowym twórcą prozy, a w każdym razie najznakomitszym (obok autora komiksów Papcia Chmiela) „inżynierem ludzkich dusz" absolwentów liceów, zdających maturę między latami 70., a połową 90. ubiegłego wieku. Jeszcze u schyłku dwudziestego wieku na korytarzach akademika i w zatłoczonych wieczorami pokojach (przynajmniej w Krakowie), gdzie spotykało się – to taki fenomen z początków polskiego kapitalizmu – kilkanaście roczników studentów, można było usłyszeć (obok „Precz z preczem!" i „Kawa musi być czarna, mocna i aromatyczna" – to cytaty z Henryka Jerzego Chmielewskiego, czyli Papcia Chmiela), wplatane w zwyczajny dyskurs, uwagi o „czwororęcznych", „Wielkiej Kołomyi Elementarnej", wreszcie nieśmiertelnym (dzięki poezji niejakiego Wątłusza) „krzyku drobiu Więckowskiej nieświeżym". To był swoisty kod kulturowy, który istniał (nadal istnieje) dla określonej formacji pokoleniowej. „Księga dla starych urwisów" jest opisem fenomenu, rozkwitu oraz upadku i w pewnym sensie zapomnienia o pisarstwie Edmunda Niziurskiego.

Mimo swoistej – tu użyjmy terminologii marketingowej – „kultowości" prozy autora „Siódmego wtajemniczenia" dla współczesnego, młodszego czytelnika (powiedzmy do trzydziestego piątego roku życia) pozostaje Niziurski pisarzem dość słabo znanym. Lub jednym z wielu. Najprawdopodobniej wynika to z faktu – i między innymi o tym jest również ta książka – iż Niziurski (jego utwory) pozostają, jakkolwiek by to nie zabrzmiało dziwnie, zjawiskiem stricte literackim, przeżywanym i smakowanym najpierw indywidualnie, a później istniejącym w języku (lub raczej językowych potyczkach) męskiego czytelnika (albowiem ten mistrz humoru nigdy nie pisał dla dziewcząt) od czterdziestu lat w górę. Niziurski nie zaistniał – na skalę swego talentu i wyobraźni – w mediach wizualnych. Spośród wywodzących się z podobnej formacji językowo-intelektualnej, opisujących mikroświat szkoły i małego (często odrealnionego) miasteczka – starsi od naszego bohatera, Kornel Makuszyński i Jan Brzechwa ocaleli dla współczesnego czytelnika dzięki komiksowi, animacjom, kilku udanym serialom i filmowi (wystarczy wspomnieć „Szatana z siódmej klasy" w reżyserii Marii Kaniewskiej). Z „wielkiej czwórki" PRL-u najciekawsze życie pośmiertne prowadzi Zbigniew Nienacki. Sympatycy prozy detektywistycznej, rekonstrukcji historycznych i archeologicznych zagadek zbudowali wokół jego twórczości fandom, a kontynuacja wariantywna przygód Pana Samochodzika liczy już ponad sto tytułów. Alfreda Szklarskiego wciąż „podgrzewają" informacje o planowanej ekranizacji (z wielkim rozmachem i budżetem) jednej bądź cyklu przygód Tomka Wilmowskiego w egzotycznej scenerii. O wiele mniej zabawny i pisarsko sprawny Adam Bahdaj miał niezwykłe szczęście do reżyserów (w zasadzie jednego – Stanisława Jędryki), który z „Podróży za jeden usmiech", „Wakacji z duchami", „Stawiam na Tolka Banana" uczynił perły młodzieżowego serialu, przypominane kilka razy do roku przez stacje telewizyjne. Niziurski nie miał tego szczęścia, jego surrealistyczny, literacko wysmakowany język oraz absurdalne zwroty akcji źle zniosły mały i duży ekran. Jedyna udana i wierna ekranizacja to „Tajemnica dzikiego szybu" w reżyserii Wadima Berestowskiego

z 1956 r., zaś niezłym serialem (przede wszystkim aktorsko) okazały się „Niewiarygodne przygody Marka Piegusa". Pozostałe adaptacje filmowe to formalne, artystyczne i komercyjne porażki. Niejednoznaczna i nie na miarę talentu jest również realacja Niziurski-miejsce urodzenia. Gdy każde z innych miast podkreśla (i chwali się) postacią artysty – zwłaszcza tak nietuzinkowego – stosunek Kielc do autora „Klubu włóczykijów" jest co najmniej ambiwalentny. I tym relacjom oraz autobiografizmowi prozy Edmunda Niziurskiego również poświeca Varga obszerne fragmenty swej książki.

Sięgnijmy do dwóch cytatów, które w sposób doskonały zilustrują nam status twórczości Niziurskiego wśród jego cokolwiek pokręconych czytelników (do których niżej podpisany również się zalicza) oraz tę niejednoznaczną relację miasto rodzinne-lata młodzieńcze-pisarz.

Jeśli PRL miał jakieś radosne strony, to jedną z nich, a moż e jedyną, była literatura dla dzieci młodzieży. A na tle całej literatury młodzieżowej najjaśniej błyszczała gwiazda Edmunda Niziurskiego. To dzięki jego powieściom życie w szarym, smutnym kraju nabierało niezwykłych barw i atrakcyjności, jakiej nie mogły nawet dostarczyć filmowe westerny i przygody Jamesa Bonda. (...) Oczywiście Niziurski nie był jedynym pisarzem, jakiego czytaliśmy w graniczącym z egzaltacją zachwycie. Ale był najprawdziwszy. Na tym polegał jego geniusz, że sięgnął po nasze życie, zwykłych uczniów. I trochę dalej: *Dziś ma w Kielcach swój skwer, który tak naprawdę jest tylko polaną i parkingiem obok Kadzielni* (rezerwat geologiczny, a sam swer jest rozjeżdżonym kołami placykiem o powierzchni kilkunastu metrów – P.CH.), a obok niego znajdują się malutki skatepark oraz coś na kształt placu zabaw. Być może nadszedł czas, żeby Kielce postawiły Niziurskiemu prawdziwy pomnik. Chociaż Kielce i okoliczne miejscowości (kamieniołomy, ruiny zamku w Chęcinach) zostają w tej prozie bardzo dokładnie odwzorowane, a dociekliwy Varga (m.in. dzięki rozmowom z synem pisarza) ukazuje jak konkretne realia topograficzne i wydarzenia ze stolicy województwa świętokrzyskiego pojawiają się na kartach kolejnych powieści, przytacza regionalne legendy wplecione w tkankę prozy. Pokazuje jak Kielce są Warszawą (sic!), Odrzywołami, Gnypowicami Wielkimi, Twierdzą Persil, całym światem, jak Niziurski wciąż tka ten pean o rodzinnym mieście, jak wciąż tu wraca – odwiedzając nie tylko Mirosława (znanego profesora i kompozytora muzyki współczesnej). Jest jak Żeromski, który w każdym ze swych utworów transponował to miasto i ma bodaj dziesięć miejsc pamięci w Kielcach. Lecz jest też Żeromskim a'rebours i te fragmenty „Księgi dla starych urwisów" są bodaj najbardziej gorzkie w całej publikacji. Nie dorównuje im nawet rozdział o schyłkowej twórczości Niziurskiego, gdy pisarz usiłuje pochwycić nurt współczesności, gdy zmienia się język jego młodzieżowych bohaterów (pojawiają się nieznane wcześniej dla twórcy wulgaryzmy i wątki kosmiczne). Varga tej dziwnej niechęci dla arcymistrza cudownego absurdu nie ocenia, lecz rekonstruuje, ujawnia wątki autobiograficzne, bo nawet niekończąca się wojna „Defonsiaków" z „Rejtaniakami" jest echem kieleckiej rywalizacji między Liceum im. Stefana Żeromskiego a Liceum im. Jana Śniadeckiego.

Ten autobiografizm w prozie Niziurskiego nie został jednak skondensowany w jednym rozdziale, co byłoby dla czytelnika nieznośne. Felietonista tworzy analizę polimorficzną, hybrydową. Najpierw, niczym w leksykonie, zestawia galerię rabusiów (z Wieńczysławem Nieszczególnym i Albertem Flaszem), następnie nauczycieli (tu nieodmiennie Alcybiades i *groźny z powodu sinusoidy psychicznej* Trąba wraz z nieistniejącymi już figurami istotnymi – szkolnym woźnym Bamboszem i woźną Bobuliną), zaś każdy z rozdziałów zamyka „arkusz egzaminacyjny" z „Niziurskologii" i wreszcie przechodzimy do kilkuset, przeplatających się wypowiedzi, o twórcy „Awantury w Niekłaju" opowiadają żona i syn, znani pisarze, na których wywarł ogromny wpływ – Jerzy Pilch, Zygmunt Miłoszewski. Grzegorz Kasdepke. Są te relacje tak pełne anegdot, że skrzą się niczym polarna zorza. To tu odwzorowane zostaje mieszkanie Niziurskiego z tonami papieru i zestawem siedmiu maszyn do pisania. Przytoczę – dla przykładu – wspomnienie Barbary Niziurskiej o prasowym debiucie przyszłego pisarza w tygodniku „Wieś", w początku lat 50.: *Mąż nie miał zielonego pojęcia o spółdzielniach, nie wiedział, co to w ogóle jest, ale się zgodził. (...) Edmund poprosił, żebym z nim pojechała, a że bardzo lubiłam takie wycieczki, odparłam, że chętnie, ale weźmy ze sobą Stefana Gierowskiego, naszego przyjaciela, później znanego i wybitnego malarza. Edmund i Stefan byli świeżo po studiach. Pomyśleliśmy, że Edmund coś napisze o spółdzielniach, Stefan coś narysuje i obaj dostaną kilka złotych. Wzięliśmy Stefana, pojechaliśmy na wieś, na zebranie przyszła grupa chłopów*

i mój mąż zaczął opowiadać o dobrodziejstwach spółdzielczości. I wtedy oni wstali i krzyknęli: „My wam damy spółdzielnię produkcyjną!". I lecą na nas. Wszyscy: ja, Stefan i mąż uciekaliśmy przez jakieś świeżo zaorane pole do stacji kolejowej. Wśród tych relacji pojawiają się kolejne odkrycia Vargi dokonane w archiwum Niziurskiego. Pomieszane, niepodpisane rękopisy i maszynopisy ujawniają nieznane scenariusze, szkice powieści, słuchowiska. Ujawnione, uporządkowane (na ile się udało, bo pisarz był specjalistą od chaosu kontrolowanego) i streszczone stanowią glossę do twórczości pisarza.

Niziurski jest buntowniczy, nieomal wywrotowy (*książka pisana na początku lat pięćdziesiątych zawiera jakieś harce nieprawdopodobne jak na czasy stalinowskie, dowcipy, które Niziurski robi sobie z władzy.* – Janusz Anderman o „Księdze urwisów"). Jest niesamowitym twórcą neologizmów (vide „choroby i przykre przypadłości dręczące uczniów w szkole" z *paraliżem przytablicznym nagminnym*), ale celuje w nazwach (*Niziurski, pomijając Sienkiewicza i może Mrożka, to pisarz, który ma największą wyobraźnię do nazwisk, stosuje coś w rodzaju skrótu poetyckiego.* – Mariusz Czubaj). Rodzinna legenda głosi, że najciekawsze nazwiska pisarz znajdował spacerując po cmentarzach. Książki Niziurskiego to był skarb, każda premiera była świętem, a zdobycie egzemplarza graniczyło z cudem – Juliusz Machulski. Zygmunt Miłoszewski uznaje „Sposób na Alcybiadesa" *za najbardziej przejmującą i doniosłą kulturowo książkę.* Jerzy Pilch cytuje z pamięci wiersz Wątłusza.

Autor „Sposobu..." w formie najwyższej potrafi tworzyć rzeczy niezwykłe. Rozmówcy Vargi prześcigają się w literackich konotacjach. „Siódme wtajemniczenie" to proza „vonnegutowska", polski realizm magiczny. „Trylogia odrzywolska" jest niczym Bildungsroman. Niziurski już dawno odkrył ten schemat fabularny, który eksplorują współczesne seriale o nastolatkach – przybysz wrzucony w nieznane środowisko szkolne. Motyw „obcego" jest konstytutywny dla jego pisarstwa. Stephen King? Dlaczego, nie! *W jego książkach istnieje zupełnie normalne, codzienne życie w małym prowincjonalnym miasteczku, w którym nagle pojawia się coś niesamowitego i przerażającego. U Niziurskiego mamy z kolei zupełnie normalne, szkolne życie w prowincjonalnym mieście, gdzie pojawia się jakaś przygoda, która zupełnie zmienia życie najzwyklejszych uczniów.* Elementy thrillera medycznego odnajdujemy w „Adelo, zrozum mnie!".

„Księga dla starych urwisów" – monografia jednego z najciekawszych w polskiej prozie twórcy literatury gatunkowej, wielkiego żonglera słowem to przykład biografii nietypowej. Biografii książek i człowieka, którą znakomicie się czyta.

Krzysztof Varga
Księga dla starych urwisów. Wszystko, czego jeszcze nie wiecie o Edmundzie Niziurskim
280 s. ; 24,5 cm
Warszawa: Wydawnictwo Czerwone i Czarne
Polska, 2019

Zbigniew Brzeziński

Kielce widziane z salonu wytrzeźwień

Miasto, kariera, ludzie. Czym różnią się Kielce aspirujące do miana Europejskiej Stolicy Kultury od miasta N. z powieści Edmunda Niziurskiego?

1963 - 2023

Nim „Salon wytrzeźwień" Edmunda Niziurskiego doczekał się pierwszego ze swoich pięciu wydań, co nastąpiło w 1964 roku, był już słuchowiskiem radiowym. Książkę poprzedziła zapowiedź, że dotyczy ona konieczności walki z alkoholizmem. Przegląd opinii recenzentów zestawił w swojej rozprawie doktorskiej z 2021 zatytułowanej „Szkolne wyobcowanie. Inny Niziurski" Jarosław Dobrzycki. Tam też odsyłam zainteresowanego ówczesną krytyką czytelnika. W tym miejscu pozwolę sobie jedynie na uwagę, że wśród różnych opinii zgodnie podkreślano współczesny charakter utworu i jego osadzenie w realiach epoki gomułkowskiej. Dzięki temu śmiało możemy zanurzyć się w obraz Kielc z okresu „małej stabilizacji". Pozwala nam na to zresztą sam pisarz, który zapytany przez Annę Bańkowską o to, jak rodzą się pomysły na jego książki, odpowiedział: *Komponowanie książki zaczynam od postawienia problemu, od naszkicowania jakiejś sytuacji konfliktowej i różnych wariantów jej rozwiązania. Problemy te i konflikty narzuca mi bądź moje własne doświadczenie życiowe, bądź też zagadnienia zaobserwowane w świecie zewnętrznym. Dopiero potem obmyślam odpowiednie sytuacje fabularne oraz charaktery. Ich pierwowzorami są oczywiście ludzie prawdziwi, wzięci z życia, ale poddani zabiegowi syntezy* („Poradnik Bibliotekarza", 1969, nr 7-8, s. 216).

Możemy więc śmiało spojrzeć na Kielce, które w powieści występują jako miast N., oczami głównego bohatera młodego lekarza Teodora Janysta i zastanowić się, co się właściwie przez minionych sześćdziesiąt lat w stolicy świętokrzyskiego zmieniło.

Nieostrość obrazu

W zgodzie z tytułem nie otrzymamy niestety obrazu wyraźnego. Janyst nie zawsze mówi to, co myśli. Często wciąga swoich rozmówców w komunikacyjną grę (a może nawet: gierkę?), w której potrafi wygłaszać nie tylko opinie zgodne z własnymi przekonaniami. Wówczas, sam ukryty za podwójną gardą, bada reakcje swojego rozmówcy. W takiej też sytuacji toczy dialog o Kielcach z redaktorem Kurką. W tej wymianie zdań dwóch frustratów padają m.in. takie słowa: *to miasto konieczności. Jedni tu przyjeżdżają, bo muszą, inni traktują je jako etap, odskocznię, a z Warszawy nikt nie przyjeżdża tu dobrowolnie* – dodaje Kurka.

Tymczasem Janyst właśnie został „zrobiony", czyli wyeliminowany z miasta N., gdyż „wzbudzał sensację" i było wokół niego zbyt wiele zamieszania (w tym medialnego). Wraca więc do Warszawy, gdzie studiował medycynę i gdzie mniej się będzie rzucał w oczy w morzu innych oryginałów. Jak stwierdza: *stolica jest od tego, żeby wchłaniać brudek prowincjonalny [...] To w gruncie rzeczy odkurzacz. Wielki odkurzacz. Na skalę krajową.*

Dekadę temu w projekcie Re-Turn badano pierwszą falę migracji zarobkowej z nowych krajów Unii Europejskiej w tym z Polski na zachód po 2004 roku. Pytano wówczas respondentów, na jakich zasadach skłonni byliby wrócić? Okazało się, że pary, którym urodziły się na obczyźnie dzieci, rozważają powrót w rodzinne strony, licząc na pomoc bliskich w opiece nad latoroślą. Samotnicy nawet jeśli wracali do Polski, wybierali miasta bardziej europejskie niż Kielce: Trójmiasto, Wrocław i Warszawę... Janyst wrócił do Kielc po zawodzie miłosnym i rozpadzie koleżeńskiego towarzystwa z lat studenckich, odrzucając przy tym propozycję kariery naukowej.

Miasto-karierowicz

Główny bohater „Salonu wytrzeźwień" uważa, że Kielce potrafią oczarować, a Niziurski daje w tym miejscu atrakcyjny opis miasta. Natomiast w przywołanym już dialogu nie wyraża tej myśli głośno, lecz mówi do Kurka: *To miasto-karierowicz. Ono to czuje i cierpi na kompleksy. Jego kariera nie miała w sobie nic wzniosłego. Nie była ani bohaterska, ani naukowa, ani artystyczna, ani nawet ekonomiczna. To była kariera oficjalisty lub, jeśli pan woli, lokajska. Miasto przez całe wieki miało tylko jedną zasługę: wiedziało, czyjej poły się trzymać. Najpierw trzymało się sutanny. To było ametystowe oczko w pierścieniu biskupów krakowskich. Myśliwska rezydencja, sjesta pośrodku puszczy. Potem robiło karierę na nieszczęściach narodowych. Kiedy zabrano Kraków, stało się stolicą resztki województwa,*

potem już zawsze było czyjąś siedzibą: gubernatora, wojewody.

W tym miejscu należy objaśnić sens słowa: karierowicz, gdyż to wyszło z użycia. Przywołajmy Słownik języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego: *człowiek, którego głównym celem w życiu jest zrobienie kariery i którego w tym dążeniu nie powstrzymują skrupuły moralne.* Termin miasto-karierowicz nie pasuje do dziejów Kielc, ale tą uwagą Janyst po prostu podpuszcza Kurka. Przy okazji dowiadujemy się, że wbrew manifestowanemu sarkazmowi miasto go szalenie interesuje. Śledzi jego rozwój, zachodzące zmiany, inwestycje. Nie pomija jednak problemów. W pewnym momencie wygłasza mowę o mieście pełnym i niepełnym, na którą w swoich badaniach słusznie zwrócił uwagę Janusz Detka (J. Detka, „Salon wytrzeźwień" Edmunda Niziurskiego – powieść o „upadłym" lekarzu i „niepełnym" mieście [W:] Edmund Niziurski: materiały z sesji w 70 rocznicę urodzin, pod red. J. Pacławskiego i M. Kątnego, Kielce, 1996. – S. 130-145).

Czym zatem są dla Janysta miasta pełne i niepełne?

Miasto (pełne – przyp. ZB), *gdzie każdy może znaleźć miejsce dla siebie. Miasto, które potrafi wchłonąć własną młodzież a nie sprzedaje jej obcym. Tymczasem N. jest miastem przepływowym, wyciąga soki z jeszcze głębszej prowincji, lecz nie wydaje owocu. [...] To jest pierwsza sortownia talentów. Co roku strzygą to miasto z najwybitniejszych umysłów.*

Gdy powstawał „Salon wytrzeźwień", w Kielcach nie było jeszcze choćby zalążków obecnej Politechniki Świętokrzyskiej i Uniwersytetu Jana Kochanowskiego. Ciężko z N. się wybić. Redaktor Kurek pracuje w gazecie na pół etatu, pisząc teksty pod publiczkę, ale po godzinach tworzy powieści – do szuflady. Janyst utwierdza go w przekonaniu, że z Kielc kariery zrobić się nie da, że w stolicy rządzą literackie koterie, które nie dopuszczą człowieka z prowincji. Sam później włącza się z przyczyn trudnych do uzasadnienia w przekazanie rękopisu jednego z utworów wpływowemu koledze z lat studenckich. Ten co prawda uznaje, że dzieło Kurka jest koszmarne, ale że trzeba coś wydawać, więc pójdzie drukiem po usunięciu ostatniego rozdziału, który i tak nic miał nie wnosić.

Ryszard Biskup w zbiorze felietonów „Ze sztambucha i raptularza, czyli ocalić od zapomnienia. Kielce 1950-2000" (A Press, Kielce 2021, s. 187-193) opowiada o trudnej drodze do stworzenia środowiska literackiego w stolicy regionu. Nie udawało się to przez długie lata mimo inicjatyw oddolnych, a nawet zaangażowani władz, które gotowe były zapewnić mieszkanie, gdyby jakiś pisarz zechciał do Kielc się przeprowadzić i uważały powstanie grupy poetów i powieściopisarzy za ważny element walki o lepsze jutro. Oddział Związku Literatów Polskich powstał dopiero w 1984 r. Czy obecność Oddziału potwierdza też istnienie środowiska, to kwestia otwarta, warta odrębnego opracowania.

„Maska nakładana na twarz dzikusa"

Studenci kulturoznawstwa mierzyć się muszą z pojęciem kultury. Prosto można stwierdzić, że się ją uprawia, w odróżnieniu od cywilizacji, do której się przynależy, albo że jest to ogół działań społeczeństwa zmierzających w określonym celu (Kazimierz Korus). Janyst ujął to tak: *kultura jest to ceremoniał przyjęty przez tych, którzy się jeszcze czegoś spodziewają, którym jeszcze zależy. Maska nakładana na twarz dzikusa* [...] Jak się wobec tego miała kultura w mieście N. Z pracy prof. Stanisława Żaka „Teatr dla ludzi jest..." możemy wyczytać, że działał już stały teatr, którego dyrektorem od 1952 r. do 1958 roku był Tadeusz Byrski, a o teatrze Byrskich legendy opowiada się w Kielcach do dziś, choć już niewielu pozostało tych, którzy pamiętają tamte spektakle. Jak życie artystyczne Kielc podsumował Janyst?

Artyści są. Przynajmniej w stanie potencjalnym lub [...] biologicznej cysty. Są i mogą wyrosnąć w każdej chwili. Tu chodzi o artystów, z którymi się liczą i którzy samodzielnie coś znaczą. Tymczasem ci biedacy wegetują tu jak grzybki pod jodłą urzędu i instytucji, w rolach całkowicie służebnych. Etatowi artyści. I nie mogą inaczej, bo nikt tu ich nie uzna bez stempelka urzędu. Tu gardzi się artystą właśnie dlatego, że on mieszka w N. Wszyscy tu właściwie gardzą sobą z tego powodu.

Pochodzący z Kielc malarz Rafał Olbiński powiedział w wywiadzie dla Plejady (2018 r.), że zaczął być obdarzany szacunkiem w Ameryce, gdy przestał się przedstawiać jako malarz z Polski, ale jako artysta z Nowego Yorku. Jak stwierdził, Polska nie kojarzyła się nikomu ze sztuką. Tu rodzi się pytanie, to kto ma obraz Kielc zmieniać? Wojciech Siudmak jest malarzem z Wielunia, choć żyjącym we Francji od 1969 roku. W rozmowie, w której miałem zaszczyt brać udział na Wzgórzu Zamkowym powiedział, że chciałby wiedzieć w Europie więcej Polaków bez kompleksów. Sam wspominał, że też je miał, na przykład wobec hydraulika, bo ten miał lepszy akcent

(postać „hydraulika z Polski" to nie tylko element promujący transfery kadrowe z Polski po 2004 r.). Doszedł jednak do wniosku, że co z tego, skoro tamten nie miał w tym języku zgoła nic ciekawego do powiedzenia.

Obraz miasta z aspiracjami

Z badania postrzegania Kielc przez mieszkańców dużych ośrodków miejskich przeprowadzonego na zlecenie Urzędu Miasta w 2005 roku wynikało, że młodzi ludzie kojarzyli wówczas stolicę regionu z Liroyem, Piaskiem i „Kasą" Kasowskim, a starsi z Żeromskim, „Majonezem Kieleckim" i pałacem biskupów krakowskich. Niestety dominowały skojarzenia z brudem, bezrobociem, prowincją i biedą. Po kilkunastu latach wysiłków awansowaliśmy, zgodnie z „Raportem końcowym analizy danych zastanych wizerunku miasta z lat 2014-2018" (Fundacja Rozwoju Badań Społecznych), od wizerunku niekorzystnego do roli miasta przeciętnego, które wyróżniały sport i targi. Co ciekawe w materiale zauważono, że masowy odbiorca ma bardziej optymistyczny obraz Kielc, niż ten, który wynika z opracowań naukowych i dokumentów strategicznych. Zgodnie z badaniami, które poprzedziły obecnie obowiązującą Strategię Promocji Miasta Kielce (2021 r.) podstawowe elementy pozytywnych odczuć to: przyroda (położenie geograficzne, zielone otoczenie) 58,6%, kompaktowość 26,7%, atrakcje turystyczne 16,4%, sport i rekreacja 11,6%. Sama kultura uplasował się poniżej połowy stawki z „imponującym" jak może rzekłby Janyst wynikiem 5,5%. Cóż się dziwić, że wobec takich rezultatów zalesienie Rynku wydawać się może zgoła dobrze uzasadnionym pomysłem (na marginesie, w dyskusji na temat rzekomej „betonozy" miesza się pogodnie pojęcia rynku i skweru)?

Na początku 2023 roku podczas konferencji prasowej potwierdzono, że Kielce ubiegać się będą o zaszczytne miano Europejskiej Stolicy Kultury 2029. Parafrazując wyzwanie 2060, które rzucił światu prof. Henry Jenkins, wyobraźmy sobie, że jest 2029 rok i Kielce są Europejską Stolica Kultury. Co musi wydarzyć się w latach 2023-2029 by nie tylko nią były, ale też w pełni zasługiwały na to miano? Zachęcam do podjęcia tego wyzwania wszystkich, których stać na, jak to Edmund Niziurski w „Salonie trzeźwości" napisał: *bezinteresowne myślenie.*

Protokół

z posiedzenia Jury konkursu na opowiadanie i komiks inspirowane twórczością Edmunda Niziurskiego

(organizowanego przez Stowarzyszenie Twórcze „Zenit" i Magazyn Kulturalny „Projektor")

sporządzony 06 maja 2023 roku

Jury w składzie:

Paweł Chmielewski - redaktor naczelny magazynu kulturalnego „Projektor", scenarzysta, autor cyklu monografii o historii europejskich narracji graficznych i komiksu od średniowiecza do modernizmu (przewodniczący);

Jerzy Ozga - ilustrator, rzeźbiarz, autor m.in. komiksów „Quo vadis", „Ern", „Yorgi", „Misja rozpaczy", „Salut bohaterom" oraz storyboardów i rysunków w produkcjach filmowych Lecha Majewskiego;

Emmanuella Robak - doktor nauk humanistycznych, publicystka, autorka monografii o Jerzym Żuławskim

Po zapoznaniu się z 59 pracami, które wpłynęły na konkurs, postanowiło przyznać następujące nagrody:

W kategorii opowiadanie:

I miejsce (nagroda finansowo-rzeczowa o wartości 1000 PLN)

Lux Profus (Łomianki, godło „Achilles") – tekst "Zastępstwo" – za syntetyczny język, wykorzystanie chwytu retorycznego gradacji napięcia, celną pointę, wprowadzenie typowych dla prozy Niziurskiego figur literackich;

II miejsce (nagroda finansowo-rzeczowa o wartości 600 PLN)

Grzegorz Janusz (Warszawa, godło „Laureat") – „Turbulencje i perturbacje" – za doskonałe nawiązanie do oryginalnego języka i stylu prozy autora „Awantury w Niekłaju" oraz kreację świata przedstawionego;

III MIEJSCE (NAGRODA FINANSOWO-RZECZOWA O WARTOŚCI 400 PLN)

Stanisław Klimek (Opole, godło „Kemilk") – „Żaba, dasz radę" – za niezwykle dowcipne spojrzenie na dorosłych bohaterów utworów Niziurskiego przez pryzmat i szkolnych doświadczeń;

WYRÓŻNIENIA (NAGRODA RZECZOWA O WARTOŚCI 300 PLN)

Jan Hyjek (Suchy Las, godło „Nowołoskowiec") – „Bocianiec na drumlinie" – przede wszystkim za wplecenie w tkankę utworu elementu metafizycznego, który wzbogaca rzeczywistość niekłańską;

Robert Kraik (Gdańsk, godło „Epsilon 12") – „Piraci z Niekłaja" – za odwołanie do kryminalnego nurtu w twórczości Niziurskiego oraz połączenie jego prozy z klasyczną prozą Arthura Conan Doyle'a;

Przekazując w/w teksty do publikacji w magazynie kulturalnym „Projektor";

ponadto przyznało nagrody rzeczowe magazynu „Projektor" i dodatkowo zakwalifikowało do druku w czasopiśmie prace następujących autorów:

Radosław Dąbrowski (Gąbin, godło „Spinacz") – opowiadanie „Śledztwo"

Izabella Gądek (Wrocław, godło „Zoe") – opowiadanie „Odwyk"

Wiktor Orłowski, ps. (Zgorzelec, godło „Heban") – opowiadanie „Awantura na Niekłańskiej")

Dawid Ożóg (Kraków, godło „Ogi 89") – opowiadanie „Złota piątka"

W kategorii komiks:

I MIEJSCE (NAGRODA FINANSOWO-RZECZOWA O WARTOŚCI 1000 PLN)

Jacek Frąś (Lublewo Gdańskie) – rysunki i Grzegorz Janusz ( ) – scenariusz; godło „Detektyw Kwass" – komiks „Nadzwyczajna lekcja techniki profesora Anielaka zwanego Partaczem" – za barwną dwustronicówkę za świetnie poprowadzoną narrację rysunkową i tekstową, kreślone z dużą swobodą portrety bohaterów, rosnące napięcie, rozładowanie sytuacji, za krótką historię, w której nic nie jest pozostawione przypadkowi;

II MIEJSCE (NAGRODA FINANSOWO-RZECZOWA O WARTOŚCI 600 PLN)

Tomasz Niewiadomski (Warszawa) – rysunki i Grzegorz Janusz (Warszawa) – scenariusz; godło „E1914" – „Pora sucha" – za pewną kreskę, kapitalny scenariusz, undergroundową estetykę, elementy, które współgrają ze sobą tworząc unikalną jedność ikonograficzno-narracyjną

III MIEJSCE (NAGRODA FINANSOWO-RZECZOWA O WARTOŚCI 400 PLN)

Adam Święcki (Łodź, godło „693") – „Wielkie wtajemniczenie" – za utrzymaną w zwiewnym, lekkim stylu trzystronicówkę, pewnie prowadzoną kreskę, dojrzałą kolorystykę, tekst współgrający z treścią rysunków, prowadzący nas do pointy z postacią patrona konkursu

WYRÓŻNIENIA (NAGRODA RZECZOWA O WARTOŚCI 300 PLN)

Bartłomiej Ogonowski (Legionowo, godło „BOgon") – „Twierdza Persil" – za fantastykę nawiązującą do ostatnich dokonań pisarza, mroczne echa pierwszych „Gwiezdnych wojen", kreatywne wykorzystanie fotografii i umiejętne zastosowanie akcentów kolorystycznychg pogłębiające atmosferę niesamowitości i grozy

Marcin Burbo (Warszawa, godło „Kuternoga") – „Feniks – tropicielka niedźwiedzi" – za pięciostronicową historyjkę mogącą być początkiem dłuższej fabuły, pewny, prosty rysunek, uzupełniony soczystym kolorem i adekwatnym doborem czcionek.

Przekazując w/w utwory do publikacji w magazynie kulturalnym „Projektor" oraz na wystawę pokonkursową;

ponadto przyznało nagrody rzeczowe magazynu „Projektor" i dodatkowo zakwalifikowało do druku w czasopiśmie (oraz na wystawę pokonkursową) prace następujących autorów:

Piotr Burzyński (Stary Sącz, godło „Ketchup") – komiks „Spon"

Antonina Czech (Zalecie, godło „Antonia") – komiks „Jedna z przygód Marka Piegusa

Luiza Sułkowska (Radom, godło „Luikro") – komiks „Sposób na Alcybiadesa"

Wiesław Wojciechowski (Legnica, godło „Vladek58") – komiks „Ancymon, Nicpoń i inni"

Jagoda Wróbel (Wrocław, godło „Jagodzianka") – komiks „Sen"

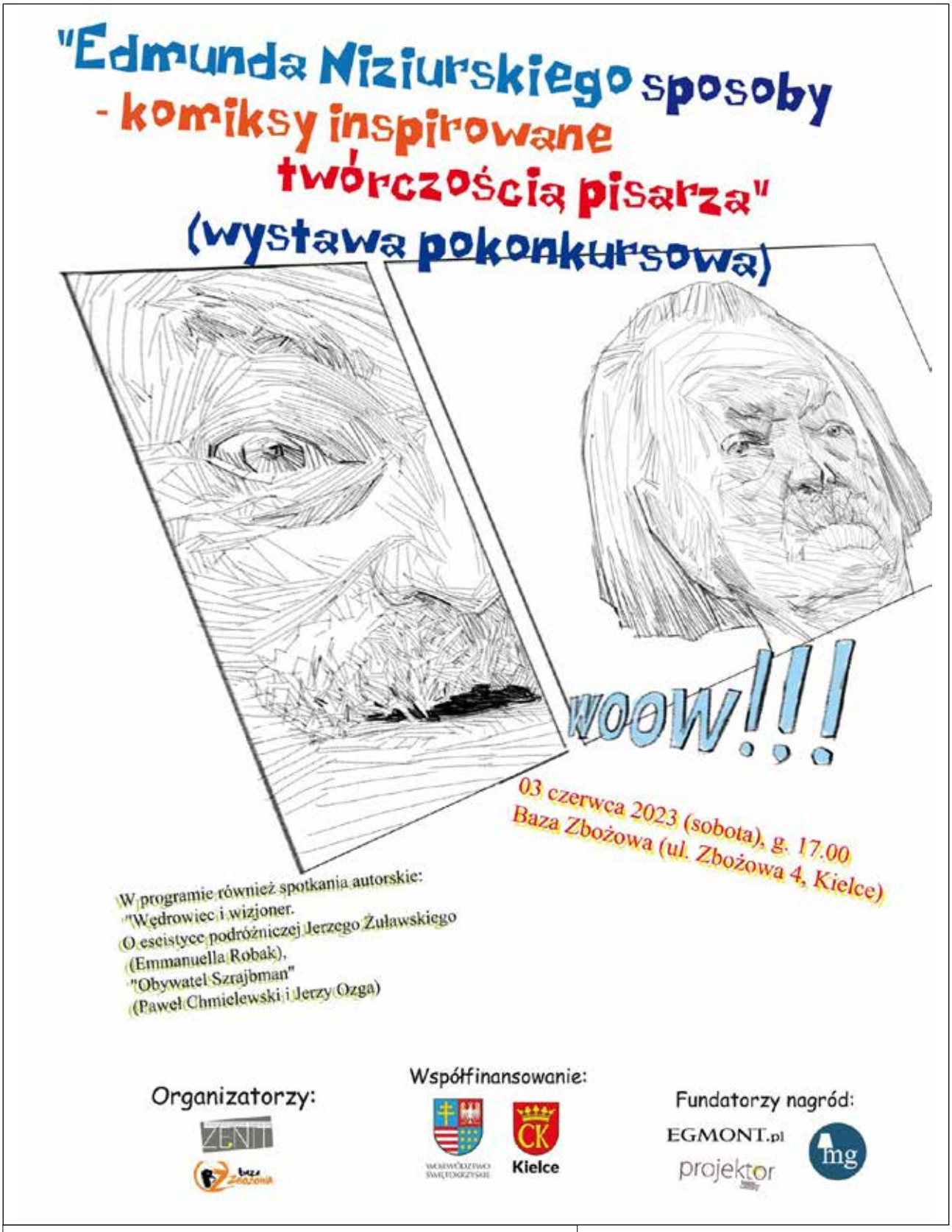

Projekt plakatu - Tomasz Łukaszczyk

Lux Profus

Zastępstwo

W całym budynku rozległ się głośny, przeciągły, wręcz rozdzierający bębenki dźwięk. Był to oczywiście dzwonek oznajmiający koniec przerwy, za którego kakofonicznym terrorem przymusowo zebraliśmy się w klasie. Chociaż niechętnie było nam zakończyć przerwę, to jednak czekaliśmy z wypiekami na twarzach na lekcję z naszą nauczycielką geografii – panią Jajo – jak zwykliśmy ją nazywać, gdyż w istocie przypominała wielką, kolorową pisankę, która raz w tygodniu wtaczała się do sali w swoich coraz to bardziej krzykliwych ubraniach, różnobarwnych naszyjnikach, które oplatały jej szyję niczym egzotyczne węże i z globusem w dłoniach – równie kolistym, jajecznym atrybutem. Lekcje z nią były pod wieloma względami naprawdę fascynujące, gdyż jej temperament oraz ognista nienawiść, jaką darzyła podręczniki, sprawiały, że lekcje były dynamiczne i zazwyczaj miała miejsce przynajmniej jedna godna śmiechu sytuacja.

Pani Jajo jednak nie nadchodziła i zaczynaliśmy się niepokoić. Z jednej strony brak godziny lekcyjnej oznaczałby rozkoszną przerwę w samym środku dnia, co pozwoliłoby nam na omówienie różnych ważkich spraw na naszej prywatnej, klasowej agorze. Z drugiej jednak strony było zbyt wcześnie, by świętować, a nawet zbyt wcześnie, by się odprężyć - mimo iż nie miała tego w zwyczaju, pani Jajo mogła się jednak spóźnić i przedwczesny wybuch radości stałby się jeszcze większym smutkiem, gdyby okazał się płonny. Dlatego właśnie czekaliśmy w milczeniu, nasłuchując.

- Ktoś idzie - szepnął alarmująco siedzący w pierwszej ławce i odznaczający się wyjątkowym słuchem Fryderyk.

Wszyscy zaczęliśmy więc wytężać uszu i po chwili potwierdziła się prognoza Fryderyka: usłyszeliśmy na korytarzu stukanie obcasów. Ten dźwięk, podobny dźwiękowi końskich kopyt, wzbudził w nas konsternację - pani Jajo nie nosiła bowiem obcasów. Chwilę później do sali wślizgnęła się pomarszczona dłoń, opatrzona jaskrawoczerwonym lakierem na paznokciach, a zaraz za nią jej właścicielka. Wszyscy zaniemówiliśmy ze zgrozy, oto bowiem stała przed nami słynna pani Celina, która w kręgach uczniowskich nazywana była pogardliwie Cytryną, a to z powodu jej wiecznie skwaszonej twarzy oraz upodobania do farbowania włosów na kurczakowo żółty kolor. Teraz właśnie stała przed nami owa królowa żółci, we własnej osobie.

- No ładne mi powitanie - zaskrzypiała swoim wysokim głosem - Mam dziś z wami zastępstwo. Co tak zaniemówiliście? Czy wasza wychowawczyni nie nauczyła was, co się mówi na powitanie?

Odpowiedzieliśmy więc chóralnym „Dzień dobry", co Cytryna skwitowała krótko:

- Dla kogo dobry, dla tego dobry.

Prawdę mówiąc, w tym jednym mogliśmy się zgodzić - wolelibyśmy mieć zastępstwo z dowolnym nauczycielem, byle tylko nie z nią. Nawet najsurowszy belfer byłby lepszy niż jej nieprzewidywalna osoba.

Ona tymczasem zdążyła się już wygodnie rozgościć w fotelu nauczycielskim i wyjęła z torebki swój ulubiony atrybut, z którym nie miała w zwyczaju się rozstawać - czyli przybory do szydełkowania. Przez chwilę manewrowała tajemniczo w powietrzu swoimi przyborami i zaczynaliśmy się nawet rozprężać z powziętego być może przedwcześnie stresu, gdy dało się posłyszeć jej głos:

- Dziewczyno! - Cytryna zwróciła się do Natalii - Bądź tak miła i podlej tę biedną roślinę! Czy nie widzisz, że usycha na wiór?

- Ależ Pani Celino - odpowiedziała zrezygnowanym głosem Natalia, tak jak gdyby wiedziała, że jej próba przemówienia do rozsądku nauczycielce i tak zderzy się ze ścianą jej uczonej nieomylności, a jednak bohatersko podjęła tę nierówną walkę - Przecież to jest kaktus.

- Ta roślina usycha, a to wszystko przez to, że nikt nie uczy dzisiejszej młodzieży, jak należycie dbać o roślinność - kontynuowała oskarżenie Cytryna - Jestem wdzięczna moim rodzicom, że wychowali mnie

w poszanowaniu zasad i nauczyli dbałości o przyrodę. Dzisiejsze dzieci dbają tylko o komputery, a tych nie trzeba podlewać.

- Ale kaktusa nie można podlewać, on od tego umiera - nie dawała za wygraną Natalia.

- Kto niby tak twierdzi? To pewnie kolejna zachodnia moda.

Na ten argument Natalia nie mogła zbyt wiele poradzić i z bólem w oczach zabrała się do nawadniania nieszczęsnej rośliny, która stała na parapecie, tuż nad głową nauczycielki.

Tymczasem w tylnym rzędzie wystrzeliły w górę dwa uniesione palce, spod których wyglądała burza jasnych włosów i zmęczone spojrzenie.

- Tak, chłopcze? Zgłaszałeś coś?

- Chciałbym pójść do łazienki - oświadczył zaspanym głosem rozczochrany Jerzyk.

- Że co?

- Łazienka, proszę pani. Chciałbym iść do łazienki.

- Co tam mamroczesz pod nosem? Mówże głośniej, dziecko - zaskrzeczała zaczerwieniona twarz Cytryny.

- Mówię, że idę do łazienki! - krzyknął rozczochrany Jerzyk.

Ciało nauczycielskie aż się zatrzęsło.

- Czy ty musisz tak krzyczeć?! Ogłuchnę przy was, słowo daję.

- Więc czy mogę iść? - dopytywał Jerzyk, nie dając za wygraną.

Ale Cytryna już go nie słuchała. Sięgnęła przed siebie i czerwonymi szponami uchwyciła leżący przed nią podręcznik do geografii.

- To, że macie zastępstwo, nie oznacza jeszcze, że możecie się lenić, tak jak najchętniej byście chcieli. Ty - wskazała na Natalię - umilisz nam czas lekturą. Czytaj odtąd - powiedziała, stukając ostrą końcówką paznokcia w wybrany fragment.

- To jest rozdział ósmy - zaczęła Natalia, a w jej oczach powoli gasła nadzieja na to, że nauczycielka potrafi w ogóle zrozumieć cokolwiek z jej rozpaczliwych artykulacji - A my jesteśmy dopiero na rozdziale trzecim.

Cytryna spojrzała na nią podejrzliwie.

- Pewnie myślisz, że w ten sposób wymigasz się od nauki i że pozwolę wam grać na waszych ukochanych telefonach w te strzelaniny - wygłosiła to tak, jakby dokonywała uroczystej demaskacji - A co? Czy przeczytanie paru rozdziałów do przodu zrobi wam krzywdę? Kiedyś młodzież była ambitna, mogła czytać, co chciała, bo nie miała popsutych oczu od elektroniki.

Natalia, widząc, że niczego nie wskóra, westchnęła żałośnie i zaczęła czytać rozdział o różnych rodzajach gleb, który poskutkował epidemią ziewania i mrużenia oczu przez nas wszystkich. Czułem, jak moja głowa staje się ciężka i opada na lewe ramię. Prawie zacząłem już zapadać w drzemkę, gdy z tego na wpół błogiego, na wpół makabrycznego stanu wyrwał mnie ostry głos nauczycielki.

- A ty gdzie się wybierasz, co? Pewnie na wagary ci się spieszy - fuknęła oskarżycielsko w stronę Jerzyka, który stał już przy drzwiach i trzymał za klamkę.

- Nie, proszę pani. Ja mówiłem, że idę do łazienki - Jerzyk westchnął markotnie.

- Znowu? Przecież dopiero co byłeś.

- Nie, pani mi nie powiedziała, czy mogę, więc jeszcze nie byłem.

- Jakieś krętactwa się ciebie trzymają chłopcze, pamiętam wyraźnie, że poszedłeś do łazienki przed chwilą. Nie jestem jeszcze taka stara, jak ci się zdaje.

Jerzyk przybrał jeszcze bardziej zbolały wyraz twarzy niż zwykle, chociaż nikt by nie podejrzewał, że było to możliwe.

- A ty - zwróciła się tym razem do zamyślonej Hani - Ty podlej no tę biedną roślinę - powiedziała Cytryna, wskazując na kaktusa.

- Przecież przed chwilą był podlany - próbowała wciąć się w dyskusję Natalia.

Jednak Cytryna zwróciła się już do ponownie do Jerzyka, a Hania posłusznie zabrała się do mordowania przelanej już rośliny.

- Ty chcesz uciec ze szkoły - wyszydziła przez zaciśnięte zęby - No, to się w głowie nie mieści, żeby

w tym wieku przychodziły wam do głowy chuligańskie i przestępcze zapędy.

- Słowo daję, że nie chciałem uciec, chciałem po prostu iść do łazienki.

Patrzyliśmy z podziwem na Jerzyka, że jeszcze chciało mu się kontynuować tę z góry przegraną dyskusję. Bądź co bądź, miał chłopak jednak stalowe nerwy.

- Z wami tak zawsze, ostrzegano mnie, że jesteście najgorszą klasą w szkole i dobrze was ocenili - o tym, kto nas ocenił, nie dane nam się było dowiedzieć - Nie powinnam była w ogóle... Co to było?!

Nagle wywód Cytryny zamknęła kropla, która z impetem rozbiła się na jej nosie. To z doniczki znajdującej się nad głową nauczycielki poczęło coś skapywać. Tuż nad jej głową sekwencja kropli wody, które synchronicznie lądowały na jej głowie, zaczęła zamieniać się w strumień.

- Nie! Tego jest już za wiele - Cytryna ze złości aż się zażółciła - Nie będę tolerowała pomiatania mną i wyszydzania. Dopilnuję, żeby wasza wychowawczyni, tak, wychowawczyni, wasi rodzice się o wszystkim dowiedzieli. Nie ujdzie wam płazem to bezprawie, wy... wy degeneraci!

Wypowiedziawszy to uniosła się godnie i, ociekając wodą, wymaszerowała z klasy. Odetchnęliśmy z ulgą, przynajmniej na jeden dzień.

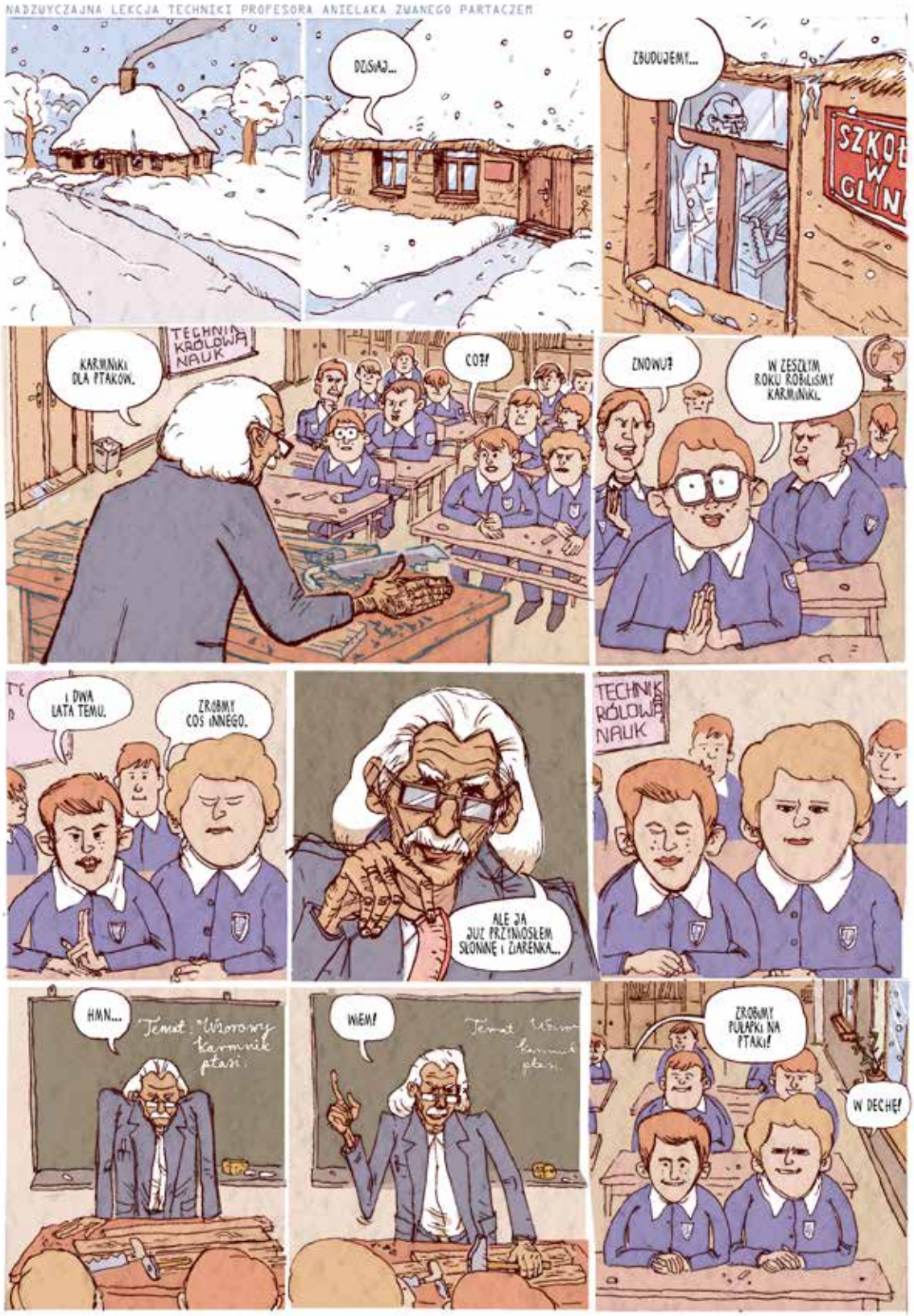

Jacek Frąś (rysunek), Grzegorz Janusz (scenariusz), ***Nadzwyczajna lekcja techniki Profesora Anielaka zwanego Partaczem***

HMM...
NAJWAŻNIEJSZĄ BĘDZIE STABILNA PODSTAWA. POZA TYM SOLIDNE PODPORY.
TRZEBA TO SPRYTNIE SKONSTRUOWAĆ.
I OCZYWIŚCIE WODOSZCZELNE ZADASZENIE ...
A TU UMIEŚCIMY PRZYNĘTĘ.
TUTAJ WYLĄ– DUJĄ GILE, SIKÓRKI I JEMIOŁUSZKI...
... ZWABIONE NASZYMI PRZYSMAKAMI.
A MY JE WTEDY USTRZELIMY!
Z CZEGO?
CMEHA
Z TEGO.

Grzegorz Janusz

Turbulencje i perturbacje

Dzisiaj Dzień Edukacji Narodowej.

Na pierwszej przerwie poszedłem do Potęgi, która jest naszą wychowawczynią, a poza tym naucza matematyki i fizyki, żeby w imieniu całej klasy wręczyć jej kwiaty i złożyć serdeczne życzenia dalszych sukcesów zawodowych.

– Przy okazji chciałbym przeprosić za wszystkie kłopoty, jakie dotychczas pani sprawiłem, a także z góry za te, które jeszcze sprawię – zażartowałem i uśmiechnąłem się szeroko.

Potęga westchnęła i popatrzyła na mnie uważnie. Nagle stwierdziłem, że jej żółtawe oczy, zawsze takie przenikliwe i groźne, wyrażają teraz jakiś taki głęboki smutek.

– A ja życzę ci, żebyś w przyszłości taż został nauczycielem – powiedziała cicho.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

II

Dzisiaj na dwóch ostatnich lekcjach mieliśmy WF. Triceps zabrał nas do parku, żebyśmy poćwiczyli biegi przełajowe, ponieważ, jak powiedział, międzyszkolne zawody zbliżają się dużymi, żwawymi i sprężystymi krokami.

Gdy już wracaliśmy zziajani, przy fontannie spotkaliśmy maluchy z II c zbierające kasztany i kolorowe liście pod opieką Dziewanny, tej nowej wychowawczyni świetlicy. Do końca lekcji było jeszcze trochę czasu, więc Dziewanna zaproponowała, żeby zorganizować jakąś wspólną zabawę dla obu klas.

– Zagrajmy w głuchy telefon! – zawołałem i wszyscy się zgodzili.

Ustawiliśmy się wokół fontanny. Triceps powiedział coś pierwszemu uczniowi na ucho, ten powtórzył to szeptem następnemu i tak dalej. Wreszcie wiadomość dotarła do mnie, brzmiała: „Chrząszcz brzmi w trzcinie". Zdziwiłem się, że tym maluchom z drugiej klasy udało się niczego nie przekręcić.

Nagle coś mnie podkusiło i do ucha sąsiada wyszeptałem coś zupełnie innego. Nowy tekst powędrował do stojącej na końcu Dziewanny, która bez zastanowienia powtórzyła go na głos:

– Czy wybierzesz się ze mną na kawę?

Młodzież i dzieciarnia wybuchnęły śmiechem, Dziewanna zarumieniła się, Triceps zbladł, a mi zrobiło się głupio.

Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Gdy Paproch przechodził późnym wieczorem obok „Brazylijki", widział świetliczankę i wuefistę siedzących przy stoliku przy oknie.

III

Dziś nie było lekcji historii, bo zaraz po dzwonku Szlaban ustawił nas w pary i zaprowadził na salę gimnastyczną, gdzie odbyło się spotkanie ze słynnym absolwentem naszej podstawówki, młodym aktorem filmowym Feliksem Furorą znanym z takich tytułów jak „Dzień wagarowicza", „Alarm bombowy w szkole nr 13", „Urodzony w niedzielę", „Byle do wakacji" czy „Na lewym zwolnieniu".

Aktor opowiadał długo, wyczerpująco i niestety niezbyt zajmująco o swoich licznych osiągnięciach artystycznych, triumfach towarzyskich i podbojach miłosnych, wielokrotnie podkreślając, że mimo tak młodego wieku jest bez wątpienia najpopularniejszą i zapewne najzamożniejszą osobą pochodzącą z naszego ustronnego miasteczka.

Potem przyszła pora na pytania od publiczności. Witka, ta kujonka z VII c była ciekawa, który ze swoich filmów pan Furora uważa za najlepszy. Bodziec z VIII b chciał się dowiedzieć czegoś o kaskaderskich popisach gwiazdora. Zasadę, wychowawczynię VI a, interesowały zawodowe i osobiste plany naszego drogiego gościa na najbliższą przyszłość.

Wreszcie ja podniosłem rękę i zadałem pytanie:

– Czy mógłby nam pan podać wzór na pole koła?

– Ekhmm! – chrząknął zmieszany Feliks Furora, a potem na sali zapanowała cisza, długa i przeraźliwa.

IV

Na dzisiejszej lekcji języka polskiego Rzeźucha wyjaśniła nam, czym są palindromy. To wyrazy, zwroty albo nawet zdania, które czytane wspak brzmią tak samo jak normalnie, od lewej strony do prawej, na przykład „Kobyła ma mały bok" albo „Jadzi w gębę gwizdaj", albo „Łapa, kot sułtana, tłusto kapał", albo „A to idiota!". Dawno tak się nie uśmiałem na lekcji.

Potem Rzeżucha ogłosiła konkurs na najdłuższy palindrom. Główna nagroda była naprawdę atrakcyjna: ocena bardzo dobra wpisana natychmiast do dziennika i dodatkowo tygodniowe zwolnienie z prac domowych z polskiego. Aż zadrżałem z pożądania.

Bania, która zawsze pierwsza wyrywa się do odpowiedzi, zaproponowała swoje imię, czyli „Anna". Apacz wymyślił „kajak". Czerepowi oczywiście przyszedł do głowy „sedes". Paproch wysunął się na prowadzenie dzięki pomysłowi „panna P.", Pumeks wyrównał, mówiąc: „ino oni" (Rzeżucha zastanawiała się przez chwilę, czy go nie zdyskwalifikować za używanie gwary). Konewka przebiła wszystkich absurdalnym zdankiem „Żuj kok już". A ja ciągle miałem pustkę w głowie.

Gdy nadeszła moja kolej, wstałem, podrapałem się po głowie i stęknąłem, żeby trochę zyskać na czasie:

- Yyyyyyyyyyyyy...

Moim zdaniem wygrałem bezapelacyjnie.

V

Dzisiaj w Garbatym Lesie odbyły się międzyszkolne zawody w biegach przełajowych, w których zająłem drugie miejsce!

Zaraz po powrocie do naszej szkoły pochwaliłem się wszystkim tym sukcesem. Dyrektorka Łepetyna i nasza wychowawczyni Potęga pogratulowały mi wylewnie, jednak wuefista Triceps nie był zbyt zadowolony i powiedział z surową miną:

– Nie ma się z czego cieszyć! Drugie miejsce to porażka, w dodatku bardzo bolesna, bo naprawdę niewiele zabrakło do zwycięstwa. Drugie miejsce jest najgorsze. W sporcie liczy się tylko wygrana.

Zastanowiłem się nad tym i musiałem przyznać, ze to, co mówi, nie jest pozbawione sensu. Już chciałem pokiwać głową ze zrozumieniem, lecz nagle przyszło mi do głowy takie pytanie:

– A które miejsce jest drugie od końca, to znaczy prawie najgorsze dla sportowca?

– Bez wątpienia czwarte. To paskudne uczucie być tuż za podium – odpart Triceps.

– Skoro czwarte miejsce zajmuje w pana rankingu niepowodzeń przeklętą drugą pozycję, to przecież właśnie ono jest tym najgorszym – zauważyłem.

– Gdybyś wygrał bieg, uniknęlibyśmy tej durnej rozmowy! – zawołał Triceps i rozztoszczony obrócił się na pięcie.

Nie dziwię mu się. To nic przyjemnego zająć drugie miejsce w dyskusji.

VI

Dzisiaj spóźniłem się na pierwszą lekcję. Wyszedłem z domu jak zwykle kwadrans przed ósmą, więc powinienem zdążyć bez trudu, ale po pierwsze w nocy spadł obfity śnieg, co znacznie spowalniało tempo mojego marszu, a po drugie po kilku krokach strasznie rozbolała mnie prawa stopa.

Pojękując, pokwękując i postękując, starałem się ze wszystkich sił, by jak najszybciej przebierać nogami, dosłownie dawałem z siebie wszystko, Jednak, gdy z trudem dowlokłem się do szkoły, zegar nad drzwiami sekretariatu wskazywał szesnaście po ósmej. Chciało mi się płakać z bólu i ze zmęczenia, ale przede wszystkim, dlatego, że było to moje siódme spóźnienie w tym roku i mogłem zapomnieć o ocenie dobrej z zachowania. Wiedziałem, że Potęga, nasza wychowawczyni, nie uwierzy w moją nagłą kontuzję dystalnego odcinka kończyny dolnej, Cóż, miała powody, by mi nie ufać. Mnóstwo powodów.

Usiadłem na ławce w szatni i zacząłem ściągać ośnieżone buty. Wtem z prawego kozaka coś wypadło z brzękiem, błysnęło, potoczyło się po podłodze i zatrzymało pod oknem.

Schyliłem się i podniosłem tajemniczy przedmiot.

– Przecież to Mścigniew Mocarny! – zawołałem. – Skąd on tu się wziął, do stu odciętych smoczych łbów?!

Trzymałem w palcach metalową figurkę baśniowego rycerza w pełnej zbroi dzierżącego potężny topór, na ostrzu którego czerwieniła się kropla świeżej krwi z mojej skaleczonej stopy. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że dzisiaj są mikołajki i odgadłem, że w nocy, gdy już twardo spałem, ojciec wrzucił mi ten skromny i chyba już dla mnie zbyt dziecinny, ale mimo wszystko sympatyczny prezent do buta.

VII

Tydzień temu Rzeżucha kazała nam napisać na dzisiaj rozprawkę.

Między pospieszną poranną toaletą a ekspresowym śniadaniem chwyciłem zeszyt dp polskiego i błyskawicznie zapisałem w nim kilka linijek niezbyt starannym charakterem, plamiąc stronę pastą do zębów i twarożkiem. W szkole na pierwszej przerwie przekreśliłem wszystko i nagryzmoliłem na kolanie kilka nowych chaotycznych zdań.

Zaraz potem była lekcja polskiego. Tuż po dzwonku rozpoczęło się sprawdzanie rozprawek i oczywiście ja poszedłem na pierwszy ogień.

Rzeżucha z trudem odczytała bazgroły w moim zeszycie i powiedziała jeszcze groźniej niż zwykle:

– Niedostateczny!

– Muszę powiedzieć pani coś bardzo ważnego – odezwałem się, gdy otwierała dziennik, żeby wpisać mi kolejną jedynkę.

– Tak? – jej głos brzmiał jak pomruk odległej burzy.

– Odrobiłem tę pracę przed kilkoma minutami na przerwie.

– I jeszcze tym się chwalisz?! – To nie była zwykła burza, lecz apokaliptyczna trąba powietrzna.

– Zwlekałem z zabraniem się do pisania, ile tylko się dało i marnie na tym wyszedłem. Postąpiłem w ten sposób, żeby udowodnić słuszność tematu rozprawki, który brzmi: Dlaczego nie warto zostawiać niczego na ostatnią chwilę? Czy taki przykład nie przemówi do zebranej tu młodzieży, w tym i do mnie, lepiej niż najstaranniej przemyślane argumenty? Czy nie doceni pani mojego poświęcenia?

Rzeżucha zastanawiała się długo w milczeniu, aż wreszcie pstryknęła długopisem i postawiła mi tróję z minusem.

VIII

Dopiero dzisiaj po południu, przeglądając stary „Poradnik zastępowego", odkryłem, że kodem Morse'a można zapisać nie tylko litery i cyfry, lecz także znaki interpunkcyjne. Kropka wygląda tak: kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, a myślnik, czyli kreska tak: kreska, kropka, kropka, kropka, kropka, kreska.

Z tych pozornie błahych ustaleń wynika niezbicie, że literę A, dotychczas złożoną tylko z kropki i kreski, należy zacząć zapisywać w następujący sposób: kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, a potem oczywiście kreska, kropka, kropka, kropka, kropka, kreska. Wszyscy powtarzają mi ciągle, że to ważne, by w życiu być konsekwentnym.

Przez chwilę byłem bardzo zadowolony z siebie, ale szybko zrozumiałem, że to wcale nie koniec. Przecież pierwsza kropka litery A zapisanej według nowych słusznych zasad to w kodzie Morse'a kropka, kreska, kropka, kreska, kropka kreska, a stojącą na drugim miejscu kreska to nie żadna kreska, tylko kreska, kropka, kropka, kropka, kropka, kreska i tak dalej aż do ostatniego znaku.

Krótko mówiąc, litera A to teraz: kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kreska kropka, kropka, kropka, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kreska kropka, kropka, kropka, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kreska kropka, kropka, kropka, kropka, kreska, kreska kropka, kropka, kropka, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kropka, kreska, kreska kropka, kropka, kropka, kropka, kreska.

Już noc. Jestem wyczerpany, lecz rozpiera mnie duma z mojej przenikliwości i precyzji. Za oknem na bezchmurnym niebie migocze nieskończona liczba gwiazd. Ale zaraz, przecież...

IX

Dzisiejszą biologię mieliśmy nie z naszą poczciwą Tkanką, lecz z praktykantem Romualdem Raptownym, wyraźnie stremowanym studentem V roku Uniwersytetu Warszawskiego. Dokładnie po trzech minutach lekcji praktykant poprosił mnie o dzienniczek i wpisał w nim informację, że poprzez głośnie i swobodne rozmowy dezorganizuję pracę klasy. To chyba najszybciej zarobiona uwaga w dziejach szkoły!

Doskonale rozumiem, że łatwo stracić zimną krew, gdy trzeba samotnie stawić czoła takiej menażerii jak nasza VIII a, ale przecież zerowego doświadczenia zawodowego i braku pewności siebie nie należy maskować nadmierną surowością. Przez całą lekcję siedziałem cichutko niczym zaczajony strzelec wyborowy i obmyślałem okrutną zemstę.

Pięć minut przed dzwonkiem zgłosiłem się i zadałem pytanie:

– Przepraszam, czy wie pan może, jaki jest najszybszy ssak Polski?

Praktykant pomasował sobie oburącz zmarszczone czoło, po czym odpowiedział:

– Naszym najszybszym ssakiem wodnym jest morświn zwyczajny, który pływa w Bałtyku z prędkością 22 kilometrów na godzinę. Rekord prędkości lotu wśród ssaków biją oczywiście nietoperze z wynikiem 55 kilometrów na godzinę. Natomiast najszybszym biegaczem jest zając szarak potrafiący rozwijać prędkość 77 kilometrów na godzinę.

– Myli się pan. Żabka to najszybszy polski ssak lądowy. Bez trudu przekracza prędkość 250 kilometrów na godzinę – oznajmiłem.

– Co ty bredzisz, chłopcze?! – Romuald Raptowny popatrzył na mnie jak na okaz dotknięty jakąś wyjątkowo rzadką deformacją.

– Mam na myśli Żorża Żabkę, słynnego kierowcę rajdowego – wyjaśniłem ku uciesze całej klasy.

X

Przy śniadaniu poinformowałem rodziców, że właśnie dziś zaczyna się kalendarzowa wiosna i wspomniałem, że niektórzy uczniowie korzystają z tego pretekstu, żeby urządzić sobie tak zwany dzień wagarowicza. W tej samej chwili rozpętało się piekło.

– Ja ci dam wagary! – krzyknęła matka. – Przez całą podstawówkę i przez całe liceum nie miałam żadnej nieusprawiedliwionej nieobecności! Bierz przykład ze mnie!

– Albo ze mnie! Bo zawsze miałem stuprocentową frekwencję i ani razu nie spóźniłem się na lekcję, chociaż musiałem codziennie pokonać ponad trzy kilometry w jedną stronę, w dodatku przez las i przez mokradła! – dodał ojciec, także podniesionym głosem. – Natychmiast marsz do szkoły!

Potem na siłę założyli mi buty, kurtkę i czapkę, wypchnęli mnie za drzwi, postawili na wycieraczce plecak z książkami i zamknęli się na oba zamki.

Przez kwadrans stałem pod drzwiami, pukałem, dzwoniłem i prosiłem o litość, wszystko daremnie. Poszedłem więc do parku. Najpierw bawiłem się w samotnego tropiciela pierwszych oznak wiosny, lecz nigdzie nie odkryłem nawet śladu zieleni, nie mówiąc o kwiatach. Potem poślizgałem się na wciąż zamarzniętych kałużach, pogapiłem się na wrony grzebiące w pojemnikach na śmieci i policzyłem wszystkie ławki stojące przy alejkach.

Wróciłem do domu po trzech godzinach, nieco zziębnięty i bardzo zmęczony. Ojciec z rozmachem otworzył mi drzwi, zanim chwyciłem za klamkę, a matka od razu postawiła na stole kubek gorącego kakao i powiedziała z zatroskana miną:

– Przepraszamy cię, synku! Jakoś wyleciało nam z głowy, że dzisiaj jest sobota.

XI

Dzisiaj po lekcjach wybraliśmy się z Paprochem i Świstkiem do parku, żeby ulepić ostatniego w tym roku bałwana. Pod drzewami leżało jeszcze sporo śniegu, całkiem miękkiego dzięki nieźle przygrzewającemu słońcu, więc robota szła nam gładko i już po kwadransie nasz bałwan był gotowy. Nie odznaczał się może szczególnie harmonijnymi kształtami ciała czy szlachetnymi rysami oblicza, ale za to miał ponad dwa metry wzrostu. Byliśmy spoceni, zdyszani i dumni.

Wtem rozległ się jakiś znajomy głos:

– Oto personifikacja Arytmetyki.

Za nami stała Potęga, matematyczka i wychowawczyni naszej klasy. W lewej dłoni trzymała na smyczy swojego słynnego Psikacza, a prawą wskazywała na rzeźbę wydekoltowanej kobiety z jakimś tomiszczem pod pachą trwającą w bezruchu tuż obok bałwana, znacznie nad nim górując dzięki cokołowi.

– Jej przymioty to piękno i dojrzałość. Jej atrybut to księga pełna liczb, symbol nieskończoności – ciągnęła Potęga z podejrzanie miłym uśmiechem. – Napis na jej sukni brzmi „Par et Impar", co po łacinie oznacza „Równe i Nierówne". A wasz posąg jakie ma znaczenie, chłopcy?

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Marcowe słońce schowało się nagle za ciemnymi chmurami. Zrobiło nam się zimno i nieswojo. Paproch pociągnął nosem, a Świstek starannie zapiął kurtkę pod szyją. Jednak po chwili słoneczne promienie przebiły się przez skłębioną zasłonę i zamigotały na wilgotnym czole bałwana, a mi przyszła do głowy odpowiedź:

– On symbolizuje nieuchronność przemijania, pani profesor.

XII

– Moi mili! Z okazji zbliżającej się Wielkanocy mam dla was zagadkę – oznajmiła Tkanka na początku dzisiejszej lekcji. – Co było pierwsze, jajko czy kura?

W klasie zapanowała cisza, wszyscy zastanawiali się intensywnie przez kilka długich chwil.

– Jajko było pierwsze – odezwała się wreszcie Renta. – Wykluł się z niego kurczak, który po pewnym czasie stał się dorosła kurą, a ta złożyła kolejne jajka.

– Ale skąd wzięło się to pierwsze jajko? Przecież nie spadło z nieba. I kto je wysiedział? – rzekł Apacz. – Kura musiała być pierwsza.

– To niemożliwe. Niby jakim cudem powstała ta pierwsza kura, jeśli nie wykluła się z jajka? – powiedziałem.

Znów zrobiło się tak cicho, że niemal było słychać zgrzyty kół zębatych obracających się z mozołem w naszych czaszkach. Nikt nie potrafił znaleźć sensownego rozwiązania, nie pomagało masowani skroni ani drapanie się po czubku głowy czy marszczenie czoła.

Nagle głos zabrał Walec:

– Najpierw jajko, potem kura, to przecież oczywiste, Na śniadanie miałem jajecznicę, a na dużej przerwie zjadłem kotlet drobiowy.

XIII

Dzisiaj przyjechało wesołe miasteczko. Pobiegliśmy tam zaraz po szkole bardzo podekscytowani, jednak gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że chyba już wyrośliśmy z takich atrakcji. Nic nas nie korciło, ani strzelnica sportowa, ani gabinet luster, ani tunel strachu, ani kolejka górska, ani salon gier.

Z rękami w kieszeniach stanęliśmy pod diabelskim młynem pełnym rozwrzeszczanych dzieciaków. Świstek stęknął, Paproch prychnął, a ja ziewnąłem.

Wtem za budką z watą cukrową dostrzegłem odrapaną przyczepę kempingową z kartką nad wejściem: ROBIENIE W KONIA.

– Zajrzyjmy tam – zaproponowałem.

U stojącego przed wejściem chudzielca w naszym wieku uiściliśmy opłatę za wstęp (5 złotych od osoby) i z niemałym trudem wcisnęliśmy się do przyczepy.

We wnętrzu siedział łysawy i tęgawy mężczyzna, który z mozołem zapisywał w kalendarzu szeregi wielocyfrowych liczb.

– W jakiej sprawie? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Proszę nas zrobić w konia – odparł Świstek.

– Że jak?! – oburzył się mężczyzna. – Co to za kawały?! Ja tu ciężko pracuję! Wynoście się, smarkacze!

Posłusznie wyszliśmy. Po kartce z napisem i chudzielcu oczywiście nie było śladu.

– Ale daliśmy się zrobić! – zawołałem, śmiejąc się jak szalony.

XIV

Pod koniec dzisiejszych zajęć praktyczno-technicznych Wihajster podniósł jedno z narzędzi leżących przed nim na blacie i zapytał:

– Co to jest?

– Śrubokręt, panie profesorze! – zawołał Yeti.

– W zasadzie tak – odparł Wihajster, drapiąc się końcem śrubokręta po szpakowatej skroni. -- Majster, który wynalazł to pożyteczne narzędzie, nazwał je śrubowkrętem, jednak po namyśle zmienił nazwę na śrubowykręt, a ostatecznie nadał mu miano znane do dziś. Ale czy słusznie? Przecież nie odkręcamy i nie przykręcamy przy jego pomocy śrub. Do tego służą rozmaite klucze, jak na przykład angielski, francuski czy szwedzki, co wam demonstrowałem tydzień temu. Natomiast śrubokrętem wkręcamy i wykręcamy wkręty, zatem powinniśmy używać nazwy wkrętokręt, ewentualnie wykrętokręt, ale najlepiej po prostu krętokręt. Zapiszcie sobie nowy termin w zeszytach i stosujcie go na naszych zajęciach. Ostrzegam, że uczniowie, którzy nie będą przestrzegali tej zasady, otrzymają ocenę niedostateczną.

XV

Dzisiaj na pierwszej lekcji mieliśmy chemię. Gdy tylko zajęliśmy miejsca w pracowni, Kolka, ta nieznośna kujonka z pierwszej ławki, powiedziała zdziwiona do Mizerii:

– Ojej! A gdzie jest broszka pani profesor?

Faktycznie, srebrna sowa, która, odkąd pamiętam, zdobiła codzienny i całoroczny sweterek naszej chemiczki, była nieobecna.

– Mój Boże! – krzyknęła przerażona Mizeria. – Zgubiłam ją! Musiała się odpiąć i gdzieś upaść. Bezcenna pamiątka rodzinna przekazywana z pokolenia na pokolenie od ponad stu lat i w dodatku kosztowny antyk, stare srebro wysadzane bursztynami... Pomóżcie mi ją znaleźć, proszę!

Natychmiast rozpoczęliśmy szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą. Poruszając się na czworakach czy wręcz pełzając, zbadaliśmy teren pod biurkiem, pod tablicą, pod kaloryferem, wokół kosza na śmieci, za szafą i obok drzwi. Naprawdę się postaraliśmy, bo załamana nauczycielka wzbudziła nasze szczere współczucie, chociaż raczej za nią nie przepadaliśmy. Niestety, broszki nigdzie nie było.

Mizeria lamentowała coraz głośniej i przeklinała swoją nieuwagę. Dopiero gdy jej obiecaliśmy, że dołożymy wszelkich starań, by odzyskać zgubę, że przeczeszemy metr po metrze całą szkołę i jej okolicę, że rozwiesimy na słupach i drzewach ogłoszenia z dokładnym opisem broszki i informacją o wysokiej nagrodzie za jej znalezienie i że zaangażujemy do poszukiwań obie woźne, drużynę harcerską, kółko detektywistyczne, a nawet emerytowanego psa myśliwskiego, uspokoiła się trochę. Wytarła załzawione oczy, wydmuchała nos i zaczęła zapisywać na tablicy temat dzisiejszej lekcji.

Wtedy nagle ujrzeliśmy sowę o bursztynowych oczach. Była jak zwykle przypięta do dyżurnego sweterka Mizerii, dzisiejszego poranka założonego akurat tył na przód.

XVI

Dzisiaj zakończenie roku szkolnego.

Uroczystą akademią i rozdanie świadectw zaplanowano na dziewiątą, a ja, mimo że przez pół nocy czytałem pod kołdra przy latarce „Koszmar na Wyspie Ludożerców", obudziłem się jak zwykle

grubo przed siódmą, miałem więc dużo czasu, żeby się starannie przygotować do tego szczególnego wydarzenia.

Ochlapałem twarz, umyłem zęby i uczesałem się, następnie założyłem odświętne spodnie, wzorowo wyprasowaną białą koszulę i wypastowane do idealnego połysku półbuty. Przejrzałem się w lustrze w przedpokoju, cmoknąłem z zadowolenia i wszedłem do kuchni, żeby przekąsić coś lekkiego, lecz pożywnego.

Mama stała przy blacie i kroiła chleb potężnym nożem o ząbkowanym ostrzu. Zerknęła na mnie przez ramię i powiedziała, nie przerywając pracy:

– Aby sprawdzić, czy arbuz jest świeży, należy w niego zastukać i posłuchać, czy wydaje głuchy dźwięk. O świeżości truskawek świadczy ich intensywny zapach, zwłaszcza przy szypułkach. Świeże jaja toną, a świeże drożdże unoszą się na powierzchni wody. Główki świeżych szparagów są zamknięte, a oczy świeżych ryb błyszczą. Świeża wołowina ma jednorodną czerwoną lub bordową barwę, natomiast świeża wieprzowina jest jasnoróżowa. A czy wiesz, jak zbadać świeżość ludziny?

– Nie – odparłem nieco drżącym głosem.

– Powiem ci na ucho.

Podeszła do mnie powoli, wciąż trzymając zębate nożysko, zbliżyła usta do mojej skroni i wyszeptała:

- Niezbyt świeży nastolatek ma brzydki nalot w zakamarkach małżowin. Natychmiast marsz pod prysznic!

Grzegorz Janusz (scenariusz), Tomasz Niewiadomski (rysunki), ***Pora sucha***

KTO JEST DZISIAJ DYŻURNYM?!
FANTASTAŚ, PROSZĘ PANI!
KTO?
STANISŁAW BYBYK.
CO SIĘ Z TOBĄ DZIEJE, CHŁOPCZE? ŚPISZ NA LEKCJI?!
NIE, JA TYLKO... ZASTANAWIAŁEM SIĘ.
ON TAK ZAWSZE, PROSZĘ PANI!
ŚNI NA JAWIE O PODRÓŻACH!
DO OBU AMERYK, DO AFRYKI I DO AUSTRALII!
I NA ATLANTYDĘ!
ALBO W KOSMOS!
A NAWET DO INNYCH EPOK HISTORYCZNYCH!

PROSZĘ NATYCHMIAST ZMOCZYĆ GĄBKI I PORZĄDNIE WYTRZEĆ TABLICĘ.
I POSPIESZ SIĘ, CHŁOPCZE! BEZ ZADNYCH SKOKÓW W BOK NA INNE PLANETY I KONTYNENTY! DOBRZE CI RADZĘ.
PO GRZBIECIE PRZEBIEGŁ MI LODOWATY DRESZCZ.
MĘSKI
ZAMKNIĘTE?! TO NIEMOŻLIWE!
I CO TERAZ?
AWARIA

NIE BYŁO SZANS NA CHOĆBY MZAWKĘ.
NIESTETY, NIE ZNAŁEM PRZYWOŁUJĄCYCH DESZCZ MODLITW PLEMIENIA PSTRYCH PIÓR.
ZATEM MUSIAŁEM UDAĆ SIĘ DO MIEJSCA NIETKNIĘTEGO STOPĄ ŻADNEGO Z MYCH POBRATYMCÓW.
BAŁEM SIĘ JAK DIABLI, ALE NIE BYŁO INNEGO WYJŚCIA.
DAMSKI
DAMSKI
WTEDY DOPADŁA MNIE CZYŚCIOCHA.
CO TY WYCZYNIASZ?! OSZALAŁEŚ?!
ALE KRAJZEGA... TO ZNACZY PANI KRAJEWSKA KAZAŁA MI ZMOCZYĆ...
ZMIATAJ STĄD, BO ZAPROWADZĘ CIĘ DO DYREKTORA!

WOLAŁEM NIE MIEĆ DO CZYNIENIA Z DESPOTYCZNYM I SADYSTYCZNYM NESESEREM.
MIJAŁY KOLEJNE CENNE SEKUNDY. KRAJZEGA NA PEWNO STRACIŁA JUŻ CIERPLIWOŚĆ. NIE WIEDZIAŁEM CO ROBIĆ...
HYDRANT PRZECIWPOŻAROWY BYŁ ZAMKNIĘTY NA KŁÓDKĘ, ODKĄD GANG GIGANTOPITEKA URZĄDZIŁ NA DUŻEJ PRZERWIE ZABAWĘ W TŁUMIENIE ZAMIESZEK...
PRACOWNIA BIOLOGICZNA
AKWARIUM!
POWIEM NIBYNÓŻCE, ŻE JAKO DYŻURNY MAM OBOWIĄZEK NAKARMIĆ RYBKI I UKRADKIEM ZMOCZĘ GĄBKI.
PRACOWNIA BIOLOGICZNA
DZIEŃ DOBRY. JAKO DYŻURNY MAM OBOWIĄZEK...
SSSSS!
TO KONIEC!

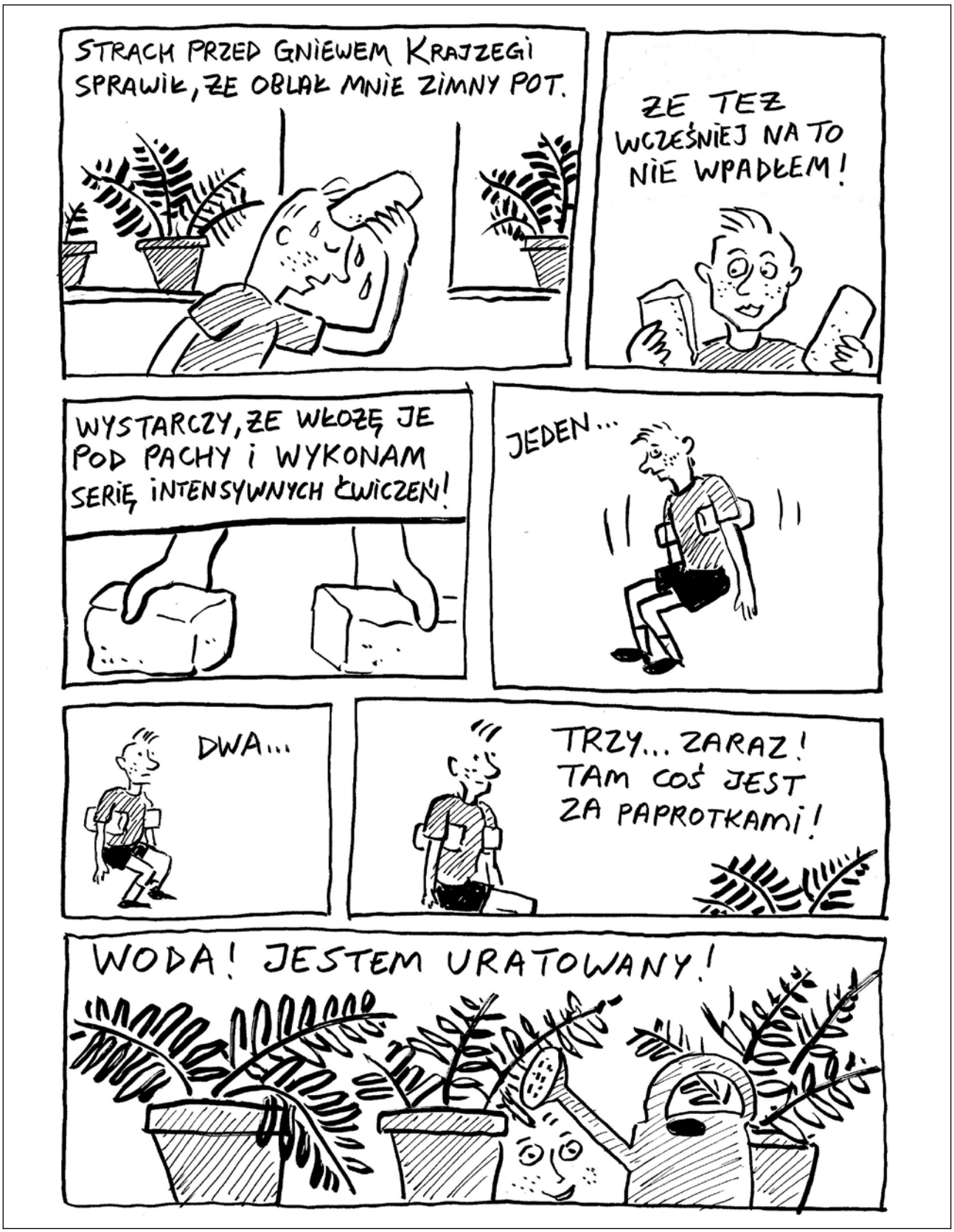
STRACH PRZED GNIEWEM KRAJZEGI SPRAWIŁ, ŻE OBLAŁ MNIE ZIMNY POT.
ŻE TEŻ WCZEŚNIEJ NA TO NIE WPADŁEM!
WYSTARCZY, ŻE WŁOŻĘ JE POD PACHY I WYKONAM SERIĘ INTENSYWNYCH ĆWICZEŃ!
JEDEN...
DWA...
TRZY... ZARAZ! TAM COŚ JEST ZA PAPROTKAMI!
WODA! JESTEM URATOWANY!

Stanisław Klimek

Żaba, dasz radę

Rozmowa o pracę

Koszmar – tak właśnie opisałby Tomasz Żabny ostatnie dwa tygodnie. Zaczęło się jak w thrillerach, od mocnego uderzenia, a później było jeszcze gorzej. Ukochany kot Filemon zupełnie nieoczekiwanie postanowił sprawdzić swoje umiejętności ekwilibrystyczne, do czego posłużyła mu balkonowa poręcz. Niestety akrobatą nie był. Gdyby Tomasz mieszkał niżej, nic by się nie stało, jednak dziesiąte piętro zmieniało perspektywę. Płacz córki Aldony i jej oskarżycielski wzrok oraz ciągłe docinki żony Eryki wytrąciły go z bezpiecznych torów życiowych. Stał się nerwowy i niewyspany, i chyba to drugie spowodowało, że w pracy zawalił dwa projekty.

– Panie Tomaszu, panu już dziękujemy – powiedział mu na odchodne jego szef, Stanisław Bóbr.

I tak oto, wylądował na dietetycznym garnuszku Państwa. Teraz zaś stał w sekretariacie firmy Magik i musiał udawać, że będzie wypruwał sobie żyły, by zaspokoić oczekiwania potencjalnego pracodawcy.

– Pan Tomasz Żabny? – Sekretarka patrzyła na mężczyznę około czterdziestoletniego i uśmiechała się do niego zachęcająco. – Pan w sprawie pracy?

– Dzień dobry. – Tomasz otrząsnął się z niewesołych myśli i delikatnie się uśmiechnął. – Tak, o trzynastej jestem umówiony na spotkanie.

– Proszę usiąść. – Zachęciła sekretarka, by zajął miejsce na jednym z czerwonych krzeseł. Na drugim siedział inny nieszczęśnik.

– Dziękuję – odpowiedział i usadowił się obok niepozornego faceta.

– Na rozmowę o pracę? – Ten szepnął mu niemal do ucha. – Mietek jestem – dodał konspiracyjnie.

– Tomasz.

– Wiem – zachichotał nieznajomy. – Sekretarka mówiła – dodał i wydawało się, że rozmowa go mocno bawi.

– Też na rozmowę? – Tomasz uważnie zlustrował potencjalnego konkurenta, ten zaś uśmiechał się beztrosko.

– Oczywiście, że tak. Bardzo lubię rozmawiać, podobno towarzyski jestem. A w mieszkaniu hoduję żółwia morskiego i on często wchodzi pod szafę.

– Nie rozumiem?

– Pod szafę wchodzi, jak się go wypuści z terrarium. Chyba że cię to nie interesuje?

– Trochę się stresuję. – Tomasz delikatnie zmienił temat. – Zależy mi.

– Wiem coś na ten temat. Często ludzi się nie docenia, gani, kiedy na to nie zasługują, zleca zadania ponad siły, a przecież jest się tylko człowiekiem. Ile razy zostałem niesłusznie oskarżony, to tylko ja wiem. Nawet ty...

– Panie Tomaszu, może pan wejść. – Sekretarka przerwała ich rozmowę.

– Dziękuję. – Poderwał się z krzesła, a wraz z nim wstał Mietek.

– Powodzenia – wyciągnął do niego chudą rękę.

Tomasz bez zastanowienia ją uścisnął i syknął z bólu. Z jego dłoni zaczęła sączyć się krew, a Mietek jak gdyby nigdy nic uśmiechał się od ucha do ucha.

– Złośliwy Miecio – syknął, powstrzymując się od wrzasku.

– A Żaba zawsze nabierze się na numer z kolcem – zachichotał zadowolony. – Masz chusteczkę. – Wyciągnął do niego pełną paczkę.

– Wolę swoją – odpowiedział, wściekły na siebie, że nie poznał dawnego kolegi.

– Panie Tomaszu, czekają na pana.

– Tak, już idę. – Rzucił jeszcze wściekłe spojrzenie na niewinnie uśmiechającego się Mietka i ruszył na spotkanie.

Otworzył drzwi i niemal wrósł w ziemię. Czy to było w ogóle możliwe? Zszokowany patrzył na mężczyznę siedzącego przy biurku i dałby sobie głowę uciąć, że to jest młodszy z braci Męckich. A na kanapie siedział starszy Męcki. Nie mogło być mowy o pomyłce!

– Dzień dobry, panie Tomaszu – odezwał się młodszy z braci. – Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazał głową na niewielkie krzesło bez oparcia, niemal jak dla dzieci z podstawówki.

– Dziękuję. – Usadowił się na zbyt małym siedzisku i patrzył na dawnych kolegów. Poznali go?

– Pan Tomasz Żabny – przeczytał młodszy Męcki. – Pracował w firmie Mocnik.

– Nocnik? – spytał starszy z braci.

– Zdecydowanie Mocnik. Zgadza się, panie Żabny?

– Zgadza się. – Tomasz patrzył na braci, którzy wydawali się go nie pamiętać.

– A więc Żaba...

– Żabny – poprawił starszy Męcki.

– A więc Żabny, chciałbyś pracować w naszej firmie?

– Tak.

– I księgować kreatywnie?

– Bardzo kreatywnie – dodał starszy.

– Szukam pracy w księgowości. – Tomasz starał się cokolwiek wyczytać z twarzy rozmówców, niestety ci mieli je jakby wykute w kamieniu.

– A więc, Żaba, chcesz dla nas pracować.

– Żabny – ponownie poprawił starszy Męcki.

– Ale to jest Żaba.

– To jest Żaba – zgodził się starszy z braci. – Nasz Żaba, a jak Żaba, to umie skakać.

– Kiedyś dużo skakał.

– Za dużo. Był przez to kłopotliwy.

– I upierdliwy.

– Oraz przemądrzały, ale teraz nie jest.

– Z pewnością nie jest. Dorósł. Dorosłeś Żaba? – Młodszy z braci mrugnął porozumiewawczo do dawnego kolegi ze szkoły.

– Dorosłem – potwierdził coraz bardziej zdenerwowany Tomasz.

– Dorosłeś i nieco osiwiałeś – zarechotał starszy Męcki.

– Ubrany w garnitur wygląda jak nie Żaba, ale to wciąż on. Czy możemy mu wierzyć? – Młodszy Męcki zaczął bazgrać długopisem po kartce.

– Jemu nigdy nie można było wierzyć. Bo on jest śliski.

– Bardzo śliski. Bo Żaby są śliskie.

– A on jest Żabą i zawsze nią będzie.

– Może spokorniał?

– Spokorniałeś Żaba? – spytał starszy Męcki.

– Spokorniałem – potwierdził Tomasz, mimo że w środku cały się gotował.

– Może tak jest. Pokaż rękę.

Tomasz jak dziecko wyciągnął zranioną dłoń w kierunku młodszego z braci.

– Nie krzyczał, jak się witał z Mieczysławem.

– Był cicho – zgodził się młodszy Męcki.

– Zbyt cicho. A może w środku się gotuje? I jest wściekły?

– Jesteś wściekły, Żaba? – Młodszy Męcki z zadowoleniem ocenił własnoręcznie naszkicowaną żabę.

– Nie, nie jestem wściekły.

– Zaciskał zęby, jak to mówił. On kłamie.

– On zawsze kłamie. I sprawia kłopoty.

– Ale jest też zabawny i pracowity.

– Bardzo pracowity, Żaba będzie pracował za dwóch. – Starszy Męcki uśmiechnął się zadowolony.

– Albo trzech nawet, tylko wtedy innych będziemy musieli zwolnić.

– A to wszystko będzie przez Żabę. Żaba nam zepsuje atmosferę w firmie.

– Bo Żaba jest jak zgniłe jabłko. – Młodszy z braci wykrzywił się zdegustowany.

– Zgniłe w środku, a na wierzchu nie widać.

– Na wierzchu jest słodziutki i milutki.

– Taki uczynny i wspaniały. Super pracownik i super tata.

– I super mama, jak przyjdzie potrzeba.

– Bo powinien nazywać się Supermen.

– Ale jeden już jest.

– I nie może być drugi, tak więc Żaba nie jest supermanem.

– Trochę mu brakuje. – Młodszy z braci wstał od biurka i zaczął krążyć wokół Tomasza.

– Więcej niż trochę. On tylko skacze, nie umie latać.

– Skacze też słabo.

– Możecie przestać?!

Zapadła cisza. Bracie Męccy spojrzeli po sobie i się uśmiechnęli. Wszystko szło zgodnie z planem, a zabawa była nawet lepsza niż w szkole.

– Żaba dał głos.

– Żaba nie tylko rechocze.

– To wspaniała rzecz, gadająca Żaba. – Starszy z braci zdjął okulary i zaczął się nimi bawić.

– A nam w firmie brakuje gadającej Żaby.

– Trzeba go zatrudnić. Niech go uczy Konstanty Kocemba.

– Kocio? – spytał Tomasz, ale wyglądało na to, że bracia niespecjalnie zwracają na niego uwagę.

– Tak, on będzie odpowiedni. Żaba będzie się go słuchał.

– I szanował. Każdy szanuje Kocia.

– A może lepszy będzie Ciesielski? – zaproponował młodszy z braci.

– Nie, Ciesielski nie umie gadać z Żabą.

– Jak się postara, to dogada się z Żabą.

– Ale Żaba jest trudna i upierdliwa.

– Kocio da radę. On z każdym sobie poradzi. Jest bardzo elokwentny.

– Jesteś przyjęty. – Niespodziewanie młodszy z braci podjął decyzję i uśmiechnął się zadowolony.

– Dziękuję. – Tomasz odwzajemnił uśmiech. Tylko że się nie cieszył. Był przerażony i czuł się jak pierwszego dnia w szkole.

– Przyjdzie Żaba jutro i zgłoś się do Kocia.

– Tak, do Kocia, chyba go pozna?

– Nie pozna. Kocio teraz jest łysy.

– Wyłysiał Kocio i nieco się przygarbił.

– Tak się tylko wydaje. Nie przygarbił się, tylko chodzi ze spuszczoną głową.

– A jak ma spuszczoną głowę, to nie będzie pilnował Żaby.

– A Żabę trzeba pilnować. Ciesielski go upilnuje.

– Wciąż nie nosi okularów. Ma bystry wzrok. – Z tonu głosu Starszego Męckiego można było wyczytać, że zazdrości koledze.

– I refleks. Wszyscy go też słuchają.

– Żaba się zgłosi do Ciesielskiego.

– Jutro się zgłosi.

– O siódmej rano.

– Do zobaczenia, Żaba.

– Do zobaczenia – bąknął Tomasz.

– Żaba spływa – starszy Męcki machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

Tomasz zamknął za sobą drzwi i usłyszał salwę śmiechu. To bracia Męccy dali upust swojej radości.

Pierwszy dzień w pracy

Tomasz kilka minut przed siódmą stawił się przed firmą Magik, a obok niego niespodziewanie pojawił się Złośliwy Miecio.

– Cześć, fajnie, że cię przyjęli. – Miecio wyciągnął do niego rękę, Tomasz jednak wydawał się jej nie zauważać.

– Cześć.

– Wiesz, też tutaj pracuję i mogę ci trochę pomóc? – Miecio uśmiechnął się do niego przyjacielsko.

– I przepiłujesz nogę od krzesła albo wrzucisz do wody jakiś środek na przeczyszczenie? Chyba że twój repertuar się rozszerzył?

– Coś nie w sosie kolega, a ja chciałem pomóc. Mogę cię zaprowadzić do twojego biurka.

– I wyląduję zamknięty w piwnicy, a później będę się tłumaczył ze spóźnienia?

– No co ty! – obruszył się Mietek. – Ja robię tylko niewinne dowcipy, no i chcę z tobą pracować. To jak, sztama?

– Sztama. – Tomek machinalnie uścisnął dłoń Miecia i pożałował swojej lekkomyślności.

– Wciąż tak samo głupi – zachichotał Mietek. – Chyba mój kolec nazwę: Tomek.

– Co jest Mietek? – Przed drzwiami pojawił się łysy facet z wyraźnym brzuszkiem. – Robisz kawały?

– Nie. – Na głowie Miecia wylądowała duża dłoń Konstantego Kocęby.

– Spływaj Mietek, a ty... – Kociemba spojrzał uważnie na Tomasza. – Żaba, chodź ze mną.

– Cześć Kocio.

Konstanty ruszył przodem, a Tomasz stwierdził, że on faktycznie zaczął się garbić. Stanął przed windą i wciąż się do niego nie odzywał. W końcu drzwi się otworzyły, wszedł do niej i nacisnął przycisk z numerem pięć.

– Nie będziesz miał łatwo, Żaba – odezwał się Kocio, gdy tylko drzwi windy się zatrzasnęły. – Męccy chcą mieć zabawę i mają nadzieję, że ją im dostarczysz.

– Ale przecież jesteśmy już dorośli.

– Dorośli, niedorośli wszystko jedno. – Wzruszył ramionami. – Męccy podupadli moralnie, a Mietek jest ich głównym doradcą.

– Doradcą?

– Cóż... – Wydawało się, że Kocio jeszcze bardziej się przygarbił. – Powiedzmy, że Mietek sprawdza wytrzymałość pracowników, szczególnie tych nowych. No i ich nagrywa, wiesz, w różnych kompromitujących sytuacjach. Uważaj więc.

– A inspekcja pracy?

– Nie rozśmieszaj mnie, Żaba. Powiesz, że ktoś przepiłował ci nogę w krześle albo że zostałeś pokłuty przez kolec schowany w ręce? Myślisz, że ktokolwiek uwierzy? – Wywód Kocia został przerwany przez otwierającą się windę. – A teraz chodź, zaprowadzę cię do Ciesielskiego.

– Tomasz Żabny we własnej osobie. – Ciesielski, widząc wchodzącego do gabinetu dawnego kolegę szkolnego, wstał sprzed biurka. – Nasza Żaba w końcu z nami. Żaba, Żabusia, jak dobrze cię widzieć. – Chwycił Tomasza za ramiona i uściskał go mocno. – To jesteś naprawdę ty! Żaba we własnej osobie.

– Cześć Michał. – Tomasz delikatnie oswobodził się z uścisku przyjaciela. – Podobno masz mnie wdrażać w pracę.

– Wdrażać w pracę i owszem. Zajmijmy się szkoleniem BHP. Tak więc wiesz, że niczego nie wpycha się do gniazdek i takie tam?

– Taak.

– Jedyne co powinieneś wiedzieć, to że pracuje z nami Mietek. Rozumiesz, o czym mówię?

– Że on jest największym zagrożeniem?

– W rzeczy samej, Żaba, w rzeczy samej. Wciąż pamiętam, że byliśmy dobrymi kumplami. Moi bracia bardzo cię lubili i ja też, ale nie zawsze tak było. Byłeś taki kolorowy.

– Kolorowy?

– Taki, że tak powiem, żywy byłeś, Żaba. Wprowadzałeś interesującą atmosferę i tyle się działo. – Ciesielski nieco się skrzywił. – Brakowało mi cię, Żaba. Wciąż pamiętam dorysowane brzuchy.

– Ale to był Miecio...

– Miecio, czy też nie on. Żaba, ty z nim trzymałeś i my się ciebie baliśmy.

– To ja się was bałem.

– Żaba, ja byłem obarczony, a ty wolny jak ptak. Czy wiesz, jakie nosiłem na sobie brzemię? – Tomasz coraz bardziej zdziwiony patrzył na Ciesia. – Brzemię nazwiska. Oczekiwano ode mnie niemożliwego i nie było mi łatwo. Był Miecio, Obara i Wyrzek. On chyba był najgorszy, wrzód na ciele zdrowej młodzieży. I nagle pojawiłeś się ty, niby przyjacielski, ale bardziej niebezpieczny od tych trzech.

– Ja to nieco inaczej pamiętam – delikatnie zaoponował Tomasz.

– W sumie nieważne. – Wydawało się, że Ciesielski się wyłączył. – To było tak dawno temu, a teraz, cholera, siedzę w cyferkach i liczę. Pomyślałbyś Żaba, że będę głównym księgowym?

– Nie pomyślałbym. – Niefrasobliwie zgodził się Tomasz.

– Bo uważałeś mnie za durnia, który tylko mecze ogląda? – Ciesio zlustrował dawnego kolegę.

– Nie, po prostu byliśmy tacy młodzi.

– Słuszna uwaga, teraz to nie ma znaczenia – zreflektował się Ciesielski. – Tak więc Żaba, będę twoim szefem oraz przewodnikiem i tym razem żadne wygłupy nie wchodzą w grę. Nie skaczemy, zrozumiano?

– Będę wykonywał polecenia. – Tomasz wyrecytował kwestię i poczuł się nieco niezręcznie.

– I to jest właściwe podejście. – Ucieszył się Ciesio. – I wierz mi, że nie zamierzam podważać twojej deklaracji. Co więcej, przyjmuję ją za pewnik. Jesteś w końcu innym człowiekiem, prawda?

– Jestem odpowiedzialny – zapewnił Tomasz. Tylko czy szczerze?

– Pogadaliśmy Żaba, teraz czas na wdrożenie do pracy. Widziałem twoje CV i jestem pod wrażeniem. Wydaje się, że jesteś jednym z lepszych księgowych w Polsce, a jednak...

– Co jednak? – wyrwało się Tomaszowi.

– Jednak tułałeś się po podrzędnych firmach, jakbyś był wadliwy. Czy coś jest z tobą nie tak?

– Tylko trzy razy zmieniałem pracę i zawsze na lepiej płatną.

– Trzy razy powiadasz? A ten będzie czwarty, zgadza się?

– Tak.

– Z innej strony znałem cię, Żaba. Kiedyś podejmowałeś wielkie wyzwania, a teraz...

– Każda zmiana, to było nowe wyzwanie – wtrącił się Tomasz.

– Małe te wyzwania, Żaba, malutkie, a to znaczy, że nie umiesz już skakać. I taki Żaba jest nam potrzebny. Nieskaczący i posłuszny. Rozsądny, skrupulatny i pracowity. Chociaż wolałbym wielkiego Żabę.

– Dam z siebie wszystko.

– I bardzo dobrze! – Ciesielski klasnął w dłonie. – Tak więc będziesz rozliczał duże firmy, naprawdę duże. Zrobisz papiery i będziesz biegłym rewidentem, bo takiego nam potrzeba, oddanego, skrupulatnego i z charyzmą, a kto jak nie ty, może to nam zagwarantować? Zainwestujemy w ciebie, przekonam Męckich i będziesz naszą gwiazdą. Jesteś gotowy być gwiazdą? – Ciesio tylko rzucił okiem na Tomka i kontynuował przemowę. – Jesteś, to widać po twojej postawie; wysoko podniesiona głowa i zadarty nos. Nie przeszkodzi nam nawet Mieczysław. A właśnie, nabrałeś się na numer z kolcem?

– Niestety.

– Nawet to nam, Żaba, nie przeszkodzi. Kiedyś przyjdzie taki dzień, że to Miecio natknie się na kolec schowany w naszej dłoni. I wtedy jego mina wynagrodzi nam wszystkie wyrządzone przez niego krzywdy. A później posadzimy go na krześle z przepiłowanymi nogami. To będzie jego koniec. Umiesz, to sobie wyobrazić, Żaba?

– Nie, raczej nie.

– A ja to wszystko mam przed oczami. – Na twarzy Ciesia pojawił się błogi uśmiech. – Teraz jednak skupimy się na twoim rozwoju. To będzie petarda firmy: Magik. Chodź, jedziemy do twojego największego klienta.

– Teraz?

– Nie ma co zwlekać, Żaba. Czas to pieniądz, a my siedziby w cyferkach.

Spotkanie z nieznanym znanym

Tomasz Żabny wraz z Michałem Ciesielskim jechali czarnym Lincolnem, a z odtwarzacza dobiegała latynoska muzyka.

– Niezłe cacko, co?

– Tak, niezłe – potwierdził Tomasz.

– Skórzane fotele, klima dwustrefowa i nawet barek. To w ramach oszczędności.

– Nie bardzo rozumiem, jak to w ramach oszczędności?

– Żaba, to jest limuzyna, zgadza się?

– No tak.

– A na szkoleniach zawsze jest wóda. Wiem, nie powinno być, ale taka jest rzeczywistość. Tak więc pracownicy jadą naszym wozem we dwójkę, idą na szkolenie, a później wracają do Lincolna, chleją i śpią w nim. Niezłe, co? – zarechotał Ciesio. – I jeszcze ta muza, prawie jakby było się na karnawale w Rio. Mówię ci, Żaba, jak pojedziesz na pierwsze szkolenie, będziesz przeszczęśliwy. Unikaj wyjazdu z Mietkiem, zresztą, chyba dobrze o tym wiesz.

– A co to za klient? – Tomasz zmienił temat.

– Jaki klient? – Ciesio nie umiał uchwycić wątku.

– Jedziemy do klienta, prawda?

– A ten. – Ciesio zatrąbił na kobietę, próbującą wejść na pasy. – Życie ci niemiłe!? – wrzasnął do niej, pomachał pięścią i jakby nic się nie stało, wrócił do rozmowy. – Wymagający jest. Ma, że tak powiem, pewne problemy z regulowaniem zobowiązań, ale ma kilkanaście spółek, także wiesz Żaba, co robić?

– Coś sugerujesz? – Tomasz spojrzał uważnie na kolegę.

– Żaba, oni potrzebują kasy, jak nie z banku to od ludzi.

– Obligacje?

– Dobrze kombinujesz, Żaba. Oczywiście, że obligacje. Nieco zakrzywisz krajobraz i pagórek okaże się poważną górą, a płaskowyż pasmem górskim. Jedna spółka kupi nieruchomości, inna sprzeda, pohandlujesz między nimi i parę z nich będzie wyglądało jak perełki. A później kolejne transakcje i... Kumasz, Żaba?

– Ale, to jest...

– Żaba, każdy tak robi. Do banku nie pójdą, bo ci od razu się pokapują, ale wyemitują obligacje i ludzie się na nie rzucą, bo spółki z dużymi perspektywami, a oprocentowanie wysokie. Zresztą, co mam tłumaczyć, doskonale wiesz, o czym mowa.

– To przecież jest przestępstwo!

– Nie pękaj, Żaba. Nieraz to robiliśmy i nic się nie działo. Zresztą jesteśmy na miejscu. Wysiadka.

Ciesielski wyłączył silnik i wyszedł z limuzyny. W jego ślady poszedł Tomasz.

– W restauracji się spotykamy?

– A gdzie byś niby chciał? Temida do tego najlepsza. Byle podsłuchu nie było, co nie? –Ciesielski mrugnął lewym okiem.

– Ja na to nie pójdę.

– Pogadasz tylko, może nie jest z nimi tak źle. Co się przejmujesz? Wiesz, czasami przesadzam, tak więc nie pękaj.

– Ale tak nie wolno.

– Żaba! – Ciesio popatrzył groźnie na kolegę. – Masz czterdziestkę na karku. Gdzie ty znajdziesz robotę?

– Ty mi grozisz? – Tomasz był coraz bardziej przerażony sytuacją.

– Odbiło ci Żaba, ja tylko proszę, żebyś ze mną wszedł do Temidy. Masz moje słowo, że jak stwierdzisz, że jest zbyt duże ryzyko, to klienta weźmie kto inny.

– Czyli kto?

– Boże, jaki ty jesteś dociekliwy. Kocio weźmie, zadowolony? A teraz wchodzimy.

Ciesielski delikatnie popchnął Tomasza, a ten machinalnie ruszył. Po cholerę zgodził się na rozmowę o pracę w firmie Magik, nawet jej nie znał i nawet...

– Czekaj, ja do was nie wysyłałem CV!

– Co mówisz, Żaba?

– Dlaczego zaprosiliście mnie na rozmowę o pracę, jak nie wysłałem podania?

– Żaba, a co ty taki dociekliwy? – westchnął Ciesio. – Jak wrócimy, to spytasz się Męckich. A teraz z łaski swojej nie świruj i wchodź do środka!

Tomasz wszedł do restauracji, gdzie niemal w każdym kącie znajdowały się baloniki, a na ścianie naprzeciwko wisiała wielka cyfra czterdzieści.

– Niespodzianka! – Rozszedł się wrzask po sali.

A tam byli wszyscy: żona Eryka, jego szef z firmy Mocnik wraz ze współpracownikami oraz dawni koledzy ze szkoły podstawowej pod patronatem Narcyzy Żmichowskiej.

– Co tu się dzieje? – bąknął zaskoczony Tomasz.

– Nic, kotku. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. – Eryka pocałowała w usta zaskoczonego Tomasza. – Przy okazji zorganizowaliśmy też spotkanie z twoimi dawnymi kolegami. Tyle o nich opowiadałeś.

– A dlaczego oni wszyscy pracują w Magiku?

– Nie ma Magika. To taki żarcik. Szef cię nie zwolnił, tylko wysłał na dłuższy urlop, żebyś nieco odpoczął.

– Ale ja nie odpoczątem! – obruszył się Tomasz. – Musiałem szukać pracy, byłem w urzędzie i tam mnie zarejestrowano, jako bezrobotnego. Właśnie! Przecież jestem na bezrobociu!

– To Suplicjusz cię tam obsługiwał.

– O czym ty mówisz?

– Że bardzo skrupulatnie przygotowałam twoje czterdzieste urodziny. – Uśmiechnęła się Eryka.

– A Filemon, on żyje?

– Niestety nie. – Eryka nieco posmutniała. – A teraz się baw, w końcu to twoje święto.

Stanęła obok męża, a przed nim pojawiła się kolejka ludzi, by złożyć mu życzenia.

– Stary, kopę lat – uścisnął go misiowaty facet i wręczył butelkę whisky.

– Obara?

– A jakże – zaśmiał się basowym głosem.

– Wszystkiego najlepszego, Żaba – wyciągnął rękę młodszy z braci Męckich. – Fajnie było się znowu z tobą pobawić.

– A was widzieć, chyba – odpowiedział Tomasz, a bracia Męccy zachichotali.

– Najlepsze życzenia, Tomku i szybko do nas wracaj. – Stanisław Bóbr mocno uścisnął rękę pracownika. – Przy okazji, przepraszam za to całe zamieszanie, ale nie mogłem odmówić.

– Mojej żonie?

– To przecież nie jest ważne – zmieszał się Stanisław. – Idę już, bo inni czekają.

Tomasz przyjmował kolejne życzenia, ciesząc się, że życie wróciło na właściwe tory. Widząc Mietka, postanowił, że mimo wszystko uściśnie mu dłoń.

– Wszystkiego najlepszego – Złośliwy Miecio wyciągnął rękę, a Tomasz ją uścisnął. – Dzisiaj dla ciebie nie miałem schowanego w ręce kolca. To taki prezent urodzinowy. No i to też. – Mietek wręczył starannie zapakowany niewielki kwadratowy pakunek.

– Dzięki Miecio. – Tomasz przyjął prezent i przekazał go żonie, która położyła go obok innych darów, znajdujących się przy ścianie pod cyfrą czterdzieści.

– Nie chcesz go teraz otworzyć?

– Otworzę go w domu – odpowiedział Tomasz.

– A pamiętasz, jak dorysowaliśmy brzuchy harcerzom? Teraz tak wygląda Kocio – zarechotał Miecio.

Po Mieciu przyszła kolej na: Kocia, Wyrzka, Beatę i Julię, a Tomasz oceniał ich teraźniejszy wygląd i musiał przyznać, że nie zmienili się aż tak wiele. Był wzruszony, że tylu ludzi przyszło na urodziny i że wszyscy go pamiętali. W końcu życzenia się skończyły i mógł usiąść przy jednym ze stolików. Gdy tylko to zrobił, krzesło się rozpadło, a on wylądował na podłodze.

– Wszystkiego najlepszego, Żaba – krzyknął Miecio, tuż przed tym, jak na jego głowie wylądowała dłoń Kocia. – Przecież nic nie robiłem! – obruszył się, ale kto by mu wierzył.

Złośliwy Miecio żałował tylko jednego, że nie będzie widział miny Tomka, gdy ten otworzy prezent.

Adam Święcki, ***Wielkie wtajemniczenie***

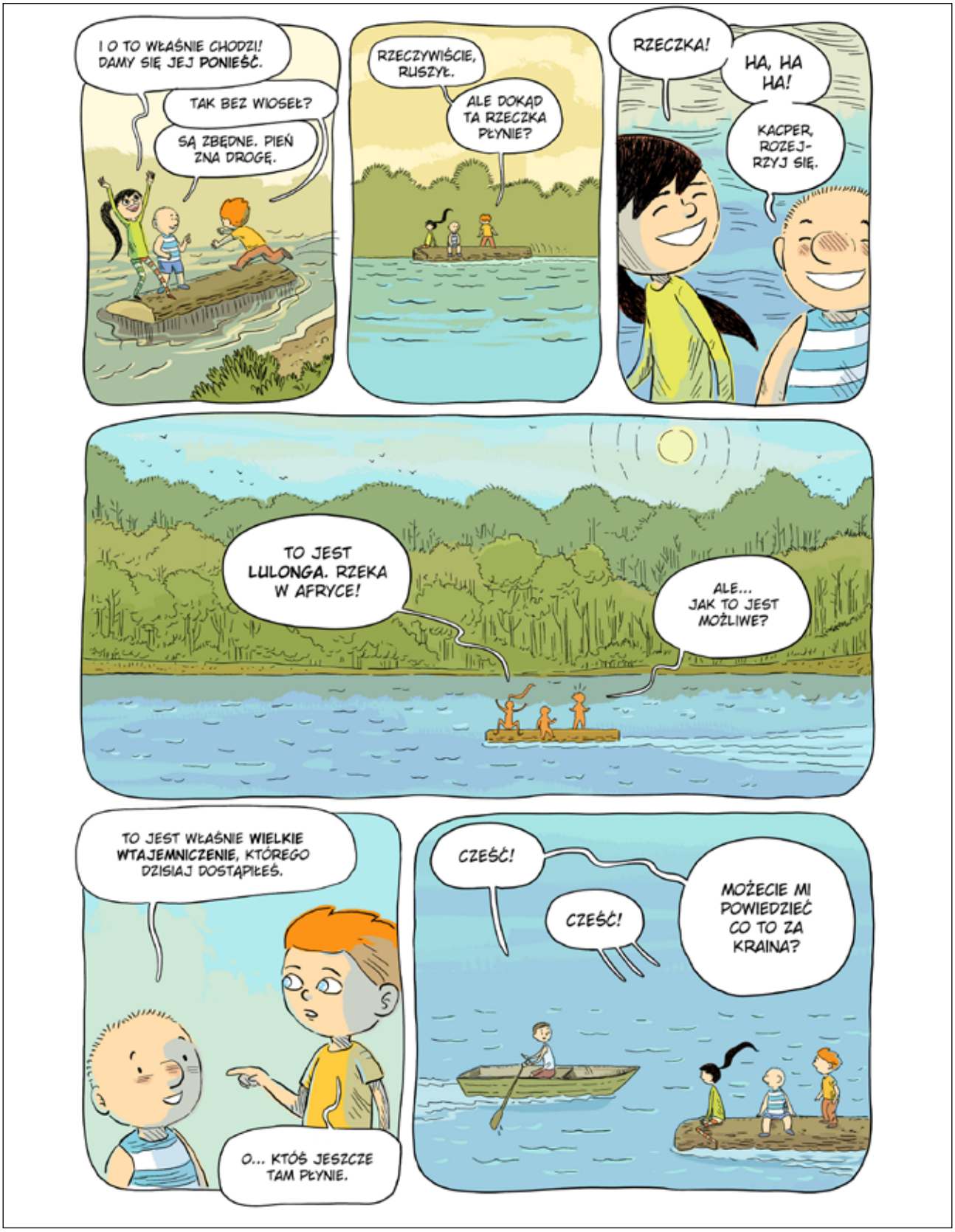
I O TO WŁAŚNIE CHODZI! DAMY SIĘ JEJ PONIEŚĆ.
TAK BEZ WIOSEŁ?
SĄ ZBĘDNE. PIEŃ ZNA DROGĘ.
RZECZYWIŚCIE, RUSZYŁ.
ALE DOKĄD TA RZECZKA PŁYNIE?
RZECZKA!
HA, HA HA!
KACPER, ROZEJRZYJ SIĘ.
TO JEST LULONGA. RZEKA W AFRYCE!
ALE... JAK TO JEST MOŻLIWE?
TO JEST WŁAŚNIE WIELKIE WTAJEMNICZENIE, KTÓREGO DZISIAJ DOSTĄPIŁEŚ.
O... KTÓŚ JESZCZE TAM PŁYNIE.
CZEŚĆ!
CZEŚĆ!
MOŻECIE MI POWIEDZIEĆ CO TO ZA KRAINA?

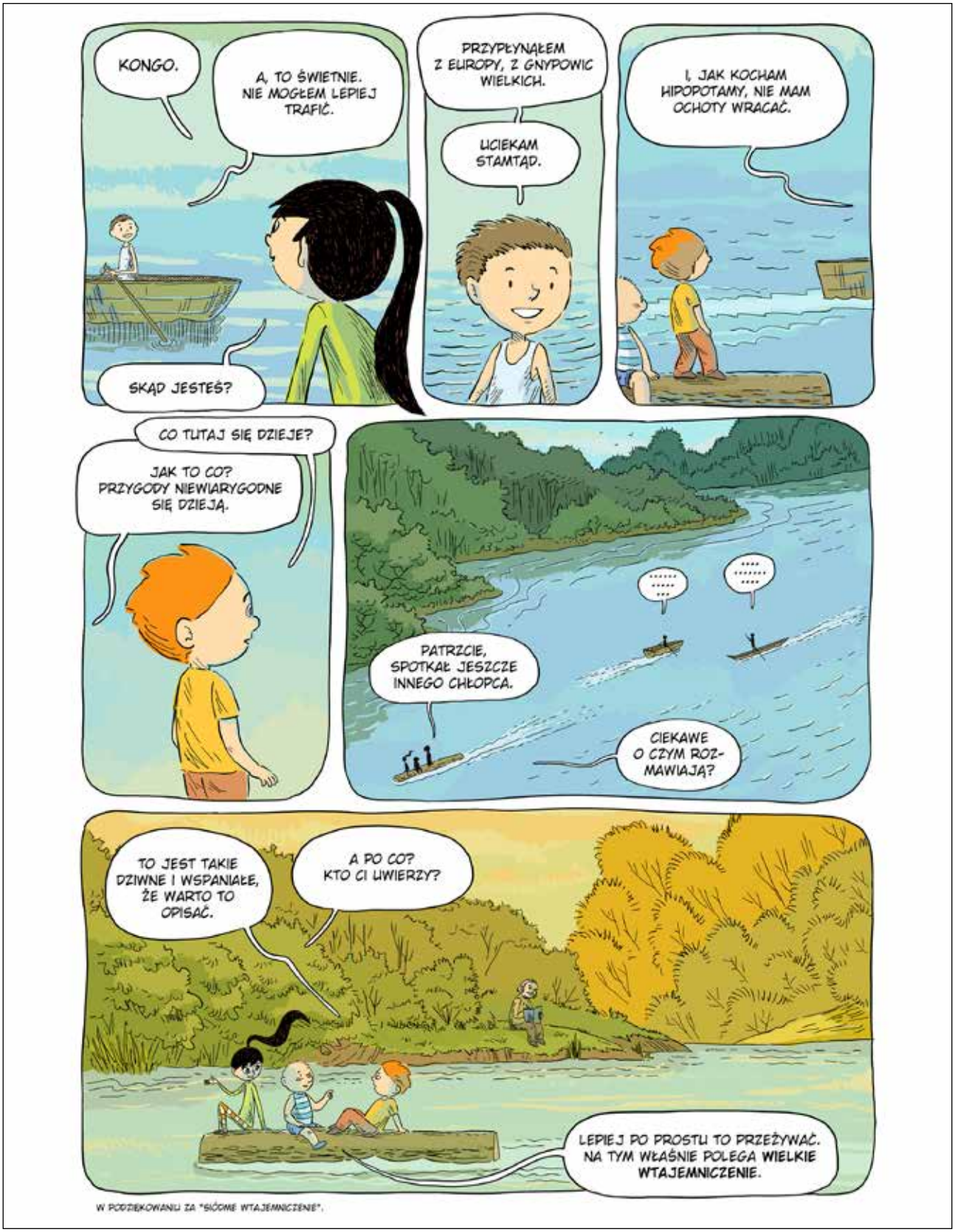
KONGO.
A, TO ŚWIETNIE. NIE MOGŁEM LEPIEJ TRAFIĆ.
SKĄD JESTEŚ?
PRZYPŁYNĄŁEM Z EUROPY, Z GNYPOWIC WIELKICH.
UCIEKAM STAMTĄD.
I, JAK KOCHAM HIPOPOTAMY, NIE MAM OCHOTY WRACAĆ.
CO TUTAJ SIĘ DZIEJE?
JAK TO CO? PRZYGODY NIEWIARYGODNE SIĘ DZIEJĄ.
PATRZCIE, SPOTKAŁ JESZCZE INNEGO CHŁOPCA.
CIEKAWE O CZYM ROZMAWIAJĄ?
TO JEST TAKIE DZIWNE I WSPANIAŁE, ŻE WARTO TO OPISAĆ.
A PO CO? KTO CI UWIERZY?
LEPIEJ PO PROSTU TO PRZEŻYWAĆ. NA TYM WŁAŚNIE POLEGA WIELKIE WTAJEMNICZENIE.
W PODZIĘKOWANIU ZA "SIÓDME WTAJEMNICZENIE".

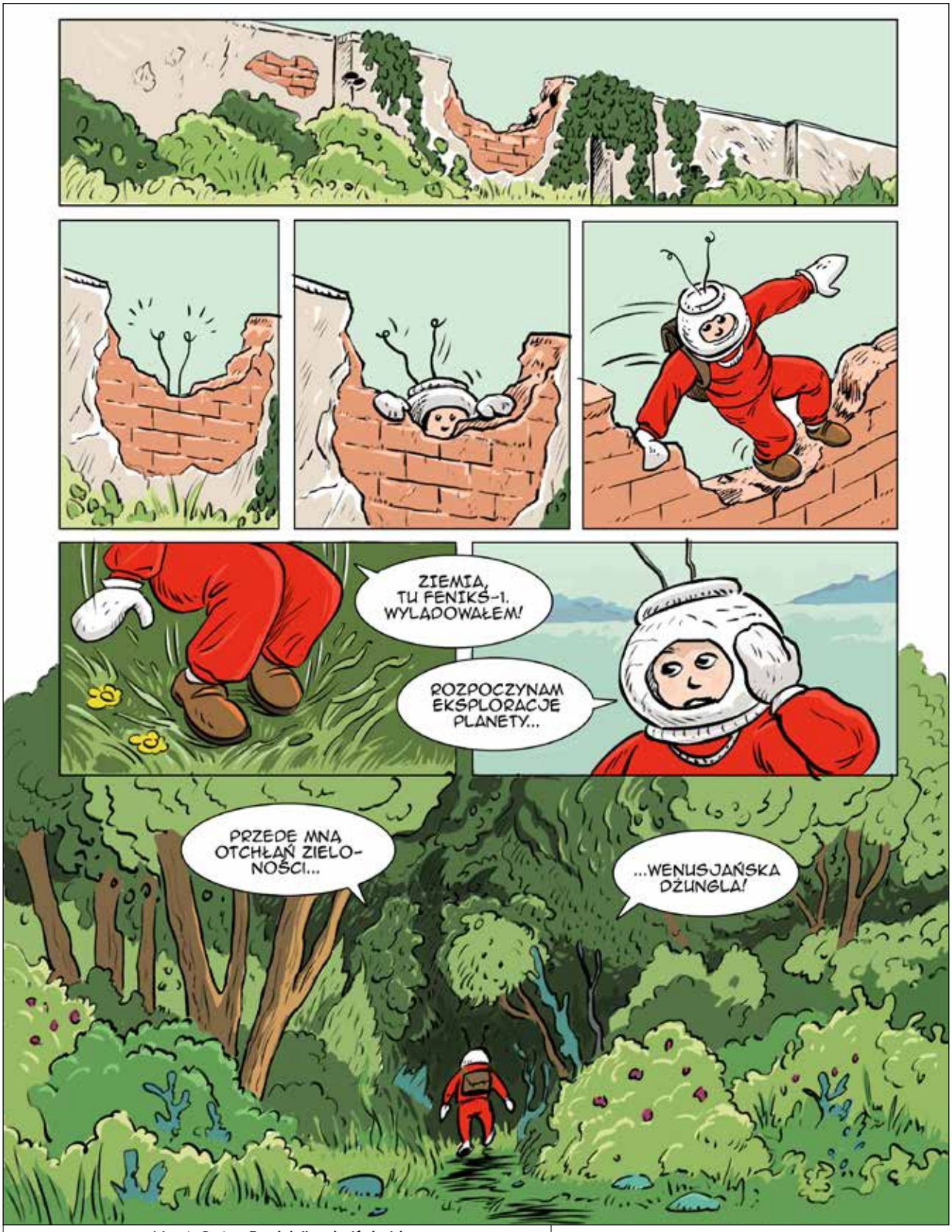

Marcin Burbo, ***Tropicielka niedźwiedzi***

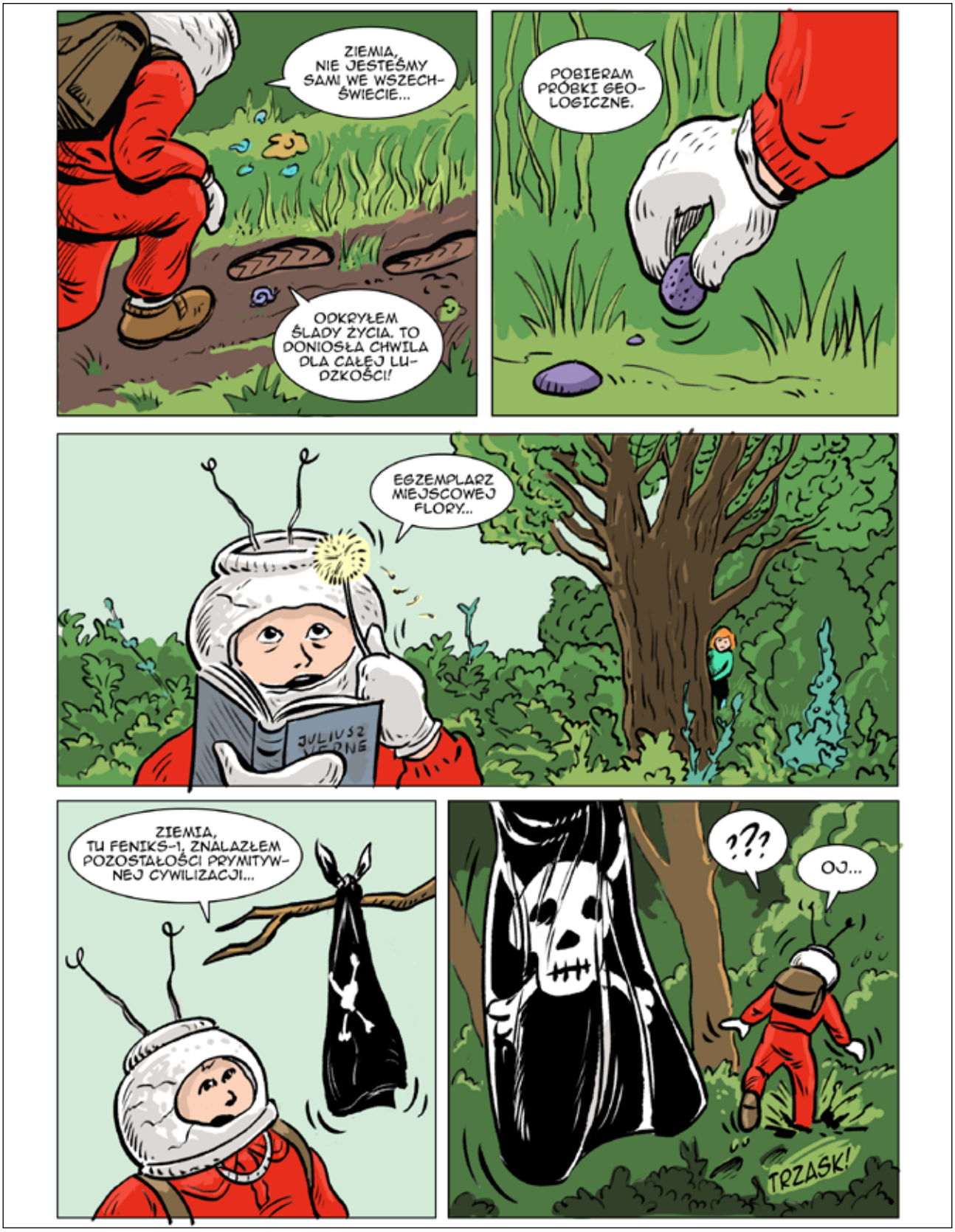
ZIEMIA, NIE JESTEŚMY SAMI WE WSZECHŚWIECIE...
ODKRYŁEM ŚLADY ŻYCIA. TO DONIOSŁA CHWILA DLA CAŁEJ LUDZKOŚCI!
POBIERAM PRÓBKI GEOLOGICZNE.
EGZEMPLARZ MIEJSCOWEJ FLORY...
JULIUSZ VERNE
ZIEMIA, TU FENIKS-1, ZNALAZŁEM POZOSTAŁOŚCI PRYMITYWNEJ CYWILIZACJI...
?!?
OJ...
TRZASK!

AAJ!
OJEJ...
EJ, JESTEŚ CAŁY?
KOLANO STŁUKŁEM... ALE POZA TYM W PORZĄDKU.
A, TO DOBRZE.
HEJ! PO... POCZEKAJ! NIE ZOSTAWIAJ MNIE TU!
RATUNKU!
POMOCY!!

CSSS! NIE WYDZIERAJ SIĘ, BO STRÓŻ USŁYSZY I DA NAM POPALIĆ.
ZŁAP MNIE ZA REKĘ.
DZIĘKUJĘ.
TY PEWNIE NALEŻYSZ DO ZWIĄZKU ZIELONYCH JASZCZUREK?
PHI! GWIZDŻĘ NA ZIELONE JASZCZURKI!
NIE CHCĄ MNIE PRZYJĄĆ...
MÓWIĄ, ŻE JESTEM ZA MAŁA!
MNIE TEŻ NIE CHCĄ PRZYJĄĆ... ANI DO PIRATÓW, ANI DO KOLONISTÓW.
CO TO WŁAŚCIWIE JEST?
HEŁM ASTRONAUTY!
SAM ZROBIŁEM, Z WIKLINY I PAPIER-MACHE.
NAWET FAJNY...
CHCESZ, TO TEŻ CI TAKI ZROBIĘ. TRZEBA TYLKO ZNALEŹĆ STARY KOSZYK.

MASZ SZCZĘŚCIE, ŻE AKURAT DZIŚ WYBRAŁAM SIĘ TROPIĆ NIEDŹWIEDZIA. INACZEJ BYŚ SIEDZIAŁ W TYM DOLE AŻ...
CO?! TO TU SĄ NIEDŹWIEDZIE?...
E TAM, PEWNIE PRÓBUJESZ MNIE NABRAĆ...
WCALE CIĘ NIE NABIERAM, SŁOWO HONORU!
MIESZKA TU JEDEN, NAZYWA SIĘ BARNABA.
CO PRAWDA NIKT GO JESZCZE NIE WIDZIAŁ NA WŁASNE OCZY, ALE PARĘ DZIEWCZYN ZNALAZŁO ŚLADY...
Z CZEGO SIĘ ŚMIEJESZ?
BARNABA... HI HI!
ACHA, BAAARDZO ŚMIESZNE...
CIEKAWE, JAK TY MASZ NA IMIĘ?...
Koniec

Robert Kraik

Piraci z Niekłaja

W WIEKU DWUNASTU LAT pewne okoliczności sprawiły, że razem z mamą musieliśmy opuścić Warszawę i przeprowadzić się do babci Ani, która zachorowała i wymagała opieki. Byłem zły z powodu przeprowadzki, ponieważ wiązało się to z utratą wszystkich kolegów.

— Niekłaj? Gdzie on w ogóle jest? — szeptałem rozgoryczony, wpatrując się w okno pociągu.

Babcia często opowiadała, jak w młodości lubiła bawić się z rówieśnikami w jakimś dzikim ogrodzie, jak biegała po błoniach i wspinała się po okolicznych hałdach, ale to było dawno. Moja mama była do niej podobna. Znajomi mówili, że urodę odziedziczyła po Akwiczach, ponieważ tak miała na nazwisko panieńskie moja babcia. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, obie pocieszały mnie, że szybko znajdę sobie nowych przyjaciół.

Nazajutrz mama zabrała mnie do szkoły. Budynek był wprawdzie stary, wykonany z czerwonej pruskiej cegły, ale w środku nie odbiegał wyposażeniem i estetyką od szkół, jakie znałem z Warszawy. Widać było, że władze samorządowe w Niekłaju troszczą się o swoich uczniów i szkołę. Dyrektor, Onufry Mąciwoda, zlustrował mnie wzrokiem, a potem rzekł:

— Będziesz uczniem szóstej "a". Chodź, zaprowadzę cię teraz do twojej klasy i wszystkim przedstawię.

Kiedy doszliśmy na miejsce, zapukał do drzwi, ale nikt tego nie usłyszał. Weszliśmy do środka i wówczas nad moją głową przeleciał pokaźny ogryzek, który odbił się od ściany i wylądował w koszu.

— Co to ma znaczyć! — ryknął jak lew dyrektor. — Kto rzucił tym ogryzkiem ?

— Przewodniczący Anioł Szatanek — poskarżyła natychmiast Klotylda Bylejaka.

Pomyślałem wówczas, że skoro przewodniczącym klasy jest Szatanek, to znaczy, że trafiłem do piekła.

— Przyprowadziłem wam waszego nowego kolegę, który nie jest dla nas zupełnie obcy, ponieważ zarówno jego mama, jak i babcia też kiedyś uczęszczały do naszej szkoły. Przedstaw się, chłopcze.

— Nazywam się Janusz Łata.

Chciałem coś jeszcze powiedzieć o sobie, ale nasza pani od historii, Aleksandra Menażka, ucięła moją wypowiedź:

— Cieszymy się. Będziesz siedział w ławce z Kazikiem Węszytropem.

Był to wysoki chłopiec o kasztanowych włosach, który od wczesnego dzieciństwa pasjonował się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych na wzór legendarnego detektywa. Aby upodobnić się do swojego idola, nie tylko nosił angielską czapeczkę w kratę, ale również, jak nikt z dorosłych nie widział, palił fajkę swojego dziadka Edmunda. Ten wszakże nie miał nic przeciwko temu i cieszył się, że wnuczek poszedł w jego ślady. Poza tym Kazik, podobnie jak Sherlock Holmes, stosował, jak to określał, metodę dedukcji we wszystkim, co czynił. Wkrótce otrzymałem ksywę Watson, ponieważ Janusz Łata w Niekłaju brzmiało jak James Łatason. Moja nowa klasa potrafiła wyprowadzić z równowagi każdego.

— Moi drodzy przyjaciele, wkrótce na lekcjach historii będziemy mówić o wielkich odkryciach geograficznych, o tym, jak sławni żeglarze: Krzysztof Kolumb, Vasco da Gama, Ferdynand Magellan i inni, odkryli dla Europy Amerykę, Indie i udowodnili, że kula ziemska jest kulą.

— Naprawdę? — zapytał autentycznie zdumiony Stasio Klocek.

— Jak to? To ty nie wiesz? To jak ty się znalazłeś w szóstej klasie? — pytająco podsumowała wiedzę Stasia pani Menażka.

— Skąd mam wiedzieć? Jak dla mnie ziemia jest płaska — wywodził z całą powagą Stasio. — Nawet wczoraj, gdy pomagałem kłaść tacie chodnik przed domem, to na poziomicy było, że jest prosty, a gdyby był położony na kuli, to by nie był.

— Oj, Stasio, Stasio — uśmiechnęła się z politowaniem pani Ola. — Uwierz mi , Ziemia jest kulą.

— Proszę Pani? — odezwał się Holmes. — A po co oni udowadniali, że kula ziemska jest kulą. No innymi słowy, że kula jest kulą?

— No bo widzisz, Kazik — odezwała się zaskoczona pytaniem pani od historii — ludzie w tamtych czasach myśleli, że kula jest płaska jak stół.

Dalej pani Aleksandra kontynuowała swoją nielogiczną wypowiedź, spowodowaną głównie niefortunnymi skrótami myślowymi. Jej usta poruszały

się w jakimś oszałamiającym tempie, ale myśli były jeszcze szybsze.

— Otóż nadarza się wspaniała okazja, abyśmy wkrótce pojechali do muzeum historii nowożytnej w Tarapatach Leśnych, gdzie przygotowane zostały dla was wspaniałe warsztaty na ten temat. Po nich zaś zobaczycie rewelacyjny film o piratach.

— Hurra! — zakrzyknęła prawie cała klasa.

W tym momencie pani nie wytrzymała i podnosząc głos, rzekła:

— Natychmiast się uspokójcie! Cisza! Cisza ma być, bo mi się pozabijacie, a nie warto, skoro nawet Staś zrozumiał, że Ziemia jest płaska!

— No zaraz — odezwała się Tereska. — Przecież sama pani powiedziała, że jest kulą. O, nawet to sobie zapisałam.

— No tak, kulą jest — poprawiła się już na dobre zirytowana pani nauczycielka. — Tylko tak żeście mnie z równowagi wyprowadzili, że się pomyliłam.

Wówczas zgłosił się ponownie Stasio.

— Co ty znowu chciałeś Klocek? — zapytała podniesionym głosem pani Menażka. — Ja chciałem powiedzieć — zaczął Staś — że jak ostatnio pani mnie zapytała, to mnie to też wyprowadziło z równowagi i się pomyliłem, a pani mi postawiła patę.

— Stasiu, jak ja cię wyprowadzę z równowagi, to ty mi się nie pozbierasz!

— Ale co ja takiego zrobiłem? — usiłował bronić się chłopiec.

Nagle rękę do góry podniosła Klotylda.

— Słucham — zapytała pani.

— To mamy zapisać, że Ziemia jest płaską kulą?

— Przecież ja oszaleję! Boże, trzymaj mnie! — darła się nauczycielka.

— Klodziu, zapisz sobie, że Ziemia jest kulą. I podkreśl to dwa razy.

— Czy my też możemy to zapisać? — zapytała Agnieszka.

— Tak, zapiszcie wszyscy, jak tu jesteście — skapitulowała pani — Ziemia jest kulą i podkreślić dwa razy.

— W jakim kolorze podkreślić? — niecierpliwił się Szatanek.

— Czerwonym!

— Druga kreska też ma być czerwona? — odezwała się Julka.

— Tak! — potwierdziła pani.

— Proszę pani, ale ja nie mam czerwonej kredki — wypalił Wacuś.

Nauczycielka wzięła głęboki oddech i już miała wybuchnąć jak Wezuwiusz nad Pompejami, ale sytuację uratował Rupert Niedojda, zadając kolejne pytanie:

— Proszę pani, dobrze?

— Pokaż — Pani wzięła zeszyt i przeczytała: „Ziemia jest kulą i podkreślić dwa razy".

No i pewnie wywieźliby panią Olę do domu wariatów, gdyby nie dzwonek, który oznajmił wszystkim, że skończyła się lekcja, a zaczęła przerwa. Wybiegliśmy pierwsi na boisko szkolne. Było tam niewielkie wzniesienie, za którym rosły krzaki. Były tak gęste, że po przebyciu na czworakach wąskim tunelem kilku metrów, dotarliśmy do miejsca zdolnego pomieścić nawet dziesięć osób. Nad naszymi głowami rozpościerało się żywe sklepienie zbudowane z zielonych liści i gałęzi splecionych ze sobą. Pod wpływem słów, które usłyszeliśmy na lekcji, postanowiliśmy przekształcić swoją kryjówkę w bazę piratów. Szatanek podzielił nas na dwa okręty białych i czarnych korsarzy. Z niecierpliwością czekaliśmy na zapowiedziany wyjazd.

W piątek rano zebraliśmy się przed szkołą w oczekiwaniu na luksusowy autobus, a tymczasem usłyszeliśmy głośny klakson z drugiego końca ulicy. To nadjeżdżała nasza pani, a im bliżej było to coś, co miało być naszym luksusowym autokarem, tym bardziej żałowaliśmy, że wyjazd do Tarapatów Leśnych się udał. W końcu autobus zatrzymał się przed samym dyrektorem szkoły, a naszym oczom ukazał się napis umieszczony na boku różowego pojazdu, który głosił: "Gminna Spółdzielnia — Samopomoc Chłopska w Zacapie".

— Co za obciach, ja nie jadę — protestowała Klotylda.

Sherlock Holmes wytłumaczył mi natychmiast, że wspomniana Spółdzielnia niejednokrotnie ratowała naszą szkołę z opresji. Tylko jak tu podróżować z takim napisem ciągnącym się po obu stronach wzdłuż autobusu?! Jak już było pewne, że i tak pojedziemy na warsztaty, to nikt nie chciał siedzieć koło okna, żeby go nie kojarzono z Zacapiem. Wyjątek stanowił Stasio, któremu było to obojętne. Gdy tylko autokar ruszył, wszyscy nim podróżujący zaczęli rozpakowywać kanapki i oczywiście prawie wszyscy mieli je obłożone jajkami pokrojonymi na plasterki, a nawet jeśli tak nie było, to byli wyposażeni przez rodziców w jaja ugotowane na twardo w skorupkach. Stasio również przystąpił do konsumpcji owych jaj,

a w autokarze zapanowała atmosfera, która bynajmniej nie stała w sprzeczności z napisem na autobusie informującym, że jedzie z Zacapia. Potem zaczęły się głupie zaczepki. Alfred Wyrwidąb dostał w głowę skorupką jajka od Szatanka, a ponieważ go nie podejrzewał, oddał natychmiast Rupertowi. Ten z kolei rzucił we Franka Niecnotę, a Niecnota, który sam był w trakcie konsumpcji jajka, pomylił się i rzucił nim w panią Olę.

— Spokój, bo zawrócimy! - wrzasnęła rozwścieczona nauczycielka. I na chwilę cała klasa zamilkła. Autokar toczył się dalej. Po pewnym czasie zabudowania zniknęły i wjechaliśmy w gęsty las. Ruch był niewielki. Okryła nas gęsta mgła, a słońce, które wcześniej świeciło, schowało się za chmurami. Po jakimś czasie zjechaliśmy z głównej drogi na mniej uczęszczaną. Tutaj to już w ogóle skończył się asfalt, a zaczęła się droga brukowana starymi kamieniami. Cały autobus drgał, że nie sposób było mówić. Wtedy ktoś wpadł na pomysł i przeciągle zaintonował: “e e e ”.

I wszyscy powtórzyli: “e e e ”. I rozległo się takie wibrujące, ciągłe wycie: „e e e”, aż do momentu, gdy ktoś zaczął wydawać z siebie: “y y y”.

I wszyscy powtórzyli: “y y y”. Zniesmaczona tym pani Menażka próbowała zareagować, ale kierowca mrugnął tylko okiem i rzekł pocieszająco:

— Pani się nie martwi, pani Olu, ja to przyzwyczajony jestem, bo na co dzień to wożę owce i barany przyczepką. Pani uśmiechnęła się tylko i westchnęła cicho:

— Ale mi się stadko trafło. Owce to jeszcze jako tako, ale te moje barany kochane.

— Tutaj rzucam kotwicę — oznajmił kierowca. — Dalej musicie iść pieszo. To i tak już pewnie ostatni raz, ponieważ mają nas zlikwidować?

— Jak to, co pan mówi? — zaniepokoiła się pani Ola.

— Panie Tomku, jak to możliwe ? — wtrącił się Holmes.

— A tak to. Przyjechał jakiś cwaniaczek z czarną teczką i odgrażał się, że nas wykupi i zwolni. Pokazał nawet naszemu dyrektorowi jakieś papiery świadczące o tym, że on, czyli niejaki Tadeusz Sęp, przejmie nasze długi, a także Bank Spółdzielczy w Niekłaju. Ludzie w strachu żyją, ale ponoć nic nie da się zrobić.

W smutnym nastroju pani Ola zaprowadziła nas do ośrodka w Tarapatach Leśnych. Czekała tam cała grupa studentów i harcerzy poprzebieranych w różne stroje: piratów, Hiszpanów, Portugalczyków, Włochów, Indian i Murzynów. Ludzie, co tam się nie działo! Najpierw Indianie opowiadali nam, jak to było fajnie, zanim biali przypłynęli do Ameryki. Naszą ciekawość obudzili zwłaszcza Inkowie, a to z powodu złota, które posiadali w obfitości. Zadowoleni w tym czasie byli też Arabowie, gdyż korzystali z niewiedzy Europejczyków. Oni to sprzedawali naszym przodkom w Europie różne rzeczy, które pochodziły z Indii. Niestety, Europejczycy nie wiedzieli wówczas, gdzie te Indie się znajdują i jak tam dotrzeć. Hiszpanie, jak i Portugalczycy, mieli podobne problemy co my, więc postanowili poszukać drogi do Indii lub odkryć nowe wypełnione po brzegi kopalnie złota, srebra i diamentów. W ten oto sposób pewien włoski żeglarz, który nazywał się Krzysztof Kolumb, założył sobie, że Ziemia jest kulą i można dopłynąć na wschód, płynąc na zachód. Niestety, pomylił się co do rozmiaru owej kuli i zamiast do Indii dopłynął do Ameryki, co wcale nie przeszkodziło mu nazwać mieszkających tam ludzi Indianami. Do prawdziwych Indii dopłynął Portugalczyk Vasco da Gama w 1498 roku, czym najbardziej zasmucił Arabów. Teraz Portugalczycy sami mogli zaopatrywać Europę w różne towary, takie jak: pieprz, cynamon, wanilia, gałka muszkatołowa. Najwięcej emocji wywołało złoto, którego podobno w Ameryce było pełno. Hiszpanie, Portugalczycy, Anglicy i Francuzi postanowili zdobyte bogactwa wywieźć do Europy. Wtedy pojawili się piraci. Po co oni byli? Piraci byli po to, żeby zabierać złoto Hiszpanom, Portugalczykom, a potem pozostałym wspomnianym narodom.

Tyle tylko, że piraci byli bandytami, bo okradali statki królewskie, natomiast Hiszpanie, Portugalczycy, Anglicy i Francuzi nie byli bandytami, ponieważ zabierali Indianom złoto z wyższych pobudek.

— Co robili piraci z tym złotem? — zapytał Alfred.

— Jeżeli ich nie złapano, to bardzo często ukrywali to złoto w różnych tajemniczych miejscach na całym świecie. Im bardziej takie miejsce było nieprawdopodobne, tym lepiej.

— Co działo się z piratami kiedy ich złapano? — zapytała Ela.

— To ich torturowano, żeby powiedzieli, gdzie ukryli skarb, a jak powiedzieli, to ich wieszano.

— To ja bym nie powiedział — wpadł na pomysł Wacek.

— Tak by ci to nie pomogło — wyjaśnił prowadzący — i tak by cię powiesili.

— Piratów było bardzo wielu — kontynuował drugi student.— Do najsłynniejszych na świecie należał Edward Teach — Czarnobrody, który żył w latach 1675 — 1718. Podobno był najgroźniejszy ze wszystkich. Zginął w przypadkowej potyczce morskiej i pozostawił po sobie do dzisiaj nieodnaleziony skarb ogromnej wartości.

— O jejku — rozległy się w klasie zdumione głosy.

— Czy kobiety też mogły być piratkami? — zadała pytanie Tereska.

— Nie tylko że mogły, ale i były, na przykład Anna Bonny, która również działała w XVIII wieku.

Dalej studenci opowiadali nam różne ciekawe historie związane z piratami. Obejrzeliśmy także fascynujący film o Czarnobrodym, ale w tym samym czasie, w marzeniach, odpłynęliśmy od brzegu rzeczywistości.

Sherlock Holmes zaczął podejrzewać Klotyldę, że jest potomkinią i dziedziczką Czarnobrodego. Jego zdaniem było to bardzo prawdopodobne, ponieważ pan Bylejaki był złotnikiem, więc musiał mieć złoto, tylko skąd? Poza tym ojcu Klotyldy szkliło się jedno oko, a twarz zdobiła czarno szpakowata broda, zaś na budynku, który zamieszkiwali Bylejacy, od lat przymocowana była tabliczka z trupią czaszką i napisem: "Stop. Wysokie napięcie. Grozi śmiercią". Zdaniem Holmesa była to czysta ściema. Prawdą była tylko ta część napisu, która głosiła: "Grozi śmiercią". Holmes i ja pytaliśmy różnych ludzi, od jak dawna wisi tam ta tabliczka, no i okazało się, że zapytani zgodnym chórem odpowiadali, że od zawsze. Babcia Ania też twierdziła, że tabliczka była tam od zawsze. Holmes zwrócił się do mnie:

— Jeszcze nie rozumiesz, drogi Watsonie? Przecież wtedy nie było prądu, a ona ostrzegała przed wysokim napięciem.

Zaczęliśmy podejrzewać nawet, że to jakiś tajemniczy szyfr.

— "Napięcie", "na pięcie" — powtarzałem w kółko, aż wpadłem na to. — Na pięcie w bucie mamy obcas. "Wysokie napięcie" oznacza, że chodzi o jakiś but z wysokim obcasem, który może grozić śmiercią.

Wtedy przyszła nam do głowy myśl, aby pobiec do miejscowego szewca, którego warsztat mieścił się przy ulicy Zbożowej 4. Na ścianie domu zauważyliśmy już z daleka tabliczkę ze znajomym napisem: "Uwaga! Wysokie napięcie". Pewnie i ta tabliczka wisiała tu od zawsze. Tym razem napięcie malowało się na naszych twarzach. Bezpośrednio w pobliżu ulicy, przy której mieszkał szewc, miasteczko się kończyło. Dalej były już tylko zarośla porastające pobliskie pagórki, a potem niewielkie urwisko. Krótko mówiąc, to był koniec świata. Dom szewca był bardzo stary, zbudowany z czerwonej cegły. Stare, drewniane okna nadawały się wyłącznie do wymiany. Budynek był parterowy, a stojąc przed nim, można było doskoczyć do rynny. Najwspanialej prezentował się komin, z którego unosiła się stróżka dymu. Na drzwiach widniała płaskorzeźba okrętu, chociaż klienci, jeżeli już spodziewali się jakiś dekoracji, to oczekiwaliby raczej wyrzeźbionego buta. Nad ową płaskorzeźbą wisiała tabliczka, a Holmes drżącym głosem przeczytał to, co było na niej napisane: "Zakład Szewski. Czarna Perła. Mistrz rzemiosła; Konstanty Zaciukaj. Czynne codziennie od wtorku do czwartku od 10:00 do 18:00".

— Fajne mi codziennie, przecież to tylko trzy dni w tygodniu, a co robi w pozostałe? — Na myśl przychodzi mi tylko jedno — dodał Holmes — ciuka, aż zaciuka. Chodź, spadamy stąd, bo zrobi z nas torebki albo buty. Ledwo zaczęliśmy biec, kiedy na zakręcie zderzyliśmy się z nadbiegającymi z naprzeciwka: Rupertem, Frankiem, Stasiem i Szatankiem.

— Co wy tu robicie? — zapytał Holmes.

— A wy? — usłyszał od Szatanka.

— Jesteśmy na tropie pirackiego skarbu — odpowiedziałem zdecydowanie. — A wy?

— My właśnie uciekamy przed piratami, którzy chcą nas zabić. Zaraz tu będą — krzyknął Rupert.

Wszystkim zaczęła się wydzielać adrenalina. Wróciły siły, a serce zaczęło mocniej bić. Uciekliśmy w boczną uliczkę Ścierwika. Ze Ścierwika skręciliśmy w Trupią, a z Trupiej w ulicę Fryderyka Czachy. Zaczynało padać, ale znaleźliśmy dom z wystającym na poziomie parteru dosyć dużym tarasem, pod którym się ukryliśmy.

— Niezła kryjówka — zauważyłem.

— Pst... chłopaki, gadamy tylko szeptem, bo zaraz ci, co nas gonią, mogą przybiec — uspokajał wszystkich Holmes. Wkrótce wszystkich przeszył dreszcz. Zdały się słyszeć jakieś wzburzone głosy na ulicy. Jacyś wściekli ludzie weszli przez bramę w uliczkę, na której ukryli się chłopcy. Nogi ugięły się pod wszystkimi.

— To ci piraci, zaraz będzie po nas, żeby nas tylko nie zauważyli.

Słychać było tylko modlitwę Stasia.

— Panie Boże spraw, żeby jak najszybciej przyszli tu jacyś Hiszpanie i nas obronili. Piraci przystanęli zdyszani, jeden z nich oparł się o taras i zaczął mówić:

— Gdzie oni są? Żeby tak mi grządkę rozkopać i płot zniszczyć!

— Ja nie wiem, ale wydawało mi się, że biegli gdzieś tutaj — tłumaczył się drugi pirat.

— Rozpoznałbyś ich?

— No nie, ojciec, ciemno już się robiło. Rozpoznać, nie rozpoznam.

— Nogi z tyłka bym im powyrywał, taka marchewka!

W tym momencie otworzyły się drzwi na taras, pod którym siedzieli przestraszeni szóstoklasiści. Ktoś podszedł do krawędzi balkonu i po hiszpańsku pozdrowił piratów: " Buenos noce. W czym mogę pomóc? "

— E tam. Pan, to właściwie kto? — zapytał jeden z piratów.

— Nazywam się Victorio Cortez don Perera i pochodzę z Hiszpanii. Wynająłem to mieszkanie na tydzień, ponieważ jestem doradcą pana Tadeusza Sępa. Słyszałem jakieś głosy, więc wyszedłem na balkon — tłumaczył Cortez.

— Dobry wieczór. Ja nazywam się Kazik Stokrotka. Razem z żoną prowadzimy gospodarstwo rolne na obrzeżu miasta. To mój syn Józek. Niech pan sobie wyobrazi, don Perera, że dosłownie jakieś pół godziny temu jacyś trzej idioci zniszczyli mi płot i przekopali całą grządkę marchewki na głębokość półtora metra.

Patrzyliśmy na siebie w wymownym milczeniu.

— A więc to nie piraci — jęknął Rupert.

— Tylko Stokrotkowie — dodał Staś. — Co myśmy narobili?

— Słyszeliście? Ten Sęp kręci z Hiszpanami.

Kiedy wszyscy odeszli, postanowiliśmy skonsultować sprawę z babcią Anią. Ucieszyła się, kiedy wchodzili do nas kolejno Staś, Rupert, Franek, Szatanek, Kazik.

— Ależ wy jesteście podobni do waszych dziadków - powiedziała, witając ich serdecznie. Rupert, wnuk pana Otrębusa, tłumaczył, jak odnalazł grób i tajemniczą mapę na cmentarzu. Otóż, w szesnastym rzędzie pod starą brzozą znajdował się zaniedbany nagrobek, a na nim zdjęcie mężczyzny z czarną brodą i przymrużonym lewym okiem. Napis na nagrobku, sporządzony w języku niemieckim, głosił: "Peter Schwarzbart von einem Straßenpiraten getötet". Niestety, Rupert przetłumaczył to niepoprawnie: "Piotr Czarnobrody zabity przez strasznego pirata". Tak naprawdę chodziło o pirata drogowego, ale nikt się tym nie przejął, bowiem zazwyczaj wierzymy w to, w co chcemy uwierzyć. Okazało się, że mapa jakimś cudem przetrwała 50 lat. Była fałszywa. Babcia Ania opowiedziała nam, jak ukryła ją, aby zmylić piratów, którzy niegdyś rywalizowali o panowanie nad starym ogrodem z jej Jaszczurkami. Zrobiło nam się smutno.

— Byliśmy tak blisko skarbu — jęknął Holmes.

— Szkoda, że nie ma prawdziwej mapy — bąknąłem pod nosem.

— A kto powiedział, że nie ma? — uśmiechając się, babcia kazała podać sobie kartonowe pudełko z szafy. — Dał mi ją przed śmiercią pewien bosman, straszny pijaczyna, ale zaklinał się na wszystkie świętości przed swoją śmiercią, że był strażnikiem skarbu i nie tknął z niego ani jednego dukata, chociaż nie miał już za co pić. Kiedy odwiedziłam go ostatni raz, powiedział: "Użyj jej, kiedy uznasz za stosowne, skarb jest Twój. Ratuj Niekłaj" .

Po wnikliwej analizie okazało się, że skarb znajduje się w ostatniej części starego przyzakładowego ogrodu i należy do mojej babci. Wykupiła go niegdyś, próbując ratować swoje marzenia. Postanowiliśmy zatem sporządzić fachową dokumentację obiektu, którym okazał się być zabytkowy wychodek. Holmes sięgnął po dyktafon i zaczął starannie opisywać badany obiekt: "Wychodek jest dosłownie podręcznikowy — mówił wzruszony drżącym głosem — stanowi kwintesencję wszystkich wychodków tego typu na przestrzeni stuleci. Odpowiednio duży, dla wygody przybyłego w pośpiechu klienta, oferuje mu szeroką i przestronną deskę kloaczną z drewnianą pokrywką, którą zdobią rzeźbione kwiaty wykonane przez anonimowego artystę. Po prawej stronie znajduje się coś, co przypomina uchwyt na papier toaletowy, którego, niestety, nie ma. Wychodek posiada też klasyczny otwór klimatyzacyjno—wentylacyjny z filtrem świetlnym w postaci wyciętego serduszka w drzwiach".

— Dobrze, teraz wszyscy pozostaniemy na zewnątrz, a Rupert i Holmes wejdą do środka — wydał rozkaz Szatanek. — Włóżcie rękawiczki i załóżcie maseczki na twarz, ponieważ tu mogą być bakterie.

— To ten wychodek jest na prąd? — zdziwił się Stasio, który był mistrzem w zadawaniu podobnych pytań. Zawsze cechowała go pewna wrodzona naiwność, niemniej ciekawość wszystkiego, co znajdowało się wokół niego, pozwalała postrzegać go jako człowieka renesansu.

— Jak na prąd? — odparł zaskoczony Rupert.

— No, mówiliście coś o bateriach - wyczekiwał na wyjaśnienia Stasio.

— Nie o bateriach, tylko o bakteriach — zdenerwowany odpowiedział Franek.

— Acha, a co to są te bakterie? — drążył zagadnienie Stasio.

— Stasiu, nie pora na to, żeby ci to teraz tłumaczyć. Mamy za mało czasu.

— Acha, rozumiem — zawołał zawiedziony.

— Nic tu nie ma — zawołał rozgoryczony Rupert. — Chyba trzeba będzie wejść głębiej po drabinie.

— Dobrze, że ją wzięliśmy — odparł Franek.

— To ogromne ryzyko i zagrożenie schodzić na dół — szepnął Rupert do Holmesa, który był jego towarzyszem niedoli. — Wiesz co tam może być lub co było?

— Bakterie? — zapytał Staś, niechcący zwracając na siebie uwagę wszystkich.

— Chciałbyś je zobaczyć pierwszy? — zapytał Rupert. — Czy chciałbyś jak Neil Armstrong postawić jako pierwszy człowiek nogę na Księżycu i powiedzieć: "Ten mały krok człowieka jest wielkim krokiem w dziejach ludzkości", i przejść do historii?

— O drugim historia pamięta niewiele albo wcale — dodał Holmes.

Staś, który miał naturę odkrywcy żądnego sławy i przygód, natychmiast udzielił precyzyjnej odpowiedzi:

— Tak, chcę być pierwszy.

— No to przebieraj się. Chwała przypadnie tobie — zadecydował szybko Holmes.

Na zewnątrz wychodka panował spokój i cisza. Drzewa powoli nabierały zieleni, a w ich gałęziach kwiliły ptaki. Na szczęście dla Stasia zaczął padać deszcz i wszyscy jak stali weszli do środka.

— Nie wiem w czym tkwi haczyk — na głos zaczął narzekać Holmes. — Tu nic nie ma. Może ta mapa jest fałszywa?

Wówczas Staś stwierdził prostodusznie:

— Haczyk tkwi w drzwiach.

Rupert, wziąwszy ów haczyk w swe dłonie, pociągnął go mocno z całej siły do siebie tak, żeby zamknąć drzwi przed ulewą. Nagle cała konstrukcja zadrżała, a jej środek, czyli podłoga, z wszystkim, co się na niej znajdowało, zaczęła opadać w dół. To była winda. Jednocześnie na samym dole jedna ze ścian rozsunęła się i oświetlony został jasnoniebieskim światłem wąziutki korytarzyk, którym wszyscy rozpoczęliśmy wędrówkę do skarbca. Ostatecznie okazało się, że znalezione w podziemiach Niekłaja pieniądze to najprawdopodobniej ogromny skarb Templariuszy. Wystarczyły do spłaty zadłużenia miasta, wszystkich jego mieszkańców i na prawdziwe wakacje dla dzieci nad morzem. Hiszpanie zaś, których reprezentował Pan Tadeusz Sęp, tym razem musieli odejść z niczym.

Niniejsza historia osadzona jest w centrum konfliktu dwóch, od wieków zwaśnionych organizacji - Matusków i Blokerów. Punktem spornym jest tzw. Twierdza Persil, przy której regularnie dochodzi do bitew. W podziemiach Twierdzy ukryty jest skarb należący do legendarnego Trumniarza, historycznego władcy Gnypowic Wielkich - tak przynajmniej twierdzi wiedźma...

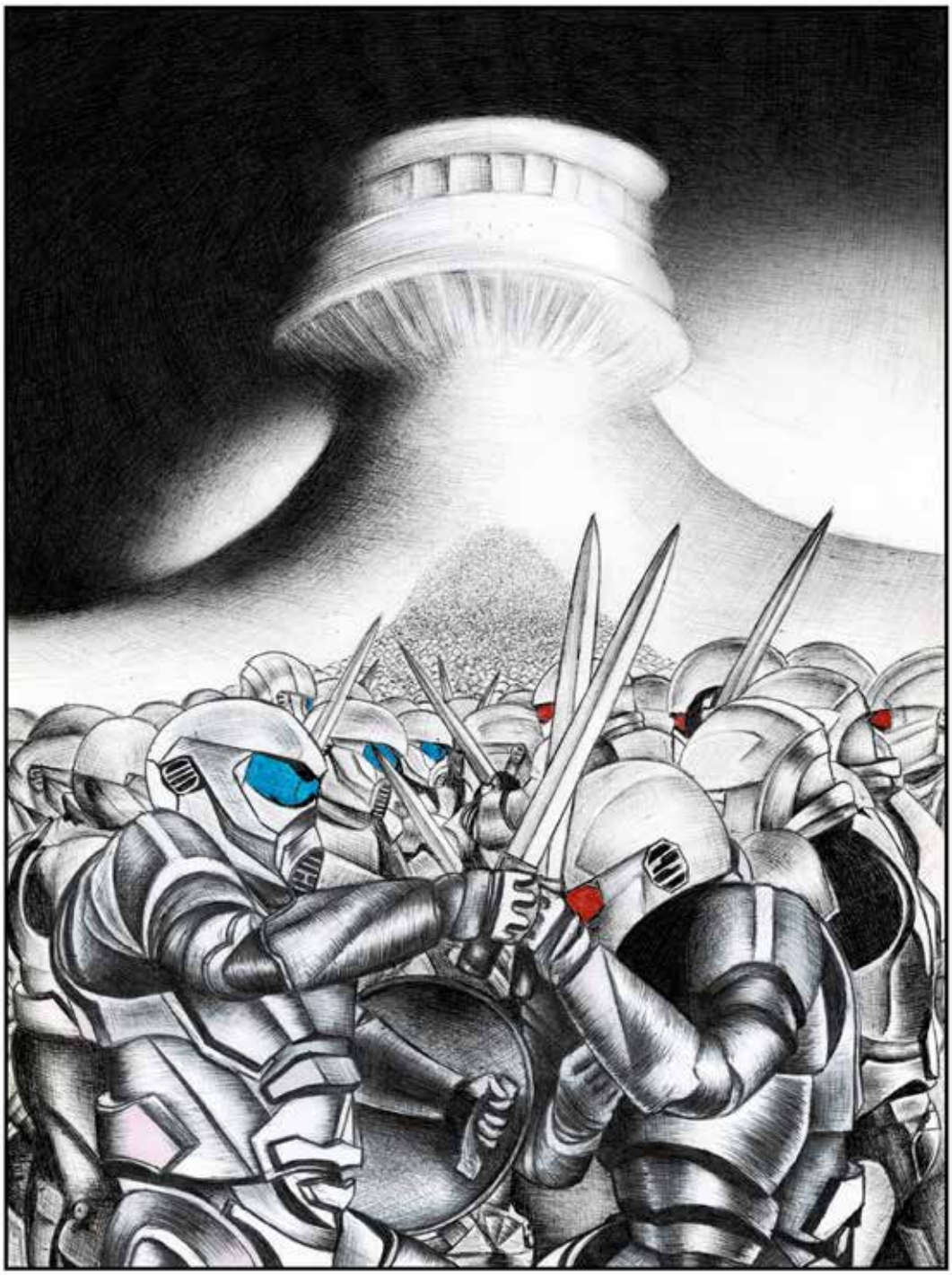

Bartłomiej Ogonowski, ***Twierdza Persil***

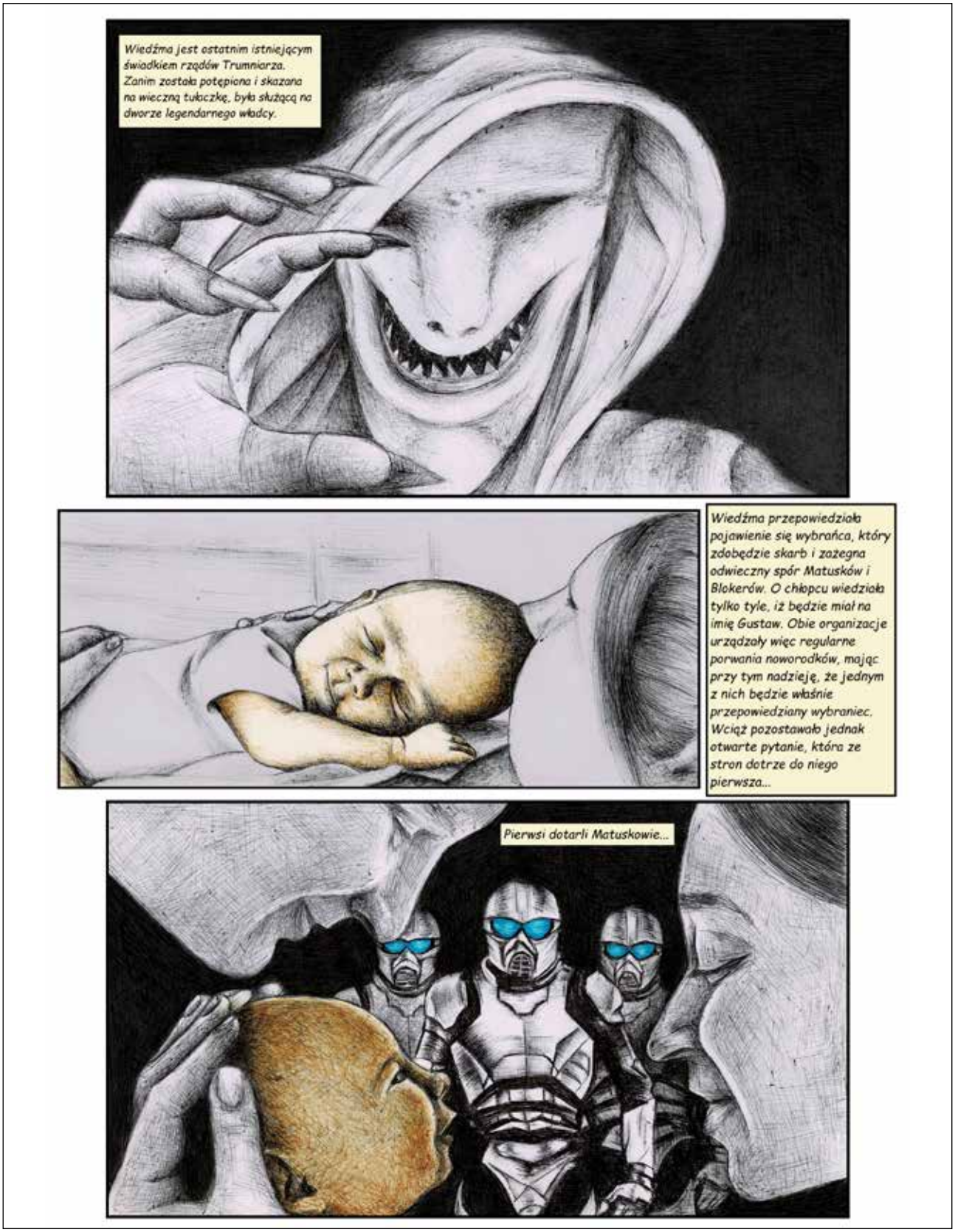
Wiedźma jest ostatnim istniejącym świadkiem rządów Trumniarza. Zanim została potępiona i skazana na wieczną tułaczkę, była służącą na dworze legendarnego władcy.
Wiedźma przepowiedziała pojawienie się wybrańca, który zdobędzie skarb i zażegna odwieczny spór Matusków i Blokerów. O chłopcu wiedziała tylko tyle, iż będzie miał na imię Gustaw. Obie organizacje urządzały więc regularne porwania noworodków, mając przy tym nadzieję, że jednym z nich będzie właśnie przepowiedziany wybraniec. Wciąż pozostawało jednak otwarte pytanie, która ze stron dotrze do niego pierwsza...
Pierwsi dotarli Matuskowie...

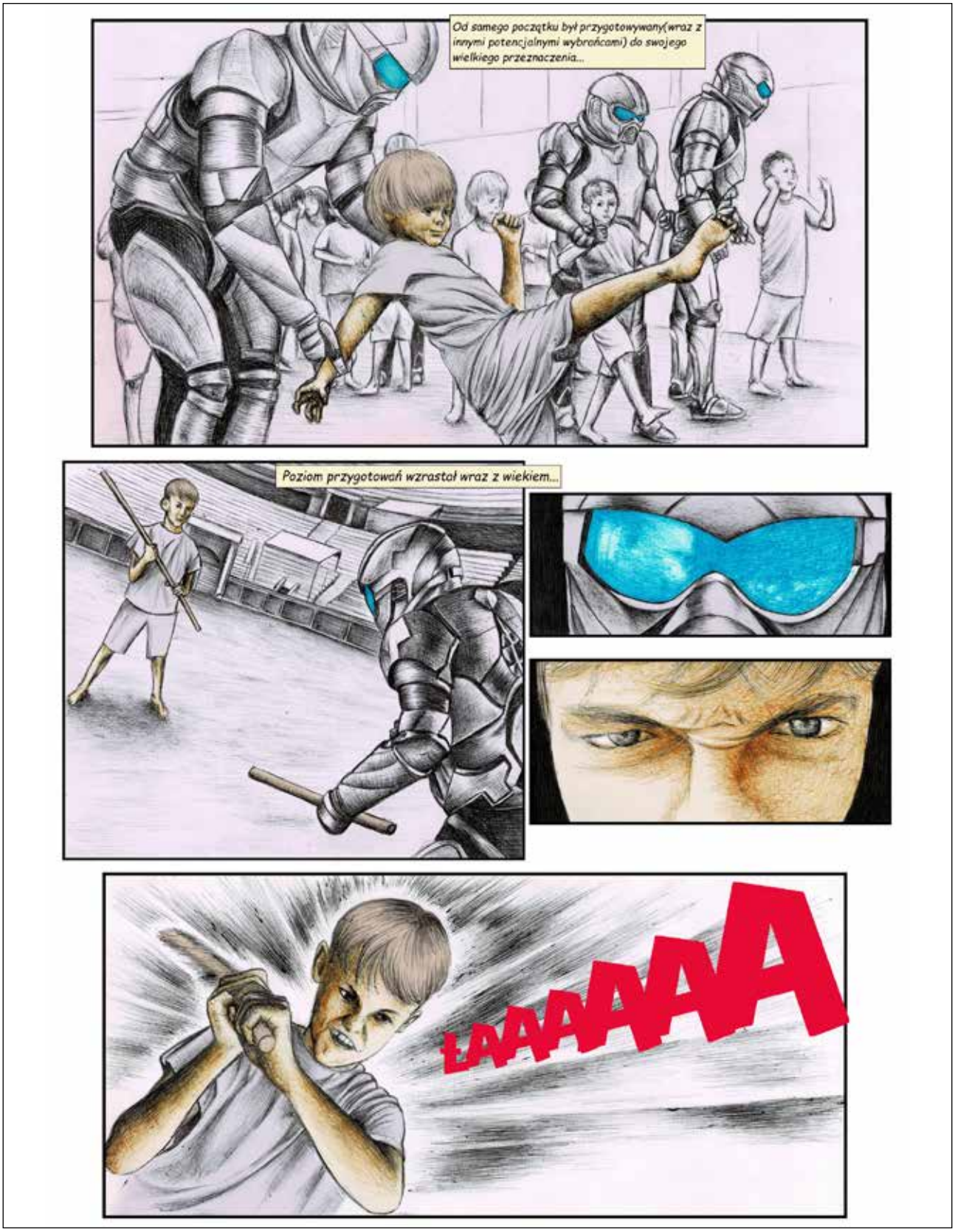
Od samego początku był przygotowywany(wraz z innymi potencjalnymi wybrańcami) do swojego wielkiego przeznaczenia...
Poziom przygotowań wzrastał wraz z wiekiem...
ŁAAAAAAA

CIACH
EHHHHHHHHH...

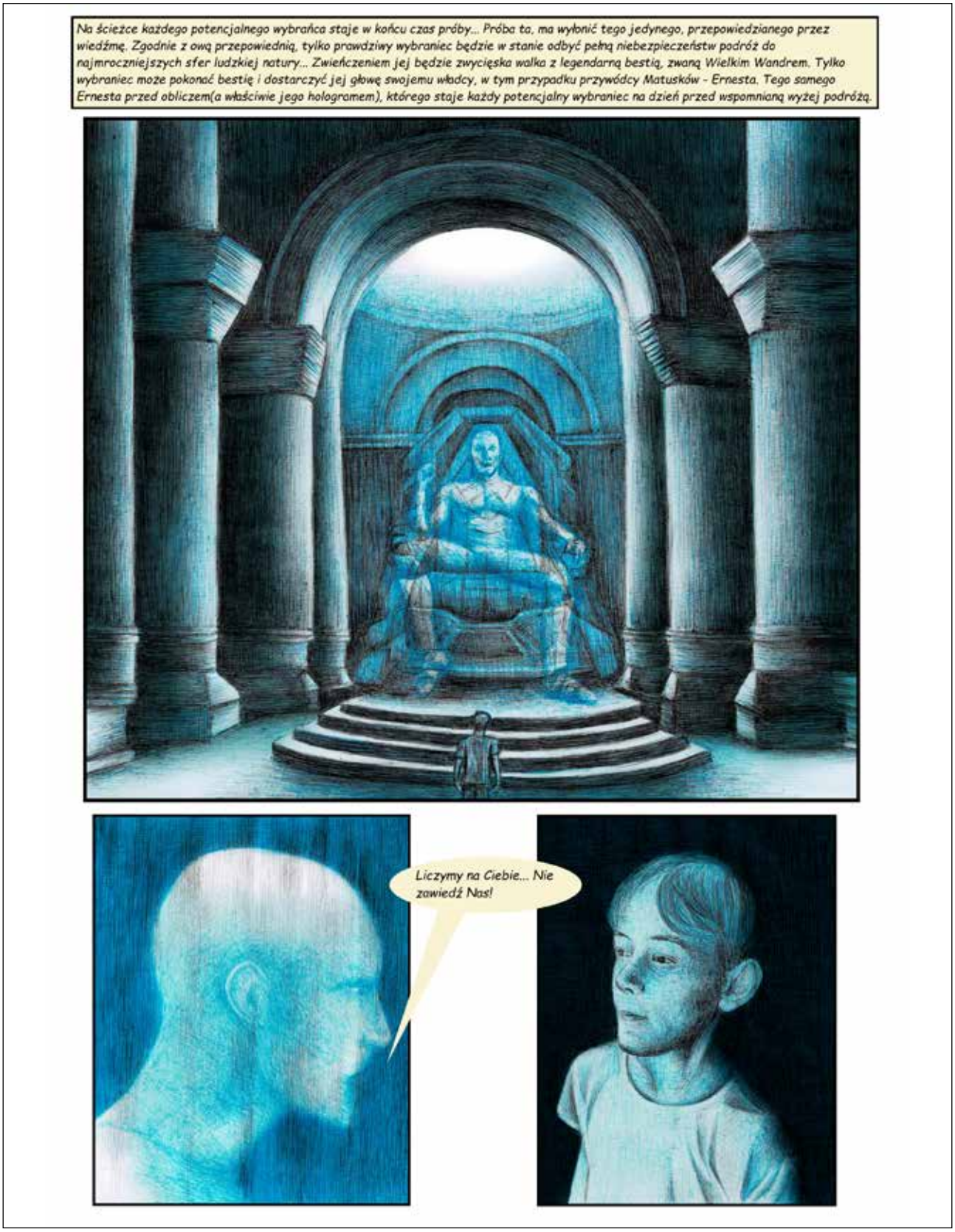
Na ścieżce każdego potencjalnego wybrańca staje w końcu czas próby... Próba ta, ma wyłonić tego jedynego, przepowiedzianego przez wiedźmę. Zgodnie z ową przepowiednią, tylko prawdziwy wybraniec będzie w stanie odbyć pełną niebezpieczeństw podróż do najmroczniejszych sfer ludzkiej natury... Zwieńczeniem jej będzie zwycięska walka z legendarną bestią, zwaną Wielkim Wandrem. Tylko wybraniec może pokonać bestię i dostarczyć jej głowę swojemu władcy, w tym przypadku przywódcy Matusków - Ernesta. Tego samego Ernesta przed obliczem(a właściwie jego hologramem), którego staje każdy potencjalny wybraniec na dzień przed wspomnianą wyżej podróżą.
Liczymy na Ciebie... Nie zawiedź Nas!

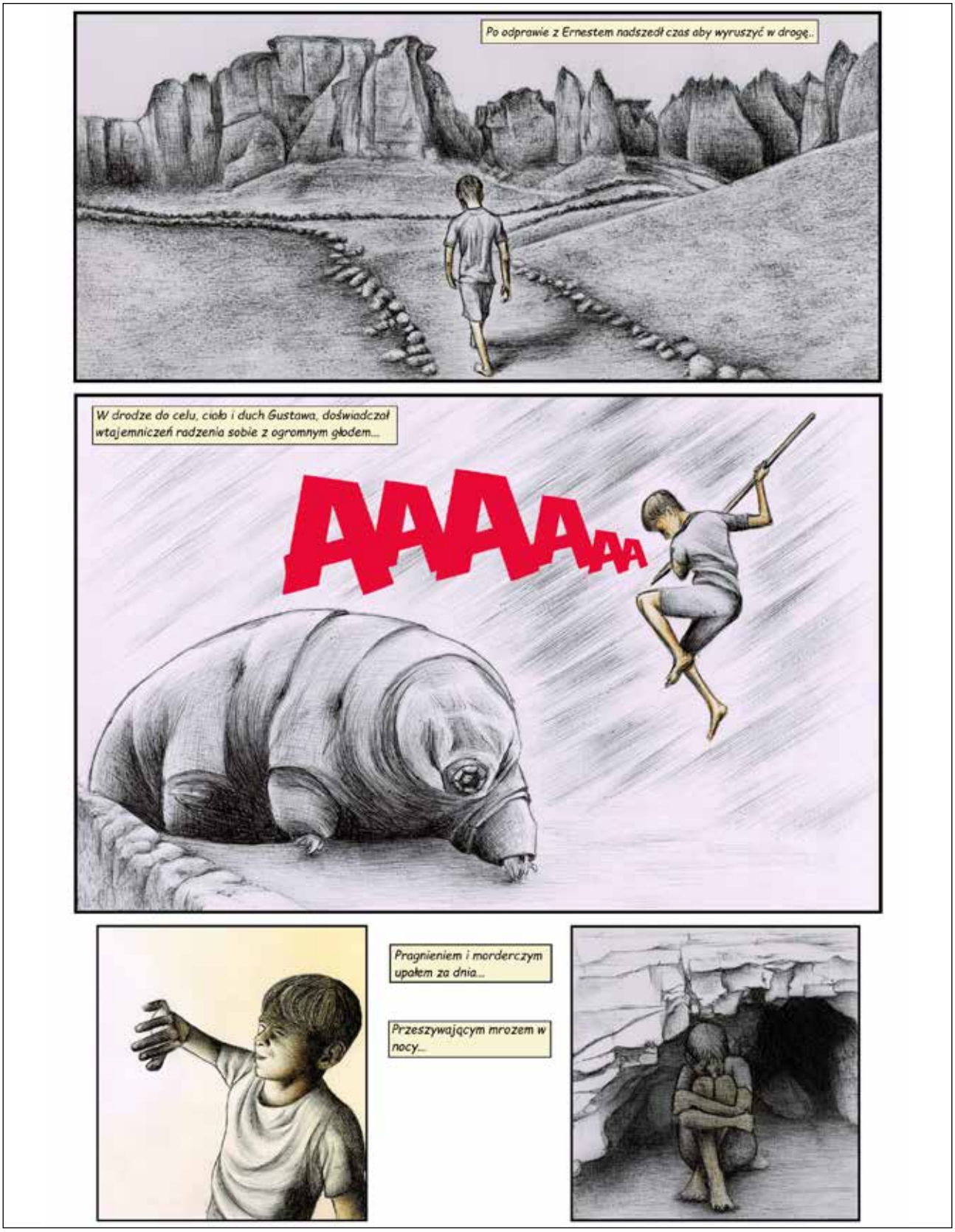
Po odprawie z Ernestem nadszedł czas aby wyruszyć w drogę..
W drodze do celu, ciało i duch Gustawa, doświadczał wtajemniczeń radzenia sobie z ogromnym głodem...
AAAAAA
Pragnieniem i morderczym upałem za dnia...
Przeszywającym mrozem w nocy...

Lękiem i wewnętrznymi demonami...

Jednak wszystkie te cztery wtajemniczenia były niczym w porównaniu z kolejnym jakim był strach przed starciem z potężnym Wielkim Wandrem...

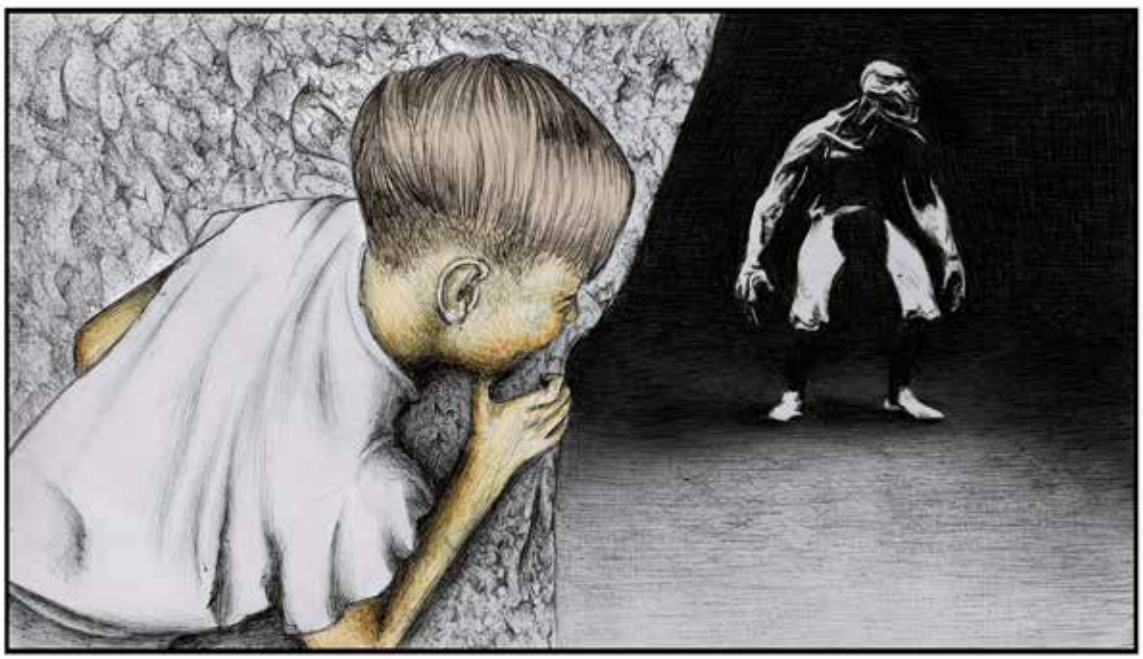

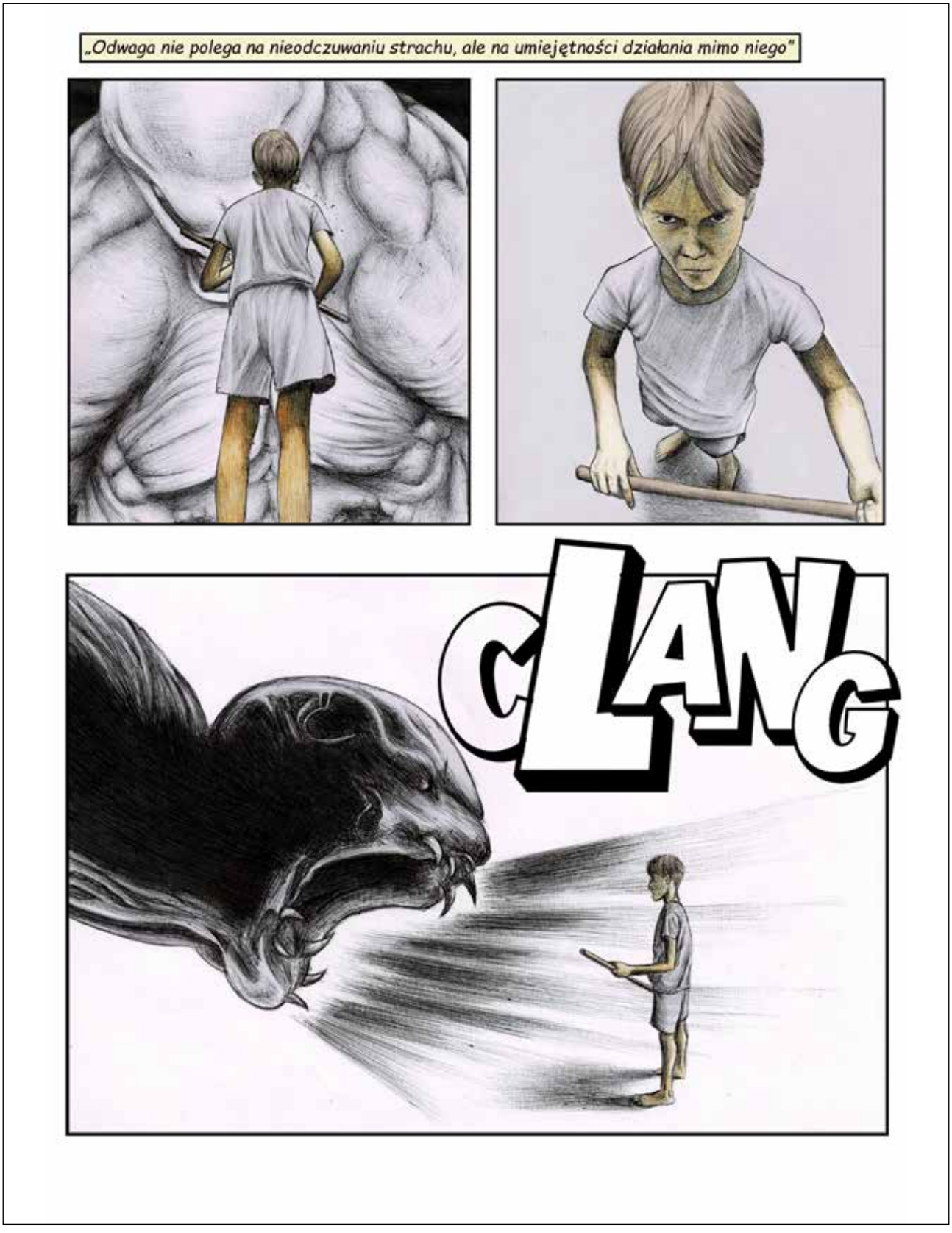
„Odwaga nie polega na nieodczuwaniu strachu, ale na umiejętności działania mimo niego"
CLANG

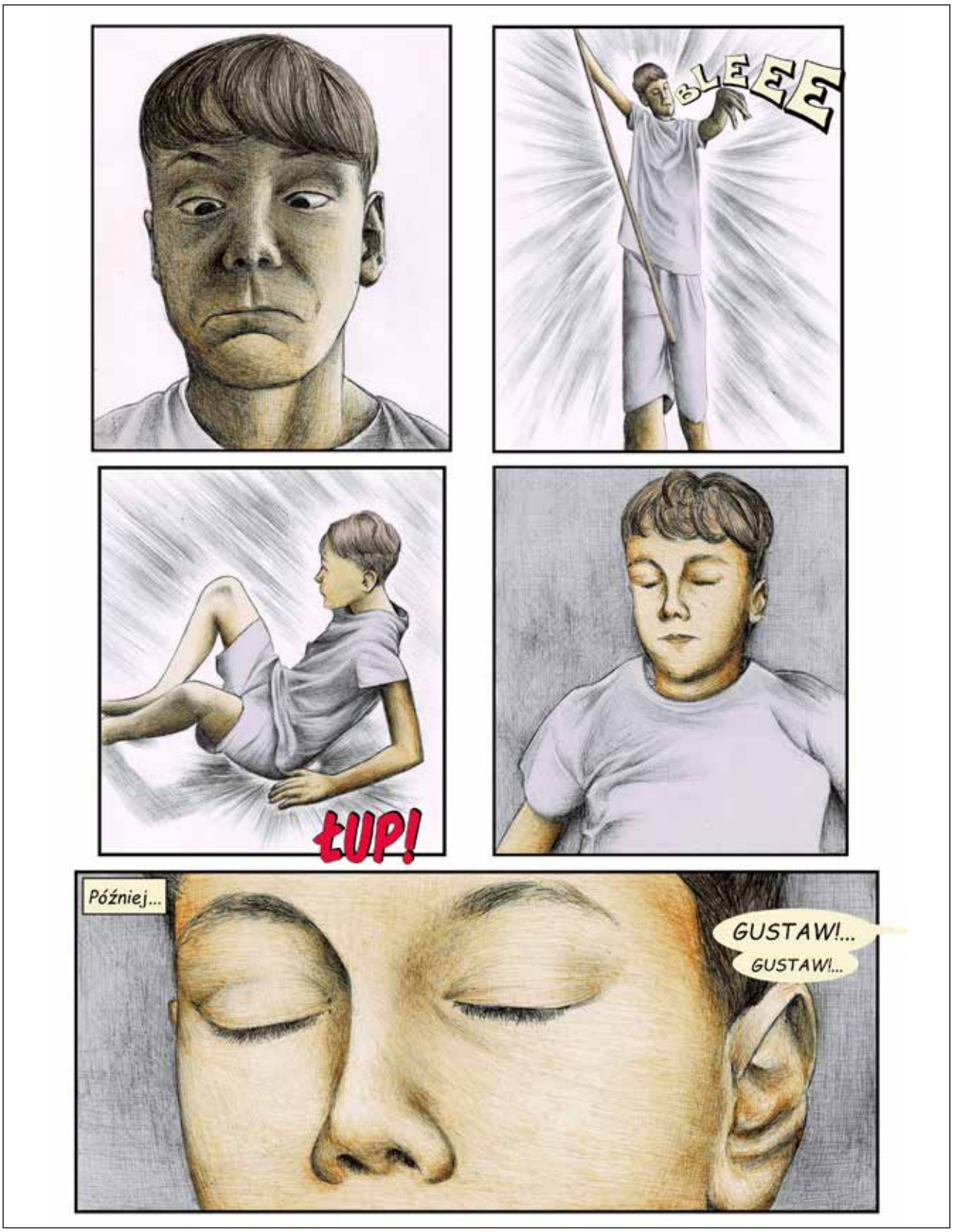
BLEEE
ŁUP!
Później...
GUSTAW!...
GUSTAW!...

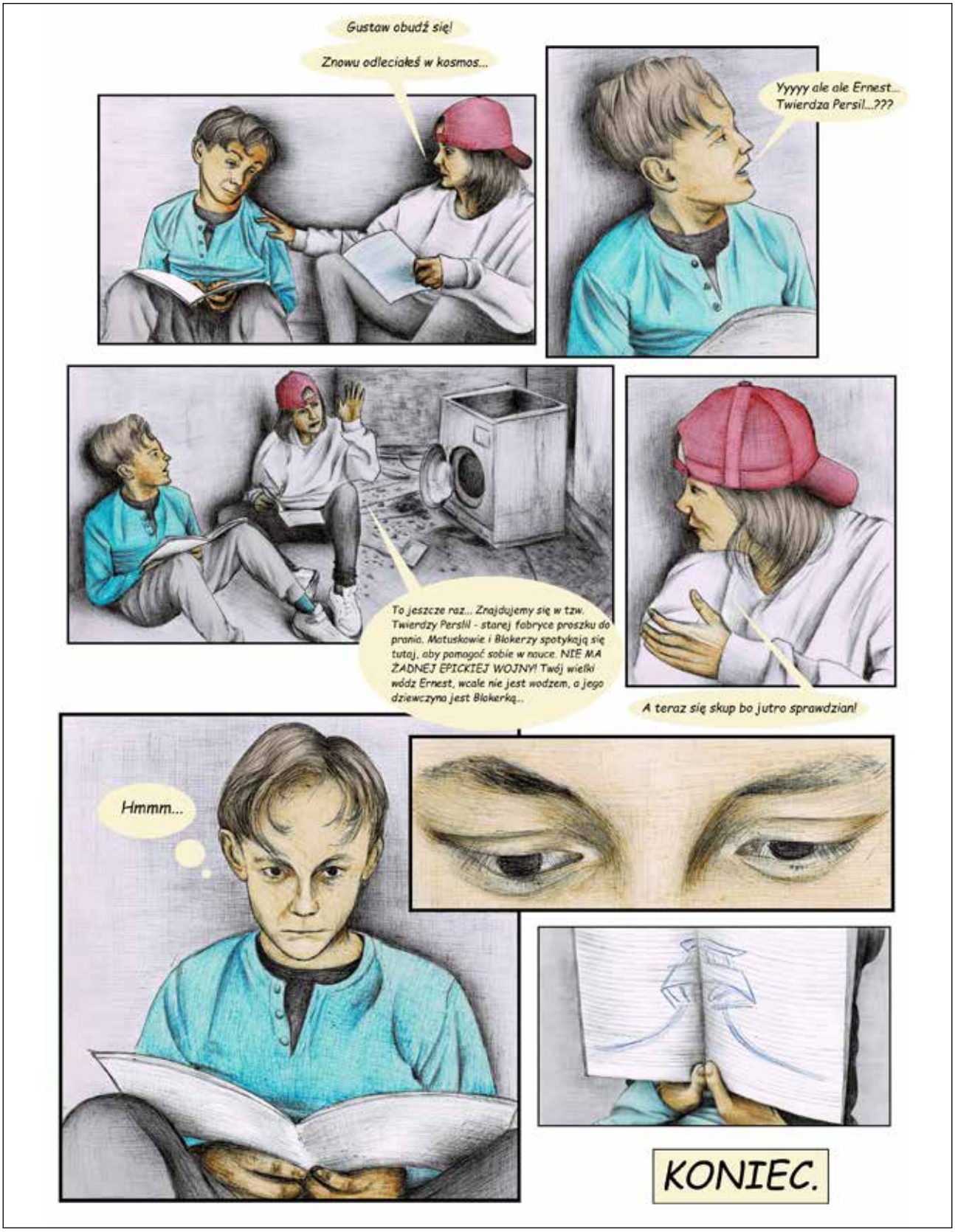
Gustaw obudź się!
Znowu odleciałeś w kosmos...
Yyyyy ale ale Ernest... Twierdza Persil...???
To jeszcze raz... Znajdujemy się w tzw. Twierdzy Persil! - starej fabryce proszku do prania. Matuskowie i Blokerzy spotykają się tutaj, aby pomagać sobie w nauce. NIE MA ŻADNEJ EPICKIEJ WOJNY! Twój wielki wódz Ernest, wcale nie jest wodzem, a jego dziewczyna jest Blokerką...
A teraz się skup bo jutro sprawdzian!
Hmmm...
KONIEC.

Jan Hyjek

Bocianiec na drumlinie

„...W drogę bez drogowskazów
W drogę po własny los...”
Janusz Kondratowicz

Dorośli chuchali i dmuchali. Owszem... Oglądano ich autokar od błyszczących reflektorów aż po czeluści rury wydechowej. Wymieniono nawet kierowcę w pasiastej koszulce, spluwającego z pogardą dla świata. Stwierdzono, że nie ma wymaganych dokumentów.

I nic nie pomogło. Ostatni turnus kolonijny zaczynał się znacznym opóźnieniem wyjazdu, a wszyscy siedzieli jak na igłach, lecz przetrąceni upałem. Przygarbiony policjant podsunął z rozpędu alkomat także mamie Idy, tak się wtrącała i zrzędziła. W alkomat powinni dmuchać ci, co organizowali cały ten turnus sprawiający raczej wrażenie eksperymentu kosmitów na uczestnikach.

Zuza, zdesperowana swoją sytuacją osobistą, o której nie miała komu opowiedzieć postanowiła, że da nogę, gdy nadarzy się okazja. Tylko jak to zrobić? Tak! ONA im wszystkim pokaże... Nie zdawała sobie sprawy, że wychowanie bezstresowe i bez przemocy wcale nie powoduje u wielu, braku agresji. Miała już dosyć hejtu. Usłyszała za to o paradoksie polegającym na tym, że dopiero gdy się traci kogoś z oczu, zaczyna się dostrzegać wyraźniej jego istnienie. Zamierzała zatem przez swoje zniknięcie zaistnieć w świadomości rodziców oraz innych osób z tak zwanego otoczenia.

***

Oczekujących rozbolały szyje zwrócone w stronę okien autokaru. Wreszcie błysnęły słońcem, niczym pożegnalnymi zajączkami odjeżdżające auta zniecierpliwionych opiekunów. Nareszcie inny niski i wąsaty kierowca dodał gazu, a drżący wibracją autokar ruszył majestatycznie ku wielkiej uldze wszystkich. Listki brzóz zaszemrały głaszcząc szyby i dach pojazdu, a jego pasażerowie oklaskami przyjęli fakt odjazdu w nieznane. Włączono klimatyzację. Grupa usadowiona w lotniczych fotelach łapała oddech i napawała się widokami lasów, pól i miejscowości. Serca jadących poddały się tej radości niejasnych oczekiwań, bo wystarczy wyrwać się z domu, aby odpocząć. Zwłaszcza od codzienności międzyludzkich wojen o byt i prymat.

***

Wszystko wyglądałoby całkiem nieźle, a nawet normalnie, gdyby nie to, że na tym turnusie uczestnicy przebywali zgodnie z wolą rodziców bez telefonów, co było niczym zabranie flaszki z alkoholem od ust nałogowca. Jednak pozbawionych tego sprzętu, broniło przed hejtem i totalnym nadmiarem bodźców oraz godzinami śledzenia komunikatorów. Niektórzy zdradzali symptomy poważnego uzależnienia.

Za to na obiad podano prawie surowe, niedogotowane ziemniaki, a kierownik obiektu Art Niziura chodził i mruczał:

- No co ja wam poradzę moje ptaszki, polopirynian sodu, co ja poradzę? Perhydrol drylu! - Nikt wtedy jeszcze nie podejrzewał, że to będzie jego najczęściej powtarzany tekst przy innych wpadkach. Jego gadki trafiły na podatny grunt, bo zaczęto ochoczo małpować Arta Niziurę, co dało setki odmian tych absurdalnych powiedzonek.

Ci, którzy pomyśleli, o niedogotowanym jedzeniu, że – „trudno, raz się może zdarzyć” – byli w błędzie. Zastanawiali się czy mówił tak do grup „Kolonistów”, „Zielonych Jaszczurek” i „Piratów” na wszystkich koloniach, i czy to normalne, aby konieczna była zmiana wychowawców?

Nie ma co nudzić o niezbyt udanym turnusie kolonijnym. Przeciwnie! Trzeba było wspomnieć o nim, bo bez tego nie byłoby początku całej tej hecy.

***

Autokar mający odwieźć do domu całą ekipę, pozostawia wiele do życzenia. - Pomyślała Zuza, porównując go z tym, jakim tu przyjechała.

Oto macie Zuzę w ostatniej chwili spokoju, kiedy wszystko jest jeszcze na swoim miejscu! Lecz czy nie jest żałosne, kiedy wychowawcy gubią podopiecznych?

Fakt, że to przytrafiło się dopiero w ostatnim dniu i dotyczyło właśnie jej! Ona... nie ułatwiła zadania dorosłym. Nie wyprowadziła ich z błędu. Nie protestowała. Sami się pogubili w bałaganie nazywanym organizacją! Teraz mają.

- Niech ich kąsa nerwica. Byle nie skończyli świrem - burknęła pod nosem. Nie życzyła im źle. Za chwilę Zuza opuści autokar i...

***

Tymczasem kilka kilometrów od ruszającego pojazdu na powierzchni falistej blachy lotniczego hangaru na lądowisku w Słonawie przesunęły się trzy nierówne zdeformowane cienie skradających się indywiduów. Nikogo tu jeszcze nie było, wszystko było zamknięte. Przybysze szli niepewnie, ukrywając swoje istnienie przed światem, od którego zdawali się uciekać. Szli więc dalej, nie bardzo wiedząc dokąd.

***

Pod wieczór Zuza wróciła myślą do momentu, kiedy z pełnego autokaru, tuż przed odjazdem, pani Sabina wysłała ją do budynku, aby sprawdziła czy w damskiej toalecie nie została szczotka najmłodszej, długowłosej Cecylii. Zatem niezauważona w rozgardiaszu pobiegła. Autokar zabierał dodatkową osobę nieletnią, która nie brała udziału w turnusie, ale za to powodowała, że liczba przeliczonych dzieci się zgadzała, więc... wspaniałomyślnie pominięto fakt, iż Zuza wyszła na zewnątrz. Orzeczono, że wszyscy są i można jechać. Ruszyli bez niej, by zniknąć za zakrętem.

Kiedy Zuza wyszła z budynku, kierownik Art Niziura pełen szczęścia, że to koniec, nie oglądając się na nic zamknął pomieszczenia. Zawołał do auta swego pupila, spaniela Atropila mrucząc przesądnie: O! polopirynian sodu i perhydrol drylu. Odjechał. Zuza niezauważona przez nikogo pozostała sama ze sobą.

- Yolo! No dobrze! Zobaczymy, co z tego wyniknie. Punkt pierwszy zaliczony. Prank? Prysnęłam i to z ich winy!

***

Jeżeli chcecie poznać kogoś, kto ma dziwne właściwości, to z pewnością Zuzę. Może nie wierzycie? Ona... miała szczęście do wplątywania się w dziwne historie. Przyciągała kłopoty jak magnes. Lepiły się do niej drobne zdarzenia, jak najlepsze przyjaciółki! Czasami miała tych przygód serdecznie dosyć. Była też pewna, że nikt jej nie rozumie. Za to tych, którzy się z niej naśmiewali, nie brakowało nigdy. Dlaczego? Dajcie człowieka, a powód się znajdzie!

Kiedyś u babci w Przezwodach, koło Jędrzejowa ot tak po prostu urwała mosiężny kran. Woda lała się jak zwariowana, a cały ogród po chwili stał się grzęzawiskiem. Wszyscy codziennie używali kranu, ale on czekał cierpliwie 40 lat i strzelił właśnie akurat za jej magicznym dotknięciem. To znowu innym razem zarwała schodek do piwnicy. No, a wszyscy na nią, że „ona to tak zawsze". Że zepsuła i nawet nie umie zejść po schodach, a przecież jest lekka jak uśmiech. Gdzie się nie ruszy, jakaś kicha albo wprost pech. Czego się nie tknie, problem.

Tylko w domu nic się nie dzieje. Nie ma życia. Siedzi sama i już. Rodzice w rozjazdach. Kariera i pogoń za sukcesem. Mama całuje ją czasami, kiedy ona już śpi. Rano tyle ma, że musi zetrzeć ślad szminki z policzka. Zuza lubi jednak ten drobny dowód czułości. W domu pusto i głucho, a drzwi... sterowane pilotem, jak i większość urządzeń. Dobrze, że jest „złota rączka" – pan Stefan, ogrodnik o złotym sercu. Bez kitu. O budzie lepiej nie gadać! A ona, samosterowna i samodzielna z konieczności podyktowanej przez rozsądek i realia. Żal.

***

Teraz siedziała dygocąc z zimna na nieużywanym od dawna promie, który wydawał się miejscem bezpiecznym. Nie wiedziała co robić. Ciemność skoczyła do oczu wypędzając ostatki jasności na zachodzie. Brzegi Warty zanikały stopniowo w głębokim granacie czającej się nocy, z której lada moment mogły się wyłonić czyjeś błyszczące ślepia.

Przeszły po niej dreszcze. Co zrobi, jeśli z ciemności wychynie postać potwora? Lub, kiedy złapie ją za rękę kosmatą łapą, a z paszczy zionie ogniem? Ociekająca z jej ubrania woda spływała na blachy rdzawego pokładu tworząc srebrną kałużę, w której odbijał się raz po raz mdły księżyc. Sierpniowe świerszcze grały na całego, a jeden przysiadł przymilnie blisko. W pobliżu gulgotał i mlaskał rzeczny wir, liżąc bok promu. Tatarak pachniał mocno, mieszając się z zapachem siana idącym po rzece z łąk. Widziała nazwę miejscowości: KISZEWO. Na nic był odruch sięgnięcia po smartfona, którym namierzyłaby samą siebie. Ciemny las brodził w cienkiej mgle po drugiej stronie płynącej nieustannie smoły, jaką zdawała się woda. Naraz przybrzeżne chaszcze zaczęły wydawać nieoczekiwanie narastające, przerażające odgłosy.

Stało się, zmącono błogi spokój wieczoru.

- Czy to stado rozwścieczonych byków z korridy pędzi spragnione ku wodzie po miesiącu suszy, tratując wszystko, co napotka na swej drodze? Po-lo-pi-ry-nian sodu no!

***

– Brr. – Zuza bała się poruszyć. Zastygła w oczekiwaniu na jakiś kataklizm. Usłyszała już zupełnie blisko intensywny szelest zarośli i brutalne łamanie gałązek. Dostrzegła krzyżujące się w przepastnej głębi mroku świetlne refleksy niczym miecze Jedi. – To latarki, a ludzie... może mnie szukają? W końcu minęły dwa dni. Zupełnie dosyć! – Jej plecak pojechał bez niej.

Naraz coś grzmotnęło o blachę, a srebrna kałuża znalazła się na jej twarzy i ubraniu, gubiąc po drodze rożek księżyca. Po chwili, w której myślała, że pęknie z przerażenia, łomot powtórzył się jeszcze dwa razy. Niczym salwy odbijały się wracając na swoje miejsce przedtem wypukłe, a teraz wklęsłe blachy pokładu starego promu. Kiedy podniosła oczy dostrzegła trzy cienie myszkujące przy burtach. Myślała że śni. Były to niewysokie postacie. Nie ziały ogniem, ale przerażały. Uspokoiła się, bo na pokładzie leżały po prostu trzy niewielkie plecaki. Dziwnie zaterkotał łańcuch ciągnięty po metalowej gładzi. Za późno było na sprzeciw. Stało się. Prom ruszył ociężale, a kiedy porwał go nurt, księżyc ukrył się za drzewami, bo prom brał szeroki zakręt z rzeką. Zuza dostrzegła jeszcze snopy świateł oddalających się latarek przeczesujących gęste zarośla przy brzegu. Zaległa cisza.

– To jest mój prom!!! – Powiedziała głośno i dobitnie. – A tamci o mało nie powpadali do wody. Byli zdruzgotani. To ona była teraz potworem i ona świeciła oczami. To oni bali się jej kosmatej łapy wychodzącej z mroku. – Słyszycie?! – Powtórzyła władczo. – To mój prom. – Zabrakło jej jednak pomysłu na dalszy tekst. Cztery serca niczym werble łomotały na najwyższych obrotach.

– Taaak... rozumiemy. – Usłyszała w odpowiedzi przyciszony głos chłopaka. Był nieznacznie wyższy. – W porządku. – Mówił pojednawczo. – Tylko powiedz, dokąd płyniemy?

– Jak to dokąd? – Syknęła z furią. – Przecież to wy spuściliście prom z uwięzi!

– A... gdzie my jesteśmy?

– Bardzo Ładnie! Nie wiecie nawet, jaka to rzeka?

– Właściwie nie chcemy wiedzieć, bo to nam tylko utrudni u...

– Uciekliście?! – Palnęła ze zrozumieniem. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Krypa walnęła o jakiś występ prawym narożnikiem tak, że majtnęło nimi przeraźliwie. Księżyc zatańczył na niebie robiąc małe kółko, a metalowe barierki znów się przydały, wyłapując rzuconych o nie by nie wpadli w toń.

– Skąd masz ten prom?

– Wiecie co, – zaproponowała Zuza, – musicie powiedzieć wszystko od początku!

– Ty pierwsza, – licytował chłopak. – ja jestem Pająk.

– A ta mała?

– Nie jestem mała! – Syknęła ukryta pod kapturem kurtki dziewczyna.

– Dobrze, – powiedział Pająk, cedząc przez zęby. – Ta duża, to Stonoga. – Stonoga nie protestowała więc pewnie faktycznie była Stonogą.

– Co to, wy wszyscy macie ksywy od robali?

– Nie. To jest Hamilek! On..., nie chce mówić.

– Tato powiedział, – wtrąciła Stonoga – że ozłoci tego, komu się uda rozwiązać ten supełek.

– Na języku? – Upewniła się Zuza, a Stonoga przytaknęła.

Hamilek spojrzał na nią dwoma księżycami odbitymi w oczach i wydało jej się, że pokazał palcem na usta.

Prom szorował niekiedy o przybrzeżne krzewy porastające rzekę. Woda szemrała. Płynęli prosto w otchłań zapadającej nocy, która połykała ich i nie mogła połknąć.

– Jestem Zuza. – Stonoga zauważyła, że dziewczyna jest przemoczona więc dała jej swój polar z plecaka. – Musimy się pilnie naradzić. Ustalić, co komu gra.

– Jak to co? – Zdziwił się Pająk.

– Chcesz tak płynąc w nieskończoność?

– Spoko!

– Trzeba wiedzieć dokąd płyniesz! No chyba, że jesteś kłodą drewna.

– Skąd się tu wzięliście? Zdaje się, że ktoś was gonił?

– Nie jesteś ty za bystra?

– Zmalowaliście coś?

– Co to, to nie, ale oni... za dużo chcieli wiedzieć. – Pająk wydął usta na znak pogardy dla cudzej ciekawości.

– Nie dziw się, wlazłeś do cudzej stodoły żeby się przespać. – Stonoga wygarnęła bratu korzystając ze sposobności. – Usiedli na zmurszałej ławce i zaczęli gadać.

– Mam herbatniki.

– Daj. Umieram z głodu, nie jadłam od wczoraj. - Zuza z rozkoszą wchłonęła podarowane ciastko.

- Nie możemy tak płynąć, powinno się sterować. - Pająk był niespokojny. - Ku zaskoczeniu wszystkich Hamilek postękując wyciągnął długą dechę i dał Pająkowi. - Hamilek, świetnie!

Pająk, manipulował dechą w bezdennej mazi. - Dobra jest, tyle o ile działa.

- Zatrzymajmy się na noc.

- Coś ty, tu jest przynajmniej bezpiecznie.

- Szczególnie! Dzięki. Zwłaszcza jeśli walniemy w jakiś most lub inną przeszkodę.

***

Nagle coś pękło i wszyscy, jeden przez drugiego wyrzucali z siebie słowa opisujące historię każdego po kolei. Hamilek złowieszczo milczał. Niewiele z tego dało się zrozumieć prócz tego, że trójka rodzeństwa uciekła z domu z powodu wyznaczonej na j u t r o sprawy rozwodowej rodziców. Stonoga najpierw się z rozpaczy trzy tygodnie temu pocięła, ale to nic nie dało prócz wysłania jej do psychiatry. Potem, Hamilek stracił mowę, a Pająk naraził się wszystkim ludziom w swojej okolicy i był spalony. Do tego groził im Dom Dziecka. Mieli dosyć awantur i głupich pytań!

- A ja - syknęła Zuza - obczaiłam, że jestem pomyłką moich rodziców! Usłyszałam to przypadkiem, gdy się kłócili. Jako zbędna poczułam, że jest im obojętne, czy jestem, czy mnie nie ma. Totalny bezsens.

Lecz to, co ich wszystkich zdecydowanie łączyło teraz, to absurdalny w dzisiejszym świecie brak telefonów, gdyż te albo zostały w domu albo przestały działać. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że bez telefonu... niemal przestaje się istnieć. Gdyby je mieli, każdy problem zmalałby radykalnie. Tymczasem promem dziarsko płynął NZP czyli nieuleczalny zespół psychiatryczny... w czasie amatorskiej terapii!

Z toku opowieści wyrwał ich upiorny kształt mostu. Na szczęście nie miał filarów, o które mogliby się rozbić. Zatem czekali na pierwszą lepszą okazję do wyskoczenia na brzeg. Spakowali się, podciągnęli nogawki spodni, żałując, że nie mają latarek. Okazja nadeszła po kilkunastu minutach, które wydawały im się wiecznością. Dogodny moment pojawił się nagle, bo przy ograniczonej widoczności na skok zostawały sekundy.

Wyskoczyli na zakręcie rzeki, gdy dno promu otarło się o piaszczystą płyciznę wyhamowując nieco bieg, za to sam brzeg stanowiła podmyta wodą trawiasta darń nieco powyżej lustra wody. Dowodził Pająk, skakał ostatni. Wcześniej ustawił kolejność desantu, aby jedni o drugich się nie poobijali przy skoku i nie potopili.

Zagrzechotało gwałtownie po pokładzie, po czym nienaturalnie szarpnęło Hamilkiem. Dopiero teraz w bladym świetle kapryśnego księżyca zorientowali się, że... Hamilek zabrał ze sobą skacząc, koniec łańcucha. Udało się go złapać razem z tym łańcuchem, ale przemoczyli dotąd suche buty. Doznali olśnienia i wiedzieli co robić! Dryfujący prom stanowił zagrożenie. Wytrzymali silne szarpnięcie z całych sił zapierając się i tonąc butami w przybrzeżnym mule zatrzymali prom. W końcu dostrzegli konar do którego go zakotwili. Teraz był bezpieczny. Spojrzeli z uznaniem.

- W mordę jeża! Hamilek!

Zmęczeni i głodni wydostawszy się na pobliskie pole zasnęli w zsuniętych ogromnych balotach słomy, dających schronienie. Tak znaleźli się na lewym brzegu, przeciwnym do tego, z którego wyruszyli. Zuza przytuliła w mroku płaczącą z tęsknoty Stonogę.

***

Rano zostali wyrwani ze snu. Zszokowani uciekali z przerażeniem, gdyż obudził ich ciągnik z zaczepionym z przodu podnośnikiem widłowym. Dźwigał wprost znad śpiących ciężkie baloty. Gdyby taki balot się zsunął zmiażdżyłby ich bezapelacyjnie. Rolnik zdziwiony, lecz i rozbawiony zatrzymał urządzenie, aby nieproszeni goście mogli zwiać. W panice otrzepywali się ze słomy. Gdy wydostali się z doliny rzeki na szosę, kilometr dalej przy zabudowaniach w sklepiku za ostatnie pieniądze kupili po bułce. Popili wodą i nabrali sił.

Ledwo wyszli zza budynku, wpadli pod pędzący konny wóz z bocznej drogi, a ciągnięty przez dwa prawdziwe kare potwory. Woźnica nie radził sobie z nimi, a Nasza Czwórka ledwo uszła spod kopyt i kół. Zaskoczeni, odetchnęli z ulgą, lecz posmutnieli. Odnieśli wrażenie, że ktoś lub coś na nich czyha. Hamilek znowu zadziałał i w ostatniej sekundzie odciągnął w bok Zuzę. To była kolejna niebezpieczna sytuacja! Młody woźnica powożący zaprzęgiem, niczym rydwanem, zdołał tylko krzyknąć jakby bezradnie no... sorry! I tyle go widzieli w tumanach kurzu i w zanikającym z wolna stukocie kopyt.

Szli w skwarze poboczem niezbyt ruchliwej szosy. Odczuwali coraz wyraźniej ogromną pustkę

w sercach i zupełny brak poczucia celu podróży. Gdy znamy cel, on się przybliża, jeśli do niego dążymy. Czuli tylko to, że koniecznie muszą określić ów cel do jakiego zmierzają. Gdy weszli w przedziwny skrawek terenu stworzony jakby z długiej, eliptycznej wydmy na wzniesieniu zwieńczonym dużym ptasim gniazdem na starym, na pół uschłym dębie, Zuza zawyrokowała:

- Bocianiec! Bocianiec na drumlinie. - pozostali, dysząc pominęli to wynurzenie Zuzy, swoim milczeniem udając, że rozumieją o czym mówi. Natomiast Hamilek skinął z uśmiechem pełnym zrozumienia, jakby nagle usłyszał swój ojczysty, dawno niesłyszany język. Zuza pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się wiedząc, że tylko on ją zrozumiał. Ujrzeli na bezchmurnym niebie krążące bociany zbierające się już do odlotu.

- A ja bym wlazł po dębie do tego gniazda. - Stwierdził Pająk.

- Przestań, tam jest ptasia... sralnia. Ptasie odchody... - Zniechęciła go skutecznie Stonoga. - Bociany, to nie są małe ptaszki.

Znowu ta chwila zawahania spowolniła, przytrzymała przedziwnie przewijający się niespiesznie film przestrzeni. Skinęli wbrew sobie, mijając wiekowy, przydrożny krzyż i zastanawiali się czy kierować się w lewo czy w prawo, lecz poszli prosto duktem przez las.

Ledwo uszli 50 kroków z głowami zadartymi w stronę bocianiego gniazda, gdy spadł tuż przed nimi z łoskotem ogromny sosnowy konar wiszący dotąd na innych gałęziach. Zatrzymali się zaskoczeni. Zuza puknęła się w czoło.

- Czekał tu, aby nas zabić, ale nie trafił. - orzekł Pająk.

- Jak tak dalej pójdzie to... zginiemy z byle powodu! - Stonoga trzęsła się z przerażenia i dostała czkawki. Zrobiło im się całkiem markotno, do bani, do chrzanu, do niczego. Szli ze spuszczonymi głowami, pełni niepokoju.

- Może po prostu nie mamy iść w tę stronę, a ten konar nas ostrzegł? - Wypaliła Zuza głosem pełnym zwątpienia.

- Czy musimy tak gnać? - Stonoga nie miała wygodnych butów. - Zostańmy tu by rozkminić w co gramy! - Zaproponowała Stonoga.

- Najwyższy czas, bo...

Lecz, szli rozpędem nabranym po przykrym, ale niepechowym konarze sosny. Rosła w nich niepewność i utajone jednak wyrzuty z powodu ucieczki.

Zbliżyli się do pierwszych zabudowań wsi. Musieli zejść w lewo na cudzy nieogrodzony jeszcze teren, gdyż całą drogę na prawo zastawiła cysterna do ścieków. Kierowca wsuwał właśnie koniec grubej karbowanej rury do otworu szamba, aby je wypompować. Włączył pompę, a rura zassała. Ohydny płyn szedł w zieloną bekę na ciężarówce. Nasza Czwórka właśnie przemykała między brzegiem szamba ukrytym pod ziemią, a kołami ciężarówki.

Albin Pacyna, właściciel letniskowego domku i szamba, do którego spływały ścieki machnął na nich ręką wściekły. W tej samej chwili ziemia się zapadła. Albin Pacyna gwałtownie, a skośnie wsuwał się w niewidoczną czeluść. Za moment pochłoną go głodne usta ziemi... Operator pompy nie mógł nic zrobić, lecz struchlał, dostrzegłszy grozę. Znał takie wypadki. Dobrze wiedział, że kto wpadnie do szamba... ten ginie, a ci, co usiłują go ratować, tak samo!

Pająk i Stonoga zdołali chwycić faceta za wygrażającą im rękę. Jeszcze brzmiały jego słowa: „przeklęte bachory"! Łapiąc równowagę i lecąc w cuchnącą czeluść machnął drugą ręką za siebie, a tę pochwycili bezwiednie Hamilek i Zuza. Ciężar faceta przygiął ich do ziemi, ale dali radę. Dotarło do nich, co się stało, wszak ich wysiłek wsparł właściciel ciężarówki.

- Won stąd szczeniaki! - Ryczał Albin Pacyna uratowany, lecz zszokowany. - Diabli was tu nadali!!! Spadajcie stąd, ale już! Ale pech! To ich wina, że się zarwało! Szlag!

***

Tymczasem dziadersi odpowiedzialni za zaginioną Naszą Czwórkę wszczęli oczywiście nerwowe poszukiwania. Mieli swoje przejścia, zmartwienie i ogromne niepokoje, co z nimi. W tle, przy nieświadomości poszczególnych osób Naszej Czwórki, niejako na głębokim zapleczu działo się, oj działo! Policja. Rozdygotani wychowawcy kolonijni. Kierownik Art Niziura. Kierowca i cała masa ludzi od kucharek, po osoby postronne. Monitoring w miasteczkach.

***

Oni... poszli jak zmyci z bijącymi sercami tym ułamkiem czasu, w którym stało się to, co się stało. Nie mogli ochłonąć. Byli już daleko od zdarzenia. Szambiarz zaś otrząsnąwszy się z szoku, wycedził:

- Panie Pacyna! Jaki pech? Jakie bachory? Czyś pan dostał na głowę? Uratowali panu życie! Aż się cały trzęsę. Jeszcze chwila, a byłby pan

w dole. Policja. Prokurator. Pogotowie, przysięgam, że zbędne. I pogrzeb!

- uhm.

- Jakżeś pan panie Pacyna zrobił, że to się zarwało?

- To oni zarwali! No... koparka wykopała, wsadziliśmy plastikowy zbiornik z bratem do dołu i zakopaliśmy. O co chodzi!?

- No to już po szambie.

- Jak to?

- Już go nie ma.

- Zniszczę producenta, wytoczę mu proces.

- A... zrobił pan wszystko jak trzeba? No, zgodnie z instrukcją? Wylał pan oczywiście betonową płytę nad plastykowym szambem?

- Jaką płytę? Po co?

- 40 centymetrów nad zbiornikiem musi być płyta, która prawidłowo rozkłada siły nacisku gruntu na plastykowe było nie było ściany pojemnika! Fizyka panie!

- A. Jasny gwint! Faktycznie coś mi majaczy, że tam był jakiś zapis w instrukcji. Szlag!

- Mogły tam wpaść pana dzieci.

***

Przechodzący ludzie nie mogli się nadziwić kiedy zobaczyli czworo małolatów niemal tarzających się ze śmiechu. Rofl! Dopadła ich stuprocentowa głupawka. Ludzie różnie odreagowują stres.

Na dodatek zaczęli się przekrzykiwać i błaznując kręcili bekę:

- Ty bachorze! Nie spytałaś się czy możesz mnie chwycić za rękę!

- Bardzo pana przepraszam, właściwie to niepotrzebnie weszłam panu w drogę.

- Tak, a może ja właśnie chciałem wpaść do tej cuchnącej brei? W końcu mam prawo!

- My bardzo przepraszamy. Powinniśmy zapytać.

- Smarkacze, zdarliście mi swymi pazurami skórę na nadgarstkach!

- Prosimy o wybaczenie! To się więcej nie powtórzy.

- O - b i e - c u - j e - m y.

W końcu ucichli, znużeni i zaskoczeni obwinieniem o zarwanie zbiornika. – Czyżby kolejne obciążenie winą do kolekcji Zuzy?

Hamilek wyskoczył pół metra w stronę ulicy i... z zapałem machnął ręką. Złapał stopa. Sztos! Znowu mieli więcej szczęścia niż rozumu. Kierowca, jak się okazało jechał w strony dla nich dogodne, a że miał swoje dzieci, to i wiele pojmował. Poczęstował ich jeszcze ciepłą pizzą. Już nigdy potem żadna im tak nie smakowała.

***

Tak oto Nasza Czwórka gnana niby bezsensem swej improwizowanej ucieczki, jakby bezcelowej, znalazła się co do sekundy w jedynym momencie – zupełnej błahostki dla świata – jednak dokładnie w miejscu istotnym, a nieplanowanym aby ich i cudze życie nabrało nowego znaczenia.

Potem, przecież jakoś wrócili do domów. Ich rodzice się rozeszli, albo nie. Hamilek być może przemówił.

Tylko Zuza przez kilka nocy po przyjeździe do siebie, nie mogła zasnąć. Wracała do niej niczym przykry motyw manii prześladowczej treść tych dwóch, czy trzech sekund. Drżała na myśl, że przecież i oni mogli wpaść w podziemną otchłań. Jasno postrzegała wszystkie te momenty, które ustawiły ich kurs i wpisały tajemnie w jedyny czas i miejsce, gdzie musieli przybyć aby nie doszło do tragedii. Na wiele pytań nie znalazła odpowiedzi. Bo jak to możliwe?

Pocieszała się szepcąc niczym zaklęcia: Tam, na drumlinie jest bocianiec w rwanym dębu konarze! O! Polopirynian sodu i perhydrol drylu!

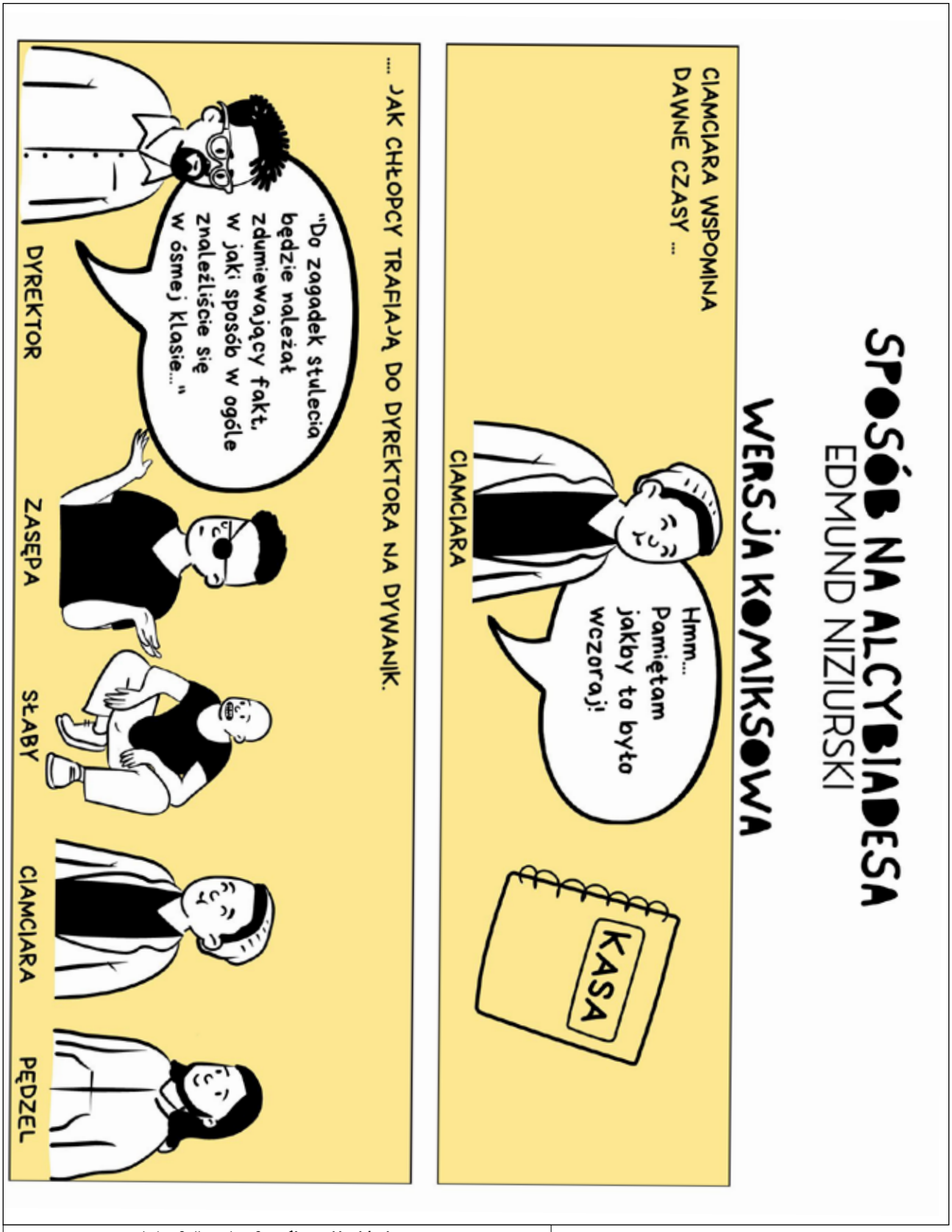

Luiza Sułkowska, ***Sposób na Alcybiadesa***

NAUCZYCIELE, ZWANI GOGAMI, PRZEŻYWAJĄ "WSTRZĄS PEDAGOGICZNY".
Przecież Wy nic nie umiecie!
ŻWACZEK
"DZIADZIA"
DOBRA PASSA KOŃCZY SIĘ W NOWYM ROKU SZKOLNYM.
Już ja się za nich wezmę !
DYREKTOR
W OBSERWATORIUM....
W szkole od wieków zwalczają się dwie tendencje, uczniów i nauczycieli. Zburzyliście tę równowagę! Macie miesiąc na naprawienie błędów.
ALIBABA
ZASĘPA
SŁABY
CIAMCIARA
PĘDZEL
CHŁOPCY SZUKAJĄ SPOSÓBÓW NA GOGÓW...
ZASĘPA PRZEKUPUJE KIELECKIEGO, KTÓRY DAJE UCZNIOM NAMIARY DO LEPKIEGO, ZWANEGO SZEKSPIREM.
każdy nauczyciel ma swoją piętę Achillesa
ZASĘPA

ÓSMOKLASIŚCI PORYWAJĄ SZEKSPIRA.
SZEKSPIR
Nic a nic wam nie powiem!
UCZNIOWIE UDAJĄ SIĘ DO KICKIEGO.
KICKI
W zamian za rakietę tenisową - dam wam namiary na Wątłusza Pierwszego.
CHŁOPCY NAWIĄZUJĄ KONTAKT Z WĄTŁUSZEM.
Mamy czterdzieści siedem złotych i dziesięć groszy...
ZASĘPA
SŁABY
CIAMCIARA
PĘDZEL
WĄTŁUSZ PIERWSZY
Za tę kwotę możecie jedynie kupić sposób na profesora Misiaka - Alcybiadesa.
WĄTŁUSZ PIERWSZY
Po walce bokserskiej mam zaniki pamięci!
WĄTŁUSZ PROPONUJE, ŻE PRZYPROWADZI SZEKSPIRA, KTÓRY ZNA „SPOSÓB". BYŁY BOKSER PRZEKONUJE ÓSMOKLASISTÓW, ŻE LEPKI „WISI" MU PRZYSŁUGĘ. SZEKSPIR ZDRADZA SPOSÓB NA ALCYBIADESA...

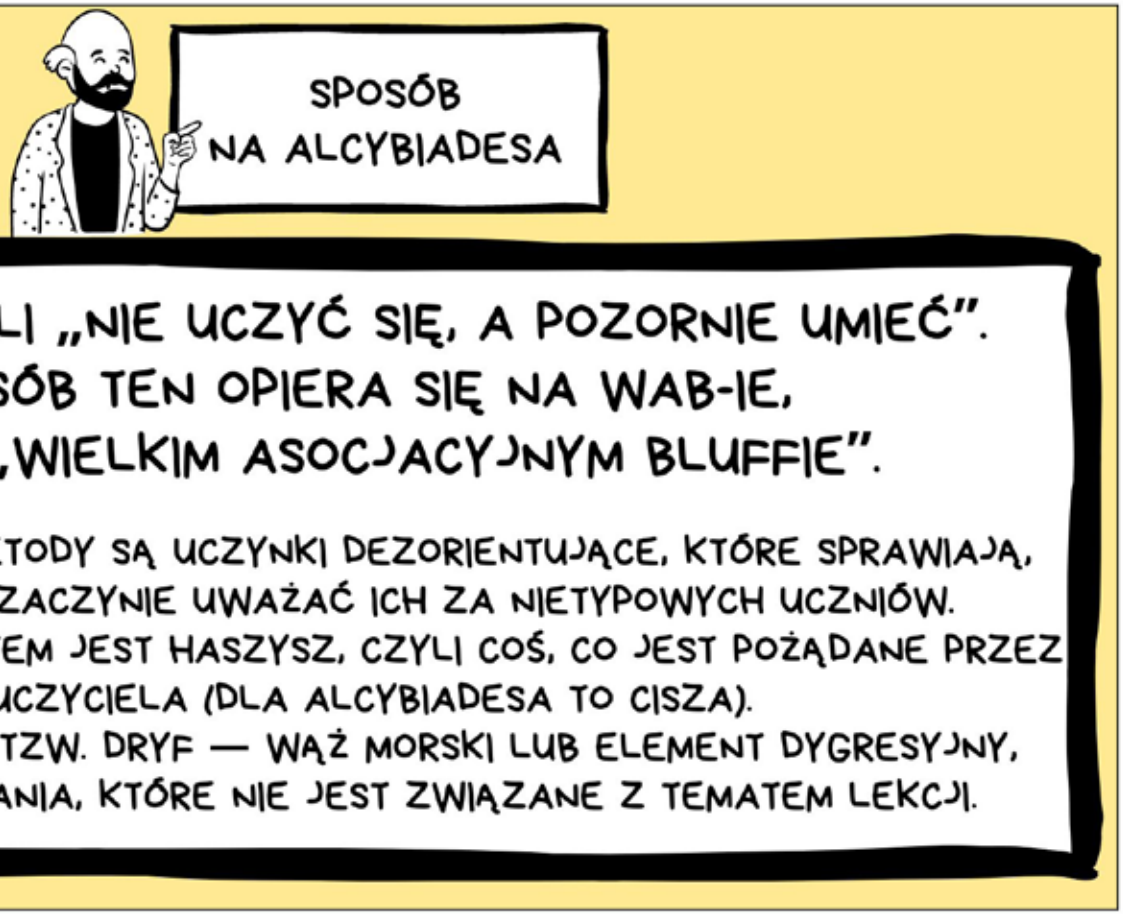
SPOSÓB
NA ALCYBIADESA
NUPUM, CZYLI „NIE UCZYĆ SIĘ, A POZORNIE UMIEĆ".
SPOSÓB TEN OPIERA SIĘ NA WAB-IE,
CZYLI „WIELKIM ASOCJACYJNYM BLUFFIE".
PODSTAWĄ TEJ METODY SĄ UCZYNKI DEZORIENTUJĄCE, KTÓRE SPRAWIAJĄ,
ŻE PROFESOR ZACZYNIE UWAŻAĆ ICH ZA NIETYPOWYCH UCZNIÓW.
WAŻNYM ELEMENTEM JEST HASZYSZ, CZYLI COŚ, CO JEST POŻĄDANE PRZEZ
NAUCZYCIELA (DLA ALCYBIADESA TO CISZA).
DALSZY ETAP TO TZW. DRYF — WĄŻ MORSKI LUB ELEMENT DYGRESYJNY,
W POSTACI PYTANIA, KTÓRE NIE JEST ZWIĄZANE Z TEMATEM LEKCJI.
CHŁOPCY WCIELAJĄ W ŻCYCIE
SPOSÓB NA ALCYBIADESA
MIMO POCZĄTKOWYCH SUKCESÓW DRYF
NIE DZIAŁA NA PROFESORA MISIAKA.
ZASĘPA
SŁABY
CIAMCIARA
PĘDZEL

CHŁOPCY WDRAŻAJĄ TZW. DRYF HISTORYCZNY.
Wasze starania przypadły mi do gustu!
ALCYBIADES
Osiągnęliśmy sukces!
ZASĘPA
SŁABY
CIAMCIARA
PĘDZEL
ZA PRZYKŁADEM PROFESORA MISIAKA IDĄ NIEKTÓRZY NAUCZYCIELE. ZACZYNAJĄ ROZMAWIAĆ Z UCZNIAMI I DOSTRZEGAĆ ICH MOCNE STRONY.
Zasępa, stajesz się nieoszlifowanym diamentem!
"DZIADZIA"
ZASĘPA
Masz duszę eksperymentatora!
CIAMCIARA
"FARFALA"
PROFESOR MISIAK CHCE UDOWODNIĆ DYREKTOROWI, JAK WIELE NAUCZYLI SIĘ ÓSMOKLASIŚCI.
Weźmiecie udział w wycieczce!
ALCYBIADES
CIAMCIARA MA KOSZMAR, W KTÓRYM KOMPROMITUJE NAUCZYCIELA HISTORII. A TEN Z ŻALU UMIERA.
Przecież my nic nie umiemy!
CIAMCIARA

KONIEC

POMYSŁ I WYKONANIE: LUIZA SUŁKOWSKA

Dawid Ożóg

Złota piątka

Nie przypuszczałem, że jeszcze będę miał okazję spotkać dawnych kompanów. Mam na myśli Zygmunta Gnackiego, Aleksandra Kleksińskiego i Macieja Kwękacza. Celowo użyłem ich pełnych imion i nazwisk, bo w końcu są to już – podobnie jak ja – dorośli faceci. A o dorosłych nie wypada mówić inaczej. Gdyby ktoś powiedział do Zygmunta, który na co dzień prowadzi zajęcia z pedagogiki stosowanej na jednej z warszawskich uczelni, a do tego był uczestnikiem polskiej ekspedycji na Antarktydę – Gnat, do Olka, dyrektora warszawskiego ZOO – Kleksik, a do Macieja, zawodowego żołnierza stacjonującego w Dęblinie – Kwękuś – nie brzmiałoby to poważnie.

A jakoś tak się dzieje, dokładnie nie wiem kiedy, że przekraczamy tę granicę i nagle z Gnatów, Kleksików i Kwękusiów stajemy się Zygmuntami, Aleksandrami i Maciejami. Z całej naszej czwórki chyba tylko mnie los obdarzył w najmniej spektakularny sposób. Może nie pamiętacie, ale w latach szkolnych zajmowałem się pisaniem artykułów do gazety. Zbierałem nawet materiały do wydania książki – Naprzód, Wspaniali! Nie wiem, ile już czasu minęło od tamtych wydarzeń. Miano wspaniałych jakoś nie do końca później do nas pasowało. Po szkole rozjechaliśmy się na studia. Jeszcze wtedy, od czasu, do czasu udawało nam się spotkać, kiedy przyjeżdżaliśmy do domów. Po studiach każdy poszedł w swoją stronę. Ja zostałem redaktorem regionalnego oddziału gazety. Można pomyśleć, że to spełnienie moich dziecięcych marzeń. Trochę tak, ale nie spodziewałem się, że zamiast o wydarzeniach z pierwszych stron gazet będę zajmował się rubryką dla rolników. Nie żebym uważał, że to nieistotne, jednak zaczytując się w reportażach Ryszarda Kapuścińskiego, po cichu liczyłem na to, że zostanę kolejnym cesarzem reportażu. A jestem mieszkającym w małej miejscowości redaktorem piszącym o rolniczych sprawach.

*

Nic nie zapowiadało, by coś miało się zmienić w życiu każdego z nas. Parę lat temu, Zygmunt zadzwonił do mnie z życzeniami urodzinowymi, ale później kontakt totalnie nam się urwał. Kleksik i Kwękuś, jako pierwsi z nas wpadli w małżeńskie sieci i przepadli jeszcze wcześniej. Tak było do czasu... Pewnego razu przypadkowo spotkałem się z całą trójką, kiedy zbierałem materiały do letniego wydania specjalnego o szkodnikach zagrażającym uprawom zbóż. Kleksik był akurat na wycieczce w poszukiwaniu zaginionego tygrysa... Sprawa dosyć kiepska i szczęśliwie nie nabrała większego rozgłosu, ale tak właśnie było. ZOO mieszczące się na warszawskiej Pradze pełniło rolę lokum między innymi dla dwóch tygrysów. Po słynnej akcji z facetem, który wskoczył do misiów i podjął z nimi zabawę w chowanego, Kleksik osiwiał w ciągu tygodnia. Myślał, że nic gorszego już go nie spotka. Płonne były jego nadzieje. Dokładnie po dziesięciu dniach od zabawy pomiędzy misiem, a nie do końca zrównoważonym poszukiwaczem niedźwiedzich przygód, z ZOO uciekł tygrys. Początkowo nikt tego nie zauważył (trochę mnie to dziwiło). Tygrys o imieniu Samson pewnego poranka uznał, że miło byłoby zwiedzić okolicę. Nikt nie wie jak udało mu się opuścić ZOO, ale facet karmiący zwierzęta zauważył, że Samson nie jadł w ogóle swoich porcji świeżych warzyw i owoców. W końcu, zdeterminowany sam wszedł do klatki i.... Nikogo nie zastał. Jak się później okazało, Samson rezydował w bliskich okolicach ode mnie. To znaczy pod Warszawą, gdzie przeczesywałem pola w poszukiwaniu szkodników zbóż. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy wśród połaci zbóż ujrzałem wielkiego tygrysa. Byłem raczej przygotowany na mszyce czy coś w tym rodzaju, ale T Y G R Y S? Zdziwienie było tym większe, kiedy za tygrysem zobaczyłem biegnącą grupkę żołnierzy z siatkami. Wyglądali jak Pan Kleks łapiący motyle. Tyle, że w tym konkretnym przypadku motyl był pod postacią tygrysa. Naprawdę sporego T Y G R Y S A. Jeden z żołnierzy krzyknął do mnie żebym uciekał. Wtedy, chyba po raz pierwszy, poczułem co to znaczy nie móc się ruszyć z przerażenia. Już tylko kilka metrów dzieliło mnie od biegnącego w moją stronę olbrzyma. Żołnierz dalej do mnie krzyczał i ruszył w pościg za tygrysem. Ten jednak niewiele robił sobie z żołnierskich siatek i pokrzykiwań. Właśnie wybijał się z tylnych łap, kiedy ktoś popchnął mnie z całej siły. Zatrzymałem się na drzewie. Okulary lekko przekrzywiły się na moim nosie. Nos zresztą też się skrzywił.

Odwróciłem głowę zaciekawiony dalszym rozwojem wydarzeń. Człowiek, który mnie odepchnął, sam stanął naprzeciwko tygrysa. Wyglądało to dosyć komicznie. Ubrany był w strój w stylu safari. Na głowie miał nawet beżowy kapelusz. Wymachiwał czymś w stronę zwierzaka i wołał tylko:

– Samson! Do cholery! Stój, mówię ci stój!

Żołnierz, który wcześniej do mnie krzyczał, teraz dogonił w końcu lekko zmieszanego tygrysa i rzucił w jego kierunku sporym kawałem surowego mięsa. Samson spojrzał, ale nawet się nie oblizał.

– On jest wegetarianinem – jęknął Doktor Dollitle (tak w tamtym momencie go nazwałem).

– Skoro tak, to po co cała afera? – krzyknął żołnierz. – Chłopaki, wycofujemy się! – zwrócił się do reszty.

– Ale jak to się wycofujecie? – stęknął Dollitle. – Przecież trzeba go złapać!

Żołnierz przystanął i ewidentnie było widać, że w jego głowie toczy się proces myślowy. – Kleksik? – wypowiedział w końcu.

Facet w kapeluszu zmarszczył brwi. Przetarł spocone czoło niemniej mokrą ręką. Popatrzył w stronę żołnierza.

– Kwękuś? – spytał.

– Chłopaki! – krzyknąłem do nich, ale niewiele to dało. Samson już wzbił się w powietrze.

Kleksik na mnie spojrzał. Kwękuś zresztą też. Wydawało mi się, że nawet tygrys, nadal lecący w powietrzu, obrócił pysk w moją stronę.

– Tom...? – Kleksik nie dokończył, bo Samson właśnie wylądował z impetem na jego barkach, oczywiście przewracając go na ziemię. Zaczął lizanie po całym ciele. W kilka chwil jego beżowe wdzianko było całe mokre. Kwękuś podbiegł do nich, ale Kleksik zdołał tylko wypowiedzieć:

– Czekaj! Nic mi nie jest! Przynieście wodę!

Kwękuś popatrzył na młokosów w zielonych strojach stojących w bezpiecznej odległości.

– Słyszeliście! Kleksik chce wody!

Żołnierze sięgnęli po bukłaki.

– Nie ja! Samson! – jęknął Kleksik.

Kwękuś nieco zmieszany podszedł do Kleksika. W dłoni trzymał wodę, ale widać było, że nie wie, co ma zrobić. Podbiegłem do nich poprawiając uprzednio poturbowane okulary. Wyrwałem z ręki Kwękusia bukłak z wodą.

– Samson! – krzyknąłem. – Chodź do mnie, w tej chwili! Masz tu picie! Słyszysz? – odbiegłem kilka kroków od nich i pochlapałem tygrysa wodą. Samson istotnie zainteresował się wodą. A może moją osobą. W każdym razie, kiedy tygrys odpuścił Kleksikowi i ruszył w moim kierunku, odrzuciłem bukłak z wodą w prawo, a sam uciekłem na pobliskie drzewo. Oczywiście wcześniej musiałem się potknąć, ale tym razem Kwękuś szarpnął mnie za ramię i pomógł wdrapać się na gałąź. Sam zrobił zresztą to samo. Nie było to jednak konieczne. Samson pił łapczywie. Żołnierze dorzucali kolejne bukłaki z wodą. Kleksik otrzepał się z kurzu i próbował wycierać tygrysią ślinę z twarzy. Nagle ktoś zaczął głośno klaskać. Odwróciliśmy się. Jakiś wysoki, dobrze zbudowany gość stał z grupką młodzieży w pobliżu.

– Brawo! Po prostu brawo! – krzyczał. – Nie wierzę, no po prostu nie wierzę! – dodał po chwili.

Podbiegł do tygrysa. Rozkazał kilku chłopakom ze swojej grupy, by otoczyli pijącego tygrysa. Skinął na żołnierzy, by oddali im siatki. Zbliżyli się do Samsona i zgrabnie nałożyli na niego żołnierskie sieci. Dyrygujący, z gracją wskoczył na Samsona i związał sieć na samym szczycie. Siedział na nim, jak kowboj po wygranej w rodeo. Samson zakręcił się, a facet tylko skinął głową wpatrującym się w niego z niedowierzaniem zgromadzonym.

To był Zygmunt Gnacki. G N A T.

*

Właśnie wtedy spotkaliśmy całą czwórką po raz pierwszy od dawna. Bardzo dawna. Wspominaliśmy akcję z browarem i przemytnikami. Śmialiśmy się do rozpuku, kiedy Kleksik przypomniał nam wszystkim komiczne nieraz sytuacje związane ze zdobyciem tytułu wspaniałych. Popołudnie zostało nagle przywitane przez wieczór. Ostatni pociąg z Warszawy odjeżdżał po dwudziestej. Powiedziałem chłopakom, że będę musiał ich opuścić, ale nie chcieli nawet o tym słyszeć. Gnat zaoferował, żebym przenocował u niego. Początkowo nie brałem tego pomysłu na poważnie, ale kiedy nagle zastała nas godzina dziewiętnasta, postanowiłem zadzwonić do redakcji.

– Roman? – rzuciłem do słuchawki nieco bełkotliwym tonem.

– Tomku, co jest tak niecierpiące zwłoki, że dzwonisz do mnie o tej porze? – odparł głos w słuchawce. Należał do mojego szefa.

– No, właśnie – zacząłem. – Ja w sprawie z a w o d o w o d o w e j.

– Chyba zawodowej?

Gnat szturchnął mnie w ramię i kazał się opanować.

– Tak, z a w o d o w o w e j – nie wiedzieć czemu, znowu popełniłem błąd. – Czy istnieje potencjalnie szansa, żebym jutro nie pojawił się w redakcji? Osobiście? – dodałem.

W słuchawce zapanowała chwila ciszy.

– Ale co to znaczy osobiście? To w jaki sposób planujesz się pojawić? – Wyraźnie poirytowany szef nie do końca wiedział o co mi chodzi. Zresztą, sam nie wiedziałem.

– Zbieram te materiały o szkodnikach zbóż, jestem pod Warszawą i właśnie odjechał mi ostatni pociąg. Jutro mógłbym kontynuować pracę stąd – wybrnąłem nawet całkiem zgrabnie.

Szef trochę pomarudził, ale ostatecznie uznał, że to całkiem niegłupi pomysł. Ukontentowany Gnat nalał jeszcze złocistego płynu do pustej szklanki tak, że piana wystawała już poza jej obrzeża. Posiedzieliśmy jeszcze godzinę w komplecie, po czym każdy poszedł w swoją stronę. Znaczy ja w tę samą, co Zygmunt.

– Od dawna zabierasz studentów na łąki pod Warszawą? – spytałem, kiedy maszerowaliśmy do jego mieszkania.

– Od kiedy zostałem wykładowcą, trochę znudziło mi się wieczne siedzenie w zamkniętych pomieszczeniach. A studenci nawet całkiem dobrze zareagowali na moją propozycję. Przynajmniej raz w tygodniu idziemy w teren.

– O.K., ale przecież wykładasz pedagogikę stosowaną, a nie geografię? Władze nie mają nic przeciwko?

– A kto powiedział, że wiedzą? – Mrugnął z błyskiem w oku. Zostało mu to z lat młodości.

– Nie boisz się, że ktoś cię kiedyś podkabluje? Wiesz, czasy się zmieniły...

Zygmunt wyjął paczkę papierosów i skierował ją w moim kierunku. Odmówiłem. Schował ją z powrotem do kieszeni.

– Masz rację, sam nie palę od lat, ale w towarzystwie jakoś zawsze raźniej. Noszę tę paczkę na wszelki wypadek – powiedział. – A wracając do pytania. Nie, nie boję się. Zresztą, czy coś w tym złego, że zabieram młodzież na świeże powietrze? Siedzą teraz wszyscy w tych smartfonach, laptopach. Wiesz ile godzin spędzają online? Chyba łatwiej byłoby policzyć, kiedy nie są online. Może wtedy, gdy śpią. A pamiętasz nasze gówniarskie lata? Przygody, tajemnice, bitki, niespełnione miłości? Nawet złapałem kontuzję, kiedy skakałem w Zakopanem na skoczni.

– Ten pomysł akurat nie był najszczęśliwszy – zauważyłem.

– I tak, i nie. Dzięki temu miałem czas, żeby nabyć wiedzę teoretyczną i praktyczną w szeroko rozumianej pedagogice, nie pamiętasz?

Istotnie, po złamaniu kręgosłupa, Zygmunt szkolił się w wielu dyscyplinach, po czym wrócił do nas jeszcze bardziej bystry niż przed wypadkiem.

W końcu dotarliśmy do jego mieszkania. Drzwi otworzył nam jego syn. Wyglądał jak młoda kopia Gnata. Wysportowany, widać było, że lubi podrzucać ciężary w siłowni.

– Cześć tato! – przywitał ojca, po czym popatrzył na mnie. – Wujek Tomek?

Zdziwiłem się, że pamiętał moje imię. Z drugiej strony, byłem jego ojcem chrzestnym, ale niezbyt narzucającym się swoją osobą.

– Witaj Kacprze! – odpowiedziałem i wyciągnąłem w jego kierunku swoją dłoń. Uścisnął ją na tyle mocno, że aż poczerwieniałem.

W środku, młodszy brat Kacpra siedział w salonie i próbował podłączyć jakieś ustrojstwo do telewizora.

– Co robisz, smyku? – Zygmunt spytał młodszego z klanu Gnackich, ale ten nawet się nie obrócił, tylko dalej próbował podłączyć kable do telewizora.

– Co ty tam masz? – Gnat zbliżył się do syna.

Na stoliku leżała żółta, gruba dyskietka z napisem ZŁOTA PIĄTKA, a obok stara konsola Pegasus, którą sam pamiętałem z lat dziewięćdziesiątych.

– Katridż ze Złotą Piątką – odpowiedział w końcu chłopak.

– Co? – Zygmunt złapał katridż i zdążył tyko przeczytać Big Nose. – Skąd to masz?

– Dostałem od kolegi.

– Wojtek, powiedz prawdę. Nie dostałeś, tylko kupiłeś. I nie od kolegi, tylko przez internet.

– No, tak. Ale to w sumie wychodzi na to samo. Zresztą, to nieważne, bo nie działa.

– Jak to nie działa? – spytał Zygmunt.

– Po prostu, sprzedali mu jakiś szajs – zauważył Kacper. – Zresztą i tak nie rozumiem po co Wojtkowi takie badziewie. Przecież to będzie miało ze dwadzieścia lat. Naoglądał się starych filmików w internecie i ostatnio ma fazę na gry retro.

Zygmunt podrapał się po lekko wybrakowanej już fryzurze. Spróbował włożyć katridż do konsoli,

popatrzył na rozrzucone na podłodze kable. Popatrzył na mnie pytająco. Tylko wzruszyłem ramionami.

– Spróbujemy to wyjaśnić? – spytał wreszcie.

Czekałem na to. W końcu, po latach, kolejna przygoda!

*

Sprawdziliśmy historię zamówienia na portalu aukcyjnym. Nick dostawcy niewiele mówił. Było to po prostu imię #Jerzy. Widocznie #Jerzy uczynił sobie dodatkowy, jeżeli nie jedyny, zarobek. Jedna konsola kosztowała dwieście pięćdziesiąt złotych. Do tego, jeśli chciało zamówić się od razu katridż z grą, należało dołożyć dodatkową stówę. A liczba konsol do sprzedaży wynosiła ponad tysiąc! Pal licho, gdyby konsole były dobre, ale ta ewidentnie nie działała.

Gnat zadzwonił do biura obsługi klienta portalu aukcyjnego.

– Cześć, opowiedz mi o swoim problemie – przywitał go głos w słuchawce.

– Nie wiem od kiedy jesteśmy na „ty", ale niech będzie. – Lekko naburmuszony Zygmunt opisał dokładnie, kiedy syn kupił grę, od kogo i przede wszystkim, że nie działa.

– Zwolnij! Mówisz za szybko, pozwól mi przetworzyć informację. – Głos dopiero teraz wydał się Gnatowi trochę sztuczny.

– Z kim rozmawiam? – spytał.

– Jestem profesjonalnym pomocnikiem portalu. Zadaj mi jeszcze raz pytanie, a postaram się pomóc najlepiej, jak potrafię. Wybierz 1, jeśli dzwonisz w sprawach reklamacji, wybierz 2, jeśli chcesz zwrócić towar, wybierz 3, jeśli jesteś sprzedającym, wybierz 4, jeśli jesteś kupującym, wybierz 5, jeśli chcesz wysłuchać klauzuli o ochronie danych osobowych, wybierz 6, jeśli chcesz połączyć się z konsultantem...

– Wybierz 6! – krzyknąłem do ucha Zygmuntowi, aż podskoczył. Omyłkowo wybrał 5.

– Twoje dane osobowe... – Robot w słuchawce zaczął tyradę na temat rozporządzenia o ochronie danych osobowych.

– Cholera! Nie chcę RODO, tylko połączyć się z konsultantem! – Kliknął 6 na telefonie i po paru sygnałach w końcu odezwał się kobiecy głos.

– Słucham?

Zygmunt jeszcze raz opisał, co spotkało jego młodszego syna.

– Dobrze, przyjęłam.

– O.K., ale co dalej? – spytał Zygmunt.

– Dalej, to ja już nie wiem proszę pana. Przekazuję zgłoszenie do działu reklamacji.

– Ale ja chcę dane tego mężczyzny, który sprzedał mojemu synowi felerny sprzęt! – Gnat zdenerwował się i zaczął bluzgać do słuchawki.

– Proszę się uspokoić. Przyjęłam zgłoszenie, nic więcej nie mogę zrobić, poza tym obowiązuje RODO, nawet jakbym miała dane sprzedającego, nie mogłabym ich panu podać.

– Że co?! Przecież to oszust, kanciarz!

Kobieta odłożyła słuchawkę.

– Słyszałeś? – Gnat spojrzał na mnie. – Wzięła i się rozłączyła.

– Tato, wystarczy wpisać nick tego gościa w wyszukiwarkę, zobaczę po innych kupujących, spróbuję się do kogoś odezwać i może spytamy, czy też zostali oszukani. – Starszy z braci Gnackich zaoferował pomoc.

Gnat chyba do końca nie wiedział, o czym mówi do niego Kacper, ale przytaknął głową. Po kilkunastu minutach mieliśmy już co najmniej pięć osób, które również otrzymały niedziałający sprzęt.

– Wklep mi jeszcze raz ten nick w tę twoją wyszukiwarkę. Może znajdziemy faceta na jakichś innych portalach – rozkazał Gnat. Zobaczyłem w jego oczach świeżą krew. Podobną do tej, kiedy w szkolnych latach coś sobie postanowił, zwietrzył możliwość doprowadzenia sprawy do końca.

Kacper w końcu znalazł #Jerzego na Facebooku i na archiwalnej stronie Nasza Klasa. Zwłaszcza ten drugi portal wpadł w oko Zygmuntowi.

– Weź mi tu przewiń. – Wskazał na jedną z klas. Okazało się, że #Jerzy wrzucał informację o możliwości kupna konsoli Pegasus na forum klasowym... Defonsiaków! Tak, Defonsiaków, z którymi do dzisiaj łączy nas uczucie wrogości, kiedy tylko słyszymy nazwę szkoły.

– Jerzy... – powiedziałem na głos. – Jasny gwint! Jerzy! Pamiętasz Grubego Cypka?! Całą szkołę gadał, że chce zostać w przyszłości programistą! – krzyknąłem do Gnata.

Zygmuntowi rozszerzyły się źrenice.

– Ubieraj się! – polecił mi jednocześnie zgarniając ze stołu konsolę z grą. – Wiem, gdzie go szukać!

Zamówiliśmy taksówkę, ale nie przyjeżdżała przez najbliższe piętnaście minut.

– Czemu nie wzięliście Ubera? – spytał Kacper.

Słyszałem o tym, ale nigdy nie korzystałem. Poza tym, nie wiedziałem, jak obsługuje się aplikację na telefon. Zygmunt był już bliski instalacji aplikacji na swoim telefonie po instruktażu od syna, ale w końcu pod oknem zjawiła się wyczekiwana taksówka.

– Pan jedzie na Wawer – polecił kierowcy.

– Ale gdzie na ten Wawer? – spytał taksówkarz miętoląc zapałkę między wybrakowanym, górnym uzębieniem.

– Ogórkowa!

Spytałem Gnata skąd wie, gdzie mieszka Gruby Cypek, ale tylko tajemniczo się uśmiechnął. Znowu. Najpierw niespodziewanie pojawił się w podbramkowej sytuacji i spacyfikował tygrysa z ZOO. Teraz, jakby nigdy nic rozkazuje taksówkarzowi jechać do Grubego Cypka.

*

Jerzy Cypałło chyba nie przejmował się ochroną danych osobowych, bo na ogrodzeniu miał zamontowany domofon z wielkimi literami: JERZY CYPAŁŁO. Gnat wcisnął przycisk.

– Słucham? – odezwał się męski głos.

– Proszę otworzyć – syknął Gnat.

– Ale kto mówi?

– Policja!

– Policja? O tej godzinie? A co się stało?

– Szukamy Jerzego Cypałłę. To pan? – Gnat mówił na tyle przekonująco, że przez chwilę sam uwierzyłem, że pracuje w policji.

– Tak, to ja, ale nadal nie rozumiem...

– Otwierać, wyjaśnimy w środku!

Gruby Cypek otworzył furtkę i po chwili staliśmy już pod drzwiami. Nie zdążyłem spytać Zygmunta jaki ma dalszy plan.

– Przecież to nie policja... – powiedział Jerzy wychylając się przez drzwi.

– A to – Gnat podsunął mu pod nos konsolę Pegasus – nie działa!

Przepchnął Grubego Cypka i byliśmy już w środku. Całkiem przyjemna chata. Z przedpokoju zobaczyłem salon z aneksem kuchennym, sporych rozmiarów telewizor, projektor, jakieś elektroniczne ustrojstwa i kilka laptopów. Gnat wodził wzrokiem w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby się uczepić. W końcu, niczym pies, złapał trop, wpadł do kuchni, z kuchni dalej, do małego pokoju, który cały zagracony był konsolami Pegasus.

– No! Mów mi w tej chwili, co to ma znaczyć! – krzyknął do Cypka.

Jerzy, nadal nie otrząsnął się w pierwszego szoku i chyba siłą rozpędu odpowiedział, że leżą tam konsole.

– Tyle, to my wiemy. Pytam się, dlaczego sprzedajesz niedziałające konsole młodym chłopakom?

Cypek podrapał się po łysej głowie. Widać było, że pod czaszką kotłują się myśli. Popatrzył na Gnata, potem na mnie, następnie znowu na Gnata.

– Panowie. Czy wy, to wy...? – spytał w końcu.

– A widzisz tu kogoś innego? – Gnat nie tracił rezonu i zaczął wyciągać pedantycznie poukładane konsole.

– Zostaw, popsujesz! – jęknął Cypek.

– Ale co tu jest do popsucia, skoro i tak nie działają.

– Jak to nie działają? Wszystko działa. Mój bratanek zamawia je z Chin, ja doprowadzam je do użytku i następnie młody sprzedaje je na aukcjach.

– Tak? – Gnat zbliżył się do Cypka na niebezpieczną odległość. – Tak się akurat składa, że na jednej aukcji taką konsolę kupił mój syn. I wiesz co? Nie działa!

– Niemożliwe – wycedził Cypek. – Wszystkie osobiście sprawdzam, zanim bratanek puszcza coś w obieg.

– Żebym ja ci zaraz nie sprawdził czy okulary wytrzymają uderzenie pięścią między oczy! – Gnat znowu zrobił krok naprzód.

Cypek przetarł dłonią czoło. Widać było, że na skórze pojawiły się krople potu. Chyba nie chciał spróbować siły Gnata, nawet teraz.

Uznałem, że przyszła kolej na mnie. Wszedłem między Gnata a Cypka.

– Panowie. Patrząc na sytuację z boku, myślę, że jest jakieś sensowne wytłumaczenie. Istotnie, konsola nie działa. Z drugiej strony, skoro zapewniasz, że działa – popatrzyłem na Cypka – to może działa.

– Jak działa, jak nie działa? – wtrącił Gnat.

– Przecież mówię, że działa, bo sam sprawdzam! – burknął Cypek.

– W takim razie, sprawdźmy u Ciebie. Możemy to gdzieś podłączyć? – spytałem rozglądając się.

Cypek zaprowadził nas do salonu. Podszedł do telewizora i wyrwał Gnatowi konsolę. Podłączył ją i na ekranie pojawił się Dizzy i reszta ekipy ze Złotej Piątki. Popatrzyłem na Gnata, który nieco stracił pewność siebie.

– I co? Mówiłem, że działa! – Cypek, triumfalnie rozsiadł się w fotelu.

– Czysto teoretycznie, tak. Ale praktycznie może działać u Ciebie, a u mnie już nie? – spytał Gnat.

– Praktycznie jest to możliwe, ale w teorii tylko dlatego, że możesz mieć niekompatybilny sprzęt.

– Po ludzku proszę – wtrąciłem się do rozmowy.

– Po prostu, potrzebujesz przejściówki z Euro na HDMI. Masz taką? – rzucił w stronę Gnata.

Biorąc pod uwagę wszystkie zalety Gnata, jednego nie można było o nim powiedzieć. Na pewno nie był dobrym elektronikiem. Zygmunt poczerwieniał i zaczął się nadymać. Nadymał się tak, że zacząłem czekać aż wybuchnie. Postanowiłem wybawić go z opresji.

– Może faktycznie syn nie sprawdził, czy macie dobre kable?

Gnat sięgnął po telefon. Wykręcił numer do Wojtka i podał słuchawkę Cypkowi. Jerzy wyjaśnił wszystko, jak trzeba podłączyć sprzęt, powiedział, że do konsoli dodana była instrukcja i jeśli coś nie działa, to tylko dlatego, że jest to stara gra, niekompatybilna z nowymi telewizorami typu Smart, dlatego potrzebna jest przejściówka. Napomknął, że oczywiście można taką dokupić u niego za jedyne dwadzieścia złotych.

– Łaskawca – zawarczał Gnat.

– Zanim przyjdziecie następnym razem mnie straszyć, najpierw sprawdźcie czy zrobiliście wszystko według instrukcji – powiedział Cypek.

Popatrzyłem na nich. Gnat i Cypek niewiele się zmienili od szkolnych czasów. Przynajmniej w kwestii charakterów. Nadal ścierali się ze sobą, jak przystało na przywódców dwóch, wrogich szkół. Lata mogą mijać, ale pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Cypek, daj spokój. Wpadliśmy z wizytą wyjaśniającą – spróbowałem złagodzić sytuację. Cypek spojrzał na mnie i machnął ręką.

– Wpadnijcie kiedyś, ale jak cywilizowani ludzie. Możemy się umówić na spotkanie w większym gronie. Może dalibyście znać Kleksikowi i Kwękusiowi? O ile jeszcze żyją?

– A czemu mieliby nie żyć? – spytał Gnat.

– Z ich zdolnościami wszystko jest możliwe.

– Fakt – stwierdził Gnat.

Pożegnaliśmy się, zostawiając dwadzieścia złotych Cypkowi w zamian za potrzebną przejściówkę i wyszliśmy do czekającej na nas taksówki.

– Skąd wiedziałeś, że Cypek tu mieszka? – spytałem w końcu.

– Jest jeszcze sporo spraw, o których nie wiesz, Tomku – odpowiedział wymijająco Gnat. – Wsiadaj, wszystko ci opowiem!

*

Antonina Czech, ***Jedna z przygód Marka Piegusa***

1

W szkole
Chrum!!!
Kto jest dyżurnym ?!
Ja , proszę Pana .
Trzeba przynieść kredę !
Tak , Panie Pitagorasie.
2

3

4

5

Marek Piegus?
Kreda , proszę pana.
Synku , jak było w szkole?
Koniec
6

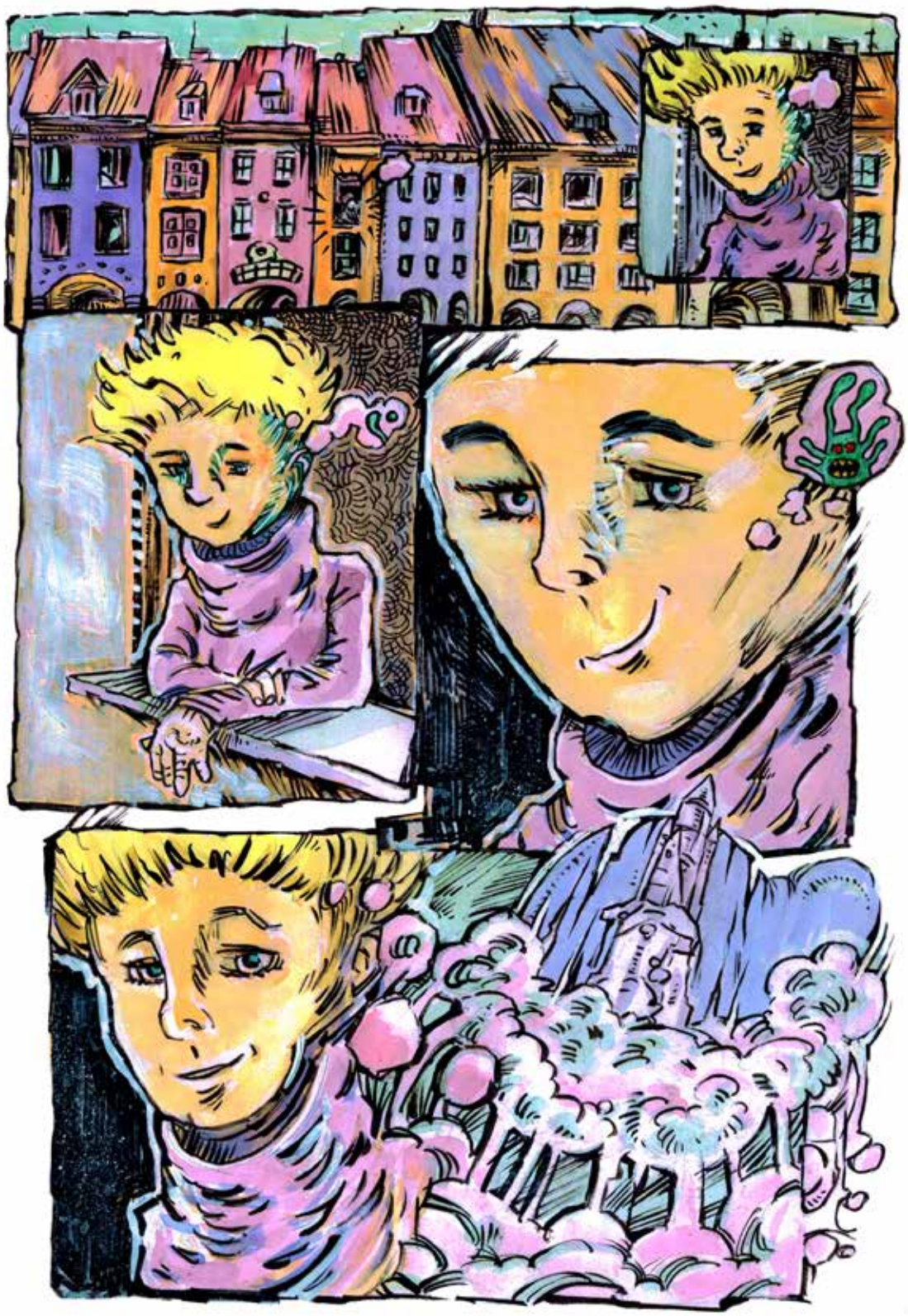

Piotr Burzyński, ***Spon***

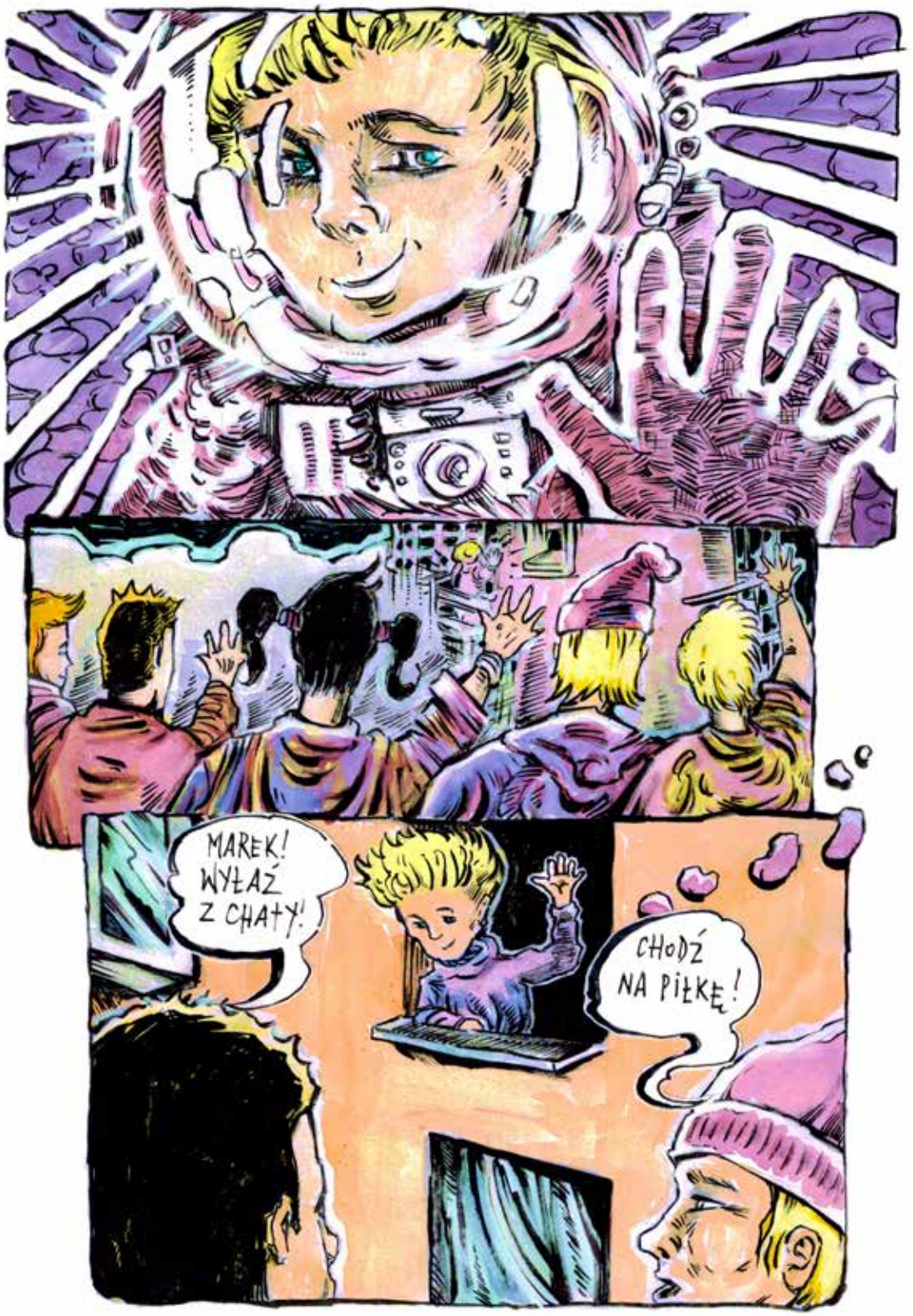
MAREK! WYŁAŹ Z CHATY!
CHODŹ NA PIŁKĘ!

TY PATRZ COŚ TAM LEŻY!
WYGLĄDA JAK KSIĄŻKA
No to otwórzmy ją i przeczytajmy
SPONA

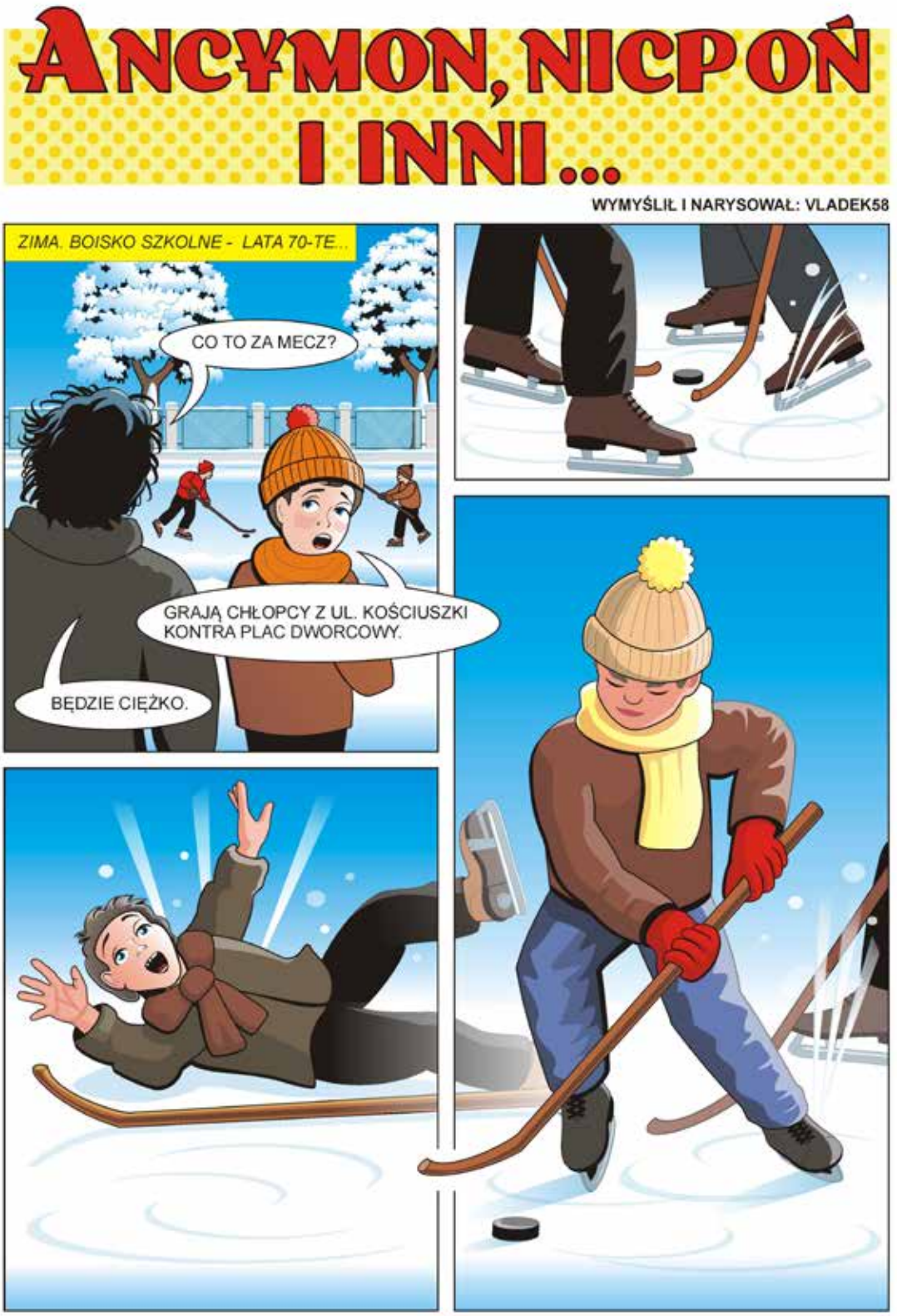

Wiesław Wojciechowski, ***Ancymon, nicpoń i inni...***

W SZKOLE
JEDNAK BĘDZIE SPRAWDZIAN Z FIZYKI. JUTRO ZNÓW MACIE WAŻNY MECZ W HOKEJA. WPISZESZ MI SIĘ DO PAMIĘTNIKA?
PÓŹNIEJ.
... A PRZYJDZIESZ NA BAL KARNAWAŁOWY?
JASNE! BĘDĘ NA PEWNO.
"BĄDŹ DZIEWCZYNĄ Z MOICH MARZEŃ MOICH WSPOMNIEŃ..."
NUCIŁEŚ COŚ?
NIEEE. TO MUZYKA W TLE.

CO ROBISZ?
CZYTAM KSIĄŻKĘ.
MUSZĘ CI ZNALEŹĆ JAKIEŚ ZAJĘCIE.
MAMO! ALE TO SZKOLNA LEKTURA!
PO PIĘCIU MINUTACH
PRZYJDŹ TU NA CHWILĘ.
... A JAK JUŻ WYRZUCISZ ŚMIECI TO KUP PO DRODZE ŚMIETANĘ ...

Wiktor Orłowski

Awantura na Niekłańskiej

Że człowiek potrafi przyjść na świat w złym czasie – i do tego bywa, że w skrajnie nieodpowiednim miejscu – to sierżant Hiacynt Żurko (urodzony w roku sześćdziesiątym piątym, na warszawskiej Woli) przekonał się w życiu niejeden raz.

Ale że nawet dom może wybrać sobie złą porę na zaistnienie – to Żurce przyszło do głowy dopiero teraz.

– Brzydki jesteś – mruknął, a szary dom przy Niekłańskiej piętnaście łypnął nań trojgiem okrągłych okien.

Postawiono go w trzydziestym ósmym z projektu Mariana Niewiarowskiego i Jerzego Brandysewicza. Jeśli nawet kiedyś był piękny, teraz zapomniał już, jaki to stan ducha. Klockowaty i przysadzisty, z przodu pokryty liszajem brązowawych kamieni, tączył urok PGR-u z wdziękiem oddziału chorób zakaźnych. W młodości przebolał wojnę i tak mu już zostało – cierpienia szarości tynku na fasadzie.

Za bramą bujnie plenił się trawnik. O boczną ścianę domu wspierała się weranda, na której nie wiedzieć czemu ktoś ustawił drabinę. Sięgała tak wysoko, że przy odrobinie gibkości można byłoby wspiąć się na dach.

Posterunkowy Fijałkowski wygramolił się z radiowozu. Hiacynt Żurko poczekał na kolegę; ramię w ramię popchnęli furtkę i, bacząc, czy na posesji nie ma psa, podeszli do czarno lakierowanych drzwi. Zadzwonili.

Zaklekotały czyjeś kroki. Kobiece – ocenił Żurko, nim stanął oko w oko z nieprawdopodobnym błękitem.

Dziewczyna miała nieco ponad dwadzieścia lat i jasną, postrzępioną grzywkę, opadającą w kilku pasmach na wypukłe czoło. Jej przecudne tęczówki koloru głębokiego kobaltu skakały jak wróble, kierując wzrok to na mundur Żurki, to na odznakę jego towarzysza.

Zalśniły ze złości.

– Jędza! – wrzasnęła ich właścicielka. – Milicję nasłała! Na mnie! Ty franco! – ryknęła w tył, ku sieni pogrążonej w mroku. – Panowie tak tu nie stoją, proszę wejść. Herbaty?

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Madame Za...wolsky? – bąknął Fijałkowski wreszcie.

– Niech mnie pan władza nie obraża. Aniela Mazur, zapraszam do środka, bo na dworze skwar. Może do picia coś zimnego jednak? Lemoniady?

– Ja nie wiem, czy pani sobie zdaje sprawę, że my nie w gości. Zgłoszono morderstwo.

Panna Aniela Mazur zasyczała jak kot.

– Morderstwo to tutaj dopiero będzie. Co za łachudra zbolała! Żeby na mnie milicję nasyłać!

Policję – chciał sprostować Hiacynt, ale się nie odezwał. Czasami lepiej zmilczeć dla zdrowia własnego i postronnych.

***

Jak ustalili w wywiadzie wstępnym, właściciel nieruchomości mieszkał w Niemczech. Prawie dwieście metrów użytkowych podzielił na trzy osobne lokale i oddał – zdaniem Hiacynta, wcale niedrogo – pod wynajem. Pokoiki na piętrze zajmowały studentki – trzy, licząc łącznie z piękną i wściekłą panną Mazur.

Kuchnia na parterze była wspólna, zaś przylegający do niej obszerny salon zajmowała...

– „Madame Zawolsky, medium" – odczytał sierżant w osłupieniu. Nie było to proste; złotą tabliczkę zawieszoną w korytarzu pokrywały zawiłe arabeski. – „Mistrzyni magii, znawczyni ars mystique: wróżenie z ręki, tarot, dialog z zaświatami".

– O każdej porze dnia i nocy – zapewniła Madame.

Siedziała, lekko zgarbiona, w atłasowym fotelu. Sierżant Żurko spostrzegł, że oczy kobiety są opuchnięte, a makijaż całkowicie rozmazany.

– O, zdecydowanie! – syknęła Aniela Mazur. – Chichoty do ciemnej nocy, postukiwania, jakieś idiotyczne pohukiwanie, oszaleć można!

– Wypraszam sobie, młoda kobieto – odparła Madame Zawolsky wyniośle.

– To ja sobie wypraszam wzywanie na mnie milicji!

– Policji – bąknął sierżant Żurko, zakrzyczany przez obie panie.

Zgromadzili się w „mistycznym saloniku" Madame Zawolsky (jak ustalili ze stosownych dokumentów: Marianny Zawolskiej, lat pięćdziesiąt osiem), zaciemnionym i dusznym od zapachu kobiecych perfum oraz rozstawionych wokół niezliczonych wazonów z różami. Dwie współlokatorki panny Mazur, przestraszone dziewczęta imieniem Maja i Kaja, siedziały bez słowa na szezlongu i łypały na boki, jak gdyby oglądały grę w tenisa.

Główne zawodniczki, umiejscowione po przekątnej – Zawolska przy stoliczku do tarota, Aniela zaś we framudze drzwi – dyszały z wściekłości.

– Nigdy ci tego nie daruję, wywłoko – warknęła Madame przez ściśnięte gardło. – Felicjan był radością mojego życia. A ty go zamordowałaś.

– Nic mu nie zrobiłam!

– Bezlitośnie...!

– Powtarzam ci, nawet go nie dotykałam!

– Z zimną krwią! – zawyło medium, wczepiając palce we włosy. – I jeszcze mnie okradłaś!

– DOŚĆ! – ryknął posterunkowy Fijałkowski, tak głośno, że wszystkie kobiety podskoczyły. Sierżant poderwał głowę – wydawało mu się, że coś stuknęło pod sufitem. Żyrandol lekko zadygotał.

– Kim jest Felicjan?

Madame opuściła ręce. Hiacynt zauważył, że drżały – niewątpliwie ze wzburzenia, choć swój udział w sprawie musiał mieć kieliszek (po pierwsze niepełny, po drugie – raczej nie pierwszy dziś), który stał na skraju stolika. Sierżant Żurko nie miał wątpliwości, że jest w nim wiśniówka. Zapach owoców rozpoznawał z daleka. Znakomite powonienie, podobnie jak pociąg do munduru, odziedziczył po ojcu.

– Był – odparła Zawolska ze smutkiem. Gestem pełnym rezygnacji wskazała przykryty czarną materią kopczyk w rogu salonu.

Żurko już wcześniej dostrzegł stos czarnych, połyskliwych szmat, uznał jednak, że to zwinięte zasłony gospodyni lub coś podobnego. Teraz trzema prędkimi krokami podszedł bliżej i uniósł kraj tkaniny. Pod spodem leżał pies. Spaniel, ocenił sierżant, czarny jak wszystko wokół. Nieruchomy.

Jedynym barwnym akcentem był koniuszek różowego języka, który wychylił się z rozwartego pyska.

Sierżant Żurko usłyszał, jak jego towarzysz wciąga powietrze.

– Chce nam pani powiedzieć, że wezwała funkcjonariuszy Z POWODU PSA? – zadudnił Fijałkowski. – Czy pani nie wie, czym my się zajmujemy? I gdzie możemy być w tej chwili potrzebni? Czy chce pani...?

– Zaczekaj – rzucił Hiacynt i nachylił się niżej. Pociągnął nosem. – Dziwne...

Fijałkowski dopadł go w dwóch susach.

– Proszę?

– Powąchaj. Czujesz?

Posterunkowy zmarszczył nos, ale po kilku sekundach intensywnego poruszania nozdrzami skapitulował.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie sierżancie.

– Zapach migdałów – wyjaśnił Żurko, a jego towarzysz natychmiast wyprostował się i spoważniał. – Bardzo charakterystyczny objaw zatrucia...

– ... cyjankiem – szepnęła spod drzwi Aniela Mazur.

***

Była stażystką na Wydziale Chemii i, rzecz jasna, nie miałaby najmniejszych problemów z wyniesieniem niebezpiecznych substancji z laboratorium. Zresztą, nie byłoby to nawet konieczne! Cyjanek potasu jest przecież składnikiem chociażby trutki na szczury. Uśmiercenie stworzenia tak lekkiego i niedużego jak spaniel Marianny Zawolskiej nie sprawiłoby jej żadnych trudności.

– Ale to nie znaczy, że to zrobiłam! – zarzekała się Aniela Mazur, a jej cudowne oczy, zwrócone ku policjantom, nabrały błagalnego wyrazu. – Pies żył, kiedy o siódmej trzydzieści wychodziłam na uczelnię. Wróciłam parę minut przed szesnastą, to znaczy około dwóch godzin temu.

– To prawda – wtrąciła Kaja. – Pracowałam dziś na popołudnie, dlatego przed wyjściem wypuściłam Felicjana do ogrodu, żeby się załatwił. Robimy to czasem dla pani Zawo... To znaczy, dla Madame.

Fijałkowski skrzętnie coś zanotował.

– O której godzinie wyprowadziła pani psa?

– Nie później niż o jedenastej. Ale Madame już wtedy w domu nie było.

– Czy jest pani pewna, że pies nie zjadł niczego na zewnątrz? – wtrącił posterunkowy. – Na przykład trutki na szczury?

Coś stuknęło cicho. Hiacynt posłyszał szelest, gdzieś z rogu pomieszczenia, czy może raczej z góry... albo mu się tak zdawało?

Madame Zawolsky prychnęła z pogardą.

– Nonsens! Felicjan nigdy nie zjadłby czegoś znalezionego na dworze. Jadał wyłącznie najlepszej jakości siekaną wołowinę od państwa Mironowskich, którą kupuję mu w każdy poniedziałek i czwartek. Ponieważ dziś jest czwartek, po dokonaniu porannej toalety i przyjęciu klienta umówionego na godzinę dziesiątą piętnaście udałam się na zakupy. Kiedy wróciłam, Felicjan już nieee żyyyyył! – Kobieta zgięła się wpół i zaniosła rozdzierającym płaczem.

Hiacynt poczuł się nieswojo, będąc świadkiem jej bądź co bądź szczerego cierpienia, ale musiał pozostać nieugięty, jeśli chciał zgłębić kwestię, która od paru chwil trapiła go coraz bardziej.

– Pani... Madame Zawolsky – zaczął ostrożnie – czy po powrocie do domu dotykała pani psa?

– Nie. Widziałam, że się nie rusza i nie odpowiada na moje wezwanie. A Felicjan witał mnie w drzwiach zawsze. Zawsze!

– Czyli nie sprawdziła pani, czy oddycha...?

– Przecież widać! Nieruchomy jak kłoda! – zawyła Madame. – Przykryłam tylko biedaka kirem.

– Pozwolę sobie zauważyć, że dzieli pani mieszkanie z trzema dziewczętami, a oskarża tylko jedną – powiedział sierżant. – Panna Kaja poniekąd przyznała się, że mogła być ostatnią osobą, która widziała Felicjana żywego. Do tej pory nie wiemy, gdzie przez cały ranek i popołudnie była panna Maja... – sugestywnie zawiesił głos, a dziewczyna aż podskoczyła na szezlongu i pisnęła:

– Pracowałam od siódmej w szpitalu, pan to może sprawdzić!

Policjant skinął głową i kontynuował:

– Dlaczego upiera się pani, że sprawczynią jest panna Aniela?

– To oczywiste. – Wróżbitka oskarżycielsko wycelowała palec w (kusząco kształtną, musiał przyznać Hiacynt) pierś Anieli Mazur. – Ta dziewucha jest antytezą życia duchowego! Nienawidzi mnie i mojej sztuki tak bardzo, że aż mąci moje aury. Rzecz jasna nienawidziła też Felicjana.

– To nieprawda!

– Wielokrotnie na mnie skarżyła właścicielowi posesji, domagając się usunięcia mnie i zlikwidowania mojej mistycznej działalności.

– A to akurat prawda! – warknęła panna Mazur. Wojowniczo splotła ramiona na piersi (która, co zauważył Hiacynt z uderzeniem gorąca, stała się od tego jeszcze bardziej kształtna). – Jakkolwiek pani to robi, setki razy prosiłam, żeby pani przestała. Przez te hałasy nie mogę spać, ostatnio przechodzi pani samą siebie.

– Hałasy? – Fijałkowski zmarszczył brwi.

– Szepty – wtrąciła panna Maja, a panna Kaja pokiwała głową i zaraz zawtórowała:

– I postukiwania, piskliwe chichoty... praktycznie co noc. Też muszę przyznać, że to upiorne.

– Przedmioty czasem są poprzestawiane.

– O, to prawda! Ostatnio zginął słój wiśni. Pamiętasz, Kaja? Szukałyśmy.

– Racja! Ja czasami mam wrażenie, że ktoś był w moim pokoju albo zaglądał mi do szafy... – Panna Kaja objęła się ramionami.

– Powtarzam wam: nie ma czego się bać – odrzekła Madame Zawolsky łagodnie. Z godnością rozprostowała spódnicę na kościstych kolanach. – Spójrzmy tylko: manifestacja akustyczna, natura łagodnie uporczywa, lokalizacja w peryferyjnych częściach domu. Wniosek jest oczywisty.

Coś zaszeleściło przy suficie. Sierżant Żurko zastrzygł uszami.

Madame Zawolsky uniosła dłoń.

– Poltergeist – powiedziała dobitnie, a studentki skulone na szezlongu zadrżały. – Duch dość złośliwy, ale łagodny. Pozbawiony możliwości materialnego oddziaływania na rzeczywistość, w tym obiekty fizyczne oraz ludzi. Lub w najlepszym razie ta zdolność będzie u niego zamanifestowana słabo, jako moc przesuwania drobnych przedmiotów. Nie może nam zrobić krzywdy. I, uprzedzając państwa pytania, całkowicie niemożliwe byłoby, aby poltergeist otruł mojego Felicjana.

– A naszyjnik? – rzuciła Alina Mazur kwaśno.

Dwie pary policyjnych oczu zwróciły się w jej stronę.

– Oskarżyła mnie o kradzież.

– Racja! – Madame Zawolsky podniosła się (sierżant Żurko dopiero teraz spostrzegł, jak niewysoką i drobną jest kobietą), zakrzątnęła wokół kredensu krytego ciemnobrązową politurą. Wydobyła album fotograficzny. – Mój medalion. Obiekt obdarzony zdumiewającą aurą, mój świętej pamięci mąż prawdziwym zrządzeniem losu wyłuskał go spośród cudnych, choć bezużytecznych magicznie drobiazgów na targu staroci w Berlinie. Proszę spojrzeć.

Ostrym czerwonym paznokciem stuknęła w fotografię. Przedstawiała ją samą – młodszą o jakieś dziesięć lat, o ostrzej zarysowanych kościach

policzkowych, spowitą w koronki i woale. Rzucała w stronę obiektywu spojrzenie, które obiecywało nasycenie wybranych po brzegi tajemną wiedzą.

W załamaniu ostrych obojczyków Madame układał się szeroki, płaski wisior zdobiony ściegiem kamyczków niewiadomego koloru.

– Nie mogę go znaleźć od poniedziałku – oświadczyła Marianna Zawolska z mściwą satysfakcją, a Aniela ukłoniła się i odparła szyderczo:

– Oczywiście, ja go ukradłam.

– Słyszycie?! Przyznała się!

– Ja odpowiadam za wszelkie zło tego świata.

– Panowie!

– Klęski głodu i susze. Powodzie i trzęsienia ziemi. Obalanie mocarstw i upadek muru berlińskiego. Aniela Mazur, do usług.

– Ja bym nie powiedział, że z tym murem to coś złego – wtrącił sierżant Żurko, a błękit oczu dziewczyny otulił go na chwilę ciepłem.

Fijałkowski odchrząknął.

– Skąd przekonanie, że to panna Mazur skradła naszyjnik?

– A proszę na nią spojrzeć. Od razu wiadomo, co za jedna.

Sierżant Hiacynt Żurko spojrzał. Od razu wiedział.

Najpierw jednak miał sprawę do rozwiązania.

***

Spodziewał się, że to spirytystka postawi najostrzejszy opór, ale o dziwo natychmiast przyznała mu rację.

– Znakomity pomysł, sierżancie – przyznała – doprawdy nie wiem, dlaczego sama o tym nie pomyślałam.

Żurko skinął na posterunkowego. Fijałkowski zawahał się, ale wystąpił do przodu i pomógł gospodyni przesunąć stolik spirytystyczny na sam środek pomieszczenia. Dziewczęta włączyły się do pomocy i dostawiły krzesła.

– To głupota – zawyrokowała Aniela Mazur.

– Proszę mi zaufać – odparł Hiacynt łagodnie. – Może trudno to po mnie poznać, ale cieszę się pewnym talentem parapsychologicznym. Jeśli w tym mieszkaniu są duchy – rzucił z naciskiem – z pewnością się z nimi porozumiem.

– O, nie mam co do tego wątpliwości! – zagruchała Madame. Sprawnie rozstawiła lichtarze i zapaliła fantazyjnie przycięte świeczki. – Od początku poczułam od pana intensywne wibracje!

– Usiądźmy – poprosił policjant.

Stłoczyli się wokół stolika. Na znak Żurki chwycili się za ręce.

Zapadła cisza.

Hiacynt zamknął oczy.

Samotna kropla potu spłynęła mu po skroni. Podążyła krzywizną policzka, zagubiła się gdzieś pod kątem gładko ogolonej szczęki i wsiąkła w kołnierzyk mundurowej koszuli; było gorąco i duszno, a zgromadzonych wokół stolika naraz dopadła senność. Powieki dziewcząt zatrzepotały, a Madame Zawolsky raptem nabrała powietrza. Wypuściła je z drżącym westchnieniem. Nawet posterunkowy Fijałkowski, człowiek rozsądny, poczuł, jak potnieją mu dłonie – i tylko Aniela Mazur, której cudowne oczy wciąż pozostawały otwarte, twardo wpatrywała się w twarz Żurki.

– Duchy! – przemówił policjant nagle. Dziewczęta podskoczyły; w ciszy jego baryton zadźwięczał jak dzwon. – Duchy! Wzywam was: odpowiedzcie na wezwanie!

Samotna mucha pobzykiwała w bezcelowej walce z szybą. W rogu pokoju dał się posłyszeć szelest, jak gdyby mlaśnięcie. Nikt się nie poruszył.

– Duchy! – powtórzył Żurko głośno, po czym rzucił: – Panno Anielo, czy zna pani system Morse'a?

– C...co? Znam, ale...

Zawolska uchyliła powieki.

– Sądzi pan, że duchy posługują się kodem Morse'a?

– O, z pewnością – odparł policjant z przekonaniem. – W zaświatach swobodnie włada się każdym rodzajem mowy, czyż nie? Będzie panna uprzejma notować? – szepnął do Anieli, która w oszołomieniu przyjęła podsunięty jej przez Fijałkowskiego służbowy notes oraz ołówek.

Sierżant Żurko poruszył barkami. Nagle poczuł, jak bardzo spięte ma mięśnie karku.

– Duchy! Mocą nadaną mi przez ten magiczny krąg zaklinam was: odpowiedzcie! Czy mnie słyszycie?

Cisza.

Szelest.

Nagle wyraźny stuk. Wpierw pojedynczy.

Aniela zaczęła notować. „T".

Kolejny: szybkie, lekkie puknięcie i następujące po nim kolejne, mocniejsze, trwające dłużej. Aniela zawahała się z ołówkiem nad kartką. „A".

I kolejny! „Puuk, puk, puk!". Litera „K".

– TAK – wyszeptała Aniela.

– Duchy! – zawołał Żurko. – Gospodyni tego miejsca zginęła cenna własność! Duchy, które mieszkacie w ścianach tego domu! Duchy, które znacie wszystkie jego sekrety! Zaklinam was, odpowiedzcie: gdzie jest medalion?

Coś huknęło głucho, poniósł się szelest, jak gdyby szybko wypowiadane i równie szybko zdławione słowa.

A potem stukot, czysty i wyraźny, na który Aniela Mazur rzuciła się do kartki:

W – K – U – C – H – N – I – D – R – U – G – A – S – Z – A – F – K – A – O – D – L – E – W – E – J – P – U – S – Z – K – A – P – O – L – A – N – D – R – Y – N – K – A– C – H – P – R – Z – E – P – R – A – S – Z – A...

Panna Kaja wrzasnęła i zasłabła. Fijałkowski rzucił się ją podtrzymać; druga panna zaś, twardszego ducha, odepchnęła krzesło i czym prędzej popędziła do kuchni.

– Jest! – krzyknęła. – Jest!

Kiedy na powrót zjawiła się w salonie, ściskała w rękach srebrny medalion.

– Pani Marianno! Jest!

Wróżbitka chciała zerwać się z krzesła, pobiec po swoją własność, ale sierżant osadził ją w miejscu.

– Duchy przekazały mi jeszcze jedną wiadomość – powiedział spokojnie. – Felicjan żyje.

– S... słucham? – wykrztusiła Madame.

– Niech pani spojrzy za siebie.

Spojrzała i tylko westchnęła cicho. Fijałkowski, zajęty omdlałą panną, nie miał już wolnej ręki, by ją podtrzymać – spirytystka bez przytomności runęła na parkiet.

Czarny spaniel ziewnął i na chwiejnych łapach podszedł, by ją powąchać.

***

Posterunkowy Fijałkowski był wniebowzięty.

– Panie sierżancie, czy pan... czy pan naprawdę potrafi rozmawiać z duchami?

– Idiota. Jasne, że nie.

Młodszy policjant w zdumieniu pokręcił głową.

– Pan jest niesamowity – orzekł. I naraz przystanął, żeby wypalić: – Bo pan wie, ja nie bardzo z panem chciałem jeździć, bo mówili, że pan plecak, znaczy się z plecami, znaczy się ojciec pana sierżanta, bo chyba dobrze kojarzę, że pana ojciec był porucznikiem za MO? Porucznik Hiacynt Żurko...

– Hipolit. Hiacynt to ja – odparł sierżant bez przygany; nie pierwszy raz spotkał się z podobnymi komentarzami.

– No właśnie. Ale ja jednak cofam wszystko, bo pan, panie sierżancie, ma łeb na karku. Tylko niech mi pan powie, skąd wiedział, że ten pies...?

– Dedukcja. I dobry nos. Zapach cyjanku jest charakterystyczny, ale mało kto wie, że podobnie będą pachnieć wiśnie w alkoholu, jeśli nie zostaną wydrylowane przed zalaniem. – Hiacynt uśmiechnął się. – Leć po samochód, ja muszę coś jeszcze załatwić.

Kiedy posterunkowy pokonał furtkę i zniknął za żywopłotem, sierżant odwrócił się na pięcie i przeszedł wzdłuż bocznej ściany domu, ku werandzie. Wyglądała licho, ale szybko zdołał wypatrzeć złączenia desek zdolne utrzymać nie tylko zgraję figlarnych duchów, ale też jego samego.

Bez wahania wspiął się na dach werandy, a stamtąd, drabiną, na strych.

– Mam was! – syknął, a dzieci zachichotały, nawzajem zasłaniając sobie usta. – Coście za jedni?

– Piraci! – odrzekł chłopiec, na oko ośmio-, może dziewięcioletni, o szopie jasnych włosów i nosie spalonym słońcem.

– Głupek – zgasiła go dziewczynka. – Piratami byliśmy w maju, zresztą potem jeszcze byliśmy Jaszczurkami. A teraz jesteśmy DU-CHA-MI!

Trzeci z chłopców, drobniejszy, o ładnej pociągłej twarzy, wychylił się do przodu.

– Skąd pan wiedział, że znamy Morse'a?

– Nawet bym nie pomyślał, że będzie inaczej. – Sierżant Żurko wyszczerzył zęby. – Ładnie sobie to wymyśliliście, co?

Blondynek odwzajemnił uśmiech.

– Ano nie najgorzej!

Duchy z podziwu godną karnością wyrecytowały swoje adresy oraz imiona i nazwiska rodziców. Następnie policjant z przesadną surowością zastrzegł, że nawet Duchy muszą stosować się do pewnych reguł.

– Po pierwsze: koniec z kradzieżami i chowaniem przedmiotów. Bez dyskusji.

Dzieci pokiwały głowami.

– Tajes!

– Po drugie, podczas wakacji Duchy mogą być Duchami w tygodniu do godziny osiemnastej, a w weekend do dwudziestej, o ile ich rodzice są poinformowani o tym, gdzie Duchy straszą. Będę sprawdzać.

– Tajes!

– Po trzecie, Duchy nie naprzykrzają się pannie Mai, pannie Kai, a już zwłaszcza nie polecam, by naprzykrzały się pannie Anieli. Będę sprawdzać.

Ciemnowłosy, drobny chłopiec podniósł rękę.

– A Madame Zawolsky można?

Policjant udał, że się namyśla.

– Można, ale tylko trochę. Po czwarte... rekwiruję to. – Sięgnął pomiędzy dzieci i podniósł przykurzony, przynajmniej trzylitrowej objętości słój alkoholowych wiśni, teraz już pusty w połowie. – Macie absolutny zakaz jedzenia podobnych rzeczy przez najbliższe... zaraz, ile macie lat?

– Dziewięć.

– To przez drugie tyle. I, na litość boską, nie dokarmiajcie psa bez zgody Madame. Upiliście Felicjana.

Sierżant Hiacynt Żurko pożegnał dzieci i, ściskając pod pachą słój wiśni, zsunął się po drabinie na dach werandy, z którego miękko zeskoczył na trawnik. Kątem oka wyłowił niebieski błysk.

Panna Aniela przypatrywała mu się zza okna. Nieśmiało podniosła dłoń, a policjant posłał jej szeroki uśmiech. Niebawem wróci pod ten adres, przed kobaltowe oczy, pomówić z panną Anielą o rzeczach, które rzeczywiście ukradła.

W drodze do auta wyłowił ze słoika garść wiśni. Były pyszne.

Izabella Gądek

Odwyk

Łysiejący, spocony mężczyzna, wszedł do holu, rządowego gmachu resocjalizacji społecznej. Ogromny szklany budynek składał się z labiryntów korytarzy, prowadzących do tysięcy sali, w których zagubieni mieszkańcy metropolii, mieli otrzymać pomoc i wsparcie. Kilkadziesiąt pięter szklanego budynku czekało na swoich pacjentów przez całą dobę od 31 lat. Od kiedy większość mieszkańców zaczęła prowadzić życie w internecie, władza notowała coraz dramatyczniejsze statystyki przyrostu naturalnego, który zaczął praktycznie zanikać. Relacje międzyludzkie zostały sprowadzone jedynie do koniecznych i wymuszonych przez prawo kontaktów. Restauracje, kluby, kina, czy inne miejsca spotkań towarzyskich, przestały istnieć. Ulice przemierzali samotni przechodnie zaprzątnięci swoimi sprawami. Nie było słychać sąsiedzkich rozmów, wymiany uprzejmości, czy spontanicznego śmiechu. Ludzkość trawiły różnorodne nałogi, a kondycja psychiczna większości z nich wymagała stałej kontroli i resocjalizacji. Lekarze bezskutecznie szukali panaceum na coraz większą samotność i alienację. Niestety uzależnienie od AI i stabilizacja materialna mieszkańców ziemi nie przyczyniła się do ich rozwoju i szczęścia, a pogłębiała dewiacje i zanik emocji.

Właściciel znoszonych sandałów, dobranych do frottowych skarpet, mijał nerwowym, szybkim krokiem metalowe drzwi, nad którymi świeciły hologramowe napisy.

- Narkotyki miękkie. – nie, to nie tu. - Sapał. - Twarde? Też nie. Sexoholicy? Boże Broń! Uzależnieni od zakupów? Matko święta co z tymi ludźmi!

Nad kolejnymi wejściami odczytywał - „medycyna estetyczna, implanty, plastyka genitaliów, hazard, alkoholicy... strony WWW" - o!! Wreszcie!! - krzyknął mężczyzna i nacisnął klamkę, aby wejść do środka. W sali panowała cisza. Siedem osób siedzących na łososiowych fotelach, spojrzało na niego z politowaniem i irytacją.

- Wreszcie! Niechże pan wreszcie siada i da nam zacząć! - pieklił się wąsacz o wąziutkich ramion.

- Eeee... Jestem tu pierwszy raz. Eeeee, no ten, nie mogłem znaleźć sali. Przepraszam...

- No dobrze. Ważne, że są już wszyscy. Zatem czas na przybycie Wyroczni, która powie nam jak żyć.

- Że kogo? Zadając pytanie spóźniony mężczyzna podciągnął jedną ze skarpet, która nieco opadła podczas długiego marszu.

- Wyrocznię. To prowadząca. Tam się pojawi. – skinął głową w lewym kierunku. - Na podeście w budce. Ma zmieniony przez syntezator głos i zniekształconą przez filtry wizyjne postać. Jej płeć, wygląd, wiek - wszystko jest tajemnicą, aby uniknąć hejtowania prowadzącego. A pan długo jest uzależniony? – zapytał spóźnialskiego.

- Niestety wiele lat... Ileż to ja razy chciałem rzucić to cholerstwo! Chociażby dla mamusi i świętego spokoju. Gdyby to był alkohol, sex, hazard, ale nieszczęśliwie padło na WWW, a to chyba największy z nałogów.

- Doskonale kolegę rozumiem. Doszedłem do perfekcji w oszukiwaniu siebie. Ile to nicków narobiłem. Kim nie byłem w tysiącu miejsc, a im bardziej mi zarzucano, że siedzę na stronach non stop, tym bardziej udawałem, że ja to nie ja. Rozumie pan??

- Ba! Z pracy mnie wyrzucili, bo nie byłem w stanie wytrzymać pół godziny bez hejtowania! Nawet na kiblu nie mogłem się opanować przed wykpiwaniem frajerskich zdjęć, a jelito grube tego nie lubi. He he.

- He he, dokładnie. – zawtórował i spoważniał.- No nic, trzeba coś na to wreszcie zaradzić, ale łatwo nie będzie. Niech pan weźmie plakietkę z numerem i przyczepi ją w widocznym miejscu. Tu nie wolno mieć ani imion, ani ników.. Co sesje inny, wylosowany numer. Anonimowo. Incognito. Rozumie pan?

Rozmowę mężczyzn przerwała syrena oznaczająca nadejście Wyroczni. Do malutkiego pomieszczenia na środku sali przypominającego pradawną budkę telefoniczną - weszła postać w nakryciu głowy członka Ku Klux Klanu. Długi, obszerny płaszcz ze sztucznego futra zakrywał stopy. Po chwili metaliczny głos przemówił.

- Witam zebranych na kolejnej sesji terapeutycznej zajmującej się odwykiem od WWW. Zadanie z zeszłego tygodnia dotyczyło zmniejszenia ilości komentarzy z 137 do 110. Komu się udało?

Rękę podniósł najmłodszy uczestnik sesji. Nieco zawstydzony, mrugał nerwowo zaczerwienionymi powiekami.

- Numer 6! Brawo! Opowiedz nam zatem, jak to się udało - poprosiła Wyrocznia.

- Zapiłem.

-Słucham?! – zaskoczona Wyrocznia aż podskoczyła.

- Miałem pięciodniowy ciąg alkoholowy i nie byłem w stanie pisać. Oto powód mojego sukcesu.

- Taki powód się nie liczy. Zawiodłeś nas! Wstyd! Chodzi o świadomą rezygnację. Odbieram numerowi 6 głos. Ktoś jeszcze? - osiem osób wpatrywało się w niedomytą posadzkę.

- Cóż. Trudno. Jak widać nałóg nadal ma nad wami władzę. Musicie się mu przeciwstawić i wykazać wiele konsekwencji i cierpliwości. Wiecie doskonale jakie WWW przynosi spustoszenie w waszych życiach. Nie macie rodzin. Znajomych. Zainteresowań. Właściwe całe wasz świat to obserwowanie aktywności innych. Śledzenie cudzych postów i zdjęć. Zrezygnowaliście ze wszystkiego, aby nie przegapić ani jednego komentarza. Straciliście zdrowie niedojadając, źle się wypróżniając i niedosypiając. Mało ruchu, stres, ciągłe napięcie i niecierpliwość co przyniesie kolejny komentarz bezlitośnie was niszczy. WWW spustoszyło wasz system nerwowy i odpornościowy, a przede wszystkim odebrało wam własne „ja".

- Panie 1 - Wyrocznia zwróciła się do właściciela sandałów. - Pan jest z nami po raz pierwszy? Co pana tu sprowadza?

- Prawdę mówiąc to przymusowe leczenie, na jakie wysłał mnie znajomy psychiatra. No i mamusia. Jeśli czegoś nie zmienię to zostanie mi odebrany zasiłek 1200 plus, a tym samym stracę możliwość samodzielnego mieszkania i dysponowania swoim czasem. To wszystko co mam. Jeśli stracę zasiłek - będę musiał zamieszkać z matką, a ona ciągle mi czegoś zabrania.

- Czyli przymus, a nie osobista motywacja. Cóż. Trudno. Ile razy pan porzucał WWW i obiecywał, że pisze ostatni komentarz i nigdy nie wróci w miejsca, gdzie bezlitośnie obraża pan innych?

- ... z kilkadziesiąt... - wyszeptał mężczyzna.

- A czemu pan wracał?

- Nie wiem. Nie potrafię wytrzymać bez krytykowania i śledzenia innych. To moje jedyne emocje w życiu. Nie pamiętam już innych... - mężczyzna

ostatnie zdania powiedział, jakby miał zaraz się rozpłakać.

- No już dobrze, dobrze, niech się pan uspokoi.

- A pan, panie 3. Radzi pan sobie z utratą followersów? Panie 3, słyszy mnie pan? Źle się pan czuje?

Mężczyzna w lenonkach siedział z zaciśniętymi pięściami i z sekundy na sekundę stawał się coraz bardziej purpurowy, aż z jego wąskich ustek wyrwał się piskliwy wrzask:

- Sraaaak! Nie radzę sobie! Nie! Nie, nie, nie!!!

Mężczyzna rzucił się na ziemię i w dzikich konwulsjach zaczął się okładać pięściami po głowie. Zgromadzeni mężczyźni, patrzyli na to bez żadnych emocji. Wyrocznia nacisnęła przycisk i rozległy się syreny. Dwa roboty porządkowe weszły do sali i w kilka sekund wrzeszczący okularnik zniknął.

- Drodzy państwo. Apeluję o rozwagę i proszę o rozsądek. Wpadliście jak śliwki w kompot, ale zrobimy wszystko, a by ten natóg opanować. Po to mamy ten odwyk i te spotkania, a szczycimy się ogromną skutecznością. Jeśli uda się Państwu wrócić do życia w społeczeństwie, Rząd Rządów, odpowiednio państwa za to nagrodzi. A jeśli uda się komukolwiek stworzyć partnerski związek i doprowadzić do narodzin nowego mieszkańca metropolii, czeka go dożywotnia renta. Więc chyba warto wrócić do realu, prawda? Zadanie na następne zajęcia będzie następujące. Proszę po powrocie do domu się wylogować z mediów społecznościowych i zapisać czas bez zalogowania. Wiem, że i tak będziecie śledzić co się dzieje, ale bez możliwości komentowania. Od tego zaczniemy. Powodzenia.

Syrena oznajmiła koniec spotkania. Siedem osób opuściło salę w milczeniu.

*

Jeszcze tylko 16 pięter i 5 metrów korytarza dzieliło go od drzwi wejściowych jego oazy spokoju. Z niecierpliwością śledził kolejne cyfry mijanych kondygnacji.

Starał się stać w centralnym punkcie szklanego dźwigu, w jednakowej odległości od wszystkich ścian, które zbierały na sobie ślady złości i frustracji większości mieszkańców.

Szybkim krokiem pokonał ostatnią odległość i za kilka sekund zniknął za brązowymi drzwiami z plakietką „ 84 Pomścibór Pacha". Wreszcie mógł być sobą. Wreszcie nie musiał patrzeć na innych ludzi. Nie musiał udawać, że jest normalny. Zrównoważony. Zadowolony itd.

Do pójścia na odwyk zmusiła go poza psychiatrą, który uprzedzał o realnych nieodwracalnych konsekwencjach – jego przerażona matka. Miał 44 lata, a ostatnie 28 spędził sam. Miał porąbane imię i jeszcze głupsze nazwisko. Właściwie od dziecka z powodu obu, był nieustannie poniżany i wyśmiewany. Nigdy nie miał dziewczyny, ani bliskich relacji koleżeńskich, ale od kiedy odkrył WWW - nie liczyło się już nic więcej. Tylko TO miejsce było jego prawdziwym światem. Jedynie zmieniając strony WWW czuł się wolny, szczęśliwy i spełniony.

Mógł każdego dnia wypisywać bez końca o swoich licznych podbojach, zakupach, przyjaciołach... o dosłownie wszystkim. Każdy sukces znaleziony w sieci automatycznie przypisywał sobie. Był głównym bohaterem wszystkich historii. Był najmądrzejszy, najprzystojniejszy, najbardziej elokwentny, czarujący, bystry.... Był Bogiem!!

Niestety musiał obiecać matce, że pójdzie na odwyk i postara się chociaż raz w tygodniu do niej zadzwonić, żeby nie zamęczała go kazaniami o pracy i pytaniami czy jest gejem, czy innym zboczeńcem. Oczywiście, że nim nie był. W realu szybko wyszło, że ta osoba, która jest nim, za nic nie przypomina tej, która przekonuje cały świat o swojej wspaniałości. A to mu się bardzo nie podobało. Klawisze komputera nie sprawiały za to żadnych kłopotów. Nie zadawały pytań, nie weryfikowały prawdy. Nie miały żadnych wątpliwości. Były niezmiennie czarne, cudownie podświetlone i absolutnie posłuszne. Zadanie domowe z dzisiejszych zajęć na odwyku było jasne - miał pozostać niezalogowany. Nic jednak nie mówili o tym ile kont ma pozostać nieaktywnych, a miał ich niezliczone ilości.

Sięgnął do biurka po managera zadań i w trybie głosowym odszukał plik z swoimi osobowościami. Wreszcie wybrał jeden z nicków i wpisał hasło. Nie było go przy komputerze dobre 4 godziny. W tym czasie mogło zmienić się wszystko, a tego nienawidził. Potrafił wytropić w sieci, co tylko chciał. Kiedyś matka mu powiedziała, że takie sztuczki to teraz robią przedszkolaki. Bzdura!! Tylko on potrafił korzystać z wyszukiwarek i kopiować informacje niczym swoje myśli. Tylko on!

Za oknem świeciło słońce, tętnił rytm miasta i te inne naiwne pierdolety, które chciały go rozproszyć i odebrać mu prywatność. Na szczęście odgradzała go od tego skutecznie metalowa roleta, której nie otwierał od 12 lat.

W pisaniu o sobie doszedł do perfekcji. Potrafił dziennie wypisywać po 290 postów w licznych miejscach. Był niedościgniony. Czy matka nie widzi jaki jest genialny? Przez jej chore wymysły, musi opuszczać swój ukochany azyl i wysłuchiwać jakichś zniewieściałych frustratów, którzy nie potrafią zająć się swoim życiem. On swoje zagospodarował idealnie. Ma wszystko, czego potrzebuje. Jest tym, kim chce być. Miesięczny zasiłek wystarcza jedzenie, które zamawia za pośrednictwem serwisu robotów pomocy społecznej. Dom opuszczał tylko w sytuacjach wyższej konieczności jak dzisiaj., ale starał się tego nie robić wcale. Tak żyje mu się idealnie.

Przeglądał nerwowo strona po stronie, wpatrując się w monitor jak w czarodziejską kulę.

Ooo - są! Czekają już sępy na niego. Popatrzył na statystyki, ostatnie komentarze i był gotowy.

„ Ha! Jesteście debile! Uuuu ile postów, zdjęć, nowości! Napracowaliście się, żeby spreparować te brednie pod moją nieobecność. Ja? Co ja robiłem?? No jak co? Już pisze posta. Moment tylko podpatrzę u kogoś odpowiednie materiały do zobrazowania. Mam!,- z wypiekami na twarzy zaczął dotykać klawiszy z szybkością sądowej stenotypistki. „Hej Kochani! Miałem jak zawsze cudowny dzionek. Trening z japońskim mistrzem Zen wypadł doskonale. Jestem w super formie. Po regeneracji w centrum odnowy organów spotkałem się z dwoma modelkami. Obie są bardzo utalentowane i wyjątkowe. Odwiozłem je po lunchu swoim pojazdem do centrum na pokaz mody, a sam wróciłem do mojego nowoczesnego apartamentu tylko się przebrać w najnowszą stylówkę od Paprotka i Brzuzka, bo zaprosiła mnie do opery obiecująca piosenkarka jazzowa''... Pisanie relacji z dzisiejszego dnia zajęło mu jeszcze 67 minut.

*

Zanim poszedł spać, rozpiął klamrę sandałów, zsunął brudne buty i cisnął nimi pod łóżko. Skarpety frotte postanowił zostawić do następnego prania. Pranie na jutro było już przygotowane do odbioru przez serwis. Zawsze w środę. Punktualnie w południe. Po umówionym sygnale domofonu, stawiał czarny worek obok windy. Drzwi dźwigu się otwierały, Robot typu R 17 sięgał po niego i w ten sam sposób czyste pranie wracało do niego w piątek - również w południe. Jeden z ustalonych rytuałów.

Miał wyjątkowo ciężki dzień, a na WWW wyjątkowo przesadzili. Debile. Mają się za coś lepszego, a pewnie jak on siedzą teraz spoceni i napieprzają po klawiaturze, aż do nieprzyjemnego kłucia w zdrętwiałych opuszkach. Każdy się chwali co to nie on, a przecież nikt nie dorówna mu w obelgach i krytyce! NIKT! Oczywiście, że jest szczęśliwy! Prowadzi życie, o jakim marzył. Nie jest przecież frajerem, który dałby się oskubać z czegokolwiek! Nigdy! Żadna oszustka i manipulatorka nie jest godna, żeby na nią spojrzał. Przecież wszystkie są takie same. Bez wyjątku. Złe. Zepsute. Interesowne. Tępe. Tylko on robi co i kiedy chce. Siedzi w rozciągniętych gaciach i nikomu nie przeszkadzają brudne gary, śmierdzące skarpety, czy przepocona pacha. Pacha, ech no właśnie. Znów dzisiaj go prowokowali do zwierzeń. Że pewnie samotny, stary, gruby... że ciuchy jak szmaty ze śmietnika, że... ale miernoty!! Piszą to pewnie z zazdrości. Co za pustaki. Gówno wiedzą o życiu, bo pewnie pół spędzili na szorowaniu podłogi za leniwą żoną, pół wycierali nosy zdemoralizowanym gówniarzom, albo płaszczyli się w robocie, za jakieś marne grosze. Nie to co on. On ma wszystko pod kontrolą. Nie musi nikogo słuchać, nic robić. Udowodni tym mamlasom jak są słabi i do niczego.

Był zmęczony. Powieki co jakiś czas opadały w dół sygnalizując, że czas na sen. Ustawił budzenie co godzinę, żeby nic go nie ominęło. Tak, jest perfekcjonistą. Jest też silny i honorowy. Potrafi się poświęcać i nieustannie szkolić w nowych taktykach manipulacji, bo konkurencja nie śpi. Powoli pojawiają się klony, które chcą go zdetronizować. Co jakiś czas zjawia się cwaniaczek, który myśli, że zajmie jego miejsce. Bzdura! Po jego trupie! Nikt mu nie odbierze koszulki lidera. Nie ma szans! Jutro to idiotyczne spotkanie na odwyku. Korytarz i te pojebane sale z nałogowcami, którzy nie są w stanie panować nad swoimi marnymi wegetacjami... Dno. Kompletne dno...

*

Nagle nadejście maila wyrwało go z trybu „stend baj'', w jakim się na moment zawiesił. Opaste, zmęczone jednostajną pozycją ciało starało się sturlać z fotela, ale i na takie sytuacje był przygotowany. Szeroki, wojskowy pas służył mu do utrzymania pozycji siedzącej. Jak tylko pośladki minimalnie opuszczały stanowisko, a stopy odziane w skarpety wjeżdżały pod stolik po śliskim linoleum – natychmiast

pasek łączący jego ciało z oparciem fotela wrzynał się żebra pod gruczołami piersiowymi.

Zamrugał oczami. Zlokalizował myszkę. Wyprostował ciało i spojrzał w odebrane wiadomości. Jedna z nich czekała na odczytanie.

„Szanowny Spocony Rychu 78. Przepraszam, że nie przez portal, ale chciałam uniknąć niepotrzebnych drwin i złośliwych komentarzy. Poza tym pewnie też wolisz się nie ujawniać. Mój Nick to Pysia128. Ostatnio czytasz wszystkie moje posty. Dużo komentujesz, a i ja wróciłam na ciebie uwagę. Jeśli chciałbyś bliżej mnie poznać – czekam na kontakt. Pozdrawiam. Pysia128".

- O kurwa! – zaklął. – Znów prowokacja!! Nic z tego frajerzy. Nie dam się nikomu wydymać. Chwilę zastanawiał się, czy nie wcisnąć dilejt i nie zapomnieć o idiotycznej informacji, ale postanowił sprawdzić ostatnie posty rzekomej Pysi, która zapragnęła zakłócić jego ład i spokój. Odpalił portal WWW. Wszedł na konto o podanym Nicku i zaczął tropić. Data założenia konta. Posty. Komentarze. Plusy. Minusy. Buźki, dosłownie wszystko. Osoba o nicku – Pysia128 pojawiłam się na portalu jakieś 11 lat temu. Faktycznie pisała na tyle interesujące teksty, że czasem starał się zagaić jakąś dyskusję. Niestety wielokrotnie został wyrwany z jej strony i zmuszony do prowadzenia wojny o losy świata i przyszłość galaktyki. Wtedy wszelkie inne rzeczy schodziły na plan dalszy, a on jak Zorro, Spajder, czy inny bohater, ratował honor, dobre imię i wszelkie wartości moralne.

Pysia – kimkolwiek była – bo zawsze podejrzewał, ze takie nicki to przykrywka dla dewiantów, seksoholików i innych tchórzy, którzy ukrywali swoje prawdziwe zamiary – pisała poprawnie. Nie robiła za wielu błędów. Wykazywała się umiarkowaną logiką i dość bezpiecznymi dialogami. Nie napastliwymi. Nie agresywnymi. Mógł nawet je określić jako ciepłe i serdeczne, ale wiadomo, że takie formy komunikacji mają drugie dno.

Po kilku godzinach miał już jasność z kim ma do czynienia. Zanim wrzucił do piekarnika pizze XXL z podwójnym serem wpisał na klawiaturze jedno zdanie.

„Nie ze mną takie numery Pysia".

Chwilę wpatrywał się w monitor, po czym wybrał sprawdzoną stronę XXX i rozpiął spodnie.

*

Na kolejne spotkanie z numerami w klinice umył zęby, przebrał skarpety i wyszedł pół godziny wcześniej. Tak jak precyzyjnie skalkulował, pojawił się przed wejściem z tabliczką WWW - 6 minut przed czasem. W sali siedziało trzech mężczyzn. Wszedł do środka, wybrał numer i usiadł naprzeciwko drzwi, żeby dokładnie przyglądać się wchodzącym uzależnionym. Po nim przybył chudy małolat ubrany w za duże rzeczy i umięśniony goguś, który musiał na bank chodzić 3 x w tygodniu do solarium, aby zachować stały odcień brązu, który eksponował zestawiając go z żółtym sweterkiem w serek.

Nagle lustrowanie garderoby solarowca przerwało pytanie:

- Panie 4, przepraszam, że zaczepiam, ale czy nie zastanawiał się pan dlaczego nie ma z nami kobiet na odwyku? Jestem tu 132 raz i nigdy nie zdarzyło się, aby w tej sali znalazła się jakaś dama. Zauważył Pan to? Panie 4...?

Popatrzył na kolesia, który z sąsiedniego krzesła starał się zagaić szeptem. Śmierdziało mu z ust. Czerwone dłonie z poobgryzanymi paznokciami, nerwowo skubały pogniecione na udach spodnie. Nie miał ochoty na rozmowę. Szczególnie z kimś tak odrażającym.

- Nie wiem. Jestem tu drugi raz i szczerze powiedziawszy niewiele mnie to obchodzi. Pewnie żadna z nich nie potrafi wykazywać zainteresowania niczym innym, poza robieniem głupkowatych selfi, upokarzającymi przebierankami i innymi idiotyzmami, które nie wymagają ani męskiej logiki, ani konsekwencji.

-Hmmm... Może ma pan rację. Faktycznie, żeby trafić na odwyk od WWW trzeba poświęcić praktycznie wszystko. Pozostają tylko czynności fizjologiczne, a i tak pewnie najwytrwalsi i w ich ograniczeniu doszli do perfekcji. Moja była żona potrafiła godzinami nieznośnie ględzić o niczym, krytykować moje zajęcia, sama nie mając żadnego. Pogoniłem ją i wreszcie odżyłem. Człowiek nie jest stworzony do niewolniczego małżeństwa. Ta zabawa w dom nie ma sensu. Ot farsa, na potrzeby społecznej akceptacji.

Mimo, że nienawidził takich zaczepek, tego tematu nie mógł odpuścić.

- I jeszcze te debilizmy o miłości i wierności! – 4 wyraźnie się ożywił. – Zna pan jakiś związek, gdzie kobieta i mężczyzna się dogadują? Przecież to całkiem inne gatunki!

- Sugeruje mi pan, że jesteśmy w stanie dojść do porozumienia jedynie w obrębie własnych płci? – Czerwone dłonie zamarły, a małe, wyłupiaste oczka

skupiły się na ustach 4, z którego miała paść zaczarowana odpowiedz.

- Eeeeee. Coś pan! Ja nie z tych! – Żachnął się i wyprostował na swoim krześle. – Chodziło mi bardziej o możliwość dyskusji. Sprawa aktywności seksualnej nie obejmuje ważnych obszarów mózgu. To tylko zwierzęcy popęd. Nic nie warta strata czasu. Ot głupia kopulacja. Mnie to nie interesuje. Prawdziwe życie, to wyższe cele. To przede wszystkim wszechstronna wiedza, a nade wszystko umiejętność wykorzystywania posiadanych informacji. To magia, która wymaga całkowitego oddania. Wyobraża pan sobie, że z żoną przy wspólnym ciamkaniu przypalonego kotleta, poruszy pan istotny dla naszej cywilizacji temat?

Cisza była dla niego odpowiedzią. Rozmowę zakończyła syrena, sygnalizująca przybycie Wyroczni.

- Witam wszystkich zebranych na kolejnym spotkaniu terapeutycznym od WWW. Czy ktoś chciałby opowiedzieć o swoim sukcesie? A może ktoś znalazł inne zajęcie, pasje, czy kontakt z drugim człowiekiem? – Metaliczny głos zadawał pytania równym, denerwująco monotonnym tonem.

- Nikt? – Wyrocznia nie dawała za wygraną. – W takim razie proszę opowiedzieć o tym co pan robił przez ostatnie 72 h, panie 2.

Zebrani mężczyźni lustrowali swoje numerki. Na koszulce z grafiką twarzy Tuptaka widniała dwójka. Chłopak wyraźnie speszony szukał pomocy u pozostałych, ale Wyrocznie była nieludzko bezwzględna dodając – tak pan, panie 2. Pan!

- Przepraszam... Przepraszam... Byłem zalogowany cały czas. Z 72 ostatnich godzin 66 spędziłem na gnębieniu kibiców reprezentacji piłki nożnej! Każdego kto będzie bronił tych sprzedajnych reklamodawców i patałachów – uznaję za zdrajcę! Dość! Nie ma że boli. Sam byłem piłkarzem kilka lat i nie pogodzę z tą hańbą!

- Czemu więc realny sport zamienił pan na uzależnienie od WWW? – Wyrocznia kolejnym pytaniem atakowała zwolennika rozmiarów odzieży XXXL na cherlawym ciałku?

- Kontuzja kolana wykluczyła mnie na rok. Poznałem wtedy sitę sieci i już nigdy nie wszedłem na murawę. – Te słowa wypowiedział z uderzającą szczerością i smutkiem, która zaciekawiła wpatrzonych w niego mężczyzn.

- Nie może pan wyłączyć komputera i wrócić do kolegów? – zagrzmiało pytanie z budki.

- Nie! Nie mam już kolegów! Nie mam nikogo poza WWW. To moje całe życie, dlatego chcę, aby było ono pozbawione kłamstwa i zła! Nie wolno popierać czynów, które sprawiają, że umiera piłka nożna. To sport dla wojowników i herosów. To dyscyplina stworzona dla prawdziwych mężczyzn!!

Wzburzony chłopak stawał się coraz bardziej czerwony na twarzy, aż wreszcie wybuchnął płaczem.

- Panie 2, komentarze i opinie kibiców nie mają za wiele wspólnego z tym, co się działo na boisku. – Metaliczny głos starał się uspokoić rozhisteryzowanego młodzieńca. –Real to świat, który z siecią nie ma nic wspólnego – ciągnęła dalej swój wywód Wyrocznia.

- Nic bardziej mylnego! – Krzyknął 4 i wstał z krzesła, aby podbić znaczenie swojej wypowiedzi. – Internet i real to światy, które nie będą już nigdy bez siebie istnieć! Połączyliśmy je na zawsze! Nieodwracalnie! Dłużej nie mogę słuchać tych bredni! Popatrzcie na siebie. Każdy z nas marzy o powrocie do domu i komputera! W nim żyjemy. Tylko tam jesteśmy sobą!

Chłopak krzyczał dalej, jednak spocony właściciel skarpet frotte opuścił salę. Biegł ile miał sił, aby jak najszybciej zostawić za sobą tych popierdoleńców, usiąść przy zagraconym manelami i resztkami jedzenia biurku i zmieniać świat.

Media wykreowały obraz ludzi, którzy nie istnieją. Weryfikacja z rzeczywistością była porażką. Z roku na rok dysproporcja rosła. Nie mógł patrzeć na zaniedbane, grube i tępe kobiety, skoro w sieci spotykał same modelki z klasą i dworskimi manierami. Nie potrafił umówić się z kolegą, który śmierdział i mieszkał u matki, a opowiadał o sobie jak o założycielu selfsbooka, czy kultowym Hjuhefnerze w złotym rolku i haftowanym przez gejsze szlafroku.

Nie miał złudzeń. Realny świat dawno umarł i nic poza WWW nie ma już większego znaczenia...

Radosław Dąbrowski

Śledztwo

Rozdział I: „Altanka"

Pomysł w założeniach był dziecinnie prosty i przez to wydawał się genialny. Wystarczy wejść do opuszczonego domu, nagrać z tej wyprawy kolejny filmik, trochę opowiedzieć o miejscu, trochę pozmyślać i już kolejne suby polecą. Internet, wiadomo, ma swoje reguły. Im więcej subskrybentów, tym większa oglądalność, sława i prestiż. Może nawet z czasem pojawi się z tego kasa, a nawet jeżeli nie znajdą się reklamodawcy, to przecież taka pasja jak urbex musi znaleźć jakieś ujście i szeroką widownię.

Autorami tego wybitnego (w mniemaniu twórców oczywiście) projektu było dwóch chłopaków z maturalnej klasy liceum przy Skargi. Szli właśnie Spiską wzdłuż ogrodzenia z siatki plecionej w romby. Przeklinali stary deptak pełen nierówności i wynikające z tego niedogodności podeszczowe zagrażające ich białym adidasom.

Ich plan zakładał, że na ogródki działkowe wejdą nocą od strony Parku Skowroniego. Zawsze to mniej potencjalnych świadków niż od budynków Medyka. Nie chcieli by ich ktokolwiek widział.

W szczegółach wyprawa nie była tak genialnie dopracowana, jak wydawało się autorom. Braki wychodziły przy każdym, nawet najniewinniejszym pytaniu. Celował w nich Eryk, wyższy i postawniejszy z chłopaków o bardzo jeszcze niedojrzałym głosie.

– Słuchaj Janek – padła kolejna już dzisiaj zwerbalizowana wątpliwość – A co będzie jak tam natrafimy na kogoś?

- Niby na kogo? – w głosie przepytywanego dało się wyczuć zniecierpliwienie – Przecież mówiłem ci stary, że Mazur nie żyje i prawie na pewno nie ma żadnych spadkobierców. Jego mieszkanie stoi od dwóch tygodni puste. Sam widziałem, bo pieczęcie policji są do tej pory nienaruszone. O tej altanie nikt z jego znajomych nawet nic nie wie. Nikogo tu nie przyjmował. Mówił, że to jego azyl i ucieczka przed światem.

- A ty skąd się o niej dowiedziałeś?

- Razem ze starym pomagaliśmy mu tu przewieźć i wnieść meble. W końcu był sąsiadem – pomóc trzeba.

- A jak ci co go zamordowali przyjdą też tutaj? Przecież sam mówiłeś, że mieszkanie Mazura wyglądało jakby ktoś tam czegoś intensywnie szukał. Mogą przyjść przecież także na działkę jak się o niej dowiedzą.

- Na pewno nikt o tej altance nie wie! - powiedział Janek, ale jego głos nie potwierdzał tej pewności.

Chciał uchodzić za nieustraszonego, ale i jego coraz bardziej dopadały wątpliwości i, co tu ukrywać, najwyraźniej bał się. W końcu właściciel tego domku został zamordowany dwa tygodnie temu w bardzo brutalny sposób. Mazura znaleziono związanego i podobno był wcześniej torturowany. Oprawcy przypalali go żelazkiem. Podobno tors i uda były jak niewysmażone steki. Spod czarnej i spalonej na wierzchu warstewki skóry i tłuszczu gdzieniegdzie czerwieniała tkanka mięśni.

Janek nie widział tego na własne oczy, ale wierzył w te jakże obrazowe relacje. Spalone włosy i mięso czuć przecież do tej pory na klatce schodowej jego bloku.

Wzdrygnął się.

- To była robota zawodowców. Czegoś u niego szukali. Coś chcieli wydobyć torturami. Ale co? – pomyślał Janek i szybko dodał:

- Nie pękaj. Podejdziemy i przylukamy najpierw czy nie ma tam nikogo. Nagramy szybki filmik i już nas nie ma. Wyobrażasz sobie jaki będzie fejm, jak opowiemy wszystkim, że to altanka zamordowanego gościa?

- Przecież nie tu go zamordowali... - Eryk nie podzielał entuzjazmu.

- No to co?! Damy taką zajawkę, że tu niby jest rozwiązanie zagadki morderstwa. Że ktoś niby czegoś szukał, a to jest pewnie tutaj schowane. To będzie sensacja!

- Stój! – Janek zatrzymał się nagle – To tutaj.

Od celu dzieliło ich tylko ogrodzenie i zaniedbany połać zieleni. W gąszczu owocowych drzewek i dzikiego bzu czerniała bryła drewnianej altanki. Wydawało się, że nie tylko wewnątrz obserwowanego

domku, ale i w innych, sąsiadujących budynkach nie ma żywego ducha.

- Tędy – zakomenderował cicho Janek przeciskając się przez wąską dziurę w narożniku ogrodzenia.

- Dobra. Kamerkę włączymy dopiero w środku – Eryk mimowolnie przeszedł na szept.

Zbliżali się powoli, bacznie rozglądając się na boki. Oślepione jeszcze niedawno światłem ulicy oczy stopniowo przyzwyczajały się do mroku.

Drzwi były zamknięte na niewielką kłódkę, ale wrzeciądze niefrasobliwy gospodarz przytwierdził na dwa zwykłe wkręty. Śrubokręt w ręku Janka stał się więc ostateczną przepustką do pozostawionej własności zamordowanego Mazura.

Altanka nie zrobiła na eksploratorach takiego wrażenia jakiego się spodziewali. Ot, zwykły działkowy domek umeblowany tym, co akurat zbywało w mieszkaniu. Dominowała zdekompletowana peerelowska meblościanka ze starym kineskopowym Samsungiem w centrum. Całości dopełniała ława i dwa wyleniałe fotele. Tyle przynajmniej dało się zauważyć w świetle kieszonkowych latarek.

Chłopcy im uważniej się rozglądali tym większe ogarniało ich rozczarowanie. Było jednak coś co wyróżniało to miejsce spośród innych, podobnych. Na półkach, na ławie, na fotelach, a nawet przy muszli sedesowej w miniaturowej łazience walały się kolorowe czasopisma. Rzut okiem na ich okładki pozwalał stwierdzić, że były to gazety poświęcone historii, z których najwięcej było numerów „Odkrywcy". Janek dobrze znał ten tytuł, chociaż tematyka poszukiwań terenowych nie była zbyt powszechna i popularna. Tak się jednak złożyło, że do ich maturalnej klasy dołączył Radek, który działał w tutejszej Grupie Poszukiwawczej i ciągle naokoło wszystkim o tym opowiadał. Szybko dał się poznać jako okropny nudziarz, no bo kto chce słuchać o wykopanym pocisku gdzieś koło Kuźnicy Grabowskiej. Co innego wchodzić do ruin, a co innego wyciągać złom z ziemi.

Radek był też wiernym czytelnikiem „Odkrywcy". Kupował co miesiąc kolejne numery w Empiku i czytał później ukradkiem na godzinie wychowawczej i religii. Janek z nudów brał je czasem do ręki żeby pogapić się na zdjęcia lasek z wykrywaczami metalu, ale rzadko takie tam znajdował.

- Gość musiał mieć hopla na punkcie historii – zamruczał Eryk – Chyba nic nie nagramy tutaj. Przecież to się nie nadaje na urbex. Będzie kwas tylko.

- A może pogrzebiemy tutaj trochę? Może tu faktycznie coś jest ukryte? – zastanowił się po chwili głośno.

- Daj spokój! Gdzie ty chcesz szukać? W starych gazetach? – Janek nagle zamilkł, bo wydawało się, że z zewnątrz dobiegł zgrzyt metalowej furtki.

- Zgaś to światło! – nakazał szeptem.

Drzwi altanki uchyliły się powoli, ale zdecydowanie i wsunięta do pokoju ręka przez chwilę błądziła po ścianie. Włącznik kliknął i światło stuwatowej żarówki zalało małe pomieszczenie.

W progu otwartych na oścież drzwi stał Mazur.

Rozdział 2 - Szkic

Co byś zrobił jakbyś zobaczył ducha? – kto nie zadawał sobie takich pytań i nie wyobrażał swoich reakcji? Oglądając horror, czy słuchając creepypasty ile to razy zdarza się porównywać czyjeś zachowanie do swojego?

Eryk i Janek chodzili już po różnych urbexach. Także tych z opinią nawiedzonych. Też wyobrażali sobie że spotykając ducha będą wrzeszczeć, uciekać, bić się z nim, sikać w spodnie lub dzwonić po znajomego egzorcystę lub pogromcę duchów (choć jak się tak zastanowić to nie mają wśród swoich znajomych ani jednego ani drugiego).

Żaden z tych modeli zachowania nie potwierdził się teraz. Strach po prostu chłopaków sparaliżował. Ile to razy uciekali przed nocnymi stróżami i ich czworonożnymi pomocnikami, ale nigdy jeszcze nie stanął przed nimi duch. Żaden nich nie wydusił teraz nawet słowa.

- To własność prywatna. Co wy tu robicie? – głuchy głos dobiegł od progu.

- Yyyy... My? – zacharczało gardło Eryka.

- Tłumaczyć się i to szybko! Bo policję zaraz tu zawołam! – teraz złowrogie warknięcie.

- Ale jak? Pan przecież nie żyje – dyszkantem zakwilił Janek. Zabrzmiało to kretyńsko.

- Co? Ja żyję. Nie żyje mój brat.

- Ale pan wygląda identycznie jak pan Mazur.

- A słyszałeś ty kiedyś o bliźniętach jednojajowych? Jestem jego bratem głąbie!

Napięcie i przerażenie zaczęło powoli schodzić z niefortunnych eksploratorów cudzych altanek. Zaczęli nieskładnie tłumaczyć co tu robią i czym jest urbex. Dopełniając nawzajem urywane w pół zdania tłumaczyli, że wchodzą do porzuconych budowli, żeby zrobić ciekawe zdjęcia i opowiedzieć o historii

odwiedzanych miejsc. Brat Mazura cały czas stał w progu altanki. Potężną posturą blokował wyjście.

- Na tym polega nasza pasja. My, proszę pana, niczego z odwiedzanych miejsc nie zabieramy. To by było wbrew naszemu kodeksowi – zakończył mowę obrończą swojego postępku Janek.

- Nie jesteśmy złodziejami! – trochę nadgorliwie zaświadczył Eryk - Myśmy naprawdę myśleli, że po śmierci pana brata to będzie opuszczone miejsce.

- To co robicie to głupota, a nawet przestępstwo. Nawet jak nazwiecie to pasją z zasadami, to nie daje wam prawa tu wchodzić – brat Mazura zamknął w końcu za sobą drzwi i usiadł na jednym z wysłużonych foteli. Chłopcy pospuszczali głowy w milczeniu.

- Ale ja was znam – dodał z tajemniczym uśmiechem.

- Pan nas zna? – ożywili się z mieszanymi uczuciami.

- Tak. Jak przyjeżdżałem nieraz do brata to widziałem was nieraz grających w piłkę. Raz któryś z was nawet skoczył mi po fajki do sklepu.

- Więc nie wezwie pan policji? – zapytał Janek niewiele rozumiejąc z chaotycznych gwarowych zwrotów drugiego z Mazurów.

- Nie. Tylko opowiedzcie mi więcej o tym waszym urbexie.

Opowiadali długo o starych fabrykach, bunkrach i domach, których w okolicach nie brakowało. Opisywali miejsca, które odwiedzili, dzielili się anegdotami, pokazywali niektóre filmiki z wypraw zamieszczone w internecie. Próbowali jak najlepiej wyjaśnić kontrowersyjną specyfikę ich urbexowego hobby.

Brat Mazura tylko przysłuchiwał się nie zadając pytań.

- Hm... chodzicie więc i oglądacie różne opuszczone budynki – ni to stwierdził ni zapytał– Tak sobie myślę... Może moglibyście mi pomóc?

- Pewnie! – chłopcy zgodzili się skwapliwie w poczuciu winy za wtargnięcie na cudzy teren – Ale co mamy zrobić?

- Wiecie już, że mój brat nie żyje. Wiecie już, że został zamordowany we własnym mieszkaniu. Chcę za wszelką cenę znaleźć jego mordercę.

- Mamy pomóc w łapaniu mordercy? – zapytał Eryk czując ucisk w gardle.

- Nie – padło niespodziewane zaprzeczenie. – Chcę abyście dowiedzieli się czemu on zginął i co wiedział. Wszyscy już rozgadali, że mojego brata zamordowali dla forsy. Ale to bzdura. Z jego mieszkania nic wartościowego nie zginęło, bo też mój brat niewiele posiadał. No bo ile może zarobić dziennikarz lokalnej prasy?

Żyjący Mazur zaplótł dłonie na kolanie i ciągnął dalej.

- Mój brat miał fioła na punkcie historii i skarbów – wskazał przy tym palcem na walające się wszędzie tematyczne periodyki. - Ciągle czegoś szukał w różnych książkach. Ciągle coś wyczytywał. Ostatnio jak był u mnie to dał mi jakiś rysunek i powiedział żeby go przechować, bo to droga do złota straconego z jakiejś katastrofy. Mówił, że wie gdzie to jest ukryte i że leży to już od stu lat. Powiedział też, że się boi i jest śledzony, bo zbytnio przy czymś węszył. To wtedy były nasze urodziny i myślałem, że to tylko takie pijackie gadanie. Wziąłem ze sobą ten rysunek i zapomniałem o nim. Aż do jego pogrzebu.

Ciężko wzdychając wyciągnął złożoną na czworo kartkę papieru. Na obu jej stronach widniały odręcznie robione schematy i rysunki. Wyglądało to wszystko jak jakiś rebus, albo uczniowskie projekty zapisywane zwyczajowo na tylnej okładce szkolnego zeszytu.

Długo komentowali wspólnie zwartość tajemniczego przesłania Mazura. Wymieniali się najbardziej nieprawdopodobnymi hipotezami, które były równie śmiałe, co fantastyczne. Nijak się to nie miało do rozwiązania zagadki. Znużyły ich te rozważania.

Brat Mazura chyba pożałował swojego wyznania o skarbie, bo tak szybko jak szkic pokazał, równie zdecydowanie zakończył wspólne studiowanie rysunkowej zagadki. Kartka powędrowała do wewnętrznej kieszeni jego bluzy.

Rozmowa nie kleiła się jakoś. Eryk z natury mało mówił, ale emocje tej nocy w ogóle wyłączyły mu elokwencję. Janek natomiast mówił zwykle dużo i chętnie, ale i on wydawał się być kompletnie rozkojarzony. Stanęło na tym, że chłopcy dadzą znać, gdy tylko dowiedzą się, co może oznaczać ta zaszyfrowana mapa.

Było po drugiej, gdy wychodzili z altanki. Przez dłuższy czas szli w milczeniu.

- Co o tym wszystkim sądzisz? – nie wytrzymał ciszy Eryk.

- Nie wiem.

- A co jeżeli to prawda z tym skarbem?

Janek nie odpowiadał. Szedł w niepodobnym do niego stanie zamyślenia.

- Słuchaj. – zatrzymał się niespodziewanie – Przyrzeknij mi, że to co powiem pozostanie tylko między nami.

- No ok. Przecież mnie znasz stary – Eryk nie wiedział jak zapewnić o swojej dyskrecji – Przecież ja potrafię milczeć. Nie jestem... - nie dokończył i nie wyjaśnił kim nie jest, bo Janek kompletnie go nie słuchał. Był w jakiejś gorączce, a rozkojarzone oczy skakały ciągle bez skupiania uwagi.

- Pamiętasz te narysowane schodki i taki dziwny łuk na rysunku?

- No coś takiego tam było – potwierdził Eryk.

Janek nabrał powietrza jak przed skokiem do wody.

- Chyba znam to miejsce.

Rozdział 3 „Kościół"

Janek długo wpatrywał się w rozłożoną na biurku kartkę. Była to kopia wczorajszego planu Mazura, który sfotografował wykorzystując nieuwagę właściciela. Po raz kolejny wodził wzrokiem po liniach tworzących jakiś plan ulic i analizował rysunki, które przedstawiały fragmenty murów. Wszystko to opisane było hasłami w obcych językach. Rozpoznać można było łacinę i niemiecki, ale wrzucone w translator poszczególne wyrażenia dawały jakiś bełkot. Nic prawie na tym schemacie nie było jasne.

Jedynym, co wydawało się dziwnie znajome w planie zamordowanego dziennikarza był rysunek podpisany przekrzywionym wyrazem „sprengnische". Janek podobny układ sklepienia już gdzieś widział. Nie chciał przyznać się do tego wczoraj, ale od razu przyszła mu na myśl krypta w kościele, który dobrze poznał w czasach zupełnie nieodległych. Podobała mu się Kasia - jedna z wokalistek z Młodzieżowego Zespołu Muzycznego, więc swego czasu często zachodził na próby do parafii.

Krypta w kościele, co prawda nigdy nie była odsłonięta i nikt nawet nie mógł do niej zajrzeć, jednak Janek któregoś razu dotrzymywał towarzystwa Kasi, gdy ta uzupełniała jakąś kronikę kościelną. Był w niej fotoreportaż z konserwacji krypty po wielkiej powodzi w 1997. Choć uczucie do Kasi przeminęło, to w pamięć zapadł nietypowy kształt niszy grobowej na jednym ze zdjęć. Była bardzo wysoka.

Eryk przerwał dość hałaśliwie zadumę Janka. Dokładnie o jedenastej wpadł do domu kolegi jak pocisk. Zazwyczaj dość swobodnie interpretował wskazania zegarów, ale tym razem ciekawość nie dawała mu wysiedzieć w domu. Janek zapowiedział, że ma jakiś plan.

Ledwo wymienili zdawkowe powitania już pędzili w stronę Placu Katedralnego.

- To tu. – Janek zatrzymał się gwałtownie przy masywnej, metalowej furtce.

- Dom parafialny? A po co... - nie dokończył pytania Eryk, bo zza ogrodzenia wyjrzała jakaś kobieta w zapylonym ziemią fartuchu.

- Gdzie idziecie? Proboszcza nie ma – zagadała bez wstępów.

- Dzień dobry. My nie do proboszcza, my do księdza Adama.

- To tam trzeba nacisnąć – wyjaśniła wskazując sekatorem domofon i znów przygarbiła się chowając za parkan.

Eryk był przekonany, że niespodziewana strażniczka dostępu do kapłanów i tak słucha po drugiej stronie ogrodzenia, dlatego syknął przez zęby:

- Po co ty tam chcesz iść?

- Zaufaj. Wiem co robię.

Domofon zabrzęczał przeciągle i z małego głośniczka dał się słyszeć elektronicznie zniekształcony męski glos:

- Kto tam?

- Szczęść Boże, proszę księdza. Tu Eryk i Janek z klasy maturalnej IX liceum. Chcielibyśmy z księdzem porozmawiać chwilę.

- To zapraszam do kancelarii parafialnej. Już schodzę.

Drzwi otworzyły się po minucie i stanął w nich młody ksiądz ubrany zupełnie po cywilnemu. Z ujmującym uśmiechem uścisnął dłonie chłopaków i zaprosił ich do środka.

Weszli do pomieszczenia, w którym jedynymi meblami były olbrzymie drewniane i ciężkie biurko i trzy krzesła. Jedno stało za biurkiem, dwa pozostałe po jego drugiej stronie. Uwagę zwracał pięknie zdobiony krucyfiks stojący po lewej stronie i stos ksiąg, który ułożono stupkiem na przeciwległej stronie.

- Co was sprowadza chłopcy? – rozpoczął ksiądz Adam – Duszpasterstwo Młodzieży startuje dopiero po wakacjach. Teraz to wszyscy się porozjeżdżali.

- Eeee... My w innej sprawie. – Janek zaczął wyłuszczać cel wizyty – Przyszliśmy porozmawiać z księdzem, bo chcielibyśmy wstąpić do seminarium duchownego.

Eryk parsknął śmiechem, który zgrabnie zamaskował atakiem kaszlu. Wyobraźnia bawiła się ich widokiem w czarnych sutannach.

- To świetnie! – księdza wyraźnie ucieszyła ta deklaracja – To się proboszcz ucieszy. Wy chłopaki teraz maturę mieliście, co? No to gratuluję decyzji, bo straszne pustki się robią w naszym wrocławskim seminarium. Tak nie może być! Śląsk to potęga wiary! – ksiądz urwał jakby zawstydzony swoim słowotokiem.

- Wiecie jakie dokumenty potrzebne? Pewnie będziecie chcieli opinie od proboszcza? – zaczął bardziej formalnie.

- Wiemy, proszę księdza. To wszystko załatwimy później.

- No to jak wam mogę pomóc chłopaki? Mogę wam opowiedzieć o tym jak to jest w seminarium.

- Nie, nie trzeba. – trochę zbyt gwałtownie zareagował Janek – To znaczy, chciałem opowiedzieć, że chętnie sami poznamy to od środka. Ale jeżeli ksiądz byłby tak uprzejmy, to chcielibyśmy bliżej poznać kościół.

Eryk mimowolnie otworzył usta i z podziwem spojrzał na Janka. Dopiero teraz zrozumiał jego misterny plan i zaskoczyła go przebiegłość przyjaciela.

- Kościół? Przecież chyba chodzicie na msze? – nieufnie zapytał ksiądz.

- Tak, oczywiście. Chcemy jednak przygotować opracowanie na temat najstarszego w mieście kościoła – kwerenda internetu zaowocowała teraz pewnością siebie.

- A po co wam to? – podejrzliwość nie opuszczała księdza Adama.

- Opublikujemy to potem na naszej stronie – wyjaśnił Janek nie wspominając przy tym co to za strona.

Młody duszpasterz nie wyczuł, że jest wyprowadzany na manowce przez dwójkę sprytnych maturzystów.

- Do kościoła zawsze możecie wejść. Nie ma żadnych przeszkód. Natomiast do krypty wstępu nie ma. Zasłonięta jest płytami, które chyba z tonę ważą i nie da się tam tak po prostu wejść.

To wyjaśnienie księdza było jak podmuch wiatru w misternie układany domek z kart.

- Nie ma możliwości? – wystękał milczący dotąd Eryk.

- Zamknięta na wieki amen – zaśmiał się z własnego żartu ksiądz – Ale jak chcecie to możecie do świątyni wejść. Nie ma teraz żadnych nabożeństw.

Zrezygnowani nie bardzo chcieli, ale głupio było tak po prostu wyjść z roli przyszłych kleryków – badaczy historii kościoła. Zgodzili się więc niechętnie.

Jak tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi Eryk zaczął przygotowaną litanię wyrzutów.

- Coś ty sobie w zasadzie wyobrażał? Że tak po prostu wejdziesz do kościoła i wyciągniesz skarby, które tam na ciebie tak po prostu czekają? Myślisz, że one czekają tam tylko na ciebie? I nikt ich nie wyciągał, tylko ty możesz to zrobić? – syczał.

- Powtarzasz się – Janek postanowił przerwać w końcu ten festiwal złośliwostek – A najlepiej zamknij się już bo dochodzimy.

Weszli głównym wejściem i z rutyną doświadczonych katolików przykucnęli na chwilę markując klęknięcie. W kościele było mroczno za sprawą wąziutkich okien, ale od razu zauważyli coś, co znów spowodowało uczuciowe tsunami.

Gapili się nierozumnie w stronę nieistniejącego już filara. W ciężkiej, posadzkowej płycie była wyraźna szczelina, a z wnętrza krypty sączyło się blade światło.

Rozdział 4 „Krypta"

Janek i Eryk nigdy nie byli orłami z biologii, ale prawdą jest, że w zasadzie i tak nie wybierali się na medycynę. Nawet oni wiedzieli jednak, że w cyklu bicia serca występuje półsekundowa pauza.

Teraz ta mini pauza wydłużała się w ich sercach do pełnych minut, a zmysły doświadczyły swoistej stopklatki.

- Co to jest? – serce zaczęło bić pierwszemu Erykowi.

- Otwarta...

- Ktoś tam jest?

- Nie wiem.

Minęło kolejnych kilka minut zanim umysły ich zaczęły stawiać racjonalne pytania i szukać rzeczowych odpowiedzi. Najlepszą odpowiedzią było sprawdzenie źródła światła.

W szczelinie, jaką stworzyła odsunięta płyta, zauważyli jakieś urządzenie zawieszone na czymś w rodzaju kabla. Światło padało z niewielkiej lampy.

- Co tam was tak interesuje chłopcy? – odezwał się nagle tubalny głos. Za ich plecami stał siwiejący mężczyzna w roboczym ubraniu jaki zwykle noszą budowlańcy. - Nie boicie się, że jakiś kościotrup wyskoczy? – zapytał z uśmiechem.

- Tak tylko chcieliśmy zajrzeć – Eryk silił się na nonszalancję. Nie chciał pokazywać nieznajomemu rozhuśtanych emocji. Ten jednak ani myślał obserwować stany uczuciowe chłopaków. Zabrał się za wyciąganie kabla z niszy.

- Co to jest? Co pan robi? – nie wytrzymał Janek.

- To? – mężczyzna wskazał na wyciągany ze szpary przedmiot – Kamera inspekcyjna. Podglądam sobie umarlaków – zarechotał.

- Kamera? A po co? – nikt nie podjął wesołego tonu.

- Tak sprawdza się trudno dostępne miejsca. Badam stan krypty i oceniam wytrzymałość fundamentów.

- Do czego to panu? – pytania chłopców stawały się coraz bardziej infantylne.

- To moja praca. – spoważniał mężczyzna z kamerą – Jestem konserwatorem zabytków.

- Czy do tej krypty nikt nie może wejść? – zapytał naiwnie Eryk.

- Nie. Nie ma takiej potrzeby. Zresztą po co ktoś miałby tam wchodzić? To grobowiec. Po dzisiejszej inspekcji zamknie się go na kolejne długie lata. Chyba, że wcześniej znów przyjdzie wielka woda. Wiecie jak to jest.

Chłopcy pokiwali głowami, chociaż nie do końca zrozumieli słowa konserwatora.

Nie uzgadniali tego ze sobą, ale jedno spojrzenie po sobie utwierdziło ich, że myślą podobnie. Poza tym ten człowiek budził w nich zaufanie i gwarantował szeroką wiedzę na interesujące ich teraz zagadnienia.

- Bo widzi pan... - zaczął Janek – Chcielibyśmy się podzielić z panem pewną informacją.

Przysiadając na stopniu ołtarza wrzucili swoje domysły na temat domniemanego skarbu, który pozostał po jakiejś lotniczej katastrofie w lasach Rudy Raciborskiej. Kraksa była sprzed stu lat, ale skarb pozostał podobno ukryty do dzisiaj. Prześcigali się przy tym we wzajemnym uzupełnianiu swoich relacji, jakby dość mieli już ciężaru noszonej tajemnicy i wagi swoich domysłów. Opowiedzieli o morderstwie, o mapie, o bracie zamordowanego i swoich planach.

Konserwator zabytków wydawał się być nieporuszony. Słyszał o dawnym wypadku i znał dokładnie sprawę. Rzeczywiście niedaleko stąd runął na ziemię największy w swoich czasach samolot – Zeppelin Staaken. Faktycznie przewoził coś cennego, ale wątpliwe, żeby do dzisiaj cokolwiek z tego pozostało. Niedawno zresztą odnaleziono jego szczątki. Ot, stopione pożarem aluminium i to wszystko. Nie było i nie ma żadnego złota. Ani tam w lesie, ani tutaj. Jakby zresztą miało tu trafić?

- Tam są tylko kości i nie ma nic więcej – powiedział w końcu wskazując na kryptę. - Badałem kiedyś to miejsce georadarem. Tu pod tym kościołem prawie wszędzie są podziemia, ale to zwykłe podpiwniczenia z wnękami na trumny. Poza tym ten szkic wcale nie przypomina niczego, co widziałem w tych kryptach.

- Nie? – zapytał Janek z niedowierzaniem.

- Widzicie ten napis? – wskazał na ekraniku telefonu Janka konserwator.

– „Sprengnische" – odczytał Eryk koślawy napis

- No właśnie. Wiecie co to znaczy? To wnęki, które dawniej budowniczowie zostawiali w ważnych strategicznie budowlach. Służyły one do podkładania ładunków wybuchowych gdyby podczas wojny wróg chciał zająć dany most, fabrykę, kopalnię czy cokolwiek innego. To wcale nie jest nisza grobowa.

- A co jeżeli skarb naprawdę istnieje i jest gdzieś w takim zagłębieniu?

- Skarb z katastrofy to taki sam mit jak ten złoty pociąg w Wałbrzychu – wypalił w odpowiedzi konserwator.

- No a mapa zamordowanego Mazura, która ma zaprowadzić do skarbu?

- Przecież nic o niej nie wiemy. Gdzie ja znalazł? Na podstawie czego stwierdził że to mapa do złota? Jakie inne informacje posiadał?

- Nie wiemy dokąd ma nas ta mapa zaprowadzić - ciągnął dalej. - Może to harcerskie zadanie z zabawy w podchody, mapa zrzutowiska broni, albo miejsce ukrycia stołowej zastawy wywiezionych do obozu Żydów? Tak naprawdę nic o tej mapie nie wiemy. Nie umiemy jej odczytać. To za mało żeby brać się za poszukiwania. Nic nie wskazuje, żeby coś zostało do naszych czasów z katastrofy w rudzkim lesie. To wszystko tylko luźne domysły.

- To kto i dlaczego zabił Mazura? – rzucił rozpaczliwie Janek. Cały poukładany logiczny ciąg drogi do skarbu właśnie runął.

- Tym niech się zajmuje policja – odpowiedział zapytany.

Zamilkli.

- Czytacie czasami gazety? – zapytał niespodziewanie konserwator. – Zresztą, o co ja pytam. Chłopaki w waszym wieku to pewnie nie czytają.

Bez słowa podał numer jakiegoś tygodnika wyciągnięty z narzędziowej torby. Tytułowa strona była podwinięta, ale była to gazeta ze Świdnicy. Rubryka kryminalna pękała w szwach i było to wynikiem nie wybitnie przestępczego charakteru miasta, a skrupulatności rzecznika prasowego tamtejszej policji.

„Kradzież gołębi", „Pijany na rowerze", „Sikał na przystanku!" – chłopcy głośno czytali na przemian nagłówki notatek.

- Tu – powiedział konserwator i grubym palucheм popukał w odpowiednie miejsce na szpalcie gazety.

- „Amator pokemonów?" - upewnili się bo tytuł na razie nic im nie powiedział.

Przebiegli szybko wzrokiem:

„Komenda Powiatowa Policji informuje, że zatrzymano Ireneusza R. lat 35, podejrzanego o liczne włamania i dewastacje mienia na terenie powiatów wrocławskiego i świdnickiego. Podejrzany ze względu na stan zdrowia został tymczasowo umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Zatrzymany zeznał, że do prywatnych posesji włamywał się w poszukiwaniu pokemonów. Policja prosi o informacje o zauważonych aktach wandalizmu na terenie prywatnych posesji."

- I to jest odpowiedź? – zduszonym, nienaturalnym głosem zapytał Janek.

- Nie. Ale taka może być odpowiedź.

- Przecież to jakiś chory psychicznie zwykły włamywacz. Nie ma słowa o morderstwie. Poza tym Mazura zamordowano w jego mieszkaniu, był torturowany.

- Może ten jeden przypadek był wyjątkowy? Może te pokemony go zaprowadziły do Mazura? Coś tam wtedy poszło nie tak? – zastanowił się konserwator.

- Psychicznie chory zabójca, amator pokemonów, przypadkowo zabija człowieka, którego najpierw przypadkowo torturuje i od którego chce uzyskać mapę do skarbu. Przecież Mazur czegoś się bał. Sam mówił o jakimś skarbie. To się kupy nie trzyma! – nie wytrzymał Janek.

- Fakt. Nie widać w tym sensu. – zgodził się niespodziewanie konserwator i westchnął. - Ale co nam innego pozostało?

Epilog

To był rodzaj piwnicy, bunkra lub lochu. Światło nigdy tu nie docierało. W legowisku, które szczurza matka skrupulatnie wymościła we wnętrzu starej skrzyni leżały cztery oseski. Malutkie szczurki były jeszcze nagie i ślepe i nie wychodziły samodzielnie z kryjówki. Tuląc się do siebie cierpliwie czekały na powrót matki.

Szczurzyca wsunęła się ostrożnie do ciemnego pomieszczenia i stając słupka lustrowała pomieszczenie ruszając energicznie wibrysami przy mokrym nosku. Była ostrożna i robiła tak zawsze, gdy wracała na porę karmienia, chociaż nigdy nie zdarzyło się żeby spokój tego miejsca zakłócił człowiek.

Przebiegła ostatni odcinek drogi do legowiska i jak zwykle narobiła przy tym sporo hałasu. Nie chciała tego, ale wspinając się na szczyt ogromnej sterty zawsze osuwała łapkami jakieś błyszczące, metalowe krążki. Pokrywała je gruba warstwa kurzu.

Jagoda Wróbel, ***Sen***

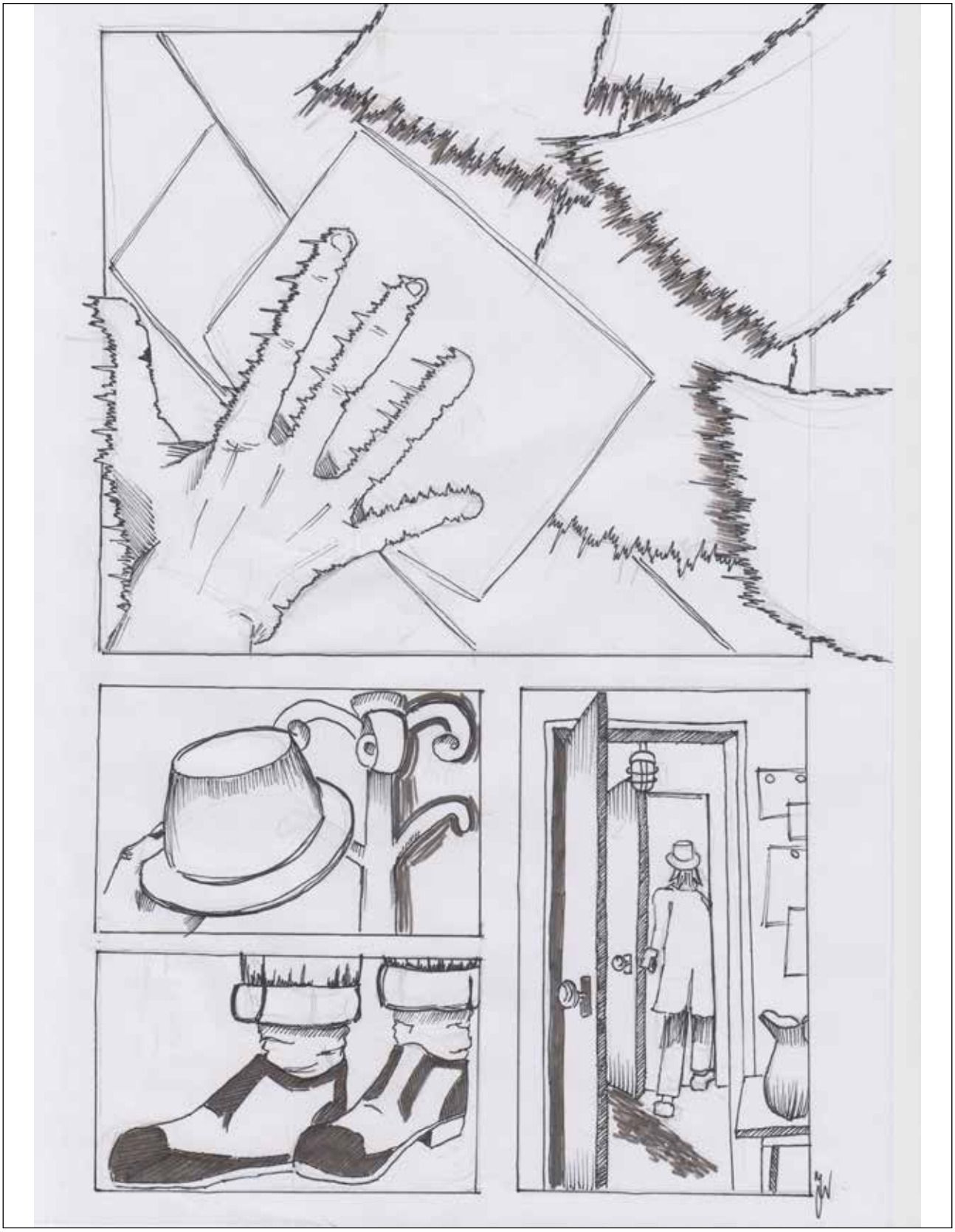

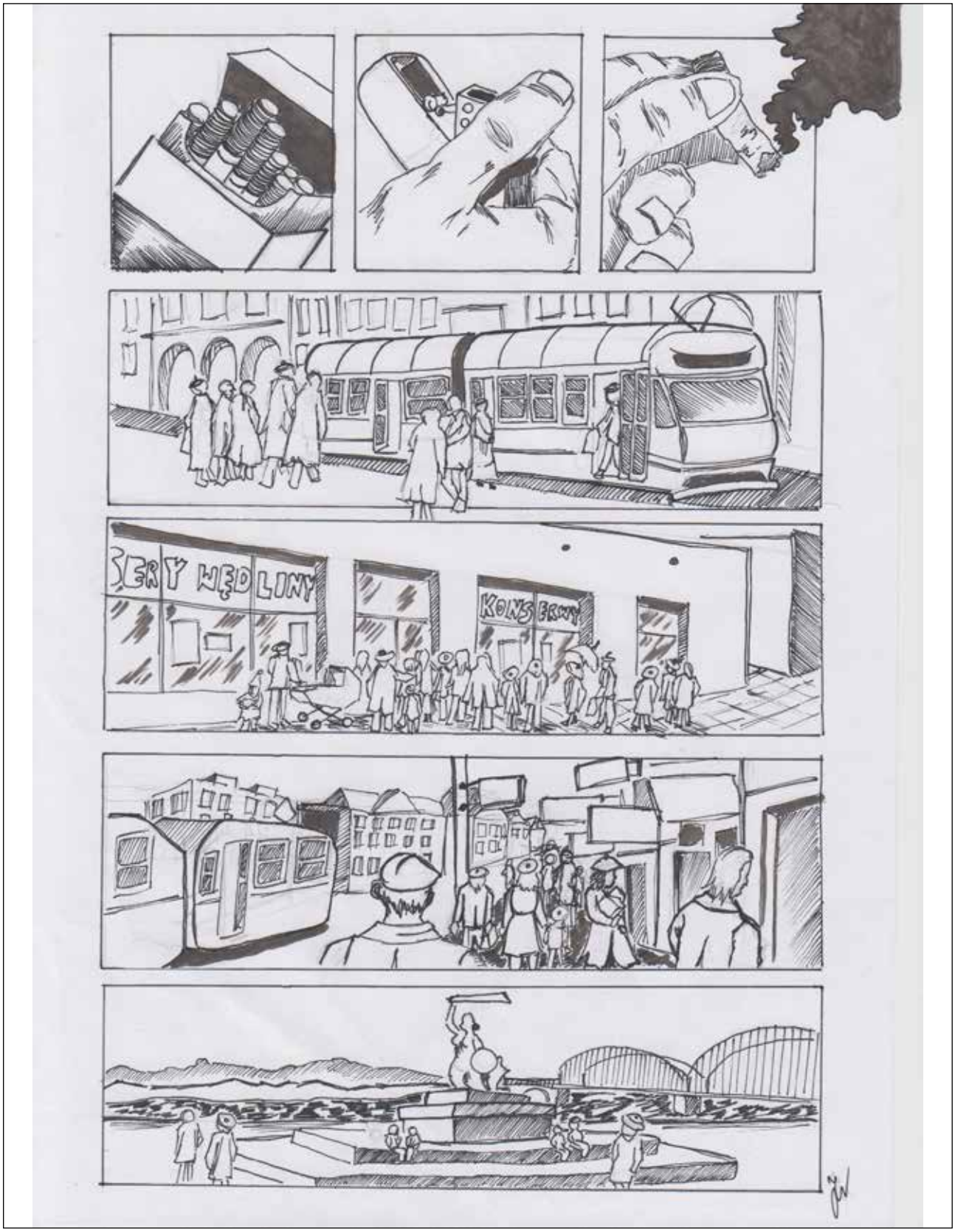
SERY WĘDLINY
KONSERWY

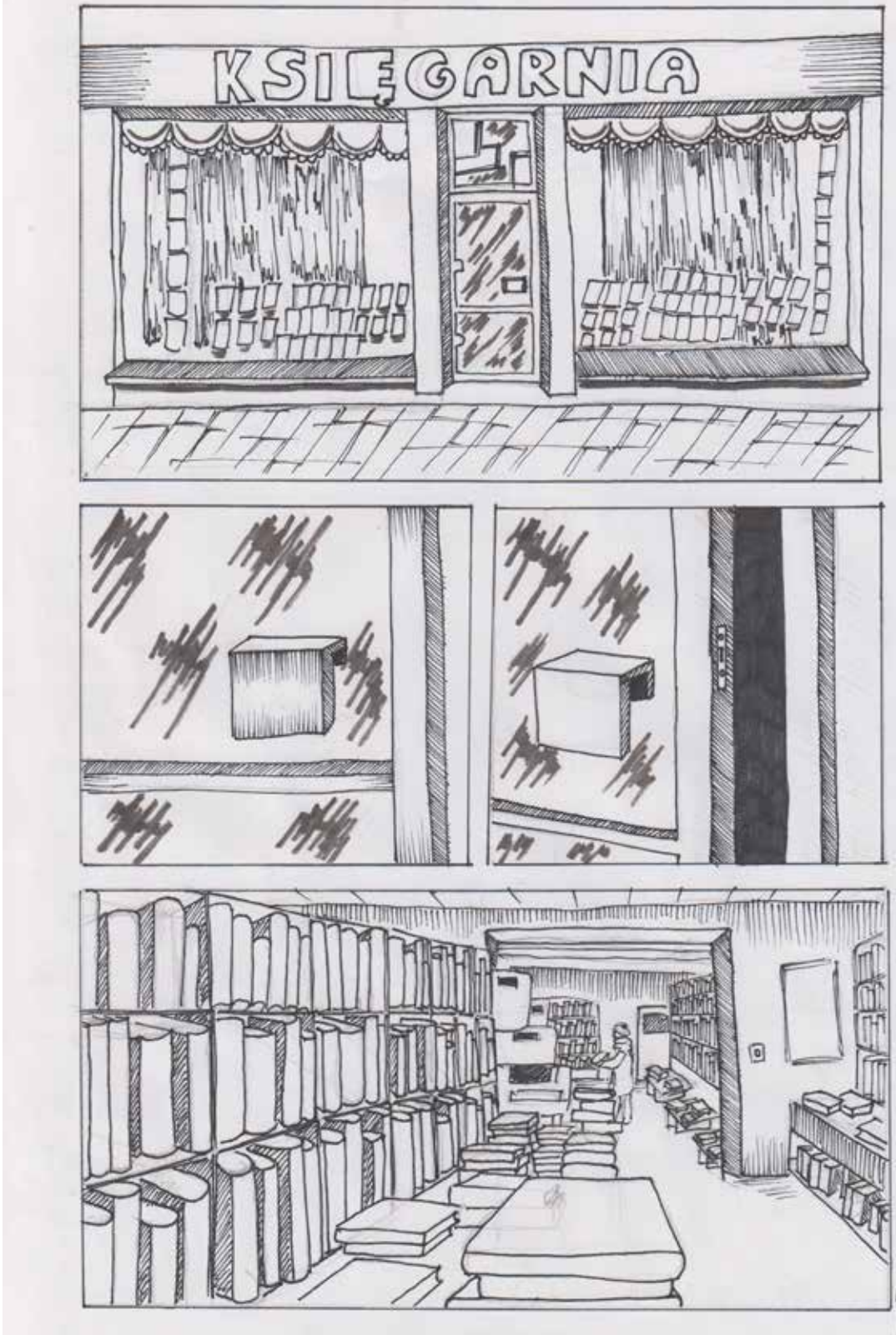
KSIĘGARNIA

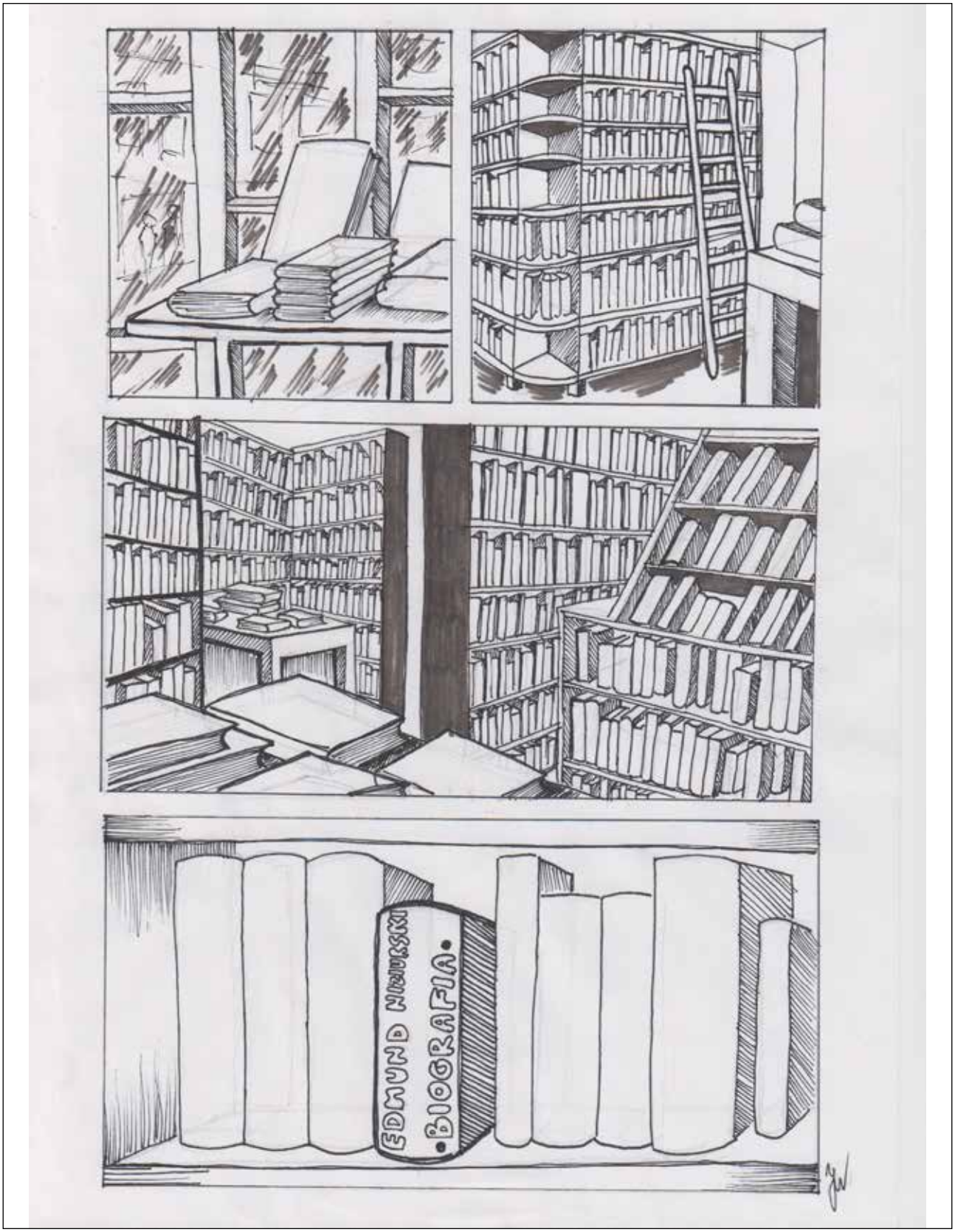
EDMUND NIZIURSKI
•BIOGRAFIA•

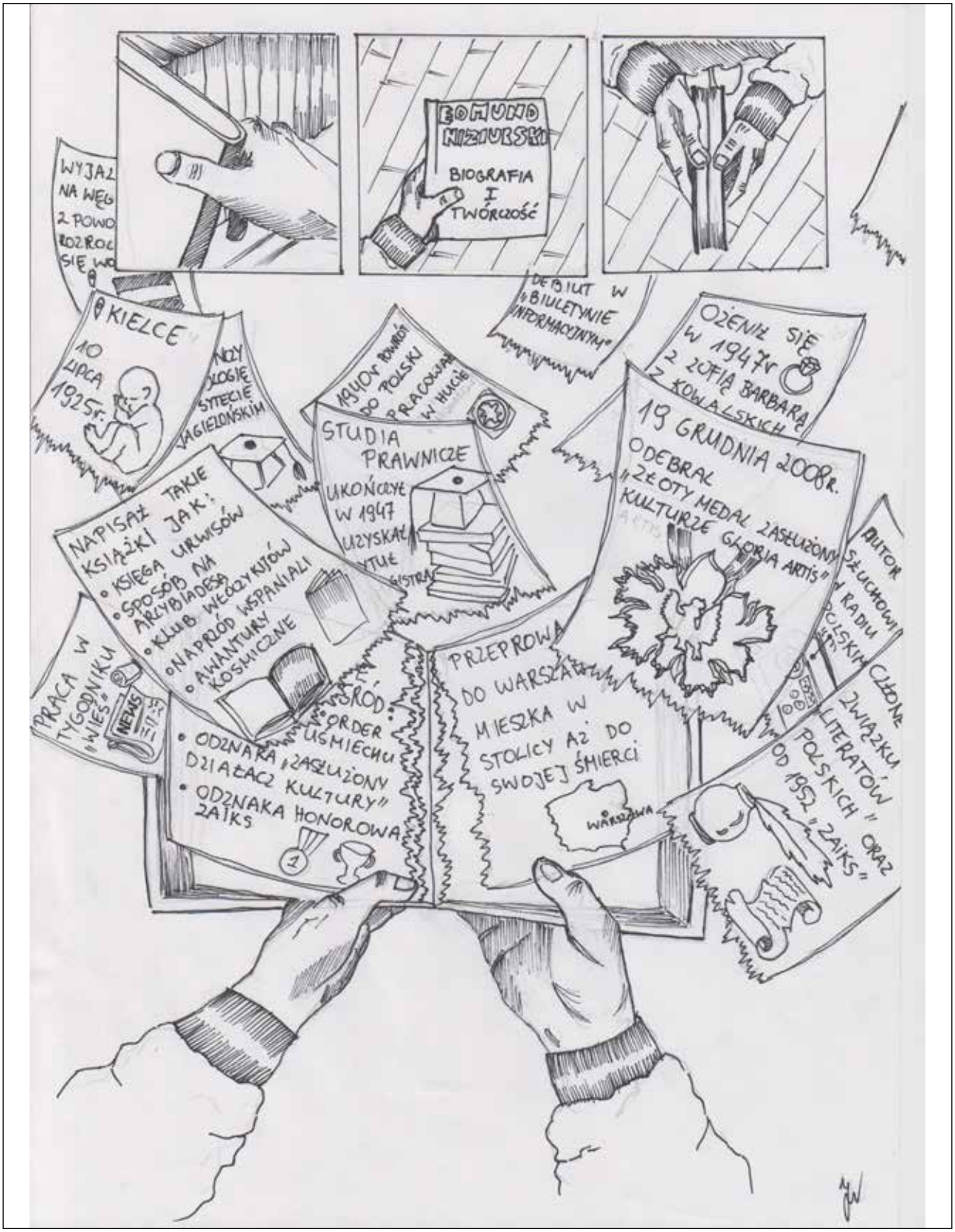
EDMUND NIZIURSKI
BIOGRAFIA I TWÓRCZOŚĆ
KIELCE
10 LIPCA 1925 r.
STUDIA PRAWNICZE
UKOŃCZYŁ W 1947
OŻENIŁ SIĘ W 1947 r. Z ZOFIĄ BARBARĄ Z KOWALSKICH
19 GRUDNIA 2008 r.
ODEBRAŁ „ZŁOTY MEDAL ZASŁUŻONY KULTURZE GLORIA ARTIS"
NAPISAŁ TAKIE KSIĄŻKI JAK:
• KSIĘGA UKWISÓW
• SPOSÓB NA ARKYBIADESA
• KLUB WŁOCZYKIJÓW
• NAPRZÓD WSPANIALI
• AWANTURY KOSMICZNE
PRACA W TYGODNIKU „WIEŚ"
ORDER UŚMIECHU
• ODZNAKA „ZASŁUŻONY DZIAŁACZ KULTURY"
• ODZNAKA HONOROWA ZAIKS
PRZEPROWADZKA DO WARSZAWY
MIESZKA W STOLICY AŻ DO SWOJEJ ŚMIERCI
WARSZAWA
AUTOR SŁUCHOWISK RADIU POLSKIEGO
CZŁONEK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH" ORAZ OD 1952 „ZAIKS"

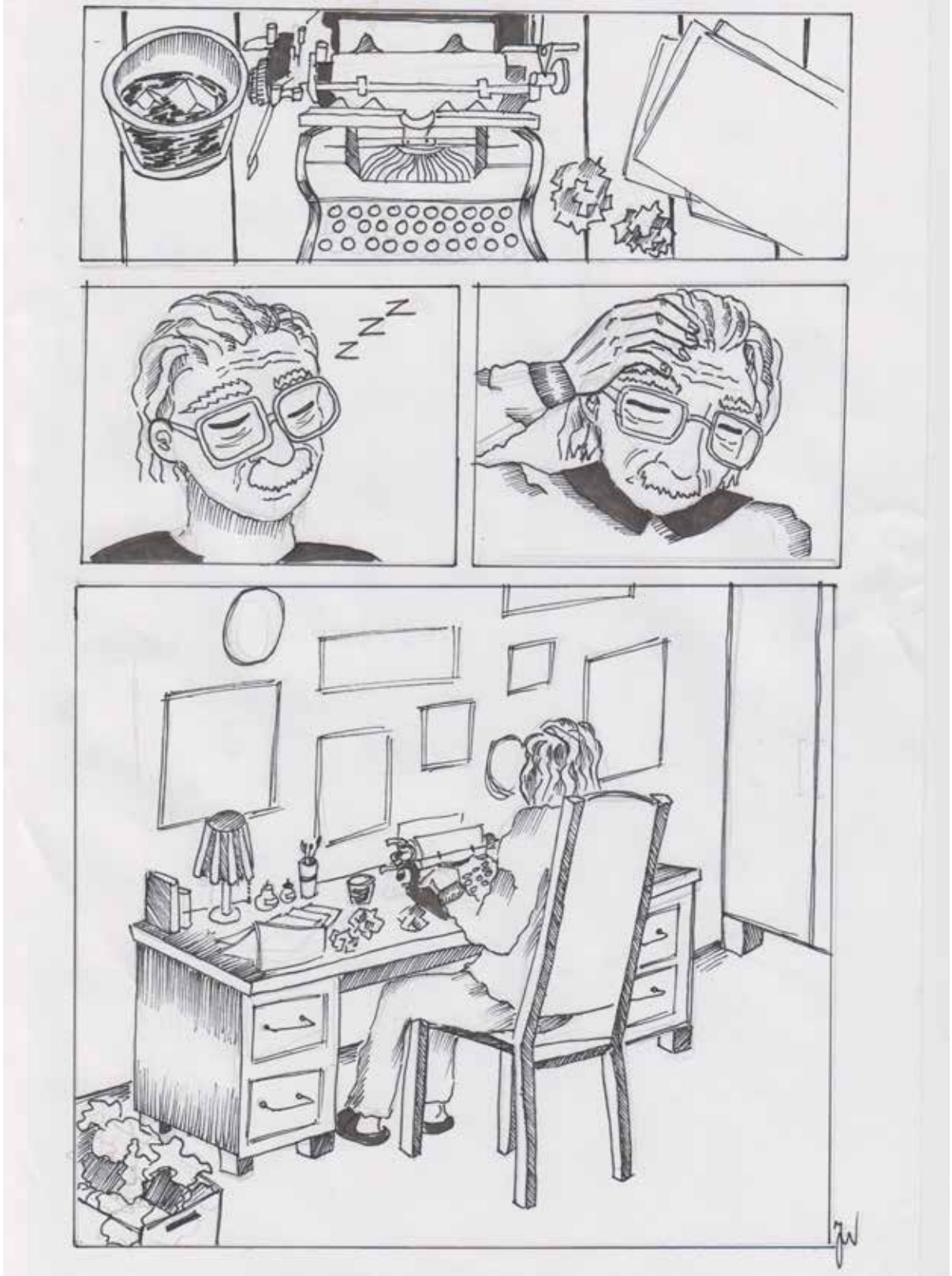

Grzegorz Wawrzyńczak, ***Plakat Festiwalu Komiksu i Narracji Obraz(k)owych - IV Kieleckie Prezentacje Komiksowe***

Festiwal Komiksu i Narracji Obraz[k]owych – IV Kieleckie Pr… Ko…

PROG…

WYKŁ…

08.0… (Pokaz filn… Historii P… Kamila Wrz…

09.00 … w magazyn… najnowszego numeru)

09.30 – Nowości wy… ralnego „Projektor" (publi… o Franciszku Kostrzewski… weł Chmielewski & Jerzy…

10.00 – „Ile średni… „Prince Valiant" Hala … amerykańskiego komiks…

10.45 – „Czy D… (Adaptacje klasyki lite… Emmanuella Robak)

11.30 – „Jak Norwegow… Miecza"?" (O polskich – i nie tylko – komiks… festiwalu w Angouleme'22 – Paweł Chmi…

12.15 – „Kadry z Ital… komiksach włoskich – Ma… Kisiel-Dorohiniccy)

13.00 – Spotkanie z redak… (Asocjacja Komiksów w Toruniu … tof Churski, Michał Gasewicz, J… Grzegorz Wawrzyńczak)

14.30 – Finał performatywnego malowania komiksu „Kadr 120 x 120" (Wielkoformatowy komiks w trakcie festiwalu maluje Grzegorz Wawrzyńczak)

14.45 – „Od Franka Zappy do Nine Inch Nails" (Komiksowe inspiracje w muzyce – Mirosław Krzysztofek)

15.30 – Jak sfotografować ob… afo-wać komiks (… vie-

Stoisko Asocjacji Komiksu z Torunia: (od lewej siedzą) - Jarosław Wojtasiński, Krzysztof Churski, Michał Gasewicz

Zbigniew Brzeziński - wykład o dorobku artystycznym Hala Fostera i serii „Prince Valiant"

Stoiska wydawców podczas 4. Kieleckich Prezentacji Komiksowych

Grzegorz Wawrzyńczak - performance - komiksowy obraz malowany w trakcie festiwalu. Zdjęcia: Zbigniew Brzeziński, Paweł Chmielewski, Julia Brzezińska

Robert Kolasa w trakcie rozdawania autografów i wrysów.

Paweł Chmielewski podczas inauguracji festiwalu oraz prezentacji nowości wydawniczych Stowarzyszenia Twórczego „Zenit".

Zbigniew Brzeziński

Książę ilustracji i wizja średniowiecza

Podczas IV Kieleckich Prezentacji Komiksowych dyskutowaliśmy o twórczości ojca komiksu przygodowego Hala Fostera, przede wszystkim szukając odpowiedzi na pytanie: ile w nich średniowiecza, a ile samego „fartownego" Hala? Niniejszy artykuł podsumowuje tamte rozmowy.

Książę ilustracji

Treść odcinka kanału Art of Comics na You Tube, który jego autor Andreas Salazar poświęcił głównemu dziełu Hala Fostera, czyli cyklowi „Prince Valiant" można streść do słów: „spójrzcie na to!". W ten sposób prowadzący zachwycał się mistrzostwem kompozycji. Zwracał uwagę, ile precyzji wkładał Foster nawet w rysowanie cieni bohaterów. Jak dbał o szczegóły każdej z postaci w scenach zbiorowych i odzwierciedlał miejsca, które znał z autopsji. Ze świadomością ostrzeżenia, które zostawił nam prof. J.R.R. Tolkien, że znajomość biografii pisarza ma się nijak do zrozumienia jego twórczości, nie może nas nie zainteresować, skąd się wziął ten niezwykły talent lub jak doskonalił się tak ceniony warsztat. Ochota zaś sięgnięcia po komiksy Hala Fostera po obejrzeniu tak pełnej zachwytów prezentacji stromo rośnie. W przypadku piszącego te słowa zainteresowanie cyklami „Prince Valiant" i „Medieval Castle" ma jednak inne źródło. W pracy „Wprowadzenie do historii średniowiecznej" Heinz Dieter Heimann poświęcił rozdział popularyzacji nauki i miejsca wieków średnich w kulturze współczesnej. Jeden z podrozdziałów dotyczył komiksów i filmów fabularnych. Cykl autorstwa Hala Fostera przedstawił Heimann jako najpopularniejszy, choć powstały jeszcze w latach trzydziestych XX wieku, ale wciąż przeżywający kolejne renesanse. Zauważył, że historie Księcia Ilustracji stawiają na akcję, na przygodę, na walkę. Ukazują świat rozwiniętego średniowiecza, choć odnoszą się do kodeksu honorowego i postaw Rycerzy Okrągłego Stołu i oczywiście samego Króla Artura. W tym miejscu warto przypomnieć pełną nazwę tych pasków: „Privce Valiant. In the Days of King Artur". Heimann oddał hołd temu dziełu również w zbiorze uwag ogólnych. Zapisał tam m.in. następującą refleksję: Komiksy nie mogą zaspokoić potrzeb w zakresie przedstawiania historii, ale nie jest to ich celem. Jednakże są one pewnego rodzaju dekoracją teatralną i przez to budują historyczne obrazy średniowiecza. Ponadto jakość komiksów ujawnia się w kształtowaniu obrazów scenicznych i widowisk. Pod tym względem „Prince Valiant" jako ilustrowana książka o znajomości historycznych realiów ma pewne zasługi, ponieważ często ze szczegółową dokładnością według stanu z XII-XIII wieku ukazuje uzbrojenie, modę, budownictwo, technologię etc. (s. 351). Do zachwytów nad kreską Fostera możemy więc śmiało dodać wyrazy uznania dla jego wiedzy historycznej. Pamiętając zatem uwagę Tolkiena, którą chyba należy odczytać w następujący sposób: zrozumienie dzieła powstaje w interakcji między odbiorcą a samym dziełem, aż chce się poznać biografię człowieka, by zrozumieć już nie tylko jego artystyczny warsztat, ale też pojąć, skąd czerpał wiedzę i inspirację.

Konkurencyjne biografie

Cykl „Prince Valiant" ukazał się w wielu krajach świata, niestety nie w Polsce. Można spotkać jego tłumaczenia na różne języki: niemiecki, włoski, francuski i hiszpański. Nic więc dziwnego, że odnoszą się do niego badacze z różnych krajów. Na przykład w 2007 r. ukazała się praca autorstwa Manuela Caldasa „Foster y Val: Los trabajos y los días del creador de Prince Valiant". Kolejne wydanie wyszło w 2021 r. wzbogacone o nowy dobór ilustracji. Na okładce widnieje przy rysowniczym stole sam Hal Foster, a nad nim stoją postaci z jego komiksów. Środkową pozycję zajmuje w tym gronie Prince Valiant, który palcem wskazuje, co należy poprawić, a może uzupełnić. Ilustracja stanowi fragment odręcznie wykonanej kartki na Boże Narodzenie AD 1959 r., którą Państwo Foster skierowali do przyjaciół. Dwóch wydań doczekała się również biografia, której autorem jest Brian M. Kane „Hal Foster. Prince of Illustrators. Father of the Adventure Strip, Vanguard Productions" (2001, 2010). Tu na okładce także znajdują się rysownik i bohaterowie jego dzieł. Trudno zatem opowiedzieć o życiu autora komiksu, bez wyjątkowo silnego związania go z wytworami jego nietuzinkowej wyobraźni. To zdaje się odróżniać biografie autorów opowieści rysunkowych od pisarzy w ogóle (w czasie

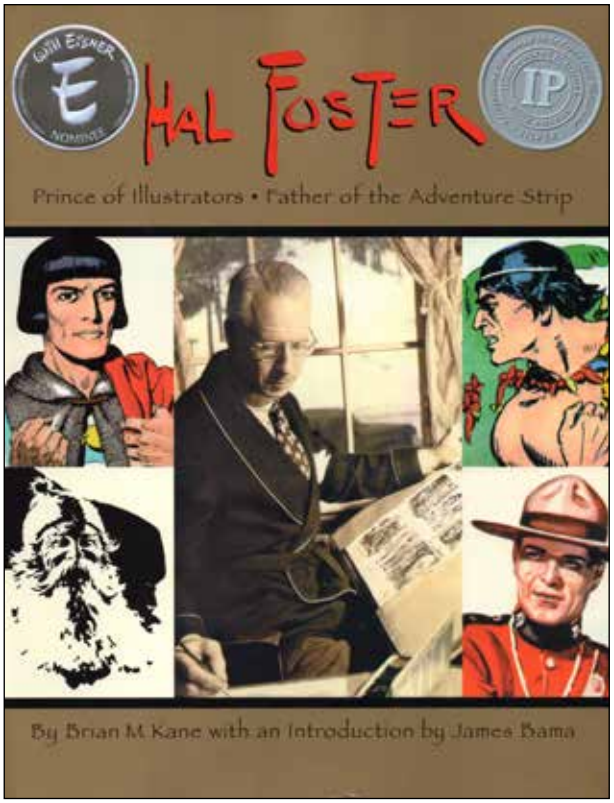

KPK dyskutowaliśmy o tym z Pawłem Chmielewskim – przyp. ZB). W tym miejscu należy podkreślić, że życiorys Księcia Ilustracji wiele uczy. To opowieść o niepoddawaniu się mimo przeciwności, pędzie do przygody, który zostaje odłożony na bok w związku z odpowiedzialnością za rodzinę i odwadze w podejmowaniu decyzji. Trudno oprzeć się wrażeniu, że gdy Foster się ustatkował, to jego bohaterowie podróżowali, walczyli i mierzyli się z wszelkiej maści trudnościami niejako zamiast niego. Wiedli żywoty godne pieśni, gdy ich twórca zarabiał na życie.

1000 MIL PO NAUKĘ

Czytelnik bogato ilustrowanej biografii, którą przygotował B. Kane, ma gwarantowane, że jego oczy będą robiły się coraz większe i większe, jak Krzysiowi we wstępie do „Kubusia Puchatka". Zacznijmy od początku. Hal, a właściwie Harald Rudolf Foster urodził się w 1892 roku w kanadyjskim Halifax w Nowej Szkocji. Stracił ojca, gdy miał zaledwie 4 lata. Ojczym uczył go wędkarstwa i różnych form wypoczynku wśród natury. Małego Hala fascynowało morze. Budował tratwy, na których wcielał się w rolę nawet niepiętnastoletniego kapitana. Gdy miał 14 lat rodzina przeniosła się do Winnipeg, szukając szczęścia w bumie na ziemie zachodnie. Edukację formalną tym samym przyszły Książę Ilustracji ukończył w wieku 13 lat. W tym okresie rysował i w lokalnej bibliotece przeglądał prace mistrzów. Gdy miał 17 lat dostał pracę jako rysownik. Tworzył obrazki do katalogów z damską bielizną. Podróżował też po bezimiennych jeszcze jeziorach, robiąc zachwycające szkice z podróży. O zadziornym charakterze młodzieńca może lepiej świadczy historyjka z czasów, gdy pełnił mało eksponowaną rolę gońca w banku. Otóż pewnego dnia przyjechał do niego kolega i powiedział, że przyleciały dzikie kaczki. Hal wziął strzelbę i zniknął na tydzień. Gdy wrócił do pracy, szef zażądał wyjaśnień. Po ich wysłuchaniu zapytał: chcesz mi powiedzieć, że polowanie jest dla ciebie ważniejsze od pracy w moim banku? Na to Foster odparł bez wahania: tak.

W 1915 roku nasz bohater ożenił się z Hellen Wells. Przez kilka kolejnych lat młodzi małżonkowie imali się różnych zajęć. Byli przewodnikami dla myśliwych, szukali złota. Hal grał w rugby i uprawiał boks. Jak sam stwierdził, zrezygnował z zawodowstwa (stoczył ponad trzydzieści walk), gdy postanowił rozwijać umysł zamiast torsu. Rodzina potrzebowała jednak stabilnych dochodów. Zapewne ten stan można było osiągnąć na wiele sposobów. Hal, na szczęście, wybrał sztukę. Wspólnie z przyjacielem wsiedli na rowery z pojedynczym przełożeniem i przejechali nimi tysiąc mil z Monitoby do Chicago. Tam Hal wieczorowo zaczął się uczyć w Chicago Art Institute, National Academy of Design i Chicago Academy of Fine Arts. Jednocześnie pracował. Jako rysownik spełniał się w branży reklamowej. Jego pierwszym komiksem była adaptacja „Tarzana" (1928 r.). Co ciekawe, Foster nie od razu zachwycił się nowym wyzwaniem. Wręcz przeciwnie – porzucił cykl po pierwszej serii. Wrócił w 1931 roku i szybko zaczął wyznaczać nowe trendy. Dbał o narrację, eksperymentował z formami impresjonistycznymi i ze światłocieniem. Radość z tworzenia mąciło jednak poruszanie się po świecie wymyślonym przez kogoś innego. Szukał większej swobody twórczej niż ta, którą dawała mu adaptacja. Ponieważ nie mógł na nią liczyć w poprzednim wydawnictwie, odszedł do konkurencji i dzięki temu 13 lutego 1937 świat po raz pierwszy spotkał się z bohaterem o charakterystycznej fryzurze, który dostał ostatecznie miano: Prince Valiant. Foster zdobył swobodę twórczą, której pragnął, co uwolniło niezmierzone pokłady jego wyobraźni. Po zdobyciu popularności komiks ukazywał się w na tyle dużym formacie, że

Hal mógł eksperymentować z układami stron i tworzeniem bardzo szczegółowych scen batalistycznych oraz grupowych rozgrywających się na świeżym powietrzu, którymi tak zachwycił się przywołany na wstępie A. Salazar. Wpływ tych pasków na rozwój komiksu przygodowego nie sposób przecenić. Wystarczy dodać, że biografia, którą napisał Kane zawiera oprócz piętnastu rozdziałów merytorycznych również dodatkowy dział, zatytułowany: „Tributes". Al. Williamson wspominał, że ile razy ktoś zajrzał do niego, żeby podzielić się jakimś innowacyjnym pomysłem w sztuce komiksowej, okazało się, że Foster już takie rzeczy robił.

Harald Foster zmarł w 1982 roku. Za cykl „Prince Valiant" odpowiadał do emerytury, na którą przeszedł dopiero w 1971 roku. Jego prace nie tylko wpłynęły na całe pokolenia kontynuatorów i naśladowców. Przyniosły mu też sławę. Oprócz chyba wszystkich możliwych nagród branżowych w 1965 roku został przyjęty, jako pierwszy z amerykańskich twórców komiksowych do Królewskiego Towarzystwa Artystycznego w Londynie (Royal Society of Arts). Warto też wspomnieć o innym wyrazie uznania z krainy Rycerzy Okrągłego Stołu. Otóż Książę Windsoru Edward stwierdził, że dzieło Hala to wielki wkład w literaturę brytyjską ostatniego stulecia. Sam Foster zwykł mawiać, że: dobra historia zrównoważy słabszą kreskę, ale świetna kreska nie zrównoważy lichej opowieści. Dlatego cykl „Prince Valiant" można rozpatrywać też w kategoriach czysto literackich. Jako ilustrator nie używał chmurek z tekstem, bo uważał, że te zasłaniają scenę. Gdyby malował olejem na płótnie, bez wątpienia jego obrazy ze scenami batalistycznymi zdobiłyby dziś ściany galerii i wzbudzały zachwyt przybyłych.

„Talent to tylko entuzjazm"

Rytm pracy Fostera przypominał system Juliusza Verne'a, który pisał swoje fantastyczne dzieła w rytm pracy fabrycznej. Książę Ilustracji przygotowywał kolejny odcinek cyklu „Prince Valiant" poświęcając na to od 50 do 60 godzin tygodniowo. W poniedziałek robił szkice, we wtorek wyciągał w tuszy, w środę i czwartek kładł kolor, w piątek po ostatnich poprawkach wysyłała, a w sobotę robił research do kolejnego odcinka. Sam mówił, że talent to tylko entuzjazm (do tego co się robi – przyp. ZB), mistrzostwo osiąga się dzięki praktyce. Tego też wymagał od swoich bohaterów, stałego doskonalenia. Zbierał informacje, odwiedzał muzea, podróżował. W cyklu „Prince Valiant" mają pojawiać się tylko miejsca, które widział na własne oczy, w co doprawdy trudno uwierzyć, wziąwszy pod uwagę rozmach dzieła. Wspólnie z żoną odwiedził w tym okresie ponad 40 krajów. Podobno nigdy też nie powtórzył postaci. Za to w dziełach widać wyraźnie, że kultywował wywodzące się jeszcze ze starożytnej Grecji przekonanie, że uroda idzie w parze ze szlachetnym wnętrzem. Nie korzystał z modeli, jak sam twierdził, nie miał na to czasu, ale podpatrywał ludzi. W jednym z wywiadów

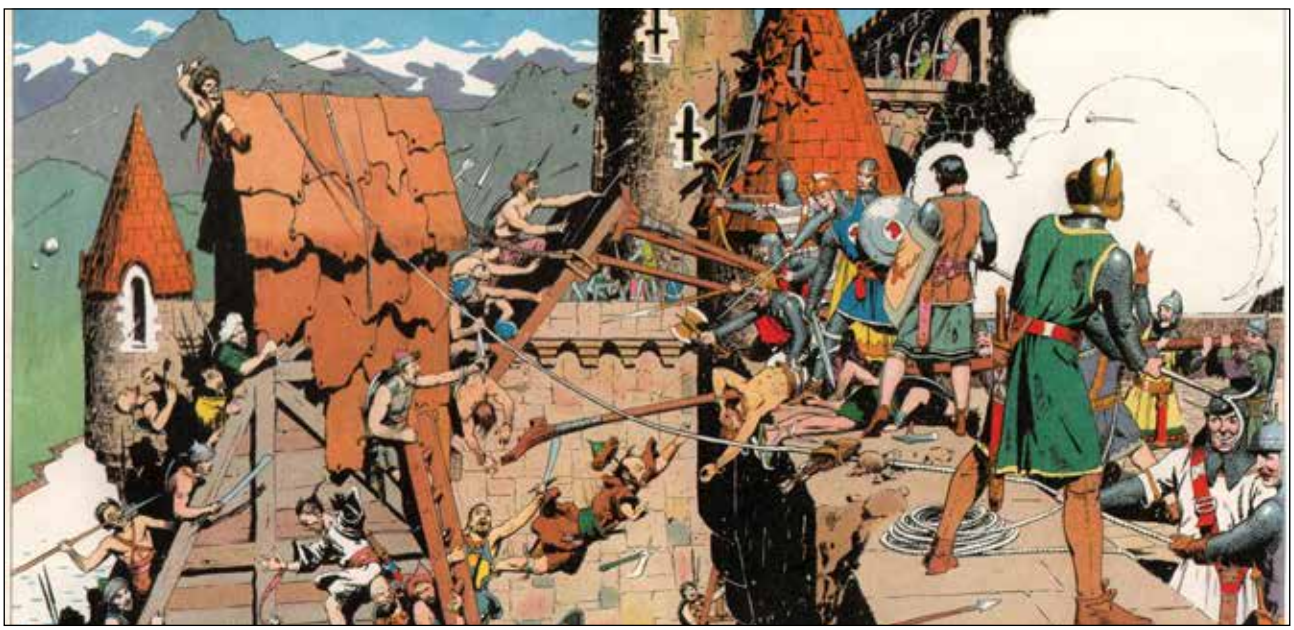

przyznał, że Sir Gawain ma twarz francuskiego kelnera, który ich obsługiwał w czasie pobytu we Francji. Żona Księcia Valianta Aleta to z kolei wyidealizowany obraz małżonki samego Fostera. Musiała ona zresztą dobrze pasować do tej roli. Jak Hal przyznawał, nie tylko lepiej strzelała od niego do kaczek, ale też dzielnie znosiła niewygody podróży poślubnej, którą stanowiła wyprawa łodzią po dzikich rzekach...

Ile średniowiecza, a ile Fostera?

Szukając odpowiedzi na tytułowe pytanie, trzeba zwrócić uwagę na dwa cykle, obszerny „Prince Valiant" i krótką serię „Medieval Castle". Akcja pierwszego dzieje się w czasach Króla Artura. Czyli kiedy (można o to śmiało zapytać czytelników)? Narodziny legendarnego władcy Brytów zbiegają się mniej więcej z upadkiem Imperium Rzymskiego. Michel Pastoureau zauważył jednak w pracy „Życie codzienne we Francji i w Anglii w czasach Rycerzy Okrągłego Stołu", że rzeczywistość opisana w tych opowieściach odnosi się de facto do XII i XIII stulecia, a zatem okresu rozwiniętego średniowiecza, a nie owych słabo udokumentowanych wieków ciemnych. Foster wspominał, że czytał popularne wydania legend arturiańskich w czasie długiej kanadyjskiej zimy. „Prince Valiant" pozwolił mu się włączyć w te opowieści i dodać wiele od siebie, zachował się więc jak każdy, średniowieczny kompilator. Mistrzowsko wykorzystał podejście do chronologii mieszkańców Europy z tamtego okresu, gdy za prawdę przyjmowano to, co się na dany temat opowiada. Dobrym przykładem mogą być autentyczne żywoty św. Idziego, w których miał on spotykać za życia m.in.: św. Cezarego z Arles (VI wiek), króla Wizygotów Wambę (żył w VII wieku) jak i Karola Wielkiego (VIII/IX w.). Ludzie średniowiecza nie zawracali sobie takimi drobiazgami głowy. Do tego nikt nie bronił żyć bohaterowi wystarczająco długo.

Bohater utworów Foster bardzo dużo podróżuje. Odwiedza m.in. krainę Wikingów, Amerykę, kraje arabskie, zniszczony Rzym. Zwłaszcza podróż za ocean budzi merytoryczne wątpliwości, ale tu znów należy wrócić do średniowiecznych wyobrażeń. Świat opisany w kronikach z wielu powodów nie odpowiadał stanowi faktycznemu. Dotyczyć to może również dokumentów, w których bywało, że nie zapisywano, jak jest, ale jak być powinno. Tu znów możemy wrócić do kultu św. Idziego. Panuje powszechne mniemanie, że Władysław Herman ufundował w związku z narodzinami syna, czyli Bolesława Krzywoustego liczne kościoły. Tymczasem ani kronika Anonima tzw. Galla, ani Wincentego Kadłubka o tym nie wspominają. Fundacje te dopisano Hermanowi do zasług dopiero w XV wieku. Jan długosz i Jan z Dąbrówki najwidoczniej uznali, że tak być po prostu powinno, choć nie było. Tym samym dzieło Fostera, jako opowieść fantastyczna, znalazłoby zrozumienie w państwach Piastów i Jagiellonów, pokazując świat, którego może i nie było, ale być powinien. Słuchano by go z zainteresowaniem. Gorzej rzecz się ma z cyklem „The Medieval Castle".

Na średniowiecznym zamku

Foster potrafił namalować, jak się zamek buduje, jak się go broni, jak zdobywa, a nawet jak się zawala. Osadzając akcję opowieści w czasach poprzedzających I krucjatę, czyli przed 1096 r., nałożył sobie chronologiczny brzemię, które nie do końca udźwignął. Na przykład w jednym z odcinków wydanych w 1945 roku mamy sceny z Bożego Narodzenia. Giermkowie Arn and Guy, którzy są bohaterami tej opowieści, zostają po wieczerzy uświetnionej występem minstreli zaprowadzeni przez mamę do ich komnaty, gdzie czeka na nich udekorowana choinka... No cóż, udekorowane drzewka pojawiły się dopiero w XV wieku na terenie obecnych Niemiec, a najstarsze wyobrażenie przystrojonej choinki przedstawił Łukasz Cranach Starszy dopiero w 1509 roku.

Konsekwentne pomieszanie z poplątaniem

Hal Foster pytany kiedyś o konserwatywne podejście do życia bohaterów cyklu „Prince Valiant" odparł: w mojej opowieści, gdy ludzie się w sobie zakochują, to biorą ślub, a potem mają dzieci. Nic natomiast nie stało na przeszkodzie, by wspomnianego ślubu udzielił Druid, a dzieci zostały ochrzczone w katolickiej świątyni. Opowieść Fostera wkomponowuje się idealnie w romans hellenistyczny, z którego wywodzi się tak nam bliska za sprawą prozy Henryka Sienkiewicza powieść walterskotowska. Znajdziemy tu świetnie narysowaną i opowiedzianą historię, która nas poruszy. Jak przyznał sam autor, gdy zaczął cykl „Prince Valiant" doskonale wiedział, dokąd dotrze ze swoim bohaterem kilkadziesiąt lat później. Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe, przynajmniej zgodnie ze średniowiecznym pojęciem prawdy.

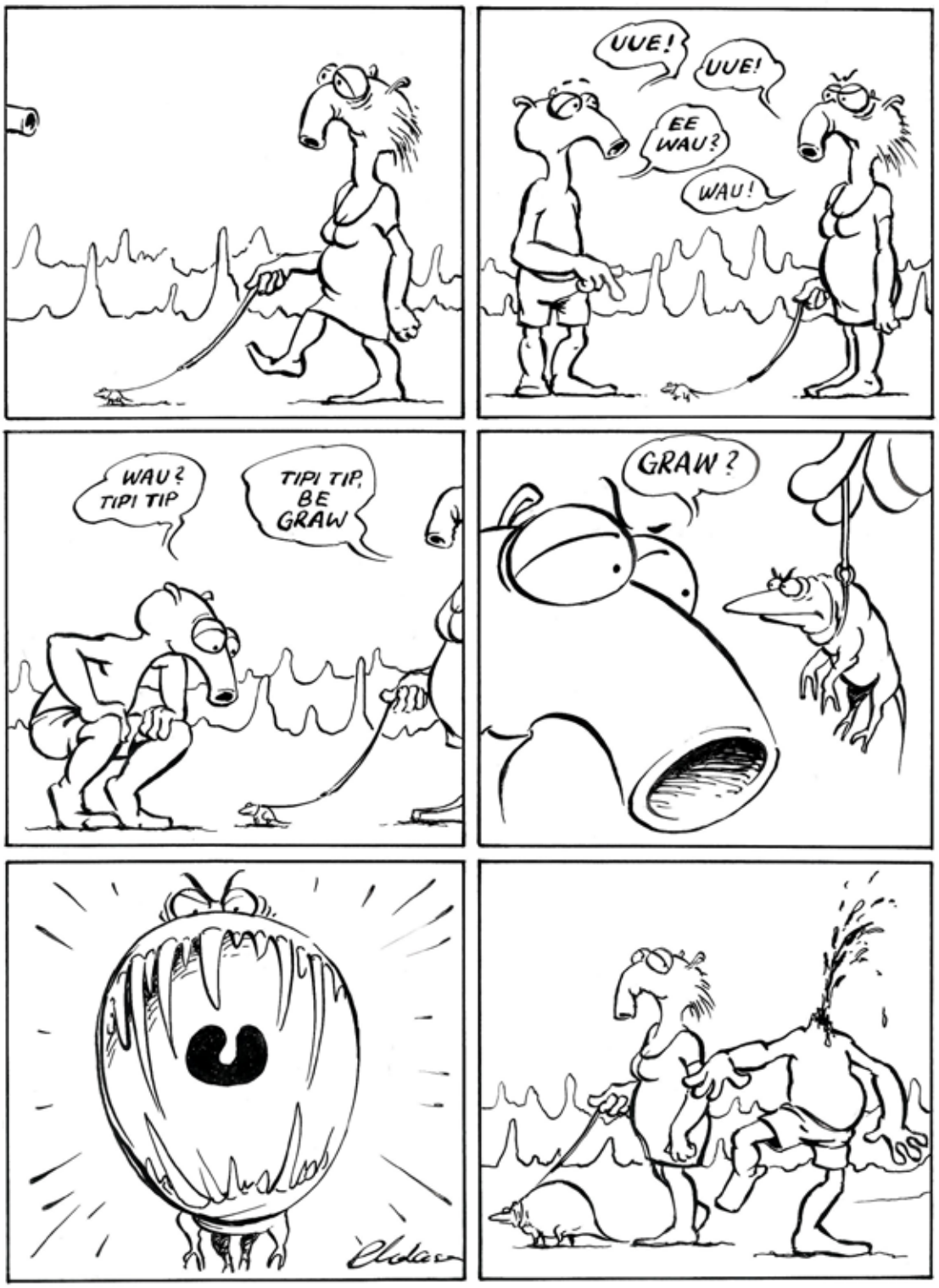

Z festiwalowej wystawy ***Rysownicy „Projektora" - ilustracje i komiksy***: Robert Kolasa, ***Tip, tip, tip***

Z festiwalowej wystawy ***Rysownicy „Projektora" - ilustracje i komiksy***:
Klaudiusz Stochmal (scenariusz), Magdalena Łysak (rysunki), ***Gorejące palce*** (fragment)

Emmanuella Robak

Czy Dedal wciąż buduje labirynt?

Współczesną kulturę charakteryzuje wizualność, bo patrzenie i oglądanie jest coraz częstszym sposobem poznawania i doświadczania rzeczywistości. Wizualność to porozumiewanie się, przekazywanie informacji oraz doświadczenie poprzez obraz. Kultura wizualna stanowi przedmiot analiz wielu badaczy. Zwrot ku kulturze wizualnej (zwrot piktorialny/zwrot obrazowy - Wiliam Mitchell) stał się odpowiedzią na to, co pod koniec lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku nazywano w badaniach „zwrotem lingwistycznym". Fakt, iż to właśnie wizualność dominuje w dzisiejszym przekazie powinna nas skłonić do wykorzystywania obrazu – w komunikacji, w podawaniu informacji, a przede wszystkim - w edukacji.

Jak wykorzystać obraz w edukacji? Wystarczy wybrać komiks. Dlaczego? Bo za pomocą obrazu popartego tekstem, można skuteczniej oddziaływać na odbiorcę komunikatu. Bo Komiks to, jak zaznacza Krzysztof Teodor Toeplitz, szczególna forma graficznego powiązania rysunku i tekstu literackiego, która przemawia do odbiorcy, niezależnie od wieku. Bo komiks może być doskonałym źródłem informacji, odskocznią od tradycyjnych ćwiczeń, atrakcyjną formą przekazywania wiedzy. Komiks powszechnie kojarzony jest z przyjemnością i zabawą, a jak wiadomo nauka poprzez zabawę jest jedną z najskuteczniejszych metod przekazywania wiedzy. Praca z komiksem może pozytywnie wpływać na ucznia, na jego podejście do pracy z tekstem czy zagadnieniem. Nauczyciel jest w stanie wprowadzić mnóstwo wiedzy poprzez komiks, w sposób, który na pewno zyska uznanie i zainteresowanie ucznia. Wielu nauczycieli korzysta z tej metody nauczania, ale wciąż nie jest to powszechna praktyka. A szkoda.

Celem tego artykułu nie jest opisywanie historii komiksu, jego genezy czy rodzajów. Może to zabrzmi sztampowo, ale niezależnie od tego, czy historię komiksu zaczniemy od Rodolpha Töpffera, Richarda

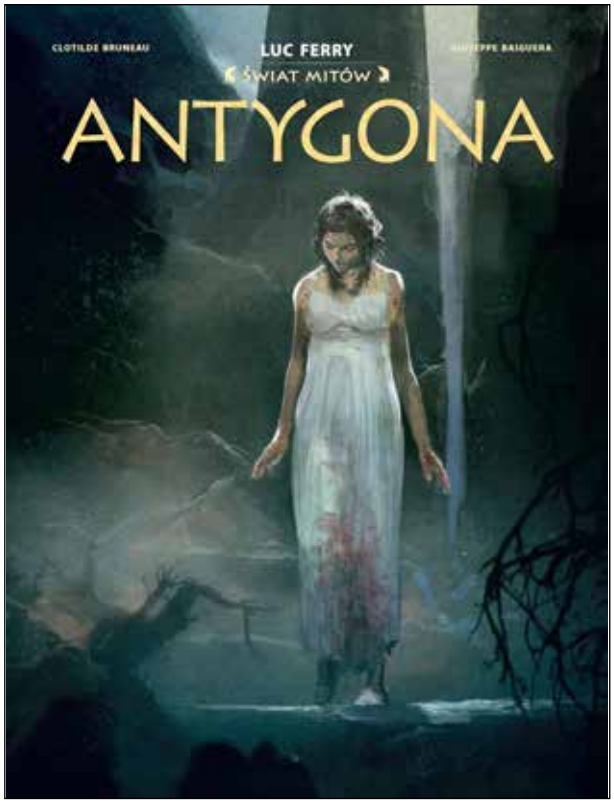

Outcoulta czy Jerry'ego Siegela i Josepha Shustera, popularność historii obrazkowych nie słabnie. Przykładem niech będzie „Heartstopper", autorstwa Alice Oseman, który zarobił w Anglii 6 mln funtów i miał sprzedaż 4-krotnie wyższą niż drugi na liście „Sandman" Neila Gaimana. Skoro młodzi ludzie czytają komiksu, skoro na szkolnych korytarzach komiks towarzyszy młodzieży, przy każdej okazji warto z komiksu korzystać. A możliwości jest wiele, i być może ten artykuł-recenzja będzie jedną z podpowiedzi dla edukatorów.

W szkole ważna jest potrzeba rozwijania w uczniach kompetencji tworzenia i odbierania komunikatów na wielu płaszczyznach, a komiks jest jedną z takich płaszczyzn. Pomaga w nauce, pełni rolę dydaktyczną – uczniowie szukają informacji np. o bohaterach komiksu, postaciach, autorach. Pomaga przy autoidentyfikacji - uczniowie dokonują selekcji, sami tworzą listę ulubionych komiksów, autorów, grafików. Pozwala pracować nad analizą i interpretacją tekstu - dyskusje wokół wydarzeń, postaci, fabuły. Warto podkreślić, że coraz częściej komiks pojawia się jako element lekcji.

Komiksową formę narracji można wykorzystać na co najmniej trzy różne sposoby w takcie lekcji.

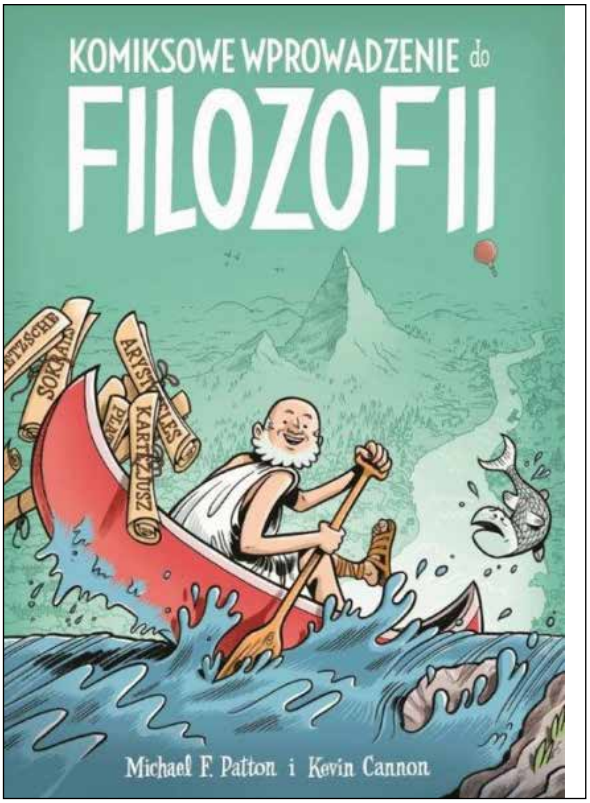

Można komiks stworzyć. Takie zadanie doskonale sprawdza się na lekcjach powtórzeniowych czy podsumowujących, gdzie synteza, wnioski i wybór najważniejszych kwestii są kluczowe do zrozumienia materiału czy danego zagadnienia.

Może też zaproponować uczniom ćwiczenie-uzupełniankę. Uczniowie sami wypełniają karty komiksowe, proponując własne rozwiązania problemów, np. bohaterów literackich. Konfrontacja Achillesa z Hektorem, dyskusja Antygony i Kreona, kłótnia Cześnika i Milczka – być może uczniowie wymyślą własną wersję słynnych konfliktów? Dzisiejsze możliwości multimedialne pozwalają stworzyć ciekawą lekcję. Oczywiście klasyczna kartka i długopis to jedno z najprostszych rozwiązań przygotowania ćwiczeń na lekcje, ale można pójść krok dalej, wykorzystać Canvę czy strony online, jak np. https://lywi.com/, idealne do tworzenia prostych scenek.

Komiks doskonale sprawdza się w nauce języka polskiego jako obcego. Seria „Lektury dostępne" opracowana na zlecenie Ministra Edukacji i Nauki oferuje multimedialne książki pomocnicze do edukacji językowej i polonistycznej. W materiałach, które są darmowe i dostępne online. Oprócz tekstu i ćwiczeń, w każdym zestawie znajdujemy krótki komiks na podstawie lektury. Uczniom z zagranicy, którzy muszą przygotować się do egzaminu ósmoklasisty, można w łatwy sposób pokazać treść lektur obowiązkowych, potem ją omówić, i utrwalić.

Ale nie tylko na lekcji języka polskiego można wykorzystać komiks. „Manga Guide" to seria dla fanów mangi i przedmiotów ścisłych. Wydawnictwo Naukowe PWN przygotowało komiksy łączące praktyczną wiedzę z mangą. Fizyka, informatyka, biochemia, biologia molekularna, czy biochemia przedstawione przez postaci-bohaterów mangi, stają się bardziej przystępne dla przyszłych badaczy. Każdy komiks stanowi połączenie prac najważniejszych japońskich artystów zajmujących się mangą oraz wiedzy specjalistów z najbardziej prestiżowych uczelni. Czyż nie jest to ciekawa atrakcja dla ucznia, żeby poczytać o ulubionym przedmiocie w ulubionym stylu?

Chcemy uczniom bądź studentom przedstawić historię filozofii w pigułce? „Komiksowe wprowadzenie do filozofii" Kevina Cannona i Michaela F. Pattona to świetna propozycja, łącząca rozrywkę z wiedzą. Wraz z Heraklitem - naszym przewodnikiem - poznajemy filozofię krok po kroku, od czasów starożytnych po współczesność. Do wędrówki dołącza od czasu do czasu Fryderyk Nietzsche, które chce

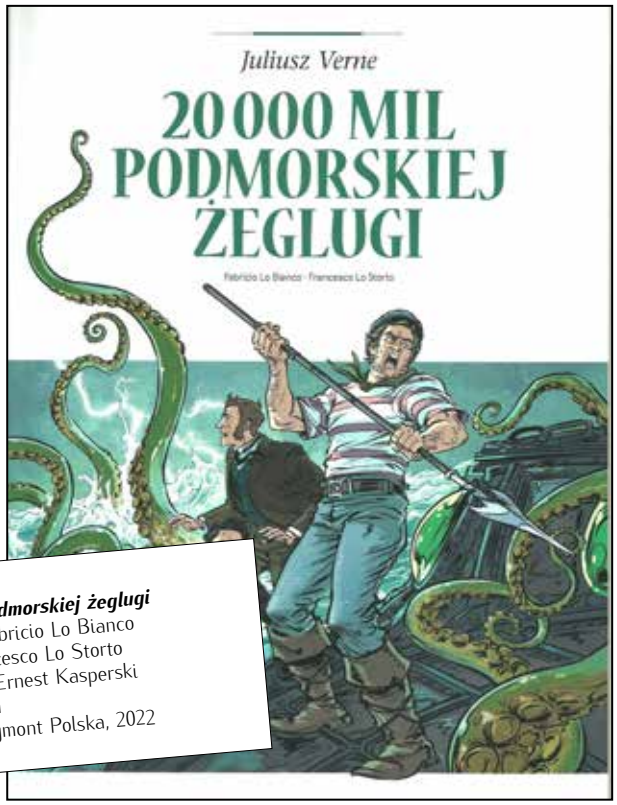

Juliusz Verne
20 000 mil podmorskiej żeglugi
Scenariusz: Fabricio Lo Bianco
Rysunki: Francesco Lo Storto
Tłumaczenie: Ernest Kasperski
48 s. ; 29,5 cm
Warszawa: Egmont Polska, 2022

opowiedzieć o swojej filozofii tu i teraz, choć mowa akurat o innej epoce. Ta humorystyczna opowieść jest świetną propozycją dla wszystkich.

Skoro jest filozofia, to może i statystyka? Jak powtórzyć podstawowe zasady do egzaminu? Jak zrozumieć trudne przykłady dotyczące populacji i próby, statystyk opisowych, podstaw wnioskowania statystycznego i testowania hipotez? Może poprzez komiks? Na stronie wydawcy – Wydawnictwo Naukowe PWN – czytamy „Dla dociekliwych Czytelników do komiksu włączono Jaskinię Matematyków, dodatkową część, w której Czytelnik znajdzie potrzebne wzory i objaśnienia najważniejszych pojęć". Grady Klein i Alan Dabney zadbali o to, by statystyka nie straszyła, a stała się przystępna.

Omawiając jakieś zagadnienie, można sięgnąć po propozycje wydawnictwa Egmont, które ma w swojej ofercie kilka serii komiksowych, będącymi adaptacjami znanych dzieł literackich: kryminały Agathy Christie, arcydzieła literatury światowej („Rzeźnia numer pięć" Kurta Vonneguta), cykl „Świat Mitów" (Antygona, Dedal i Ikar, Iliada), czy komiksy edukacyjne, których flagową odsłoną jest seria „Najwybitniejszy naukowcy".

Do wymienionych serii należy dodać najnowszą propozycję wydawnictwa - adaptacje literatury. Do tej pory ukazało się 6 tomów: „20 000 mil podmorskiej żeglugi", „Przygody Tomka Sawyera", „Wyspa skarbów", „Trzej muszkieterowie", „Biały Kieł" oraz „Ivanhoe". Komiksowe wersje dzieł Juliusza Verne'a, Marka Twaina, czy Aleksandra Dumasa to próba przypomnienia ważnych tytułów, a także świetny materiał, który można wykorzystać na lekcji np. jako kontekst. Co więcej, uniwersalne hasła proponowane przez wybrane historie, takie jak przyjaźń, rywalizacja, prawda, kłamstwo, zło, dobro - mogą stać się punktem wyjścia do dyskusji np. na lekcji wychowawczej.

Przyjrzyjmy się wyżej wspomnianej serii. Każdy komiks ma ok. 50 stron, co na pewno stanowiło wyzwanie dla twórców scenariuszy - fabułę obszernych, prawie pięciusetstronicowych książek należy skrócić tak, by zachować najważniejsze informacje, logikę wydarzeń i akcje. Wszystkie tytuły w serii to historie przygodowe, mają czytelnika zaciekawić, wciągnąć i sprawić, że z wypiekami na twarzy dotrwają do końca.

„20 000 mil Mil Podmorskiej Żeglugi", czyli jedna z najsławniejszych powieść fantastyczno-naukowych Juliusza Verne'a jest - moim zdaniem

Aleksander Dumas
Trzej muszkieterowie
Scenariusz: Fabricio Lo Bianco
Rysunki: Andres Jose Mossa
Tłumaczenie: Ernest Kasperski
48 s. ; 29,5 cm
Warszawa: Egmont Polska, 2022

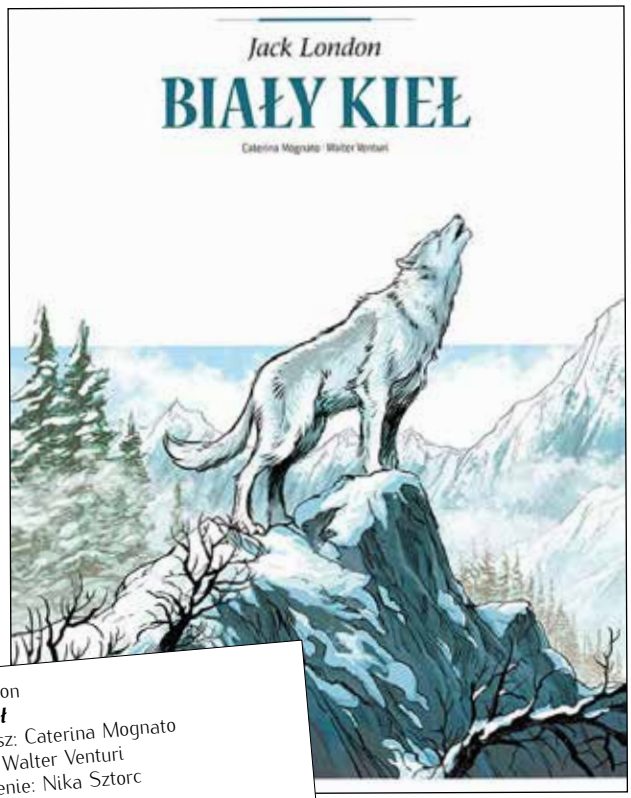

Jack London
Biały kieł
Scenariusz: Caterina Mognato
Rysunki: Walter Venturi
Tłumaczenie: Nika Sztorc
48 s. ; 29,5 cm
Warszawa: Egmont Polska, 2023

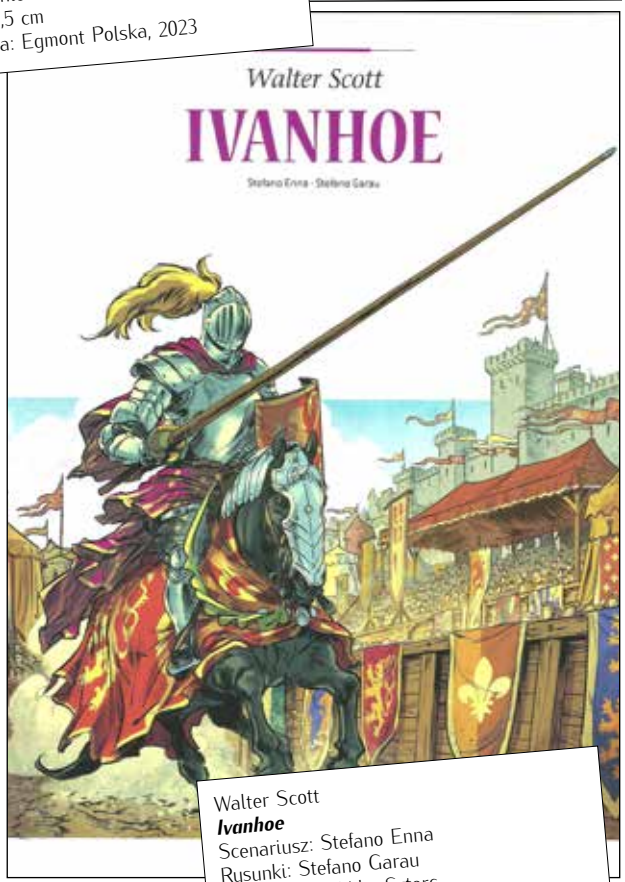

Walter Scott
Ivanhoe
Scenariusz: Stefano Enna
Rysunki: Stefano Garau
Tłumaczenie: Nika Sztorc
48 s. ; 29,5 cm
Warszawa: Egmont Polska, 2022

- najlepszą adaptacją w tej serii. Przepiękne kadry (Francesco Lo Storto), ciekawie poprowadzona fabuła (Fabrizio Lo Bianco) sprawiają, że wraz z Kapitanem Nemo chcemy eksplorować podwodne krainy. Za kolory odpowiada Minte Studio i uważam, że w przypadku tej pozycji, drukarnia stanęła na wysokości zadania. Przepiękne odcienie niebieskiego doskonale imitują podwodny świat. Szkoda tylko, że podróż pełna przygód i niesamowitości trwa jedynie 48 stron.

„Biały kieł" to kolejna propozycja w serii.

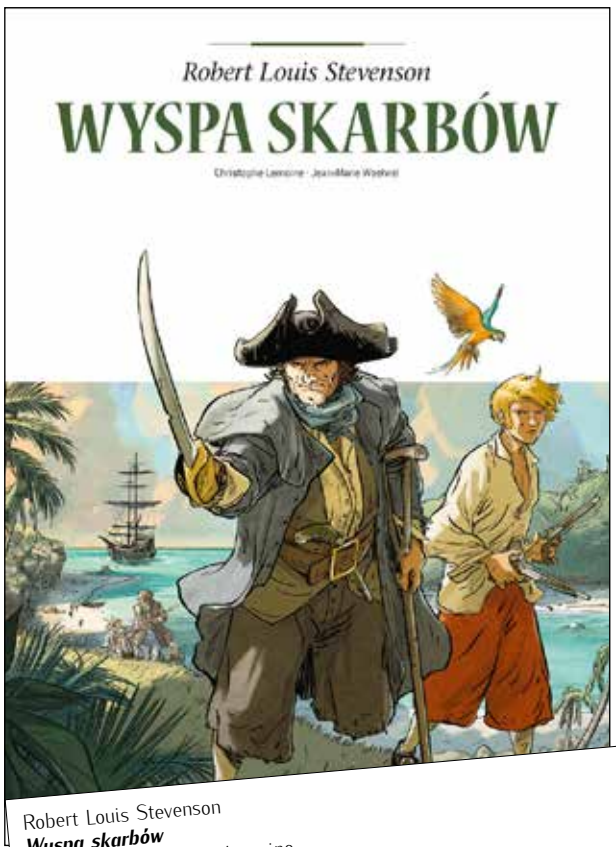

Robert Louis Stevenson
Wyspa skarbów
Scenariusz: Christophe Lemoine
Rysunki: Jean Marie Woehrel
Tłumaczenie: Nika Sztorc
48 s. ; 29,5 cm
Warszawa: Egmont Polska, 2023

W przypadku tego komiksu historia jest mocno skrócona, ale wybrane fragmenty tworzą bardzo zsyntezowaną, spójną całość, za którą odpowiada Caterin Mognato. Z przyjemnością ogląda się przepiękne rysunki Waltera Venturi. Kolory nie są tak nasycone, jak w przypadku poprzedniej propozycji, ale przepięknie oddają realizm wydarzeń. Minte Studio stanęło na wysokości zadania przygotowując tę część. Zielenie, szarości i niebieskości doskonale

prezentują się kartach komiksu, dodając każdej grafice charakteru. Dodatkowo mamy tutaj strony bez dymków, do których czytelnik dopowiada sobie narracje. Takie nieme miejsca są najciekawszymi momentami w komiksie, bo sami możemy kontynuować historię.

„Ivanhoe" ma świetnie przygotowany scenariusz (Stefano Enna) - historia trzyma w napięciu, wydarzenia są dynamiczne i spójnie, nie ma w scenariuszu chaosu, który utrudniałby lekturę. Przyjemnie czyta się komiks i ogląda grafiki (Stefano Garau). Rysownik zadbał o szczegóły - wystarczy spojrzeć na ubrania kobiet czy uzbrojenie rycerzy. Detale oddają charakter epoki. Przepiękna jest też okładka - dynamiczna, kolorowa, zachęca od razu do lektury.

Ciężko czyta się natomiast adaptację „Trzech Muszkieterów". Wydarzenia rozgrywające się na kartach komiksu są bardzo chaotycznie przedstawione. Nie do końca czytelnik wie, gdzie zaczyna się jeden wątek, a gdzie kończy poprzedni. Akcja jest co prawda dynamiczna, ale brakuje w niej spójności, fabuła jest poszatkowana i trzeba się albo dobrze skupić, by odtworzyć plan wydarzeń, ale po prostu znać historię w oryginale. Podobny problem jest z „Przygodami Tomka Sawyera". Jak wygląda adaptacja powieści Marka Twaina - ojca amerykańskiej literatury Marka Twaina? Jest to bardziej streszczenie niż historia.

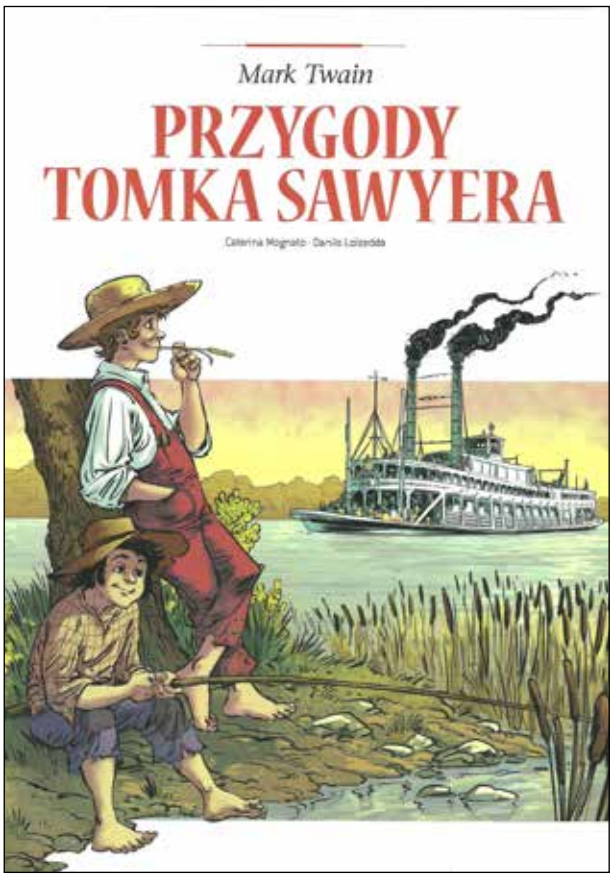

„Wyspa skarbów" to jedyny komiks w serii, który został wydrukowany przez studio Patrice Dulpan. Kolory są wyblakłe, postacie mają mocno wycieniowane twarze. Nie wygląda to niekorzystnie, ale inaczej w stosunku do poprzednich komiksów. Za scenariusz odpowiada Christophe Lemoine, francuski scenarzysta, reżyser oraz aktor, zaś grafiką zajął się Jean-Marie Woehrel. W komiksie zawarto wszystko, co istotne dla historii. Nie zabraknie groźnych piratów, walki o skarb, intrygi a nawet pirackiej pieśni „Piętnastu chłopa na »Umrzyka Skrzyni« Jo ho ho! I butelka rumu.Piją na umór! Resztę czart uczyni! Jo ho ho! I butelka rumu", która prześladuje naszych bohaterów.

Wizualnie seria prezentuje się ciekawie. Okładki przyciągają i zachęcają do lektury, są idealnie dopasowane do historii: macki potwora z głębin, chwytają bohaterów podmorskiej żeglugi, muszkieterowie z uśmiechem na twarzy i mieczem w ręku przypominają superbohaterów, a Ivanhoe na swoim rumaku rusza do ataku.

Seria „Adaptacje literatury" to doskonały wybór dla czytelników, którzy nie znają tych tytułów w oryginale i fantastyczna podróż do światów pełnych przygód i tajemnic. Dla fanów Waltera Scotta czy Juliusza Verna będą wspaniałym uzupełnieniem ulubionych historii. Komiksy te są też świetnym materiałem na lekcje polskiego, historii czy geografii. Zdecydowanie polecam!

Mark Twain
Przygody Tomka Sawyera
Scenariusz: Caterina Mognato
Rysunki: Danilo Loizedda
Tłumaczenie: Nika Sztorc
48 s. ; 29,5 cm
Warszawa: Egmont Polska, 2022

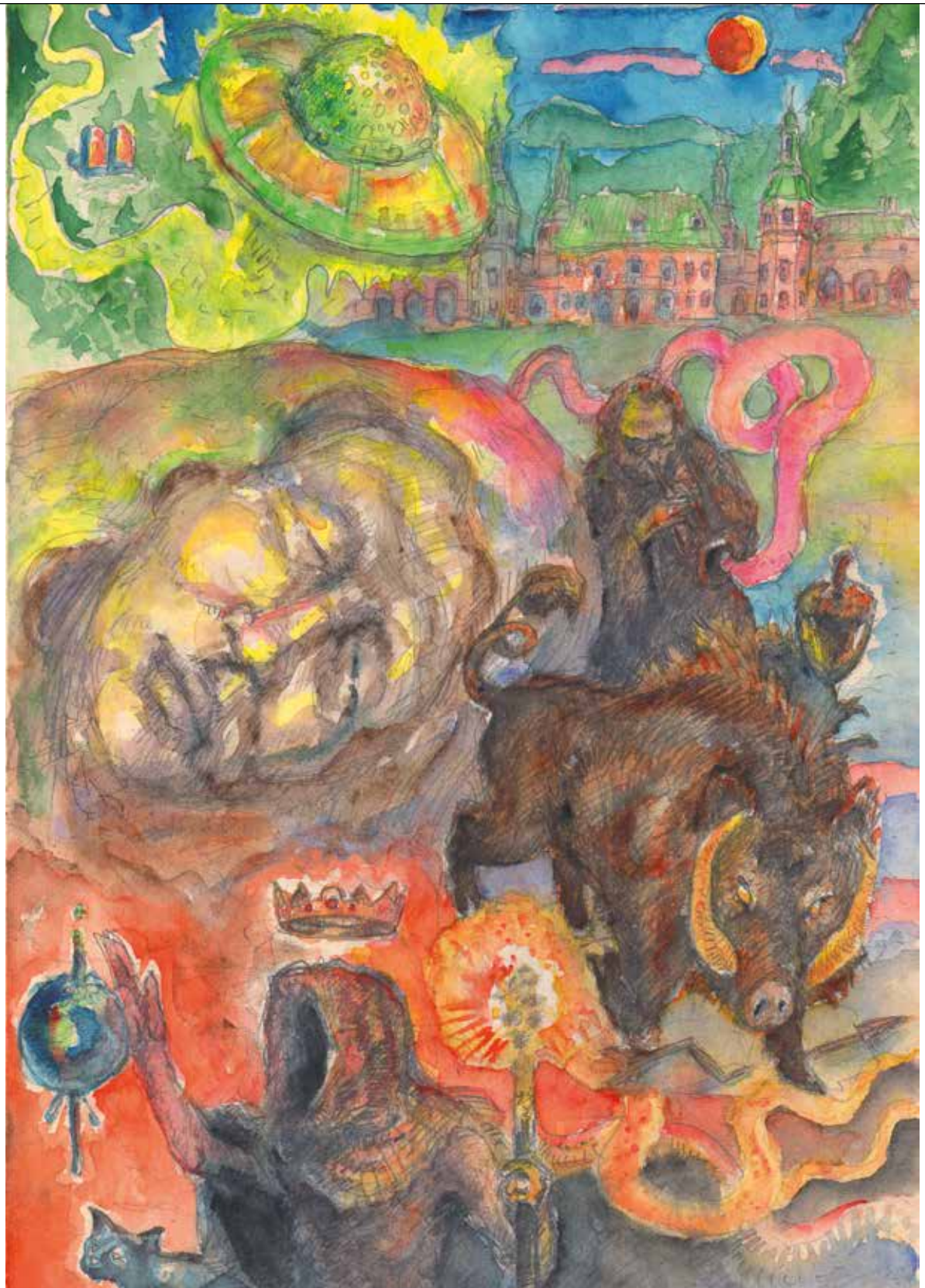

Z festiwalowej wystawy ***Rysownicy „Projektora" - ilustracje i komiksy***: Grzegorz Wawrzyńczak , ***Holy Mountains 2***

Jeden z rysunków, które powstały w trakcie festiwalu.

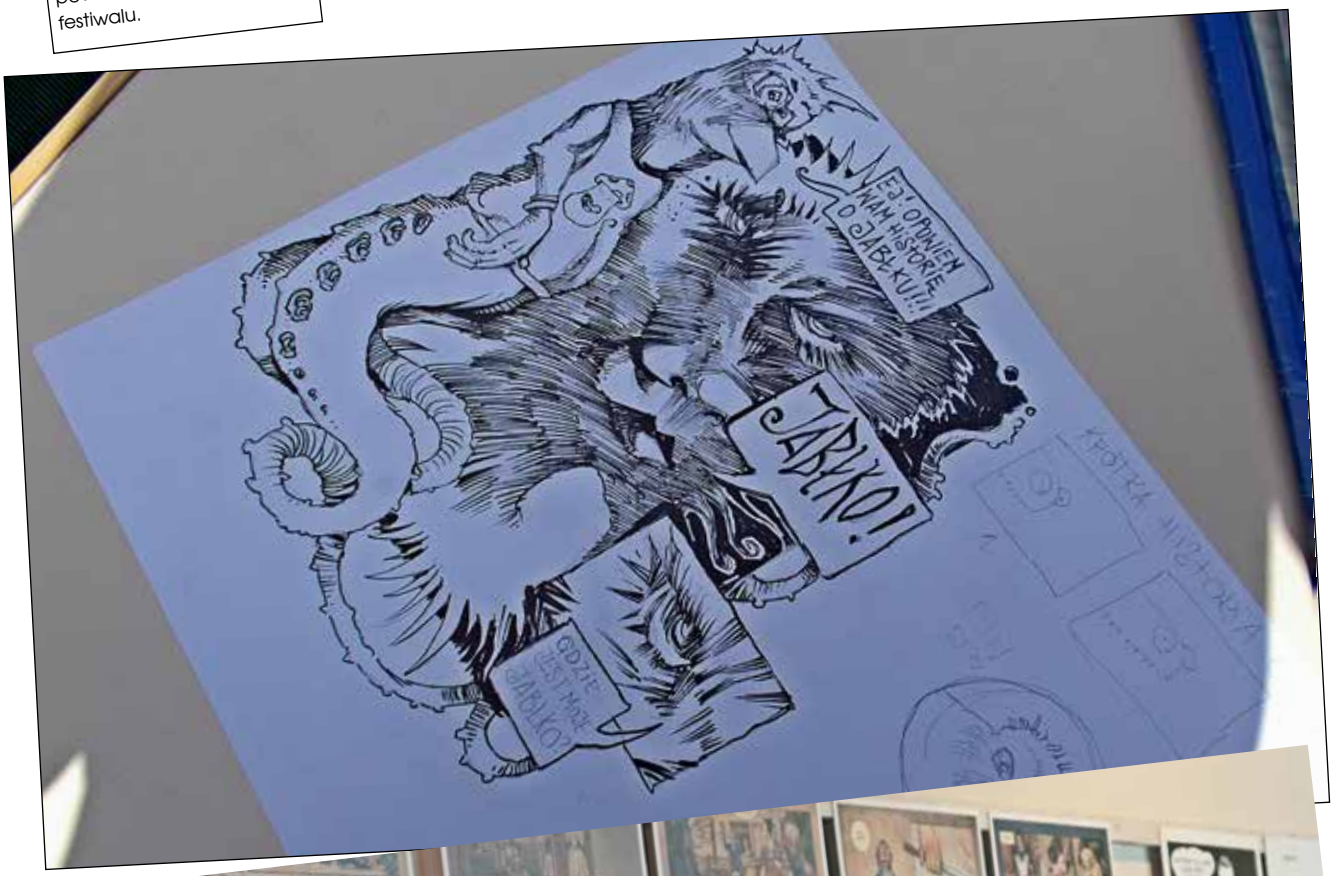

Warsztaty fotograficzne „Jak sfotografować komiksowy kadr" poprowadził Antoni Myśliwiec z ZPAF. W tle fragment wystawy festiwalowej.

Oficyna „Tore", czyli włoskie komiksy. Seria „Dylan Dog" zaprasza. Właściciele wydawnictwa opowiadali słuchaczom o nurcie kryminalnym we współczesnych komiksach włoskich.

W trakcie warsztatów powstają rysunki, a warsztaty poprowadził Piotr Burzyński.

Błyskawiczny trzyrundowy pojedynek rysunkowy stoczyli Jarosław Wojtasiński i Grzegorz Wawrzyńczak.

Wewnętrzne patio Bazy Zbożowej - finał i pamiątkowe zdjęcie.

Tomasz Kozłowski

Malowane podwórka

W maju 2022 roku odwiedziliśmy wrocławskie podwórka przy ulicy Roosevelta. Szarość zniszczonych kamienic została tam przyćmiona przez kolorowe fantastyczne graffiti.

Na murach kamienic, nie od ulicy!, ale od podwórza wymalowane są tropikalne pejzaże, dinozaury, morskie stwory, na innej fasadzie dzieła inspirowane obrazami Muncha, Klimta czy portret Fridy Kahlo, kolejna ściana to portrety bohaterów narodowych i zwykłych mieszkańców tej dzielnicy. Wyjątkowości tym muralom dodają płaskorzeźby wykonane z ceramiki. Wszystko kolorowe, zaskakujące różnorodnością tematów i technik.

Powstałe malowidło ma ponad 1200 metrów kwadratowych i rozciąga się w całym kwartale domów. Kamienice zaczęto malować już w 2013 r. Do projektu profesjonalni plastycy zaprosili mieszkańców tych kamienic dając nową, społeczną jakość sztuce street art. Artystycznym uniesieniom oddali się bez reszty wszyscy - dzieci, seniorzy i dorośli. Okazał się to wspaniały sposób na integrację sąsiadów.

Nasza wystawa jest „zaproszeniem" do Wrocławia, na Nadodrze do obejrzenia tych cudownie kolorowych MALOWANYCH PODWÓREK.

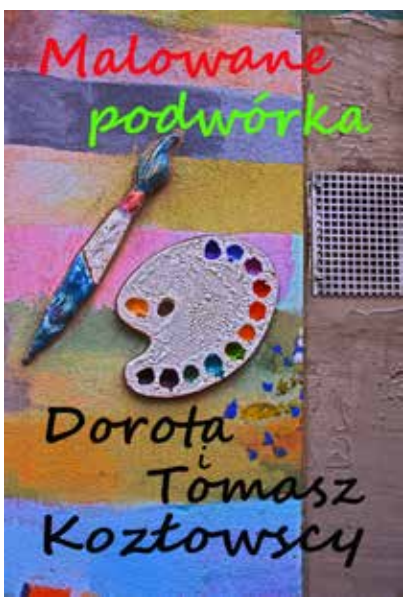

Fot. Tomasz Kozłowski

Z festiwalowej wystawy ***Rysownicy „Projektora" - ilustracje i komiksy***: Piotr Burzyński, ***Wiedźmin***

Z festiwalowej wystawy ***Rysownicy „Projektora" - ilustracje i komiksy***:
Paweł Chmielewski (scenariusz), Jerzy Ozga (rysunki), ***Przygody Władka. Sezon pierwszy*** (fragment)

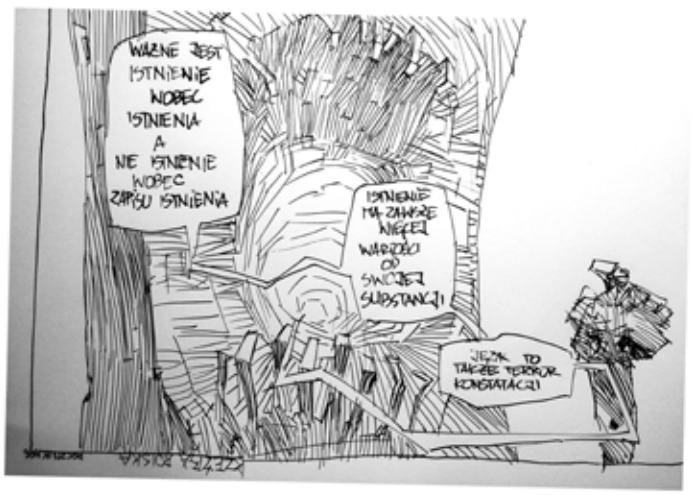

Z festiwalowej wystawy ***Rysownicy „Projektora" - ilustracje i komiksy***:
Tomasz Łukaszczyk ***Na podstawie dyskusji w roczniku 1986 „Rzeźby Polskiej"*** (fragment)

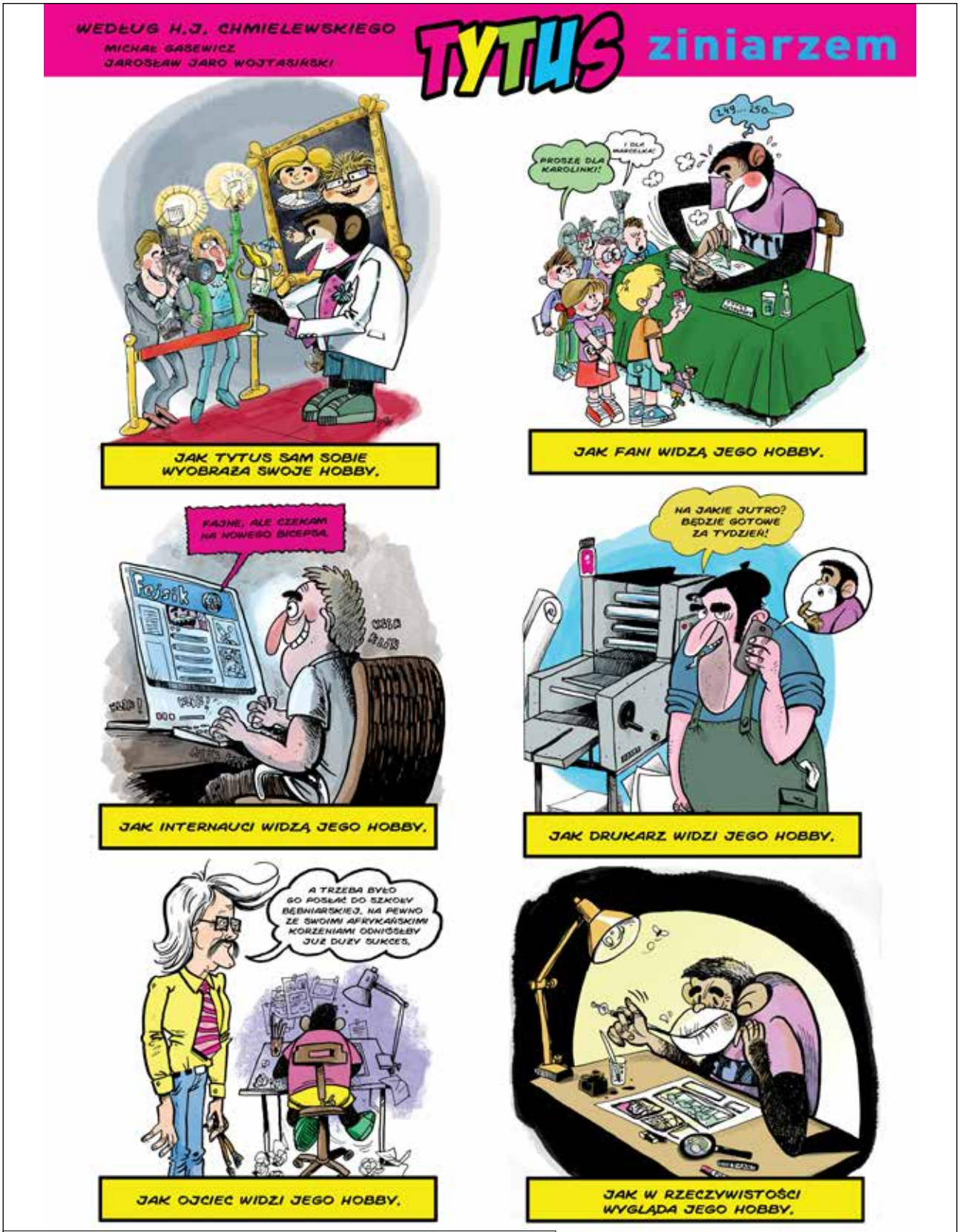

Jarosław Wojtasiński, ***Tytus ziniarzem*** (materiał udostępniony przez magazyn AKT)

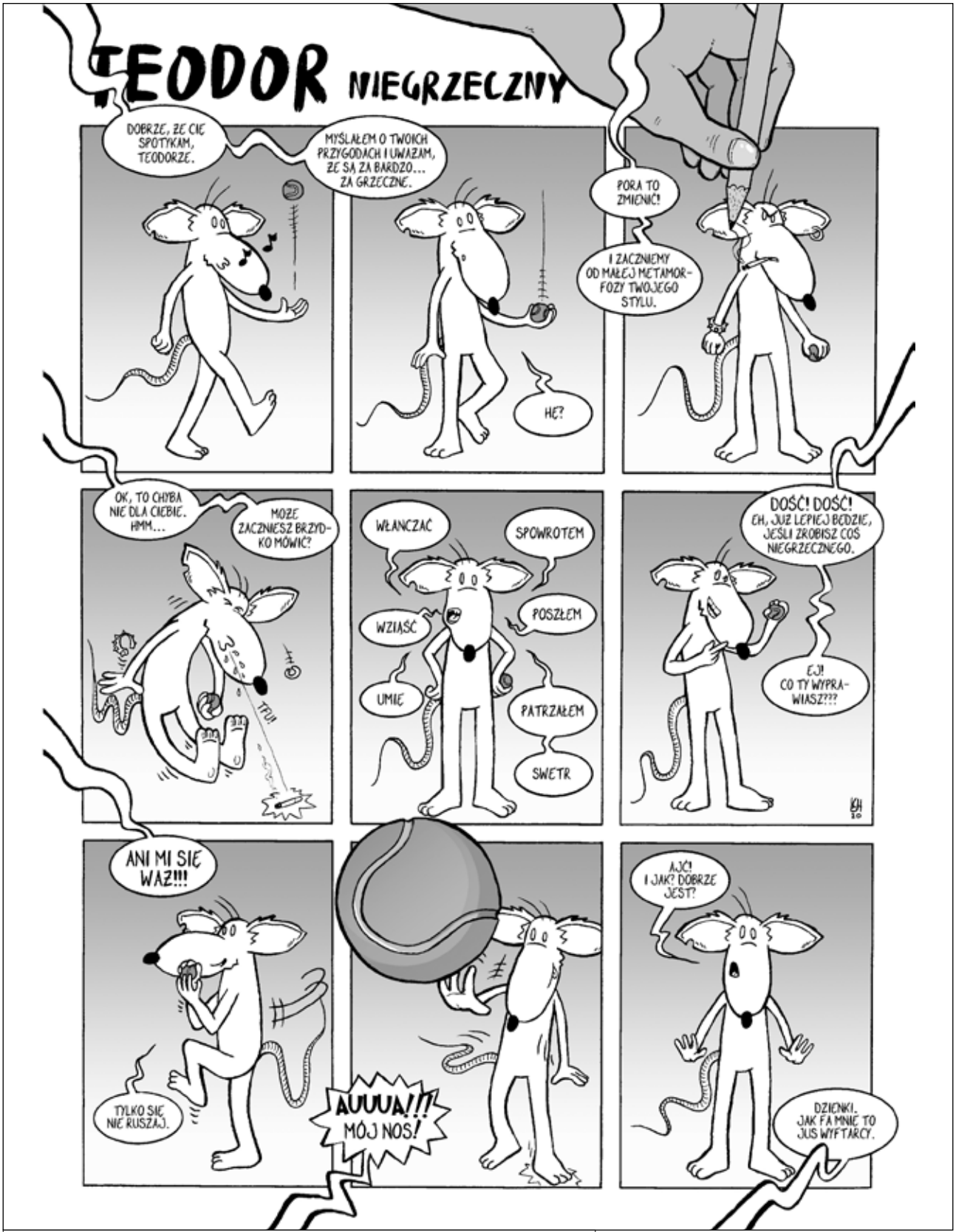

Krzysztof Churski, ***Teodor Niegrzeczny*** (materiał udostępniony przez magazyn AKT)

Grzegorz Wawrzyńczak, ***Amazon*** (materiał udostępniony przez magazyn AKT)

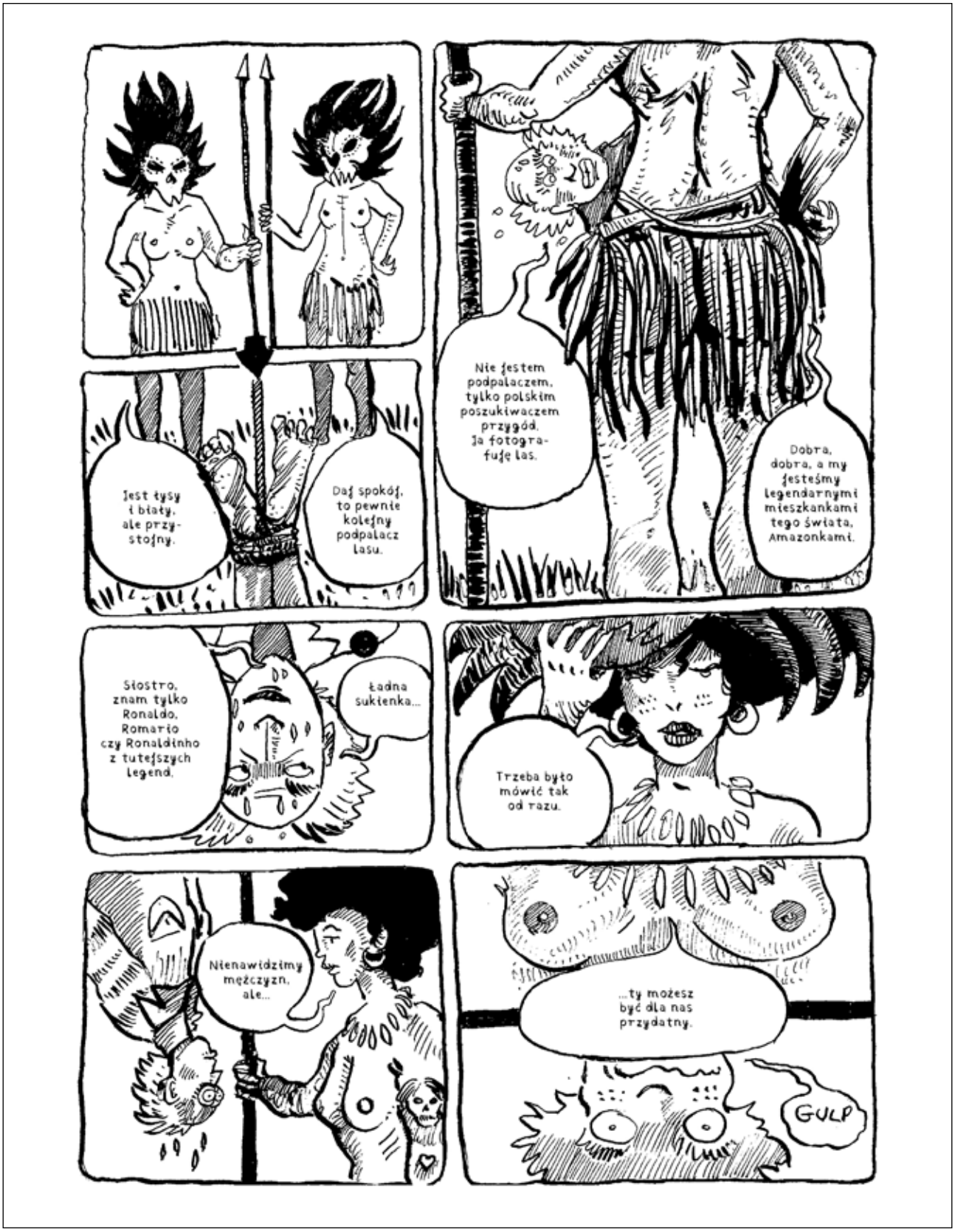
Jest łysy i biały, ale przystojny.
Daj spokój, to pewnie kolejny podpalacz lasu.
Nie jestem podpalaczem, tylko polskim poszukiwaczem przygód. Ja fotografuję las.
Dobra, dobra, a my jesteśmy legendarnymi mieszkankami tego świata, Amazonkami.
Siostro, znam tylko Ronaldo, Romario czy Ronaldinho z tutejszych legend.
Ładna sukienka...
Trzeba było mówić tak od razu.
Nienawidzimy mężczyzn, ale...
...ty możesz być dla nas przydatny.
GULP

Krzysztof Churski

Opowieść wytyczona okładkami

Zaproszenie Asocjacji Komiksu w Toruniu na IV Kieleckie Prezentacje Komiksowe stało się doskonałym pretekstem, by po raz pierwszy zaprezentować się publiczności w województwie świętokrzyskim. O tym, kim jesteśmy, co i jak robimy oraz dokąd zmierzamy, miała okazję opowiedzieć reprezentacja grupy AKT w składzie: Michał Gasewicz, Grzegorz Wawrzyńczak, Jarosław Wojtasiński i Krzysztof Churski.

W tej chwili dorobek magazynu „AKT" to już 31 wydanych numerów, a wliczając numery darmowe i wznowienia (o czym później) ta liczba wzrasta do 35. O każdym z nich można by długo opowiadać, z produkcją każdego związane są anegdoty, każdy jest istotny zarówno w historii pisma, jak i grupy. Dlatego już na wstępie przeproszę czytelników, iż tylko o niektórych z nich będę opowiadał wnikliwiej, natomiast choć w kilku słowach postaram się opowiedzieć o wszystkich. Zainteresowanych dokładniejszym zgłębieniem zawartości poszczególnych numerów, serdecznie zapraszam na nasz fanpejdż na Facebooku lub internetową stronę Alei Komiksu. Odnośniki do tych miejsc znajdą się na końcu tego tekstu.

Era „przedinternetowa"

Chcąc w pełni opowiedzieć o magazynie komiksowym „AKT", musimy cofnąć się do prehistorii grupy, czyli do roku 1999, kiedy grono komiksowych zapaleńców skupiło się wokół osoby dra Tomasza Marciniaka, uznanego socjologa, badacza mniejszości etnicznych, wykładowcy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, a dla nas nade wszystko znawcy, miłośnika, badacza i kolekcjonera komiksów. To m.in. Tomasz Marciniak postulował naukowe podejście do komiksu, był autorem naukowych artykułów o tej sztuce, współtworzył scenę komiksową, pracując z wieloma uznanymi autorami jak choćby: Bohdan Butenko, Tomasz Niewiadomski czy Szarlota Pawel. Z Tomkiem na czele grupa znajomych, zjednoczonych wokół wspólnej pasji, zaczęła organizować regularnie spotkania i snuć komiksowe plany. Przypomnę, że czasy nie były przychylne komiksowi, a nasze możliwości były raczej skromne, jednakże byliśmy pełni zapału i w trakcie spotkań powstał pomysł zrealizowania w Toruniu komiksowej imprezy. Pomysł, który grupa wcieliła w życie i w ten sposób w lutym 2000 roku w Domu Harcerza, ulokowanym w sercu toruńskiej starówki, odbyła się pierwsza edycja Giełdy Komiksu – imprezy polegającej na możliwości kupna, wymiany, sprzedaży komiksów połączonej ze spotkaniem ze znaną postacią zajmującą się komiksem. Lutowa giełda była naszymi pierwszymi nieśmiałymi krokami i niestety obyła się bez większego echa zarówno w lokalnych mediach, jaki i u publiczności. Dużo lepiej została odebrana kolejna odsłona tej imprezy, która odbyła się już kilka miesięcy później.

Ale głupi Ci Torunianie, czyli nie gęsi a swojego zina mają

Podczas prac nad kolejną Giełdą Komiksu padła idea wydania zina, własnego magazynu komiksowego z pracami członków naszej grupki miłośników...

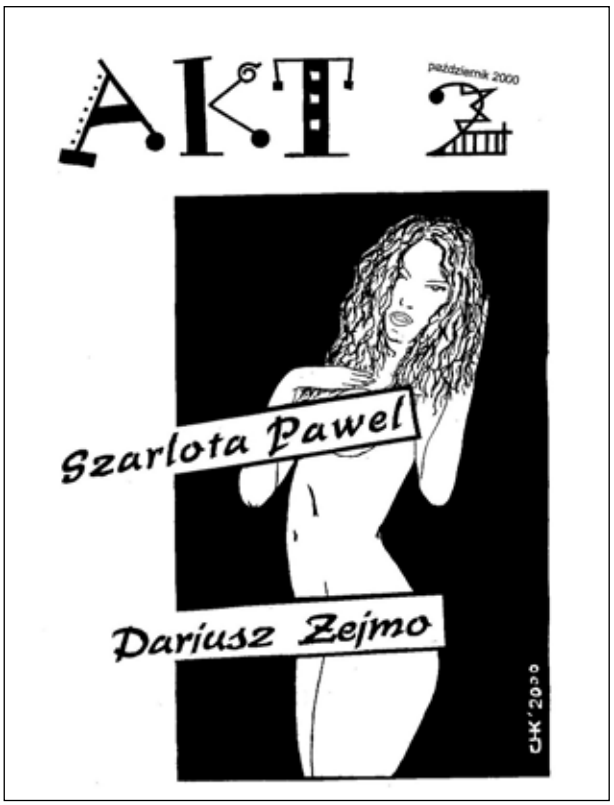

wtedy jeszcze bez nazwy. No właśnie – nazwa, a ta jak na tamten czas powinna być krótka, ale i krzykliwa, zwięzła i zapadająca w pamięć. Jednocześnie dobrze by miała wydźwięk artystyczny, ale i podtekst erotyczny. Padło słowo „AKT", przystające do powyższych wytycznych, a także nieźle wpisujące się w ówczesną modę na chwytliwe nazwy magazynów komiksowych (najczęściej w postaci skrótów), przygotowywanych przez podobnych nam zapaleńców, jak: poznańskie „AQQ", krakowski „KKK", bydgoski „Azbest" czy „KGB" wydawany przez Huberta Ronka. Do skrótu należałoby wymyślić jego rozwinięcie i jak litery K, czy T nie były najmniejszym problemem, tak A przysporzyło już nieco trudności. Problem rozwiązał się wraz z propozycją kolegi, oprócz komiksu fana piłki nożnej, gdzie wszelkie asocjacje są na porządku dziennym. Tak AKT stał się Asocjacją Komiksu w Toruniu, a nazwa, poza tytułem dla pisma, stała się też mianem naszej grupy, aktywistów komiksu.

Pierwszy numer magazynu towarzyszący Giełdzie Komiksu swoją premierę miał dokładnie 1 lipca 2000 roku. Pismo w całości czarno-białe, w formacie A5, miało 24 strony i jak przystało na ziny robione na początku lat 2000, w całości powstało dzięki technice ksero. Gościem imprezy został Bohdan Butenko, który stał się także bohaterem tekstu Tomasza Marciniaka z wnętrza numeru 1. Ciekawostką jedynki była rozkładówka do formatu A3, na której zamieszono wspomniany tekst o Bohdanie Butenko. W środku znalazło się miejsce dla jeszcze jednego tekstu Tomka, dotyczącego kondycji współczesnego komiksu oraz kilku historyjek obrazkowych m.in.: Alchemik Ryszard w wykonaniu Piotra Wojciechowskiego i Szczur Teodor mojego autorstwa. Obaj współtworzymy pismo po dzień obecny... ale nie uprzedzajmy faktów. Nad całością pierwszego „AKTu" czuwał wtedy Maciej Neumann, a listę autorów tego numeru uzupełniają Michał Zalewski i Krzysztof Elzanowski. Nieskromnie dodam w tym miejscu, iż Szczur Teodor towarzyszy pismu po dziś dzień.

Początkom magazynu komiksowego „AKT" przyświecała idea publikowania na swoich łamach erotyki. Okazja ku temu pojawiła się już w drugim numerze wydanym w październiku 2000 roku. Gościem numeru stała się Szarlota Pawel, a hitem dwójki jej erotyczna „Gra półstówek", zbiór swawolnych ilustracji zawierających seksualne podteksty i zabawę słowami. Ten główny punkt numeru został umieszczony na podobnej jak w jedynce rozkładówce do formatu A3 ze środka pisma. Podobieństw z jedynką było więcej, gdyż odpowiedzialny za redakcję Maciej Neumann zebrał całość na 24 czarno-białych stronach w formacie A5. Podobna była też grupa autorów tworzących numer uzupełniona, przez goszczącego Dariusza Żejmo z serią jego rysunkowych żartów i ilustracji... oczywiście erotycznych. „AKT" 2 został pierwszym numerem pisma, który odwiedził z nami Festiwal Komiksu w Łodzi i był tam dostępny w sprzedaży na naszym festiwalowym stoliku.

Nabieramy koloru, rośniemy i... znikamy

Giełdy i wydawanie zina przynoszą wymierne skutki w postaci poszerzenia grona komiksiarzy oraz nowych kontaktów. Cały czas regularnie spotykająca się grupa jeszcze w roku 2000, na okazję grudniowej Giełdy Komiksu i przy współudziale ZSP Zrzeszenia Studentów Polskich, wydaje kolejny numer pisma. „AKT" 3 nabrał rumieńców tzn. kolorowych stron i ukazał się w formacie A4, któremu hołdujemy do dziś. Wewnątrz prace AKTowców raczej niskich lotów, wzbogacone o obecność Robin Wschóda od Tadeusza Baranowskiego i komiks spółki Simiński/Marciniak. Jedna z niewielu recenzji, jakie w tamtym czasie zebrał „AKT", ukazała się w magazynie „AQQ" (2/2001)

i jest zasłużenie mało pochlebna, jednakże zawiera tezę, która nie ma oparcia w faktach. Stwierdzono w niej, iż „Minie parę lat i będą się wstydzić tego, co opublikowali". W 2022 roku wydaliśmy wznowienie trójki z tą samą zawartością, ale ponownie złożoną, wzbogaconą o korektę wraz z nową ilustracją na okładkę od Heleny Szymańskiej, tej samej autorki co w numerze stworzonym 22 lata wcześniej. Choć „AKT" 3 zawiera prace w wielu miejscach niedopracowane i złe to stał się częścią naszej historii, z której wyciągnęliśmy też wnioski i jak widać – wstydu nie ma.

Wrócimy jeszcze w naszej opowieści do tego wznowienia, tymczasem pozostając w latach 2000, chciałbym krótko wspomnieć o metodzie tworzenia fanzinu. Obecnie mamy do dyspozycji programy komputerowe ułatwiające składanie oraz relatywnie tani druk. W czasach, które opisuję, oryginalne prace lub ich kopie przekazane przez autora były odbijane na ksero i umieszczane na makiecie pisma, która to ponownie była kserowana i zazwyczaj dopiero tak przygotowane strony były odbijane w zaplanowanej liczbie. Wielokrotne kopiowanie przekładało się na jakość wydruków, ale takie właśnie wtedy były możliwości, a korzystanie z usług profesjonalnej drukarni, było wtedy poza finansowym zasięgiem. Taką metodą powstają kolejne „AKTy", czyli numer 4, a tak naprawdę z pomysłu redaktora Maćka Neumanna był to numer 3,9 z gościnnym udziałem Krystyny Boglar i Bohdana Butenko oraz Andrzeja Janickiego. Natomiast w numerze 5 zamieściliśmy komiksy autorstwa Tadeusza Baranowskiego i prawdziwy hit – po raz pierwszy erotycznego Kleksa Szarloty Pawel. Niestety mimo wydawania takich ciekawostek impet grupy spadł, gdyż po roku 2000 (kiedy wydano aż 3 numery), wymienione powyżej powstały kolejno w marcu 2001 i marcu 2002 roku. Jeden na rok. Giełdy Komiksu także odbywały się już rzadziej.

Pewną odmianę przynosi ze sobą powstały w 2003 roku z udziałem WOAK (Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury) „AKT" numer 6, który posiadał twardszą, kartonową okładkę z ilustracją Andrzeja Janickiego i zrealizowany został w profesjonalnej drukarni. Jedyny numer „AKTu", którego składem zajmowała się osoba spoza grupy i w którym pojawiają się takie „kwiatki" jak puste lub zdublowane strony czy niewłaściwe nazwiska twórców komiksów. W tym czasie to już niestety łabędzi śpiew AKT-u, tak magazynu, jak i grupy. Składający szóstkę nie dysponował wystarczającą ilością materiału do wyboru, asocjacja dużo rzadziej się spotykała i wspólnie działa, a część członków po prostu przestała się pojawiać. 6. numer „AKTu" nie doczekał się nawet dystrybucji choćby przez toruńskie Giełdy Komiksu, czy później wysyłkowo. Szóstka całe lata przeleżała w kartonie i wiedzieli o niej tylko nieliczni. O powody takiego stanu rzeczy można by zapytać każdego z ówczesnych członków grupy i najprawdopodobniej każdy podałby inny. Tak czy inaczej, działalność Asocjacji Komiksu w Toruniu w 2003 roku zamarła.

Poprzez wzloty i smutki

Wszystko zaczęło się na nowo w 2014 roku, ponownie za sprawą Tomasza Marciniaka, który zaangażowany w organizację pierwszej edycji toruńskiego Festiwalu DwuTakt zebrał starą ekipę AKTowców. Podczas spotkania w sprawie organizacji imprezy i przy okazji masy wspomnień „jak kiedyś to było" ponownie powstała idea – jeszcze raz wydajmy „AKT"! W takich okolicznościach narodził się numer 7 stworzony starym zespołem w sile: Tomasz Marciniak, Michał Zalewski, Piotr Wojciechowski, moim oraz przy współudziale Krzysztofa Elzanowskiego i Pauliny Christy. Dzięki Paulinie, wnuczce Janusza Christy, numer opatrzyliśmy ilustracją nagiej Jagi, bohaterki komiksów z serii Kajko i Kokosz. Całość tak jak przed laty przygotował Maciej Neumann. 20-stronicowe, wydrukowane tym razem już na biurowej drukarce laserowej, w pełni czarno-białe pismo, formatu A5 ujrzało światło dzienne 14 czerwca 2014 roku. Właśnie tę datę śmiało można przyjąć jako czas reaktywacji AKT-u, gdyż tak jak na początku siódemka miała być projektem jednorazowym, tak wydawanie zina ponownie maksymalnie nas wciągnęło. Bogatsi o życiową mądrość i z nieco większymi zdolnościami, zabraliśmy się do pracy nad kolejnymi odsłonami magazynu.

DwuTakt – impreza, której pomysłodawcami i głównymi organizatorami byli Tomasz Marciniak i Wojciech Łowicki, aktywowała uśpione dotąd środowisko komiksowe w Toruniu, angażując do działania starych AKTowców, jak i nowe osoby chcące dołączyć do tego grona. W ten sposób grono komiksiar i komiksiarzy z asocjacji zasilił między innymi Michał Gasewicz, przyszły korektor „AKTu", swój udział zaczął recenzjami do numeru 8. Wspomniany „AKT" 8 ukazał się we wrześniu 2014 roku, debiutując wpierw na Festiwalu Gier i Fantastyki Copernicon, by niedługo później wybrać się z grupą na Międzynarodowy

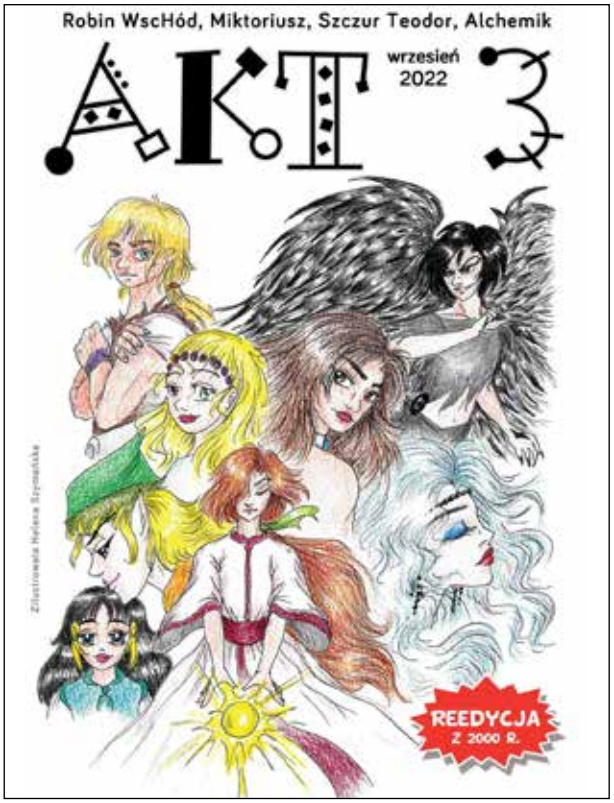

Festiwal Komiksu i Gier w Łodzi. Ósemką ponownie wróciliśmy do kolorowych stron oraz formatu A4, którego do tej pory już nie odstępujemy. Okładkę tego numeru ozdobiła praca Tadeusza Raczkiewicza, a w środku znalazł się komiks jego autorstwa do scenariusza naszego kolegi – Macieja Neumanna. Oprócz prac AKTowej części twórców w numerze ukazały się ilustracje Witolda Vargasa z „Bestiariusza słowiańskiego" oraz... kolejny erotyczny Kleks! Szarlotę Pawel i jej bohatera Kleksa poznajemy tym razem w zupełnie odmiennej roli. Historie te (zarówno z numeru 5, jak i 8) były czymś zaskakującym i zupełnie nowym, czymś, o czym mało który fan komiksu wiedział, a pozyskanie ich zawdzięczamy Tomkowi Marciniakowi. Tomek dobrze znał się z Szarlotą Pawel i miał dostęp do takich rewelacji, także do tych powstających na użytek prywatny. Nadmienię, że 8. „AKT" ukazał się w nakładzie 100 ręcznie numerowanych kopii. To jedyny przypadek w historii pisma, kiedy wydaliśmy pismo z numeracją egzemplarzy.

Po numerze ósmym nastąpiły zmiany w grupie, z której odszedł dotychczasowy redaktor naczelny Maciej Neumann, a jego rola została podzielona między Piotra Wojciechowskiego, zajmującego się od tej chwili składem pisma i moją osobę, jako odpowiedzialnego za redakcję magazynu. W tym składzie od listopada 2014 roku rozpoczęliśmy prace nad numerem 9, a jego premiera została zaplanowana na maj 2015 roku, na dzień drugiej edycji Festiwalu Kultury Popularnej DwuTakt. Do numeru zaprosiliśmy Norberta Rybarczyka z jego komiksem „Spaceboy" oraz otrzymaliśmy możliwość druku jednoplanszowego komiksu autorstwa Jerzego Wróblewskiego z przygodą kowboja o imieniu Joe Paive. Numer był już na ukończeniu, kiedy nagle dotarła do nas niezwykle przykra wiadomość. 9 kwietnia 2015 roku niespodziewanie odszedł Tomasz Marciniak, nasz kolega i współtwórca Asocjacji Komiksu w Toruniu. Jeszcze nie znając osobiście Tomka, z przyjemnością czytałem jego rubrykę prowadzoną w magazynie komiksowym „AQQ" pt. „Moje parę krótkich dymków", w których subiektywnie, jak to miał w zwyczaju, opisywał przeróżne wydarzenia i spotkania z ludźmi związanymi z polskim komiksem. Jego felietony dotyczyły również spraw z komiksowego podwórka, rzeczy bliskich i niejednokrotnie prywatnych. Zaproponowałem Tomkowi kontynuacje tego działu w naszym magazynie. Przez myśl mi wtedy nie przeszło, iż w numerze 9. wydrukujemy ostatnie „dymki" Tomka.

Wspominamy Tomka, nadchodzi Binio Bill

Zaskakująca śmierć Tomasza Marciniaka, na krótko przed premierą dziewiątki nie pozwoliła nam należycie pożegnać go w magazynie. Odpowiednią okazją ku temu był 10 numer „AKTu". Zrealizowaliśmy go jako flipbook, komiks posiadający dwie okładki. Pierwsza autorstwa Karola Kalinowskiego prezentowała bohaterów wtedy jeszcze powstającego komiksu „Kościsko", wydanego później nakładem Kultury Gniewu. Wewnątrz numeru mieliśmy możliwość przedpremierowo opublikować epizod z tego właśnie albumu. Po odwróceniu pisma jego druga okładka z portretem Tomasza Marciniaka, narysowana przez autora z grupy, Michała Zalewskiego, zapowiadała zawartość poświęconą zmarłemu koledze. Znalazły się w niej jedne z ostatnich komiksów narysowanych do scenariuszy Tomka, m.in. te zgłoszone do konkursu w jego rodzinnym Chełmnie, w tym komiks, którym wspomniany konkurs wygrał. Numer zawierał także memuary Wojciecha Łowickiego i Witolda Tkaczyka, osób, z którymi Tomasz Marciniak przyjaźnił się i współpracował.

Tomek z pewnością byłby pozytywnie zaskoczony rozwojem pisma, gdyż za sprawą dalszych numerów magazynu i drugiej edycji Festiwalu DwuTakt grupa pozyskała kolejnych utalentowanych autorów. Do redakcji dołączył już jako korektor Michał Gasewicz, a wśród nowych osób znaleźli się Michał Siromski, który w numerze 10 w intrygujący sposób dokończył wywiad z Michałem Śledzińskim (przerwany na numerze 6), ambitna i pomysłowa Zvyrke oraz uznany już autor rysunków satyrycznych Jarosław „Jaro" Wojtasiński. To właśnie Jaro począwszy od numeru 10, w porozumieniu z rodziną Jerzego Wróblewskiego, zajął się kontynuacją przygód sympatycznego kowboja o polskim rodowodzie – Binio Billa. Wspaniałym zwieńczeniem, tej zaczętej w 2015 roku przygody z postacią wykreowaną przez Jerzego Wróblewskiego, okazała się współpraca Jarka z wydawnictwem Kultura Gniewu, gdzie w styczniu 2023 roku w osobnym albumie ukazały się zebrane z „AKTu" przygody Binio Billa. Dla naszego magazynu to nie lada wyróżnienie i radość nie tylko autora, ale i całej redakcji. Nasza praca, jakby nie ująć hobbystyczna, przyjęła wymierny efekt.

AKT SIĘ ROZWIJA, AKT SIĘ ROZRASTA

Numery od 11 do 13 to dalszy rozwój magazynu i nowi autorzy zasilający naszą grupę. „AKT" 11 stał się pierwszym numerem z serii naszych grudniowych „AKTów", w których bardziej niż zwykle skupiamy się na pracach członków naszej grupy. Numerem 12 zaczęliśmy współpracę z takimi twórcami jak Krzysztof Otorowski i Tomasz Niewiadomski oraz gościnnie pojawili się uznani autorzy jak Mythic i Tadeusz Baranowski. Natomiast Krzysztof Gawronkiewicz, Piotr Nowacki, Bartosz Sztybor, Łukasz Kowalczuk, Mateusz Szlachtycz czy Rafał Szłapa to autorzy gościnnie występujący w piśmie przy okazji numeru 13.

„AKT" numer 14 wydany w 2016 roku przeszedł do historii z kilku ważnych względów. Na jego łamach mogliśmy zaprezentować autorów i postać, na której przygodach niejeden z nas się wychował. Byli to Jean Van Hamme i Grzegorz Rosiński, a bohaterem, stworzony przez wspomniany duet autorów, Thorgal, który witał czytelników już z okładki tegoż numeru. Wewnątrz zaprezentowaliśmy 2-stronicowy, niemy komiks z dzieckiem gwiazd pt. „Klucz do trzeciego świata". W tym miejscu chciałbym zaznaczyć, iż każda praca ukazująca się na łamach magazynu trafia do niego za wiedzą i zgodą autora. W przypadku Thorgala potrzebna była też zgoda wydawnictwa Le Lombard, którą zaskakująco szybko otrzymaliśmy. Nie był to wymóg uzyskania zgody, ale chcieliśmy pokazać osobom z tego belgijskiego wydawnictwa, czym się zajmujemy. Dlatego numer 14 został w całości przetłumaczony na język angielski i w tej wersji wydrukowany w ograniczonym nakładzie. Kilka egzemplarzy przesłaliśmy do wydawnictwa Le Lombard. Bez odpowiedzi zwrotnej, ale za to ze spokojnym sumieniem redakcji.

KIEDY MAMY TYLKO KOMIKS

„AKT" jest dla nas świetnym miejscem do spełniania marzeń i współpracy z autorami komiksów z naszego dzieciństwa. Wśród nich jest wielokrotnie goszczący w magazynie Tadeusz Baranowski, który zawsze chętnie nas wspiera. „AKT" numer 15 i numer 16, oba z 2017 roku, to dwa kolejne numery z udziałem tego autora. W numerze 15 ukazał się komiks „Elektryczna burza" do scenariusza Mythica. Ponadto numer ten oprócz prac AKTowej części autorów, oferował m.in. komiks Kamili Kozłowskiej pt. „Czarny staw", a ilustracja Kamili zdobiła okładkę tego numeru. Numer 15 jest znaczący dla nas jeszcze z jednego stałego punktu magazynu. Tym numerem rozpoczęliśmy cykl wstępniaków w postaci komiksu, rysowanych przez autora niniejszego tekstu. Istniał bowiem przez pewien czas spór w redakcji o ważność tych kilku słów otwierających numery i stopień zainteresowania nimi czytelnika. Michał Gasewicz zaproponował robienie wstępu w postaci komiksu, którego większość czytelników „AKTu" nie będzie mogła lub chciała pomijać. Pomysł się przyjął i z małym wyjątkiem trwa do dziś.

W numerze 16 pokusiliśmy się o przetłumaczenie tekstu belgijskiego barda Jacques'a Brela, do którego kompozycji swoje rysunkowe wizje stworzyli frankofońscy autorzy komiksów i... Tadeusz Baranowski. To właśnie ten polski autor zobrazował słowa utworu „Quand on n'a que l'Amour – Kiedy mamy tylko miłość". Ponieważ ten komiks nigdy wcześniej nie pojawił się w języku polskim, sami musieliśmy zadbać o tłumaczenie. Na szczęście z pomocą przyszła Magda Gasewicz, żona Michała. Okazało się, że nie była to ostatnia publikacja, która swoją polską premierę miała w naszym piśmie, ale później korzystaliśmy już z pomocy tłumaczy, aby nie obarczać tym członków rodzin. Tematem przewodnim numeru 16 było pismo „Qriozum", którego 20 rocznica powstania

przypadała w 2017 roku. Pismo to wydawane w latach 1997-1999 w Toruniu publikowało komiksy, żarty rysunkowe i teksty o zabarwieniu satyrycznym, a tworzyli je Wojciech Łowicki i Marcin Jaworski. Postanowiliśmy przybliżyć je czytelnikom, tworząc podobne rubryki, jakie miało „Qriozum" oraz wykorzystując część materiału nadesłanego przed laty do jego redakcji. Ponadto obok wspomnianego Tadeusza Baranowskiego w numerze gościła cała plejada zaproszonych autorów jak: Mateusz Skutnik, Sławomir Jezierski, Krzysztof Różański, Rafał Skarżycki, Robert Kolasa i Dariusz Żejmo. Numerem tym dołączyła do naszego grona Paulina Broma.

Przechodząc do 18. numeru „AKTu", w kilku słowach wspomnę tylko o wydanym w grudniu 2017 roku numerze 17 z gościnnym udziałem Piotra Drzewieckiego. Siedemnastkę zdobiła wspaniała okładka, do której ilustrację przygotowała Zvyrke. Numer wsparty został o kolejnych nowych AKTowców: Sławomira Spasiuka i Dawida Śmigielskiego, który tym „AK-Tem" rozpoczął odtąd stały dział – Z archiwum TM-Semic. Osiemnastka ukazała się w maju 2018 roku. „AKT" uzyskał pełnoletniość nie tylko w numeracji, ale też w latach, co postanowiliśmy uczcić numerem skierowanym do dorosłego odbiorcy. Nie dziwi zatem wewnątrz powrót do erotycznych komiksów, pierwsze pojawienie się komiksu od melona, który nie stroni od ostrych żartów, wywiad z mistrzem komiksowych erotyków – Milo Manarą, galeria z ilustracjami Roberta Adlera czy odważna okładka tego autora. Numer ten nie tylko śmielszymi komiksami stoi, ale i artykułami. Michał Siromski w swoim tekście ujmuje tematykę homoseksualizmu w komiksach superbohaterskich, Dawid Śmigielski skupia się na erotyce w komiksach spod szyldu TM-Semic, a całość wieńczą teksty Henryka Jerzego Chmielewskiego, czyli Papcia Chmiela odrzucone swego czasu przez wstrzemięźliwą redakcję „Świata Młodych". Numer dzięki swojej tematyce i wpadającej w oko okładce stał się niewątpliwie jednym z najpopularniejszych w historii magazynu.

Ponownie się żegnamy

Do „AKTu" 19 zaprosiliśmy przesympatycznego twórcę z Niemiec – Mawila, który oprócz zamieszczonego w numerze komiksu, był autorem ilustracji na jego okładkę. Kolejnym smaczkiem stał się komiks Andrzeja Prostowskiego pt. „Sen", pierwotnie planowanym do 24. numeru „Produktu". Numeru, który ostatecznie się nie ukazał, gdyż „Produkt" zaprzestał ukazywać się po wydaniu 23 odstoń.

W „AKT" numer 20 na nasz sposób przyszło się pożegnać ze zmarłą 7 września 2018 roku Szarlotą Pawel, czyli Eugenią Joanną Pawel-Kroll, autorką, którą nie raz mieliśmy przyjemność gościć na łamach magazynu. Jej śmierć przerwała plany i podjęte rozmowy na temat reaktywowania przygód kolejnego po Binio Billu znanego komiksowego bohatera, Kleksa. Wewnątrz numeru znalazły się komiksy z postaciami stworzonymi przez Panią Eugenię, a także galeria rysunkowych Kleksów nadesłanych przez amatorów, jak i profesjonalnych rysowników, których wspólną cechą była miłość do postaci stworzonych przez Szarlotę Pawel. Obok tego w numerze po raz pierwszy gościliśmy Edwarda Lutczyna wraz z jego przygodami Niebojaczka (tworzonymi do spółki ze scenarzystką Iwoną Borkowską) oraz autorkę z Niemiec, Burcu Türker ze specjalnie stworzonym dla „AKTu" komiksem pt. „Krewetka". Dwudziestka była pismem w pełni kolorowym, okładkową ilustrację do tego numeru wykonał Krzysztof Otorowski, a wraz z tą odsłoną na stałe dołączyli do nas Paweł Przygoda i Karol Jesiołkiewicz.

Bo jak nie my to kto?

Każdy numer „AKTu" niesie ze sobą pewną opowieść, często jest w czymś pierwszy lub rozpoczyna coś zupełnie nowego w dziejach pisma. „AKT" 21 to pierwszy numer w historii magazynu o objętości 80 stron. Jeśli chodzi o strony w piśmie, to ich liczba często jest zróżnicowana. Wewnętrznie postanowiliśmy jednak nie schodzić poniżej 52 stron. Trzeba przyznać, że nie możemy narzekać na brak materiału i od dłuższego czasu objętość naszego magazynu, mocno przekracza założone przez nas minimum. Liczba stron numeru 21 świetnie wpasowała się w temat przewodni, gdyż tym „AKTem" świętowaliśmy 80. urodziny Batmana. Autorzy komiksów poukrywali w swoich pracach bat-motywy, a teksty zamieszczone w numerze dotyczyły mrocznego rycerza. Tym samym „AKTem" obchodziliśmy również 90. urodziny Tintina. Z tej okazji ponownie gościł u nas duet Jean Van Hamme-Grzegorz Rosiński wraz z ich komiksem z Tintinem w roli głównej oraz Wojciech Birek, który temu bohaterowi poświęcił swój artykuł.

Numer, który szczególnie zapadł nam w pamięci, głównie przez nakład włożonej pracy był 64-stronicowy, wydany we wrześniu 2019 roku „AKT" 22, który swoją premierę miał podczas 30. Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi. Tego roku komiks polski obchodził swoje setne urodziny, dlatego pokusiliśmy się o stworzenie do numeru listy 100 komiksów na 100-lecie polskiego komiksu. Okazało się to zadaniem niezwykle trudnym i konfliktogennym. Chyba nigdy wcześniej ani później w historii AKT-u nie sprzeczaliśmy się ze sobą bardziej, niż układając rzeczoną listę. Powstałe zestawienie było wypadkową naszych dyskusji i kompromisów, ale zarazem efektem rzetelnej komiksowej pracy, gdyż każda z zamieszczonych pozycji oprócz kolorowej reprodukcji okładki opatrzona została krótkim opisem. Złożona lista składała się z naszych subiektywnych wyborów i była przekrojem komiksów wydanych na przestrzeni lat. Niełatwe zadanie, któremu udało się podołać i według mojej wiedzy było to jedyne takie zestawienie przygotowane na obchody 100-lecia polskiego komiksu. Obok listy numer zawierał jak zawsze teksty i komiksy członków grupy oraz gościnne występy. W tym wypadku Tadeusza Baranowskiego, Rafała Śladowskiego, Dominika Szcześniaka i Marcina Rusteckiego oraz Michała Śledzińskiego, autora okładkowej ilustracji. Wprawne oko znawcy technik druku wychwyci pierwsze użycie matowej folii na okładce tego numeru.

„AKT" 23 z grudnia 2019 roku, w którym wśród gości znaleźli się Anna Krztoń i Zbigniew Kasprzak posiadał osobny dodatek. Była to reprodukcja komiksowego programu teatralnego autorstwa Zbigniewa Kasprzaka do sztuki „Towarzysz N". Wraz z numerem 23 oficjalnie dołącza do grupy Szymon Gumienik, autor rubryki z recenzjami oraz Ewa Sokołowska także zajmująca się komiksową publicystyką.

Szykując się do wydania i zbierając materiał, nierzadko określamy temat przewodni magazynu, rzadziej już poświęcamy mu większą część numeru. Numer 24 zdominował temat TM-Semic i obchody 30-lecia powstania tego wydawnictwa. Na 80 stronach, które otwierała okładka z ilustracją autorstwa Pawła Kulińskiego, a inspirowana okładką do semicowego „The Amazing Spider-Man" 1/90, znalazła się jak do tamtej pory rekordowa ilość osób zaangażowanych w powstanie numeru. Wywiad z byłym redaktorem naczelnym TM-Semic, Marcinem Rusteckim oraz jego komiks do spółki z Dominikiem Szcześniakiem, historia wydawnictwa ilustrowana okładkami

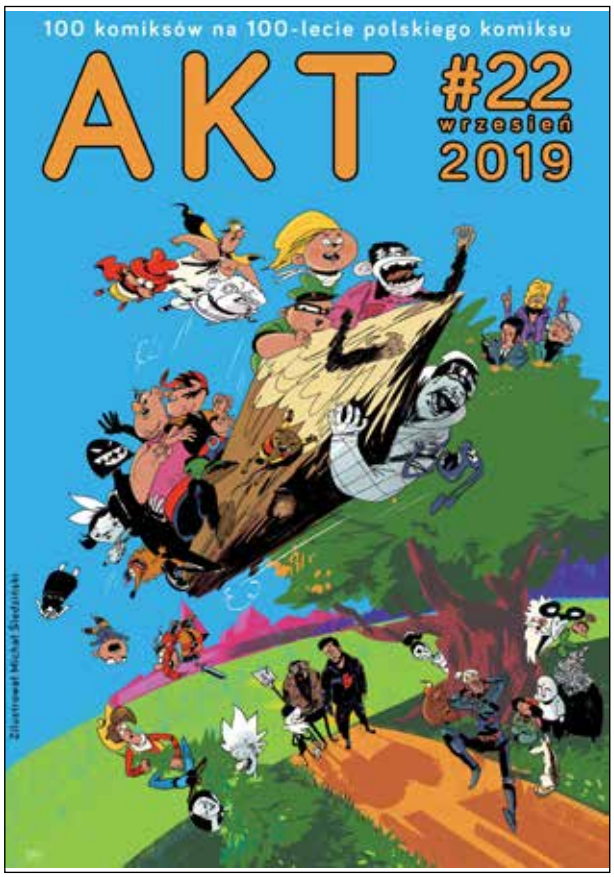

najważniejszych komiksów, wypowiedzi osób ze środowiska komiksowego o ich pierwszym zetknięciu się z komiksami TM-Semic i wpływie tego wydawnictwa na rynek komiksowy w Polsce. Do tego Top 10 najlepszych, a nie oczywistych komiksów semica, nagrodzone listy, na które podobnie jak przed laty odpowiedział Arkadiusz Wróblewski, wywiad z Hanną Kulczycką-Tonderską, literniczką wydawnictwa. Karty postaci, teksty o historii wydawnictwa oraz próbach jego wskrzeszenia i oczywiście komiksy, także z rodzimymi superbohaterami jak Ratman Tomka Niewiadomskiego czy Wilqu braci Minkiewiczów. Wśród atrakcji numeru znalazł się nawet konkurs kuponowy, w którym główną nagrodą, tak, jak i przed laty, był Fiat Cinquecento. Można powiedzieć, iż trafiliśmy z tematem, gdyż „AKT" 24 stał się kolejnym numerem cieszącym się bardzo dużą popularnością.

Prosto do trzydziestki

W kolejnych pięciu numerach działo się równie dużo i tylko z potrzeby utrzymania tego tekstu w odpowiednich objętościowych ryzach odniosę się do każdego z nich tylko w kilku zdaniach.

Numerem 25, wydanym w październiku 2020 roku, świętowaliśmy 20 lat od powstania „AKTu". Stąd opublikowany w numerze wywiad z redakcją, w którym opowiadamy historię grupy oraz pisma. Gośćmi numeru zostali Tadeusz Baranowski z komiksem „Pan Monsieur" oraz zagraniczni autorzy Raoul Cauvin i Marc Hardy z przygodami Pierra Tombala, czyli frankofońskiego Grabarza. Nasz rodzimy, AKTowy Grabarz Józef, bohater rysowany przez Piotra Wojciechowskiego, witał wszystkich z okładki tego „AKTu".

Często zdarza się nam w magazynie żegnać lub wspominać twórców, których już z nami nie ma. Poniekąd czujemy się zobowiązani, by utrwalić pamięć o nich. „AKTem" 26 uhonorowaliśmy w ten sposób aż trojkę wspaniałych autorów – Bogusława Polcha, Alberta Uderzo oraz Juana Giméneza. Numer nabrał przez to dość specyficznego, nostalgicznego charakteru, który utrwalił się jeszcze poprzez melancholijny klimat komiksu gości numeru, Maćka Pałki (autora okładkowej ilustracji) i Daniela Gizickiego. Oczywiście nie tylko wspomnieniami „AKT" żyje, dlatego w 26. numerze opublikowaliśmy również pogodniejsze historie jak choćby prace członków naszej grupy czy komiks Romana Gajewskiego i Łukasza Bogacza. Clou numeru stała się ponowna wizyta w piśmie duetu Rosiński-Van Hamme i występ ich bohaterów, Thorgala i Aaricii w komiksie „Para roku".

Wydany we wrześniu 2021 roku numer 27 to nasze AKTowe pożegnanie z Papciem Chmielem, autorem od którego „Tytusów" niejeden z nas zaczynał swoją przygodę z komiksem. W numerze ukazały się m.in. przedksiążeczkowe przygody Tytusa z poprawionymi kolorami. Oprócz Henryka Jerzego Chmielewskiego wspominaliśmy także Jerzego Wróblewskiego, ponownie gościliśmy Wilqa i jego autorów Bartosza i Tomka Minkiewiczów oraz Dominika Szcześniaka i Grzegorza Pawlaka i ich epizod z serii „Bronx story". Jan Lorek przeprowadził wywiad ze scenarzystą, doskonale znanym szczególnie fanom TM-Semicowego Punishera, Chuckiem Dixonem, a wraz z tym numerem dołączył do grupy Grzegorz Wawrzyńczak.

Każdego roku staramy się wydawać po 3 numery „AKTu" plus numer zerowy, o czym wspomnę trochę dalej. Ten trzeci według planu ma pojawiać się blisko świąt Bożego Narodzenia, ot tak pod choinkę i w większej mierze skupiać się na twórczości członków grupy. Świąteczna tematyka nie jest wtedy obowiązkowa, lecz niejednokrotnie pojawia się przy okazji grudniowego numeru. Gwiazdkowy klimat występuje już na okładce autorstwa Karola Jesiołkiewicza i kontynuowany jest jego komiksem wewnątrz pisma. W środku oczywiście więcej miejsca przeznaczamy dla naszych autorów, ale nie brak też gości. Nasi wywiadowcy Michał Siromski i Ewa Sokołowska przepytali Marię Rostocką, autorkę uznanego komiksu „Koniec lipca" wydanego przez Kulturę Gniewu oraz m.in. shortu z łamów 28. numeru pt. „Ludzie i ryby". Poznany przy okazji Rumia Comic Conu, norweski autor Anders N. Kvammen nadesłał nam krótki komiks nawiązujący do swojej wizyty w Polsce. Ponadto wraz z tym numerem mieliśmy przyjemność współpracować z Tomaszem Samojlikiem, a nową twarzą w grupie stał się tym razem Krzysztof Lipiński.

Przypadające w 2022 roku 60. urodziny Człowieka-Pająka stały się doskonałym tematem dla zaplanowanego na ten rok majowego magazynu komiksowego „AKT". Numer 29 w swoich komiksach zawierał pajęcze motywy, których odnajdywanie, mam nadzieję, stało się dodatkową zabawą przy lekturze pisma. Publicystykę również przepełniliśmy Spider-manem do tego stopnia, że ponownie nie dało się całości zmieścić w numerze mniejszym niż 80 stron. Wraz z dwudziestką dziewiątką po raz pierwszy

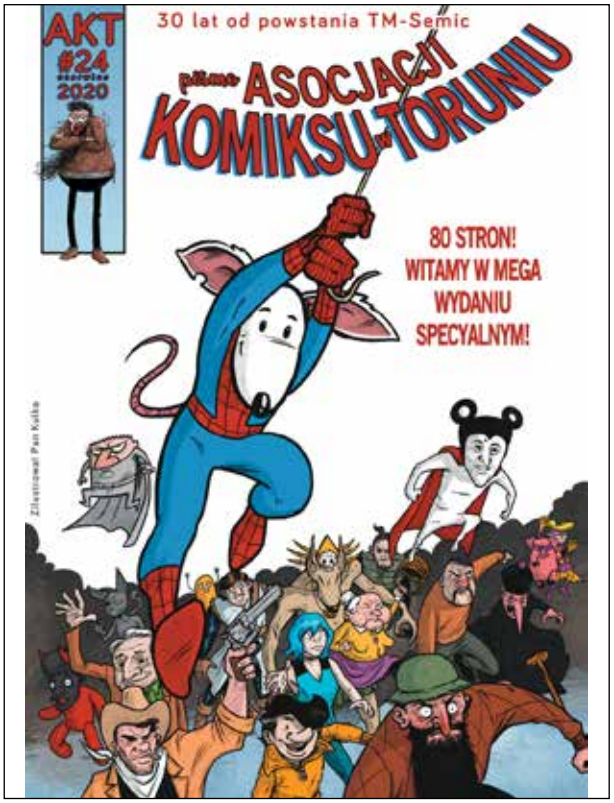

pojawiają się u nas Jan Wiejacki, Tomxyz i Kamil Dukiewicz, a do grona postaci drukowanych w magazynie dołączają Pik i Robi, czyli bohaterowie komiksów Piotra Kasińskiego i Roberta Trojanowskiego. Ten ostatni autor jest również twórcą okładkowej ilustracji do tego numeru.

„AKT" to kawał historii, mnóstwo autorów a co za tym idzie postaci, gdy o których zacząłbym się Państwu rozpisywać, tekst daleki byłby ku końcowi. Jednakże licznik wydanych „AKTów" bije i w ten sposób dotarliśmy do numeru 30.

Nowości, wznowienia, zero złotych i dużo więcej

Przygotowując się do wydania numeru 30. do większości rysowników, którzy dotąd współpracowali z pismem, wysłałem zaproszenie do przygotowania AKTowych fanartów. Odzew na moją wiadomość można zobaczyć w magazynie, który zawiera na chwilę obecną rekordową ilość opublikowanych autorów. Galeria, jaką stworzyliśmy, jest jedyna w swoim rodzaju, zawiera akty żeńskie, ale nie brak też męskiego, żarty i twórcze wykorzystanie nazwy naszego magazynu. Fanartami podzielili się zarówno klasycy polskiego komiksu, jak i nowicjusze. Oczywiście oprócz galerii nie zabrakło miejsca na stałe punkty AKTowego programu, a co za tym idzie, rzecz jasna komiksy. Gościmy więc takich autorów jak Ottolch, Roman Gajewski, Dawid Żurawski i Łukasz Kowalczuk, a niewątpliwie przyciągającą wzrok ilustrację na okładkę tego numeru narysował Robert Adler. Natomiast w publicystyce poprzez zamieszczone ciekawostki o Kajku i Kokoszu świętujemy 50. urodziny tych postaci.

Nasz dorobek 30 wydanych numerów świętowaliśmy w jeszcze jeden, nowy sposób. Otóż krótko przed trzydziestką wydaliśmy wspomniane wcześnie wznowienie 3. numeru „AKTu". Wybór reedycji padł na ten właśnie „AKT", gdyż jak już Państwo wiedzą to pierwszy, który powstał w formacie A4, pierwszy z kolorem i pierwszy numer, na którego łamach pojawił się jeden z najbardziej znanych bohaterów magazynu – Grabarz Józef. Dzięki pracy całej redakcji udało się dograć starą, acz odświeżoną trójkę, dzięki której nasi czytelnicy mogą przekonać się, jak wyglądały nasze początki.

Przemierzając wszystkie dotychczas wydane i wznowione numery, dotarliśmy do najnowszego „AKTu" w rodzinie, numeru 31. Tym razem tematem komiksów stał się relaks i szeroko rozumiany odpoczynek. To za sprawą nawiązywania „AKTem" 31 do Magazynu Opowieści Obrazkowych „Relax" z lat 70. i 80. Liczba 31 wydała nam się znamienna (na tylu numerach zakończyła się PRL-owska historia tego pisma) i lata temu postanowiliśmy, że jeśli dotrwamy, to „AKT" 31 będzie relaxowy. Wewnątrz numeru ściśle relaxową część otwiera stylizowana okładka, za którą zamieściliśmy podobne działy jak choćby ten o filatelistyce czy z rozrywką oraz podobne komiksy z „Bajką dla dorosłych" Karola Jesiołkiewicza na czele. Gościnnie publikujemy prace takich klasyków jak Zbigniew Kasprzak, Stefan Weinfeld i Marek Szyszko, a swoimi wspomnieniami o „Relaxie" z lat 70. i 80. podzieli się m.in. Tadeusz Baranowski, Jacek Skrzydlewski czy Grzegorz Rosiński. Obok części relaxowej znajdują się także stałe działy i co za tym idzie nasi AKTowi autorzy. Ponadto gościmy Edwarda Lutczyna i Rafała Śladowskiego, a debiutują Wojciech Odroń i Jan Kaczmarczyk. Całość ponownie została zebrana na 80 stronach. Czy taka będzie już reguła dla kolejnych odsłon magazynu, tego niestety nie wiem, czas pokaże. Jedyne co w tej chwili mogę zdradzić to to, że już pracujemy nad następnym, 32. numerem pisma.

Zostańmy jednak przy tym, co już na papierze. 31 dotąd wydanych numerów nie zamyka listy publikacji z „AKT" w tytule, gdyż już od kilku lat wydajemy darmową odsłonę magazynu o nazwie „AKT 0 złotych". Kolejne numery tej odnogi „AKTu" mają dodatkowe zera w tytule, po czym łatwo poznać, z którą z kolei publikacją tego typu ma się do czynienia. Powstają one na okazję Poznańskiego Festiwalu Sztuki Komiksowej oraz związanego z nim Dnia Darmowego Komiksu i są rozdawane podczas tej poznańskiej imprezy. Historia „AKTów" zero zaczęła się w 2019 roku, kiedy w trakcie naszych regularnych AKTowych spotkań grupa wpadła na pomysł realizacji darmowego numeru. Dzięki staraniom naszego kolegi, Michała Siromskiego pierwsza odsłona uzyskała dofinansowanie Urzędu Miasta Torunia. Niestety kolejne wydania, na skutek cięć w finansowaniu kultury, nie otrzymały podobnego wsparcia i zostały zrealizowane w pełni ze środków grupy. Co zwierają „AKTy 0 złotych"? To w skrócie próbka naszego regularnego magazynu z komiksami i publicystyką członkiń i członków grupy AKT. Można krótko powiedzieć, że to taki magazyn komiksowy „AKT" w pigułce. Numer z czwartym „zero" na okładce szykujemy na najbliższy Poznański Festiwal Sztuki Komiksowej, który odbędzie się w kwietniu br.

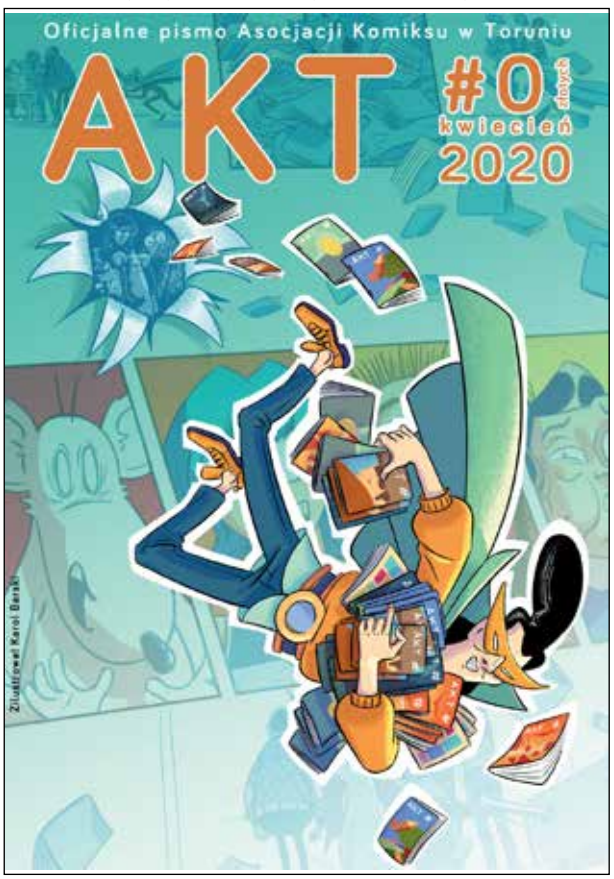

Wspomnę jeszcze, że w dwóch kolejnych latach darmowe odsłony naszego magazynu uzyskały miano najlepszego komiksu tego poznańskiego festiwalu.

Na zakończenie

„AKT" to pismo tworzone z pasją, przez fanów dla wszystkich miłośników komiksu. Znajdziecie w nim Państwo zarówno rzeczy stare, często zapomniane, jak i zupełne nowości. Prace klasyków oraz autorów nowego pokolenia. Teksty o rodzimych twórcach komiksowych i publicystykę dotyczącą superbohaterów zza oceanu. Wywiady z autorami z polski i zagranicy. Poruszamy zarówno tematy lekkie i przyjemne, ale też nie stronimy od poważniejszych tonów.

Asocjację Komiksu, która wywodzi się z Torunia, w tej chwili tworzy kilkanaście osób, nie tylko z tego miasta, ale rozsianych po całym kraju, a także poza nim, gdyż mamy w grupie osoby na stałe mieszkające w Anglii oraz Niemczech. Pisząc powyższy tekst, skupiłem się głównie na historii AKT-u poprzez tworzony magazyn, ale nie jest to jedyny przejaw naszej komiksowej aktywności. Członkowie Asocjacji Komiksu w Toruniu prowadzą prelekcje komiksowe, warsztaty, wspólnie organizują wystawy, zarówno całościowe jako AKT, jak i osobne, poszczególnych autorów z grupy. AKTowcy angażują się w organizację komiksowych imprez w tym toruńskich, DwuTargu oraz Festiwalu Kultury Popularnej DwuTakt. Wspólnie też jeździmy na imprezy komiksowe, tworzymy punkty programu, udzielamy się charytatywnie. Jak zatem Państwo widzą AKT to dużo więcej niż opisane przeze mnie pismo komiksowe. Myślę, że każdy obserwujący nas czytelnik oraz współpracujący z nami autor mógł się o tym przekonać, do czego wszystkich serdecznie zapraszam.

(Autor referatu jest redaktorem naczelnym magazynu „AKT")

Krzysztof Otorowski, ***Dobre alibi nie jest złe*** (materiał udostępniony przez magazyn AKT)

Piotr Wojciechowski, ***Opowieści Grabarza - Marsz żałobny*** (materiał udostępniony przez magazyn AKT)

Zvyrke, ***Kuchenne ewolucje*** (fragment) (materiał udostępniony przez magazyn AKT)

Jerzy Ozga, ilustracja zamieszczona w książce ***Obywatel Szrajbman***

Jerzy Ozga, ilustracja zamieszczona w książce ***Obywatel Szrajbman***

Paweł Chmielewski

Pływak

Zanim jeszcze rozbłysły gwiazdy Supermana z planety Krypton, zanim Bruce Wayne w przebraniu nietoperza powstrzymał zbrodnię w mrocznym Gotham, przed Flashem Gordonem radiowym i antenowym Cieniem, umysły, serca i portfele – najpierw amerykańskich fanów – a potem czytelników na całym świecie opanowuje inny bohater zbiorowej wyobraźni, popkulturowa ikona – Tarzan.

Ten pierwszy – na wskroś ekologiczny heros – zdetronizował nie tylko posępnego Draculę i demonicznego Fantomasa, którzy na przełomie wieków wywoływali zarówno fascynację, jak i histerię tysięcy wielbicieli groszowych powieści (choć wiktoriański horror Stokera z 1897 r. należał – podobnie jak gotyckie science fiction Mary Shelley – do kręgu literatury ambitnej). Tarzan w nieomal krystalicznej postaci uosabiał zderzenie pierwotnej natury z kulturą wyrafinowaną – to chłopiec wychowany przez małpy, w którego żyłach płynie błękitna krew Greystoków.

Książkowy cykl Edgara Rice'a Burroughsa - a od 1932 r. również filmy z pięciokrotnym złotym medalistą olimpijskim w pływaniu, Johnnym Weismullerem - cieszyły się w Polsce międzywojennej ogromną popularnością. Od 1922 r. firma księgarska Trzaska, Evert & Michalski z Warszawy publikowała kolejne tomy przygód Tarzana vel lorda Johna Claytona w tłumaczeniu Jadwigi Colonna-Walewskiej z okładkami „Edmunda Johna" (anonimowego polskiego rysownika, zatrudnionego przez Drukarnię Narodową w Krakowie). W 1934 r. dyskontując sukces – nie tylko powieściowych pierwowzorów, ale i kinowych obrazów – łódzki tygodnik „Panorama" drukuje komiks „Tarzan" amerykańskiego rysownika Hala Fostera. Trzy lata później – przez pół roku – wychodzi nawet komiksowy magazyn „Tarzan", a wkrótce po jego upadku przygody lorda Greystoke w pierwotnej dżungli przenoszą się do działu ilustracyjnego tygodnika „Wędrowiec". I to właśnie w tym miejscu powinna się rozpocząć opowieść o naszym bohaterze – olimpijczyku z Berlina, żydowskim sportowcu w polskich barwach – Ilji Szrajbmanie, niedoszłej gwieździe kina międzywojennego, powstańcu z warszawskiego getta.

Gigantyczne powodzenie filmów z Weismullerem wśród polskich widzów sprowokowały Alfreda Silberlasta (Niemirskiego) - przemysłowca z dużym udziałem w firmie „Sfinks"- do przygotowań do „Tarzana w Puszczy Białowieskiej", superprodukcji przygodowej, w której główną rolę - wzorem amerykańskim - miał zagrać zawodowy pływak, Ilja Szrajbman.

W połowie lat 30. plany nakręcenia polskiej wersji, opartej luźno na wątkach powieściowych z Borroughsa w ostępach pierwotnego lasu i wśród poleskich bagien są już bardzo zaawansowane. Dobrze znany sportowiec zaczyna odwiedzać na planie filmowym przyszłego reżysera tej pierwszej realizacji w duchu kina Nowej Przygody - Juliusza Gardana. Tymczasem jest rok 1936 (tuż po niesławnej klęsce i gigantycznych kłótniach wokół startu polskiej sztafety pływackiej w stolicy III Rzeszy), zaś Gardan otrzymuje zlecenie na realizację produkcji dość hybrydowej: musicalu (?) komedii (?), kina społecznego (?) pod tytułem „Pani minister tańczy". Przedsięwzięcie miało być początkowo bardzo ambitne - scenariusz zamówiono u Anatola Sterna (bardzo znanego

felietonisty, krytyka i przede wszystkim poety nurtu awangardowego), któremu w kreacjach psychologicznych postaci kobiet miała pomagać żona Alicja (która w napisach musiała wystąpić pod pseudonimem). Na planie pojawił się nawet dekorator i architekt, który pracował przy scenografii kilku przygodowych produkcji hollywoodzkich i przede wszystkim niemieckiej Ufy (m.in. „Metropolis" Fritza Langa, a z Berlina uciekł po dojściu nazistów do władzy). W trakcie kręcenia okazało się, że nie ma w zasadzie dla niego pracy więc z nudów zabawiał ekipę anegdotami zza kulis amerykańskiego kina. Później jego opowieści zostały spisane i ukazały się nawet w przedwojennym podręczniku dla scenarzystów.

Reżyser i scenarzyści mieli zamiar - bardzo ambitnie - nakręcić coś w rodzaju polskiej wersji „Kaczej zupy" braci Marx. Ostrą satyrę polityczną, nieomal z muzycznymi przerywnikami jak songi u Bertolda Brechta. Punkt wyjścia był obiecujący - chociażby taka scena: w małym fikcyjnym kraju na czele Ministerstwa Ochrony Moralności Publicznej staje młoda kobieta, a pierwsze zdanie wygłoszone do niej przez lidera opozycji brzmi: „W naszym małym, ale potężnym państwie!".

Po podpisaniu kontraktów przez reżysera i całą ekipę okazało się, że wykładający pieniądze na „Panią minister..." Alfred Silberlast i Leo Forbert mają zgoła odmienne poglądy na to, czym powinien być ten film, a z pewnością nie odpowiada im pomysł Sterna i Gardana. Błyskawicznie zatrudnili bardzo sprawnego „dialogistę" Konrada Toma i pod naciskami producentów, Gardan nakręcił taką właśnie romansową hybrydę z piosenkami. Recenzje były w większości miażdżące, widzowie uwielbiali film i podobno w finansowym zestawieniu za rok 1937 „Pani minister..." zwróciła dziesięciokrotnie poniesione nakłady. Zaś Silberlast - jak głosi plotka - sprowadził z Amazonii metrową papugę arę, którą trzymał w złotej klatce. Schwytany nieomal „za gardło" czołowy reżyser popularnego kina w międzywojniu szlifował scenariusz, rozmawiał ze Szrajbmanem i za kolejny lukratywny kontrakt i obietnicę realizacji „Tarzana..." godzi się nakręcić łzawy romans „Wrzos" i zekranizować jedną z powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Pierwsze ujęcia przygodowej superprodukcji w atelier

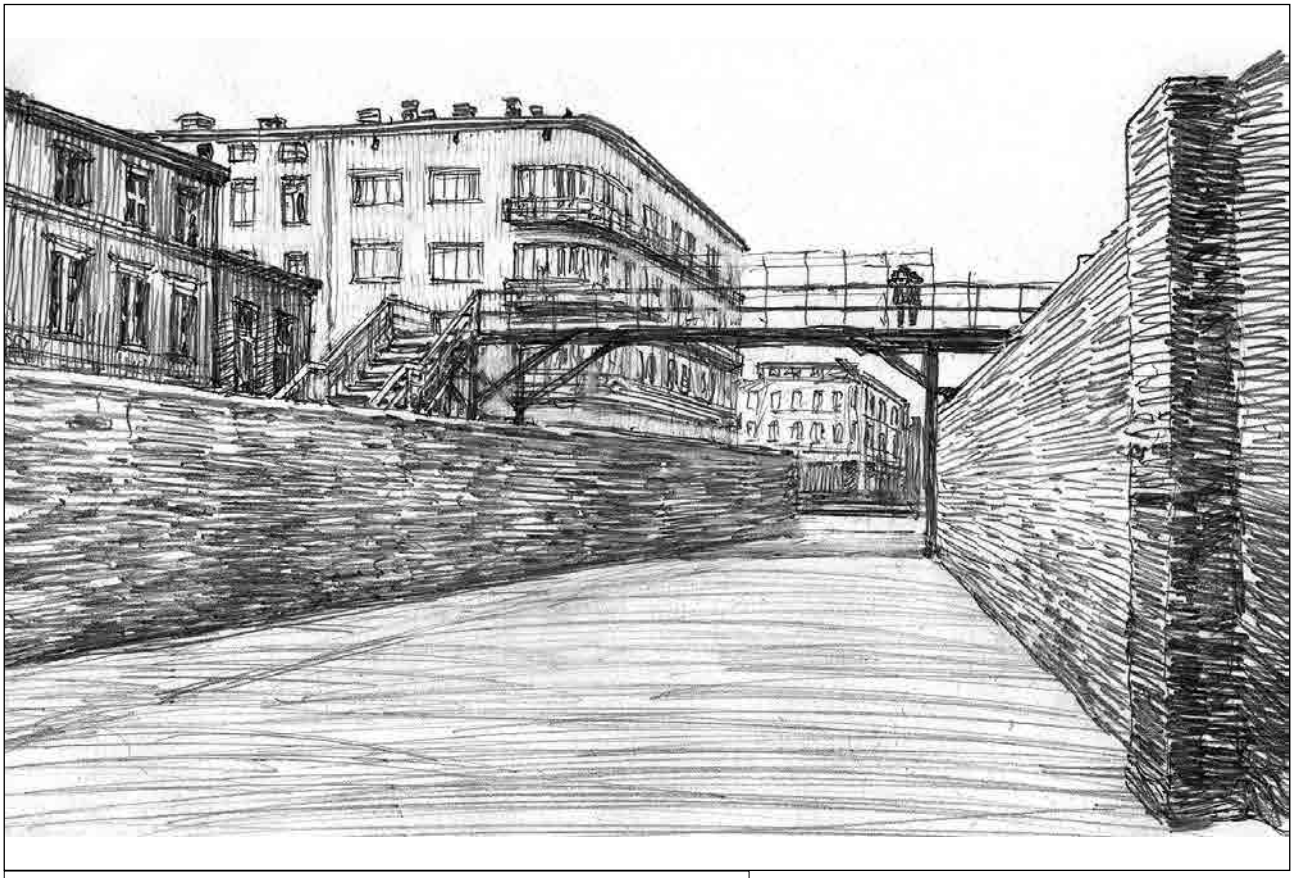

Jerzy Ozga, ilustracja zamieszczona w książce ***Obywatel Szrajbman***

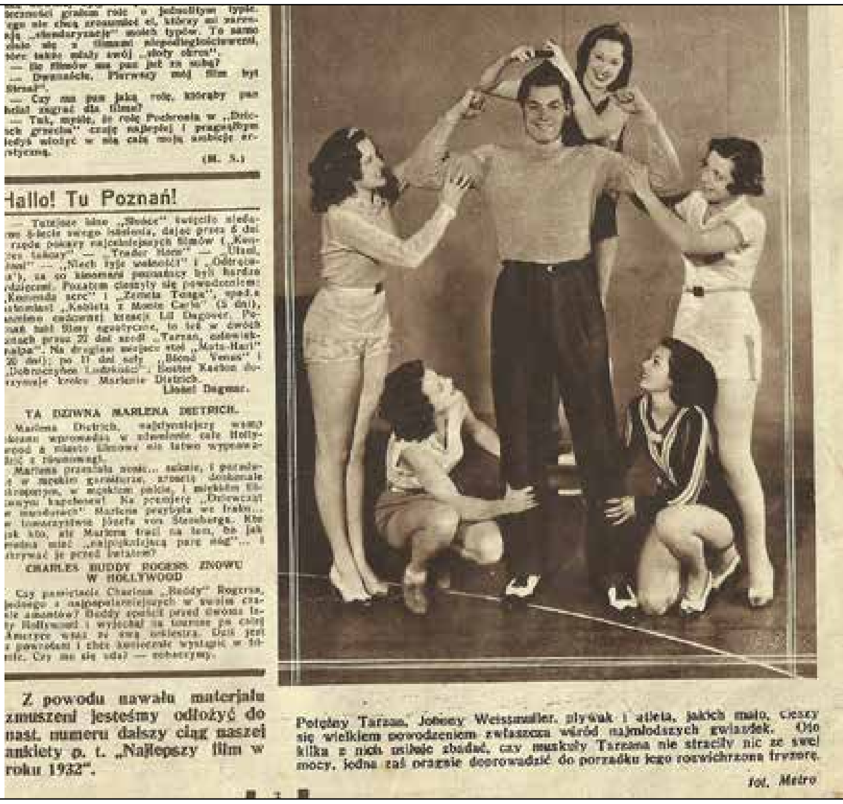

Hallo! Tu Poznań!

TA DZIWNA MARLENA DIETRICH.

CHARLES BUDDY ROGERS ZNOWU W HOLLYWOOD

Z powodu nawału materjału zmuszeni jesteśmy odłożyć do nast. numeru dalszy ciąg naszej ankiety p. t. „Najlepszy film w roku 1932".

Potężny Tarzan, Johnny Weissmuller, pływak i atleta, jakich mało, cieszy się wielkiem powodzeniem zwłaszcza wśród najmłodszych gwiazdek. Oto kilka z nich usiłuje zbadać, czy muskuły Tarzana nie straciły nic ze swej mocy, jedna zaś pragnie doprowadzić do porządku jego rozwichrzoną fryzurę.

fot. Metro

zaplanowano na schyłek 1939 r., a puszczańskie plenery w kwietniu i maju następnego roku.

Opowieść o losach Ilji Szrajbmana to korowód niezwykłych postaci ze świata przedwojennego filmu, rozrywki i sportu. To galeria śmiertelnych figur, która w kataklizmie wojennym zamknięta w kwadratach ulic umiera w drodze na Umschlagplatz, w transportach do komór gazowych, wśród ruin warszawskiego getta. W tej opowieści, nagle pojawia się wygłaszający monologi, wielki aktor – Michał Znicz (Michał Feiertag). Recytuje fragmenty tekstu Shylocka z „Kupca weneckiego". W tym samym czasie, po drugiej stronie oceanu, w amerykańskich kinach wyświetlano gorzką komedię Ernsta Lubitscha „Być albo nie być". Rozgrywająca się w okupowanej Warszawie w środowisku teatralnym w finale przyniosła właśnie monolog Shylocka, który wygłasza żydowski aktor, przygotowując się do fikcyjnego zamachu na Hitlera.

Znicz to aktor znany przede wszystkim z odgrywania postaci komediowych. Entourage filmowy tego mistrza ról charakterystycznych musiał bazować na bardzo niewyszukanych scenariuszach i popularnym repertuarze, który zdominował polskie kino w 20-leciu międzywojennym. Niemniej jednak Znicz pod pozorem farsowości, każdej ze swych kreacji nadawał pewien rys tragiczny, odgrywając bohaterów trochę zagubionych i przerażonych otaczającą ich machiną społeczną. W tym komediowym tragizmie, gdyby trafił na inny klimat artystyczno-producencki, mógłby stać się przedwojennym Bogumiłem Kobielą.

Jego życiorys jest również pełen niejednoznaczności i niedopowiedzeń. Źródła podają trzy daty i miejsca urodzenia: 1888 r. w Warszawie, 1892 w Połtawie lub nawet 1895 w podkieleckich Działoszycach. Dzięki rozpoznawalności i aktorskiej sławie udało mu się przeżyć pierwsze lata w warszawskim getcie, skąd został wywieziony do Pruszkowa. Na temat śmierci Znicza krąży kilka wersji: samobójstwo (w Pruszkowie), śmiertelny postrzał w trakcie ucieczki, gdy został zadenuncjowany (miał podobno przebywać u rodziny polskiego operatora filmowego, a donos złożył sąsiad – szmalcownik) lub śmierć w masowej egzekucji pensjonariuszy szpitala psychiatrycznego w Otwocku. To ledwie jedna z postaci pojawiających się na kartach „Obywatela Szrajbmana".

Niewiele mniej tajemnic i niejednoznacznie wyjaśnionych sytuacji kryje biografia tytułowego bohatera. Nie tylko gorzko-komiczny epizod z poprowadzeniem ekskluzywnego sklepu handlującego sprzętem tenisowym dla stołecznej elity, ale i wyjazd

Jerzy Ozga, ilustracja zamieszczona w książce ***Obywatel Szrajbman***

na uniwersjadę do Monte Carlo w 1939 r., bo przecież sam udział Ilji Szrajbmana w zawodach akademickich w Monako to jedna, wielka zagadka. Relacje raz przywołują jego nazwisko, w innych nie występuje. Ta swoista sprzeczność wynika ze statusu zawodnika u schyłku lat 30. Z przyczyn proceduralnych (nie do końca jasne okoliczności zmiany barw klubowych i zaangażowanie w żydowski ruch sportowy) na pewien czas wielokrotny mistrz Polski pozbawiony został prawa do startów. Na ile było to związane z antysemicką atmosferą obecną (niestety) tuż przed wybuchem wojny światowej w polskiej federacji pływackiej, trudno nam ocenić jednoznacznie z dzisiejszej perspektywy. Formalnie Ilja Szrajbman wyjechał wraz z reprezentacją akademicką jako posiadacz „dzikiej karty", a decyzja o jego starcie w Monako miała być podjęta na miejscu. Nigdy tam jednak nie dotarł. W sierpniu 1939 r. swobodny i szybki przejazd przez kraje graniczące z Polską, w których obowiązywały już rasistowskie ustawy norymberskie nie był sprawą prostą dla sportowca żydowskiego pochodzenia.

Są również epizody, które - choć efektowne - w wersji ostatecznej tekstu nie odnalazły swego miejsca, choć scenografia i klimat przez nie budowany odnajdujemy w charakterze całej opowieści. Jak ten związany z Igo Symem, amantem przedwojennego kina, kolaborantem zastrzelonym przez władze Podziemnego Państwa. To przecież jest historia dość dobrze znana z „Jak być kochaną" Wojciecha Hasa. Jest też opowieść o jedynym obrazie namalowanym w Berlinie przez pradziadka Wierusza (jeszcze w spokojnym czasie XIX-wiecznej belle epoque), o dużym pudle, zawierającym kilkaset zdjęć, jednym z nielicznych przedmiotów ocalonych w 1944/45 z obozu przejściowego w Piasecznie przez córkę Henryka Kowalskiego, Halinę. 25 maja 1939 r. piętnastoletnie uczennice pensji dla dziewcząt umawiają się przy zakładzie fotograficznym Stanisława Wasińskiego przy Żelaznej 33. Każda z nich - zgodnie ze zwyczajem - robi sobie pamiątkową fotografię dla koleżanek. Niektóre są portretowe, inne ukazują całą postać. Za kilka dni odbiorą odbitki od mistrza Wasińskiego, wpiszą na odwrocie dedykacje i rozdadzą wśród przyjaciółek. Te wpisy są czasem zdawkowe „dla koleżanki - Marta" i data, czasem pełne emocji „dla najmilszej H. - z serdecznościami Lea". Wychodzą z zakładu i kilkanaście metrów dalej trafiają na przyrodniego brata cioci, który spokojnie (w towarzystwie kolegi znanego później z licznych zdjęć

CZWÓRKA NAJSZYBSZYCH CRAWLISTÓW

Bocheński, Szrajbman, Karliczek i Karpiński, utworzyć miała olimpijską sztafetę 4 x 200, do której przyłączył się jeszcze ślązak Barysz.

powstańczych) podąża do ulubionej kawiarni na Nowym Świecie, prowadzonej przez piękną wdowę, wychowującą małą córeczkę. Panowie są w nader dobrym nastroju i proponują, aby wynająć na kilka godzin pomocnika maestra Wasińskiego i urządzić fotograficzną sesję na ulicach Warszawy. W pełnym słońcu udaje im się obok Chłodnej 23 sfotografować nawet Henryka, który z kamienicy przy końcu ulicy wędrował do biura handlowego pod numerem 9. Wynajęty fotograf kameruje dwóch radosnych kolegów, uśmiechnięte uczennice, nawet córeczkę pięknej wdowy na Nowym Świecie.

Niecałe cztery lata później, na wysokości właśnie Chłodnej 23 (jedynej ulicy wyłączonej z granic getta) powstała słynna kładka łącząca małą i dużą dzielnicę żydowską, ze słynnymi bramami żelaznymi, znanymi z dokumentalnych filmów i ekranowych fabuł. Pewnego dnia Halinie zdawało się, że widzi na kładce jedną ze szkolnych koleżanek. 19 kwietnia następnego roku w swoim mieszkaniu u wylotu Chłodnej, pod numerem 66 słyszą wystrzały i wybuchy. Później przez kilka tygodni, od strony getta, które oddzielał od nich tylko wysoki mur, napływał czarny, lepki popiół. Po Lei, Marcie, pięknej wdowie Sabinie i jej małej córeczce pozostało tylko wspomnienie tego popiołu i zdjęcia, które w tekturowym pudełku stoją dziś na półce u autora.

Ta historia miała być komiksem, stała się tekstem scenariusza z trzydziestosześciokadrową narracją graficzną Jerzego Ozgi. Wydaną po 12 latach.

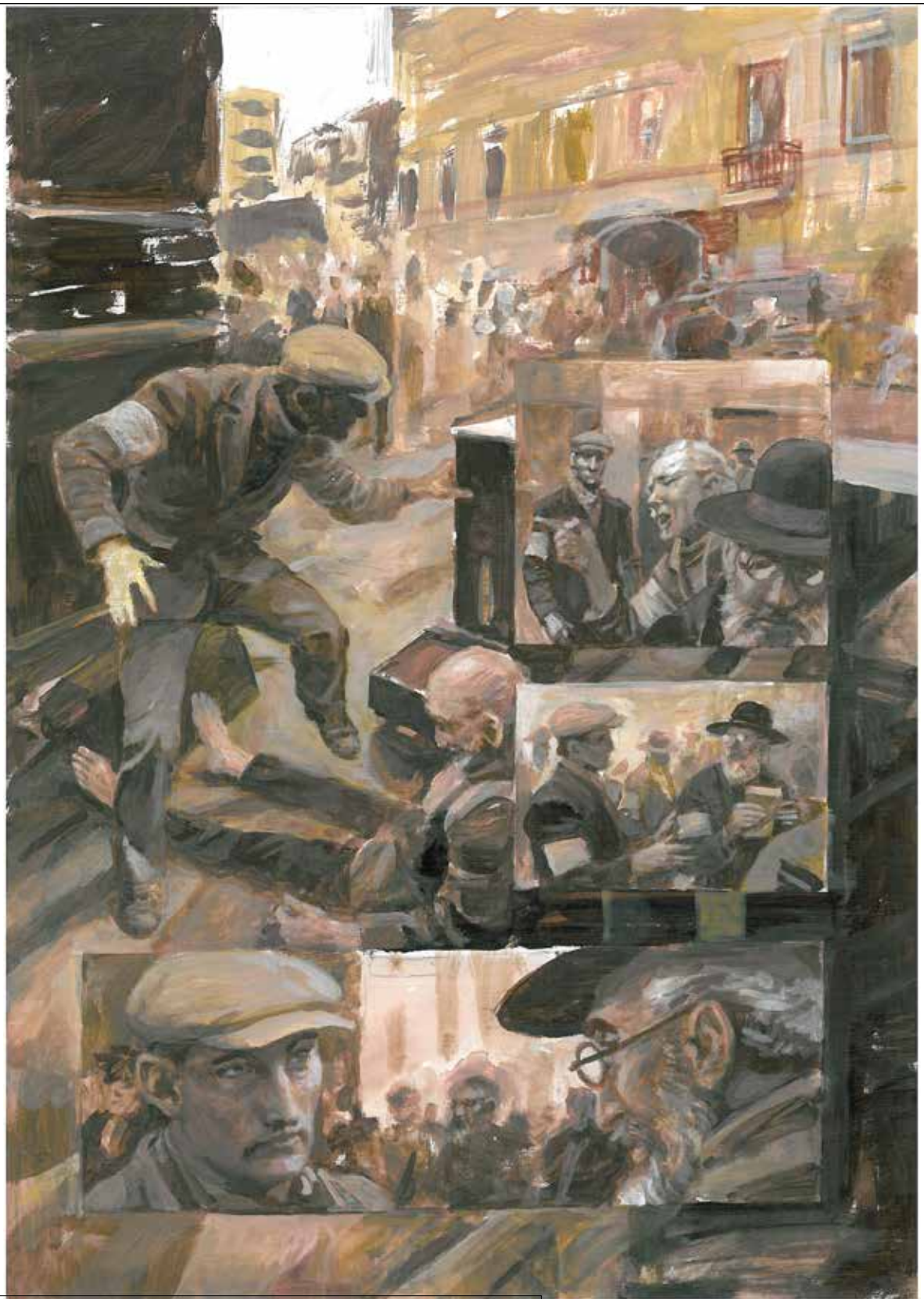

Jedna z plansz komiksu ***Obywatel Szrajbman*** (scenariusz - Paweł Chmielewski; rysunki Jerzy Ozga), który nigdy nie został wydany

Piotr Kletowski

Tarzan z warszawskiego getta

Pisząc tę recenzję jednym okiem spoglądam na emitowany właśnie na Canal+ amerykański film „Niepokonany" Barry'ego Levinsona, z 2022 r. – inspirowaną autentyczną historią żydowskiego pięściarza Harry'ego Hafta (Ben Foster), który tłukł się na pięści w Auschwitz ku uciesze SS-mańskiej załogi i więźniów obozu zagłady (zwłaszcza, gdy udało mu się wybić zęby walczącemu z nim ukraińskiemu wartownikowi).

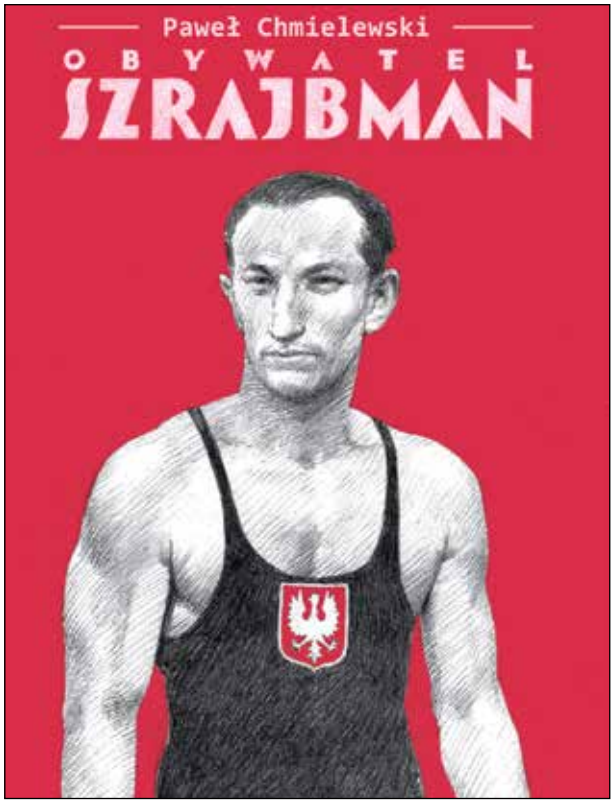

Paweł Chmielewski
Obywatel Szrajbman
il. Jerzy Ozga
86 s. ; 22,5 cm
Kielce: Stowarzyszenie Twórcze „Zenit"
Polska, 2022

W pamięci mam równie udany film „Mistrz" (2020) Macieja Barczewskiego, ze znakomitą rolą Piotra Głowackiego, jako również autentycznej postaci, polskiego boksera Tadeusza Pietrzykowskiego. Był jeszcze zrealizowany w latach 80. w Auschwitz (i co ciekawe, był to ostatni film fabularny, jaki został zrealizowany w niemieckim obozie zagłady) „Triumf ducha", Roberta M. Younga , z Willemem Dafoe jako greckim Żydem również walczącym na pieści o swe życie. Ileż więc tkwi potencjalnie atrakcyjnych historii w Zagładzie, historii mierzenia się ze swymi słabościami do tego w cieniu Holocaustu. Dlaczego polscy pisarze, filmowcy nie korzystają z tego zasobu, przypisanego siłą rzeczy do polskiej kultury i tragicznej historii polskiego narodu, również, a zwłaszcza jego żydowskiej części. Szczęśliwie są jednak prace, które przełamują ten twórczy stupor.

Jedną z nich jest scenariusz filmowy Pawła Chmielewskiego (autor określa go skromnie jako dramat) „Obywatel Szrajbman", okraszony dodatkowo świetnymi wizualizacjami kieleckiego mistrza komiksowej kreski Jerzego Ozgi (które, gdyby daj Boże doszło do realizacji filmu, mogą stanowić gotowe storyboardy zdjęciowe). Chmielewski daje popis swojego scenopisarskiego talentu tworząc historię Ilij Szrajbmana – Polaka żydowskiego pochodzenia, olimpijczyka z Berlina, wielokrotnego mistrza pływackiego, człowieka który otarł się o polski przemysł filmowy (jak czytamy w scenariuszu miał grać w polskiej wersji „Tarzana") by walczyć w szeregach Żydowskiej Organizacji Bojowej w czasie powstania w getcie, w 1943 r. i zginąć wśród jego ruin. Opowieść Chmielewskiego jest więc wręcz epicką wizją świata przedwojennej Polski i Polski pod okupacją hitlerowską, której głównym fabularnym wątkiem jest życie Szrajbmana w getcie, skąd pamięcią cofa się do czasów sprzed wybuchu wojny, wspominając mniej lub bardziej słynne postacie świata sportu, filmu i polityki czasów międzywojnia.

Scenariusz świetnie oddaje to przecinanie się różnych rzeczywistości społecznych, między którymi lawirował Szrajbman właściwie poszukując swojej tożsamości – zarówno jako człowiek, ale również jako osoba publiczna: sportsmen, aktor. Jest tu wiele świetnie zarysowanych scen, widowiskowych, dramatycznych. Jak te w czasie olimpiady w Berlinie, scena z Michałem Zniczem – polskim aktorem żydowskiego pochodzenia, który postradał rozum w getcie – czy świetna ze słynną Wierą Gran,

występującą razem ze Władysławem Szpilmanem w tancbudach po żydowskiej stronie miasta. Intensywność scen w dramacie powoduje, że nie zastanawiam się za bardzo, które z wydarzeń są prawdziwe, a które to licencja poetycka autora (przyznam szczerze, że jako historyk kina nie spotkałem się z informacją o realizacji polskiej wersji hollywoodzkiego filmu o Człowieku – Małpie, zresztą również z zawodowym pływakiem niemieckiego pochodzenia w roli głównej – Johnnym Weissmullerem). Ale nie jest to w sumie takie ważne, ważne, że mamy tutaj do czynienia z niezwykle frapującym materiałem na interesujący, widowiskowy, a przy tym podejmujący wiele ważnych tematów (zwłaszcza dla zrozumienia sytuacji polsko-żydowskich, żydowsko-polskich, przed i w czasie wojny) film. Z pewnością sam w sobie dramat, czy raczej scenariusz Chmielewskiego z rysunkami Ozgi stanowi bardzo cenną propozycję wydawniczą, niemniej wydaje mi się, że aby mógł być przeniesiony na ekran wymagałby przepracowania i rozbudowania, tak, by wiele naszkicowanych tu ledwie wątków odpowiednio wybrzmiało, a i postać samego Szrajbmana nabrała by bardziej konkretnego, namacalnego wymiaru.

Piotr Kletowski

Juki podróżne Jerzego Żuławskiego

***Najwyższą mądrością i jedynym prawdziwym szczęściem na ziemi jest mieć w sobie taką potęgę stwarzania złudzeń, iżby ich żadna rzeczywistość, choćby największa zniweczyć nie mogła* – to fragment eseju Jerzego Żuławskiego pt. „Jak Don Quichote pogodził Hamleta z Don Juanem" – jednego z najciekawszych tekstów podróżnika, pisarza, filozofa, propagatora czegoś co nazwać by można „pisarskim flanerowaniem" – a więc przemierzeniem świata w celu odkrywania o nim prawdy, jak również odkrywania prawdy o sobie.**

Jerzego Żuławskiego, autora słynnej „Trylogii Księżycowej" – pionierskiego, nie tylko dla polskiej fantastyki naukowej dzieła, które prawie pół wieku od powstania spróbuje przenieść na ekran stryjeczny wnuk pisarza – Andrzej Żuławski – tworząc jedną z najbardziej niezwykłych, enigmatycznych, dorównujących genialności wizji autora pierwowzoru, filmowych feerii, która dziś, choć nieskończona, działa na wyobraźnię miłośników opisów światów wyobrażonych. Ale właśnie czy do końca wyobrażonych? Bo przecież, co dowodzi znakomita praca Emmanuelli Robak poświęcona twórczości Jerzego Żuławskiego, w całej bogatej, literackiej spuściźnie twórcy „Erosa i Psyche" cała jego „życiotwórczość" była przetworzeniem własnych przeżyć. Literackim „przetrawieniem" jego geograficznych ekspiacji, dodatkowo przefiltrowanych przez stale obecną w jego życiu filozofię. Filozofię, w której nurzali się twórcy findesieclowej sztuki, której wyznacznikami była wiara w miłość, sztukę właśnie – podniesioną do rangi religii – samostanowienie, indywidualizm przeciwstawiony umasowieniu, naturę – rozumianą jako źródło odnowy i energii, której świętym patronem był Fryderyk Nietzsche wieszczący „Wiedzę radosną". Nawet, a zwłaszcza, jeśli na drugim biegunie ich fascynacji byli „poeci dekadencji", jak Schopenchauer.

Żuławski łączył w swej „życiotwórczości" te sprzeczności, w duchu swego ukochanego myśliciela

Spinozy, każącego utożsamiać świat w którym człowiek żyje z samym Bogiem, zaś jego przemierzanie właściwą aktywnością każdego twórcy, zwłaszcza pisarza. Wydobywam z monografii twórcy „Miast wymarłych" właśnie tę „filozoficzną istotę", dzieła Żuławskiego, ponieważ nie sposób w krótkiej recenzji opisać całego bogactwa i grandilokwencji książki Robak, która przecież jest, było nie było, książkową wersją pracy doktorskiej autorki. Ale zdziwił by się ktoś, kto by pomyślał, że publikacja ta przeznaczona jest tylko i wyłącznie dla wyrobionego w czytaniu naukowych dysertacji czytelnika. Otóż nic podobnego! To ze swadą napisana praca, z której emanuje podziw, a przede wszystkim znawstwo meandrów życia, twórczości, filozofii autora „Na srebrnym globie", rzuconym na szerokie tło kultury, literatury, obyczajowości przełomu wieków, z mocnym tłem metodologicznym (zwraca uwagę zwłaszcza posłużenie się bardzo ciekawą, a wciąż pionierską na gruncie polskiej humanistyki metodą geopoetyczną – analizującą wpływ geografii na twórczość konkretnego pisarza).

Autorka jest znakomitą przewodniczką po meandrach twórczości Żuławskiego, ukazują ją nie jako zmurszałą ramotę, ale jako pisarstwo wciąż żywe i aktualne, pulsujące znaczeniami z przeszłości, które – niczym w lustrze – odbijającymi się we współczesnym świecie, jak również w dziełach kultury, które ów świat opisują. Czy całe pisarstwo Żuławskiego nie stworzyło modelu „Homo Viatora", współczesnego bieguna, dającego świadectwo swym przeżyciom poprzez tworzenie raportów ze swych podróży? Być może nie są to już raporty pisane, ale często smartfonowe zapisy wrzucane na videoblogi. Na podobieństwo zapisów video, jakie realizowali bohaterowie filmowej wersji „Na srebrnym globie", stanowiącego artystyczny most łączący świat przeszłości Jerzego Żuławskiego, świat jego stryjecznego wnuka i świat współczesny, w jakiejś mierze wyprorokowany przez obu twórców.

Przeczytałem „Wędrowca i wizjonera" jednym tchem, mimo, że to opasłe tomiszcze, i jako wyznawcę kultu Andrzeja Żuławskiego, przyznaje, że dzięki autorce widzę wyraźnie, jak wielki dług zaciągnął u swego stryjecznego dziadka reżyser „Opętania". Że przecież jego filmowa (ale przecież i literacka) twórczość organicznie wyrasta ze spuścizny autora „Miast wymarłych". Bo czy credo twórczości Andrzeja Żuławskiego, wyrażone w tytule jego filmu „Najważniejsze to kochać", nie pokrywało się dokładnie z tym czym żył i o czym pisał jego stryjeczny dziadek? Sięgnijmy więc po tej „Juki podróżne", ale pierwotne, napisane przez Jerzego Żuławskieg, by wraz z nim odkryć dokonania jednego z największych gigantów polskiej literatury. I podróżowania.

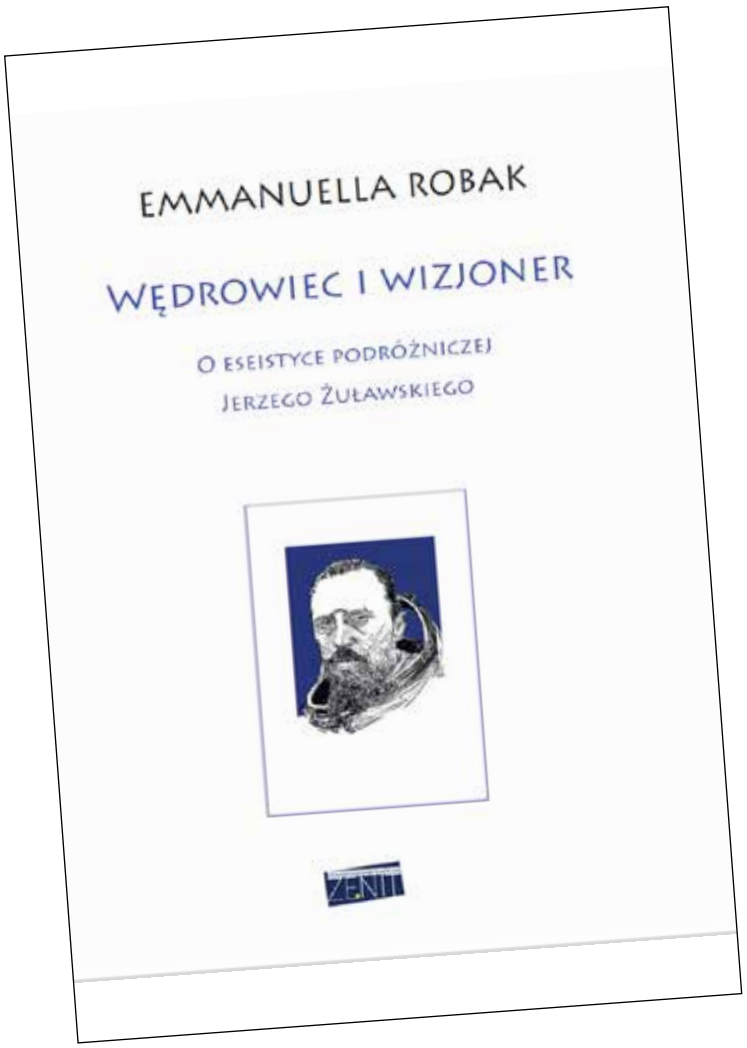

Emmanuella Robak
Wędrowiec i wizjoner. O eseistyce podróżniczej Jerzego Żuławskiego
234 s. ; 27,5 cm
Kielce: Stowarzyszenie Twórcze „Zenit"
Polska, 2022

Tomasz Łukaszczyk, ***Na srebrnym globie*** (fragment), komiks zamieszczony w książce ***Wędrowiec i wizjoner***

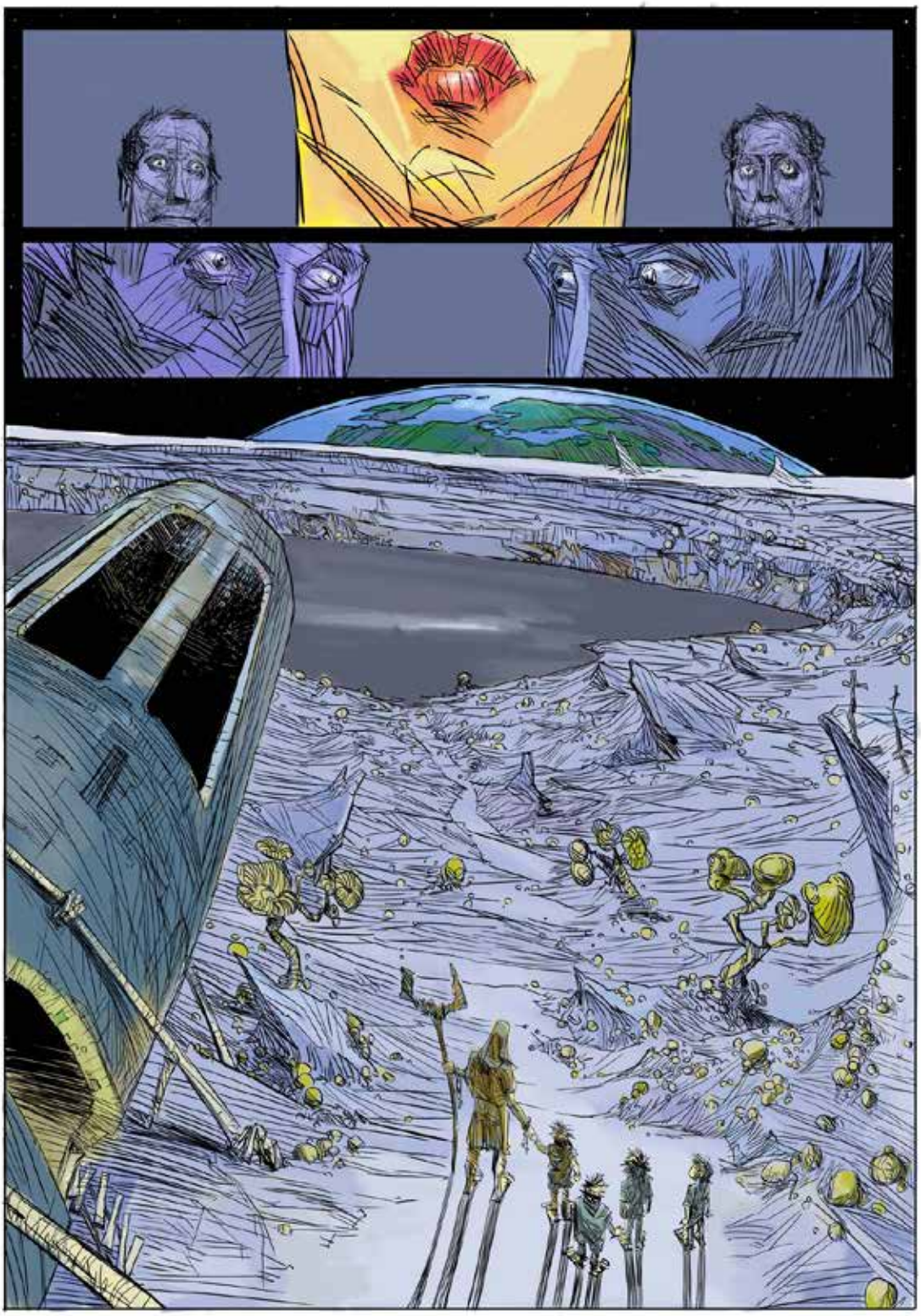

Piotr Kletowski

Z prehistorii opowieści obrazkowych

Recenzując niezwykle ciekawy scenariusz Pawła Chmielewskiego o Ilii Szrajbmanie nie możemy zapomnieć, że jest on również, nie tylko praktykiem literackim i komiksowym, ale przede wszystkim, wytrawnym badaczem prehistorii, historii i współczesności (głównie) polskiej sztuki komiksowej.

Dowodem jego dwujęzyczna (polsko-angielska) monografia pioniera polskiego komiksu prasowego Franciszka Kostrzewskiego. Kostrzewski był rysownikiem pracującym głównie dla „Tygodnika Ilustrowanego", gdzie stworzył zabawną „Historyję Jedynaczka" – rzecz o niemiłosiernie rozpuszczonym paniczyku, który sprawia kłopoty sobie i swoim bliskim. Przyznam się bez bicia, że moja wiedza na temat prahistorii komiksu polskiego sięgała jedynie do komiksów przedwojennych takich jak „Pat i Patachon", czy rzecz jasna „Przygody Koziołka Matołka" Kornela Makuszyńskiego z ilustracjami Mariana Walentynowicza oraz jego komiksowej siostry Małpki Fiki-Miki. Z klasycznych komiksów miałem jeszcze w domu „Wicka i Wacka" (którzy żartem walczyli ze Szwabami, w czasie okupacji) oraz „Przygody Wazonika" (no ale to są już czasy powojenne).

Dzięki Chmielewskiemu dowiaduje się, że już w czasach kiedy prasa drukowana w ogóle rodziła się jako medium masowe, mieliśmy tak genialnych rysowników jak Franciszek Kostrzewski, którzy swój malarski talent zawieszali na kołku, by tworzyć rysunkowe przygody wymyślonych bohaterów. Wymyślonych, ale przecież których losy odbijały rzeczywistość XIX-wiecznej Warszawy pod zaborem rosyjskim. Przy czym, rzecz jasna z powodu cenzury, autorzy tychże prześwietnych form para komiksowych mogli jedynie czepiać się kwestii obyczajowych. Niemniej zabawne i pouczające historie pisane przez Kostrzewskiego, śmiało mogły stawać w szeregu

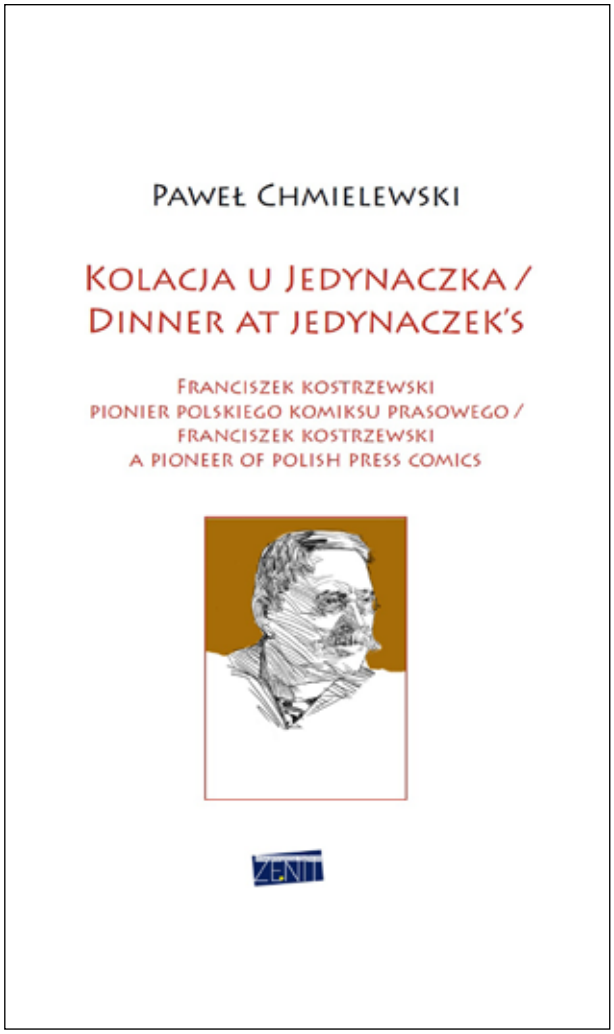

Paweł Chmielewski
Kolacja u Jedynaczka. Franciszek Kostrzewski, pionier polskiego komiksu prasowego/ Dinner at Jedynaczek's. Franciszek Kostrzewski, a pioneer of polish press comics
Tłumaczenie: Emmanuella Robak
168 s. ; 27,5 cm
Kielce: Stowarzyszenie Twórcze „Zenit"
Polska, 2022

z najświetniejszymi dokonaniami europejskich protokomiksiarzy jak choćby autorów brytyjskiego pisma satyrycznego „The Looking Glass" – stanowiącego wzorzec dla prasowych tytułów tego typu. Zresztą wielkim atutem publikacji Chmielewskiego są reprodukcje omawianych przez niego prac, zarówno tych rodzimych, jak i tych zagranicznych, dzięki temu możemy porównać materiał wzorcowy z jego naśladownictwem, przekonując się, że naśladownictwo było niekiedy lepsze niż pierwowzór.

Narracja jaką snuje ze swadą Chmielewski ukazuje przebogaty świat prasowych publikacji, których

prawdziwą gwiazdą był Kostrzewski, kreśląc niezwykły fenomen rysunkowych opowieści autorstwa ojca „Jedynaczka", często przyrównywanego do... Bolesława Prusa – autora poważnych powieści. Jak dowodzi autor monografii, mimo faktu, że zdawano sobie sprawę z odmienności mediów, jakimi posługują się obaj twórcy, doceniano nie tylko talent plastyczny Kostrzewskiego, ale również trafność jego socjologicznych, czy wręcz antropologicznych obserwacji, ubranych w przystępną, a jednocześnie wyrafinowaną wizualnie formę.

Z pewnością podróż w jaką zabiera nas autor monografii (a przecież jest to jeden z odcinków całego cyklu poświęconego polskiemu komiksowi, zwłaszcza w jego archaicznej formie) stają się pionierską i niezwykle cenną narracją ukazującą mało znane obszary pop-kulturowej aktywności polskich artystów. Narracją przeznaczoną wszak nie tylko dla specjalistów zainteresowanych historią form komiksowych w Polsce (choć to właśnie oni powinni pierwsi przeczytać tę pracę), ale dla wszystkich, którzy lubią po prostu poczytać i pośmiać się z historyjek obrazkowych. Historyjek, których wartość tkwi nie tylko w tym, że nadały one kierunek rozwojowi sztuki graficznej (ilustratorskiej, komiksowej a nawet scenograficzno-filmowej, wszak na Kostrzewskiego powoływali się tacy autorzy, jak mistrz lustracji – Marcin Szancer – czy też małżeństwo Skarżyńskich – tytanów polskiej sztuki scenograficznej, tworzących dla Wajdy, Hasa i Hoffmana), ale również w tym, że są one zaskakująco aktualne i dziś. Mogąc konkurować z tak modnymi dziś, satyrycznymi memami, rzecz jasna, górując nad nimi artystycznym wyrafinowaniem i inteligencją.

Grzegorz Niemiec

Zanim wymyślono szalonego Grzesia

Niektórzy mogą podejrzewać, że pierwsze komiksy zaczęto publikować dopiero od połowy XX wieku. Nic bardziej mylnego: temu intuicyjnemu osądowi stanowczo zaprzecza autor książki „Rozmaite gatunki szarańczy. Cykle ilustracyjne i formy komiksowe w polskiej prasie XIX w." (Wydawnictwo Stowarzyszenia Twórczego „Zenit", Kielce 2020 r.) Paweł Chmielewski, przytaczając argumenty przemawiające za tym, że formy komiksowe, a nawet same komiksy rysowano już sto lat wcześniej. W ten sposób obala – lansowany wszem i wobec – pogląd, ba nawet mit założycielski, głoszący że pierwszym polskim komiksem jest „Ogniem i mieczem, czyli przygody szalonego Grzesia" (rys. Kamil Mackiewicz, scen. Stanisław Wasylewski) z 1919 roku.

Bogato ilustrowana książka odwołuje się do dzieł sztuki i literatury polskiej i światowej oraz przywołuje sylwetki znanych z wielkiego ekranu bohaterów - chociażby „Barry'ego Lyndona" (1975, reż. S. Kubrick) czy Pana Neville'a z „Kontraktu rysownika" (1982, reż. P. Greenaway) – stawiając sobie za cel dotarcie do genezy powstania komiksu. Przedmiotem badań jest wprawdzie „epoka pary i elektryczności", jednak autor postanowił nie narzucać sobie zbyt sztywnej cezury czasowej, i już w pierwszym rozdziale określa stopień pokrewieństwa jaki łączy współczesny komiks z osiemnastowiecznym malarstwem europejskim. Dłuższą chwilę poświęca między innymi twórczości Williama Hogartha (1697 - 1764). Tym samym odkrywamy, że niczego nieświadomemu Anglikowi należy przypisać ogromne zasługi na polu rozwoju komiksu, bowiem - jak twierdzi Chmielewski – jego dwunastoobrazkowy cykl rycin „Industry and Idleness" z 1747 roku idealnie sprawdza się jako matryca komiksowej narracji.

Tak zaakcentowana idea zastąpienia (bądź uzupełnienia) „tradycyjnego opisu" szeregiem obrazków połączonych związkiem przyczynowo–skutkowym

- w taki sposób aby utworzyły one poprawną fabułę - dojrzewa powoli przez dziesięciolecia, aż do chwili gdy – tu i ówdzie – napotykamy cykl ilustracji, który śmiało możemy nazywać komiksem. Będzie to możliwe już około połowy XIX wieku. Wówczas pojawiają się rewolucyjne na owe czasy prace, wśród których należy wyróżnić rysunkowe plansze Jana Nepomucena Lewickiego (1795 – 1871) do „Pamiętników" Jana Chryzostoma Paska, satyryczne rysunki „Łapigrosz", „Pan Eugeniusz" i „Pan Atanazy Skorupa, człowiek postępowy" Artura Bartelsa (1818 – 1885) z 1858 roku czy niezwykle dowcipną „Historyę Jedynaczka w 32 obrazkach" Franciszka Kostrzewskiego (1826 – 1911) opublikowaną w trzecim numerze „Tygodnika Ilustrowanego" (1859 r.). „Jedynaczek" jest uznawany za najsłynniejszy polski komiks prasowy XIX wieku, cieszący się takim wzięciem, że wkrótce po jego ukazaniu, podjęto decyzję o wydaniu „Historyi Jedynaczki w 22 obrazkach" (1860 r.) tego samego autora. Do tych szczególnie wartościowych osiągnięć zalicza się także starszy o około trzydzieści lat, unikatowy na skalę światową, projekt talii kart autorstwa Jana Rustema (1762 – 1835; powstały wersje sześćdziesięciodwu- i osiemdziesięciokartowe) inspirowany brytyjskimi i francuskimi karykaturami oraz szereg ilustracji nieznanego pochodzenia z końca XIX stulecia, które z uwagi na ostry prześmiewczy ton lub antysemicki charakter pozostają po dziś dzień anonimowe.

Publikacja Pawła Chmielewskiego pozwala czytelnikom prześledzić historię powstania i upadku imperium wydawniczego Józefa Ungera (1817 – 1874). W drugiej połowie XIX wieku potężny magnat prasowy skupiał w swoich rękach najpoczytniejsze czasopisma, między innymi „Wędrowca" oraz niezwykle popularny „Tygodnik Ilustrowany", które kształtowały światopogląd i zapewniały rozrywkę mieszkańcom Warszawy. Tę listę uzupełniają tytuły gazet galicyjskich, wydawane we Lwowie - „Mrówka", „Szczutek" oraz „Strzecha", ale także najbardziej cenione krakowskie ilustrowane dwutygodniki humorystyczne - „Ananas" i „Djabeł" (pismo to doczekało się nawet dodatków - „Djablątka" i „Djablicy"). Niejako przypadkiem, na marginesie rozważań o dostępności i cenach czasopism, autor wskazuje na fundamentalny fakt w dziejach komiksu, a mianowicie już w latach 80. i 90. XIX stulecia „Tygodnik Ilustrowany" zaczął wydawać „komiksowe paski", powołując tym samym do życia coś w rodzaju pierwszej rubryki dedykowanej komiksowi. Blisko pół wieku wcześniej - we Francji i w Wielkiej Brytanii - dokonały się zmiany, które na zawsze zrewolucjonizują rynek prasowy. Stronę gazety podzielono na dwie bądź trzy kolumny (to przełom, w związku z którym używamy potocznego określenia, że dany tekst opublikowano na łamach), dzięki czemu dotąd deficytowe czasopisma stały się atrakcyjne dla czytelników i zaczęły przynosić oczekiwane zyski wydawcom. Ten doniosły moment w dziejach prasy jest odpowiednio wyeksponowany – otóż Paweł Chmielewski zadecydował, że wzorując się na czasopismach jego książka będzie posiadać dwukolumnowy układ strony.

Współcześnie gdy organizowane są wystawy prac wybitnych rysowników, chociażby znanego od kilku pokoleń ilustratora literatury dziecięcej Jana Marcina Szancera (1902 – 1973), ciężko uzmysłowić sobie, że blisko 150 lat temu rysownicy tworzący ilustracje nie byli honorowani w należny im sposób. Wystarczy wspomnieć o tym, że pierwszym polskim ilustratorem wymienionym z imienia i nazwiska na okładce książki był Franciszek Kostrzewski (za 101 drzeworytów i projekt oprawy do „Ramot i ramotek" Augusta Wilkońskiego), a stało się to dopiero w 1873 roku. Ten sam Kostrzewski – uchodzący za najpopularniejszego ilustratora prasowego drugiej połowy XIX wieku – jest autorem komiksu „Rozmaite gatunki szarańczy" („Tygodnik Ilustrowany" nr 55, 56, 57, 1860 r.). To jeden z niezliczonych szkiców humorystycznych tego autora. Oto widzimy serię obrazków ze scenkami rodzajowymi przedstawiającymi różne osoby, którą uzupełnia tekst opisujący instynktowne nawyki szarańczy wędrownej. Takie osobliwe zestawienie ma oczywiście na celu skonfrontować zachowanie ludzi ze sposobem bytowania uciążliwego owada.

Nazwa cyklu ilustracji Franciszka Kostrzewskiego została przywołana w tytule omawianego wydawnictwa. „Rozmaite gatunki szarańczy" to jedna z książek autorstwa Pawła Chmielewskiego (obok „Nie tylko Yorgi. Historia świętokrzyskiego komiksu" i „Na dworze Goździkowego Króla. Polskie formy komiksowe w kontekście europejskim od XV wieku do roku 1914. Historia popularna", „Kolacja u Jedynaczka. Franciszek Kostrzewski pionier polskiego komiksu prasowego"; w przygotowaniu „Harald idzie na wojnę. Narracje graficzne, cykle obrazkowe, komiksy od 768 do 1918 w Europie i Polsce".

Autor swoją miłością do powieści graficznej mógłby zarazić nieomal każdego, posłuchajmy tylko

jak barwnie opisuje akt (s)tworzenia komiksu w polskiej prasie XIX wieku: *Te kręgi na wodzie... (...) układające się w cykle narracyjne ciągi obrazków, w ramkach i bez, tekst łączony z ilustracją w integralną całość, „łamane kadry", cięte, różne perspektywy oglądu tych ilustracji przez czytelnika, ale i samych bohaterów, „przelewające" się z rysunku na rysunek postaci, incydentalne nawet „dymki" – one wszystkie tworzą niezliczone warianty, dzięki którym można budować komiksowe plansze.*

Recenzowaną publikację wzbogacają cytaty pisane oryginalną polszczyzną sprzed blisko dwustu lat. Pomagają one nie tylko dowieść słuszności tezy o dziewiętnastowiecznej proweniencji komiksu, ale pozwalają także zaobserwować jak zmienił się ojczysty język od epoki pozytywizmu. Pomimo upływu czasu wszystkie te cytaty są zrozumiałe, co więcej niektóre archaiczne już określenia zastąpiono obecnie modnymi słowami takimi jak freelancer, layout czy gadżet. Nie zabrakło też przysłowiowej wisienki na torcie, a za taką może uchodzić ilustracja „Figiel" zamieszczona w 51. numerze „Kuriera Warszawskiego" z 1881 roku, która uświadamia czytelnikom, że emotikony były znane już u schyłku XIX wieku.

Omawiana pozycja stanowi rzetelne kompendium wiedzy na temat ilustracji i form komiksowych drukowanych w polskiej prasie XIX wieku. Obfitująca w ciekawostki, napisana przystępnym językiem, publikacja zaspokoi gusta nawet najbardziej wybrednych fanów komiksu. Można przypuszczać, że część z nich już wcześniej wertowała roczniki starych gazet w poszukiwaniu informacji na temat rodowodu historyjek obrazkowych. Teraz nie będzie to koniecznie, bowiem autor „Rozmaitych gatunków szarańczy" zgromadził gros bezcennych wiadomości w jednym miejscu. Przekonany o wysokiej wartości merytorycznej książki zachęcam do jej przeczytania. Na przychylną ocenę wpływa przede wszystkim zasadność poczynionych przez autora obserwacji, co niezwykle ważne ich trafności dowodzą wiernie odwzorowane z czasopism ilustracje. Trzeba przyznać, że to się nie tylko czyta, ale też ogląda.

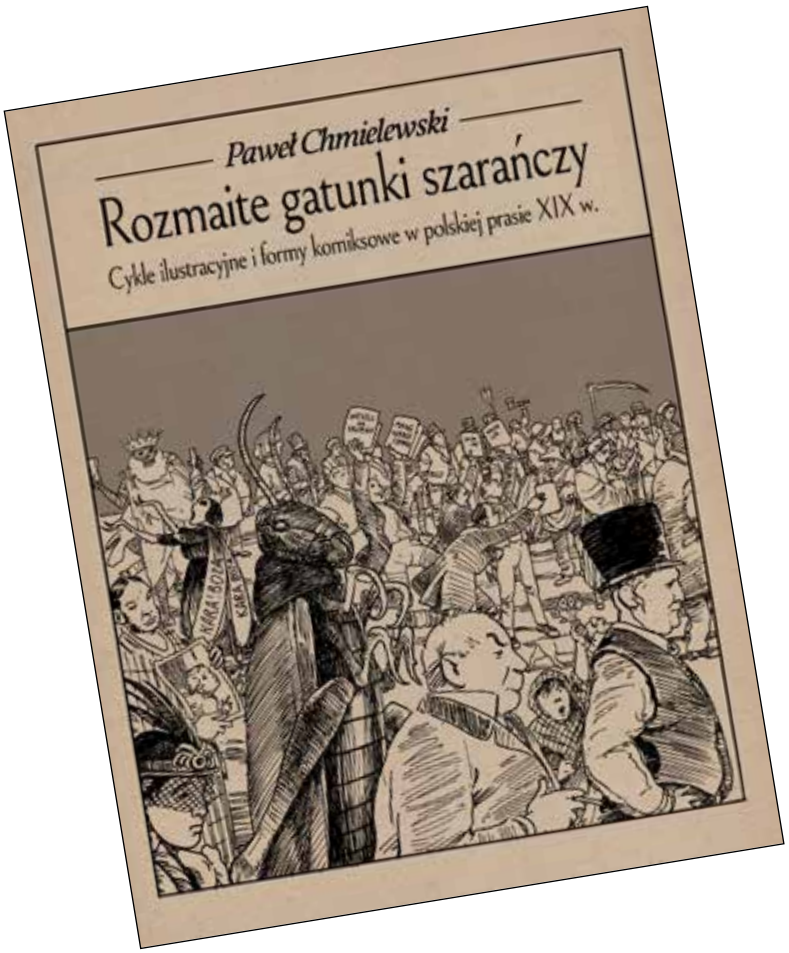

Paweł Chmielewski
Rozmaite gatunki szarańczy. Cykle ilustracyjne i formy komiksowe w polskiej prasie XIX wieku
264 s. ; 27,5 cm
Kielce: Stowarzyszenie Twórcze „Zenit"
Polska, 2020

Grzegorz Niemiec

Kampinoskie pejzaże

W UBIEGŁYM ROKU ukazała się niezwykle interesująca publikacja Lechosława Herza „Puszcza. Opowieści kampinoskie" (Wydawnictwo Iskry), będąca zbiorem wielowątkowych gawęd tematycznie związanych z przyrodą malowniczego zakątka Niziny Mazowieckiej. Wydana w twardej oprawie z obwolutą, książka zawiera zdjęcia z prywatnej kolekcji pisarza, a także alfabetyczny indeks haseł, który pozwala nam dotrzeć do ciekawych informacji, jakie będziemy mogli wykorzystać podczas pieszych wycieczek po terenach leśnych przylegających do aglomeracji warszawskiej od zachodu.

Autor często odwiedza Puszczę Kampinoską, i jak się zarzeka, pośród tutejszej fauny i flory, odnalazł własne miejsce na ziemi, którym przez ostatnie ćwierć wieku była urocza leśniczówka w Krzywej Górze. Podwarszawski kompleks leśny został nazwany Puszczą Kampinoską z racji na nazwę jednej z pobliskich wsi nazywanej Kampinos od kapinosów, czyli rowków do skapywania wody, jakimi dawno temu zastępowano rynny w drewnianych chałupach. Przemysł rolniczy nie rozwinął się na tych terenach, ponieważ okoliczne lasy porastają nieurodzajne piaszczyste gleby, mokradła i torfowiska, co w znacznym stopniu ograniczało wycinkę drzew, jaką prowadzono od kilku stuleci na obszarach leśnych sąsiadujących ze stolicą. W 1959 roku na terytorium Puszczy Kampinoskiej utworzono Kampinoski Park Narodowy. W 2000 roku KPN dołączył do światowej listy rezerwatów biosfery UNESCO, natomiast cztery lata później objęto go programem Natura 2000, chroniącym zagrożone wyginięciem gatunki zwierząt i rzadkie siedliska przyrody, znajdujące się na obszarach Unii Europejskiej. Działania te przyczyniły się do powstrzymania niekontrolowanego wyrębu lasu, stopniowo zaczęto nawet uzupełniać przetrzebiony na tym terenie drzewostan.

Oprowadzając nas po ukochanej puszczy, Lechosław Herz nie tylko sięga do swoich wspomnień z wielu pieszych wędrówek, ale też odwołuje się do słowiańskich opowiadań i klechd o topielcach, zmorach i diabłach czyhających na ofiary u brzegów Wisły czy przy gościńcach w pobliżu karczmy, oraz do podsycanych lękiem pogańskich wierzeń w strzygi wysysające krew z ludzi i dusiołki utrudniające złapanie oddechu. Utwierdzone w świadomości naszych przodków przesądy przeplatają się z legendami dotyczącymi konkretnych lokalizacji i przedmiotów znajdujących się nieopodal uczęszczanych szlaków, takich jak chociażby dęby jagiellońskie, pod których konarami odpoczywał podobno król Władysław Jagiełło w drodze pod Grunwald; Mogilny Mostek obok którego rzekomo zamordowano kobietę czy wybudowana przy Dudniącej Drodze karczma Pohulanka, która ponoć zapadła się pod ziemię, dlatego teraz tam tak dudni. Z tych cząstek autor utkał kilkadziesiąt gawęd mocno związanych z tymi wydmami, turzycowiskami, bagnami i lasami, którym zadedykował swoją książkę – *Puszczy Kampinoskiej z podziękowaniem za to, że jest...*

Niekiedy w rozważaniach pisarza dominuje melancholijna nuta oraz ubolewanie nad nieposzanowaniem dla przyrody, jakie wyróżnia młodych turystów, którzy mijając piękne kapliczki, kobierce z wrzosu czy gdzieniegdzie rosnące sasanki, wcale ich nie zauważają. W takich przypadkach gawędy stają się bardziej refleksyjne przywołując strofy z wierszy Leopolda Staffa i Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, wyjątki z prozy Jarosława Iwaszkiewicza i Selmy Lagerlöf, sceny z płócien Juliana Fałata i Józefa Chełmońskiego, a nawet realistyczne obrazy karczm z rycin Franciszka Kostrzewskiego. Gdzie indziej przebija też nostalgia za minioną młodością, a w tonie gawędy zaczyna przeważać smutek. Tak jest wtedy, gdy autor porównuje współczesną architekturę wsi z dawną drewnianą zabudową, nazywając tę pierwszą *raną, jaką zadaje człowiek krajobrazowi,* albo gdy zachwyca się pięknem przyrody, opisując jak *śnieg bardzo ładnie ubiera okoliczne sosny*, bądź w innym miejscu, kiedy kontempluje narodziny dnia na przedwiośniu – *zza lasu wstaje nad puszczańskimi torfowiskami ogromna tarcza czerwonego słońca*, lub powraca do niedawno przeżywanej impresji – *Poranek wstał pogodny, mglisty, rześki, taki, jaki być powinien poranek w puszczy. Mgły rosiły się na pajęczynach i czyniły las tajemniczym...* Poznajemy więc różne oblicza – mieniącej się wieloma kolorami – natury, i czytamy nietypowe składniowo konstrukcje

utworzone w oparciu o to samo słowo, które podkreślają miarowość upływającego czasu, a nawet tworzą osobliwą czasoprzestrzeń puszczy, silnie zespoloną z porami roku. Wiosną na przykład bieli się tutaj „dżungla czeremchowa", żółcą się kosaćce i czerwienieją maki, znów zaś latem barwią na fioletowo krwawnice pospolite, tworząc – jak pisał Wyspiański – warkocz amarantowy. Nic tylko „siedzieć i siedzieć", „malować i malować"... Liryczna gawęda o „Dniach puszczańskich" należy do najpiękniejszych. Rozpoczyna się wczesnym latem, a kończy późną jesienią, w przejściowej porze roku, gdy wiele gatunków zwierząt zapada już w sen zimowy. Lecz zanim to się stanie, będziemy świadkami nocy spadających meteorów, wysłuchamy klangoru stada żurawi, koncertu świerszczy i pasikoników, a nawet głosów godowych jeleni na rykowisku, poprzedzających wizytę w ogrodzie dzików, bez których udziału opadłe owoce śliw i jabłoni by się zmarnowały.

Inne gawędy są jeszcze mocniej zespolone z historią omawianego regionu. Po ich przeczytaniu będziemy wiedzieć, gdzie był usytuowany schron przygotowany na wypadek eksplozji jądrowej, albo gdzie składowano amunicję i broń przed drugą wojną światową. Na oddzielną uwagę zasłużył też sobie cmentarz w Palmirach i kościół obronny w Brochowie, nieopodal którego rozegrała się sławna bitwa nad Bzurą. Po przeciwnej stronie puszczy położony jest dworek szlachecki w Lipkowie, który odwiedzał Henryk Sienkiewicz. W jego pobliżu, pod wydmowym wzgórzem, zgodnie z koncepcją pisarza, miał miejsce zaciekły pojedynek Michała Wołodyjowskiego z Jurko Bohunem, przedstawiony w „Ogniem i mieczem", na pamiątkę którego wzgórze to nosi nazwę Góry Bohuna.

Nie wątpię, że wielu czytelników, podobnie jak ja, uzna publikację Lechosława Herza za wyjątkową. Autor „Puszczy..." wykazuje się nie tylko erudycją, lecz również poczuciem humoru. Na uzasadnienie tej opinii, przytoczę dwie zabawne sytuacje opisane w książce. Pierwsza opowiada o tym, jak w latach 80. XX wieku trzeba było zamalowywać skrót nazwy Kampinoskiego Parku Narodowego, kojarzył się on bowiem z Konfederacją Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego. Druga jest związana z cyrkowcami stacjonującymi w Julinku, którym uciekł niedźwiedź. Gdy zwierzę napotkało na swej drodze chłopa jadącego rowerem to „zrobiło drabinę", czyli stanęło na dwóch łapach. Przerażony chłop zeskoczył z roweru i zaczął uciekać, na co miś wsiadł na porzucony rower i odjechał.

Pomimo gawędziarskiego tonu, kompozycja książki została przemyślana w każdym calu. Dla lepszego zaznajomienia czytelnika z tematem, rozdziały poświęcone łosiom („Władca bagien i trzęsawisk"), „Topielcom i zmorom znad Wisły", wzgórzom wydmowym („Kampinoskie góry") i „Wioskom śródleśnym", zwieńczone traktatem „O istocie natury", poprzedzono rozdziałami, z treści których wyniesiemy podstawową wiedzę o historii, położeniu geograficznym i cechach przyrodniczych Puszczy Kampinoskiej. Wstąpimy więc do puszczy niejako od strony jej rubieży, z rzadkich, młodych, w większości sosnowych zagajników, wchodząc w głąb gęstszego lasu. Ten stosunkowo niewielki teren parku, stopniowo zalesiany stale się powiększa, a nawet wyolbrzymia – dzięki obrazowym porównaniom Lechosława Herza – stając się lasem birmańskim, który zaczyna zwartym szeregiem sosen, brzóz i leszczyn podchodzić pod ogrodzenie znajomej leśniczówki w Krzywej Górze. Wszędzie wokół napotykamy najrozmaitsze drzewa i krzewy: sosny, brzozy, jałowce, olchy i dęby, jak również charakterystyczne gatunki rosnące na murawach napiaskowych – kocanki piaskowe, szczotlichy siwe, goździki piaskowe i chabry nadreńskie, oraz najróżniejsze zwierzęta: żubry, dziki, jelenie, bobry i wilki, także nietoperze, kuny, pliszki, żurawie i bociany, a nawet czarne pszczoły kampinoskie.

Podczas tej interesującej podróży trafimy do miejsc noszących osobliwe nazwy, takich jak uroczysko Kalisko – od „kału" zalegającego tamtejsze błotniste tereny, folwark Gacie – od okładziny, którą ocieplano ściany drewnianych chat czy wieś Mosionka – prawdopodobnie tak nazwana, bowiem las przylegający tutaj do osady, kupił kiedyś obywatel wyznania mojżeszowego. W swoich gawędach Lechosław Herz opowiada o nietuzinkowych osobach, spośród których można wyróżnić m.in. doktora Janusza Bobińskiego kierującego przez wiele lat stacją naukowo-badawczą w Laskach, leśniczego Jerzego Rubina znającego wiele dykteryjek o puszczy, gospodynię Pudłowską ze schroniska PTTK we wsi Kampinos, która lubiła, gdy nazywało się ją „mamą", a także starszą już kobietę, skłonną uwierzyć, że turystom płacą za to, że tak „wędrują i wędrują". Więc wędrujemy i my, pośród łąk, uroczysk, wydmowych gór, bagien i torfowisk. I tak zwiedzamy całą puszczę, wszerz i wzdłuż. Od Famułek Łazowskich po

Trzęsawiska Łuże, od Folwarku Batorówka po uroczysko Tomczyn, wszędzie tutaj dookoła jest „las i las". A po tym lesie oprowadza nas członek rady naukowej Kampinoskiego Parku Narodowego, autor przewodników i map wytyczający szlaki turystyczne po Kampinosie, toponomastyk zajmujący się nazewnictwem Puszczy Kampinoskiej, Lechosław Herz. Choć kiedyś bywał w odległym Singapurze, a teraz obmyśla plan wyjazdu na Półwysep Apeniński, to wystarczy tylko, że trochę dłużej jest poza Puszczą, a już za nią tęskni. Wtedy uzmysławia sobie, że od stacji metra Warszawa-Młociny ma autobus miejski, którym w pół godziny dojedzie do Truskawia. To stamtąd rozpoczyna swoją kolejną wędrówkę po kampinoskich lasach.

Lechosław Herz
Puszcza. Opowieści kampinoskie
288 s. ; 23,5 cm.
Warszawa: Wydawnictwo „Iskry"
Polska, 2022

Zbigniew Brzeziński

O zabójczej i ożywczej sile rozmowy

Filozof Heidegger stwierdził, że „człowiek jest rozmową". W wywiadzie, którego ceniona suicydolog Halszka Witkowska udzieliła Szymonowi Falacińskiemu, mówi się przede wszystkim o tych, z którymi żadna rozmowa już nie jest możliwa, ponieważ odebrali sobie życie.

Człowiek współczesny, który zanegował fakt istnienia śmierci w związku z własnym pędem i uznawaniem wyznawanych poglądów za nader nowoczesne, do kwestii samobójstwa podchodzi jak do tabu. Podobny problem pokazano w kampanii profilaktyki raka sprzed lat, w której jedna z bohaterek mówiła: „lepiej nie wiedzieć". Tymczasem pandemia uwidoczniła, do jakiego stopnia nie jesteśmy przygotowani, by nieść sobie nawzajem wsparcie psychologiczne. Ile w nas nawarstwionych przekonań, obiegowych opinii, a czasem i zwykłych zabobonów? Miotamy się, bez wiedzy merytorycznej, między uogólnieniami i wyolbrzymieniami. Jeden z rozdziałów książki nosi wprost tytuł: fałszywe przekonania. W kontekście absurdów można zaś przypomnieć np. sprawę Błękitnego Wieloryba, przed którym ostrzegano w oficjalnych pismach rodziców i dzieci, a który nigdy nie surfował po Internecie (mowa o wydumanej grze, która miała doprowadzać do samobójstw graczy, co przypomina z perspektywy kiepski horror).

Halszka Witkowska jeszcze na studiach zaczęła analizować listy samobójców. Łącznie przeczytała ich ponad siedemset. Można powiedzieć, że tylko tyle, ponieważ wbrew obiegowym opiniom, do których w czasie rozmowy autorzy wracają wielokrotnie, należą one do rzadkości. Jeśli coś je łączy, to słowa: „przepraszam" i „wybacz mi". Oddajmy głos Witkowskiej: *Z tych ostatnich monologów, z tych świadectw cierpienia wybrzmiewają ból, samotność i poczucie winy. To głos ludzi niewysłuchanych, którzy stracili nadzieję na to, że w ich życiu może nastąpić*

jakikolwiek zwrot, że może w tej ciemnej głębi samotności pojawić się promień światła. Uważność, wrażliwość na drugiego człowieka, rozmowa, a nawet samo wysłuchanie, to nie są elementy wystarczające, ale bardzo ważne, wręcz nieodzowne, by pomóc wytrzymać kryzys, by być nie tylko przy sobie, ale ze sobą.

Zgodnie z podanymi statystykami samobójczą śmiercią ginie co roku na świecie więcej osób niż we wszystkich wojnach razem wziętych. W Polsce to więcej tragicznych zgonów niż ofiar wypadków drogowych, a uważa się, że krajowe statystyki są zaniżone. *Badania pokazują, że zachowania samobójcze pojawiają się wśród wszystkich grup społecznych oraz zawodowych: dotykają młodych i starych, bogatych i biednych, wykształconych i niewykształconych.* Internet, jak we wszystkim, i w tym wypadku ma swoje dwa oblicza. Znajdziemy w nim rzeczy dobre, jak stronę dla osób w kryzysie samobójczym, lub po stracie bliskich: „Życie warte jest rozmowy" (zjwr.pl), której pomysłodawczynią była Witkowska, jak i przestrzenie pseudowiedzy. Dzieci i młodzież bez wątpienia mają pod tym względem trudniej od pokoleń, które wychowały się bez Internetu: *Kiedyś, jeśli dostało się łomot na boisku, to można było uciec do domu i czuć się bezpiecznie. A teraz? Kiedy zamknę się w domu, to dopiero się zacznie. Otworzę komputer albo telefon i jestem w samym środku piekła, jakie mogą mi zgotować znajomi, a także nieznajomi.* W mediach prowadzona jest ostatnio intensywna kampania społeczna, że przed hejtem nie da się uciec za firankę.

W tym kontekście można zauważyć, że nie ma szkół, które by nas szykowały do bycia rodzicem, kumplem, przyjacielem, babcią. Szybciej zostaniemy nauczeni, że poparzoną rękę należy umieścić pod strumieniem zimnej wody, a ranę zdezynfekować i opatrzyć, niż tego, jak zauważyć kryzys u kolegi lub dziecka, i jak wówczas postępować. Szczera rozmowa bez oceniania, bez wywierania presji potrafi czynić cuda. Halszka Witkowska zwraca uwagę, że przemoc domowa nie oznacza li tylko tej fizycznej lub wyzwisk. Na pytanie o to, jaka jest jej najczęstsza codzienna forma, podaje przykład: *Znowu dostałeś jedynkę? Nic z ciebie nie będzie, lub szantaż emocjonalny: Jeśli czegoś nie zrobisz, to znaczy, że mnie nie kochasz. [...] Znam kobietę, która usłyszała jako dziecko, że jeśli nie odniesie prania do magla, to będzie oznaczało, że nie kocha matki. Dwadzieścia lat od tamtego wydarzenia zwierzyła mi się, że boi się, że nie zasługuje na miłość.*

Książka z osiemnastu rozdziałów. Dzięki ich recepcji poznamy tło historyczne, religijne, kulturowe i społeczne oraz zmiany zachodzące na przestrzeni wieków, aktualne statystyki, analizę treści listów samobójców, wpływ social mediów (w tym influencerów), ale również rzetelne podpowiedzi, na co zwracać uwagę, jak rozmawiać, a jak nie, gdzie szukać pomocy.

„Życie mimo wszystko" to jedna z najważniejszych książek, które wydano w Polsce w 2022 roku. Uwrażliwia, skłania do refleksji, ale też dostarcza solidnej wiedzy i wskazówek gdzie jej szukać, i gdzie szukać profesjonalnego wsparcia, gdy kryzys dotyczy nas lub naszych bliskich.

Życie mimo wszystko. Rozmowy o samobójstwie. Z Halszką Witkowską rozmawia Szymon Falaciński
304 s. ; 21 cm.
Warszawa: Prószyński i S-ka
Polska, 2022

Agnieszka Majcher

Język ciała

Cierpkość, jako potwierdzenie realności poznania poprzez zmysły, jest lejtmotywem tego tomiku. I jest przeciwwagą dla wielości interpretacji, na jakie narażona jest wypowiedź utkana z języka po zetknięciu się z fuzją horyzontów „tu i teraz" czytelnika.

Motto publikacji to: „Język nie potwierdza znaczeń, które już są". W zamknięciu tomiku możemy przeczytać więcej na ten temat. Zgodnie z postmodernistycznym rozumieniem, język kreuje sieć powiązanych systemów odczytań, czy raczej – jak ujął to Rorty – użyć *langue* w aktach *parole*, jak i sam język jest kreowany z mieszanki doświadczeń, tworów kultury i nakładania się na siebie analogii i nowości. Poezja, jako kwintesencja kreatywnego użycia języka, pozwala na skondensowanie i wzmocnienie tych charakterystyk. Dlatego ten tomik można by odczytać jako traktat młodego pokolenia twórców na temat istoty nieoznaczoności języka.

Spróbuję jednak z tego kalejdoskopu zmienności wyłowić konstans, którym wydaje się być relacja podmiotu lirycznego – poetki, ze światem zewnętrznym. Wobec faktu braku stałości znaczeń języka, wydaje się ona zakotwiczać swoje „ja" w rzeczywistości poprzez zmysłowe odbieranie otaczającego świata. Pozwala na taki wniosek spostrzeżenie, że w każdym utworze pojawia się część ciała: włosy, knykcie, dłonie, brzuchy, zęby stopy, usta... One doświadczają powtarzających się tworów natury (deszcz, śliwki, czereśnie, jabłka, liście) oraz antropologicznie pojętej kultury czy cywilizacji (części garderoby, meble, papier, lustro, biżuteria). I ta relacja wydaje się być tym punktem zero na osiach, wobec którego możemy ustalać nasze bardziej skomplikowane, bo werbalne, siatki powiązań tego co w umyśle i poza nim. Z tego miejsca podróżujemy do świata wspomnień i poruszamy się po teraźniejszości podmiotu lirycznego. Ta podróż jest wciągająca – tomik dobrze się czyta, każdy wiersz to jak video 5D (tak chyba reklamuje się te filmy w IMAXie), angażująca wszystkie zmysły wypowiedź artystki, kobiety, wypowiedź, z którą można zostać na dłużej.

Ogólnie rzecz biorąc, z tomiku wyłania się obraz kobiety rozczarowanej pełnym szumu informacyjnego, werbalnym ujęciem świata, która zdecydowała się wrócić do źródeł i znalazła spójność egzystencji w bardzo pierwotnym powiązaniu swojego ciała z typowo – tradycyjnie kobiecymi obszarami: uprawą, szyciem, tkaniem, strojeniem się. I ta sensualna, ciepła i pachnąca rzeczywistość bardzo jej odpowiada. Nie wiem, być może ja teraz poprzez język używam tekstów tej publikacji do własnych celów. Bo mnie taka właśnie rzeczywistość, przypominająca o niezbywalnej wartości, a nawet wyższości, percepcji kobiety, bardzo odpowiada.

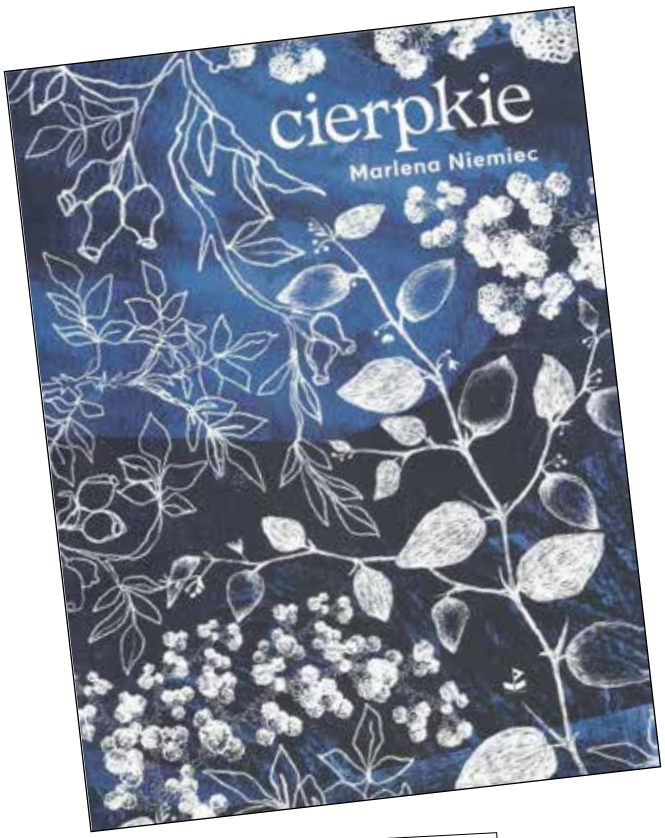

Marlena Niemiec
Cierpkie
40 s. ; 21 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

Szymon Brzeziński
Zbigniew Brzeziński

Pierwsze sto siedem dni z pierwszego roku wojny

Bohater „Powrotu żołnierza" Ernesta Hemingwaya weteran I wojny światowej z ogromnym zainteresowaniem czyta o bitwach, w których brał udział i nie może się doczekać obszerniejszych opracowań z mapami. Podczas spotkania ze studentami dziennikarstwa Uniwersytetu Jana Kochanowskiego Marcin Kowalczyk, korespondent w czasie konfliktu w Jugosławii, i współautor książki: „Podróż przez Jugosławię czasu wojny", wskazał na „Depesze" Michaela Herra zawierające reporterski zapis wojny w Wietnamie, jako na wzór dla tego typu literatury. Dziś mapy ilustrujące przebieg działań zbrojnych zamieszczane są w Internecie co dzień, podobnie jak i relacje, które trafiają do globalnej sieci w postaci tekstów, zdjęć i krótkich materiałów wideo. Cóż zatem wyróżnia recenzowaną książkę i co sprawiło, że w ogóle był sens ją wydać na „papierowym nośniku danych"?

Bohdan Zadura, który zebrał i przetłumaczył felietony i eseje ukraińskich autorów, w posłowiu napisał, że to jego najbardziej osobista książka. Gdy minął szok, że Putin jednak się odważył, mimo że nie udało się zachować sił inwazyjnych w tajemnicy i cały świat o nich wiedział, tłumacz odwiedził portal Zbrucz. Odnalazł tam teksty autorów dobrze mu znanych i, co ważne również osobiście. Wówczas zrodziła się myśl, która stała się tytułem publikacji: „Piszą, więc żyją". Mamy tu nie doniesienia z frontu, ale przede wszystkim eseje i felietony uznanych ukraińskich pisarzy i poetów, zwierające intelektualną refleksję nad tym, czego doświadcza ich ojczyzna. Pojawiają się też wątki, o bardziej reporterskim charakterze, jak scena rozmowy z ochotnikiem na dworcu kolejowym, który mówi, że nie ma żadnej fabryki z wolnością i tę trzeba zrobić sobie samemu.

W posłowiu tłumacz wspomina też czasy zacieśniania współpracy z ukraińskim środowiskiem pisarskim. To przede wszystkim pierwszy majdan; pomarańczowa rewolucja. W czasie euro-majdanu te relacje nie były aż tak silne, ale przywołuje w tym kontekście własny wiersz, choć go nie zamieszcza: „Hotel Ukraina". Utwór był reakcją na pytanie, które padło w internetowej gazecie przed dekadą: „czy przyjąłbyś Ukraińca pod swój dach?". Wymienia w nim znajomych, przyjaciół, których po prostu nie wypadałoby nie przygarnąć.

W zbiorze „Piszą, więc żyją" znajdziemy 53 kilkustronicowe utwory, ale tu ważna uwaga edytorska: cała praca szczelnie została wypełniona drobnym, a momentami nawet bardzo drobnym drukiem. Autorami tekstów są: Jurij Andruchowycz, Sofija Andruchowycz, Kateryna Babkina, Ołeksandr Bojczenko, Andrij Bondar, Ołeksandr Irwaneć, Andrij Lubka, Wasyl Machno, Roman Małynowski, Taras Prochaśko, Mykoło Riabczuk, Ostap Sływynski, Jurij Wynnyczuk.

To, co zaskakuje w tych utworach to odnoszenie się przez autorów nie tyle do aktualnych działań zbrojnych, ile do podłoża tego konfliktu, do sytuacji geopolitycznej, przeobrażeń ideologicznych. W otwierającym zbiór eseju „Trup w zbroi" Andrij Bodnar zwraca uwagę, że krwawa dyktatura Pol Pota i współczesna lewica szwedzka *mają tego samego brodatego przodka.* Nawiązuje tym samym do tego, że ta sama myśl w różnych regionach i środowiskach rozwija się rozmaicie, nawiązując tym samym do teorii ewolucji. Jeśli nas to dziwi, wziąwszy pod uwagę wojenny czas powstania wypowiedzi, to może warto przypomnieć, że Władysław Tatarkiewicz w okupowanej Polsce pisał esej „O szczęściu", który z narażeniem życia wyniósł po Powstaniu Warszawskim z płonącej stolicy. Jurij Andruchowycz w zamykającym zbiór tekście „Sto siedem w dwunastu" z irytacją mówi o rosyjskiej propagandzie, która straszy, że Polska chce zagarnąć zachodnią Ukrainę, i stwierdza, że znak „z" wypisywany na wozach bojowych armii Putina *coraz wyraźniej obnaża swoją istotę jako „zombie".* Felieton rozpoczyna jednak długi passus o podkreślaniu znaczenia studni: *sto dni nowego rządu, sto dni nieudanych reform, sto dni dyktatury, sto dni pandemii, protestów, deszczów i powodzi itd. Przypomina się także „sto dni do cywila", ale tam chodziło o wsteczne odliczanie [...].* W „Moja

niewygłoszonej mowie" Ołeksandr Irwanieć zwraca uwagę na konieczność używania języka ukraińskiego przez wszystkich tych, którzy posługiwali się dotychczas rosyjskim. Język agresora stał się językiem wstydu, a wcześniej był jednym pretekstów do militarnej agresji. W tym miejscu należy zauważyć, że to znajdziemy szereg opinii na temat tego, dlaczego Rosja jest takim krajem, a nie innym

Dzięki wydaniu zamieszczonych przede wszystkim w Internecie utworów w postaci zbioru konserwuje te myśli, jak w kropli bursztynu. Będą stanowiły świadectwo intelektualnych analiz. Ważny głos na przyszłość nie tylko dla Ukraińców.

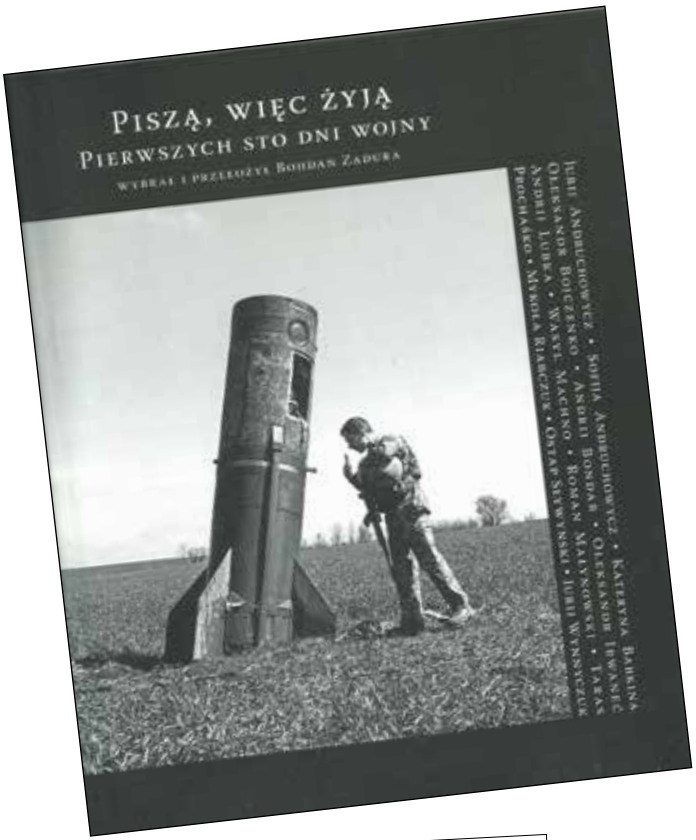

Piszą, więc żyją. Pierwszych sto dni wojny
Wybór i tłumaczenie : Bohdan Zadura
194 s. ; 21 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

Piotr Kletowski

METAfizyka Johna Steinbecka

Na pisarzu ciąży obowiązek demaskowania naszych licznych wad i przywar, wyciągania na światło naszych mrocznych i niebezpiecznych marzeń, żeby dało się coś poprawić. Lecz zadanie pisarza nie sprowadza się wyłącznie do ponurych aspektów. Zawiera się w nim również obowiązek ukazywania tego, że człowiek, co dowiedziono, jest zdolny osiągnąć wielkość. **To słowa Johna Steinbecka wygłoszone w czasie noblowskiej uroczystości, kiedy amerykański pisarz przyjmował zaszczytne trofeum.**

Trofeum, co do którego, autor „Gron gniewu" miał wielce ambiwalentny stosunek. Jak podkreślał w wywiadach nie wierzył, że może kiedykolwiek dostać literackiego Nobla, wskazując na swych utalentowanych kolegów po piórze – Hemingwaya (który zresztą Nobla otrzymał), czy Faulknera (ten zresztą też). Ale, co dowodzi ciekawa biografia Steinbecka autorstwa Williama Soudera, nie był to przejaw hipokryzji pisarza, lecz bardziej jego stosunku do swojej pisarskiej roboty, która przede wszystkim miała, jak głosi wyświechtany frazes: wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu.

A świat, w którym żył Steinbeck był światem w którym rodził się „nowy wspaniały świat" XX wieku, zrodzony w bólach I wojny światowej, Wielkiego Kryzysu, II wojny światowej i Wojny Zimnej, dzielące świat na zantagonizowane obozy (zresztą obóz sowiecki Faulkner nawet zwizytował, wraz z mistrzem fotografii Capą, czyniąc wiele bardzo ciekawych spostrzeżeń, choćby takie, że w sowieckim obozie nikt nic nie robi z własnej inicjatywy). A więc Steinbeck jawi się na kartach książki Soudera jako ktoś na kształt amerykańskiego „jurodiwego", proroka, zawsze z punktu widzenia zwykłego, prostego człowieka patrzącego na rzeczywistość. Nie ma w nim arystokratycznego, „boskiego" gestu, orlej perspektyw ujmującej ludzkie rojowisko z wysoka, jak ma to miejsce u Faulknera. Ani też pogoni za intensywnością

przeżywania życia, jak w maczystowskich utworach Hemingwaya.

Jest za to „sierożnyj byt", egzystencjalny mozół, trud, któremu jednakowoż Steinbeck nadaje cechy wręcz metafizyczne. Albo lepiej powiedzieć „METAfizyczne". Bo u Faulkera karmiącą Matką Boską jest bezrobotna żona farmera, która nabrzmiałą od mleka piersią, zaraz po urodzeniu dziecka, karmi umierającego z głodu starca, gdzieś na spalonych słońcem kalifornijskich pustkowiach, w zakończeniu „Gron gniewu". Tym samym twórca „Myszy i ludzi" staje się pisarzem, który robi to samo, co imaginiści w poezji – Pound, Elliott – reinterpretuje mit, przede wszystkim mit judeo-chrześcijański, ujmując przez jego pryzmat doświadczenie współczesnego człowieka. Droga bezrobotnych farmerów w „Gronach gniewu" jest odpowiednikiem drogi Żydów do Ziemi Obiecanej, ale w której nie ma obietnicy Raju na Ziemi, lecz przede wszystkim dobro (i zło), które jeden człowiek czyni drugiemu. Podobnie w „Na wschód od Edenu", gdzie Steinbeck przetworzył chrześcijański mit założycielski, przepisując biblijną historię Abla i Kaina na realia Ameryki rodzącego się XX-wiecznego obszarniczego turbokapitalizmu.

Natura ludzka się nie zmienia – wydaje się mówić pisarz – zmienia się tylko świat, który w zależności od sytuacji przycisza pewne cechy człowieka, lub na odwrót, wzmacnia je. Ważne jest, by próbować, mimo wszystko, iść własną drogą, być wiernym sobie, nawet jeśli cena takiej postawy jest wysoka. Tak też żył sam Steinbeck, który nie bał się życia, z niejednego pieca jadł chleb, imał się wszystkich możliwych zajęć, był korespondentem wojennym, od sympatyka komunizmu, wierzącego w możliwość kolektywnego zbawienia człowieka, przeszedł do stanowisk zupełnie odmiennych, broniąc, za wszelką cenę ludzkiej indywidualności, która była dla niego probierzem człowieczeństwa.

Ciekawe jest w książce Soudera, że autor przy wszystkich tajemnicach biograficznych swego bohatera, próbuje (moim zdaniem udanie), odtworzyć jego filozoficzny, egzystencjalny „system", którym było właśnie człowieczeństwo samo w sobie. Pochwała ludzkiej wolności i godności, niekoniecznie wyrażającej się w wielkich czynach, lecz przede wszystkim w godnym, ludzkim trwaniu. Trochę jak w „Micie Syzyfa" Camusa (który, o ile mnie pamięć nie myli, powoływał się wielokrotnie na Steinbecka). Opisywanym w utworach, dodajmy, stanowiących również podstawę znakomitych, klasycznych filmów. Jak choćby arcydzieła Johna Forda, na podstawie „Gron gniewu", z 1940 r. Filmie, w którym nie ma drastyczności powieściowego pierwowzoru, ale jest ten sam gniew i ta sama METAfizyka ludzkiej egzystencji. Co warte podkreślenia w książce opisane są dość ciekawie związki Steinbecka z kinem – w przeciwieństwie do swych kolegów Steinbeck chętnie współpracował z Hollywood, był nawet doradcą scenarzystów przy adaptacjach swych utworów, ale i oryginalnych scenariuszy – jak filmu o Zapacie w reżyserii Eli Kazana, późniejszego twórcy filmowej wersji „Na wschód od Edenu". To ważne, bo patrząc na najlepsze dokonania amerykańskiego kina, zwłaszcza kina egzystencjalnego, nie można opędzić się od wrażenia, że jego literackim ojcem duchowym, był właśnie John Steinbeck.

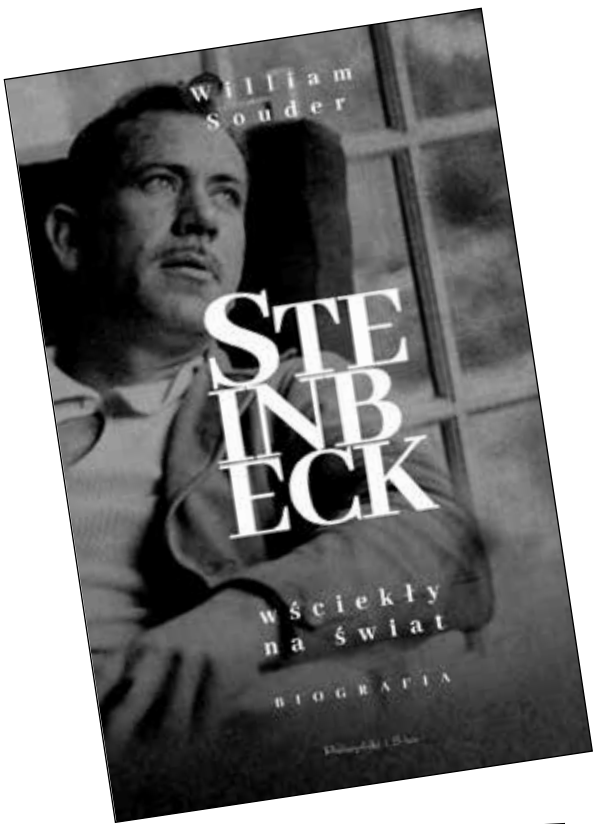

Wiliam Sounder
Steinbeck. Wściekły na świat
Tłumaczenie: Hanna Jankowska
584 s. ; 20 cm.
Warszawa: Prószyński i S-ka
Polska, 2022

Paweł Chmielewski

Wędrówki do jaskini potworów lub piekielne kręgi Ameryki

Spośród „wielkiej piątki" amerykańskich prozaików dwudziestego stulecia (i aż czterech uhonorowanych Noblem): Williama Faulknera, Ernesta Hemingwaya, Jona Dos Passosa, Francisa S. Fitzgeralda, Johna Steinbecka, to właśnie ostatni pozostaje pisarzem najbardziej aktualnym, społecznym prorokiem, gniewnym (jak w tytule najsłynniejszej powieści) lub nawet po szekspirowsku „wrzaskliwym" reportażystą, nauczycielem całego pokolenia znakomitych amerykańskich twórców literatury non-fiction. Bez niego nie byłoby nie tylko „Detroit" Charliego LeDoufa, „Nomadland" Jessici Bruder, ale nawet „Trzech billboardów za Ebbing, Missouri" Martina McDonagha.

Steinbeck przeżywający ostatnio polski renesans – nie chciałbym napisać ironicznie „polski sen" – pozornie wydawał się (edytorsko) księgą zamkniętą. Wydana przez oficynę Prószyński (na podsumowanie cyklu dzieł autora „Na wschód od Edenu") biografia pióra Williama Soudera stanowić miała piękne dopełnienie i adekwatny finał tego „polskiego snu". Zresztą znakomita opowieść Soudera o pisarzu z Salinas, odróżnia się od - wydanej kilka lat temu w Polsce równie świetnej książki Geerta Maka „Śladami Steinbecka", która przybrała formę literackiego przewodnika - nie tylko podejściem autora (w niektórych momentach niemal współuczestniczącym w dekonstrukcji „amerykańskiego snu"), ale pisarską pasją w opisie życia i geniuszu prozaika. Steinbeck na kartach biograficznej relacji (jak się okazuje również stricte autobiograficznej) to przede wszystkim żarliwy wojownik, lecz również często niezrozumiany literacki innowator.

Choć publicystyczny spór z Mary McCarthy, która ignorując narracyjną płynność „Tortilli Flat" oraz umiejętność prozaika do portretowania reakcji i emocji tłumu, uznała, że Steinbeck jest pisarzem „drętwym", to dla społeczno-socjologicznego opisu Ameryki, jej reporterskiego krajobrazu stał się najważniejszym twórcą swego czasu. O ile przełomowej roli – na gruncie formalnym i artystycznym – „Z zimną krwią", reporterskiej wiwisekcji zbrodni dokonanej przez Trumana Capote nikt nie kwestionuje, to mam przeczucie, iż bez światów społecznych nizin, poniżonych i wykluczonych w prozie Steinbecka, nie byłoby całej rewolucji literackiej w Stanach Zjednoczonych lat 50. i 60. Ten reporterski, obserwacyjny i niezwykle drażniący dla samej Ameryki ton, wybrzmiewa w domykającej serię (jak na razie) książce „Podróże z Charleyem: w poszukiwaniu Ameryki".

Ten zapis autobiograficznej wędrówki przyszłego noblisty (na dwa lata przed otrzymaniem lauru Królewskiej Akademii ze Sztokholmu) to rekapitulacja pewnych tematów, ludzkich postaw, drążenie w poszukiwaniu jaskini potwora w tym „najpiękniejszym i demokratycznym raju na ziemi". Steinbeck, nieomal trzydzieści lat po swej podróży do sowieckiego piekła (którego efektem był nie do końca prawdziwy, ale na swój sposób ciekawy reporterski zapis), wyrusza – z nieodłącznym psem Charleyem – w głąb prowincjonalnej Ameryki. Interesują go – jak zwykle od pierwszych prób literackich – nie obrazy piękne, nie ludzie zadowoleni, nie wyspy szczęśliwe bogactwa i sprawiedliwości, lecz otchłań biedy, samotności nade wszystko, lecz z owego niedostatku pieniądza i uczuć wynikającej prostej gościnności, złaknienia kontaktu.

Te wszystkie grzechy Ameryki, które tak fantastycznie diagnozował w „Gronach gniewu", „Na wschód od Edenu" i dzięki którym jest zdecydowanie najbardziej współczesnym i aktualnym prozaikiem „wielkiej piątki", którego twórczość rezonuje chociażby w nowej fali afroamerykańskiej literatury, z dziełami tej miary, co „Sprzedawczyk" Paula Beatty, czy „Kolej podziemna" Colsona Whiteheada. Spotkanie – przypadkowe – ze studentem (tym nerwowym i inteligentnym posiadaczem trzech wiecznych piór), już wykształconym potomkiem byłych niewolników i ta rozmowa długa, lecz nienachalna o prawach, ale i o wstydzie oraz pragnieniu (dojmującym do szpiku kości) szybkiej zmiany, to spotkanie tak celnie zrelacjonowane przez Steinbecka, to przecież preludium do literacko-filmowo-serialowych dyskusji

o amerykańskim rasizmie, prawach obywatelskich, toczonych w dwudziestym pierwszym stuleciu.

„Podróże z Charleyem" to zarazem – jakkolwiek paradoksalnie to nie wybrzmi – opowieść o dorastaniu, Bildungsroman pisarza nieomal spełnionego. Ten paradoks wynika ze słów samego Steinbecka, że oto po ćwierć wieku, pisząc o swej Ameryce, zna ja zaledwie z książek i gazet, zatracił – jak sam przyznaje – ten zew artystyczny, wyrusza zatem, by rozpoznać nierozpoznany (i jak sądzi gdzieś zagubiony) nerw rzeczywistości, jak oceniali dokumentaliści (z początków lat 70.) kontakt „ze zwykłym życiem". Ponowne rozpoznanie ma więc nie tylko walor poznawczy, ale i oczyszczający, pozwala pisarzowi zmierzyć się nie tylko z amerykańskim mitem, ale i zrekapitulować własną twórczość. W spotkaniach z przypadkowymi ludźmi (młodym żołnierzem na promie marzącym o służbie na okręcie podwodnym i podbiegunowym rejsie), czy właścicielu prowincjonalnego sklepu, powraca jeden leitmotiv – tęsknota.

Ci steinbeckowscy ludzie, to staro-młode figury, poniekąd szczęśliwe, spokojne, lecz zniechęcone codzienną egzystencją. To pierwszy i nie wiem, czy nie najważniejszy z potworów jakie spotyka na swej drodze podróżując Rosynantem (symboliczna nazwa starego samochodu) jest beznadzieja, a zaraz obok niej – nuda. Tym trzecim jest fizyczna praca, ponad miarę, ciężka, trwoniąca aż do cna ludzkie siły. Ten rodzaj współczesnego niewolnictwa, obserwowany z okien kampera w trakcie podróży przez Maine. Gdy pamiętacie wędrowne ekipy zbieraczy jabłek z „Regulaminu tłoczni win" Johna Irvinga, to te obrazy robotników z kanadyjskiego Quebecu, podróżujących całymi rodzinami, między plantacją kukurydzy a polami ziemniaków są właśnie z reportażu Steinbecka i niezbyt się różnią od wędrujących za pracą wysiedlonych farmerów w „Gronach gniewu".

U schyłku wędrówki Johna Steinbecka pojawia się potwór czwarty – wyobcowanie, podszyte rasizmem to dojmujące oddzielenie, skazani na samotność w Nowym Orleanie i w Teksasie. 1960 r. to czas, gdy język był szorstki i pełen (niby żartobliwych) uprzedzeń, gdy pierwsze dzieci o innym, niż biały kolorze skóry, z nakazu sądów przyjmowano do szkoły. Tu bohaterem a'rebours jest uprzedzenie, nienawiść, ten robak toczący wiele amerykańskich stanów, tak celnie diagnozowany w każdej z powieści pisarza. Posłuchajmy przez chwilę tego języka, tych słów jakby z innej epoki, lecz tak nam współczesnej. Pod każdą z geograficznych szerokości: *Jasne, niech im Bóg da zdrowie. Ktoś musi nie dopuszczać tych cholernych czarnuchów do naszych szkół. (...) Pan mi wygląda na miośnika czarnuchów. Powinienem był wiedzieć. Rozrabiacze... Przyjeżdżają tutaj i uczą nas, jak mamy żyć. No, to wam płazem nie ujdzie. Mamy oko na was, komunistycznych murzyńskich opiekunów.* Brzmi znajomo. Steinbeck jest przerażająco współczesny.

Podróżnik spotyka policjanta, gdy myli kierunki we własnym mieście. Tak oto, odwiedził, spotkał, ale czy pokonał amerykańskie potwory?

John Steinbeck
Podróże z Charleyem: w poszukiwaniu Ameryki
Tłumaczenie: Bronisław Zieliński
326 s. ; 20 cm.
Warszawa: Prószyński i S-ka
Polska, 2023

Boris Sokołow
Prorok i dysydent. Aleksander Sołżenicyn
Tłumaczenie: Marta Gruszkowska
305 s. ; 20 cm.
Warszawa: Prószyński i S-ka
Polska, 2022

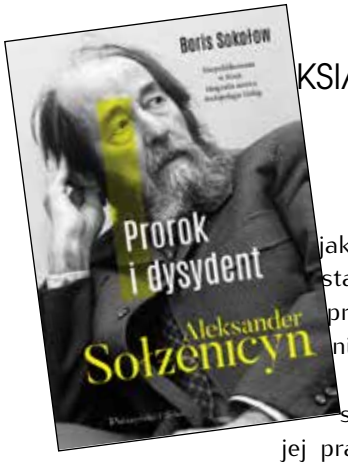

Zbigniew Brzeziński

O sile człowieka rozczarowanego

Wydawnictwo reklamuje recenzowaną książkę komunikatem: *Niepublikowana w Rosji biografia autora „Archipelagu Gułag”.* Niestety nie objaśniono, z jakich przyczyn materiał ów nie doczekał się druku w państwie Putina. Rozczaruje się jednak czytelnik, który będzie szukał powodów, dla których praca Sokołowa okazała się nie do przyjęcia dla wydawców we współczesnej Rosji, spodziewając się jakiejś radykalnej krytyki systemu, Dumy Państwowej i polityki prezydentów.

Zapewne też z zaskoczeniem odbiorca przyjmie informacje, które można odczytać wprost przeciwnie. Na przykład noblista uważał, że Rosja, jako pozostałość po ZSRR, potrzebuje przejściowego okresu rządów autorytarnych, nim wkroczy na drogę pełnej demokracji. W związku z tym Władimir Putin zrobił na nim dobre wrażenie. Trzeba brać pod uwagę, że Sołżenicyn był patriotą, co wielokrotnie podkreślał i dlatego na zachodzie wolał krytykować społeczeństwa i państwa zachodnie niż ZSRR. Apelował jednak do przywódców Związku Sowieckiego w osobistym liście, by porzucili drogę imperializmu i skupili swój wysiłek nie na wspieraniu światowej rewolucji, w którą nikt już nie wierzył, ale w sprawiedliwość i dobrobyt wewnętrzny. Po powrocie z wygnania potępił złodziejską prywatyzację, pseudokapitalizm, w którym i tak władza decydowała o czyimś powodzeniu w biznesie lub jego braku, oraz napaść na Czeczenię. Nie przyjął propozycji młodych działaczy politycznych ubiegania się o stanowisko prezydenta, uznając, że nie taka jest jego rola. Może to i szkoda, bo prezydentura Vaclawa Havla pokazała, że talent literacki w sprawowaniu tej funkcji bynajmniej nie szkodzi, a rozpoznawalne i cenione nazwisko wiele spraw ułatwia. Może przy poglądach Sołżenicyna oglądalibyśmy dziś inną Rosję, opartą o zdrowe siły samorządowe, w które pisarz szczerze wierzył? Tego się jednak nigdy nie dowiemy. A i odpowiedź, czy noblista zrobił dość, by jego kraj nie stał się obrzydliwym potworem, jakim jest obecnie, pozostanie bez odpowiedzi, bo praca Sokołowa tego wątku nie eksploruje.

Autor w następujący sposób określił cel swojej pracy: *Zadaniem tej książki nie jest rekonstrukcja i analiza najróżniejszych opinii o życiu Sołżenicyna, zawierających niekiedy przeciwstawne oceny, lecz przede wszystkim pokazanie znaczenia pisarza zarówno dla literatury rosyjskiej, jak i społeczno-politycznego życia Rosji.* Nie jest to więc klasyczna biografia. Opowieść najczęściej ma układ chronologiczny, choć autor potrafi wprowadzać zaskakujące zwroty i poinformować czytelnika, że o to muszą się wspólnie o parę lat cofnąć w życiorysie bohatera. Poznajemy w ten sposób perypetie rodzinne, zawodowe, literackie i polityczne noblisty. Jego historię i poglądy opowiadają obie żony, synowie, współpracownicy, politycy, inni pisarze, a nawet przedstawiciele tajnych służb. Pojawiają się też fragmenty osobistych notatek, pamiętników i oficjalnych dokumentów KC KPZR oraz Związku Pisarzy Radzieckich.

W tym miejscu warto postawić pytanie, co na tej lekturze zyskuje polski czytelnik? Żeby znaleźć odpowiedź na tę kwestię, trzeba podzielić potencjalnych odbiorców na kilka kategorii. Miłośnik prozy i myśli Sołżenicyna chcący jeszcze lepiej zrozumieć jego dzieła niewiele na pracy Sokołowa skorzysta, ponieważ najprawdopodobniej nie dostanie informacji, których już nie znał. Ktoś, kto przestał śledzić działania pisarza od momentu wydania jego dzieł w Polsce, powinien być zaciekawiony tym, co noblista robił, jak się wypowiadał i oceniał sytuację wewnętrzną w Rosji po powrocie z przymusowej emigracji. W tej kwestii na pewno znajdzie kilka ciekawych informacji o postawie wobec polityki Gorbaczowa i Jelcyna. Niestety o stosunku do rządzenia krajem przez Putina i Miedwiediewa zgoła nic godnego uwagi. Czytelnik, który na maturze próbował zrozumieć, na czym polega groza owego „jednego dnia z życia nikogo” jak to określił Tom Shippey, pozna biografię pisarza i okoliczności powstania i wydania jego dzieł. Wiedziony reklamą z okładki trafi tu też czytelnik zabłąkany, przypadkowy, skuszony. Ten może mieć najtrudniej, zwłaszcza jeśli nie przekroczył jeszcze czterdziestki, bo wówczas okresu dominacji ZSRR nad tą częścią świata zwyczajnie nie pamięta,

a terminy: samizdat, szaraszka i czekista (nie znając oryginału, mam wątpliwość, czy ten ostatni termin użyto w tłumaczeniu poprawnie, ponieważ CzK przestało istnieć w 1922 r., gdy Sołżenicyn był dzieckiem) są mu najprawdopodobniej nieznane. Przydałby się zatem wstępny rys historyczny, który objaśniałby różnice między ustaleniami poszczególnych zjazdów KPZR za Chruszczowa, do których odnosi się Sokołow i odmienności między łagrami w opisach Sołżenicyna i Warłama Szałamowa (o co zresztą pisarze się spierali), bo o kulcie jednostki każdy uczeń coś tam słyszał. Ot, takie słowo do polskiego czytelnika i krótki słowniczek zapomnianych terminów.

I tak dochodzimy do sedna. Żeby czerpać z pracy Sokołowa, trzeba po prostu znać Rosję, bo rozumieć to ją raczej trudno. Nie tylko historię Rosji od rewolucji lutowej po rządy Putina, ale też twórczość literacką i poetycką: Sołżenicyna, Szałamowa, Suworowa, Okudżawy, Galicza, Mandelsztama, Wysockiego...

Żona tego ostatniego francuska aktorka Marina Vlady wspominała, że w latach siedemdziesiątych któregoś dnia Wysocki zniknął z domu bez żadnego uprzedzenia. Wrócił po kilku dniach i powiedział, że pił z Chruszczowem na jego daczy. Podsumował to słowami: *ty wiesz, że gdy oni nie są u władzy, to są całkiem przyzwoici ludzie?*. Na początku owej władzy to właśnie Chruszczow osobiście wydał zgodę na druk „Jednego dnia Iwana Denisowicza". Sołżenicyn miał okazję mu za to podziękować. Potem żałował, że na tej fali nie poprosił o audiencję, bo może po tej rozmowie „odwilż trwałaby dłużej". Wydanie kolejnych dzieł Chruszczow zablokował. Wiatr już wówczas w imperium wiał inny, mroźniejszy...

Recenzja ma w tytule słowo: „rozczarowanie", bo też i pisarz przeżywał tych rozczarowań sporo: Stalinem, ZSRR, socjalizmem w ogóle, pierwszą żoną, wydawcami w Europie zwanej wówczas zachodnią i Rosją po upadku ZSRR, ale również zachodem w jego lichej, jak oceniał pisarz, kondycji. Z tych rozczarowań powstała literatura godna nagrody Nobla i warta zapamiętania. Wśród noblistów twórczość Sołżenicyna bez wątpienia wyróżnia się wpływem, jaki wywarła. Dla Polaków jest ona szczególnie ważna, ponieważ potwierdziła, że nasze opinie na temat Rosji Radzieckiej były słuszne, że „Inny świat" Gustawa Herlinga Grudzińskiego to nie jest przejaw rusofobii, tylko zbiór historii z więcej niż jednego dnia w łagrze.

Piotr Kletowski

Ambasador kultury polskiej

***Za czym kolejka ta stoi? Po szarość, po szarość, po szarość. Na co w kolejce tej czekasz? Na starość, na starość, na starość. Co kupisz, gdy dojdziesz wreszcie? Zmęczenie, zmęczenie, zmęczenie. Co przyniesiesz do domu? Zwątpienie, zwątpienie, zwątpienie.* Wyśpiewywała swym jazzującym głosem Krystyna Prońko song, który nawet ja, w swych szczeniących latach zapamiętałem, jako echo czasów stanu wojennego i biernego oporu Polaków, którzy w gigantycznych kolejkach wyczekiwali upadku przegniłej komuny.**

Autor tych słów to człowiek nieprzeciętny, a przecież w swej wielkości nad wyraz skromny – Ernest Bryll, twórca słynnej „Kolędy – nocki", utworu, jak żaden inny oddający nastrój panujący w polskim społeczeństwie doby wojny polsko-jaruzelskiej. Bryll w ujęciu Michalskiego to przede wszystkim poeta, dramaturg, pisarz, ale też ambasador Polski w Irlandii, ekspert i współzałożyciel PISF-u, działacz opozycyjny. Również kierownik literacki zespołów filmowych (w tym tak ważnych jak „Kamera" (gdzie swoje filmy realizowali najwięksi polskiego kina jak Has – „Szyfry", Skolimowski – „Barierę", Wajda – „Wszystko na sprzedaż", czy Jerzy Hoffman – „Pana Wołodyjowskiego"), „Silesii" (która wyprodukowała filmy Kutza – na czele z „Perłą w koronie", czy później słynną „Wilczycę" Piestraka), czy też powstałego po jej upadku zespołu „Oko" (wsławionego produkcją widowiskowego kina gatunkowego – słynna „Thais" Ryszarda Bera).

Właśnie ten wątek filmowy jest – moim zdaniem – jednym z najciekawszych, jaki pojawia się na kartach książki Michalskiego, poświęconej Bryllowi. Bo oto dowiadujemy się, w jaki sposób tworzono ważne dla polskiego kina produkcje, jaka była w nich rola kierownika literackiego (oczywiście fundamentalna – to on pełnił, de facto, funkcję producenta kreatywnego, czyli takiego, który wpływał bezpośrednio na reżysera, by ten zachowywał dla filmu co lepsze

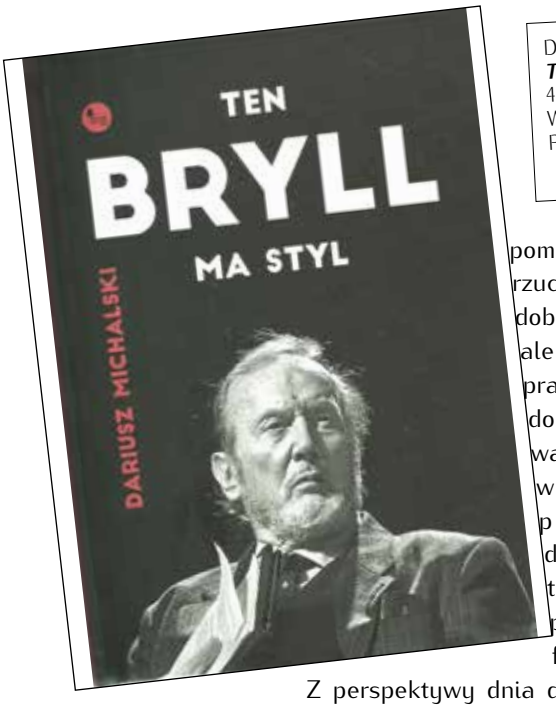

Dariusz Michalski
Ten Bryll ma styl
457 s. ; 24 cm.
Warszawa: Wydawnictwo MG
Polska, 2022

pomysły, a odrzucał nieraz dobre idee, ale tak naprawdę nie do zrealizowania, albo w ogóle nie pasujące do całości tworzonej produkcji filmowej).

Z perspektywy dnia dzisiejszego widać wyraźnie, że właśnie kogoś takiego jak kierownik literacki brakuje, zwłaszcza w polskim kinie, czego efektem są filmy pozbawione sensu i głębi, którą wypracowywała właśnie współpraca między twórcami filmu, a której niejako koordynatorem był kierownik literacki zespołu filmowego. To ciekawe, że swoje wieloletnie doświadczenia w filmowej branży próbował przenieść Bryll do sytuacji wolnorynkowej, kiedy został jednym z „ojców założycieli" PISF-u, gdzie był ekspertem w komisji scenariuszowej i wpływał na ostateczny kształt wielu produkcji filmowych. W tym np. słynnego „Demona" nieodżałowanego Marcina Wrony. W czasie współpracy z Wroną Bryll wykorzystał własne doświadczenia z tekstem dramatu żydowskiego „Dybuk", którego wariacją był film Wrony. Autor „Wieczernika" przetłumaczył bowiem tekst „Dybuka" Szymona An-skiego na potrzeby spektaklu wyreżyserowanego przez Andrzeja Wajdę w Teatrze Starym, w 1988 r. I właśnie doświadczenia z mistycyzmem żydowskim pozwolił Bryllowi na wpłynięcie na ostateczny kształt niezwykle interesującego „Demona".

Piszę o tych filmowych wątkach w życiu Brylla i książce o nim, bo są niezwykle frapujące, ale przecież to tylko jedna ze ścieżek twórczych, które przez całe swe życie wydeptywał w Polsce, Europie, USA, bohater narracji Michalskiego. Narracji o tyle ciekawej, bo rzucającej fakty z życia autora „Kolędy – nocki", na tło powojennej historii Polski, której Bryll nie był li tylko trafnym komentatorem i poetyckim wyrazicielem, ale nierzadko współtwórcą. Bo Bryll w ujęciu Michalskiego jest „dzieckiem epoki", stykającym się z ludźmi, którzy mieli kluczowy wpływ na życie Polski i Polaków w czasach PRL i po 1989. Jego twórczość jest również świadectwem tych spotkań.

Zbigniew Brzeziński

Ex cathedra...

Przychodzi taki moment w życiu człowieka uczonego, akademika, kiedy nie musi, a może. Nie musi sprawdzać, które czasopismo da mu więcej punktów, które wydawnictwo większy prestiż, a która konferencja pozwoli lepiej zabłysnąć w środowisku. Najczęściej okres ten rozpoczyna emerytura. Niejednokrotnie mniej znający ustępującego ze stanowiska profesora odkrywali ze zdumieniem, że ten pisał wiersze, lub oprócz swojej dziedziny poświęcał się studiowaniu np. spuścizny narodowych wieszczów, albo o szlachcie miał do powiedzenia tyle samo, co o żołnierzach wyklętych, z czym się dotychczas nie afiszował. To też okazja do swobodniejszego wyrażania opinii, ukazywania poglądów, wydawania rozproszonych tekstów i czerpania radości z przyczynkarstwa, lub syntetycznych ujęć.

Autor zbioru „Poza katedrą" emerytowany już prof. Instytutu Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego nadmienił, że uczony też jednak i trochę „musi", bo mu brakuje tej możliwości wykładania, publikowania, dzielenia się wiedzą i wpływania tą drogą na rzeczywistość. Z tej mieszaniny przymusu tworzenia z jednej, a wspomnianego braku konieczności z drugiej zrodziła się omawiana praca.

Książka składa się z dwunastu luźno powiązanych ze sobą tekstów poprzedzonych słowem od autora, i wstępem Bronisława Łagowskiego. Zaledwie trzy artykuły są pierwodrukami: „Desakralizacja języka religijnego w Polsce", w którym autor stawia wyżej mszę łacińską od prowadzonej w językach narodowych, co spowodowały reformy Soboru Watykańskiego II, „Odpowiedź na ankietę „jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski" i „Historiografia filozofii polskiej od strony kulis", czyli treść wystąpienia Profesora podczas Pierwszego Kongresu Filozofii Polskiej w Opolu w 2020 roku, a zatem rzecz nienowa.

W tym ostatnim tekście Skoczyński zawarł myśl, poświęconą powinności historiografii filozofii, którą wciąż zajmuje się naukowo: *Interesuje mnie*

to, w jakich warunkach powstawał i jakim przemianom podlegał koncept, idea, może nawet teoretyczna doktryna. Powód jest prosty – historiografia filozofii powinna rzetelnie opisywać świat i nie dawać się użyć do jego zmiany. Jeśli jednak wobec skłonności ludzkiej natury jest to zadanie trudne, taka postawa może opóźnić albo spowolnić instrumentalizację pojęć czy poglądów.

W swoich tekstach Autor boleje nad kondycją filozofii, ale i historii filozofii w Polsce. Zwraca uwagę, że badacz zajmujący się XX stuleciem i czasami współczesnymi rzadziej ma okazję sięgać do filozoficznych traktatów. Częściej zmuszony jest tropić ślady jakiejś myśli filozoficznej w literaturze pięknej. Co jest trudne, ponieważ utożsamianie poglądów bohaterów z poglądami autora może okazać się nadużyciem, o ile nie mamy innych źródeł. W tekście „Diagnoza filozofii" (pierwodruk w 2012 roku) stwierdza, że absolwenci filozofii i liczni humaniści zasilają szeregi bezrobotnych. Artykuł powstawał w czasach kryzysu, może więc warto dodać, że według Bilansu Kapitału Ludzkiego z tamtego okresu najliczniej zatrudnienie w Polsce w ciągu pierwszego roku od zakończenia najwyższego poziomu edukacji zdobywali absolwenci szkół zawodowych (panowie) oraz panie i panowie z tytułami magistra bez względu na kierunek (po 76%). Według danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w 2019 roku wśród bezrobotnych było 318 filozofów, czyli np. cztery razy mniej niż fizjoterapeutów i dziesięciokrotnie mniej niż hydraulików. Sytuacja, wbrew powracającym w gazetach opiniach, nie jest tak zła. Należy jednak rozróżnić dwie kwestie: pracę w ogóle i pracę w zawodzie wyuczonym. Stąd tak istotny na współczesnym rynku pracy jest transfer umiejętności, ale Skoczyński, jak sam deklaruje, nie przepada za pojęciem kompetencji.

Podczas nieistniejącej już audycji „Spotkania z filozofią", która kilkanaście lat temu emitowana była na antenie Polskiego Radia Kielce, dr hab. Ryszard Stefański prof. UJK opowiadał red. Ryszardowi Koziejowi, że w pudełku z butami, które kupili synowi, była ulotka, zatytułowana: „filozofia stopy dziecka". Skoczyński podaje więcej przykładów tego typu, zwracając uwagę na to, co stało się z pojęciem filozofii, nadużywanym w sposób nieograniczony niczym, a zwłaszcza zdrowym rozsądkiem.

Szczególnie ważny jest tekst „Casus Feliksa Konecznego. Przyczynek go antysemityzmu (inscenizacja w trzech odsłonach)". Smutna i skłaniająca do refleksji opowieść o tym, dlaczego w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych można było obronić habilitację poświęconą myśli filozoficznej Konecznego, a w 2004 roku już nie... To przyczynek do obszerniejszego zagadnienia: co wolno w Polsce badać, by nie narazić się na oskarżenia o wspieranie antysemityzmu, a co nie. O tym problemie czasem się w środowisku humanistycznym mówi, ale rzadko pisze, tym miększy szacunek dla Autora, który podniósł tę kwestię.

Kielczan bez wątpienia powinien zainteresować tekst wspomnieniowy o mistrzu Autora prof. Zbigniewie Kuderowiczu (1931-2015), który pochodził z Kielc, tu ukończył I LO im. Stefana Żeromskiego oraz został pochowany.

„Poza katedrą" to nie jest praca spójna. Znajdziemy w niej za to wiele „żywego" prof. Jana Skoczyńskiego. Człowieka, który ma swoje poglądy, sympatie i antypatie. I tylko czasem szkoda, że pojawiają się wśród przemyśleń argumenty typu: *opowiadano mi, że kiedy ktoś stara się o pracę w (...) musi najpierw odwiedzić kapelana tej instytucji, lub nauczanie* (filozofii – przyp. ZB) *wiązało się z członkostwem w PZPR* (rzecz o Z. Kuderowiczu). W tym pierwszym wypadku jakoś uczonemu nie uchodzi powoływać się na „słuchy", a w drugim przykłady Władysława Tatarkiewicza, Romana Ingardena, Tadeusza Kotarbińskiego, Jana Legowicza i innych udowadniają, że nie. Aktywistą partyjnym niewątpliwie był Leszek Kołakowski aż do 1966 r., gdy wyrzucono go z partii za antymarksistowskie poglądy a dwa lata później również z kraju.

Podsumowując, otrzymaliśmy przystępnie napisany zbiór tekstów z lat 2012-2021 r. Z poglądami autora można się nie zgadzać, ale wysłuchać ich warto, bo w nauce niezmiennie najciekawsze jest stawianie pytań.

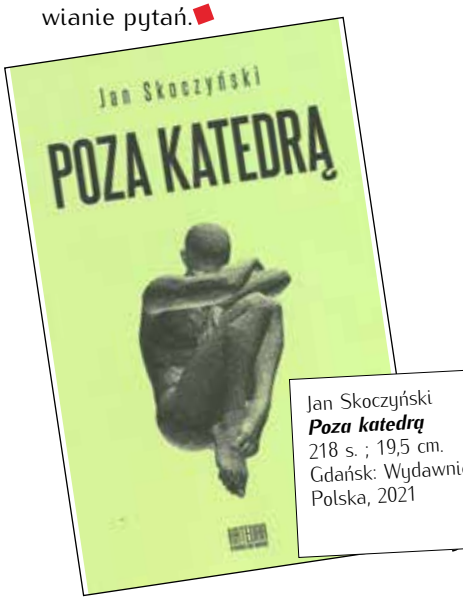

Jan Skoczyński
Poza katedrą
218 s. ; 19,5 cm.
Gdańsk: Wydawnictwo Naukowe Katedra
Polska, 2021

Piotr Kletowski

Z perspektywy nietoperza

Zbiorówka „Naturakultura" (pisane razem, to ważne) jest próbą zmierzenia się z tematem posthumanizmu (czy raczej transhumanizmu – o różnicach zaraz napiszę), na gruncie polskiej myśli kulturoznawczej. Zwłaszcza włączającego do poznawczego (czy w ogóle „świadomego" dyskursu) perspektywę zwierzęcą, a nawet roślinną (zakładającą, że zarówno przedstawiciele fauny i flory mają jakiś rodzaj świadomości, być może – jako procesu logicznego myślenia i jego wyrażania – ograniczonej w stosunku do człowieka, ale w innych aspektach – choćby instynktu samozachowawczego – znacznie przewyższającego istotę ludzką).

W 2000 r. pojawił się w myśli humanistycznej, dzięki wystąpieniu holenderskiego chemika Paula Crutzena, termin „antropocen" na określenie okresu istnienia ziemskiego globu kształtowanego przede wszystkim przez człowieka. Człowieka traktowanego jako rodzaj siły przyrody, na podobieństwo sił natury we wcześniejszych epokach geologicznych mających prymarny wpływ na funkcjonowanie Błękitnej Planety. Rzecz jasna „ludzki żywioł" jest oceniany przez zwolenników teorii Crutzena jak najbardziej negatywnie – to człowiek niszczy ekosystem i jest głównym winowajcą katastrofy ekologicznej. Następstwem tej, dość kontrowersyjnej teorii (wybuch wulkanu na Islandii w 2010 wpuścił do atmosfery więcej CO_2 niż wszystkie kraje UE w tymże roku) jest właśnie pojawienie się perspektywy „posthumanistycznej" i „transhumanistycznej" w naukach humanistycznych, czyli takich, które zakładają równorzędność, a nawet wyższość bytów nie-ludzkich (zwłaszcza zwierzęcych, roślinnych) wobec człowieka, z którymi człowiek musi się niejako „dogadać", by wspólnie pracować nad świetlaną przyszłością globu. Dlatego wśród intelektualistów, i to najwyższej próby, pojawiają się prace, które próbują patrzeć na świat oczyma kota (Jacques Derrida), nietoperza (Thomas Nagel), psa, czy nawet (sic!) kleszcza (Jacob von Uexkull).

Nie przyzwyczajony do akademickich dyskursów czytelnik może wręcz parsknąć śmiechem na tego typu konstatacje, które przeniesione na grunt społecznej „praxis" trącą wręcz o absurd, ale w świecie akademickich dywagacji taka perspektywa posthumanistyczna, czy transhumanistyczna (czyli łącząca perspektywę ludzką np. z perspektywą zwierzęcą – np. w kwestii zwierzęco-ludzkich hybryd) jest czymś jak najbardziej poważnym. O czym traktują właśnie zebrane w niniejszym tomie teksty, stanowiące ciekawy przyczynek teoretyczny do próby spojrzenia na świat nie tyle z perspektywy ludzkiej, co właśnie perspektyw nie-ludzkiej. Co, przynajmniej z punktu widzenia teorii, jest czymś nośnym intelektualnie.

Problem jednak z posthumanizmem wynika z faktu, że człowiek nie może wyrzec się swego ludzkiego spojrzenia i nawet jeśli próbuje spojrzeć na świat oczyma zwierząt, czy roślin, automatycznie narzuca im swą własną, ludzką perspektywę. Trzeba by więc wymyślić, bądź odkryć swoisty „język przyrody", by właśnie za jego pomocą deliberować na temat emancypacji intelektualnej psa, nietoperza, czy miłorzębu japońskiego. Mimo wszystko jednak tom „Naturakultura" jest bardzo ciekawy, jeśli czytamy go zachowując przynajmniej odrobinę zdrowego rozsądku... Wówczas problem podmiotowości zwierząt w kontekście ich praw jako istot czujących (obdarzonych uczuciową inteligencją) albo kwestia relacji sieciowych między ludźmi a bytami naturalnymi, wpływającymi na ich ko-egzystencję, stają się czymś ważnym nie tylko dla odklejonych od rzeczywistości, nad życie kochających swe koty akademików.

Joanna Jeśman, Mateusz Skrzeczkowski
Naturakultura. Próby z kulturoznawstwa krytycznego
234 s. ; 19,5 cm.
Gdańsk: Wydawnictwo Naukowe Katedra Polska, 2022

Piotr Kletowski

Naukowo o walkach w klatce

MMA – to system mieszanych sztuk walki, którego korzenie sięgają jeszcze czasów starożytnych, kiedy w Grecji czasów Platona uskuteczniano zawody w dyscyplinie zwanej „pankrationem", która łączyła w sobie elementy zapasów i boksu.

Dziś zawodnicy MMA to przede wszystkim współcześni wojownicy, wcześniej ćwiczący wschodnie sztuki walki albo ich południowoamerykańskie („vale tudo", czy brazylijskie jiu-jitsu) odmiany. To właśnie jeden z twórców brazylijskiego jiu-jitsu, przedstawiciel słynnego rodu Gracie, wpadł na pomysł, by zorganizować legalne zawody, w których spotkali by się przedstawiciele różnych stylów i szkół walki, by udowodnić, który z nich jest tym najskuteczniejszym. Dziś wiadomo, że tym najskuteczniejszym jest styl zasadniczo oparty właśnie na brazylijskim jiu-jitsu (przydatnym zwłaszcza w walce w parterze), z elementami kick-boxingu (kiedy zaczyna się walkę, w tzw. „stójce"). I właśnie zawodnicy wykorzystujący tę formę rywalizacji wchodzą dziś do klatek, by ku uciesze milionów widzów zwykle zasiadających przed ekranami telewizorów, toczyć niezwykle dynamiczne, ale i często brutalne walki (oglądane przede wszystkim dzięki wykupionym abonamentom pay-per-view).

Świat ten, a zwłaszcza jego bohaterów opisuje w swej naukowej pracy Adrian Dobrzyński – nie tylko socjolog, ale również praktyk sztuk walki, z zawodu oficer wojska polskiego. Dostajemy kompletne studium na temat historii, specyfiki MMA, całej jego medialno-komercyjnej otoczki (autor skupia się przede wszystkim na rodzimym podwórku, opisując środowisko skupione wokół polskiej federacji MMA – KSW, ale odnosi się w swej pracy również do wymiaru światowego tego zjawiska, opisując działalność amerykańskiej organizacji UFC, czy japońskiej PRIDE FC).

Z jednej strony zostają uwypuklone pozytywy MMA (autor ewidentnie broni tezy o uniwersalności i skuteczności MMA, przy całej sympatii i uznania wobec jej medialnego charakteru), ale – jako że jest to rozprawa naukowa, a więc poprawnie obiektywna – dostajemy informacje o wszelkich kontrowersjach i dyskusjach toczonych wokół MMA i popularyzujących je szkół i zawodów (zarzuca się MMA przede wszystkim brutalność, okrucieństwo, brak sportowego ducha, a przede wszystkim odejście od, tak ważnego choćby w tradycyjnych, wschodnich sztukach walki, ducha samodoskonalenia się i szlachetnej rywalizacji). Autor zbija jednak, dość skutecznie, argumenty przeciwko MMA, słusznie dowodząc, że w każdym systemie walki chodzi przede wszystkim o skuteczność w jak najszybszym pokonaniu przeciwnika, a właśnie MMA umożliwia taką operację, jako że bierze z innych sztuk walki to, co jest w nich najskuteczniejsze właśnie. Również zarzut, że MMA nie kształtuje właściwych postaw jest przez Dobrzyńskiego odparty, poprzez wskazanie na ciężką pracę i mnóstwo wyrzeczeń a także, co chyba najważniejsze – odpowiednie cechy charakteru, takie jak odwaga, waleczność, ale też inteligencja – które są oznakami właśnie kształtowania się osobowości wojownika MMA, poddawanemu treningowi. Zaś później wystawionemu na najważniejszą i najcięższą próbę w czasie walki z przeciwnikiem, podczas której liczą się ułamki sekund w czasie których trzeba udowodnić swoją wartość.

Dowartościowanie zarówno MMA, jak i polskich wojowników (z którymi autor przeprowadził wywiady – tworząc podstawę badawczą do swojej pracy) – stanowi sedno książki Dobrzyńskiego, którą polecić można nie tylko fanom Mieszanych Stylów Walki, ale przede wszystkim ich przeciwnikom, którzy w walkach w klatce widzą tylko, jak określił to jeden z krytyków MMA (reprezentujących federację judo): „pornografię sztuk walki". ■

Adrian Dobrzyński
Kariery sportowe polskich zawodników MMA
230 s. ; 19,5 cm.
Gdańsk: Wydawnictwo Naukowe Katedra Polska, 2022

Zbigniew Brzeziński

Feudałowie w kosmosie

Od czasu „Gwiezdnych wojen" pojawienie się rycerzy, a nawet zakonu rycerskiego w kosmosie nikogo z miłośników fantastyki nie dziwi. Jeśli dodać, że w 2011 roku podczas spisu powszechnego ponad piętnaście tysięcy Czechów uznało się za wyznawców Jedi i obecność religii w odległych galaktykach niespecjalnie zaskakuje. Świat opowiedziany przez Piotra Nikolskiego jest jednak inny. Mamy tu przeniesioną w kosmos wczesną epokę nowożytną. Dominującą religią jest chrześcijaństwo, a podbita przez Wielką Rzeszę Ziemia zwana jest Planetą Wcielenia.

Głównego bohatera poznajemy w czasie ostatniego roku studiów w gwiezdnej akademii ulokowanej na bezltlenowcu, czyli planecie pozbawionej atmosfery. Nie jest to uczelnia wielka, skupia około dwóch tysięcy studentów, głównie wywodzących się ze średniej szlachty. Wcześniej był tu klasztor, ale mnisi, uciekając od zgiełku, przenieśli się w głąb planety, utrzymując kontakt z cywilizacją dzięki zdezelowanej drezynie. Nim Fredegar von Stetten przystąpi do egzaminów końcowych, będzie musiał zawiesić edukację, gdyż jako wasal zobowiązany jest wyruszyć na wojnę w interesie swojego suzerena, który konflikt z sąsiadami ewidentnie przegrywa. Wiemy to stąd, że młody rycerz należy do grupy trzeciego wyboru. W odróżnieniu jednak od starożytnej Sparty nie znajdują się w tym zbiorze weterani, a ci, którzy stanowili głęboką rezerwę.

Do królestwa Gilliomaru Fredegar dociera kosmicznym frachtowcem. Może więc budzić sprzeciw czytelnika fakt, że do walki używa się w tym świecie rumaków bojowych, mieczy, zbroi i kuszy. Zrodzi się też pewnie pytanie, jakim cudem Wielka Rzesza zdołała podbić nie tylko Ziemię, ale i pozostałych 266 planet, którymi włada? Trzeba przyznać, że w dziedzinie uśmiercania istot żywych stoimy już obecnie na nader wysokim poziomie. Odpowiedź znajdujemy w dialogu o kondycji sztuki na planetach zdominowanych przez technologię. *Byłem na siedmiu planetach, w tym na dwóch wysoko rozwiniętych technicznie i głęboko zdegenerowanych w momencie podboju.* Okazuje się, że to co w nich było wartościowego, swojego zanikło przed podbojem: *przez pogardę dla tradycji, przez sprzedajność kultury. Wiesz, kiedy gdzieś zapanuje podły ustrój, to z czasem kultura staje się towarem coraz tańszym i dostosowanym do podłych gustów, robi się tandetę, bo to się opłaca! Albo też – z nadmiaru ambicji i próżności czy też w pogoni za nowością – sztuka zaprzecza sama sobie i zaczyna zamiast piękna służyć brzydocie i zamiast cnoty wychwalać plugastwo. Jednocześnie umiera dobre rzemiosło i ludzie już nie potrafią, choćby i chcieli.*

Powieść Piotra Nikolskiego najwięcej mówi nam bowiem nie o wojnach między planetami Wielkiej Rzeczy, ale o naszej własnej Planecie Wcielenia i nas samych. Znajdziemy tu też niejedną myśl filozoficzną. Na przykład w scenie pożegnania młodego rycerza jego magnificencja rektor akademii wygłasza takie oto słowa: *Życie jest pełne niespodzianek, dlatego źle jest przywiązywać się do własnej koncepcji, jak ono powinno wyglądać. Inaczej zawsze jest się nieszczęśliwym.*

Bohater dojrzewa wraz z kolejnymi kartami powieści. Na początku widzimy surowo wychowanego młodzieńca, który odpowiada na wezwanie, bo tak musi. Na końcu utworu spotykamy już człowieka, który ma poczucie odpowiedzialności za los ludzi, którzy mu podlegają. Między tymi dwoma obrazami są przygody, podróże, starcia zbrojne i bardzo dużo rozmów. Dzięki nim poznajemy lepiej poszczególnych bohaterów. Co ważne i ciekawe jednocześnie nikt nie ma specjalnych oporów przed wchodzeniem w dialog, a nawet zwierzaniem się słabo lub wcale znanym sobie ludziom. Świat przedstawiony przez Piotra Nikolskiego to świat spragniony rozmowy, rozmowy bezpośredniej, choć spotkamy w nim Internet i SMS-y.

Jak już o tym wspomniano, chrześcijaństwo odgrywa w utworze ważną rolę. Na przykład główny bohater stawia sobie bardzo wysoko poprzeczkę w sferze uczuć, gdyż uczył się ich z żywotów świętych, które matka czytała mu do snu. Co to mogło być? „Szaleńcy Boży" Zofii Kossak-Szczuckiej? „Legenda aurea" Jakuba de Voragine? Ta druga, jako lektura św. Ignacego Loyoli pasowałaby do obrazu młodego rycerza, który przed wyprawą po prostu się modli. Fredegar zazdrościł przy tym matce poziomu

skupienia, który ta potrafiła osiągnąć gdy odmawiała swoje pacierze. Sam rozproszenie własnych myśli zrzuca na demony.

Należy wspomnieć, że w powieści znajdziemy też szereg scen zabawnych i anegdot. Wyławiania z życia i ze świata obrazów, które można uznać za absurdy, jak nadawanie muzykom tytułów szlacheckich i poważne konsekwencje ich przyjmowania (wszyscy stali się zobowiązanymi do walki zbrojnej wasalami). Sam zaś egzamin końcowy podsumowano słowami: *Prawie każdy student, wliczając szlachetnie urodzone panny, po trzech, czterech godzinach obliczeń zaczyna rzucać mięsem, jak pijany tragarz i wyrażać nadzieję, że wynalazca tego egzaminu nigdy nie opuści piekła, w którym zasłużenie się znajduje.*

Na koniec warto podkreślić wysoką jakość wydania tomu ozdobionego ilustracjami autorstwa Darii Voronowej. Czytelnicy otrzymali ciekawe dzieło, a im więcej wiedzą o wczesnej epoce nowożytnej, kulturze i chrześcijaństwie, tym więcej z niego skorzystają

Piotr Nikolski
Przypadki rycerza Fredegara von Stettena, Cz. I. Wasal
272 s. ; 21 cm.
Kraków: Wydawnictwo Aromat Słowa
Polska, 2021

Paweł Chmielewski

Apokryficzna ewangelia z potu i łez

Religijna żarliwość wielu genialnych poetów rocka, country i soul pozostawać może ich znakiem rozpoznawczym, ale i na swój sposób mroczną tajemnicą. Fascynacja materią mistyczną i potrzaskany bohater – często były więzień, outsider i morderca. To figury typowe i motywy wędrowne tej literatury, niczym diabeł uczący gry na skrzypcach na skrzyżowaniu dróg, jak w starej legendzie czarnych bluesmanów (tak znakomicie rozegranej w tragikomedii „Bracie, gdzie jesteś?" Joela i Ethana Coenów). Biblijny trop, tak nieoczywisty, pełen symboli, potu, łez, ale i przemocy, to także wyróżnik twórczości australijskiego pisarza, kompozytora i barda Nicka Cave'a.

Autora „Morderczych ballad" można więc zestawić raczej nie z pierwotną mitologią Aborygenów, prozą Patricka White'a, czy kinem Petera Weira, ale poetycką balladą z „biblijnego pasa", z minstrelami amerykańskiego Południa. Z Johnnym Cashem, z Woody Guthrie'm, z chrześcijańskim zwrotem w liryce Boba Dylana z lat 70. Ewangeliczność i żarliwość ich przekazu (tak przesycona znajomością starotestamentowych figur, jak tylko to było możliwe wśród pierwszych spadkobierców Lutra i Kalwina na Nowej Ziemi), wreszcie bohater balansujący na granicy społecznych norm – to forma tak spełniona artystycznie i zarazem obca europejskiej tradycji pieśni lirycznej. Szukając koincydencji dla Nicka Cave'a i nurtu literackiego, w którym od lat istnieje – zarazem jakiejś najbliższej nam kulturowo nitki, która pozwoli zrozumieć jego fenomen – wskazałbym balladową twórczość Włodzimierza Wysockiego (również Wasilija Szukszyna), gdzie obok siebie stoją poeta i złodziej, morderca i święty, a każdy z tych tropów nieodmiennie wiedzie ku pieśniom Franciszka Villona i prozom Fiodora Dostojewskiego.

Swoisty paradoks poezji i filozofii solisty The Birthday Party (a później The Bad Seeds) dobrze oddaje tytuł wywiadu-rzeki, który przeprowadził z kompozytorem dziennikarz „Guardiana", Seán O'Hagan – „Wiara, nadzieja i krwawa łaźnia". Parafrazując dalej Pawła z Tarsu, skąd zaczerpnięto ten cytat, powiedzmy, że trzecia z nich jest dla australijskiego artysty największa. To swego rodzaju egzystencjalne oddzielenie, namysł, a nawet wykluczenie – kojarzące się niekiedy z cnotami eremitów i silne nawiązania do paraboli biblijnych (które stanowią fundament literatury amerykańskiego Południa) – jest tożsame z fascynacją Cave'a twórczością Flennery O'Connor, jednej z najciekawszych autorek opowiadań, która z figury straty, wykorzenienia czyni fundament swojej prozy. O'Connor w rozważaniach kompozytora pojawia się wraz z nadejściem pandemii i tragicznych śmierci kolejnych synów.

Wywiad z O'Haganem to podwójne lustro stawiane przed artystą – wiwisekcja nie tylko twórczych inspiracji, ale bardzo osobista spowiedź człowieka. Ten konfesyjny charakter książki wynika nie tylko z autobiograficznego – w znacznym stopniu - charakteru twórczości bohatera, ale i jednego ze sposobów korespondencji z widzem (trzy lata po śmierci syna Arthura, od 2018 r. za pośrednictwem bloga odpowiada na pytania fanów) oraz kaznodziejskiego temperamentu i klimatu twórczości, który jest wpisany w nurt muzyki country, bluesa i soul, z którego – pomimo rockowego charakteru wielu płyt – wywodzi się autor „Pieśni torby na pawia". Ten ambientowo-ewangeliczny zaśpiew, w żaden sposób nie kojarzący się nam (a nawet pozostający w sprzeczności) z religijnym oglądem świata, typowym dla naszej części Europy, pozwala Cave'owi wpisać się doskonale w nastrój chociażby filmów braci Coen i wielu innych –okrutnych, ale zarazem groteskowych - produkcji kina artystycznego i pozostawać cenionym autorem ścieżek muzycznych.

Społeczno-polityczny aktywizm Cave'a – tak charakterystyczny dla wielu utworów Dylana, Mitchell, Guthrie'go, bluesmanów egzystujących w „pasie rdzy" – jest nie tyle nawet diagnozą, co „nerwem głównym" współczesności. O płycie „Shattered Ground" mówi: *Wracam tu do idei Ziemi Obiecanej, z tym samym ewangelicznym zapałem, ale w kontekście całej pieśni obietnica ta staje się bardziej mroczna, złowróżbna. (...) chcę w tej pieśni powiedzieć, iż rozpętała się bezgraniczna furia i my wszyscy podsycamy ją, dolewamy oliwy do ognia. Obowiązujący dawniej wygodny podział na lewicę i prawicę zupełnie stracił sens. Wygląda na to, że siedzimy na beczce prochu.* W „White Elephant" kreuje obraz dzielnicy, z siedzącą na trawniku parą białych z klasy średniej (lecz pamietajmy tylko krok, trzy raty niezapłacone dzielą ich od kartonowego pudła na chodniku), gdy ulicą obok przechodzi marsz zwolenników ruch Black Lives Matter. To niczym obrazek podskórnej wściekłości, dojrzewającego konfliktu w słynnym „Słoniu' Gusa Van Santa. Mam zresztą przeczucie, że właśnie obraz społeczny zawarty w jego filmach (obok braci Coen, może w pewnym sensie wczesnego Jarmuscha) koresponduje dobrze z poetyką świata przedstawionego Nicka Cave'a.

Ostatnia płyta australijskiego kompozytora (już po śmierci drugiego syna – Jethro) to koniec prywatnego świata, apokaliptyczny czas, który artysta (wraz z ukochaną żoną Susie) przeżywa na sposób dawnych, pierwotnych kultur magicznych, godząc się z metafizycznym przesłaniem wizji Jana Ewangelisty na wyspie Patmos. To najbardziej osobista część rozmowy zawarta w książce O'Hagana. Z równie metafizycznym – niemal typowym dla manifestów epoki modernizmu – wpływem muzyki na sfery profanum i sacrum rozprawia Cave w rozdziale poświęconym jego prywatnej filozofii sztuki. Lub filozofii religii – zależy jak to odczytamy. Oto niewielki fragment:

Muzyka jest błaganiem zanoszonym do ducha, który – jak nic innego – potrafi wydobyć ludzi z ich cierpienia, zatem traktuję swoją pracę bardzo poważnie. Niekwestionowane dobro muzyki, korzyści, jakie przynosi – to wszystko przypomina działanie religii. A pożytki są niemałe: podnosi nas na duchu, daje pocieszenie, krzepi w samotności, leczy, przywraca sens. (...) W czasie koncertu czuję, jak potęga muzyki wraca do mnie odbita i wypromieniowana w moją stronę przez publiczność. To proces pobierania miłości i oddawania jej światu.

„Wiara, nadzieja i krwawa łaźnia" mogłaby być (lub sądzę, że nawet powinna) czytana wraz z – wydaną w Polsce w 2018 r. – „Torbą pieśni na pawia", gdzie objawia się nam, w nieomal autobiograficznej opowieści, Nick Cave, jako obserwator, łowca ulotnych, lecz powtarzalnych obrazów samotności i śmierci. Wraz wreszcie z „Rewoltą w niebie" – wyborem trzydziestu trzech wierszy z komentarzami w przekładzie Filipa Łobodzińskiego – opublikowanym równolegle z wywiadem O'Hagana.

Jak głosi znana maksyma, publikowana w każdym poradniku dla scenarzystów, *jeśli mamy fiolet, to będzie morderstwo*. W „Klinice" otwierającej zbiór poetycki, zrytmizowany, szaleńczy tekst odsyła nas do zjawisk czysto fizycznych – zestawu chorób po nadmiernym spożyciu – fizycznych, które przeistaczają się symbolicznie w doznanie, a może nawet pragnienie śmierci. Stąd powracający jako refren klin i plama fioletu to kolor morderstwa. Czy nie ma w tym dalekiego echa porannych pragnień z „Mr Tambourine Man" Dylana? Tych kryptocytatów, cytatów bezpośrednich, parafraz, tropów i odwołań jest w tekstach Cave'a dostrzegamy bardzo wiele. Artysta w sposób dość swobodny – ale zarazem przemyślany – uprawia recycling postaci literackich. Jednym z przykładów niech pozostanie utwór „Hamlet (Pach, pach, pach)". Pomińmy onomatopeje (tak charakterystyczne dla sztuki komiksu) i uwielbiane przez pieśniarza, a popatrzmy na kulturowy fenomen. W latach 80. i 90. Szekspir przeżywał filmowy renesans – uwspółcześniany, przeniesiony w realia nowoczesnej metropolii, zdynamizowany – nagle stał się piewcą postindustrialnego świata. Hamlet Cave'a (zaczynający się od literowania jak „Gloria" Van Morrisona – jak nam wskazuje Łobodziński) nie jest rozdartym, zgodnie z romantycznym idiomem młodym księciem. Bliżej mu do tej twardej, a czasem okrutnej postaci w XIX-wiecznym mundurze, którą na ekranie kreował Kenneth Branagh, lub raczej brutalnego przywódcy gangu z prześwietlonych neonem mroków miasta. Gdzie nawet Julia odarta jest z lirycznej mgły i bliższa stała się postaci kina noir:

Ulicą zbliża się – już/ podoba mu się ten cadillac/ chce by jego był ten cadillac/ (...) To miłość czy to w ogóle miłość/ to miłość czy to w ogóle miłość/ ulicą do mnie zbliża się/ schodami pełznie tu/ wchodzi przez mój próg/ stuka w moje drzwi/ CZEMUŻ TYŚ JEST BUŹKA-CUD/ Cze... muż... tyś... jest.../ Pach pach pach pach pach.

I ginie wśród tych onomatopeicznych dźwięków nocnego miasta. Wśród gradu kul. Z szekspirowskiej legendy autor „Morderczych ballad" uczynił krwawy kryminał naszych czasów.

Poetycki świat Nicka Cave'a smakuje odwrotność każdej historii i mniej istotne, czy literackiej figury, czy biblijnego mitu. W świecie niebiańskiej, ponowoczesnej rewolty i Łazarzowi rozkaże ponownie kopać grób.

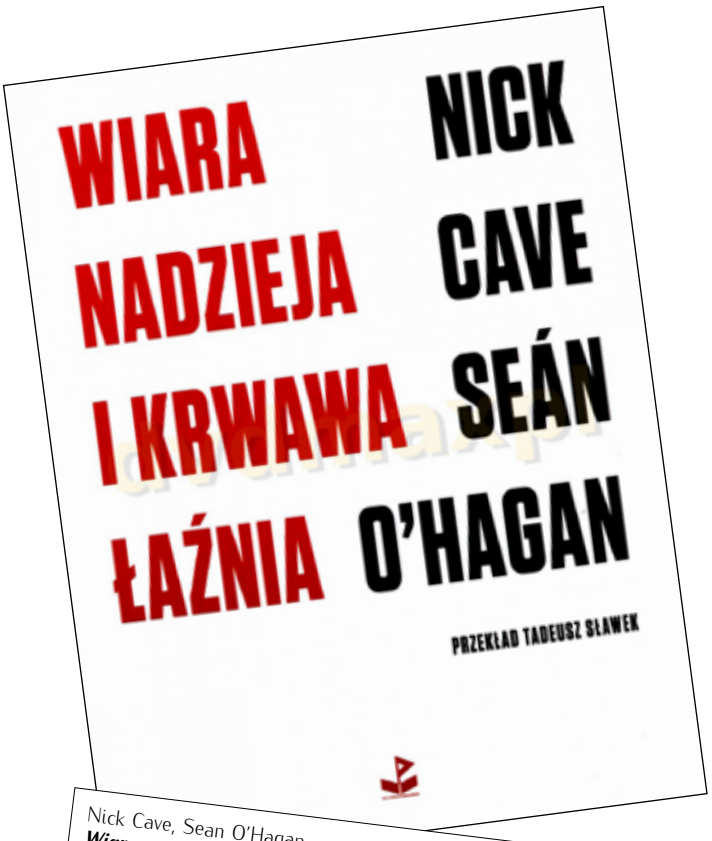

Nick Cave, Sean O'Hagan
Wiara, nadzieja i krwawa łaźnia
Tłumaczenie: Tadeusz Sławek
284 s. ; 22 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

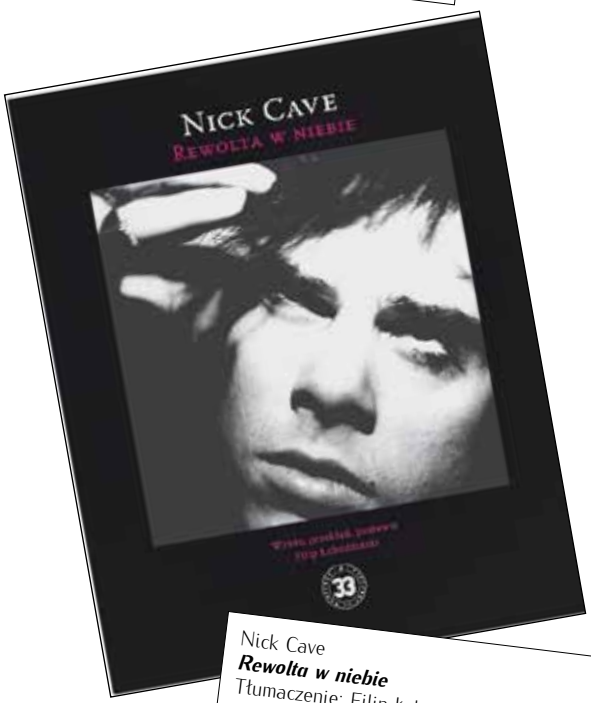

Nick Cave
Rewolta w niebie
Tłumaczenie: Filip Łobodziński
133 s. ; 20,5 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

Agnieszka Majcher

Odczarowanie formy

Poprzez nadanie tomikowi takiego, nie innego tytułu, poeta kieruje naszą uwagę na odwieczną dychotomię formy i treści. I drażni się z czytelnikiem, podsuwając interpretację: kreacja jest tylko prezentacją formy. Poezja nie ma nam dziś nic do powiedzenia. Czy słusznie?

Tak wynikałoby ze wspomnianego tytułu wydawnictwa. „Lorem ipsum" to, cytując choćby Wikipedię: *tekst składający się z łacińskich i quasi-łacińskich wyrazów, mający korzenie w klasycznej łacinie, wzorowany na fragmencie traktatu Cycerona O granicach dobra i zła (De finibus bonorum et malorum) napisanego w 45 p.n.e. Tekst jest stosowany do demonstracji krojów pisma (czcionek, fontów), kompozycji kolumny itp. Po raz pierwszy został użyty przez nieznanego drukarza w XVI wieku.* Jest on rozumiany jest jako czysta prezentacja formy, stąd tekst w obcym języku i niekoniecznie logiczny. Najwyraźniej, czytając coś w znanym nam języku, skupiamy się na treści, ignorując formę.

Nadanie takiego tytułu to prowokacja, zmuszająca do przemyśleń na temat natury poezji. Wiemy dziś bowiem, choć w szkołach czasem zapominamy, że komunikat jako taki to nie tylko semantyka wyrazów. Forma niesie znaczenia, fonetyka przywołuje sensy, gramatyka wpływa na sposób obrazowania. Język – to metafora, czyli takie wykorzystanie formy, które zmusza odbiorcę do podjęcia wysiłku interpretacji. Każdorazowo. A poezja jest jedynie nagromadzeniem tych wyzwań interpretacyjnych w stosunkowo małym tekście. Zatem tytuł tomiku ma skupić naszą uwagę na formie – żeby wyczytać w tych wierszach jeszcze więcej treści.

Służą temu precyzyjnie konstruowane metafory, w których, zgodnie z jej kognitywistyczną definicją, zamiana jednego elementu w utartym zwrocie, na taki z innego obszaru profilowania, powoduje piętrzenie się nowych konceptualizacji. Jak na przykład: *podnieść krzyk i patrzeć co pod, niosę się w sobie*"czy *kamień wymierzony w szpaler przestał się w powietrzu*. Innym charakterystycznym narzędziem jest wykorzystywanie powtórzeń, często jedna fraza jest powtarzana – ale też modyfikowana przez cały utwór, przez co omszałe zwroty intrygują i zmuszają do dopuszczenia całkiem nowych sensów. Forma wielu przypomina litanię, utwór religijny, zresztą w sferze leksykalnej jest też mnóstwo akcentów sakralnych. Wydaje się, że zmuszenie nas do odczytania na nowo starych haseł: religia, kraj, naród, państwo, jest częścią intentio auctoris. Co ciekawe, obok neobarokowych form możemy znaleźć wiersze bez mała prozodyczne jak yolo: *siedzimy nad Gangesem i palimy blanta*, z przekornym komentarzem: *żadna metafora*. Niektóre, jak „wymaz", nawiązują bezpośrednio do konkretnych wydarzeń ostatnich lat, jednak nawet w nich kompozycja elementów nowomowy z czasów pandemii zmusza nas do zastanowienia się nad mechanizmami rządzącymi komunikacją w tamtym czasie. Jakby za każdym razem autor mówił do czytelnika: studiuj formę, a poznasz więcej.

Tomik dzieli się na trzy części. Ich tytuły to zaimki wyznaczające perspektywę patrzenia: *W, Z, Zza*. Czy to perspektywa podmiotu czy odbiorcy? Niech każdy sam zdecyduje. Zachęcam do lektury.

Jakub Pszoniak
Lorem ipsum
56 s. ; 21 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

Cezary Namirski
Nuragiczna Sardynia
432 s. ; 21 cm.
Kraków: Historia Iagiellonica
Polska, 2022

Piotr Kardyś

Pamięć zamknięta w kamieniach

Postęp w badaniach nad sztuką pradziejową jest w zasadzie stały, ale daleki od przyspieszenia na wzór matematyczny, pomimo angażowania wciąż coraz to nowych technik i teoretycznie, przyrostu naszej wiedzy w tym zakresie. Dowodem są m.in. dwie książki autorstwa Cezarego Namirskiego dotyczące sztuki naskalnej Wysp Brytyjskich i Sardynii. Autor, obecnie pracownik Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej, odbył gruntowny kurs historii pradziejowej na University of Durham i jak można się domyślać, swoje zainteresowania naukowe nakierował przede wszystkim na historię powszechną, w wymiarze dosyć dalekim od typowych wyobrażeń miłośników historii, bowiem skoncentrował się na prehistorycznej sztuce naskalnej ze szczególną atencją dla sztuki megalitycznej od neolitu po epokę żelaza.

W kręgu zainteresowań Cezarego Namirskiego wybijają się takie zagadnienia, jak „cup-marks", „cup-and-ring marks" (obłe zagłębienia w skałach połączone kanałami lub kręgami, nierzadko na kształt domina), nuragi sardyńskie (kamienne wieże w kształcie stożka z wewnętrznymi komorami), grobowce gigantów („tombe di giganti"), święte studnie („pozzi sacri") czy betyle (celowo ustawione w otwartej przestrzeni kamienie stożkowe). Co ciekawe, wszystkie te formy (i wiele innych) są wszechobecne w krajobrazie kulturowym kontynentu europejskiego (Wyspy Brytyjskie, Niemcy, Alpy, Skandynawia, Półwysep Iberyjski, Baleary, Sardynia, Korsyka, Malta). Prehistoryczne ryty i reliefy naskalne nie są oczywiście tak inspirujące i fascynujące, jak malowidła naskalne, powszechnie znane i interpretowane w sposób zapierający dech w piersiach. O czym zatem są obie książki?

Przede wszystkim zawierają mnóstwo przykładów petroglifów, odwołań do literatury archeologicznej i kodu kulturowego cywilizacji europejskich od górnego paleolitu do epoki żelaza, ale też fascynują bogactwem przytoczonych przykładów, w zasadzie wszechobecnych m.in. w trakcie pobytów wakacyjnych na Wyspach Brytyjskich, czy to na Sardynii. Przyjrzyjmy się np. Grobowcowi Gigantów w Santadi na Sardynii („Tomba di giganti" Barrancu Mannu). Potężny grobowiec, położony na zboczu skalistej doliny, mierzy ok. 18 m długości, w części centralnej (tzw. eksedra) ma prawie 5 m wysokości, sama komora grobowa mierzy ok. 10 m długości i prawie 2 metry szerokości (warto zaakcentować, że było ich na tej wyspie prawdopodobnie ponad 1 tys!). Całość założenia pochodzi prawdopodobnie z epoki brązu. Zasadne jest pytanie, w jakim celu zbudowano w mało dostępnym miejscu tego typu założenie sepulkralne, poświęcono mnóstwo wysiłku by przygotować kilkutonowe bloki skalne odpowiednio obrobione i dopasowane do siebie. Na obecnym etapie badań nad sztuką prahistoryczną można jedynie stwierdzić, że były to megalityczne, zbiorowe grobowce dla ludności zamieszkującej wówczas okoliczne nuragiczne osiedla, i to przez wiele setek lat. Z kolei wszechobecne kamienie z zagłębieniami o średnicy od kilku do kilkunastu centymetrów (cup-marks) z okresu neolitu i wczesnej epoki brązu usytuowane są na wychodniach w krajobrazie, głazach, menhirach, grobowcach megalitycznych, konstrukcjach karnów (choćby w znanej historykom sztuki dolinie Val Camonica). W tej sytuacji, zasadne jest pytanie, czy podobne petroglify znajdowane są na terenie Polski? Brak na chwilę obecną takich doniesień i publikacji, ale pamiętajmy choćby o rewelacyjnych odkryciach na temat wozu kołowego z Bronocic czy domniemanej Bogini Matki z Krzemionek. Możemy zatem oczekiwać, że ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane.

Cezary Namirski
Prehistoryczna sztuka naskalna Wysp Brytyjskich
340 s. ; 21 cm.
Kraków: Historia Iagiellonica
Polska, 2019

Paweł Chmielewski

Zielone pola nowojorskie

Podtytuł reportażu-kroniki trzykrotnej laureatki Grand Press Ewy Winnickiej brzmi „Kroniki Małej Polski", a wstępem do tekstu jest wycinek mapy Nowego Jorku, Greenpoint z naniesionymi nazwami: Polsko-Słowiańska Federalna Unia Kredytowa, Beata Delicatessen, Polski Dom Narodowy, Father Jerzy Popieluszko Square. Na następnej stronie czytamy: *Brooklyn uchodził za brzydkie kaczątko, robotnicze zaplecze niedosiężnego Manhattanu, a Greenpoint – zaplecze Brooklynu. Nim Bliss umarł* (Neziah - właściciel działek, planista, przemysłowiec), *dzielnica była już najbardziej uprzemysłowionym miejscem w Ameryce. I najbardziej zanieczyszczonym. Dla emigrantów z Europy: jednym z ważniejszych przedsionków Ameryki.*

Autorce – dzięki utkaniu swej relacji z autentycznych wspomnień polskich gastarbeiterów z kilku fal emigracji – udało się zbudować obraz american dream w wydaniu z Siedlec, Piły, podkarpackich miasteczek, podlaskich wsi. To mozaikowa opowieść o wyniszczającej pracy, o językowych perypetiach, małżeństwach aranżowanych, zielonej karcie, biznesach, sukcesach i porażkach. Niezwykle frapującym zjawiskiem w „Greenpoint" jest jednak owa niezwykła zbitka językowo-mentalnych (inaczej nie potrafię ich nazwać) przesądów i kadrów wyłaniających się z potoku (lub raczej słowotoku) wspomnień bohaterów tej niezwykłej relacji. Groteskowe, lecz i przerażające – bo nagle sklejające się w rodzaj „tożsamościowej mazi" – to pomieszanie kompleksów polskich, amerykańskiego kampu, obrzydliwości z nieomal religijnym umiłowaniem zielonej barwy. To tworzy ten emigracyjny świat, którego niezbyt sympatyczne miazmaty już usiłował oswoić Gombrowicz. On wybrał – jedyną zdaje się z możliwych do zniesienia dróg: groteskę. Winnicka, w zgodzie z wymogami gatunku, serwuje nam ten obraz – na zimno. Po przeczytaniu tych relacji, owych wspomnień z „Małej Polski" musimy powiedzieć sobie jedno – poetyką reporterskiego gatunku jest czasem przywołanie ekstremów, lecz w tej relacji – amerykańskiej opowieści – ta nasza polska, skrzecząca nasza pospolitość się odbija. Są w niej i „polish jokes" i plastikowe „żony holyłudu".

Zakończę zatem wyborem paru cytatów z rozważań naszych bohaterów: *Arabów tych, co grosery (sklepy spożywcze) mają swoje, też nie lubimy. Ale gdzie ich nie ma, muslimów pieprzonych. Przychodzi druga po południu, muslim zamyka sklep, bo idzie się czołem modlić. Kto to widział. Kto to widział. Prezydent Trump, tak jak ja, nie lubi Kakroczy. Tych, znaczy, malutkich Portoryków. On by ich strzelał, ja też bym ich strzelała.* Pomyślisz sobie obserwatorze, czytelniku, że kwestia to kapitału kulturowego... posłuchaj: *Jeśli pytasz, czemu nie napiszą o mnie w „New York Timesie", to ja ci odpowiem, że to gazeta założona przez lewicowego Żyda. I* kilkadziesiąt stron dalej, ktoś inny, w innym czasie: *Żyd ma to do siebie, że on rządzi całym światem. To jest po prostu Żyd. A czy trzeba go lubić? Nie, on ma swoje państwo i niech spierdziela. Tak jak czarny na drzewo, tak on do Izraela. W ogóle rasistka jestem.*

Gdzieś, obok znakomitych opisów, gdzieś obok historii miasta w pamięci nam pozostają tylko te słowa. I czasem komiczne wyznania pewnego grafika, który przed domem i masztem z wciągniętym gwiaździstym sztandarem wyznaje miłość do swej żony: *Bożenka (...) jest takim ósmym cudem świata. (...) Jest szczęśliwa, nie odróżnia Hitlera od Picassa. Nic o świecie nie wie i nic jej nie interesuje. (...) Ma sto tysięcy ciuchów. Buty i kapelusze. (...) a ja jestem szczęśliwy.* Przed wyjazdem do USA przeczytajcie koniecznie.

Ewa Winnicka
Greenpoint. Kroniki Małej Polski
404 s. ; 24 cm.
Wołowiec: Wydawnictwo „Czarne"
Polska, 2021

Agnieszka Majcher

„Dziady” z chowu klatkowego

Po przeczytaniu tego tomiku chciałoby się powiedzieć: „tylko żal… tylko on”. Dawno nie czytałam zbioru tekstów, które praktycznie nie afirmują niczego, poza żalem właśnie.

Wydaje się, że pierwsze lata trzeciej dekady obecnego wieku skierowały uwagę ludzi na przemijanie i czytelnik jest w stanie zaakceptować, a może nawet uznać za „swoją”, wypowiedź, której głównym celem jest przywoływanie pustki. Utrwalanie jej. Godzenie się ze stratą, nie poprzez zabandażowanie jej nowymi jakościami, doświadczeniami, pozwolenie, żeby jej dotkliwość wyblakła, ale przez zaakceptowanie jej w centrum naszego uniwersum. Uznanie braku za niezbywalną część naszej egzystencji. Skupianie się na nieobecności. Zaludnianie własnego wewnętrznego świata tymi, którzy odeszli i meblowanie go artefaktami epok minionych.

Podmiot liryczny tego tomiku za poetyckie „ty” wybrał sobie ukochaną osobę, dawno niewidzianą, z którą został oddzielony, której zabrakło – parafrazując wersy pierwszych z brzegu wierszy. A może osoby?... Ten adresat liryczny jest obecny w nieomal każdym utworze. Nie pada to explicite – w końcu to poezja, ale ów adresat wydaje się już zamieszkiwać drugi brzeg Styksu. Taka strata nie jest łatwa do zaakceptowania, dlatego podmiot przekonuje siebie, jak i pozostałych czytelników, do swojego odkrycia: „ludzie umierają”.

Mówiąc o pozostałych czytelnikach, podczas lektury ma się nieustanne wrażenie bycia intruzem. Jakbyśmy przypadkiem znaleźli się w centrum „ego”. Z niego zawsze snują się ścieżki rwanych wspomnień, które mają zaprowadzić mówiącego do tego nieosiągalnego, utraconego „ty”. Czasem w tekstach pojawia się zaimek „my”, ale iluzja wspólnoty jest szybko rozwiewana – i znowu w centrum uwagi zostaje „ja” i jego towarzysz żal. A czytelnik czuje się jak przypadkowy świadek scen nieprzeznaczonych dla jego percepcji. Ma się ochotę przeprosić i odłożyć zamknięty tomik na półkę.

Ponieważ lubię bardziej ustrukturalizowane metafory, z których na drodze analizy przenikania się formy i treści mamy szansę na spójny obraz przedstawianego świata zewnętrznego bądź wewnętrznego, styl Honeta, świadomie tej spójności pozbawiany, miejscami mnie zniechęca. Jednak w tych utworach jest sporo miejsc, które zostaną ze mną na dłużej. Niektóre może trącące banałem: *nie widziałem cię prawie od roku, a więc minęło dziesięć albo siedem lat* – niezaprzeczalna oznaka wchodzenia w wiek mocno dojrzały, gdy czas emocji wygrywa z mocno wówczas względnym kalendarzem. Inne uświadamiają nam ulotność dóbr materialnych: *bankomat, on nie wypłaca nic oprócz oddechu*, czy też zbanalizowanie, udomowienie – jak kto woli – uczuć: *miłość zamieniła się w spędzanie czasu*.

Większość utworów ma spolaryzowany charakter: poruszamy się od bieguna „ja” do bieguna „ty”, czasem zahaczając o „my”. Tak też skomponowany jest tomik. Wiersz pierwszy to „pomysł nocy na ciebie”, choć, wbrew tytułowi dowiadujemy się, że noc pomysłu nie miała. Wiersz ostatni to „pomysł nocy na mnie”. Tu noc miała pomysł: *w nocy jest mnie kilku*. Co więcej, podmiot liryczny wyraża w nim lęk przed tym, że *sam żyłem wyłącznie dla siebie*. Po lekturze tej dość egocentrycznej publikacji wydaje się to uzasadniona obawa. Jednakże ta lektura, będąca jak Halloweenowa podróż w głąb rozpamiętującego „ja”, jak „dziady” rozgrywające się w kaplicy czaszki piszącego, jest ciekawym doświadczeniem. Wiele osób zapewne przełamie zażenowanie wynikające z poczucia bycia intruzem i zechce eksplorować ten polski krajobraz la Dios de los Muertos. Szczególnie, że w ostatnich latach uświadomiliśmy sobie, że wszyscy w nim kiedyś zamieszkamy.

Roman Honet
żal, może on
46 s. ; 21 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

tor

Paweł Chmielewski

Przezroczysta z Babczyniec

Izolda Kiec, badaczka która do powszechnej świadomości czytelniczej przywróciła kilka lat temu Zuzannę Ginczankę, tym razem opracowała obszerną antologię twórczości innej z pogrążonych w otchłani czasu pisarek – Felicji Kruszewskiej (1897-1943).

Utwory wybrane „Pisane wiatrem na skórze" to rozbudowany zestaw złożony z opowiadań, liryki, dramatów i artykułów prasowych, wreszcie recenzji oraz not, zarazem również biografia Kruszewskiej i naukowe opracowanie jej tekstów wplecione w niezwykły życiorys. Poza wieloma utworami wysokiej jakości literackiej, to niezwykle fascynująca opowieść o międzywojniu, meandrach kulturowo-społecznych (zwłaszcza kresowych, choć oczywiście nie tylko), ale przede wszystkim istotny element reinterpretacji historii polskiej literatury I poł. XX w., który – pod wieloma względami – zaczyna „na nowo" opowiadać o autorkach, jak się zdawało, już na trwałe zamkniętych na kartach podręczników. Nie omijając przy tym tak ikonicznych dla naszej świadomości postaci, jak Maria Konopnicka, czy Maria Dąbrowska.

Od tomu poetyckiego „Wnikania", od magiczno-autobiograficznej opowieści o błękitach ogrodu w rodzinnych Babczyńcach (symbolicznie, bo jej famila wywodzia się z majątku Ordy) starała się Kruszewska – jak to ujęła Izolda Kiec – stawać się przezroczystą. Owo stawanie, nieśmiałość, wycofanie – tak niedzisiejsze i nieprzystające, nie tylko do współczesnego, ale i rodzącego się w 20-leciu rynku literackiego – dostrzec możemy nie tylko w wielu, niezwykle sensualnych lirykach, ale w rozbudowanej formie. W zrealizowanym przez Edmunda Wiercińskiego dramacie „Sen". Ta, rozgrywająca się na styku realnego z magicznym, opowieść w siedmiu obrazach – gdyby sygnowana została nazwiskiej jednego z wielkich polskiego modernizmu, do dziś byłaby stałym elementem teatralnego repertuaru. Jest to zarazem tekst sceniczny o znacznie nowocześniejszych, niż modernistyczne rozwiązaniach formalnych. Popatrzmy chociażby na imiona bohaterów - „Zielony Pajac, Który Powinien Wisieć Na Lampie", lub „Pan Od Osobnego Stolika". Czy nie przypominają się czasem Państwu imiona postaci z teatralnych sztuk rosyjskich, z tych złotych czasów, gdy jeszcze wielkim walcem nie wjeżdżał na scenę Anatolij Wasiljewicz Łunaczarski, czy nawet z panopticum absurdu Różewicza? Być może, gdyby nie wybuch wojny, gdy nie niepełnosprawność Kruszewskiej, choć trochę inaczej wyglądałby krajobraz polskiej dramaturgii. Jest w tej literaturze jakieś pęknięcie, niejednoznaczność. Bo przecież obok łagodnych akacji pachnących są wiersze o w formie tak nowoczesne, niczym w gazecie kronika z czasów marki polskiej - *Wzrost drożyzny w miesiącu dwieście procent, tramwaj sto pięćdziesiąt tysięcy!* („Cyfry").

Felicja Kruszewska jest kolejną postacią, która gdzieś „się rozpływając" teraz powraca do czytelników, dowodząc, że nie wszystko jest takie jak nam się wydaje. Kilka lat temu „zmartwychwstała" dla odbiorców wspomniana już Zuzanna Ginczanka, całkiem niedawno Eleonora Kalkowska, dziś właśnie autorka „Błękitnego ogrodu" . Jeśli dodamy do tego całkiem uwspółcześniony portret Marii Rodziewiczówny, to powstaje całkiem interesujący, zestaw pisarek zapomnianych lub odkrytych na nowo.

771 stron bardzo ciekawej podróży do nieznanych lądów.

Felicja Kruszewska
Pisane wiatrem na skórze. Utwory wybrane z biografią w tle
Opracowanie: Izolda Kiec
771 s. ; 24 cm.
Poznań: Instytut Kultury Popularnej
Polska, 2022

Berengere Cournut
Z kamienia i kości
Tłumaczenie: Hanna Igalson-Tygielska
188 s. ; 23,5 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

Paweł Chmielewski

Nowy europejski kanon literacki

Spowiedź zza polarnego koła

Francuska pisarka Bérengère Cournut, autorka bardzo dobrze przyjętej „Née contente à Oraibi", powieści rozgrywającej się na terenie Arizony wśród ludu Hopi, tym razem przenosi nas w świat Inuitów.

„Z kamienia i kości", monolog młodej dziewczyny o imieniu Uqsuralik, przemierzającej lodową pustynię w trakcie łowów, przenosi nas wraz z bohaterką do zagubionego wśród arktycznej pustki siedliska Inuitów. I mógłby to być utwór gatunkowy, z łatwością zaliczany do nurtu prozy etnograficznej z elementami ekologii. „De pierre et d'os" (bo tak brzmi pierwotny tytuł) jest jednak czymś więcej. W interpretacji – powiedzmy teatralnej lub filmowej – mógłby stać się dystopijną opowieścią o umieraniu świata.

Nie bez przyczyny wspomniałem tu o tropie wiodącym do ludu Hopi. To przecież ich antropologia – zaklęta w obrazie Godfreya Reggio i Phillipa Glassa (trylogia „Quasi") – opowiedziała o końcu cywilizacji technokratycznej, o apokalipsie, przed którą ratunkiem jest ucieczka ku źródłom. Ku światu jednoczącemu ludzi, zwierzęta i duchy. Gdy Inuitka – zespolona ze śniegiem, lodem i krwią (symbolika tej ostatniej wciąż powraca podczas walki psów o kęs mięsa, narodzin dziecka, czy pieśni tajemniczego olbrzyma) – przywołuje pieśni swego ludu, powracamy wciąż i wciąż do obrazów wody.

Ta metafora wodnego (choć zmarzniętego) świata powraca nieustannie. Staje się alternatywą dla naszej współczesności. Epifanią ku czci pierwotnej natury. Jedną z możliwych interpretacji tej wieloznacznej spowiedzi ostatniej bohaterki wolnego ludu.

Z Krainy Głodomopotwora do Królestwa Wielkiej Pieczęci

***Po głowie wciąż krążyły mi słowa ojca: jedyne, co powinno potrafić dziecko, to szybko uciekać.* Słowa domykające pierwszy z króciutkich rozdziałów „Ucieczki" słowackiego pisarza Marka Vadasa, to kwintesencja życia ponad połowy ludzkości. Przynajmniej tej na południe od Zwrotnika Raka.**

Losy nieznanego z imienia chłopca, któremu w wędrówce towarzyszy niezwykle inteligentny pies Alan to figura milionów dzieci, setek milionów uchodźców podążających ku... jakiejś przyszłości. Brak danych geograficznych (żyją tam hipopotamy i rosną owoce gujawy) nadaje podróży wymiar uniwersalny. Jednakże nie ten uniwersalizm odegra decydującą rolę w opowieści Vadasa (opatrzonej, jak każda bajka, nie-bajka dla dzieci, zestawem surrealnych ilustracji Danieli Olejnikovej), lecz jej gatunkowa forma.

„Ucieczka" przybiera kształt oświeceniowej powiastki, pełnej zantropomorfizowanych zwierzątek, które bohater naśladuje, a jej dziwaczne krainy, zaludnione przez równie dziwacznych mieszkańców (głodowopotwory, wieloręcy, Miasto Wymówek, Królestwo Wielkiej Pieczęci) niczym z podróży śladami postaci Jonathana Swifta. Dziś już nie dla cudownych przygód, lecz w strachu przed suszą, głodem i wojną.

Marek Vadas
Ilustracje: Daniela Olejnikova
Ucieczka
Tłumaczenie: Weronika Gogola
46 s. ; 23,5 cm.
Kołobrzeg: Biuro Literackie
Polska, 2022

Droga Czytelniczko / Szanowny Czytelniku

przed TOBĄ

WSPANIAŁY

Najnowszy numer
Magazynu Kulturalnego „Projektor"
a
to
setki jeśli nie tysiące
godzin
DARMOWEJ PRACY
naszych
recenzentów
fotoreporterów
ilustratorów

jeśli uważasz, że należy ich docenić
zostań naszym MECENASEM

www.patronite.pl/Projektor

lub przekaż darowiznę na konto 49 2030 0045 1110 0000 0248 9310

Mirosław Krzysztofek

Passenger wciąż trwa

Po dwóch latach przerwy OFF Festival powrócił z „pewną taką nieśmiałością”.

Post covidowe zaciskanie pasa i kryzysowe zaciskanie zębów odcisnęły na nim pewne piętno, ale nie było to wrażenie dominujące. Organizatorom dopisało szczęście i prawie wszyscy wykonawcy stawili się na 5 scenach Doliny Trzech Stawów. Pogoda dopisała, więc część stałych bolączek odbywających się w Polsce i nie tylko festiwali, szczęśliwe ominęła piętnastą edycję Off Festivalu.

Dzień pierwszy. Mocny wstęp. Squid

Dla mnie strzał w dziesiątkę. Zarówno ich debiutancka płyta, jak i offowy koncert udowodniły, że dla rocka ciągle jest przyszłość. I nadzieja.

Dźwięki, które docierały ze sceny eksperymentalnej miały tylko jedną wadę. Nie docierały ze sceny głównej, bo tam moimi i nie tylko moim zdaniem powinien rozbudowany i niezwykle energetyczny skład Squid wystąpić.

W godzinnym występie był czas na eksperymenty brzmieniowe, funkowe rytmy kojarzące się z najlepszymi czasami Talking Heads, bardzo inteligentne i poparte świetnym warsztatem granie.

SQUID. ZDJĘCIA: PAWEŁ CHMIELEWSKI

Pod koniec występu uświadomiłem sobie, że mój pierwszy koncert na offie może być jednocześnie najlepszym.

Publiczność bawiła się doskonale i szkoda, że nie było bisów. Repertuaru starczyłoby na przynajmniej półtorej godziny.

RIDE

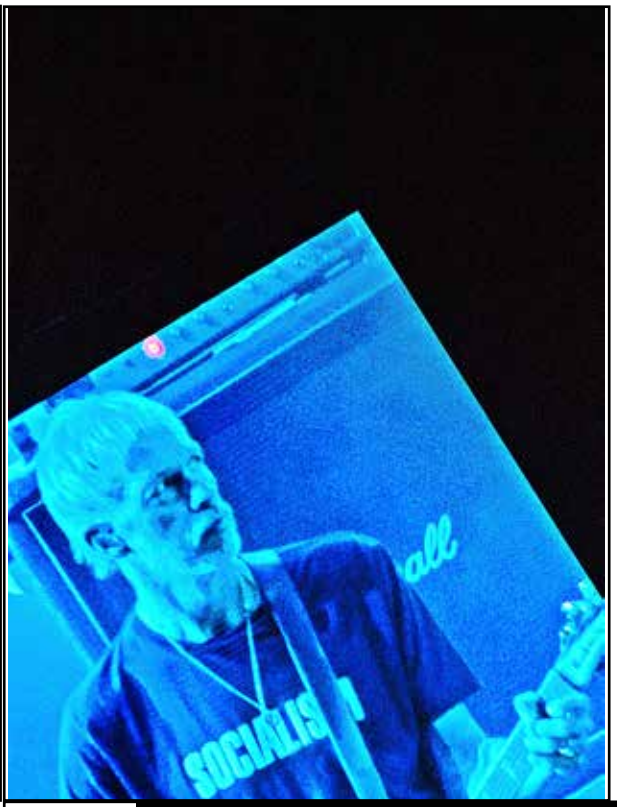

Ride gra „Nowhere”

Modne i u nas ostatnio odgrywanie całych płyt na koncertach, dotyczące w większości przypadków weteranów sceny i wydanych zwykle, co najmniej, kilkanaście lat temu płyt jest zabiegiem marketingowym, ale czasami wnosi świeży powiew. W wielu przypadkach daje możliwość posłuchania ulubionej płyty z porządnym nagłośnieniem i na często innych niż pierwszy raz emocjach.

Muzyka, którą gra Ride dzisiaj nazywa się shoegaze, ale w 1990 roku kiedy powstała płyta „Nowhere” mało kto używał takiego określenia. Wymyślili je dziennikarze i oznacza wpatrywanie się w buty. Muzycy Ride z butów mnie nie wywalili, lecz był to miły, wspomnieniowy i dobrze zagrany koncert.

Moim zdaniem o wiele lepszy niż offowy występ My Bloody Valentine sprzed kilku lat. Duże pozytywne zaskoczenie. Miło patrzeć na buty w dobrym towarzystwie.

BIKINI KILL

Bikini Kill

Zespól ważny w latach dziewięćdziesiątych ze względu na feministyczne przesłanie, które dzisiaj nie jest już rewolucyjne, ale w USA w tamtych czasach było zwiastunem poważnych zmian w obyczajowości i tego, co wypada robić i mówić do kobiet.

Minęło ponad trzydzieści lat i wiele się zmieniło, ale przesłanie jest i chyba długo będzie aktualne. Kultura maczyzmu ma się dobrze. Chwilami szwankowało nagłośnienie – energia pozostała, bo to przecież tylko rock'n'roll.

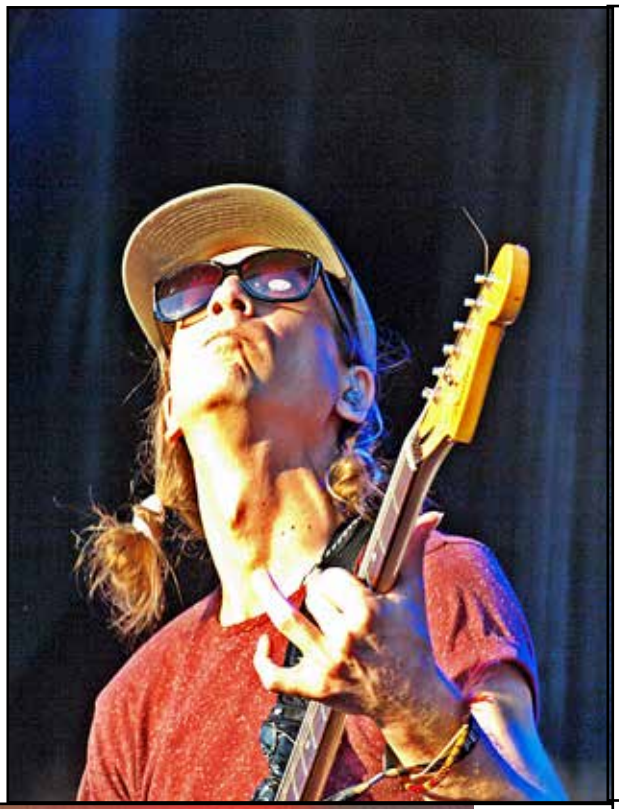

DIIV

Dzień drugi. Pracowity dzień

Kurczę, pada i odwołali jogę na polu namiotowym, co ja teraz zrobię?

Na szczęście prognoza ze sprawdzonego źródła mówiła, że przestanie o 16.00 i tak się stało.

Zaopatrzeni w kocyk z plastiku wytworzonego z rosyjskiej ropy ruszyliśmy szukać pozytywnej, festiwalowej energii — darmowym offbusem na koszt podatnika. Pączków nie dawali. Niestety.

Mdou Moctar

Niesamowity koncert. I znowu na scenie eksperymentalnej, a powinien się odbyć na głównej. Mdou Moctar to charyzmatyczny, niezwykle sprawny gitarzysta i wokalista z Nigerii. Powiedzieć o jego muzyce, że to Sahara Blues, to nic nie powiedzieć.

Zakręcone solówki, których nie powstydziliby się herosi gitary z zespołów progresywnego rocka, poparte charakterystycznym śpiewem i rytmem od razu wkręciły publiczność w świat muzyki egzotycznej, ale jednocześnie witalnej i przystępnej niemal dla każdego.

Wyczuł to lider i cały zespół serwując słuchaczom niezapomniany koncert. Ja zapamiętam go na długo. I tylko szkoda, ze artyści z grupy Jaubi wystąpili o tej samej godzinie, bo chodzą słuchy, że było równie bajkowo.

OXFORD DRAMA

The Armed

Ostrzyłem sobie zęby na to wydarzenie i jak to czsami bywa, występ rozczarował. Gdy zobaczyłem szeroki skład grupy nadzieje na porządny show jeszcze wzrosły. Czar prysł, gdy zaczęli grać. Wyglądali bardzo dobrze, ale brzmieli fatalnie.

Złe nagłośnienie kompletnie zabiło ten koncert. Nic nie brzmiało dobrze i nie pomogło nawet szukanie miejsca, w którym byłoby chociaż trochę lepiej słychać. Mam radę do muzyków z The Armed.

Zwolnijcie akustyków!

ALYONA ALYONA

Dry Cleaning

Po zepsutym występie The Armed przyszedł czas na wieczór poezji śpiewanej, czyli na brytyjski odpowiednik polskiego zespołu „Świetliki".

Dry Cleaning, to swoisty fenomen na brytyjskiej scenie. Wszyscy członkowie grupy pracują na etatach, jednocześnie grając w zespole, którego pierwsza płyta wylądowała na czwartym miejscu UK Albums Chart i pierwszym na liście albumów niezależnych. Wyglądająca na nieśmiałą wokalistka-recytatorka Florence Shaw wsparta przez znakomity zespół potrafi wytworzyć na scenie magię, która jest autentyczna.

keiyaA

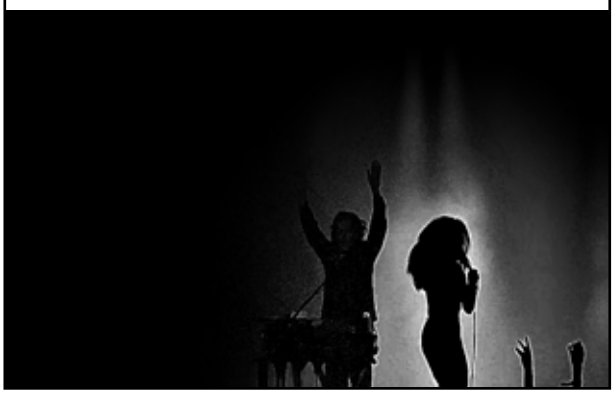

IGGY POP

Zespół brzmi tak, jakby grali razem przez całe życie. Gitarzysta Tom Dowse, to klasa sama w sobie. Sekcja rytmiczna też robi swoje. Zespół złożony z wykładowców akademickich, konstruktora mebli i pracownika socjalnego? Jeśli to jest przepis na inteligentnego rocka, to czemu nie?

Iggy Pop

Koncert jednego z wykonawców, których zawsze chciałem zobaczyć. Nie byłem na występie The Stooges, który był na OFF Festivalu w 2012 roku, czego żałuję, bo jestem fanem The Stooges. Frekwencja na koncercie gwiazdy festiwalu wskazywała, że żywe legendy mają ciągle czego szukać nawet wśród nieco młodszej publiczności.

Koncert był wspaniały, nie zabrakło hitów z bogatej kariery Iggiego, było kilka utworów The Stooges w moim zdaniem bardziej popowych wersjach.

Iggy Pop, chociaż widać po nim ślady zmęczenia burzliwym ponad siedemdziesięcioletnim życiem, był w formie. Głos bardziej chropowaty niż dawniej, ale ciągle mocny. Zespół wzbogacony o sekcję dętą brzmiał bardzo dobrze.

Niektóre aranżacje zostały rozbudowane, aby wykorzystać potencjał muzyków. Iggy udowodnił, że wciąż jest wielki. Chociaż nie musiał, bo przecież wiemy to od bardzo dawna.

Mam wrażenie, że z perspektywy czasu będzie to jeden z najwyżej ocenianych występów w historii offa.

Dzień trzeci. Czas refleksji

Ostatni dzień OFF Festivalu zwykle kończył się występem headlinera. W tym roku jakoś go nie dostrzegłem, ale może się nie znam. Siłą tego festiwalu nie są gwiazdy, ale małe fajerwerki, odkrycia, których się nie spodziewamy. I tego mi na tegorocznym OFF Festivalu zabrakło.

Crows

Fajny zespół z Wielkiej Brytanii, który dobrze sprawdza się na koncertach, gdzie ich nawiązujący do punkowych korzeni rock'n'roll brzmi najlepiej. Muzyka do łagodnego pogo, skakania.

Dobry kontakt z publicznością. Wszystko, czego oczekiwałem. Dobry występ.

DZIARMA

Yard Act

Kolejny zespół reprezentujący nową falę brytyjskiego post punku, którego koncert był prawdziwą perłą ostatniego dnia Offa. Otrzymaliśmy inteligentnie zagraną mieszankę indie rocka, disco, a nawet hip-hopu.

Muzycy Yard Act wykazali się muzyczną elokwencją, którą zachwycili pierwszego dnia członkowie Squid.

Pozytywne zaskoczenie, dobry dźwięk, dla mnie jeden z najlepszych koncertów tegorocznego OFF Festivalu.

Papa Dance

Podobno Papa Dance grał na żywo. Szacun.

Shygirl, na którą się wybierałem odwołana.

CROWS

Podsumowanie

Post covidowy Off Festival był wydarzeniem udanym. Kilka koncertów zostanie ze mną na dłużej. Przyjaciele, z którymi miałem przyjemność spędzać czas i dzielić się wrażeniami, skutecznie zrazili mnie do offowego jedzenia, więc tym razem kulinarnych recenzji nie będzie.

Piwo chyba najlepsze w historii. To tyle. Do zobaczenia za rok!

Fotoreportaż z OFF Festival 2022 na naszej stronie internetowej www.projektorkielce.pl

PAPA DANCE

Łukasz Szaruga

„Fiordy lodowe mgłami zasnute...”

Gdyby tak zastanowić się, co poza sekwencjami akordów, wirtuozerią wykonawczą (lub jej brakiem), przyjętą skalą czy wyobraźnią twórczą determinuje charakter kompozycji muzycznych, to bazując chociażby na świadectwach muzyków zaludniających lodowe połacie Norwegii czy Islandii, jako niebagatelny jawi się wpływ środowiska naturalnego. Oddziaływanie zmysłowe dzikich i zniewalająco malowniczych scenerii Północy na twórczość norweskich czy islandzkich artystów, niezależnie, czy mamy do czynienia z twórcami muzyki elektroniczno-awangardowej (Björk) lub z wykonawcami black metalowymi, trudno jest przecenić. Dla kogoś nieobeznanego ze skutymi lodem światami jedną z dróg zaznania ich czaru pozostają zdjęcia w Google Image, bądź muzyka.

Słowo „Isafjørd”, oznaczające w języku islandzkim „lodowe fiordy” ufundowało nazwę projektu muzycznego, którego trzon stanowią Aðalbjörn Addi Tryggvason (wokalista Sólstafir) i Ragnar Zolberg (mający swój udział w kapelach Sign/x, Pain of Salvation). O ile zaangażowanie Tryggvasona ostatnimi czasy w projekty poboczne może wskazywać na przygaśnięcie splendoru jego macierzystego zespołu, to nasuwa się pytanie, na ile duch Sólstafir przenika w ich dźwiękowy krwioobieg.

I faktycznie, w przypadku Isafjørd atmosfera, którą przesycona jest muzyka zawarta na „Hjartastjaki” przywołuje na myśl twórczość najpopularniejszej kapeli Tryggvasona, z naciskiem na album „Ótta” z 2014 roku, muzycznie nie wykreowano jednak widmowego odbicia tego wydawnictwa na sposób odtwórczy, kreując za to jakość diamentowo połyskliwą, skondensowaną i olśniewającą w poruszających kompozycjach, których dźwięki otulają słuchacza ciepłym, przyjaznym kożuchem („Mín Svarta Hlið”), rozsnuwając gitarowe smugi rozpływające się w oddalach percepcji niezmierzonych jak dziewicze połacie terenów Islandii. Króluje w tych melodiach poczucie czegoś utraconego, a co wciąż tętni utajonym zarodkiem życia w trzewiach ziemi rodzimej krainy, melancholia zasnutych mgłą fiordów, tchnących mroźnym prądem, który nie doskwiera, a czule szczypie policzki. Wyczuwalna bywa melodyka „sólstafirowa”, jak w utworze „Njálssaga”, innym razem zapada w pamięć świetny refren („Hjartastjaki”). Nawet brzmienie przywodzi na myśl oszronione ściany niebosiężnych turnii a wokale, pomimo egzotyczności języka, ewokują impresje współgrające z klimatem albumu.

Podczas odsłuchu towarzyszy nam stale duch ludów Północy, zintegrowanych z pomnikami natury, w obliczu których przyszło im żyć. My możemy to nazwać smutkiem utajonym pod strzechami domostw - oni szlachetną zadumą skutych lodem fiordów. Im pozostaje komponować muzykę tak poruszającą, jak na „Hjartastjaki”, nam zaś - rozkoszować się nią, planując podróż lotniczą na Islandię.

Isafjørd
Hjartastjaki
Membran
2022

Łukasz Szaruga

Komando z Przyszłości

Jednym z najdonioślejszych aspektów ujawniających się w co bardziej zażyłym i emocjonalnym kontakcie z muzyką jest jej zdolność do wyzwalania katartycznego doświadczenie indukowanego w słuchaczu w wymiarze mniej lub bardziej świadomym. Wielu czytelników zapewne doświadczyło specyficznego napięcia świadomości podtrzymywanego przez umiejętne budowanie dramaturgii kompozycji prowadzącej do grande finale, cody wieńczącej całość doświadczenia i kulminującej w nastaniu stanu katharsis. Muzyka dysponuje jednak bardziej bezpośrednimi środkami, mogącymi wywołać owo doznanie. Jednym z nich jest furia.

Powyższy akapit posłużył za wstęp ze względu na szczególny koloryt twórczości Valborg. „Der Alte" jest już ósmym albumem długogrającym niemieckiego tria i można zachodzić w głowę, dlaczego w obliczu dość okazałej dyskografii funkcjonuje ono w odmętach szeroko rozumianego metalowego podziemia, nie mogąc poszczycić się szerszą rozpoznawalnością. Odpowiedzi może dostarczyć charakter muzyki odartej z ozdobników, nie czarującej ekwilibrystyką wykonawczą, stroniącej od podniosłości i patosu, a na swój sposób pierwotnej

i bezwzględnej. Pierwsze wydawnictwa tchnęły grobowym zaduchem, wypełniały je bowiem brzmienia klimatyczne acz posępne, bezwzględnie odrzucające brokat przebojowości, jednakże oryginalne w swym wyrazie, co zyskało ostatecznie rewerencję luminarza sceny metalowej, Toma Gabriela Warriora, głównodowodzącego takich zespołów, jak Hellhammer, Celtic Frost, Triptykon. Jednorazowym jak dotychczas odstępstwem od brzmieniowego charakteru zespołu był krążek o wymownym tytule „Romantik". Kolejne wydawnictwa zaś, „Endstrand" i „Zentrum" są kwintesencjonalne dla stylu Valborg, pielęgnowanego do dziś i w stopniu zintesyfikowanym słyszalnego na „Der Alte".

Brzmienie masywno-industrialne, mechaniczno odhumanizowane tempa, redukcja środków wyrazu do niezbędnego minimum i furiacka energia osiągnęły tu swoje apogeum, z którego to diapazonu można albo pikować w dół ku krainom łagodności, bądź trwać na jego szczytach w generowaniu muzyki, która wielu odrzuci, innym zapewni doznania ekstremalne i być może satysfakcjonujące. Oprócz wolniejszych, atmosferycznych momentów (utwór tytułowy) króluje tu bowiem pędzący na złamanie karku peleton siarczystych riffów, gnającej jeszcze szybciej sekcji rytmicznej, a wszystko opływają grzmiące od furii (tak, wiele furii w tym tekście) wokale. Wystarczy wystawić błony bębenkowe na „rozkoszne" oddziaływanie utworów „Asbach", „Saturn Eros Xenomorph" czy „Attacke" by przekonać się o napastliwej intensywności tych kompozycji. Utwory skondensowane chwilami niemal do dwóch minut mogą jednak zaskoczyć odejściem od jednostajnej motoryki na rzecz bardziej eksperymentalnych eskapad.

Pomimo niewątpliwie chropowatego, kolącego charakteru całości, warto zanurzyć się w tej magmie dźwiękowej dla osiągnięcia wspomnianego na początku tekstu katartycznego orzeźwienia, fundowanego przez Panów z Valborg, Komando z Przyszłości, muzycznie gwałtowne niczym obyczaje plemion wczesnego neolitu.

Valborg
Der Alte
Promedia
2022

Grzegorz Niemiec

Piątka z Fortville

W ramach czwartkowego „Kina Teleferii", 12 czerwca 1980 roku, wyemitowano premierowy odcinek serialu „Wojna planet", bardziej znanego jako „Załoga G" (tyt. oryg. „Kagaku Ninja-Tai Gatchaman", serial tv 1972-1974, reż. H. Toriumi). Amerykański serial animowany, wzorowany na japońskim anime, opowiada o piątce młodych bohaterów, wykorzystujących nowoczesną broń do walki z kosmitami zagrażającymi Ziemianom. Film był pokazywany na antenie pierwszego programu telewizji, ponieważ w przekonaniu osób zarządzających TVP, podkreślał on pozytywne aspekty działania kolektywnego. I choć jego docelowym odbiorcą były dzieci, to oglądała go ogromna większość polskiego społeczeństwa, łącznie z wysokimi rangą działaczami PZPR.

Przemiany ustrojowe, jakie nastąpiły w Polsce po 1989 roku, doprowadziły wprawdzie do obniżenia rangi działań w kolektywach, ale nie zmniejszyły zainteresowania utworami skierowanymi do młodych odbiorców, które opowiadają o grupie ich rówieśników. Dlatego, jak sądzę, sukces odniesie komiksowa seria „Sami" (Wydawnictwo Egmont, rys. Bruno Gazzotti, scen. Fabien Vehlmann), której pierwszy tom zatytułowano „Zniknięcie". Intrygować może nie tylko wygląd okładki, ale także konstrukcja fabularna komiksu, czerpiącego inspirację z przeróżnych konwencji. Najpierw przyjrzyjmy się lśniącej, kredowobiałej okładce, na jej tle zamieszczono rysunek czarnoskórego chłopca trzymającego w ręku gruby patyk, łudząco podobny do kija bejsbolowego. Nieco dalej, na pierwszej stronie prologu, widzimy uśmiechniętych ludzi, spacerujących szerokimi alejami słonecznego Fortville. Wątpliwe by ktokolwiek z nich przypuszczał już wtedy, że za kilka stronic stanie się ofiarą, mającego wkrótce nastąpić... zniknięcia.

Czytelnik łatwo może ulec iluzji, że owo zniknięcie jest pochodną katastrofy klimatycznej bądź wybuchu jądrowego, jakie odnajdziemy w utworach zaliczanych do konwencji postapo. Ale omawiany komiks nie pasuje do grupy tych utworów, chociażby z uwagi na fakt, że w jego fabule brakuje wyraźnych oznak degradacji środowiska, będących następstwem jakiegoś kataklizmu, co mogłoby uprawomocniać porównywanie „potężnego zniknięcia" na przykład z potężną eksplozją jądrową. Może więc zaakceptować hipotezę, że autorzy komiksu wyciągnęli jak królika z kapelusza jakąś historię, która rozgrywa się w rzeczywistości równoległej. Nie byłoby to wcale takie złe. Przy ogromnym bogactwie dzieł wywołujących u czytelnika lęk przed klimatyczną bądź nuklearną zagładą, przynajmniej młodzi odbiorcy mogliby trochę odetchnąć przy mniej zobowiązującym matrixie, nieprzypominającym ani prozy Lewisa Carrolla (autora powieści „Alicja w Krainie Czarów" i „Po drugiej stronie lustra"), ani filmowej serii Lilly i Lany Wachowskich (m.in. „Matrix" z 1999 r., „Matrix Reaktywacja" i „Matrix Rewolucje" z 2003 r.). A może bohaterowie znaleźli się w ukrytej kamerze, albo czytelnik obserwuje projekcję zdarzeń, jakie zachodzą w obszarze Trójkąta Bermudzkiego, wówczas symbolicznym przejściem do tego obszaru, byłaby karta tytułowa komiksu, umieszczona dosyć niestandardowo, dopiero za kilkustronicowym prologiem.

Niezależnie od mnogości hipotez, akcja komiksu rozgrywa się bądź co bądź w dziwnie odmienionym Fortville, gdzie piątka rezolutnych bohaterów, uszedłszy cało ze zniknięcia, radzi sobie w ekstremalnie trudnej sytuacji. Wyselekcjonowaną z polityczną poprawnością ekipę tworzy para starszych, czarnoskórych dzieciaków – Dodji i Leïla, ich rówieśnicy wywodzący się z rasy białej – Yvan i Camille, oraz znacznie od nich młodszy Terry, reprezentujący celtycki typ urody. Grupa ta musi stawić czoła wściekłemu psu, po czym odeprzeć atak groźnych zwierząt, by już za chwilę szukać kryjówki przed burzą z grzmotami; i niejako „poza konkursem" zmagać się z ciągłymi kaprysami Terry'ego. Najczęściej bohaterowie szukają schronienia w dobrze sobie znanych miejscach. Co ciekawe najbezpieczniej jest w gabinecie ojca Yvana na 64 piętrze wysokiego biurowca. Mamy więc tutaj wyjątek od wzorca lansowanego w kinie, chociażby w filmach „Płonący wieżowiec" (1974, reż. J. Guillermin) i „Szklana pułapka" (1988, reż. J. McTiernan), gdzie przebywanie w drapaczu chmur jest równoznaczne z niebezpieczeństwem zagrażającym życiu.

Niezwykłe tempo akcji „Zniknięcia" podkreślają pełne dynamiki rysunki Bruno Gazzottiego. Z mimiki

twarzy rozpoznajemy w jakim nastroju mogą być bohaterowie. Widzimy jak cieszą się zażywając kąpieli w fontannie, są podekscytowani w sekwencji brawurowej jazdy samochodem, a później przerażeni w scenach starcia z nosorożcami i tygrysem, aż po ostatnią scenę w parku, gdy są zrelaksowani, jako że przynajmniej tymczasowo, udało im się powstrzymać wszelkie zagrożenia i załagodzić wszelkie spory. Można dzięki temu poprzysiąc sobie długą przyjaźń. Padają więc słowa pełne otuchy, z których wynika, że wszystkie trudności można przezwyciężyć, trzeba się tylko lepiej zorganizować. Interesująco rozwiązano też kwestie partii dialogowych, wypowiedzi postaci ujęto w „modelowe dymki", niekiedy zachodzące na siebie, co zdaje się korespondować z natłokiem myśli i częstymi zmianami nastroju bohaterów. Poza dymkami znalazły się tylko charakterystyczne odgłosy – bumy, pachy, klapy, brzdęki i trzaski, zsynchronizowane z tonacją kolorów użytych w poszczególnych scenach. W tym przypadku nie zauważymy odstępstwa od klasycznych reguł, z racji tego, że gdy bohaterom zagraża niebezpieczeństwo dominuje czerń, brąz i zgniła zieleń, zaś gdy czują się oni komfortowo przeważają barwy żółte, turkusowe, seledynowe i malachitowe. Nieoczekiwanym zwrotom akcji podporządkowano także „geometrię ramek", tym samym kadry, tworzące bardziej złożone jednostki fabularne, zapełniają większość stron siatką podłużnych i poprzecznych prostokątów o nieregularnych kształtach.

Dzięki tym specyficznym zabiegom powstał interesujący komiks, przy którym nie można się nudzić. Efekty wytężonej pracy Bruno Gazzottiego i Fabiena Vehlmanna docenili jurorzy festiwalu w Angoulême. Tom „Zniknięcie" otrzymał w 2007 roku nagrodę w kategorii komiksów dla dzieci w wieku od 9 do 12 lat. Ostatecznie świat bez dorosłych nie jest taki zły, niech realizują się zatem fantazje dzieciaków, czerpiących radość z nieograniczonej swobody oraz możliwości sprawdzenia się w krańcowo trudnych sytuacjach. Wydawnictwo Egmont przygotowało już kolejne tomy przygód sympatycznej piątki: „Nożownik z Fortville", „Klan Rekina", „Czerwone kurhany" i „Mroczny wir". Młodzi czytelnicy nie mogą więc narzekać, z pewnością nie pozostaną zbyt długo sami.

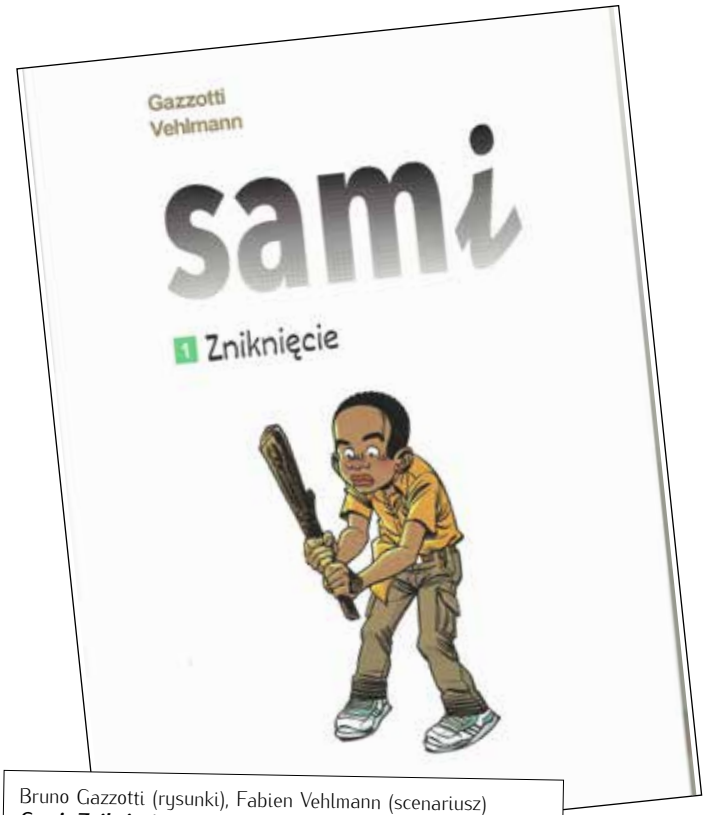

Bruno Gazzotti (rysunki), Fabien Vehlmann (scenariusz)
Sami. Zniknięcie
Tłumaczenie: Agata Cieślak
56 s. ; 29 cm.
Warszawa: Egmont
Polska, 2022

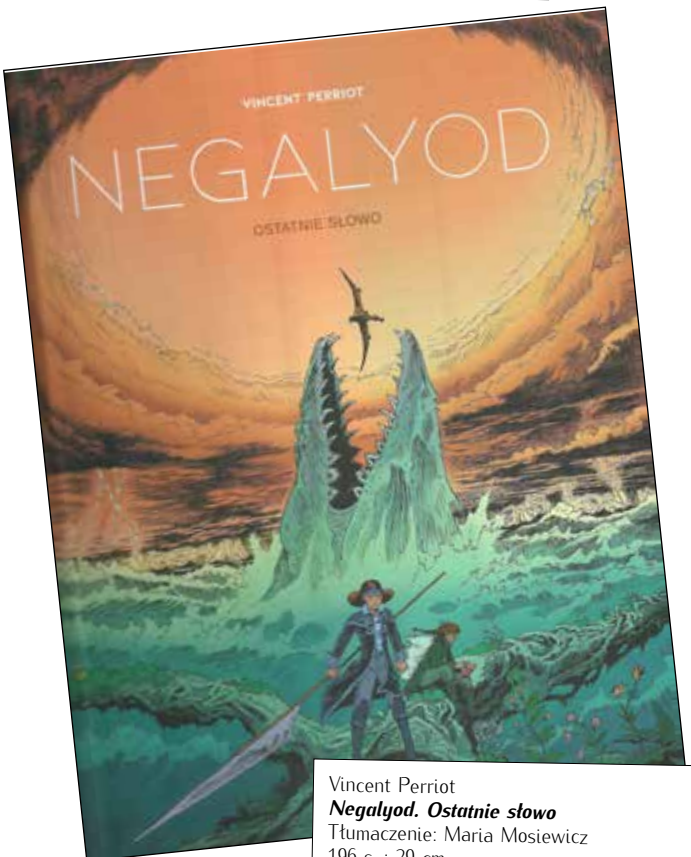

Vincent Perriot
Negalyod. Ostatnie słowo
Tłumaczenie: Maria Mosiewicz
196 s. ; 29 cm.
Warszawa: Egmont
Polska, 2022

Emmanuella Robak

Sny, dinozaury i wojna maszyn

Komiks Vincenta Perriota „Negalyod" pojawił się na rynku wydawniczym w 2020 roku i od razu zdobył uznanie czytelników. Świetna historia, do tego genialnie narysowana, nie mogła zostać pominięta w świecie komiksu. W 2022 r. doczekaliśmy się kontynuacji historii. Druga część ukazuje dalsze dzieje bohaterów i ich potomków. Czy i tym razem autor zabiera nas w podróż pełną przygód i wspaniałości?

„Negalyod. Ostatnie słowo" to świat zbudowany z rozmachem, który pragnie się zwiedzać, eksplorować i analizować. Trzeba mieć czas na czytanie tego komiksu, żeby na spokojnie studiować pojedyncze kadry (te potrafią zajmować dwie strony), zauważając coraz to nowe detale. Umiejętność rysowania Perriota jest niezwykła. Dużo jest niemych plansz, bez podpisu czy dymku, które dają czytelnikowi możliwości własnej interpretacji rozgrywających się wydarzeń. Już pierwsza strona jest niema, zaczynamy historię od subiektywnych refleksji.

Kolory doskonale współgrają z fabułą. Są żywe, wyraźnie, dopasowane do przestrzeni – oceany są granatowe, pustynie czerwono-brązowe, ląd przedstawiony jest w różnych odcieniach zieleni. Twarda oprawa, format A4 i kredowy papier dodają zawartości wizualnego uroku. Okładka świetnie zapowiada fabułę - widzimy wodnego potwora, pewną siebie bohaterkę i wzburzony ocean. Możemy się od razu domyśleć: to będzie prawdziwa przygoda. Grafika wykorzystana na okładce przypomina mi trochę światy Franka Herberta, pomieszane z podmorską żeglugą Juliusza Verne'a.

Jeśli chodzi o scenariusz, historia od razu nabiera tempa, nie jest przegadana, nie nudzi, aczkolwiek fabuła jest troszkę poszatkowana. Nie wszystkie wydarzenia są oczywiste. Perriot pokazuje nam dalsze losy bohaterów, których poznaliśmy w pierwszej części. W pewnym momencie historia przeskakuje o 16 lat do przodu i śledzimy losy dzieci naszych bohaterów – dwóch bliźniaczek, Iriany i Nane. Nane jest wojowniczką, a Iriana posiada umiejętność widzenia przyszłości w czasie snu. Dzięki snom dziewczyna jest w stanie podejmować właściwe kroki, które pozwolą jej ocalić bliskich. Bo niestety świat, w którym żyją bohaterki, ich ojciec i matka, zmienił się w chaos: piraci atakują lądy, zwierzęta atakują ludzi, ludzie polują na zwierzęta, a dinozaury wciąż konkurują z zaawansowanymi maszynami. Nie ma tu zgody, harmonii i miłości, jakiej spodziewano się po wydarzeniach z pierwszej części. Jest za to rywalizacja i chęć przejęcia władzy. By ten chaos okiełznać potrzebny będzie – dosłownie – wielki potop. I tak jak w biblijnej opowieści, najpierw woda wszystko zatopi, by na miejscu starego, wybudowało się nowe. Żywioły pod koniec fabuły przejmują władzę nad światem, przetrwają tylko najsilniejsi i najsprytniejsi. Przyroda jest dzika i nieujarzmiona, nie jest jedynie tłem wydarzeń, ale staje się jednym z bohaterów. Czy to ona wygra ostateczne starcie?

Bardzo ważną rolę odgrywają w komiksie elementy o symbolicznym znaczeniu: sny (które zwiastują przyszłość), muszla (symbol przymierza) oraz prorocza księga (historia świata i ludzkości, księga Genesis). Ta ostania ma ogromne znaczenie - ukończona za szybko może zmienić bieg czasu, a czytana w odpowiednim tempie, będzie modelować istnienie świata. Księga pełni w fabule mistyczną rolę. Przekazywana z pokolenia na pokolenie, jest jak totem, magiczny przedmiot, który w rękach odpowiedniego właściciela nabiera mocy.

Końcówka historii zaskakuje – skłania do refleksji, pokazuje alternatywne rozwiązanie. Myślę, że zakończenie wielu czytelników wprowadzi w konsternację. Z prostej przygodówki, w której bohaterowie walczą o przetrwanie, wkraczamy w mistyczne rozważania, egzystencjalne przemyślenia o świecie, istnieniu i życiu. Ja byłam pozytywnie zaskoczona taką zmianą klimatu. Finał nie jest banalny, pozostawia czytelnika z wieloma pytaniami (czy zatem jest to faktycznie „ostatnie słowo"?). Do tej historii na pewno jeszcze powrócę. A na tę chwilę mogę jedynie zachęcić do lektury!

Paweł Chmielewski

Rozmowy przy stole

Kilka miesięcy temu otrzymałem, od mojej znajomej z Iranu, strzępki nagrań, dłuższe video, na którym goli sobie głowę oraz informację o ostatnich wydarzeniach w stolicy perskiego państwa.

Przypomnę może kontekst sytuacji: Mahsa Amini - 22-letnia irańska dziewczyna została aresztowana (właściwie porwana z ulicy) przez „policję ochrony moralności"- pod pretekstem „nieobyczajnego zachowania i stroju", parę kosmyków włosów wystawało spod jej hidżabu - zmarła kilka godzin później w szpitalu. Najpewniej z powodu brutalnych tortur. Oficjalne stanowisko władz to „zawał serca". Śmierć dziewczyny wywołała masowe demonstracje kobiet i niektórych liberalnie nastawionych mężczyzn (w Teheranie, Yazd, Kurdystanie itp.) - w całym kraju, a nawet w Qom (to miasto-siedziba mułłów).

Potem protesty wszczęli studenci na uniwersytetach, a profesorowie odmówili prowadzenia zajęć, dopóki więźniowie polityczni nie zostaną uwolnieni. Przeciwko demonstrującym kobietom wysłano oddziały ubrane w kamizelki kuloodporne, wyposażone w pałki teleskopowe, paralizatory i gaz pieprzowy. Iranki - w proteście odrzucają hidżab (najbardziej widoczny znak ucisku) i golą głowy. Nasilają się represje, aresztowania, kilkadziesiąt osób zginęło, tysiące oczekują na proces, a wyrokami niejednokrotnie będzie zapewne kara śmierci.

Znajoma Iranka (której imienia nie podam ze względów bezpieczeństwa), posługując się serwerami VPN już od kilku lat – wraz z paroma koleżankami – usiłuje prowadzić w Teheranie żeńską kapelę metalową. Jakkolwiek absurdalnie by to nie zabrzmiało – spotykają się w prywatnych mieszkaniach, tylko w gronie zaufanych osób – przebierają w stroje rockmanek i w obawie przed sąsiadami (nie wiadomo kim jest donosiciel tajnych służb) wykonują tradycyjne pieśni, najczęściej oparte na tekstach średniowiecznego wieszcza perskiego – Hafeza. Ten epizod z życia jednej kobiety w patriarchalnym i teokratycznym Iranie przywołuję jako kontekst (chociaż poboczny i niebezpośredni) nowego komiksu Marjane Satrapi „Wyszywanki". Ten zbiór kilkunastu opowieści przy stole (niczym prastarym ognisku), toczonych niespiesznie jest swego rodzaju glossą do słynnego „Persepolis", autobiograficznej opowieści o dorastaniu i ucieczce z autorytarnego państwa. Te rozmowy podczas przygotowania posiłków i codziennych prac domowych – czasem dowcipne, czasem straszne, niekiedy surrealistyczne – o dzieciach, mężach, obowiązku, przymusowym małżeństwie, małżeństwie z miłości, ucieczce, o zdradzie, męskich obsesjach, operacjach plastycznych, składają się nie tylko na obraz życia kobiety w republice islamskiej, ale nawet szerzej – na obraz szyickiego Iranu ajatollahów. Nie w sposób bezpośredni – bo rozgadane bohaterki unikają tematów politycznych – ale podskórnie, domyślnie, „między wierszami".

Konstrukcja „Wyszywanek" przypomina inną – tym razem filmową – relację z życia codziennego współczesnych Irańczyków. To paradokumentalny obraz „Taxi Teheran" Dżafara Panahiego z 2015 r., cykl rozmów z mieszkańcami stolicy w taksówce, której kierowcą był sam reżyser. Zestawiam kilka tych obrazów – relację znajomej dziewczyny, komiks Satrapi, film Panahiego w jeden obraz, zjawisko, które za kilka miesięcy, lat, dekad rozsadzi zmurszałą strukturę społeczeństwa – to obyczajowa rewolucja, to zmiana świadomości nowoczesnego świata, budząca się w domach i na ulicach irańskich miast. A wszystko zaczyna się od pozornie banalnych, kobiecych rozmów przy kuchennym stole.

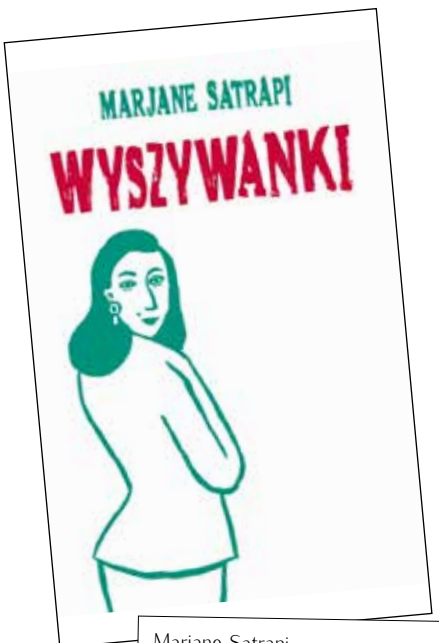

Marjane Satrapi
Wyszywanki
Tłumaczenie: Paweł Łapiński
140 s. ; 25 cm.
Warszawa: Egmont
Polska, 2022

Paweł Chmielewski

Marylin Monroe tragiczna i cudowna

Zaledwie kilku polskim ilustratorom i rysownikom komiksów udało się zaistnieć w świadomości wydawców i czytelników zachodnioeuropejskich (przede wszystkim na rynku frankofońskim). Obok Grzegorza Rosińskiego postacią rozpoznawalną w środowisku stał się (kilkanaście lat później) Zbigniew Kasprzak. Dwa lata po antologii komiksu fantastycznego „Bogowie z gwiazdozbioru Aquariusa", Egmont wydaje kolejny zbiór Kasprzaka – „Wielkie wyprawy".

Identycznie jak w przypadku poprzedniego wydawnictwa krótką przedmowę do zbioru podróżniczych – krótszych (kilkustronicowych) i obszernych komiksów – napisał Adam Rusek. Przymiotnik „podróżniczy" może być jednak w tym przypadku odrobinę mylący, chyba że potraktujemy wyprawę w sposób trochę metaforyczny – jako retrospekcję, dojrzewanie do decyzji, psychologiczną i społeczną przemianę. Jest to zresztą zbiór będący, na swój sposób, wyprawą samego autora, podróżą poprzez formy i style – od naśladującej nieomal czarne-białe drzeworyty, niczym wczesnorenesansowe ryciny, przez niezwykle barwne awanturnicze ekspedycje (rysunkowe) w głąb Kanady w klimacie najlepszych frankofonów, po malarską i bodaj najlepszą w całej antologii opowieść o śmierci i życiu ikony amerykańskiego kina „Spadająca gwiazda – Marylin Monroe". Ten zestaw pokazuje jak multistylistyczny potrafi być Kasprzak.

We wstępie przeczytamy dokładny opis pierwodruku każdej z dwunastu historii rysunkowych oraz parę anegdot związanych z ich powstaniem lub światem przedstawionym i przyjemnie się to czyta, choć w dwóch akapitach opadły mnie troszeczkę wątpliwości – omówienie historycznych obrazków „Srebrna tabakiera" i „Sobiescy w Krakowie" przywołuje inspiracje Boschem, Rubensem, Stwoszem i Matejką. Ostatniego natychmiast wyłapujemy przy odwzorowaniu ikonicznego wizerunku Rejtana, rzeźbiarza z Norymbergi poznajemy przy całoplanszowej dyskusji o walorach artystycznych jego ołtarza w bazylice mariackiej w Krakowie, Rubens możemy odszukać w batalistycznych scenach walki. Trochę nie mogę odnaleźć tam jednak Boscha, raczej w zbiorowych, gargantuiczno-chaotycznych i pełnych postaci kadrach dopatrywałbym się Breugela, tego Starszego, zw. „Chłopskim", zaś w „Podróżnikach", zamiast atmosfery rodem z Jamesa Curwooda, stawiałbym raczej na inspiracje cyklem Jamesa Fenimore'a Coopera, na co wskazują nie tylko realia scenograficzne komiksu, ale i informacje rozsiane w tekście. Jest oczywiście w tej pięknie rozrysowanej i dynamicznej części drugiej („Grizli") niedźwiedź, a starcie cywilizacji z naturą przywołać może „Władcę Skalnej Doliny", choć realistyczny brutalizm kadrów Kasprzaka przypomnieć nam może raczej autentyczną historię, przeniesioną dwieście lat później na ekran w „Zjawie" przez Alejandro Gonzaleza Iñárritu.

Marylin Monroe jest tutaj cudowna, efektownie błyszcząca na tle filmowego przemysłu i otaczających ją mężczyzn z Arthurem Millerem, czyli jednym bodaj z trzech, czterech najbardziej wyrazistych dramaturgów amerykańskich XX wieku. Jest zarazem – za sprawą owych mężczyzn – postacią tragiczną, pogrążającą się w depresji, uzależnieniu, usiłująca (zresztą bezskutecznie) dogonić mit, którym stała się za życia. Nie bez przyczyny niektóre sceny rozgrywają się na filmowym planie „Skłóconych z życiem", epitafium dla starego Dzikiego Zachodu i ostatnich ról Clarka Gable i właśnie MM. Historia zostaje opowiedziana w kolejności odwrotnej – od mrocznej i tajemniczej śmierci aktorki do malowanego radosnymi, pastelowymi barwami dzieciństwa.

Zbigniew Kasprzak
Wielkie wyprawy
264 s. ; 29 cm.
Warszawa: Egmont
Polska, 2022

Paweł Chmielewski

Kadry w kalejdoskopie

Cztery miasta, cztery miejsca – niewielki fragment. Plansze, albumy, wystawy. Subiektywny przegląd. Zapraszam tym razem do podróży z Angoulême, przez Brno i Pragę do Jeleniej Góry (a pośrednio i Rzeszowa oraz Ostrowca Świętokrzyskiego). Tę ostatnią wędrówkę objaśnię w tekście. Spotkamy Wiedźmina, Elvisa, pewną sprytną mrówkę, Barbarellę, tytanów i kilku samurajów.

Triumf Azji i Boski Elvis

15 kwietnia 2019 r. wszystkie serwisy światowe podały najpierw informację, a niedługo potem wyemitowały nagrania ukazujące pożar katedry Notre-Dame w Paryżu. Po czterech latach – w drodze z lotniska na dworzec kolejowy Gare Montparnasse – mijamy miejsce katastrofy. Stoją dźwigi, widać robotników, bryłę średniowiecznej świątyni (której znana z niezliczonych reprodukcji wielka rozeta rozpadła się na miliony kawałków) otacza wysokie ogrodzenie. Na jednej ze ścian czytamy historię pożaru, widzimy fotograficzny dokument ukazujący skalę zniszczeń. Na sąsiedniej, wielkoformatowe komiksy – artystyczną wizję odbudowy i projektu zabezpieczeń przeciwpożarowych autorstwa pięciu twórców: Zeiny Abirached, Adjima Danngara, Sandrine Martin, Mathieu Sapina i Françoisa Schuitena. Zaś peron w dzielnicy Montparnasse wita nas zestawem komiksowych plansz, zapowiadających wystawę „50 na 50". Od połowy stycznia we Francji trudno uciec przed kolorowymi kadrami. Na nieomal każdym dworcu, na słupach ogłoszeniowych, przystankach, w metropolii i małych miasteczkach – wszyscy zapraszają na Festival International de la Bande Dessinée d'Angoulême. Ta reklamowa machina jest przemyślana, radosna i doskonale pokazuje miejsce komiksu, jako dziewiątej sztuki wyzwolonej, w świadomości francuskich artystów, czytelników, wydawców, polityków oraz dziennikarzy. Na pięćdziesięciu dworcach (w Paryżu, Lyonie, Bordeaux, Caen, Marsylii) otaczają turystów komiksowe plansze, a w Angoulême – nieomal dosłownie – tuptamy po głowach smerfów i Gargamela wymalowanych na schodach w podziemnym przejściu.

Dziennik „Liberation", którego współzałożycielem był Jean Paul Sartre, przygotowuje komiksową okładkę i dwanaście stron materiałów o festiwalu, tygodnik „Le Point" drukuje specjalny, darmowy numer, poświęcony opowiadaniom obrazkowym, w regionalnym periodyku „Charente Libre" na winiecie przez kilka dni w roli głównej występuje kot Felix (maskotka BD), a w środku każdego numeru znajdziemy festiwalową gazetę. O całostronicowych plakatach i reklamach publikowanych w nieomal każdym

Parkan okalający katedrę Notre-Dame w Paryżu i komiksy ukazujące odbudowę świątyni, przygotowane we współpracy z festiwalem w Angoulême. Fot. Paweł Chmielewski

Pod koniec stycznia cała francuska prasa publikuje artykuły o festiwalu. W głównej roli występuje zawsze kot Felix (oficjalna maskotka wydarzenia. Fot. Paweł Chmielewski

czasopiśmie od Bordeaux do Périgueux nie wspomnę. Artykuły to przede wszystkim obszerne zapowiedzi wystaw i wywiady z artystami. Najczęściej z kimś z trójki: Julie Doucet, Riad Sattouf i... Bastien Vivès. Dwa pierwsze nazwiska znalazły się na liście, jako laureaci festiwalowego Grand Prix w 2022 i 2023 r. Natomiast postać Vivèsa to efekt zamieszania i potężnego sporu, który zaabsorbował środowisko artystyczne (i wielu polityków) we Francji kilka tygodni wcześniej, jeszcze zanim jubileuszowa, pięćdziesiąta edycja na dobre się zaczęła. Jednym z punktów Angoulême'23 (i zarazem dużym wydarzeniem) miała okazać się wystawa „Dans les yeux de Bastien Vivès". Autor „Le Goût du Chlore", to nie tylko gwiazda francuskiej ilustracji, enfant terrible, ale i laureat nagrody festiwalowej za najlepszy debiut (2009), zaś za „Polinę" (2011) – nagrody francuskich krytyków. Równocześnie Vivès jest twórcą „Małego Pawełka" („Petite Paul" z 2018 r.), komiksu, który (sprzedawany od pewnego momentu przez oficynę Glénat w nieprzezroczystym opakowaniu) opowiadając losy dziesięcioletniego chłopca, zostaje uznany przez część środowiska artystycznego za promujący pedofilię i kazirodztwo, zaś krytyków (chociażby brytyjskich) za kontynuację przerysowanej, kontrowersyjnej satyry rysunkowej ubiegłych wieków, chociażby epoki georgiańskiej. Album zostaje wycofany z dystrybucji przez większość francuskich księgarń, a Vivès staje się bohaterem internetowej petycji, która przywołuje jego – delikatnie mówiąc - kontrowersyjne wypowiedzi w mediach społecznościowych oraz groźby wobec kilku rysowniczek. Organizatorzy festiwalu wytoczyli równie ciężkie działa i protest wobec obecności autora „Poliny" nazwali powrotem cenzury, przywołując procesy, w których oskarżonymi byli Gustav Flaubert i Charles Baudelaire. Kiedy wpłynęło oświadczenie, iż festiwalowi (który w tym roku odwiedziło ćwierć miliona turystów) grozi bojkot, a przynajmniej protesty przed Cite de la BD Vaisseau Moebius (główna siedziba biblioteki, gdzie wystawiać miał swe prace artysta), prezentację odwołano. Bastien Vivès nie zrezygnował, wygłaszając – już w trakcie festiwalu – płomienne oświadczenie, a w jednej z sal wystawienniczych odbyła się debata po hasłem „opowieści o cokolwiek absurdalnej sytuacji". Petycję podpisało

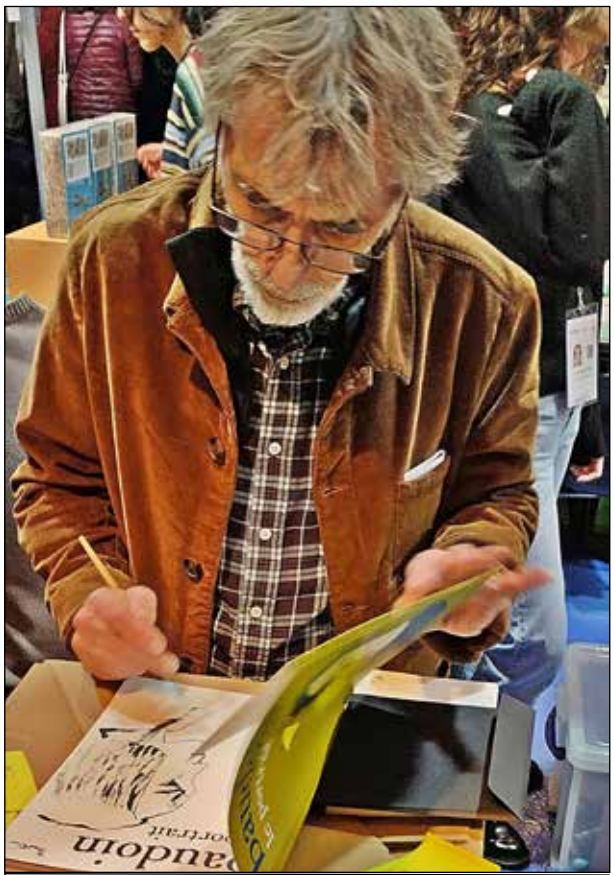

Edmond Baudoin, ikona francuskiego komiksu (współpracował m.in. z noblistą Le Clezio) podpisuje swoje albumy. Fot. Paweł Chmielewski

Komiksy Philippe'a Druilleta i muzyka grupy Zombie Zombie, czyli performance w Chapelle . Fot. Paweł Chmielewski

jednak ponad 3 tys. osób, w tym wielu znanych twórców, a „Petit Paul" i jego autor stali się – przynajmniej w internecie – bohaterami (lub raczej antybohaterami) o „największych zasięgach".

Poznaliśmy już trochę atmosferę okołofestiwalową więc – jak mawiał jeden z protagonistów anonimowej XV-wiecznej farsy „l'Avocat Pathelin" – „Powróćmy do naszych baranów" (czyli sedna sprawy) i przypatrzmy się jakie polskie akcenty udało się wychwycić na najważniejszym komiksowym festiwalu w Europie. Podczas ubiegłorocznej imprezy – przy ulicy Hergé (kilkadziesiąt metrów od popiersia twórcy Tintina) – otwarto Pavillon d'Angoulême (dokładnie Pawilon Miast Kreatywnych UNESCO). To właśnie tam prezentowane były wystawy – na parterze polskiego, a na piętrze czeskiego komiksu. Powód był dość prosty: Praga i Kraków to jedne z miast partnerskich literatury UNESCO. Tym razem pawilon dedykowany został francuskojęzycznemu Quebecowi i trzydziestu rysownikom z Kanady. Patrząc na kanadyjską prezentację, jej rozmach, konsekwencję i przemyślaną konstrukcję, na tematyczną różnorodność, dostrzegamy dokładnie, o co podczas festiwalowej promocji chodzi. Organizatorzy doskonale wykreowali nie tylko swą obecność, ale i zaprojektowali prestiżową przestrzeń. Bardzo – nie tyle nowatorsko, co przede wszystkim praktycznie – zaaranżowana wystawa „20 twarzy komiksu w Quebecu", na której pokazano prace m.in. Valérie Boivin, Paul Bordeleau, Djief, Esbé, Jacques Lamontagne, Stéphanie Leduc i Caroline Soucy (wraz z krótkimi biogramami i kontaktami do twórców) zaistniała w otoczeniu kilku stolików, przy których artyści nieustannie dyskutowali z widzami, rozdawali autografy i wrysy. Przy wejściu zainstalowane zostało tymczasowe studio nagraniowe, rejestrujące nie tylko wywiady, ale i przygotowujące regularnie audycje dla rozgłośni radiowych

Reklama francuskiej edycji „Andzi" Przemysława Truścińskiego w formie znaków drogowych. Fot. Paweł Chmielewski

Phillipe Tomblaine podpisuje książkę o historii 50. edycji festiwalu komiksu w Angoulême. Fot. Paweł Chmielewski

i transmisje internetowe. W zaaranżowanej salce bocznej zorganizowano niewielką przestrzeń wykładową, gdzie regularnie odbywały się multimedialne prezentacje kanadyjskiego komiksu. Prezentacja kanadyjskiej prowincji - jak się dowiaduję kilka tygodni po festiwalu kosztowała kilkadziesiąt tysięcy euro, zaś w trakcie czterdziestej dziewiątej edycji (jak s poinformowano uczestników) zabrakło finansów na publikację katalogu polskiej wystawy. To tylko taki niewielki przykład.

Zdając sobie sprawę z językowego pokrewieństwa Angoulême i frankofońskiego Quebecu można zauważyć jednak dość wyraźną tendencję – obok ekspansji, jeśli nie nawet swego rodzaju dominacji, komiksu azjatyckiego (przede wszystkim z Japonii i Tajwanu), akcje promocyjne, darmowe wydawnictwa, spotkania z twórcami i krytykami, specjalnie przygotowane katalogi monograficzne instytucji artystycznych z Kanady, krajów iberyjskich, Skandynawii - bezpośrednio przekładają się, chociażby, na ilość festiwalowych nagród i wystaw. Obok, co oczywiste, artystów francuskich, ubiegłoroczną laureatką Grand Prix zostaje właśnie Kanadyjka – Julie Doucet, a wśród nagrodzonych w 2023 r. odnajdujemy wielu twórców z Japonii i Hiszpanii. Jeden z prestiżowych laurów zdobywa zaś artystka ze Szwecji (to też, jak się wydaje, efekt coraz wyraźniejszej obecności

Erik Veaux, tłumacz „Andzi" Przemysława Truścińskiego przy stoisku Polskiego Stowarzyszenia Komiksowego. Fot. Paweł Chmielewski

Wystawa „Colours" w Vaisseau Moebius. Fot. Paweł Chmielewski

skandynawskiego komiksu na europejskim rynku). W tym roku jedyną nagrodą dla polskiego twórcy okazuje się Prix des Écoles d'Angoulême za scenariusz dla Marzeny Sowy i rysowniczki Dorothée de Monfreid, autorek komiksu „La petite évasion". To metaforyczna opowieść dla dzieci, której bohaterami – niczym w klasycznej oświeceniowej opowiastce edukacyjnej – są mały pajączek, który nie ma talentu do tkania sieci, świetlik święcący tylko „do połowy", szczerbata muszka, płaczliwy mały trzmiel i prywatny internat szkolny prowadzony przez okrutnego Pana Chrząszcza. Pewnego dnia cała czwórka bohaterów postanawia uciec z tego – jakże przyjemnego – przybytku edukacji. I oto zaczyna się pełna przygód wędrówka. Marzena Sowa, od lat mieszkająca we Francji, jest znana polskim czytelnikom dzięki serii „Marzi" o rudowłosej dziewczynce dorastającej w architektoniczno-mentalnej przestrzeni PRL-owskiego blokowiska.

Jak się dawniej mówiło „honoru domu" broniło w tym roku Polskie Stowarzyszenie Komiksowe, organizując stoisko w namiocie wydawców mniejszych i niezależnych (Le Nouveau Monde), oferując około stu tytułów polskich twórców. Dyżury rysunkowe pełnili m.in. Michał „Śledziu" Śledziński (znany jako autor „Osiedla Swoboda"), Marek Turek (m.in. „Wydział 7"), Marcin Podolec („Bajka na końcu świata"), a na stoiskach innych oficyn można było spotkać Marię Rostocką (Editions FLBLB), podczas 49. edycji nominowaną do nagrody w kategorii album obcojęzyczny za „La fine de juillet". Stoisko PSK (wynajem miejsca w Angoulême jest stosunkowo drogi – 2300 euro) finansuje Instytut Książki. W salonie „młodych artystów" (przy pawilonie rezydencji artystycznych), jako jednej z kilkudziesięciu stypendystek pokazano prace „Falauke" (Katarzyny Dziergaczow).

Osobnym, polskim zjawiskiem na festiwalu okazuje się francuska premiera albumu „Andzia" Przemysława „Trusta" Truścińskiego do tekstów Piotra Mańkowskiego (recenzja „Nowy Napis", nr 107). Opublikowany w Polsce przez Timof Comics, zaś nad Sekwaną nakładem Editions de la Cerise. Premierze towarzyszyła wystawa prac Truścińskiego w galerii przy placu du Palet Jeudi. Dzięki kilkudziesięciu plakatom, które niczym drogowskazy kierowały turystów, „Andzia" była chyba jednym z najlepiej rozreklamowanych tytułów podczas festiwalu. Podążając za strzałkami, wśród krętych uliczek, niczym podczas

dublińskiego Bloomsday, trudno było przegapić prezentację grafik autora. Francuskie wydanie różni się dość znacznie od polskiego. Zachowano oczywiście teksty biskupa Mańkowskiego i niezwykłe, surrealistyczne rysunki Truścińskiego, ale wyeliminowano wszystkie akcenty kolorystyczne i przede wszystkim znakomity koncept typograficzny (w polskiej edycji przygotowany przez Wojciecha Stefańca), który uczynił z „Andzi" książkę artystyczną pozostającą unikalną formą komiksową. Francuskiemu wydaniu znacznie bliżej do ilustrowanego tomu wierszy, które towarzyszą graficznej narracji. Biorąc jednak pod uwagę, że oficyna z Bordeaux zgarnęła w tym roku nagrodę za komiksową opowieść o żabie dla szwedzkiej artystki Linnei Sterte, to być może, za rok, Przemysława Truścińskiego czeka niezwykła niespodzianka.

Tymczasem najważniejszą statuetkę, Grand Prix Angoulême 2023 otrzymuje Riad Sattouf. Najbardziej pewnie znany - z wydanego również w Polsce (dotychczas w czterech tomach) „Araba przyszłości" (publikacja Kultura Gniewu). Artysta (rocznik 1978) dzieli doświadczenie (kreując swoisty Bildungsroman) z wieloma innymi twórcami swego regionu, którzy nie mieszczą się w ciasnym schemacie kulturowo-religijnym otaczającego ich świata. To doświadczenie pobytu w Libii, Syrii i Wielkiej Brytanii, wreszcie studiów w Nantes i Paryżu, czyli emigranckie, ale i stricte frankofońskie (zarazem postkolonialne), które ostatecznie kształtuje rysowników i scenarzystów arabsko- i perskojęzycznych. Obok Marjane Satrapi - jak sądzę – Sattouf to najwybitniejszy przedstawiciel nurtu autobiograficznego w literaturze wizualnej Bliskiego Wschodu. To doświadczenie „obcości", emigracji, powrotu do kraju lat dziecinnych, asymilacji powraca w Angoulême wielokrotnie. Nie tylko podczas wystawy prac rysowniczki z Wybrzeża Kości Słoniowej (o której niżej), ale prawdopodobnie jest powodem rozpoznawalności Sowy i Rostockiej na rynku frankofońskim. Ta swoista „prowincjonalność" i egzotyka (sic!) życia w Polsce fascynuje zachodnich czytelników. Kto jeszcze nas atakuje nieomal w każdym miejscu? „Thorgal". Banery reklamowe nowej odsłony komiksu są wszechobecne i chociaż Grzegorz Rosiński (rysownik wszystkich pierwszych albumów) już nie ma z nim nic wspólnego, to jego nazwisko pozwala rozpocząć rozmowę niemal z każdym cudzoziemcem.

Jedną z ciekawszych publikacji wydanych z okazji festiwalu okazuje się książka

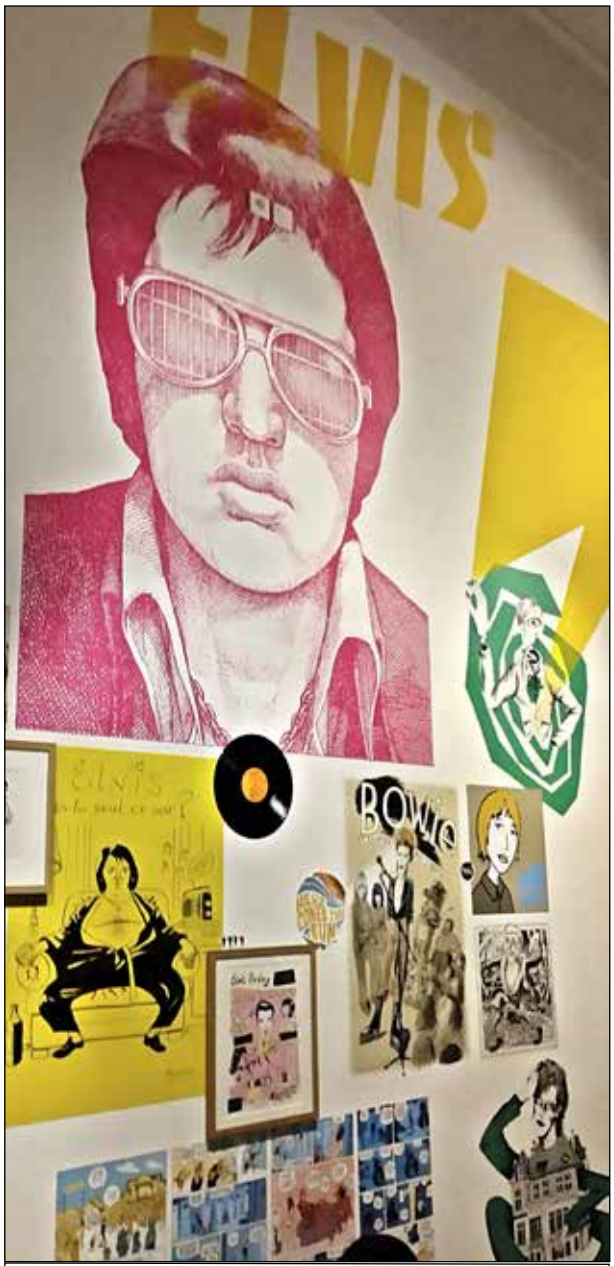

Fragment ściany poświęconej królowi rock and rolla na wystawie „Rock! Pop! Wizz!". Fot. Paweł Chmielewski

Philippe'a Tomblaine'a „Le 50e. Une odyssée du Festival International De La Bande Dessinée d'Angoulême" – ponad trzysta stron epopei, faktografii, romansu i dokumentu, ciekawostek i anegdot, statystyk. Ogromna ilość zdjęć i reprodukcje wszystkich plakatów wydarzenia. Spotkanie autorskie zorganizowano w siedzibie stowarzyszenia FIBD w otoczeniu 50 oryginalnych plakatów – od Chrisa Pratta (1974) do Riada Sattoufa (2023). Książkę wydano w poręcznym formacie i bardzo przystępnej cenie 20 euro. Kot

Prezentacja komiksu z Quebecu w Pawilonie Miast Kreatywnych Unesco. Fot. Paweł Chmielewski

Felix zaprasza do wersji ekonomicznej. Jest też rozbuchana, kolekcjonerska, z reprodukcjami, na papierze czerpanym, wielkoformatowa i limitowana (1000 egz.) w cokolwiek mrożącej cenie 130 euro. Przewodnik Tomblaine'a to rodzaj prologu do ekspozycji podsumowujących pięćdziesiąt edycji festiwalu. W Cité de la BD Musée (tam, gdzie dawniej mieściły się papiernie opisywane przez Honore Balzaca w „Straconych złudzeniach") to wystawa „1973-2023: 50 ans, 50 oeuvres, 50 albums". W tym przypadku mieliśmy do czynienia z prezentacją o charakterze raczej dokumentacyjnym – obok nagrodzonych wydawnictw pojawiły się najistotniejsze wydarzenia ze świata komiksu, które niejednokrotnie przekraczały dziedzinę czystej sztuki. Tak w 2015 r., obok Grand Prix dla Katsuhiro Ōtomo i nagrody za pierwszy tom „Araba przyszłości" dla Sattoufa pojawia się tytuł prasowy „Charlie Hebdo". Właśnie w styczniu 2015 r. przeprowadzono zamach terrorystyczny na redakcję magazynu. Inną odsłonę jubileuszu zwiedzimy w Espace Franquin. „50 a 50 regards", czyli pięćdziesięciu zaproszonych artystów (m.in. z Francji, Włoch, Chorwacji, Izraela, RPA, Hiszpanii, Japonii) interpretuje, czym jest dla nich czytanie komiksów, kto pozostaje ich mistrzem, co oznacza dla nich festiwal. I tak chociażby postać u Derfa Backderfa kartkuje z przerażeniem, ale zarazem zachwytem album Jacka Kirby'ego (twórcy Kapitana Ameryki, X-Menów itd.). W wystawie wzięli udział m.in. Zeina Abirached, Benjamin Adam, Inio Asano, Derf Backderf, Denis Bajram, Conrad Botes, Boulet, Chloé Cruchaudet, Dorthée de Monfreid, Florence Dupré de la Tour, Inès Estrada.

W tym samym budynku (Espace Franquin) zwiedzamy jedną z trzech prezentacji japońskich artystów – „Dans l'antre du délire" Junji'ego Itō. W większości czarno-białe, surrealistyczne, groteskowe postaci niczym z filmów grozy (z charakterystyczną spiralą i motywami z demonologii japońskiej, również przerażających urban legends) mogą nam się skojarzyć z popkulturowym fenomenem, jakim okazał się metatechniczny horror „Ring" (reż. Hideo Nakata, 1998). To byłby jednak trop objaśniający te misterne, siatkowane rysunki metaforami z kultury masowej. Gdybym miał odnaleźć skojarzenia bliższe japońskiej duszy mangaki, wskazałbym mitologiczne figury jak kobieta-upiór lub fantastyczny świat widziadeł z „Tronu we krwi" Akiry Kurosawy. Olbrzymi rozmach inscenizacyjny i gatunkowy synkretyzm (charakterystyczny dla epoki postnowoczesnej) to z kolei „Atak tytanów" (w L'Alpha-Mediatheque, czyli osobnej części festiwalowego miasteczka poświęconej mandze) według publikowanego od 2006 r., niezwykle popularnego cyklu komiksów Hajime Isayamy. Japoński artysta łączy dość swobodnie, tworząc własne uniwersum, science fiction z opowieściami gore, steampunk z historiami o zombie, kanibalistyczne wizerunki ze scenami pojedynków przypominającymi gale MMA. Isayama albo pociąga swoją wizją widza, albo po trosze go nudzi rozmachem, ale i niejaką powierzchownością świata przedstawionego. Kulturowo znacznie bardziej uniwersalny i w autorskich realizacjach osiągający ciekawsze efekty, jest trzeci z japońskich artystów wystawianych w Angoulême – Ryōichi Ikegami „À corps perdus" (Muzeum Miejskie). To doskonale anatomiczna, wciągająca opowieść o interpretacji europejskich kodów kulturowych – z tradycji śródziemnomorskiej, biblijnej, ale również

Michał Śledziński rozdaje wrysy przy stoisku Polskiego Stowarzyszenia Komiksowego. Fot. Paweł Chmielewski

popkulturowej – przez zastosowanie chwytów typowych dla japońskiej grafiki. W ikonicznych dla naszego kręgu kulturowego wizerunkach Adama i Ewy, czy Piety (z tym najbardziej znanym i wielokrotnie interpretowanym przedstawieniem Michała Anioła) zapisał Ikegami opowieść o śmierci ronina. Ta na swój sposób „europejskość" i szereg nawiązań do grafiki quattrocento i cinquecento, tak charakterystyczna dla japońskich artystów urodzonych w I poł. XX w., czynią jego twórczość najbardziej uniwersalną.

Zwiedzając dalej trafiamy na wystawy z frankofońskiego kręgu kulturowego. Najpierw o jednej z ekspozycji, która dowodzi, iż wybory organizatorów festiwalu nie zawsze są trafne. Gigantyczna kolejka i długie oczekiwanie na wstęp na wystawę „Elle résiste. Elles résistent" (Vaisseau Moebius) opowiadającą okupacyjne losy Madeleine Riffaud, na podstawie których powstał komiks Jeana-Davida Morvana i Dominique'a Bertaila, może okazać się rozczarowaniem. Aby pojąć wymowę prezentacji (wzbogaconej o liczne zdjęcia dokumentalne) należy dobrze znać nie tylko język francuski, ale również historyczno-kulturowy kontekst. Być może również obecność bardzo wielu – najwyższej próby - artystycznych świadectw okupacyjnych i świata zlagrowanego w naszej kulturze (film, teatr, beletrystyka, dramat, biografistyka, komiks), nie wywołuje już tego efektu szoku, czy nowości, który był widoczny u francuskich odbiorców. To wystawa istotna, lecz jej ekspozycja wkomponowałaby się lepiej w strukturę muzeum historii. Diametralnie odmienną propozycją była komiksowa opowieść Marguerite Abouet „La vie comme elle va" (w pawilonie Quartier Jeunesse). To powrót do dzieciństwa w Abidżanie, skąd rysowniczka uciekła z bratem do Paryża. Pokazana z perspektywy nastoletniej Ayi (trochę ten sam chwyt, który urzekał francuskich odbiorców egzotyką w „Marzi" Marzeny Sowy), humorystyczna i drążąca obyczajowe tabu narracja

Autorzy nieustannie podpisują komiksy. Tu jedno ze stoisk w księgarni na Polach Marsowych. Fot. Paweł Chmielewski

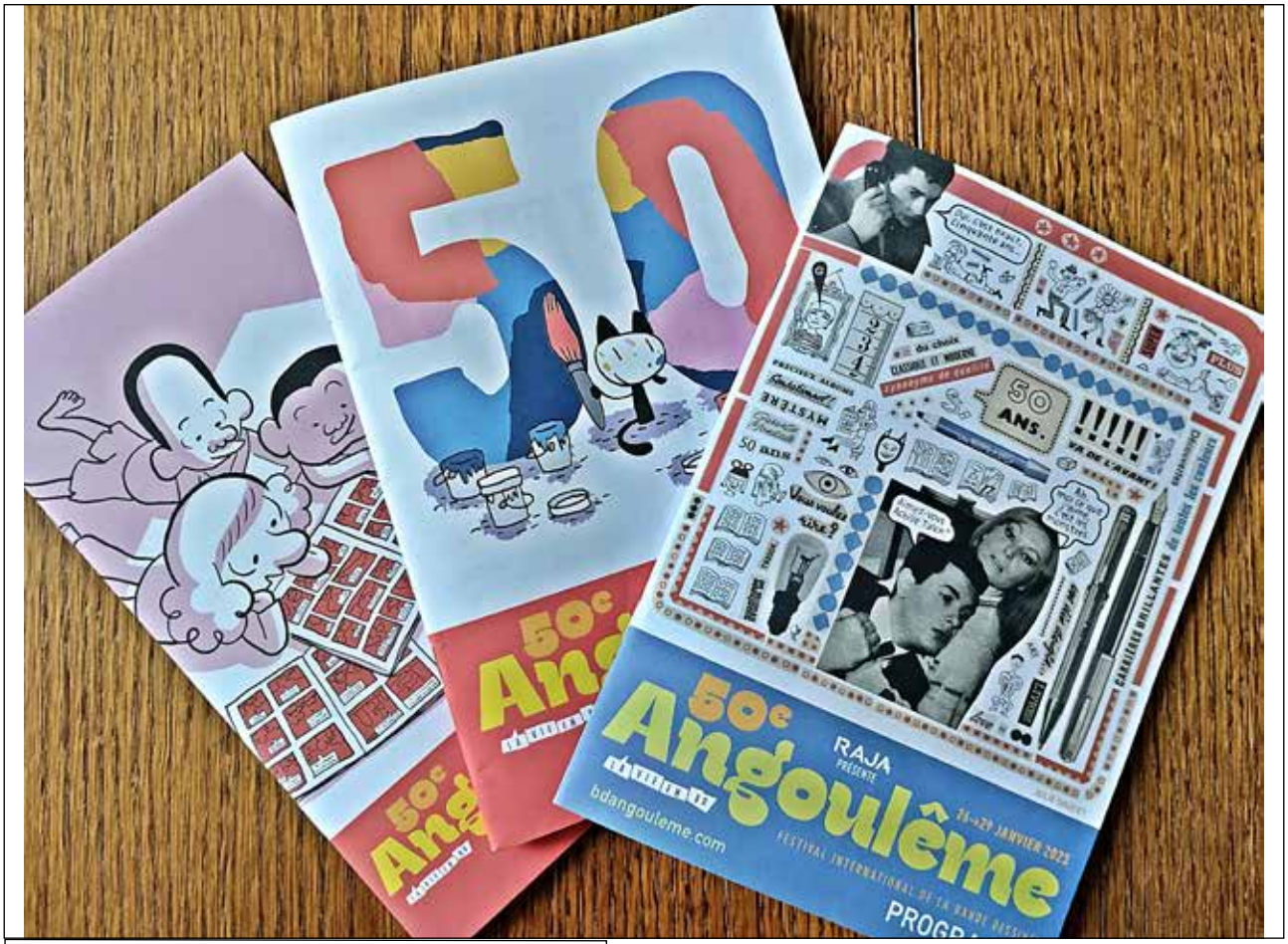

Festiwalowe foldery. Fot. Paweł Chmielewski

o postkolonialnej metropolii, dotyka m.in. tematyki seksualnej tożsamości, religii, aranżowanych małżeństw. Czyni to jednak na sposób żartobliwy, radośnie-barwny. Jakże odmiennie – formalnie - od autobiograficznych, często drastycznych przedstawień Julie Doucet, laureatki ubiegłorocznego Grand Prix, kreującej swój świat we wnętrzach galerii Hôtel Saint-Simon. Sięgając do poetyki zinów i formy kolażu (bardzo dobrze to widać na zaprojektowanym przez Kanadyjkę jednym z plakatów festiwalowych) sytuuje się w obszarze komiksu undergroundowego. Jednakże tematyka jej dzieł – chociażby „Dirty Plotte" – jest bardzo bliska opowieściom Ivoryjki. To również komiks sensu stricte kobiecy, podejmujący problematykę patriarchatu, tożsamości, przemocy, emocjonalnej kondycji współczesnego świata.

Ostatnią z wielkich wystaw indywidualnych było „Les 6 voyages de Philippe Druillet". Druillet, jeden z założycieli legendarnego magazynu komiksowego „Metal Hurlant", niczym Jean Giroud (Moebius) bawi się światotwórstwem science fiction, tworząc niezwykłe wizje odległych planet i galaktyk. Sześć podróży w Musée d'Angoulême to eksploracja jego najsłynniejszych komiksów: „Lone Sloane saga", „Yragaël", „Vuzz", „La Nuit", „Salammbô", „Nosferatu", będących echem nie tylko twórczych inspiracji wiktoriańskim horrorem, ale i poetyką Lovecrafta. Wystawa to jednak dopiero przedsmak muzyczno-obrazowego i hipnotyzującego performance'u (przy dźwiękach electro-gotyckiej grupy Zombie Zombie), który rozgrywa się w przestrzeni pobliskiego kościoła, zaanektowanej tym razem przez kosmiczne (a nawet kosmogoniczne) wędrówki Druilleta.

Ostatnie dwie wystawy, które warto było zobaczyć (i obok „podróży" Druilleta bodaj najbardziej inspirujące), to wychodzące poza kanon komiksowych prezentacji, zbiorowe ekspozycje: „Colours" (Vaisseau Moebius) – ku historii sztuki i „Rock! Pop! Wizz!" (Cité de la BD) – w kierunku muzyki. Pierwsza jest de facto podróżą w czasie, narracją o dziejach koloru

Wystawa Junji'ego Itō w Espace Franquin. Fot. Paweł Chmielewski

w komiksie. Na podświetlonych panelach – od cytrynowego do ciemnego granatu – poznajemy stopniowo najważniejsze prace (od Gustave'a Doré i Richarda F. Outcaulta do Moebiusa, Enki Bilala i Charlesa Nogiera) ukazujące wpływ koloru na ostateczny kształt kadru i planszy. Można porównać, jak zmiana tonacji barwnej oddziałuje na percepcję widza, jego pojmowanie emocji bohaterów, jak „colours" wpływa na ostateczny kształt tego, co poznajemy w druku. „Rock! Pop! Wizz!" to nic innego niż ilustracyjne i komiksowe konteksty muzyczne - od znakomitych i słynnych okładek w komisowym stylu, plakatów, plansz takich artystów, jak chociażby Charles Burns (twórca „Black Hole"), czy wspomniany już Druillet portretujący Jimi Hendrixa, słynne rysunkowe videoclipy (grupy Gorillaz i The Alan Parsons Project). Okładki płyt Janis Joplin projektowane przez Roberta Crumba, Pink Floyd przez Jeana Solé, fanzinowe plakaty i kolaże ukazujące fenomen Franka Zappy i wreszcie kampowa, niezwykła, hiperamerykańska ściana-kaplica ku czci Elvisa Presleya. Z centralnie zawieszonym, ironicznym rysunkiem króla rock 'n ' rolla, który zasiada na boskim tronie błogosławiąc przyszłego noblistę Boba Dylana.

Festiwal w Angoulême to rodzaj barometru dla sztuki komiksowej. Może trochę starszego typu, wymagający – jak w opowieści o Muminkach Tove Jansson – delikatnego postukania palcem, ale dość precyzyjnie pokazuje, w którym kierunku podąża czytelnik, co myślą krytycy i jak wyglądał będzie rynek albumowo-wystawienniczy za kilka lat. Trzy monograficzne wystawy artystów z Kraju Kwitnącej Wiśni wskazują, że komiks azjatycki (obok amerykańskich gigantów i frankofońskich serii) to trzeci najważniejszy nurt w światowych narracjach graficznych. Wystawy komiksowe – te najciekawsze – są trochę niczym romantyczny poemat dygresyjny, gatunkiem migotliwym i nie unikającym dyskursu z innymi dziedzinami sztuki. Stąd najciekawsze w tej „pięćdziesiątce" dla widza ze środowiska niekomiksowego – okazać się mogą podróż Philippa Druilleta i „Rock! Pop! Wizz!" – otwarte i korzystające z innych środków wyrazu. Nie wspominałem dotychczas – podając ją jako rodzaj deseru - o jednej z mniejszych wystaw, dziesiątki autorek i autorów pokazanych w Pavillon Jeunes Talents. To może być przyszłość światowego komiksu. Nie przez przypadek znaleźli się tam reprezentanci tych regionów, które dość intensywnie promują swoich artystów (Azja Południowo-Wschodnia, kraje iberyjskie, Skandynawia). Wymienię te nazwiska, warto je być może zapamiętać:

Anabel Colazo (Hiszpania), Pao-Yen Ding (Tajwan), Tunlaya Dunn (Tajlandia), Min-Seok Ha (Korea Południowa), M.S. Harkness (Stany Zjednoczone), Erlend Hjortland Sandøy (Norwegia), Juliana Hyrri (Finlandia), Sole Otero (Argentyna, już laureatka

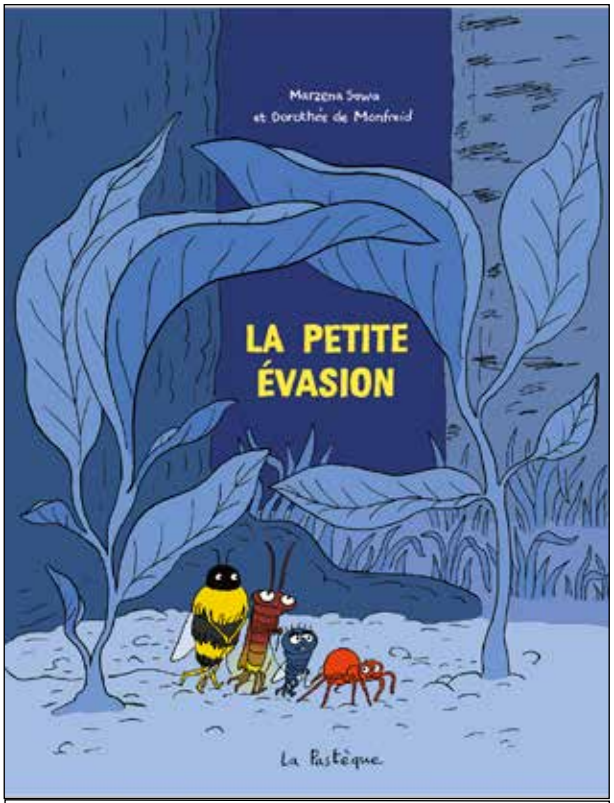

„La petite évesion", nagrodzony komiks ze scenariuszem Marzeny Sowy

jednej z nagród), Mathilde Van Gheluwe (Belgia) i Zuzu (Włochy).

Na koniec jeszcze tylko niewielka wyliczanka - nagrody 50. Międzynarodowego Festiwalu Komiksu w Angoulême:

Grand Prix Angoulême 2023 - Riad Sattouf

Nagrodę Konishi za najlepsze tłumaczenie albumu obcojęzycznego - Sylvain Chollet za „Dai Dark" Q Hayashida

Nagroda za najlepszy album - Martin Panchaud „La Couleur des choses"

Nagroda za komiks alternatywny – Alex Purcet Grelori („Forn de calc")

Nagroda René Goscinny za najlepszy scenariusz - J Thierry Smolderen za „Cauchemars Ex-Machina"

Nagroda René Goscinny dla młodego scenarzysty - Mieke Versyp („Peau")

Nagroda Philippe'a Druilleta - Manon Debay („La Falaise")

Nagroda Specjalna 50. edycji - Hajime Isayama za cykl „Atak tytanów"

Nagrody 50. edycji - Ryōichi Ikegami i Junji Itō

Nagroda Jury Młodzieżowego - Léonie Bischoff i Kathleen Karr („La Longue marche des dindes")

Nagroda Miasta Literatury Unesco Angoulême - James Taylor

Nagroda Specjalna Jury – Anouk Ricard

Grand Prix dla młodego twórcy – Quentin Zuttion

Najlepsza seria - „Les liens du sang" Shuzo Oshimi

Nagroda „Objawienie" („Revelation") festiwalu – Linnea Sterte („Une rainette en automne")

Nagroda Heritage – Hisashi Sakaguchi ("Fleurs de Pierre")

Nagroda Polar SNCF – Nicolas Pegon („Hound dog")

Nagroda Jury Licealistów – Ximo Abadia („Khat: Journal d'un rêfugiê")

Nagroda francuskiej telewizji publicznej – Sole Otero („Naphtaline")

Nagroda Eko – Ana Penyas („Sous le soleil")

Prix des Écoles d'Angoulême - Marzena Sowa i Dorothée de Monfreid („La petite évasion")

Nagroda za komiks dla dzieci 8-12 lat - Mikki Montllo i Sylvain Runberg („Nourrir l'humanité")

Nagroda za komiks dla młodzieży 13-16 lat - Jean-David Morvan, David Evrard i Walter Pezzali („Simone")

Nagroda dla młodego talentu regionu Nowa Akwitania – Anouk Zou („Je n'aime pas la concurrence")

Mrówka w pogoni za Czterolistkiem

Wystawę „Czeski komiks i jego świat" w Muzeum Regionalnym w Brnie możemy czytać (tak, jak

Wystawa „Czeski komiks i jego świat" w Muzeum Regionalnym w Brnie. Fot. Paweł Chmielewski

Wystawa „Czeski komiks i jego świat" w Muzeum Regionalnym w Brnie. Kurator Tomasz Prokoupek i autor artykułu. Fot. Grzegorz Wawrzyńczak

odczytujemy obrazy w każdej narracji graficznej) jako kulturowy tekst, lecz nie w oderwaniu od społecznych, historycznych, a nawet antropologicznych przekazów, które ta prezentacja podaje nam nie wprost, ale dzięki doborowi prac, artystów, nawet aranżacji przestrzeni. Ja zaproponowałbym odczytanie ekspozycji poprzez odwołanie do kilku innych kontekstów – bardzo ważnego dla czeskich odbiorców – historii prasy ilustrowanej oraz ukazujących się dwóch czasopism (symbolizujących zarazem dwie epoki), adresowanym do dzieci magazynem „Čtyřlistek" (od 1969 r.) i „AARGH!" (od 2000 r.); kontekstu zbiorowej publikacji „Signály z neznáma. Český komiks 1922-2012" oraz – najbardziej interesującego dla polskich czytelników – zestawienia podobieństw i różnic między „historyjkami z dymkiem" znad Wisły i Wełtawy.

Wystawa „Czeski komiks i jego świat" w Muzeum Regionalnym w Brnie. Fot. Paweł Chmielewski

„Signály z neznáma...", zestaw rozbudowanych tekstów (w bardzo atrakcyjnej formie graficznej i formule syntetycznej opowieści) przygotowanych przez zespół: Lucie Česálková, Martin Foret, Ivan Hanousek, Michal Jareš, Pavel Kořinek, Rostislav Matulik, Tomáš Prokůpek (kurator morawskiej ekspozycji), Vit Schmarc okazuje się nie tylko doskonałą glossą dla zwiedzających, ale również obszernym katalogiem i przewodnikiem po meandrach „Czeskiego komiksu i jego świata". Cezura czasowa przyjęta w publikacji to 1922 r., moment publikacji pierwszych odcinków „Šprýmovné kousky Frantika Voviska a kozla Bobeše" – wystawa ukazuje znacznie wcześniejsze dokonania (chociażby „Ducha rycerza Hurdyburdy" Karela Thumy z 1910 r.), to trzon narracji ekspozycyjnej i „Signály..." doskonale ze sobą koresponduje.

Wystawa „Czeski komiks i jego świat" w Muzeum Regionalnym w Brnie. Fot. Paweł Chmielewski

Gdy u nas, na moście warszawskim, w symboliczny sposób przechodziliśmy od dzieciństwa do realnej rzeczywistości, tracąc nie tylko złudzenia, ale i fundament demokracji w 1926 r. Czesi wydają pierwszy numer komiksowego magazynu „Koule" (przetrwał dwa lata) i na świat przychodzi Ferda Mravenec (mrówka Ferdynand – jak pozwolę go sobie nazwać) ze scenariuszem i rysunkami Ondřeja Sekory. To właśnie podobizna mrówki symbolizuje na wystawie czeski komiks do 1945 r. Komiks, który zatopiony zostaje w swego rodzaju bajkowej cudowności, stanowi obrazkowy realizm magiczny, który w polskiej kulturze narracji obrazkowych pojawia się do 1939 r. nader rzadko, a jego reprezentację będzie stanowił – tak naprawdę – dopiero Koziołek Matołek wymyślony przez Kornela Makuszyńskiego i narysowany przez Mariana Walentynowicza u schyłku lat 30. Jest zatem czeskim twórcom – to swoisty paradoks – bliżej do Władysława Starewicza (ikony światowej animacji, polskiego artysty działającego jeszcze w przedrewolucyjnej Rosji). W przywoływanej książce nie stanowi również komiks bytu wyalienowanego, lecz trwa w nieustannej osmozie, nie tylko z ewoluującym rynkiem czasopism, ale książkową ilustracją, teatrem lalek i rzecz oczywista – zwłaszcza w przypadku Czechów – światem filmowym. Zarówno bowiem na wystawie, jak i w „Signály z neznáma..." istotną rolę odgrywa Karel Saudek.

Cztery okresy czeskiego komiksu to zarazem cztery kolory – brązowy, symbolizujący okres przed Wielką Wojną, pomarańczowy – niepodległość aż do aneksji Czechosłowacji przez III Rzeszę i okupacji, żółć – realny socjalizm i biały jako czasy najnowsze. W tej pomarańczowej komnacie spotykamy Josefa Ladę, znanego europejskim odbiorcom przede wszystkim dzięki serii ilustracji do „Przygód dobrego wojaka Szwejka", publikowanych w 1925 r. w magazynie „České slovo" i Josefa Šime. Ten wybitnie ciekawy

Wystawa Karela Saudka w Galerii Tańczący Dom w Pradze. Fot. Paweł Chmielewski

Wystawa Karela Saudka w Galerii Tańczący Dom w Pradze. Fot. Paweł Chmielewski

i oryginalny okres w dziejach czeskiego komiksu zamiera po II wojnie światowej, a my wkraczamy w okres żółty. Podczas, gdy w Polsce historie obrazkowe – często w wymiarze nieznośnie propagandowym – pojawiają się na łamach kilkuset tytułów prasowych (od lokalnej prasy codziennej, przez magazyny kobiece, hobbystyczne i filmowe), a od lat 60. ukazują się regularnie albumy i cykliczne serie, by od połowy lat 70. do schyłku PRL-u stać się bohaterami czasopism stricte komiksowych lub fantastyczno-komiksowych, to u naszych południowych sąsiadów twórczość „z dymkiem" pozostaje ograniczona do efemeryd prasowych, czy (do czasu inwazji w 1968 r.) wstawek filmowych. Niemniej jednak, nawet w tym, cokolwiek

Wystawa Karela Saudka w Galerii Tańczący Dom w Pradze. Fot. Paweł Chmielewski

Wystawa Karela Saudka w Galerii Tańczący Dom w Pradze. Fot. Paweł Chmielewski

wro-
gim dla komiksowego medium, krajobrazie, pojawiają się osobowości nader interesujące – Jiři Srb, wciąż aktywny Sekora, czy Otakar Štembera, Karel Franta i oczywiście Jaroslav Němeček, znany z rysunków czterech zwierzątek (prosiaczka, królika, psiczki i kota niczym Batman) zaludniających karty „Čtyřlistka".

Historia najnowsza to – przynajmniej ten nam popularny i doceniany w Europie – komiks literacki z postaciami rysowników Vojtěcha Maška (znanego w Polsce m.in. dzięki undergroundowemu albumowi „Błąd") i Kateřiny Čupovei, adaptującej na materię obrazkową fantastyczno-naukowy dramat „R.U.R" Karela Čapka, w którym pada po raz pierwszy w termin „robot". Nad całą wystawą unisi się zaś – jak już wspomniałem – duch Saudka

W Galerii Tańczący Dom w Pradze można było odwiedzić wystawę prac związanych z projektem filmowym „Muriel i Andele" Karela (Kaji) Saudka, czyli króla (a nawet cesarza) czeskiej grafiki. Saudek przygotowywał zarówno wyjściowy materiał - komiks, ale i storyboard, animowaną czołówkę i wstawki do filmów fabularnych. „Muriel i Andele" to po prostu ironiczny pastisz filmów superbohaterskich i science fiction, których bohaterkami były kobiety - z odwołaniem do klasycznej „Barbarelli" (w roli głównej z Jane Fondovą :)), Wonder Woman i innych. Groteskowa parafraza, której rozmach (dzięki scenariuszowi Miloša Macourka) byłby niespotykany w żadnej socjalistycznej kinematografii.

Na ekspozycji obejrzeć można również plakaty, szkicowniki, afisze wystaw (często organizowanych jak się zdaje cokolwiek podziemnie) oraz plansze ze słynnej parodii westernowo-sensacyjnej „Kto chce zabić Jessi" wyreżyserowanej przez Václava Vorlička (ze scenariuszem Macourka). W tracie wystawy odtwarzana jest m.in. cała komiksowa czołówka filmu, archiwalne nagranie Saudka w pracowni podczas tworzenia komiksu i inne ciekawostki.

Zaopatrzeni lepiej finansowo zwiedzający mogą kupić limitowane wydruki albo biografię artysty zawartą w monumentalnym tomie. Zasobni mniej - kubeczki, kartki pamiątkowe a nawet jeden z trzech komiksów wydanych przez autora „Jessi...". Takim, całkiem saudkowym, smaczkiem jest fakt, iż budynek mocno powyginany stoi vis a vis pomnika Aloisa Jiráska (czeskiego prozaika nurtu realistycznego). Pisarz i jego monument niewiele interesują turystów, ale stając na postumencie i przyjmując pozę

Wystawa Bogusława Polcha w BWA Jelenia Góra. Fot. Piotr Machłajewski

Supermana można zrobić zdjęcie, które sugeruje, że fotografowany ratuje budynek przed zawaleniem, albo wręcz go podnosi. Kaja Saudek byłby zachwycony

W oczach Zachodu i (trochę) Wschodu

Po monograficznej wystawie prac Tadeusza Baranowskiego „Miejsce w dymku" Biuro Wystaw Artystycznych w Jeleniej Górze drugim z „wielkiej siódemki" polskich twórców powojennego komiksu – mam tu na myśli wyłącznie rysowników – Piotr Machłajewski (kurator) zaprasza nas na ekspozycję „Bogusław Polch – retrospektywa". Kiedy ten numer trafi do czytelników komiksowe plansze autora „Funky Kovala" zaprezentowane zostały już w BWA w Rzeszowie i na trwającej do końca sierpnia prezentacji w BWA w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Bogusław Polch jest istotny dla polskiej literatury i literatury obrazowej nurtu SF z jednego, bardzo istotnego powodu: powstania dwóch serii „Ekspedycji" i „Funky Kovala". Do chwili ich opublikowania (pomimo istniejących oczywiście prób) polska fantastyka miała nieomal wyłącznie charakter filozoficzno-eschatologiczny (naznaczony niewyobrażalnym talentem gatunkowym Stanisława Lema oraz znakomitymi tekstami m.in. Konrada Fiałkowskiego i Jerzego Zajdla), z bardzo mocnym profetyczno-parabolicznym stemplem. Dopiero scenarzyści (Maciej Parowski, Jacek Rodek, Arnold Mostowicz i Alfred Górny) stworzyli fundament, który Polch zwizualizował, pod opowieści fantastyczne w stylu kryminalnym, antropologicznym (podobnym do Snerga-Wiśniewskiego) i o charakterze eskapistycznej rozrywki w stylu literatury zachodniej. Po prostu Polch (wraz ze scenarzystami) przeniósł polski komiks i polską literaturę science fiction w nowe rejony. „Wiedźmina" autorstwa polskiego rysownika celowo nie wymieniam w obrębie tych realizacji, bo na podobieństwo innych komiksowych realizacji o przygodach białowłosego wojownika z Riwii – pomimo niewątpliwego kunsztu – nie zbliżył się do postmodernistycznego literackiego fenomenu, który stworzył Andrzej Sapkowski. Prawdopodobnie materia komiksowa (podobnie zresztą filmowa i poza pewnymi epizodami serialowa) – za sprawą scenarzystów – nie osiągnie poziomu kulturowej fantazji pięcioksięgu o Geralcie. Pomimo niewątpliwej maestrii rysownika, wiedźmin Polcha, nie wywołuje – przynajmniej w moim

Wystawa Bogusława Polcha w BWA Jelenia Góra. Fot. Piotr Machłajewski

mniemaniu – tak doniosłego fermentu w polskiej kulturze, jak dwie wspomniane wcześniej serie.

Walorem jeleniogórskiej wystawy – poza przywołaniem dorobku i pokazaniem prac szerzej nieznanych – jest 108-stronicowy katalog wydany przy okazji ekspozycji. To druga, po wspomnianym już Tadeuszu Baranowskim, krótka monografia polskiego artysty IX sztuki (okresu PRL-u), która w eleganckiej i kompetentnej formie dokumentuje, przybliża i porządkuje wiedzę na temat jego twórczości. „Bogusław Polch – retrospektywa" w bardzo przyjemnym układzie – połowę katalogu zajmują teksty krytyczne, drugą zaś część reprodukcje dzieł mistrza. Początek monografii stanowi dokładne kalendarium życia i twórczości warszawskiego artysty i cztery dłuższe teksty stałych współpracowników przy wydawnictwach Piotra Machłajewskiego (redaktor książki): Wojciecha Birka, Adama Ruska, Jerzego Szyłaka i Michała Traczyka. Każdy z nich w sposób kompetentny, dokładny i nader szczegółowy (powołując się na szereg źródeł) analizuje z jeden fenomenów oraz etapów komiksowej kariery Bogusława Polcha. Bardzo dokładnemu rozbiorowi krytycznemu poddali ich teksty Dawid Głownia i Kamil Śmiałkowski recenzując wydawnictwo, mnie zatem pozostaje cokolwiek, coś innego. W jeleniogórskiej monografii chciałbym zwrócić uwagę i kilka zdań napisać o środkowej części korpusu tekstowego publikacji. Wspomnę więc tylko, iż obok tekstów krytycznych dumasowskiej czwórki, znalazły się w katalogu osobiste wspomnienia Andrzeja Sapkowskiego, Grzegorza Rosińskiego, Ryszarda Siwanowicza, Zbigniewa Kasprzaka, Krzysztofa Gawronkiewicza, Waldemara Czerniszewskiego, Krzysztofa Lipki-Chudzika, Tomasza Tomaszewskiego, Przemysława Truścińskiego i Przemysława Bogdanowicza, zebrane w formie wypowiedzi. Ta część środkowa to – parafrazując tytuł jednego z tekstów, który z kolei jest parafrazą głośnej książki Josepha Conrada – to Polch widziany ze Wschodu i Zachodu. Ten punkt widzenia to bodaj (obok szczegółowych opracowań polskich badaczy) walor katalogu.

Zacznijmy od eseju Floriana Rubisa „Wiedźmin i Funky Koval rysowane przez Bogusława Polcha w oczach Zachodu" – najciekawszego z mojej perspektywy – wizerunku polskiego rysownika w recenzowanym wydawnictwie. Szerszy i zewnętrzny, zarysowany kontekst, w którym funkcjonuje (lub mogłaby funkcjonować) twórczość Polcha w obiegu

Wystawa Bogusława Polcha w BWA Jelenia Góra. Fot. Piotr Machłajewski

europejskim pozwala nam dostrzec nie tylko różnorodność tych mediów i tradycji, do których komiks się odwołuje (prasa, reklama, mitologia, antropologiczno-społeczne uwarunkowania, przede wszystkim zaś literatura), ale i wskazać na przyczyny, dla których często polski artysta (nie tylko Polch) – bo Rubis w swych dygresjach kreśli znacznie szerszy kontekst migotliwego medium – nie zdołał zdobyć popularności na Zachodzie. To bodaj najbardziej fatalistyczny i gorzki tekst całego zbioru. Jak bowiem odnaleźli się (-nie odnaleźli) Funky Koval i wiedźmin w tym postmodernizmie współczesnych światów? Później już mamy dwa krótkie teksty z węgierskiej perspektywy (proponowałbym je traktować całościowo, jako swoisty ciąg przyczynowo-skutkowy). Kiedy rysownik József Sváb wspomina pierwsze spotkanie z kosmicznym detektywem na łamach „Galaktiki" i zachwyt nad drobiazgowością kadrów Polcha, to możemy powrócić do tekstu wydawcy Antala Bayera, który w dłuższej nocie „Polskie komiksy po węgiersku przed zmianą ustroju politycznego" wyjaśnia dość słabą obecność (a tym samym recepcję) polskich historii obrazkowych nad Balatonem. Dopełnieniem obrazu recepcji komiksów rysowanych przez Polcha poza naszymi granicami (a przede wszystkim ich odbioru przez cudzoziemców) stają się „Czeskie i słowackie ślady Bogusława Polcha" Tomáša Prokůpka. Krótka historia wędrówki polskich wydawnictw (nie tylko komiksu „Funky Koval") do czeskich i słowackich czytelników potwierdza – dość dobrze znany z literatury przedmiotu – osąd, iż w latach 60. do 80. ubiegłego wieku kultura znad Wisły miała swoistą dominującą, na swój sposób „quasi-zachodnią" rolę w świecie sztuki demoludów. Przynajmniej tych językowo nam najbliższych, a tekst czeskiego historyka komiksu pokazuje nam, że z tej ogromnej promocyjno-kulturotwórczej szansy pozostały zaledwie stracone złudzenia.

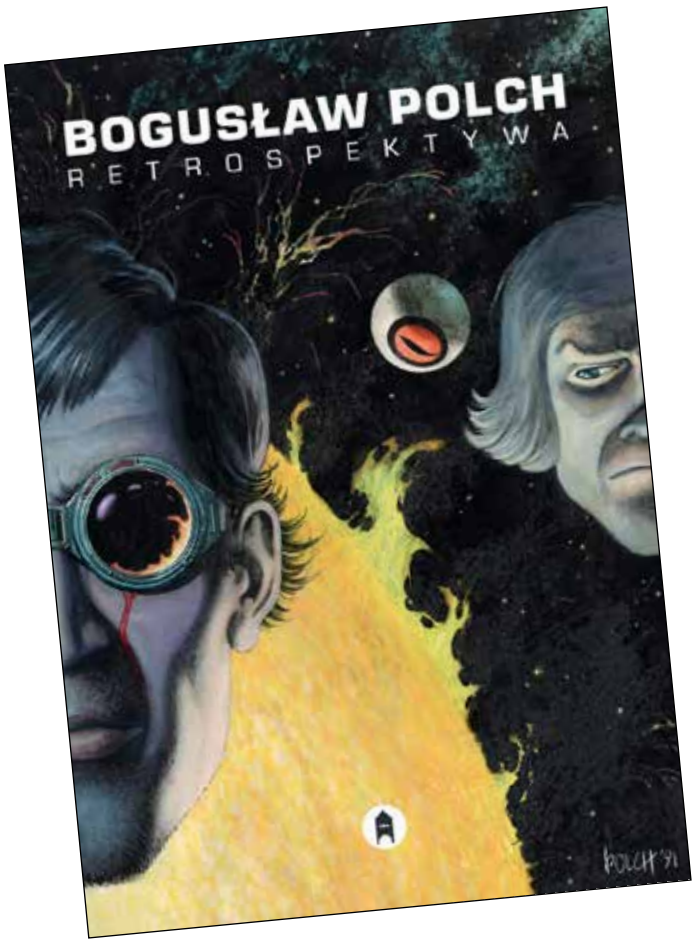

Bogusław Polch. Retrospektywa
Red. Piotr Machłajewski
108 s. ; 29 cm.
Jelenia Góra: Biuro Wystaw Artystycznych
Polska, 2022

Szczęsny Wroński

How death is brought life

„Umarła Klasa" Tadeusza Kantora nie jest spektaklem, o których się z czasem zapomina. Przekonałem się o tym pod koniec lat 70., gdy nie mogłem się oprzeć, by nie uczestniczyć w każdej jego prezentacji w Krakowie. Na ten niecodzienny „seans dramaturgiczny" zjeżdżali się widzowie z odległych miejscowości. Mój przyjaciel z Kielc, poeta, twórca Teatru Kobiet Henryk Jachimowski, tak był „dotknięty" tym spektaklem, że nie opuścił żadnej okazji, by się z nim zmierzyć.

Właśnie – zmierzyć - bo to co się działo z widzem w trakcie konfrontacji z wizją Kantora, trudno nazwać oglądaniem, czy zwykłym uczestnictwem w odbiorze dzieła sztuki. Tak, bo bez dynamicznej wymiany myśli i uczuć między sceną a widownią, „przedstawienie" byłoby zaledwie zaproszeniem do zwiedzania ekspresyjnego muzeum śmierci. Jednak „widzowie" przekroczywszy przestrzeń wyznaczoną przez Tadeusza Kantora i jego aktorów mieli do czynienia nie z uruchomionymi przez machinę teatralną manekinami śmierci, lecz z rytuałem życia balansującego na granicy życia i śmierci. Bardzo trafny termin „seansu dramaturgicznego (dramatycznego)" przypisuje się Arturowi Sandauerowi, jednak być może ma on źródło w starożytnych praktykach magicznych znanych jako nekromancja**. Jakkolwiek by nie było, ten wdzierający się do podświadomości i pamięci osobniczej spektakl jest w istocie porażającym i odświeżającym jednocześnie poematem energii rozpisanym na rozedrgane ludzkie ciała, wplecione nieodwracalnie w kołowrót unicestwienia. Przywołana, mityczna epoka dzieciństwa, to tylko pozornie „czas przeszły dokonany", bo pulsuje w nim źródło tej szczególnej chwili i miejsca, gdzie wszystko się zaczęło. Wszelkie przebłyski, olśnienia; pierwsze wypowiedziane głoski, sylaby, zdania; gesty, ruchy kroki, działania - zaniechania... Niepokoją i wzruszają zarazem wskrzeszone w zakamarkach pamięci ławki szkolne wraz z całą martyrologią „kształtowania osobowości", czyli tzw. procesu nauczania. Może przygnębiać ta manifestacja ludzkich cieni obarczonych sobowtórami-manekinami - korowód żywych trupów o bijących gdzieś w głębi sercach, które raz po raz podrywają „zmaltretowaną" materię, w rytm narzuconego z okrutną bezwzględnością Walca Francois. W tym wbijającym w ziemię dance macabre wirują postaci wtłaczane do pulsującego ekstremalnymi emocjami tańca, którego intensywność zdaje się zaprzeczać istnieniu jakiejkolwiek bezwładu i ostatecznej śmierci.

Takie „seanse" pozostają we krwi odbiorcy, który mimochodem daje się „wkręcić" w transowe wiry tego niemal spirytystycznego seansu i staje się jego entuzjastycznym uczestnikiem sam o tym nie wiedząc. A postaci tego teatralnego rytuału to: Tumor Mózgowicz, Witkacy, Bruno Schulz, Kobieta z mechaniczną kołyską, Kobieta z oknem, Prostytutka-Lunatyczka, Markietanka, Staruszek z rowerkiem, Staruszek w W.C. –cie, Staruszek głuchy, Repetent – roznosiciel klepsydr, Żołnierz z I Wojny Światowej, Pedel w czasie przeszłym dokonanym, Sprzataczka...

Już sam opis przedstawienia, cytowany za Encyklopedią Teatru Polskiego, intryguje i przykuwa uwagę:

Publiczność wchodzi ciemnym korytarzem do małej i słabo oświetlonej sali Galerii Krzysztofory, w głębi której, nieco w kącie ustawiono cztery rzędy szkolnych, drewnianych, staroświeckich ławek. Tkwi w nich nieruchomo, w dziwacznych pozach dwanaścioro staruszków o trupio-bladych twarzach. Ci znajdujący się w pierwszych ławkach siedzą, dalsi stoją – wszyscy przypominają woskowe figury. Są ubrani na czarno – kobiety w prostych sukienkach, mężczyźni w garniturach, białych koszulach i czarnych krawatach. Niektórzy mają na głowie meloniki. Ich stroje wydają się zużyte i lekko zakurzone. Nad ławkami zwisają trzy słabo świecące lampy. Nieco z boku, obok drewnianego „WC-etu", stoi nieruchomo oparta o miotłę tajemnicza postać w czarnej sukience i kapeluszu – Sprzątaczka-Śmierć. Z drugiej strony, na drewnianym krześle siedzi manekin Pedla. Przestrzeń tej dość upiornej szkolnej klasy zamyka rozciągnięty na stojakach parciany sznur i ustawione po bokach dwa ostrosłupy – klasowe kąty, do których chodziło się „za karę".

W tej przestrzeni, nerwowo obserwując wchodzących widzów, stoi Tadeusz Kantor. Twórca pozostanie tu przez cały czas. Będzie przechadzał się

między aktorami, niekiedy ingerując w ich działania, poprawiał rekwizyty, regulował natężenie nagranej muzyki – dając sygnały akustykom, jak gdyby dozując wywoływane przez dźwięk emocje.

Na wyraźny znak Kantora Uczniowie-Staruszkowie zaczynają się nieśmiało poruszać. Tępym, jakby nieobecnym wzrokiem wpatrują się w miejsce, gdzie powinien znajdować się nauczyciel. Podnoszą ręce jak do odpowiedzi, wychylają się jeden przez drugiego. Panuje zupełna cisza. Po chwili wycofują się i znikają w głębi sceny. Zaraz jednak wracają z przytwierdzonymi do kostiumów, ubranymi dokładnie w taki sam sposób, manekinami dzieci. Z głośników rozlega się melodia Walca François. Rozpoczyna się seans Kantora. Uczniowie przez chwilę krążą wokół ławek w przedziwnym korowodzie. Po chwili zasiadają w nich i na powrót nieruchomieją. Walc milknie. Zaczyna się pierwsza z kilku lekcji. Jeden z uczniów pyta: „Co wiemy o królu Salomonie?". Wszyscy w poruszeniu i zdenerwowaniu powtarzają zadane pytanie. Nikt nie umie udzielić poprawnej odpowiedzi. Uczniowie jak mantrę wypowiadają absurdalne zbitki językowe, fragmenty wierszyków, szkolnych wyliczanek. Wszystkiemu towarzyszy robienie min i sztubackie żarty. Wypowiadane frazy przechodzą w śpiewne zawodzenie niczym z chederu. Klasa na chwilę znowu nieruchomieje, po czym rozpoczyna się następna „lekcja".

W tych niekończących się, dręczących, na pograniczu świadomości i nieświadomości lekcjach pogrążył się swego czasu Krzysztof Miklaszewski. Premiera spektaklu, okrzykniętego zgodnym chórem przez krytyków za światowe arcydzieło, miała miejsce w Krakowie, 15 listopada 1975 roku. Natomiast autor „Światowego życia umarłej klasy" współpracował aktywnie z mistrzem Kantorem i jego teatrem w latach 1974 – 1987. Zaangażowany, (ku własnemu zdumieniu!), do roli woźnego, czyli Pedla mógł w pełni zaangażować się w proces jego tworzenia i wraz z innymi aktorami stać się jego współtwórcą. Będąc jednocześnie krytykiem i intelektualistą, jak nikt inny był w stanie wniknąć zarówno w „duszę" Tadeusza Kantora, jak w istotę oszołamiającego sukcesu spektaklu, który triumfalnie przetoczył się przez cztery kontynenty oraz najważniejsze festiwale i centra kultury na świecie (m.in. Paryż, Edinburgh, Londyn, Amsterdam, Sztokholm, Berlin, Genewa, Barcelona; w Ameryce Północnej (Ciudad de Mexico, Nowy Jork), w Ameryce Południowej (Caracas), w Azji (Sziraz/Persopolis, Tel Aviv, Tokio, Toga-Mura). Kantorowski Seans Dramatyczne zaistniał, wywołując wszędzie burzliwą, głęboką emocjonalnie i intelektualnie reakcję, w 250-ciu odsłonach w 16 krajach, w 34 miastach i na czterech kontynentach, w latach 1975 – 1992. W swojej niezwykle wciągającej książce Krzysztof Miklaszewski opisuje z pasją i wnikliwym znawstwem okruchy tego, co wydarzyło się na tej siedemnastoletniej, naznaczonej magią i swoistym, misteryjnym wtajemniczeniem, teatralnej drodze. „Światowy żywot Umarłej Klasy" w jego interpretacji daleki jest od jednoznacznej klasyfikacji i łatwego szufladkowania. To fascynująca czytelniczo próba stworzenia intelektualnej i metaforycznej polifonii wokół wybitnego zjawiska teatralnego, które przeszło do historii jako fenomen Teatru Śmierci Tadeusza Kantora – a na początku swojej światowej ekspansji zostało okrzyknięte przez amerykański „Newsweek" najlepszym spektaklem teatralnym świata (1976).Ta książka, imponująca świeżością stylu napisana jest żywym, niezwykle plastycznym językiem, w szerokim kontekście awangardy polskiej i światowej. Zniewala niezwykłością tematu i soczystą obrazowością wynikłą z niecodziennych przypadków codziennego życia tej wędrującej trupy teatralnej. Nie czyta się jej li tylko jak kronikę, czy też dokumentację wydarzeń, fabularyzowaną retrospekcję, rozprawkę krytyczną, lecz jak fascynującą opowieść, która wciąga wartką akcją, niespodzianką i inspirującymi przemyśleniami. To nie do wiary: czyta się ją z wypiekami na twarzy jak sensacyjną powieść z elementami grozy - miejscami zaprawioną demonicznym humorem rodem z Witkacowskiej stajni... Dotyczy to przede wszystkim pikantnych, smakowitych anegdot wziętych z życia teatru, w których rzeczywiste dialogi Mistrza z aktorami przepełnione są zamierzoną, czy też nie zamierzoną dawką czarnego humoru i absurdu.

Reasumując, z tych umiejętnie skomponowanych, różnorodnych i poddanych dramaturgii zapisków wyłania się demiurgiczna postać Mistrza z Wielopola i jego wywołanej na apel z ławek szkolnych „załogi śmierci". Ale w szarych, rozżarzonych do białości komórkach mózgowych czytelnika może też zrodzić się pytanie, na ile twórca „Nadobnisiów i koczkodanów", „Umarłej klasy", „Wielopola, Wielopola" i wielu innych spektakli, z premedytacją i wyrafinowaną przekorą, grał swoje życie na co dzień? Czy też, na ile jego życie, bezgranicznie (jak sam często podkreślał) oddane sztuce toczyło się wg zdumiewającego,

zadanego odgórnie scenariusza, który zaskakiwał go boleśnie i momentami doprowadzał do twórczej furii, a wszystko to przy otwartej kurtynie.

Żeby to zilustrować wspomnę o moim spotkaniu z Mistrzem, wczesną jesienią 1981 roku. Byłem wtedy prezesem Koła Młodych przy krakowskim oddziale ZLP i z racji moich powinności organizowałem spotkania z ludźmi literatury i teatru. Po jego odczycie w Krzysztoforach „Od dadaizmu do sztuki konceptualnej" podszedłem nieśmiało do Kantora i zdobyłem się na odwagę, by zaproponować mu spotkanie na legendarnej już dzisiaj Krupniczą 22. W latach 1945–1995 mieścił się tam Dom Literatów, należący do Związku Literatów Polskich, w tym biuro, stołówka i mieszkania dla pisarzy. Mieszkała tutaj, razem z rodzinami, cała plejada sławnych autorów.. Jeden z najbardziej znanych lokatorów tego miejsca, Konstanty Ildefons Gałczyński, nazwał go „Domem czterdziestu wieszczów". Dla takich jak ja, dochodzących, był to dom symboliczny, bo jadaliśmy tam obiady i spotykaliśmy się na wieczorach literackich, a nawet zabawach. Za mojej „kadencji" (1978-81) mieszkali tutaj m.in. Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz, Stefan Otwinowski, Maria i Adam Ziemianinowie, Stanisław Czycz, Krzysztof Lisowski,Tadeusz Śliwiak, z którymi miałem okazję dość często się spotykać.

Ale powróćmy do głównego wątku. Mistrz Tadeusz, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, zgodził się niemal natychmiast i zaproponował mi spacer w celu omówienia szczegółów. Szliśmy rozmawiając na temat młodej poezji. Przez ul. Szczepańską i krakowski Rynek przewalały się jak zwykle rozkrzyczane hordy. Kantor jak czujny, drapieżny ptak, pomiędzy wypowiadanymi ze swoistym akcentem zdaniami (kwestiami) dyskretnie rozglądał się na wszystkie strony, aż nagle zwracając się do mnie wybuchnął.

- Proszę pana, to, czego najbardziej dzisiaj nam potrzeba, to elegancji, e-le-gan-cji!... Bo wszędzie, gdzie się spojrzy, panoszy się ten bezwstydny, ordynarny, plugawy pysk chamstwa...

Znieruchomiałem zaskoczony zastanawiając się, co mogło go tak rozsierdzić. Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Gdy minęliśmy Sukiennice, spojrzał na mnie z ukosa i rzucił półgębkiem.

- Niech się pan nie boi, nie zjem pana.

Po chwili dodał z iskrami rozbawienia w oczach.

- A tak w ogóle, to nie mam dzisiaj apetytu.

Po czym przystanął, energicznym ruchem podał mi rękę wypowiadając dość ciepło tę ostatnią, wydawałoby się, ostateczną kwestię.

- Żegnam pana!...

To dziwne, że te słowa zabrzmiały, jakby mi oświadczył, że już nigdy się nie rozstaniemy.

I tak się stało, a potwierdzają to wypowiedzi przywołanych przeze mnie do tablicy krytyków, z niegdysiejszej przestrzeni czterech kontynentów.

- Kantor (...) podobnie jak Rimbaud prowokuje „czyste wzruszenie" poprzez honor i uczucie, emocję i tęsknotę. To ono wszechobecne i we mszy, i w jarmarku, i w liturgii, i w cyrku, ma nas pochwycić i rozbroić. (Le Matin)

- Kim jest ten człowiek w czarnym ubraniu, który pojawia się na początku spektaklu, szczupły, o profilu ptaka, w zachowaniu przypominający nie tylko dyrektora szkoły, ale i postać Antonina Artaud („L'Expres")

- który pozostaje na scenie, nieprzebrany i nie ucharakteryzowany przez cały czas spektaklu, kontrolując wszelkie działania bez słowa. („Le Monde"),

- a który obecny i nieobecny jednocześnie (...) i w zamyśleniu podparty (...) czasami tylko włącza się do akcji, by wybijać takt przed nosem swoim aktorom („L"Humanite"

- bo czuje się przez sen ogarnięty tak głęboko, że ciągle przyłapuje się na tym, iż jest trochę zdziwiony obrotem sprawy (Theatre/Public)

- Jego odczucie śmierci nie ma nic wspólnego z lodowatością, zbutwieniem, czy skostnieniem (...) Poprzez Teatr wyraża on coś wręcz przeciwnego i to jest właśnie szczególnie piękne. („L'emotion immediate")

- Niektóre obrazy towarzyszyć nam już będą przez całe życie. Obrazy piekła i obrazy piękna, obrazy wizjonera niosącego ze sobą ponury urok potępieńców.

- Śmierć jest podstawą jego koncepcji scenicznej zgodnie z założeniem:

„Do momentu, kiedy nie zobaczę człowieka zmarłego, nie wiem, kim jest człowiek żywy."

- Dlatego też ta Kantorowska gra w retrospekcję przeistoczyć się musi w konwulsyjny ceremoniał spazmu i chaosu.

- Umarła Klasa bierze za swój punkt wyjścia fakt, że przeszłości nie da się w żaden sposób odzyskać, a my nosić ją możemy w sobie tylko jako własną, nieuleczalną deformację. Dlatego też kiedy

Kantor wywołuje przeszłość, powraca ona w formie widziadeł, nieodłącznych od patosu z dawna opuszczonej sali szkolnej, na zawsze jednak uchwyconych w serii zautomatyzowanych gestów, które są wszystkim, co pamięć zachowała z tego, co było kiedyś... W sposób tragiczny, ale – powściągliwy zarazem – Kantor potrafi zbudować kontrast pomiędzy tym, czym kiedyś byliśmy w dzieciństwie, a tym, czym się stajemy w uporczywym trwaniu w więzieniu życia dorosłego. („The Times")

- Przedstawienie to, zrywając ze wszystkimi regułami teatru, pozostaje wspaniałe... teatralne. Nie ma w nim ani konsekwencji wydarzeń, ani łączności między postaciami, a język jest fragmentaryczny i niezrozumiały dla kogoś, kto nie jest Polakiem. A – pomimo to – sceniczny obraz, jaki się z niego wyłania, jest na tyle potężny, że żadnych dodatkowych wyjaśnień nie potrzebuje. („The Standard)

- W świętej przestrzeni sceny, która wygląda jak ring, celebrowany jest rytuał naszej codziennej śmierci, desperacja niejasnego gestu życiowego, a słowo wypowiedziane natychmiast się gubi bez śladu (...) Ale słowo, które zamiera w swej surowej niematerialności, staje się natychmiast czystym rytmem (...) Tocząc bowiem surową (niemalże religijną) wolną od przesądów grę z symbolami śmierci. (Leonardo Sole)

- Aktorzy Kantora dysponują taką siłą koncentracji i taki zasobem sprawności fizycznej, że w każdym momencie spektaklu potrafią przykuć sobą całkowicie uwagę publiczności. („Village Voice")

- Patrząc na Umarłą Klasę, ktoś głośno stwierdził, że w dzisiejszym teatrze światowym walczą z sobą dwa artystyczne obozy. Pierwszy z nich reprezentuje Kantor, w drugim są wszyscy pozostali. (...) na przekór tendencji traktowania Umarłej Klasy jako niezrozumiałego spektaklu „dla wtajemniczonych" mieści się on w wyjątkowej, naszej osobistej relacji do tego wszystkiego, co – rzeczywiście – w życiu wyjątkowe. („La Verdad")

Tadeusz Kantor wyznał w roku 1986, po nagraniu telewizyjnego programu „O powinnościach artysty":

- Starałem się nigdy nie objawiać ani upowszechniać mojej miłości do moich aktorów. Ale ja tych aktorów – prawdziwych artystów Teatru Cricot 2, którzy z kolosalnym z ich strony ryzykiem i kolosalnym poświęceniem (...) tworzą przedstawienie, które potem nazywa się „moim" spektaklem (...) naprawdę kocham.

W jednej z rozmów z Krzysztofem Miklaszewskim, Twórca Seansu Dramatycznego wypowiedział niepublikowane nigdzie zdanie, które stało się, jak stwierdził autor „Światowego Życia Umarłej Klasy" – „ważnym bodźcem do napisania tej książki". Zdanie to widnieje na fasadzie I Liceum im. Kazimierza Brodzińskiego w Tarnowie, do którego, począwszy od roku szkolnego 1925/1926 uczęszczał Tadeusz Kantor, urodzony na plebanii Wielopola Skrzyńskiego – syn Mariana Kantora i Heleny z Bergerów. Tutaj, w sali szkolnej w roku 2005, Krzysztof Miklaszewski wraz z zespołem Teatru im. Solskiego w Tarnowie zrealizował w nowej interpretacji sceny z „Umarłej klasy"

A zdanie to brzmi jak złowieszcze lub dobroczynne fatum, od którego nie ma ucieczki:

Z tej klasy nigdy nie wyszedłem.

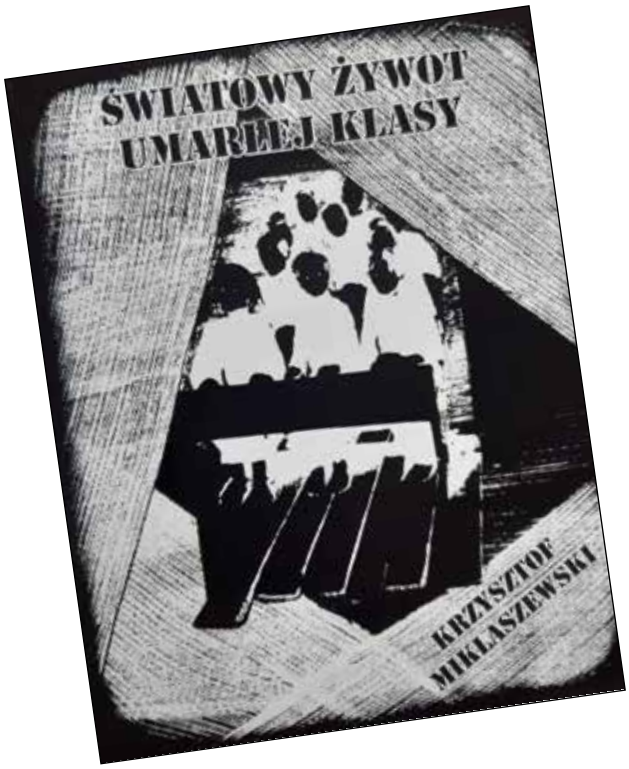

Krzysztof Miklaszewski
Światowy żywot Umarłej Klasy
232 s. ; 25 cm.
Kraków: Małgorzata Czerwińska
Polska, 2022

Patronat magazynu „Projektor”

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA JURY 7. KONKURSU „NAPISZ DO NAS O NAS”

(organizowanego przez Stowarzyszenie Przyjaciół Teatru im. Stefana Żeromskiego i Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach)

sporządzony 7 grudnia 2022 roku

Jury w składzie:

Paweł Chmielewski – Redaktor naczelny magazynu kulturalnego „Projektor” (przewodniczący);

Sławomir Micek – Okręg Kielecki Związku Polskich Artystów Plastyków (wiceprzewodniczący);

Karolina Sideł-Kozieł – Okręg Kielecki Związku Polskich Artystów Plastyków;

Paulina Drozdowska – Przedstawiciel Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach;

Zyta Trych – Prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Kielcach oraz Honorowy Członek Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru im. Stefana Żeromskiego;

Ewa Dziekan - Przedstawiciel Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru im. Stefana Żeromskiego;

Wit Chamera - Przedstawiciel Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru im. Stefana Żeromskiego;

stwierdza, że do 7. edycji konkursu „NAPISZ DO NAS O NAS” zgłoszono 40 prac, 28 w kategorii „prace plastyczne” oraz 12 w kategorii „prace literackie”.

Po zapoznaniu się z pracami konkursowymi Jury postanowiło przyznać następujące nagrody:

w kategorii prace plastyczne:

I miejsce (nagroda w wysokości 1000 PLN)

Agnieszka Pałgan (Kakonin) – za plakat do spektaklu „Frankenstein”, za kulturowe odwołanie do klasycznego filmu James'a Whale'a oraz za oszczędne, ale konsekwentne graficzne środki wyrazu.

II miejsce (ex aequo, nagrody w wysokości po 600 PLN)

Iga Kumańska (Strawczyn) – za ekspresyjne środki wyrazu w obrazie inspirowanym spektaklem „Frankenstein”.

Wiktoria Słabisz (Dąbrówka) – za monochromatyczny, a zarazem klimatyczny portret aktora Dawida Żłobińskiego.

III miejsce (ex aequo, nagrody w wysokości po 400 PLN)

Polina Zachainova (Kielce) – za turpistyczny i impresyjny obraz przedstawiający scenę ze spektaklu „Ale z naszymi umarłymi”.

Maria Jasztal (Starachowice) – za obraz z mroczną głębią i hipnotyzującym spojrzeniem postaci drugiego planu.

Wyróżnienie (nagroda w wysokości 200 PLN)

Maja Kania (Końskie) - za kolaż do spektaklu „Wolne ciała”.

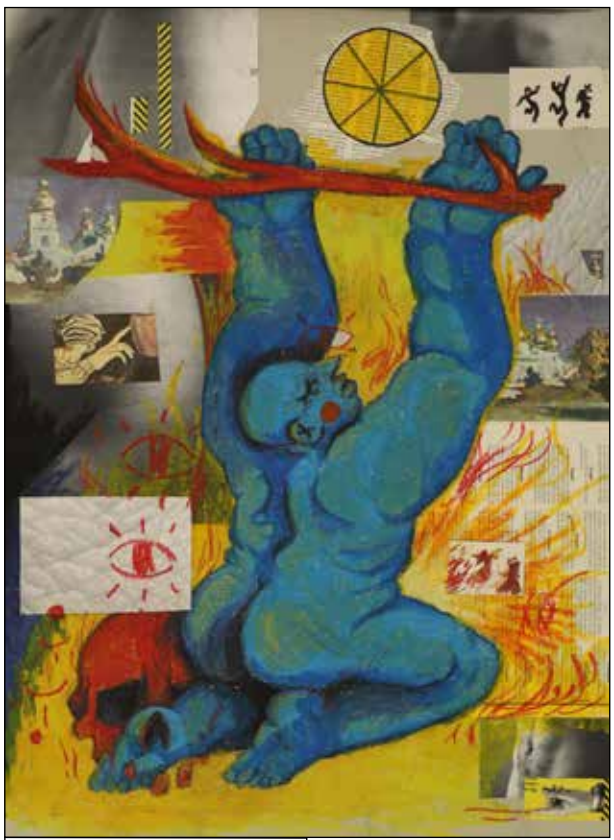

Maja Kania

w kategorii prace literackie:

I MIEJSCE (NAGRODA W WYSOKOŚCI 1000 PLN)

Olga Skrzeczowska (Rykoszyn), tekst „Miej serce i patrzaj w serce" – za intrygującą aktualizację idiomu romantycznego oraz ukazanie Mickiewiczowskiego tekstu istniejącego poza czasem i miejscem, w przestrzeni teatru i poza nią.

II MIEJSCE (EX AEQUO, NAGRODY W WYSOKOŚCI PO 600 PLN)

Amelia Żelazna (Zagnańsk), tekst „Życie jest teatrem" – za ukazanie teatralizacji w mechanizmach władzy oraz w odwiecznym dążeniu człowieka do prawdy i dobra;

Gabriela Kupis (Cierno-Zaszosie), tekst „Kiedy podnosi się kurtyna nie zapomnij otworzyć serca czyli porażający teatr oczami potwora" – za satyryczne, ciążące ku felietonowi rozważanie na temat roli recenzenta teatralnego.

III MIEJSCE (EX AEQUO, NAGRODY W WYSOKOŚCI PO 400 PLN)

Kinga Michalska (Skarżysko-Kamienna), tekst „Nieznośna lekkość tańca" – za ciekawą interpretację problemu osobistej wolności wśród chaosu współczesności, sprowokowaną uczestnictwem w spektaklu „Wolne ciała".

Maria Góźdź (Kielce) - za interesujący wywiad z aktorką Beatą Pszeniczną zatytułowany „Napisz do Nas o Nas"...czyli nie tylko moje wrażenia ze spektakli aktualnego repertuaru Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach".

Olga Skrzeczowska

„Miej serce i patrzaj w serce..."

DOKŁADNIE O 9.05 samolot z Bukaresztu wyląduje w Warszawie. O 9.37, przed lotniskiem, będzie czekała na mnie taksówka, która punktualnie o 10.21 wysadzi mnie przed drzwiami hotelowymi (uwzględniłam również korki, które w piątkowe przedpołudnie w centrum Warszawy są nieuniknione). Będę miała dokładnie 47 minut, aby spakować bagaż podręczny, przebrać się i przygotować się na mediację małżeńską. To już ostatnia. Ostatnia prosta. Już jutro mój wielki dzień. Dzień rozprawy rozwodowej. Dzień, który może zmienić wszystko. Na dobre lub na złe.

Nie wiem, co robić. Nadal nie jestem pewna swojej decyzji. Naszej decyzji. Bo przecież podjęliśmy ją wspólnie. Ja i mój mąż. Dla dobra dzieci. Dla naszego dobra. Dla dobra wspólnego.

Zamykam planer, biorę walizkę i kieruję się do hali odlotów. Samolot startuje o 7:15, więc mam jeszcze 15 minut na medytację i odpoczynek. Jestem jedną z pierwszych pasażerek, oczekujących na ten samolot, więc zajmuję miejsce po prawej stronie, z dobrym widokiem na tablicę odlotów oraz z wystarczającą dużą przestrzenią dla mnie i mojego bagażu. Obserwuję, jak powoli schodzą się ludzie. Zewsząd dobiega obcy akcent, a ja czuję się jak na Wieży Babel. Lubię ten chaos. Lotnisko ma w sobie pewien klimat. Jest metaforą życia. Ludzie wpadają tu przelotem, nie zatrzymują się na dłuższą chwilę. Zawsze gdzieś się spieszą, są roztargnieni, często gubią nie tylko samych siebie, ale również swoje rzeczy osobiste. Lotnisko stanowi pomost do innych światów, kultur, języków i poglądów, ale samo w sobie jest niedoceniane. Przecież to tutaj wszystko się zaczyna i kończy. Każda podróż, każde wspomnienie...

Powoli moja przestrzeń osobista zmniejsza się. Coraz więcej ludzi zapełnia powierzchnię wokół mnie. Z każdym kolejnym dźwiękiem, symbolizującym nadchodzące przemówienie pani, informującej o odlatujących samolotach, wszystkie oczy kierują się na

tablicę odlotów. Zmęczeni podróżni z niecierpliwością oczekują swojego transportu. Oczyma wyobraźni są już pewnie w chmurach, w domach...

Moją uwagę przykuwa elegancka kobieta w nietypowym stroju. Ma nieco zbyt strojną suknię oraz nazbyt rzucający się w oczy kapelusz. Wyróżnia się na tle pozostałych podróżnych. Typowy pasażer odziany jest w wygodne dresy, ma ze sobą plecak lub walizkę oraz poduszkę pod głowę. Zazwyczaj intensywnie przeszukuje telefon, sącząc przez słomkę napój gazowany.

Ta kobieta wygląda niezwykle dystyngowanie. Ma ze sobą jedynie wachlarz i notatnik. Ciekawe, dokąd się wybiera. Może jest artystką, która na lotnisko przychodzi jedynie zaczerpnąć inspirację do swoich dzieł. Być może jest miłośniczką jakiejś postaci historycznej,do której stara się upodobnić. Może jest zagubioną podróżniczką, która utknęła w czasoprzestrzeni i nie może wrócić do swojego wymiaru...

W końcu na prowadzenie wysuwa się wyczekiwany również przeze mnie samolot linii LOT z Bukaresztu do Warszawy. Wytężam słuch, aby rozprawić się z zewsząd dobiegającym hałasem i usłyszeć informacje o tym, gdzie mam się kierować. Głośniki na lotniskach pozostawiają wiele do życzenia. „Attention. The plane form Bukarest to Warsaw is delayed. We apolog..." Uruchamiam procedurę alarmową. Wdech, wydech, wdech, wydech... Od tej mediacji może zależeć moja przyszłość! Owszem, uwzględniłam korki. Pozostawiłam na to dodatkowe 47 minut, ale nie uwzględniłam opóźnienia samolotu! Ludzie wokół mnie również nie kryją poirytowania. Zewsząd dobiega dźwięk rozmów telefonicznych, powiadomień z komunikatorów, emocjonalna gestykulacja i podwyższony ton głosu. W końcu za telefon chwytam i ja. Nie pozostaje mi nic innego, jak powiadomić taksówkarza o opóźnieniu lotu, recepcji hotelu o opóźnieniu mojego przybycia oraz... Przecież nie mogę spóźnić się na własny rozwód! Uff... dzisiaj tylko mediacja. Aż mediacja. Moja terapeutka mówiła mi, że może wszystko zmienić. Ale nie wiem, czy coś jeszcze można zmienić...

Jedyną osobą, która w całym tym chaosie zachowuje spokój jest wspomniana przeze mnie dystyngowana dama. To utwierdza mnie w przekonaniu, że najwyraźniej nigdzie się nie spieszy, a lotnisko stanowi tylko jej inspirację. Intrygująco. Ups... Chyba zauważyła, że jej się przyglądam. Patrzy na mnie podejrzliwie i mruży oczy. Jeżeli zaraz wyjmie binokle, żeby lepiej mi się przyjrzeć, naprawdę uwierzę we wszystkie historyjki o podróżnikach w czasie. Odwracam wzrok, tak, że niby patrzę w innym kierunku. Ale ona nie ustępuje. Czuję jej przenikliwe spojrzenie na całym ciele. Przywołuje mnie gestem palca. Mam do niej podejść? Co ona może ode mnie chcieć? Jeżeli zapyta, czemu tak się na nią gapię, co odpowiem? Dobra, powiem jej, że kropla w kroplę przypomina mi moją ciotkę. Ale ja jej nie lubię. Co, jak się domyśli? Może jest jasnowidzem? Dobra, idę. Raz kozie śmierć. Jak ja tego nie zrobię, w końcu ona tu przyjdzie.

– Dzień dobry – zaczynam nieśmiało. Nie mam nawet pewności, czy mówi po polsku. Może powinnam powiedzieć raczej „Hello"?

– Dzień dobry – odpowiada. Albo jest poliglotką, albo trafił swój na swego, w tym przypadku Polka na Polkę.

– Ja przepraszam, że tak intensywnie się w Panią wpatrywałam, ale Pani bardzo łudząco mi kogoś przypomina – lepiej od razu się wytłumaczyć. – Wygląda Pani dokładnie tak, jak moja ciotka.

– Wszystko w porządku? – jak dobrze, że zmieniła temat. Nie miałam ochoty opowiadać jej o mojej ciekawskiej naturze i nieustannym obserwowaniu innych. Jeszcze wzięłaby mnie za wariatkę.

– Tak, dziękuję, że Pani pyta. To znaczy nie. Nie jest w porządku. Za 4 godziny zaczyna się moja ostatnia mediacja małżeńska, a ja utknęłam na lotnisku. Jest decydująca, bo jutro się rozwodzę. Mam wątpliwości i nie wiem, co robić. Nic nie wiem i jestem zagubiona. Nic nie jest w porządku. – Boże... czemu ja się tak przed nią otworzyłam? Przecież nawet jej nie znam...

– O, jejku... To rzeczywiście fiasko. Trudna sprawa. Nie wiem, jak mogłabym Pani pomóc. Może krótka rozmowa rozwieje wszelkie wątpliwości? – kim ona jest i dlaczego chce mi pomóc? Nie wiem, ale wzbudza moje zaufanie, a ja nie mam się komu wygadać. I tak tu tkwię i będę tkwiła przez najbliższe 2 godziny, do przyjazdu opóźnionego samolotu.

– Może i tak... Warto spróbować. Zawsze i wszędzie – od czego by tu zacząć... – Mam problem natury miłosnej – to zabrzmiało jakbym była na sesji terapeutycznej. – Nie...

Nie wiem, co miałabym Pani powiedzieć. Dziękuję za zaoferowanie pomocy, ale sama muszę podjąć tę decyzję. Przepraszam, ja już sobie pójdę.

– Tak się składa, że mam przy sobie tomik poezji romantycznej o tematyce miłosnej – wskazuje

na wcześniej zauważony przeze mnie notatnik - Samotna kontemplacja i interpretacja literatury jest u mnie na drugiej pozycji, zaraz po szczerej rozmowie z drugą osobą, na liście rzeczy do zrobienia, kiedy dane nam jest podjąć trudną, życiową decyzję. Może Pani spojrzeć, może akurat znajdzie Pani słowo dla siebie – znów posyła mi to dziwne, przenikliwe spojrzenie i coś na kształt uśmiechu.

- Jeżeli to żaden problem, to w sumie mogę zajrzeć, co kryją te pożółkłe kartki - nie kryję ciekawości. - Jeśli mogę spytać, skąd Pani ma tak stary egzemplarz? Czy to jakaś pamiątka rodzinna? Taka przekazywana z pokolenia na pokolenie? Przepraszam, że tak dopytuję, ale bardzo interesują mnie starocie. Prowadzę antykwariat i mamy dużo z b i o r ó w literatury przedwojennej, ale tak nadszarpniętego zębem czasu okazu nie widziałam jak żyję!

- To prezent od ukochanego. Taka pamiątka z młodości - odpowiada tajemniczo.

Po chwili udaję się na wcześniej zajęte przeze mnie miejsce i otwieram tomik. W wydaniach zbiorowych zawsze stosuję tę samą taktykę: otwieram w losowym miejscu i czytam wybrany przez los fragment. Moim oczom okazuje się wiersz „Czym jest miłość?" autorstwa Mihaila Eminescu. Na wyświechtanych, poplamionych kartkach, ledwie wybija się czerń tuszu.

„Miłość to pasmo mąk bez końca
I choćbyś już wycierpiał do dna,
Mało jej twoich łez tysiąca,
Ona wciąż nowych łez twych głodna."

Ile w tym prawdy... Miłość istotnie stanowi rzekę łez. Bywa tak, że jest to jedynie niewielka kaskada łez wzruszeń. Czasem to zwartki, spokojny nurt, symbolizujący dojrzałą, zdrową relację. Najgorsze są wezbrania. To one świadczą o tym, że w naturze coś poszło nie tak. Że coś zakłóciło ten spokojny prąd rzeki i zamieniło go w padół łez. Że trzeba coś zakończyć, aby coś nowego mogło się rozpocząć.

Spomiędzy rozklekotanych, luźno powiązanych ze sobą kartek, na ziemię spada jedna z nich. Podnoszę ją, a w oczy od razu wpada mi jeden z fragmentów utworu „To lubię" Adama Mickiewicza:

„Odtąd mi życie stało się nielube,
Późne uczułam wyrzuty;
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty."

Oczyma wyobraźni od razu dostrzegam finał dnia jutrzejszego: wracam do czterech pustych ścian hotelowych. Jestem sama, no ewentualnie towarzyszy mi butelka wina - tak serialowe rozwódki świętują zakończenie relacji. Siadam na kanapie, włączam telewizor, ale jedyne myśli, jakie mi towarzyszą są nacechowane negatywnie. Nadal mam wątpliwości, z tą różnicą, że teraz nie mogę już nic zmienić. Klamka zapadła.

„Ty, jakbyś w piersiach miała serce z głazu,
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu,
Przez łzy, cierpienia i modły."

Czuję się fatalnie. Jak główny winowajca zaistniałej sytuacji. Jak morderca. Niszczyciel relacji i rodziny. Niewzruszony poradami bliskich, znajomych, terapeutki czy cierpieniem dzieci. Odpalam laptopa. „Jak anulować rozwód?" Dźwięk moich roztrzęsionych palców, nerwowo poruszających się po klawiaturze nie pomaga mi w skupieniu uwagi. Nawet nie zauważam, kiedy kieliszek wina wylewa się na śnieżnobiałe obicie kanapy. To nie jest dla mnie w tym momencie istotne. Niedługo stąd wyjdę. Pokryję koszty naprawy tapicerki i nigdy tu nie wrócę. Moje miejsce jest w domu.

Przy mężu i przy dzieciach.

Jestem już prawie pewna, że decyzję o rozwodzie trzeba odwołać. Miała dandyska rację. Literatura nie jest taka zła. Ba, uświadomiła mi nawet więcej niż wszelkie ostatnie mediacje.

W końcu skupiłam się na sobie i na swoich przemyśleniach. Śpiewy o miłości sprzed 200 lat okazały się niezwykle trafne i aktualne. Jeszcze jeden utworek, tak dla pewności.

Mój palec podąża za wystającą tasiemką, stanowiącą zakładkę. Otwieram książkęna wyznaczonym przez nią miejscu. Tym razem pomiędzy sklejonymi kartkami znajduję wyschnięty płatek róży. Coś mi mówi, że ten wiersz miał duże znaczenie emocjonalne dla właścicielki książki.

„Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam;
I tęskniąc, sobie zadaję pytanie:

Czy to jest przyjaźń? Czy to jest kochanie?"

W moich myślach od razu rozbrzmiewa charyzmatyczny głos Marka Grechuty i jego wykonanie tego utworu. Od razu go rozpoznaję! To „Niepewność" Adama Mickiewicza. Och, co za zrządzenie losu! To właśnie przy melodii tej piosenki poznałam mojego męża na bankiecie z okazji przeniesienia siedziby mojego antykwariatu do warszawskiej kamienicy. Często do niej wracaliśmy...

Powoli dociera do mnie, że moje życie ostatnio nabrało zbyt intensywnego tempa. Nadchodzący dzień był kopią poprzedniego. Budzik, praca, mediacje małżeńskie, widzenie z dziećmi... Nieustanny rozbieg i gotowość do startu. Z planerem w jednej, a z walizką w drugiej ręce. Ciągle w rozjazdach, spóźniona, niedostrzegająca w chwili. Kiedy ostatnio mogłam sobie pozwolić na chwilę relaksu, przeczytanie ulubionej lektury i powolne delektowanie się aromatem kawy? W tej chwili jestem już pewna, co powinnam zrobić! Pobiegnę podziękować eleganckiej damie za pomoc w podjęciu decyzji.

Nie zastaję jej na wcześniej zajętym przez nią miejscu. Nie widzę również jej charakterystycznej postaci w zasięgu mojego wzroku. Może odleciała? Ale nawet jeśli, czy zostawiłaby mi tak cenną dla niej rzecz na własność? Wtem na krześle, które zajmowała, zauważam brązową, kruchą karteczkę z drobnym, acz eleganckim rękopisem:

„Miej serce i patrzaj w serce..."
Wsłuchaj się w melodię Swej duszy,
a już nigdy nie będziesz miała wątpliwości,
co począć na rozstaju dróg.
M.

(We wszystkich tekstach zachowano pisownię oryginalną)

Amelia Żelazna

„Życie jest teatrem"

Teatrem im. Stefana Żeromskiego w Kielcach interesuję się, prawdę mówiąc, od niedawna, bo mniej więcej od roku. Jednak przez ten stosunkowo niedługi czas miałam szansę zobaczyć niemal wszystkie spektakle z aktualnego repertuaru. Niektóre spośród przedstawień urzekły mnie do tego stopnia, że obejrzałam je wielokrotnie. Trudno jest wybrać jedno z nich, by bardziej wnikliwie rozważyć jego interpretację, lecz gdybym miała poświęcić uwagę każdej z prezentacji w sposób indywidualny, niezliczona ilość stron niniejszej pracy potrafiłaby wypełnić całą objętość mojego pokoju. Skoncentruję się zatem na gatunku najbliższemu mojemu sercu – na tragifarsie. Wywołuje ona we mnie szereg ambiwalentnych uczuć, stanowiących dla mnie inspirację i zmuszających do refleksji nad wartościami, o których na co dzień zdarza mi się zapomnieć.

Jej doskonałym przykładem jest „Król Mięsopust" (autorstwa Jarosława Marka Rymkiewicza) w reżyserii Jerzego Bończaka i Michała Kotańskiego. Już w pierwszej scenie poznajemy parobka - Florka i pomywaczkę – Kasię, którzy to posługują na dworze u hiszpańskiego króla – Filipa. Bohaterowie mają poczucie, iż nie zajmują wystarczająco wysokich pozycji w pałacu. Są przekonani, że zasługują nawet na to, aby zasiąść na tronie.

Władza jest odwiecznym pragnieniem ludzkości. Sądzę, że mając ją, czujemy się bezpiecznie, a więc dążenie do niej stanowi jeden z pierwotnych instynktów człowieka. Bywa on wówczas egoistą i „nie liczy się" z innymi. To niestety powszechnie akceptowana dziś postawa, desperacko wykorzystywana na drodze do sukcesu. Moim zdaniem ludzie marzą o władzy, nie są jednak świadomi konsekwencji i zobowiązań, jakie ze sobą niesie. We wspomnianej tragifarsie dochodzi do nietypowej sytuacji – król zrzeka się tronu i oddaje królestwo swojemu parobkowi, panicznie nie chcąc dopuścić do zawarcia małżeństwa z rozpustną

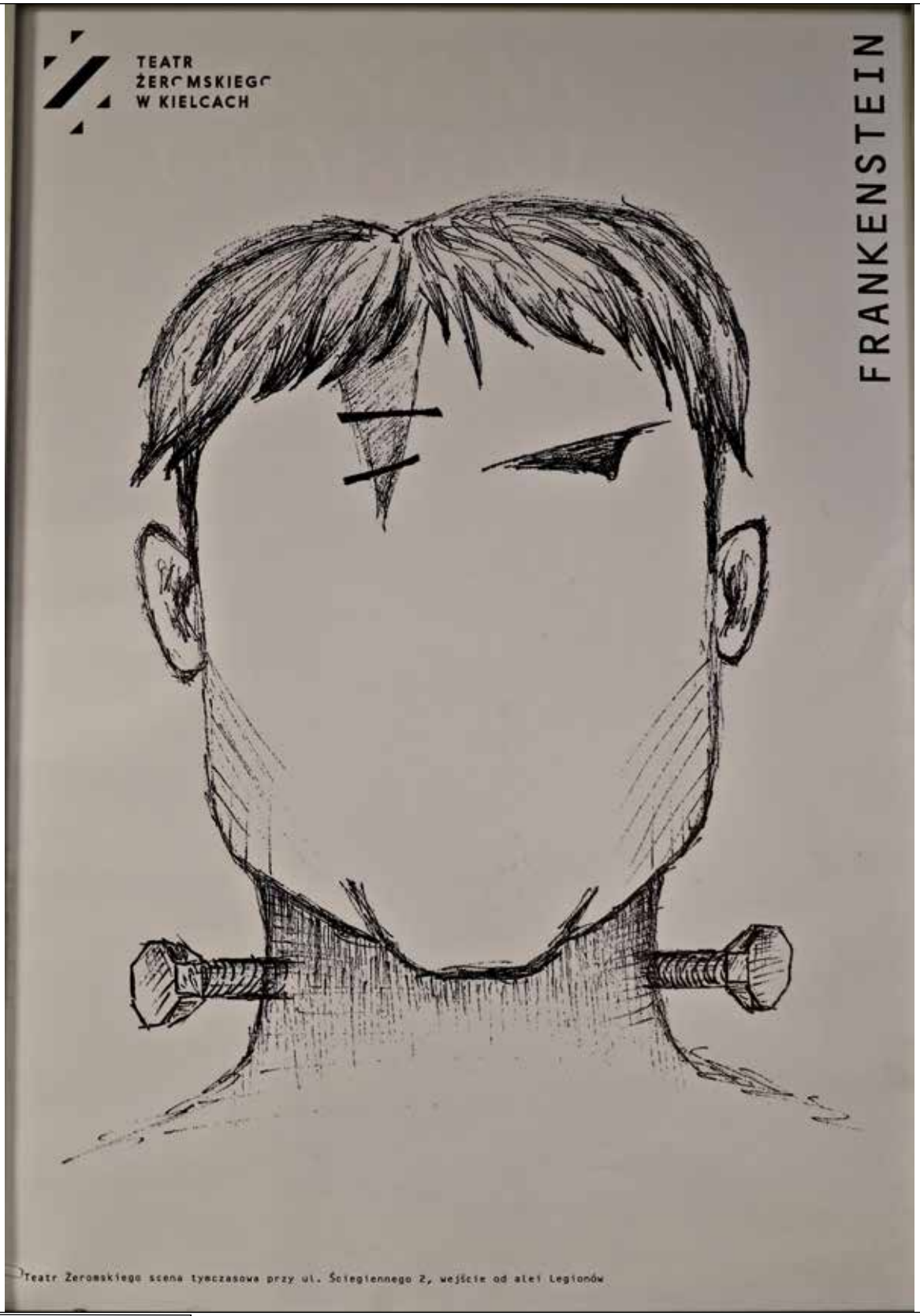

Agnieszka Pałgan

Wiktoria Słabisz

księżniczką maltańską – Rosalindą. Następuje wówczas zamiana ról, co wprowadza do pałacu zamęt, finezyjnie połączony z mięsopustną zabawą, karnawałem. Jednakże, obserwując stopniowo przyspieszający rytm następujących po sobie scen, zauważyłam pogłębiającą się utratę kontroli nad sobą, jakiej doświadczają kolejno wbiegające na scenę, lekko zdezorientowane postacie.

Nastanie nowego władcy wyłania motyw niezawinionego cierpienia, jakiego doświadczyła królewska pomywaczka – Kasia. W całym spektaklu jest ona dla mnie szczególnie niesłusznie skrzywdzoną postacią, cierpiącą z powodu wielu sytuacji, w jakich się nieszczęśliwie znalazła. „O, ja biedna, bo kto by tu nie był królem to ja zawsze niby ptaszka, którą ptasznik zamknął w sieci, więzi w klatce! "- stwierdza. Za najbardziej przejmującą scenę uważam moment, w którym wymierzona zostaje na bohaterce kara chłosty zlecona przez Florka, gdy do jego uszu docierają słowa o domniemanej chęci zdrady – królobójstwa.

Florek sprawuje swoje rządy na zasadzie tyranii. Jednak według mnie nie jest on bohaterem negatywnym, lecz próbuje na swój sposób odnaleźć się w świecie, w którym każdy zajmuje określone stanowisko i nie powinien tego kwestionować. Wspomniany bohater niejako „wychodzi przed szereg", usiłując polepszyć swoją pozycję społeczną. Tak naprawdę on tylko wykorzystuje sytuację, co ułatwia mu zdesperowany Filip. Wkrótce jednak Florek, przestraszony ogromem władzy, chce pozbyć się tej przywary niemal tak szybko, jak ją pozyskał. Analizując zachowanie tej postaci, dochodzę do wniosku, iż ludzie często pragną czegoś więcej, bardziej i dążą do tego za wszelką cenę, aż wreszcie zaczynają rozumieć, że nie było warto. Rozczarowanie wynikające z poczucia niesprawiedliwości spowodowane jest przecież w gruncie rzeczy oczekiwaniami, jakie samodzielnie sobie stawiają.

Człowiek posiada również pragnienie bycia lepszym niż jego rówieśnicy. Uważam, że to naturalne. Owe uczucie wywodzi się w końcu z wrodzonej ambicji, więc merytorycznie nie jest niczym złym. W nadmiarze może jednak okazać się niebezpieczne - nie tylko dla osób trzecich, lecz przede wszystkim dla samej, pozwolę sobie stwierdzić, ofiary. W ostatnich etapach poznawania losów Florka, nieco współczującym okiem spoglądam na jego bezsilność, niezdolność do zapanowania nad dynamiczną sytuacją w pałacu,

gdy sama agresja nie przynosiła pożądanego efektu. Przejawem rozpaczy oraz frustracji bohatera są słowa, które wypowiada w stronę widzów: „A wy proszę się nie śmiejcie, bo mi smutno!". Wkrótce potem zwraca on królestwo Filipowi, który pod wpływem silnego uczucia do Kasi, odpycha berło i koronę, wybiega w pośpiechu, chcąc oznajmić pomywaczce swoją pozycję, mając tym samym nadzieję na zdobycie jej uznania. To zachowanie porusza mnie właśnie dlatego, iż dla bohatera większą wartość stanowi sam fakt ponownego bycia królem, a nie dobra materialne związane z tym zaszczytem. Dla Filipa ważniejsze okazują się pobudki emocjonalne i duchowe, a nie żądza bogactwa czy wspomnianej już wcześniej władzy. Podkreśla to, mówiąc: „Słyszysz, Kasiu? Ja tu znowu królem jestem. Kasiu, ty księżniczką będziesz!".

Jako że charaktery poszczególnych postaci wraz z upływem czasu przestają być dla mnie oczywiste, rozważę naturę bohaterki szczególnej – księżniczki maltańskiej, Rosalindy, której zachowanie początkowo wydawało mi się wyłącznie bezpruderyjne i niewłaściwe. Jednak w swoim monologu tłumaczy ona, że „to maska, to jest rola". Podkreśla, iż człowiek zbyt łatwo ocenia innych ludzi, patrząc tylko na to, co „widać", a nie zagłębiając się we wnętrze duszy, która to

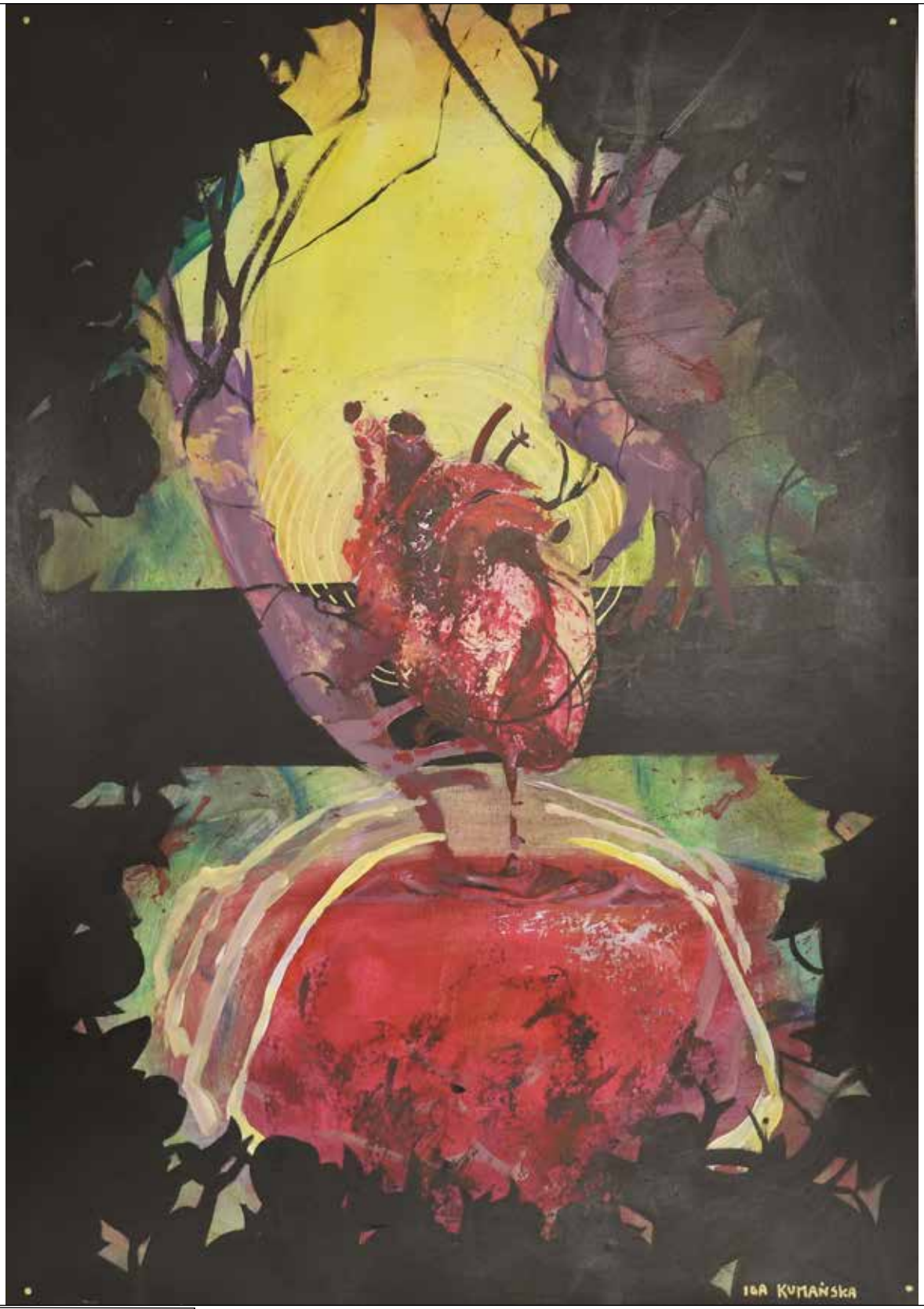

Iga Kumańska

przecież jako jedyna jest prawdziwym odzwierciedleniem prawdy.

W pewnym momencie na scenie ukazany zostaje moment szaleństwa kolejno wybiegających postaci. Zacierają one granice pomiędzy dobrem a złem, przez co w moim umyśle zaczyna powstawać obraz bezskutecznie szukających ratunku, słabych, zagubionych istot, bezradnych wobec nieustannej pogoni, jaką jest życie. Ów obłęd przedstawia gonitwę bohaterów wokół olbrzymiego łoża będącego centralnym elementem sceny. Według mnie symbolizuje ona nieustanne dążenie ludzi do poznawania swoich priorytetów. Wspomniany bieg nie ma końca, gdyż wynika z pierwotnej skłonności człowieka do ciągłego szukania i walki o dominację w świecie pełnym niesprawiedliwości i kłamstwa. Ale czy jest ona faktycznym celem naszego życia?

Na powyższe pytanie odnajduję odpowiedź w jednej ze scen, w której usiłujący od początku przeprowadzić zamach na życie króla Roberto, kieruje swój monolog do nieszczęśliwego Florka. Dziwi się jego postępowaniu: „A ty, czemu się ubrałeś, śliska glino w śliską glinę?". Uświadamia mu, że człowiek często błądzi, tonąc w przewrotności ludzkiego bytu, przemijania pewnych wartości, które nie są wieczne. Wszystko, co ziemskie ma swój kres, a wszelkie bogactwo i skarby doczesne zabierze nieubłagana śmierć. Tajemnicza postać wyśmiewa naiwność bohatera, stanowiącego dla mnie alegorię całej ludzkości, przemawiając: „A tyś pysznił się i stroił, tyś na głowie miał koronę, tyś tu skakał, tyś tu tańczył!".

Jak pisał w swoim wierszu Edward Stachura – „wędrówką jedną życie jest człowieka". Jeżeli miałabym użyć prostego, uzupełniającego tę sentencję porównania, napisałabym, że ludzki los metaforycznie przypomina kolejkę górską. Sens jej działania nie polega wszakże na stworzeniu toru będącego linią prostą. Jeżeli zatem w danym odcinku prowadzi on w górę, po pewnym czasie zmienia swój kierunek, pochylając się ku dołowi. W życiu wiele razy upadamy i błądzimy, lecz w finale odnajdujemy właściwą drogę. To ciągły i powtarzalny proces. Nasza historia „zatacza koło", więc za odpowiednie uważam przytoczenie na koniec znamiennych słów, jakie wybrzmiewają na samym końcu opisanej tragifarsy, stanowiących doskonałą, skłaniającą do przemyśleń puentę: „Bijcie brawo (...), a wy idźcie spać widzowie, bo ta farsa nie ma końca".

Gabriela Kupis

Kiedy podnosi się kurtyna nie zapomnij otworzyć serca czyli porażający teatr oczami potwora

„Napisz do nas o nas" – o czym tu pisać? Kolejny raz przebiegam wzrokiem bezkresne oceany recenzji spektakli, artykuły, broszury, wywiady, filmy. O czym jeszcze nikt nie napisał? Wśród tak wielu napływających prac literackich trudno mówić o oryginalności. Kreatywne podejście do tematu – absurd. Kolejny nużący tekst, którego tematem jest jedno z przedstawień wystawionych na deskach legendarnego Teatru imienia Stefana Żeromskiego w Kielcach. Dla przeciętnego K. jest to synonim uprzednio czytanego dzieła, ale dla tych, którzy z życiem teatru związani są na każdym z wielu egzystencjalnych poziomów, jest to wręcz nektar na ich zbolałe dusze, łaknące coraz to nowszych doznań, a już teksty, w których wspomniane są konkretne nazwiska... O tak, te z pewnością stanowią siłę napędową twórców teatru! Opinie, dla aktorów, stają się wysłuchanymi modlitwami, a czytane afirmują następujące po sobie sukcesy i klęski.

Drogi Czytelniku, jeśli nie przykułabym Twojej uwagi, nie podążałbyś dalej za ciągiem zlepionych, ustawionych obok siebie znaczków, tu i ówdzie rozdzielonych większymi odstępami. Egoizm leży w ludzkiej naturze. Może masz mnie za oderwaną od rzeczywistości bliżej nieznaną istotę i twierdzisz, że to, co czytasz, jest bezsensowną grą i marnowaniem czasu, jednak stale wodzisz wzrokiem przez kolejne

Maria Jasztal

wersy i idziesz dokładnie tam, gdzie ja tego chcę, a może już sam tego pragniesz. Czy to ma sens? Nie, ale uznajmy, że to było zabawne i konieczne, a nasza współpraca okaże się owocna.

Zamknięta w czterech ścianach duszę się, a wszystkiemu winne są kłębiące się we mnie myśli, tak natrętne, dręczące, że wreszcie zrywam się i sięgam do tych wszystkich recenzji, zamieszczanych w najróżniejszych domenach, po raz setny. Nudzą mnie. Czytanie o sztuce nie jest tym samym, co jej doświadczenie. Recenzentem może być każdy. Studentów proszą o pisanie sprawozdań z premier studenckich. A co w nich jest? To samo. Każda praca to powielenie utartych schematów, formułek i wniosków wyciągniętych przez profesjonalistów, którzy zgłębili poruszony temat. W zasadzie dość płytko, bo gdzie tu emocje, moje uczucia, mój stosunek do prezentowanej problematyki. Bójcie się biedni studenci, bo ja nie popieram zbytecznego i prostackiego „kopiuj wklej", popsuję wam szyki.

Jeśli mam mówić do WAS o WAS, to chyba powinnam od początku do końca uraczyć teatralną społeczność cukrową ucztą na miarę wybitnego lizusostwa, które ma na celu zwrócenie na siebie uwagi w środowisku kulturalnym. Paradoksalnie, każdy artysta do tego dąży. Również moje małe „ja", bierze udział w tym prześmiewczym procederze. Zróbmy sobie przysługę. Reklama za reklamę i umowa stoi. Czy TEN teatr potrzebuje marketingu? Owszem! Uwaga, publika jest jak woda na pustyni. Nie ma, nie ma wody na pustyni... Chyba, że szklana pogoda, a to już inna piosenka. Gdzie moje maniery?! Jeszcze mnie Państwo nie znają, a ja już tak wiele odkryłam. Mój Boże, czuję się naga. Lekko onieśmielona, przyznaję, jestem częścią tej publiki, która bacznie śledzi poczynania „Teatru Żeromskiego". Zasiadam wygodnie w jednym z rzędów i delektuję się trwającą symfonią. Blisko trzydziestej minuty nerwowo kręcę się w fotelu i zerkam na zegarek, a później podnoszę wzrok i dyskretnie śledzę widownię - uciskająca brzydota stłoczona w jednej sali, poszukująca piękna w obrzydliwości fenomenu Frankensteina. Biedni Ci, którzy liczyli na zielone monstrum kreowane w kulturze popularnej, tak odbiegające od pierwowzoru. Nie uświadczycie komercjalizacji! Wkraczając do świątyni sztuki porzućcie wszelką nadzieję na traktowanie tematów płytko, jednowymiarowo, powtarzalnie i z oczywistością, dzięki której, nawet dziecko, odnajdzie myśl przewodnią i nasuwający się wniosek. Przestańcie czytać recenzje i przyjmować je bezrefleksyjnie, jako jedyną możliwą i poprawną ocenę sztuki. Czym w ogóle jest poprawność i gdzie sztuka ma granice?! W teatrze ich nie ma! Suche fakty, a jednak na twarzach widzów, zwłaszcza tych młodych studentów, pseudo intelektualistów z wybujałym ego, maluje się ciągła fascynacja, słychać szepty, nieustanne, przerywane rozmowy, uwagi, komentarze – na pokaz swego obycia, a może jego braku. Zafascynowani, nieświadomi swoich braków, bezrefleksyjnie błądzący w tłumie cudzych opinii, z których wyciągają to, co aktualnie wydaje im się sensowne. Budząc moją odrazę zniechęcili mnie do dalszej obserwacji młodocianego audytorium. I kto to pisze?! – ja, dziewczyna, o której zawsze mówili, że jest przewrażliwiona, wyniosła, chłodna lub zbyt wyrazista, nadmiernie entuzjastyczna lub przeciwnie – smętna i naburmuszona.

Kim jestem? Potworem, bezimienną istotą. Ukrywam się każdego dnia. Nie ubieram się, lecz przebieram, nie jestem sobą, wciąż odgrywam przydzielone mi role. Od dawna nie mówię tego, co czuję – zawsze opowiadam innym to, co chcą usłyszeć. Dziś pozwoliłam wybrzmieć słowom mojego ducha, które skrupulatnie upychałam w najgłębsze zakątki mojego serca.

„Frankenstein" w reżyserii Jędrzeja Piaskowskiego został w pamięci młodych widzów przede wszystkim jako rzucenie światła w kierunku nowych perspektyw postrzegania świata i odnalezienie się w otaczającej nas rzeczywistości. To stwierdzenie zostało ujęte w najróżniejsze formy, ta sama myśl została przekazana za pomocą innych słów. Tylko tak. Bez emocji. Krótko. Refleksja bez autentycznej refleksji. Im krócej, tym lepiej. Czysta ekonomia. Odczuwam potrzebę, która wypływa ze mnie jak łzy na pogrzebie, aby zbuntować się spłycaniu sztuki przez odbiorców oraz niewystarczającej analizie jej wpływu na nasze umysły. Piszemy oceniająco zamiast refleksyjnie. To rzecz, która powinna ulec zmianie. Należy dostrzec różnicę między przedstawionymi tendencjami, aby otworzyć się na nowy styl opisywania sztuki. Winno się zagłębić, przyjąć sztukę introwertycznie, czyli do środka – skupić się na zachodzących w nas zmianach, odczuwanych emocjach i utracić błędne przekonanie o tym, że sztukę mogę źle zinterpretować. Nie chodzi tylko o to, co autor miał na myśli, ale o to, co mi nasuwa na myśl wizja, którą ukazał. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, to uzależnia, dosłownie, to co dostrzeżemy na scenie z miejsca

zajmowanego na widowni. Możemy więc, znajdując się bliżej, dostrzec wyraziste, niebywale ekspresyjne gesty z wręcz, porażający efektem, analogicznie, będąc dalej sceny, ten sam grymas wyda się mniej uderzający. Przytoczone wyrażenie przenośnie oznacza, że kiedy w życiu zmienia się nasza pozycja, stanowisko, urząd czy pełniona przez nas funkcja, jednocześnie zmienia się sposób postrzegania tych samych spraw. Przenieśmy ten schemat do teatru. Mówiąc o spektaklach, mówmy o naszych odczuciach z naszej perspektywy. Pozwólmy sobie na wrażenia! Identyfikujmy się z bohaterami lub przeciwstawiajmy się im. Popatrzmy na nasze życie przez pryzmat świata ukazanego w na scenie. Nie można lękać się odrzucenia przez społeczność tylko dlatego, że mamy odmienne poglądy, przekonania.

Do przemyśleń tejże natury skłonił mnie uprzednio wspomniany spektakl „Frankenstein". Wrodzona ciekawość pchała moje myśli w strony nieoczywiste. Zaczęłam zastanawiać się nie tylko nad tym kim i jaka jestem, ale również nad tym jakie role przyjmuję w społeczeństwie, jak mnie postrzegają ludzie, a jak ja ich. Zaczęłam się zastanawiać, czy siebie akceptuję. W toku rozważań zasięgnęłam informacji z dziedziny psychologii. Rozwiązałam rozpoznawalne, niemal ikoniczne testy, które miały opisać moje tendencje, charakter, a także typ osobowości. Z niemałym zaskoczeniem odczytywałam wyniki wraz z interpretacjami czy też opisami wyróżnionych kategorii, do których zostałam przyporządkowana. Test z książki „Wysoko wrażliwi" autorstwa Elaine N. Aron zaklasyfikował mnie do tytułowych wysoko wrażliwych osób. Autorka – psycholog i psychoterapeuta, stworzyła akronim DOES, który pomaga w określaniu obecności wyżej wspomnianej cechy. Oznacza to, że powinna wyróżniać mnie głębia przetwarzania (depth of processing) rozumiana jako doszukiwanie się powiązań pomiędzy wszystkim, co postrzegamy, a wydarzeniami przeszłości. Kolejne jest przestymulowanie (overstimulation) np. emocjami, przeciążenie bodźcami. Obok tego stoją również reaktywność emocjonalna (emotional reactivity) i wyczuwanie subtelności (sensing the subtle) rozumiane kolejno jako głęboka empatia oraz dostrzeganie szczegółów, małych elementów ujętych w całość. Temat jest obszernie opracowany i poprzedzony latami badań, co pozwala na długie dyskusje. Rzeczą istotną wydaje się fakt czy zaakceptuję taką odmienność. Pytanie: czy zgadzam się z wynikiem? - jest kluczowe. Dotyczy nie tylko wiary w istnienie cechy wysokiej wrażliwości, ale również akceptacji samego siebie jako nośnika omawianej „przypadłości". Podobnie jest z określaniem siebie jako ekstrawertyka lub introwertyka. Próbujemy zamknąć siebie i innych w pewnych ramach. Istnieją testy osobowości na podstawie badań Carla Junga. Dzięki nim możemy dokonać kolejnej klasyfikacji, podziału na reprezentowane przez nas typy. Wyróżnione zostały cztery kategorie analitycy, dyplomaci, strażnicy i odkrywcy. Pod każdą z kategorii pojawiły się opisy kolejnych czterech podkategorii, co daje nam szesnaście wariacji. Test określił mnie jako dyplomatę – protagonistę. Obszerny opis dał mi informacje kim i jaka jestem. Czy zgadzam się z wynikiem? Możliwe, ale czy jestem w stanie zaakceptować swój charakter, osobowość? Joseph Murphy w książce „Potęga podświadomości" pisał, że wszystko zaczyna się w naszym umyśle, a dzięki zmianie myślenia zmieniamy swoje życie. Wiara we własne możliwości i pozytywne nastawienie to fundament szczęścia. Akceptacja – zgoda na bycie sobą – zaczyna się w naszej głowie.

W tym miejscu możemy postawić kolejne pytanie: jak do tego dojść? Odpowiedź jest prosta, a wykonanie, jak zwykle, skomplikowane, wymagające czasu. Musimy poznać swoje wnętrze, jego bogactwo. Odkrywajmy piękno, które w nas drzemie. Te wszystkie psychologiczne testy mają sens tylko w momencie, kiedy kieruje nami chęć odpowiedzi na stawiane wcześniej pytania. Szczerość wobec, nie tylko innych, ale i nas samych, ma ogromne znaczenie. Pozbywając się maski, którą podczas spektaklu z premedytacją zrywa z siebie Bezimienny (w tej roli fenomenalny Dawid Żłobiński), mamy możliwość zobaczenia nas – czystych, pełnych uczuć, czasami uwidaczniają się blizny, wybijają się wady, a pozytywne cech z szczególną siłą mają okazję wybrzmieć. Niesamowite! W swej brzydocie jesteśmy porażająco piękni. Wszyscy wielcy powtarzają, że każdą zmianę należy zacząć od siebie, a ja powtórzę to za nimi. Samoakceptacja jest krokiem do akceptacji drugiego człowieka. Chodzi o tą różnorodność, zaprezentowaną w ostatniej scenie spektaklu, tak bajkowy element, który doskonale zobrazował czym jest odmienność, nie tylko powierzchowna, jak już wspomniałam w poprzednim akapicie, ale również ta emocjonalna, duchowa sfera, nasz charakter. Biolodzy powiedzą, że ludzie zbudowani są z milionów cząstek – komórek, a ja powiem, że zbudowały nas wydarzenia

Polina Zachainova

przeszłości. Ten aspekt przedstawia Mateusz Bernacik w roli Wiktora Frankensteina. Przeszłość zdeterminowała jego podejście do życia. Tak bardzo nas to dotyka, a nie przywiązujemy do tego wagi. Jak wiele problemów ciągnie się za nami, są przysłowiową kulą u nogi. Problemy – Justyna Moritz (Ewelina Gronowska) też je miała. Oskarżenia – łatwo nimi rzucać, trudniej bronić się i powstać, poprawiają przysłowiową koronę.

Ile jeszcze znajdę wątków, ile myśli przebiegnie mi przez głowę?! Jeden wieczór, około dwóch godzin, a tyle dostałam odpowiedzi, a jeszcze więcej pytań. Doznałam antycznego katharsis! Czuję się uwolniona. Przestałam bać się potwora, który we mnie siedzi. Wiecznie oglądająca innych, stale oceniająca, krytyczna, bezczelna JA, prześwietliłam siebie. Absurd?! Nie, to fakt. Wiem, jaka jestem, wiem kim chcę być. Idę tam, gdzie chcę, z większą świadomością. Nie czuję się źle zdejmując maskę. Każdego ranka walczę z przyciąganiem łóżka, ociężale wstaję, wlekę się przez korytarz mijając swoje odbicie, wracam, zerkam raz jeszcze i uśmiecham się po raz pierwszy od dawna dla mojego wewnętrznego dziecka. Widzę podkrążone oczy, czerwony nos, okrągłe policzki i burzę potarganych włosów. Pozwalam sobie na doprowadzenie się do względnego porządku, biorę łyk kawy i biegnę w świat. Mijam wiele osób. Z niektórymi wymieniam uśmiech i znaczące spojrzenia. Mówili o mnie – wariatka, nadpobudliwa, przewrażliwiona – taka jestem! Nie chcę się zmieniać i dopasowywać do innych, bo muszę, żeby mnie polubili, żebym stanowiła część zespołu. Świat kręci się ze mną! Jestem jego częścią. Akceptuję wszystkie potwory, żeby nie czuły się tak samotne, jak ja, przez większość życia. Aż i tylko tyle, żeby być szczęśliwym. Myślicie, że zwariowałam. Tak, ale w regulaminie nie było wzmianki o szczegółach dotyczących treści, ram czy normalizacji tekstu. Czy było o was? Było i to jak! Teatr to aktorzy i publika, tak, jak w liście, mamy nadawcę i odbiorcę. „Frankenstein" – jako esej teatralny zostawił obszerne pole do dyskusji, ja dodałam kolejne, więc drogi Czytelniku, czy akceptujesz swojego potwora?

Kinga Michalska

Nieznośna lekkość tańca

Październikowy wieczór, niecodzienny, wyjątkowy. Przebieramy się w eleganckie ubrania i jedziemy w miejsce, które, jak się ostatecznie okaże dostarczy nam – mnie – niezapomnianych wrażeń. Docieramy pod teatr i otwieramy drzwi sztuki. Zostawiamy płaszcze i troski w szatni. Czekamy. Czas biegnie wolniej niż zwykle, ale w końcu wchodzimy na salę. Zajmujemy przydzielone nam miejsca. Rozmawiamy, śmiejemy się i podziwiamy odświętnie ubranych ludzi.

- Marta, zaczyna się!

I nagle rozmowa ucicha, a kurtyna z wolna odsłania się. Widać scenę, a na niej kobietę. Ta stoi i milczy. Nieoczekiwanie spokój na sali zostaje zburzony przez krzyk aktorki. Śpiew, wrzask i nastrój grozy panujący w pomieszczeniu rozchodzi się po naszych ciałach, ciałach wolnych. Czy to dobrze? Czy to opętanie? Zdaje się, że to stan na pograniczu snu i jawy – coś niezwykłego. Piękne, białe futro nadaje kobiecie niebiański charakter, a nas przenosi w inny wymiar. Dźwięk wydobywający się z jej krtani rozpoczyna wyzwolenie. Wydaje się jakby dusza miała zaraz opuścić jej cielesną powłokę. Ale wciąż tu jest! Ostatni krzyk, uniesienie i ... cisza.

Teraz muzyka zmienia się na bardziej dynamiczną. Bębny, szybkie uderzenia pałeczek. I nagle na scenę wybiegają tancerze w groteskowej charakteryzacji. Ich ruchy są płynne, lekkie, a zarazem szybkie i dynamiczne. Co teraz się stanie? Czekamy z niecierpliwością, wpatrując się w magiczną przestrzeń. Niespodziewanie na scenie pojawia się mężczyzna z czaszką w dłoni. Wydaje się on być zamyślony i nieobecny, ale nagle zaczyna rozmawiać z kośćmi. Martwe i obrzydliwe, ale dla niego są one czymś żywym, istotnym i pięknym. Śmierć nie jest jednak końcem, a początkiem czegoś zupełnie innego, być może lepszego! Ku zaskoczeniu wszystkich nawiązuje też kontakt z publicznością.

To już dla wielu osób zbyt wiele. Część osób nie wytrzymuje panującego na sali napięcia – wychodzą. „Być albo nie być" mówi czaszka. Wszyscy aktorzy stają w kręgu i zaczynają śpiewać „kości, kości". Teraz niezwykła synchronizacja połączona z muzyką przenoszą nas do innego świata. Nagle aktorzy przesuwają drabinkę. Wchodzą na nią. Postacie ciągle się przemieszczają. Panuje chaos. Tu zaskoczenie, zmiana scenerii – widzimy jak aktorzy utożsamiają się z naturą. Ruch, gwar, zamieszanie! Nie wiemy, na co patrzeć. Po lewej stronie – dziewczyna udająca skałę. Po prawej zaś – para, która próbuje oddać charakter jeziora. A my? Doświadczamy wszystkich żywiołów na raz. Woda, ogień, ziemia ... wyzwolenie. Powoli poszczególni aktorzy wychodzą. Najpierw jedna osoba, potem kolejne. Zostaje tylko kobieta, której głos jest przyjemny, niemalże niebiański. Tak dobrze jej słuchać. Pieśń jednak kończy się i wszyscy z powrotem pojawiają się na środku. Kłaniają się, a oklaskom nie ma końca. Wychodzą. Światło zapala się, a my powoli wracamy do szarej rzeczywistości. Patrzymy na siebie i myślimy: „chwilo trwaj". Wstajemy i udajemy się w kierunku wyjścia. Ubieramy się i opuszczamy budynek, ale obrazy i głosy zostają w nas.

„Jak Wam się podobało?" – pyta koleżanka.

A ja nie wiem, co odpowiedzieć. Podobało? To, co przeżyłam w ciągu tych kilku minut jest dla mnie nie do opisania zwykłymi słowami. Chciałabym tam wrócić i przeżyć to jeszcze raz! Poczuć raz jeszcze te same emocje. Na chwilę przeniesiono mnie do przestrzeni, w której mogłabym zostać dłużej – nawet do końca życia. Niestety przedstawienie dobiegło końca. A ja? Muszę wrócić do prozaicznego świata. Wiem, że tam jeszcze wrócę – myślami i może we śnie. Coś we mnie zakiełkowało. A co z tego wyrośnie? Niech wschodzi! Niech dojrzewa! A teraz pozwalam sobie wirować. Może nastąpi i moje wyzwolenie?

Maria Góźdź

Wywiad

Najpopularniejsza w Kielcach ulica Sienkiewicza wygląda nieco inaczej niż rok temu. Budynek, w którym od 1878 roku znajdował się Teatr im. Stefana Żeromskiego jest teraz zasłonięty wysokim blaszanym płotem. Nie widać nic. Ani zabytkowej bramy, ani obszernych witryn z repertuarem, ani spieszących do pracy aktorów. Przebudowa trwa pełną parą. Teatr zaprasza do tymczasowej siedziby przy ulicy Ściegiennego 2.

Idę tam zamaszystym krokiem. Udało mi się umówić na rozmowę z prawdziwą aktorką - Panią Beatą Pszeniczną. Spotkanie ma się odbyć za kilkanaście minut. Serce bije mi z niepokoju. Czy będę umiała wcielić się w role dziennikarki, reporterki? Czy Pani Beata okaże się równie otwartą i sympatyczną osobą, jak na scenie?

Widziałam Panią Beatę w kilku rolach: jako Barbarę Markowską w „Szalonych Nożyczkach", czy Belindę w „Mięsopuście", ale to zupełnie co innego spotkać i rozmawiać z prawdziwą Panią Beatą. Jestem trochę wcześniej. W progu teatru wita mnie miłym głosem uprzejma kobieta o gęstych blond włosach, która widząc mnie wyszła zza szyby kasy. Spytała po co przyszłam, wszak w tym dniu nie ma w repertuarze żadnego spektaklu. Tłumaczę, że konkurs, że wywiad...

- **A może mogłabym także Pani zadać kilka pytań?** – rzucam, mając nadzieję, że głos „od kuchni" także będzie wartościowy i pomoże mi zachęcić widzów do odwiedzin w teatrze.

- Oczywiście – z lekką niepewnością w głosie odpowiedziała – O co chcesz pytać?

- **Które spektakle przyciągają najwięcej publiczności. I których widzów jest więcej: dorosłych, młodzieży, czy seniorów?**

- Grupa widzów jest bardzo zróżnicowana, widuje się zarówno starszych, jak i młodszych. Jeśli chodzi o rodzaj spektakli to zdecydowanie komedie przyciągają najwięcej publiczności. Na „Szalonych nożyczkach" czy „Prezencie urodzinowym" zawsze mamy pełne obłożenie.

- **Czy po zmianie siedziby teatru zmieniła się ilość widzów?**

- Nawet jeśli... to ta różnica jest niezauważalna. My pracownicy teatru nie odczuwamy tego.

- **Czy zdarza się jeszcze aby młodzież sama, bez zorganizowanych grup, przychodziła na spektakle?**

- Coraz rzadziej gramy spektakle dla grup zorganizowanych, typowo szkolnych. Młodych ludzi często widuje na spektaklach wieczornych z aktualnego repertuaru.

- **Dziękuję Pani za rozmowę, życzę miłego popołudnia.** - Musiałam szybko skończyć, bo oto zobaczyłam, panią Beatę. Poczułam jak serce galopuje mi w okolicach gardła. Niepewnie się przedstawiłam.

- Och! Marysiu! Nie zmarzłaś? Taki ziąb dzisiaj! Siadaj kochana! O może tu? – wskazuje na szare kanapy w foyer teatru. Już czuję, że mój wewnętrzny galop zwalnia i nawet jeśli coś pomylę lub zapomnę, to przy tak otwartej i roześmianej osobie ujdzie mi to płazem.

- **Szanowna Pani, w jakie role najtrudniej jest się wcielić?** - zaczynam zadawanie pytań.

- Najtrudniejsze są te role, w których trzeba zrobić tak zwane „przekroczenie" ze swoją psychiką - odpowiada rozmówczyni zdecydowanym tonem - Dla mnie to rola Moniki w „Zachodnim wybrzeżu" autorstwa Koltesa. Grałam tam asystentkę głównego bohatera. Obie postacie trafiają do miejsca gdzie muszą nagle dilować. Chodzi o to, żeby przeżyć. Postać, którą grałam przechodziła ze skrajności w skrajność. Największym przekroczeniem dla mnie był moment, w którym musiałam się rozebrać. Musiałam zagrać upokorzenie. Uważam, że jest to jedna z moich ważniejszych ról zaraz po „Świętoszku" gdzie grałam Elmirę.

- **Czy możliwe jest wyćwiczenie wyzbycia się wstydu na scenie?**

- W moim przypadku nie. Znam aktorki, którym przychodzi to z łatwością, ale ja nie potrafię pozbyć się stresu i wstydu. Z pewnością jest to do okiełznania. Mam charakter zadaniowy. Wiem, że muszę coś zrobić i to robię, po prostu. Musiałabym mieć fantastyczne zdanie na własny temat, aby bez zakłopotania wyjść na scenę. W życiu każdej kobiety pojawia się to niezadowolenie z własnego ciała. Kiedy się rozbierałam w tym spektaklu byłam już aktorką po czterdziestce.

- Czy przenosi Pani życie zawodowe do domu? Wiem, że Pani mąż - Pan Dawid też jest aktorem i pracujecie razem.

- Nie. Dom to dom. W nim jestem mamą, żoną, przyjmuje gości i nie myślę o pracy. Z racji, że pracuję w teatrze z mężem czasem pojawia się temat pracy. Przeżywamy, co działo się w ciągu dnia, ale nie przekładam tego nad życie rodzinne. Inaczej jest w przypadku mojego męża. Jest to trudniejszy kaliber. – Na twarzy Pani Beaty pojawił się rozpromieniony uśmiech.

- Czy różni się atmosfera na widowni w zależności od osób, które oglądają dany spektakl?

- Każda widownia jest inna. Młodzi zupełnie inaczej reagują, na co innego zwracają uwagę. Są głosy, my to słyszymy ze sceny. Czasem śmiechy, docinki, dopingi.

- Nawet na tragediach? - szybko przerywam.

- Miałam taką sytuację kiedy grałam ofiarę gwałtu... pierwsza reakcja widowni to był śmiech. Taki mocny śmiech. Byłam skonsternowana. Myślałam sobie: Matko! Dlaczego oni się śmieją? Po chwili zrozumieli, że to nie jest zabawa, zaczęli mi dopingować, gdy pokonałam napastnika. Dostałam brawa. - mówi roześmiana aktorka.

- Którą graną postać z aktualnego repertuaru lubi pani najbardziej?

- Z aktualnego... (nastała krótka chwila namysłu). Bardzo lubię moją postać we Frankensteinie. To bohaterka historyczna. Gram tam baronową von Krüdener. Jest to cudowna osoba, która w czasach kiedy wybuchł wulkan, zaczęła karmić ludzi, sprzedała cały swój majątek aby pomagać innym. Był to taki ciężki czas, że matki topiły swoje dzieci z głodu. Bardzo dobrze wspominam pracę całego zespołu naszego teatru nad przygotowaniami do tego występu.

- Spektakl z aktualnego repertuaru warty obejrzenia przez widzów w moim wieku to...?

- Osoby, które tworzą nasze aktualne spektakle to ludzie młodzi. One są zrobione i opowiadane językiem dla młodych. Poruszane są problemy młodych. Chociażby „Frankenstein". Jest o braku akceptacji. Stwórca odrzuca swoje dzieło i wynikają z tego tragedie. Uważam, że młodzi ludzie powinni wszystko oglądać w naszym teatrze, wtedy można wyrobić swoją opinie i swój własny styl teatralny.

- Wracając do życia na scenie, zdarza się, że aktorzy zapominają tekstu w trakcie spektaklu, jak tego uniknąć lub co się wtedy dzieje?

- Och! Oczywiście zdarza się to bardzo często. Wiele razy było tak, że moja córka Bogna w trakcie spektaklu podpowiadała mi tekst. Czasem to znajomy na scenie przejmuje tekst. Przecież my znamy nie tylko swoje role. Nie ma tego „yyy...". Zatrzymujemy się. Jeśli nie jest to wiersz, to można z tego wybrnąć. Znamy fabułę, historię i wiemy co powiedzieć. Oczywiście są zatrudnione u nas panie suflerki. Czasem zdarza się tak, że muszą iść dopilnować w innym miejscu... wtedy najczęściej pomijamy jakieś słówko, czy dwa.

- Jak to jest występować na scenie ze swoją najbliższą rodziną?

- „Hrabina Batory" to było bardzo dla mnie trudne. Nasza córka - Bogna miała wtedy 6 lat. Grała małą dziewczynkę, którą handlowano. Płakałam. Mąż zwrócił mi uwagę. Powiedział, że jestem profesjonalną aktorką i powinnam trzymać emocje na wodzy.. Wtedy wszedł reżyser i powiedział „Dobrze niech płacze! To jest czas kiedy ona ma się z tym oswoić". Kolejny spektakl grany razem to było „Prędko, prędko" - dwie jednoaktówki Fredry. Akurat Bogna nie grała mojej córki tylko córkę mojej koleżanki. Kolejny spektakl to „Och te Duchy" kiedy Bogna wygrała casting. Dopiero na próbach reżyser zorientował się, że moja córka gra moją córkę.

- Pani Beato, bardzo dziękuję za poświęcony czas. Widzę, że aktorzy zbierają się na próbę. Czy Pani też już musi iść?

- Tak Marysiu, zaraz będą mnie wołać.

Wymieniłyśmy jeszcze kilka ciepłych słów i Pani Beata pobiegła na górę.

Zostałam sama w teatralnych korytarzach. Rozmyślałam, jak pięknym zawodem, a raczej sposobem na życie jest aktorstwo. Bardzo lubię teatr, jego klimat i niepowtarzalną atmosferę za każdym razem kiedy przekracza się jego próg. Chciałabym zarazić moich rówieśników tą fascynacją. Dlatego zachęcam do śledzenia aktualnego repertuaru, ponieważ oprócz spektakli, które można cykliczne oglądać zdarzają się niespotykane perełki.

13 listopada tego roku oglądałam niezwykłe przedstawienie. W zaskakująco ciekawej aranżacji imitującej lotnisko aktorzy recytowali wybrane wiersze Adama Mickiewicza i Mihaila Eminescu - poetów z epoki romantyzmu. Na scenie wystąpili kieleccy aktorzy: Łukasz Pruchniewicz, Zuzanna Wierzbińska, Aneta Wirzinkiewicz, a także aktorzy z Teatrul National „Vasile Alescandri" – jednej

z najbardziej prestiżowych instytucji teatralnych w Rumunii. Mimo, że połowa przedstawienia była w języku rumuńskim, widzowie wiedzieli o czym mowa, ponieważ nie tylko pomagały zrozumieć tekst telebimy ustawione po bokach sceny, ale przede wszystkim gra aktorów, ich gesty, mimika, emocje wyrażały wszystko o czym pisali dwaj poeci ponad 200 lat temu. Każdy ruch aktorów świadczył o świetnym zrozumieniu tematyki wierszy. Najpierw ciężkie wydało mi się uważne czytanie tłumaczenia na ekranie i jednoczesne zagłębianie się we wszystko co płynie ze sceny. Z każdą kolejną minutą przekonywałam się, że wcale nie muszę interpretować wierszy, gdyż w tym samym momencie aktorzy robili to za mnie. Nowoczesny sposób wizualizacji poezji trafi do niejednej osoby.

Moja rada: przyjdź do teatru i przekonaj się o wartościach płynących ze sztuki teatralnej.

Fot. z archiwum autorki

Tekst: Zbigniew Brzeziński
Zdjęcia: Julia Brzezińska

Nieruchomy obraz wzbudza więcej emocji

Centrum Fotografii w Porto (Centro Português de Fotografia) to miejsce, do którego wchodzi się za darmo, a wychodzi się odmienionym.

Porto i kropka

Porto to jedno z najpiękniejszych miast Europy, a wpisanie historycznego centrum na listę UNESCO jedynie potwierdza to, co każdy widzi gołym okiem z dowolnego punktu widokowego w Vila Nova de Gaia. Szczyci się też bodaj najlepszym systemem identyfikacji wizualnej na świecie. Co ważne, nie chodzi tu tylko o znak turystyczny, ale o graficzną opowieść o mieści i jego charakterystycznych elementach: od obiektów, po dziedzictwo kulturowe, a nawet street art. Sam logotyp identyfikuje ambicje drugiego pod względem wielkości miasta Portugalii. Znak Porto. można odczytać jako: Porto i kropka. Oznacza to, że znajdziesz tu wszystko: Ocean Atlantycki, potężną rzekę Douro, edukację na wysokim poziomie (Universidade do Porto znajduje się wyżej w światowych rankingach od każdej z polskich uczelni, a studenci chodzący w czarnych togach stanowią jedną z atrakcji miasta), unikatowy trunek, którego nazwy nie trzeba wymieniać, słynną salę koncertową Casa da Musica szczycącą się tym, że z każdego miejsca słychać równie dobrze, dziedzictwo historyczne sięgające czasów rzymskich. Możemy tu odwiedzić najpiękniejszą księgarnię świata, bo takim hasłem reklamuje się Livraria Lello, za wstęp do której należy zapłacić (5 Euro w 2023 r. Jeśli kupimy książkę, odliczą nam tę kwotę od ceny), lub stadion słynnego klubu piłkarskiego, którego barw bronił Józef Młynarczyk, gdy drużyna zdobywała Puchar Europy w 1987

roku. Porto nie jest przy tym skansenem zakonserwowanym dla potrzeb ruchu turystycznego. To miasto żywe, wciąż zainteresowane rozwojem i wprowadzeniem innowacji stanowiących wzór dla innych obszarów zurbanizowanych. W końcu jest jednym z liderów partnerstwa Jobs and Skills in the Local Economy Agendy Miejskiej Unii Europejskiej. Nie ma się więc co dziwić, że i Centrum Fotografii to miejsce wyjątkowe, łączące stare z nowym i wpływające na odbiorców, którzy często zaglądają tam przypadkowo.

Do więzienia za darmo

Przewodnik po Porto, którego autorką jest Kerry Christiani (wyd. Pascal) z 2019 roku wymienia zaledwie pięć obiektów, do których można wejść bezpłatnie. W tym gronie znalazła się katedra Se (jeśli chcemy zwiedzić krużganki i wejść na wieżę, wydamy jednak 3 Euro) i szczodrze ozdobiony charakterystycznymi płytkami azulejos dworzec kolejowy Sao Bento. Do tej niewielkiej grupy należy też Centrum Fotografii. Sprawia to, że trafiają tu nie tylko miłośnicy tej formy sztuki, ale też osoby całkiem przypadkowe. CPF potrafi tę dostępność wykorzystać w sposób wręcz wzorcowy. Potężny gmach, w którym mieści się Centrum to osiemnastowieczne więzienie, pełniące również dawniej funkcję sądu. Zlikwidowane zostało 21 kwietnia 1975 roku po rewolucji goździków i upadku dyktatury. Ponad dwie dekady później w 1996 roku utworzono instytucję, która miała wykorzystać wzrost zainteresowania fotografią (m.in. powstawanie szkół fotograficznych), chronić dziedzictwo fotografów wyklętych i prześladowanych w czasach dyktatury Salazara, oraz eksponować nowe prace. Pierwsze wystawy odbyły się tu już w 1997, ale cały budynek udało się zaadaptować do potrzeb Centrum dopiero w 2001 r. W 2007 placówka została połączona z Archiwami Państwowymi (Arquivos Nacionais/Torre do Tombo) i podlega pod Dyrekcję Generalną ds. Książek, Archiwów I Bibliotek (Direção-Geral do Livro, dos Arquivos e das Bibliotecas). Jego misją jest ochrona i promocja dziedzictwa fotograficznego.

Wsłuchując się w głos gości

Bezpłatny wstęp, jak już o tym wspomniano, należący w Porto do rzadkości, przyciąga osoby nieprzygotowane. CPF ewidentnie bierze to pod uwagę. Strona WWW placówki jest tylko po portugalsku, ale w odpowiedzi na komentarze zamieszczane w sieci, opisy wystaw są obecnie dostępne również w języku

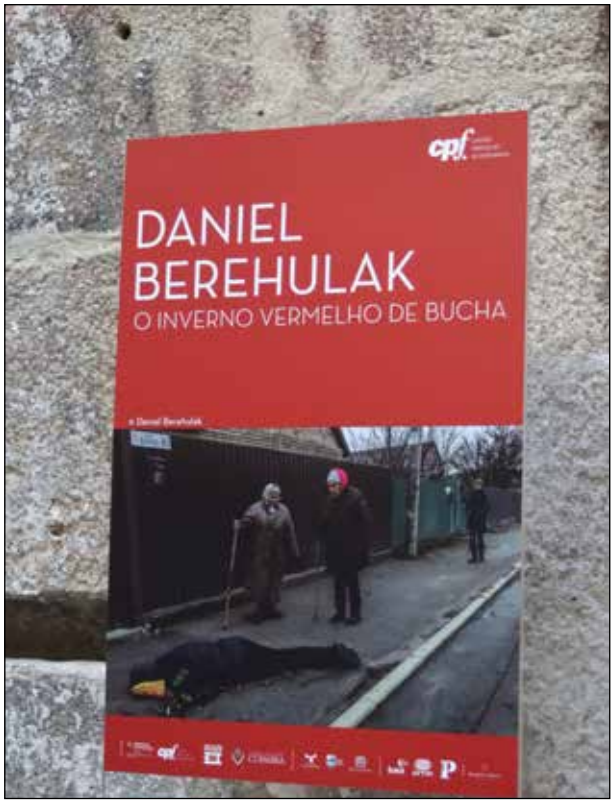

angielskim. Centrum słynie z tego, że ekspozycje zwracają uwagę na sprawy ważne i nie pozwalają wyjść obojętnym. Nieruchomy obraz wciąż potrafi przemawiać mocniej niż wideo 5D z wszystkimi jego dodatkowymi efektami. Dlaczego? Przez długie wieki albo widzieliśmy coś na żywo, albo właśnie zastygłe w bezruchu w postaci np. reliefu, malowidła, a później fotografii. Nasi przodkowie widzieli uchwycony moment i albo wiedzieli, co było wcześniej i potem, jak w przypadku znanego mitu, albo musieli się tego domyślić, tworząc czasem całkiem nowe interpretacje, niezależne od pierwowzoru i intencji twórcy. Ludmiła Mitręga prezes Stowarzyszenia Fotoreporterów powiedziała w wywiadzie udzielonym portalowi SDP.PL, że czym innym jest zdjęcie, które jest nośnikiem informacji, a czym innym ilustracja. W CPF znajdziemy tylko wystawy z tego pierwszego nurtu. Jeśli chcemy ilustracji, to z gmachu rozpościera się śliczny widok Porto z dominującą katedrą.

Ekspozycje z lutego 2023 roku

Wystawy zorganizowane są w dawnych celach nazwanych imionami świętych, by skazańcy nie tracili nadziei. Każdy zwiedzający zostaje tu uwięziony wraz z fotografiami. Galerie nie są przeładowane, a dobór

plansz nadzwyczaj przemyślany. W lutym 2023 roku wystaw czasowych było cztery. Każda poruszająca, niepozwalająca pozostać obojętnym, sprawiająca, że z radością patrzy się na promienie słońca, które obwieszczają, że na zewnątrz, za potężnymi kratami życie toczy się normalnym rytmem. Poniżej krótka recenzja każdej z nich.

„Interior" autor Ricardo Lopes (19.11.22-05.02.23)

Ricardo Lopes urodził się w 1990 roku w Lizbonie. Najczęściej realizuje się jako freelancer. Jest cenionym autorem zdjęć portretowych. Cykl „Interior" poświęcony jest ludziom, zamieszkującym centralną Portugalię, która od pół wieku ulega postępującej depopulacji. Młodzi ludzie wyjeżdżają stąd do zurbanizowanych obszarów swojego kraju, lub do bogatych państw europejskich. Życia nie ułatwiają pożary lasów. Lopes dokumentuje życie tych, którzy zostali. Czarnobiałe fotografie przedstawiają bohaterów pozujących np. przed domem lub przy codziennych czynnościach. Tak poznajemy wiekowego już i owdowiałego mężczyznę oraz jego zbliżającego się już zapewne do emerytury syna. Trudno nie zastanowić się, dlaczego bohaterowie zdjęć Lopesa zostali w „Interiorze". Robi się też żal, za tym przemijającym światem, za tymi gospodarstwami, których nie będzie miał kto przejąć, za roślinami, które zdziczeją i zwierzętami domowymi, które zostaną bez opieki. Stara Europa ma więcej problemów, niż się z pozoru wydaje.

Prémio Estação Imagem Coimbra 2022 (19.11.22-05.02.23)

W jury tego konkursu zasiadali David Furts, Newsha Tavakolian i Daniel Berehulak. Na finałową wystawę trafiły zdjęcia, które wykonali: Adra Pallon, Rui Duarte Silva, Leonel de Castro, Jose Sarmento Matos, Brais Lorenzo Couto, Alex Paganelli i David Tiago. Obok żadnej z tych fotografii nie da się tak po prostu bezrefleksyjnie przejść, chociaż często to opis pozwala nam w pełni zrozumieć ukazaną scenę. Wracając do słów Ludmiły Mitręgi, to fotoreporter jest świadkiem, kimś, kto bierze odpowiedzialność za to, że to, co widać, odpowiada temu, co się zdarzyło. W celi wita nas beztroska scena z młodą dziewczyną. Z opisu dowiadujemy się, że zdiagnozowano u niej nowotwór. Obok radość młodych niepełnosprawnych z sukcesów sportowych. Te obrazy były czarnobiałe.

Dalej widnieją kolorowe zdjęcia z pożaru lasu. Widok płonących drzew zawsze jest przejmujący, ale na Półwyspie Iberyjskim robi wyjątkowo przerażające wrażenie. Wyobraźmy sobie, że nad płonący las, z którego w niebo jak niema skarga płynie szeroką strugą dym, nadlatuje śmigłowiec, który z podwieszonego zbiornika wylewa parę ton wody i... nic się nie wydarza. Jak splunięcie na blachę rozgrzaną. Eksponowane fotografie oddają to, jak taki pożar wygląda naprawdę: zmęczeni strażacy, pomagający im mieszkańcy, mający nadzieję, że uda się powstrzymać żywioł, nim ten dojdzie do ich gospodarstw... Nim otrząśniemy się z popiołu, trafiamy na tereny objęte kryzysem energetycznym, kilka kroków dalej do obozu nielegalnych migrantów z Afryki, którym udało się dotrzeć do Europy, gdzie nikt na nich nie czekał, a za sprawą zdjęć, których autorem jest Rui Duarte Silva na wyzwolone spod rosyjskiej okupacji tereny Ukrainy. Opis zaczyna się od słów: „spustoszenie i rozpacz".

„Bucha's Red Winter" Daniel Berehulak (19.11.22-05.02.23)

Daniel Berehulak to pochodzący z Ukrainy laureat m.in. nagrody Pulitzera, World Press Photo i stały współpracownik „The New York Time". Obecnie mieszka w Meksyku. Zawdzięczamy mu relacje z sześćdziesięciu krajów świata, w tym z wojen w Iraku i Afganistanie. Wystawa dokumentuje zbrodnie wojenne popełnione przez Rosjan w Buczy, oraz heroizm ukraińskich obrońców i wolontariuszy. Trudno zapomnieć te obrazy, choć przecież znamy je z telewizji. W tym jednak wypadku patrzymy na nie oczami świadka. Nie będzie za chwilę przerwy na reklamy, ani nie przełączymy na serial komediowy na innym kanale. Widzimy nieruchome obrazy, a na nich nieruchome ciała ludzi w ekshumowanych zbiorowych mogiłach, zabitych na chodnikach, gdy szli po chleb, we własnych domach, torturowanych lub gwałconych przed śmiercią. Te obrazy robią większe wrażenie niż tony zniszczonego sprzętu wojskowego eksponowanego w minionym roku m.in. w Kielcach.

„A luz da infancia" ze zbiorów CPF (03.09.22-12.03.23)

Zgodnie ze swoją misją Centrum eksponuje również własne, bardzo bogate zbiory historyczne. Monumentalną klatką schodową wchodzimy piętro wyżej, by zanurzyć się w „świetle dzieciństwa". Zdjęcia pochodzą z lat 1901-1969, zobaczymy na

nich beztroskie życie dzieciaków z bogatych domów, ale też poważne, jakby wystraszone miny uczniów i sierot.

Ekspozycje stałe

Centrum posiada ogromny zbiór aparatów. Na przykład model studyjny Penrose Process Camera z 1900 roku należał do największych na świecie. Obejrzymy tu aparaty skrzynkowe, mieszkowe, lustrzanki, odrębną salę poświęconą produktom Kodaka z kolekcją plakatów reklamowych, aparaty szpiegowskie ukryte w pudełkach papierosów, zapalniczkach i puszkach, specjalistyczne do zdjęć podwodnych lub lotniczych, dziecięce, również cyfrowe. Do tego wyposażenie, z którego współczesna młodzież już nie korzysta: światłomierze, powiększalniki, kuwety, gilotyny (mój syn Szymon, gdy był mały, opisał gilotynę słowami: „ręczny PhotoShop"), koreksy, suszarki... Zdjęcia części tych bogatych zbiorów można obejrzeć online.

Kolejną stałą ekspozycją jest część poświęcona fotografii więziennej: od używanego sprzętu, po reprodukcje zachowanych zdjęć. W tym jednak wypadku chyba słynne Kilmanhaim Gaol w Dublinie ma lepiej zorganizowaną przestrzeń.

Informacje praktyczne

Centro Português de Fotografia mieści się przy Largo Amor de Perdição, 4050-008 Porto. To kwadrans spacerem od głównej stacji metra Trindade. Czynne jest od wtorku do piątku w godzinach 10:00-18:00, a w weekend od 15:00 do 19:00. Wstęp wolny, bez przeszkód można też robić zdjęcia. Na zwiedzanie trzeba zarezerwować przynajmniej dwie godziny. Informacje o bieżących wystawach na stronie internetowej: CPF.PT

Dorota Nowak-Baranowska

Antropologia jest kobietą

W Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie trwa (do 29/10/2023) wystawa pod tytułem „Etnografki, antropolożki, profesorki", której kuratorkami są Ewa Klekot i Marta Skwirowska. Celem ekspozycji jest zwrócenie uwagi na „znaczenie jakie kobiety odgrywały w kształtowaniu się etnologii jako dyscypliny naukowej w Polsce".

Jak sugeruje sam tytuł jest to zbiór rozmaitych „herstorii" zebranych na przestrzeni wielu dekad, począwszy od początku XX wieku. Nie chodzi tu więc tak bardzo o historię samej dyscypliny, ile o rolę, jaką w jej formowaniu odgrywały kobiety etnografki. Ich dorobek również wpłynął na to, jak ta dyscyplina naukowa wygląda dziś. Na wystawie zapoznamy się z wielowątkowymi opowieściami o etnolożkach, naukowczyniach, folklorystkach i badaczkach kultury ludowej. Choć każda historia jest inna, to łączy je sieć powiązań, czasami zbieżnych inspiracji i zainteresowań naukowych. Zwiedzający będą mieli okazję zobaczyć kilkanaście portretów antropolożek-pionierek, które przecierały szlaki w tym zawodzie dla późniejszych generacji badaczek, próbując mierzyć się z niechęcią ze strony reszty środowiska naukowego,

Zdjęcia: Dorota Nowak-Baranowska

złożonego w dużej mierze z badaczy (w rodzaju męskim). Kobiety te usiłowały również przełamywać barierę stereotypów i niepisanych zasad, obowiązujących w dualistycznym świecie damsko-męskim. Wiele z nich zresztą pokutuje do dziś. Uprzedzenia te dotyczyły szeroko pojętej obyczajowości (np. tego, że samotnej kobiecie nie przystoi podróżować), jak i oceny zdolności intelektualnych (wielu etnologów tamtej epoki było zdania, że kobieta nie zdoła samodzielnie stworzyć „prawdziwej" czy „poważnej" pracy naukowej).

Niechęć ze strony środowiska intelektualnego i naukowego, które z definicji powinno raczej sytuować się w awangardzie obyczajów, nie bacząc na skostniałe klisze i uprzedzenia, była chyba głównym powodem, dla którego tak niewiele kobiet weszło do kanonu antropologii. Ile z nich usiłowało przebić się przez mur wrogości (bezskutecznie), nie wiemy, gdyż informacji o takich badaniach na próżno szukać. Wychodząc między innymi z tych założeń, kuratorki wystawy postanowiły uzupełnić tę lukę, przybliżając nam sylwetki kobiet, których wkład w dziedzinę antropologii jest nie do przecenienia. To, co je łączy to na pewno bezkompromisowość i chęć podejmowania nowych wyzwań. Świadczą o tym między innymi rozmaite zainteresowania badawcze oraz, co za tym idzie, zróżnicowane lokalizacje badań terenowych. Wśród nich znajdziemy zarówno te bliskie – Podhale, Kaszuby, Wielkopolska, jak i te bardziej egzotyczne – np. Meksyk czy Peru.

Każdy, przybliżony dzięki wystawie, portret zasługiwałby pewnie na osobne omówienie, ale wybierzmy trzy, na zachętę. Pierwsza postać to Sula Benet (1903-1982). W 1936 po obronie rozprawy „Konopie w wierzeniach i zwyczajach ludowych" Benet wyjechała do Nowego Jorku. Tam nawiązała współpracę ze słynną Ruth Benedict, której to została asystentką. W latach 40. współprowadziła badania na temat imigrantów przybywających do Stanów Zjednoczonych z dotkniętej wojną Europy. Następnie została również przyjęta pod skrzydła kolejnej słynnej figury, czyli Margaret Mead. Od lat 70. prowadziła badania na Kaukazie dotyczące długowieczności mieszkańców Abchazji.

Kolejną ciekawą figurą może być na przykład Krystyna Krahelska (1914-1944), która wielu osobom jest znana jako pierwowzór warszawskiej Syreny oraz sanitariuszka w czasie Powstania Warszawskiego (zginęła w dniu jego wybuchu, 1 sierpnia 1944). W czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim, pod kierunkiem swojej ulubionej profesorki Cezarii Jędrzejewiczowej, opracowała z detalami opis „tańca na wysoki len", którego model zaprezentowano na międzynarodowej Wystawie Paryskiej. W czerwcu 1939 roku obroniła pracę magisterską, w której przedstawiła rezultaty swoich badań terenowych w zakresie roku obrzędowego we wsi Mazurki w powiecie Baranowickim.

Eleonora Plutyńska (1886-1969) natomiast nie była antropolożką, a artystką tkaczką i przy tym profesorką na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. W sztuce ceniła to, co pierwotne, pozbawione wpływów zewnętrznych, zwłaszcza tych, które niosła za sobą nowoczesna cywilizacja. Swoją karierę naukową poświęciła pracy na rzecz „odrodzenia wartości sztuki ludowej".

Cała ekspozycja ma dość minimalistyczny charakter. Oprócz portretów z opisem kariery zawodowej, znajduje się na niej jeszcze kilka artefaktów związanych z badaniami przedstawionych bohaterek. Na wystawie znalazła się oprócz tego informacja, że 27 października 2022 (czyli już po otwarciu wystawy) zgodnie z rozporządzeniem Ministra Edukacji i Nauki zmieniono klasyfikację dziedzin nauki i dyscyplin

naukowych wprowadzoną w 2018 roku. Zgodnie z nowym rozporządzeniem etnologia jest dyscypliną, co na wystawie zostało (słusznie) dobitnie podkreślone – #etnologiajest dyscypliną!!!

Tworzenie wystaw czy innych eventów, które wpisują się w bipolarny schemat kobiety-mężczyźni budzi moje wątpliwości w tym sensie, że mówiąc tylko o jednej kategorii (pomijając inne) w tym wypadku o kobietach versus mężczyznach, sami tę kategorię wyodrębniamy, tym samym wskazując na jej niedomyślny i nie-mainstreamowy charakter. Nadal więc potwierdzamy stereotyp, że kobieta jest tym Innym.

Z drugiej strony, zastanawiam się, czy istnieje obecnie inna, alternatywna strategia wystawiennicza czy metodologiczna, która skutecznie mogłaby tworzyć opowieść ze wszech miar egalitarną, nie tylko w kontekście kobiet, ale także innych grup niefunkcjonujących domyślnie w dyskursie publicznym (np. mniejszości etnicznych). Jednak, bez względu na wszystko, stworzenie wystawy o takiej tematyce i profilu jest zawsze dobrym znakiem i kolejnym krokiem do postawienia sobie pytania, czy historia dziedziny, której się uczymy (etnologii, nauk społecznych czy nauk w ogóle), nie jest może historią mężczyzn, ich badań, ich osiągnięć i ich perspektywy. Tym samym wystawa w PME, choć w samej treści nie jest ani spektakularna, ani szczególnie odkrywcza, przez samą koncepcję może stanowić pewne novum dla publiczności oraz dobrą inspirację dla innych muzealników i kuratorów. Podążając w tym kierunku, może uda się wreszcie wypracować strategię, która opowiadałaby o jakiejś dziedzinie badań w taki sposób, aby ująć w narracji całą populację, a nie tylko jej połowę.

Barbara Wrońska

RODOWÓD

Mój Ojciec
nie był chłopem
Matka
pachniała mlekiem
ze szklanej butelki
Ja
urodziłam się
z salmiakowej mgły
do dziś w niej błądzę
próbuję odnaleźć
siebie

POMIĘDZY

Moja kamienica
otwierała się na dwa światy
z jednej Zakopianka i tramwaj
z drugiej magiczny lasek
za laskiem szkoła
i srogi nauczyciel
– znowu się spóźniłaś – mówił
a okulary spadały mu
na czubek nosa

Nie mogłam mu powiedzieć
że jestem tu przypadkiem
że mój świat
to świat
pomiędzy

KLUCZ

Na moje dziesiąte urodziny
dostałam klucz

Dumnie dyndał na moich
pączkujących piersiach

Już nie musiałam czekać
na powrót rodziców

Otwierał moją
samotność

BUTY

Moje „dorosłe"
buty
czerwone z wąskim
czarnym paseczkiem
Zostało po nich
białe pudełko
gładkie i lśniące
w sam raz dla moich
papierowych lalek
Leżały jak w trumnie
jedna na drugiej
i urodził mi się
teatr
pudełko stało się
sceną na której
grałam życie

DZIECI POWOJNIA

Chłopaki
bawili się w wojnę
strzelali z patyków
kwestie sporne
załatwiały gołe pięści
A ja byłam
tylko dziewczyną
mogłam wisieć na trzepaku
i oglądać świat
do góry nogami

DZIEDZICTWO

Neron podpalił Rzym
jego późny wnuk
nie pisze wierszy
podpala świat
rojąc teorie dobrobytu
za wszelką cenę

Szczęsny Wroński

NA ZLECENIE

I

mam napisać wiersze
zlecono mi je

jak zleca się wykonanie wyroku
należy zaopatrzyć je datą i godziną

jednak nikt nie jest w stanie przewidzieć
czy to godzina urodzin

może czas odejścia
wibruje we mnie ten przymus

trujący i nachalny
nie do odrzucenia

II

stawiam litery i słowa
wychodzą ze mnie obce

nie zdążyły się oswoić
we mnie ani poza mną

bo co to właściwie znaczy
i gdzie jest ta granica

bo jeżeli jej nie ma
to cały ten ruch jest fikcją

która nawet nie boli

III

dobierają się do ciebie
na alei trzech wieszczów

chcą wymienić twój nos język
na coś bardziej podatnego

co dałoby się wcisnąć
w rytm który zniewala

IV

ten rytm bije po oczach
wyrywa rzęsy i brwi

ludzie klaszczą
bawią ich oczodoły

i staję się atrakcyjny
noszą mnie na rękach

fabrykują relikwie
z mojej czarnej krwi

V

to piąty wiersz na zlecenie
jak piąta kolumna

prostackie skojarzenie
wbija mi klin w środek czoła

tak idę czołorożec
nadziewają się przechodnie

bledną kolory
jasności i cienie

w ciałach
przeciętych na pół

VI

to ma być wesoły wiersz
nakazuje zleceniodawca

niech świadczy urodę świata
intymność małych ojczyzn

tajemnice młodej kobiety
która znalazła nowego

przechadza się z nim po galerii
i kwitnie produkcja potencji

festiwal życia trwa

VII

dlaczego mam się nie cieszyć
gdy śmierć jest nieobecna

wyrzucono ją ze słowników
stała się tylko słowem

znakiem bez znaczenia
dlatego kobiety z reklam

bawią się przedmiotami

b r z ę c z y d ł o

unasza się nad ekranami
plazmowych wydzielin

Jerzy Marciniak

ja i ja oraz on i on

ja poeta
po technikum włókienniczym i studiach prawniczych
on malarz
ukończył Akademię Sztuk Pięknych

nocami chodziliśmy na spacery
najpierw razem prosto i środkiem drogi
nad ranem często osobno i bardziej po poboczach

nawoływaliśmy się szukaliśmy szukaliśmy
ale
nie potrafiliśmy odnaleźć
myliliśmy drzewa z postaciami
one i oni kołysali nam się w niewyspanych oczach

mówili
że miał talent do pijaństwa
a ja do pociągania z butelki

tworzyliśmy mało

żona go zostawiła
mnie rzuciła

nieraz pożyczł ode mnie marynarkę
dużo za dużą
wtedy
dla równowagi chodził w butach o dwa numery za małych

nieraz
czytałem mu wiersze
on był ambitny i odwdzięczał się ochoczo
poprawiał pędzlem odbicia mojej twarzy na kałużach
żebym wyglądał lepiej
a zimą
gdy mróz wchodził szronem do naszej przestrzeni

pożyczał mi moją marynarkę żebym się trochę ogrzał
i przy pisaniu wierszy nie miał roztrzęsionych palców

portrety moje malował wtedy ręką
którą trzymał w kieszeni

Lund | pisane zimą która kiedyś nadejdzie

zwiewna tancerka

była zwiewna jak na wietrze z bajki królewna
miała
śmiejące się usta i ujmujące spojrzenie
godzinami patrzylismy sobie w oczy

kupiłem ją
na bazarze z antykami i współczesnymi starociami
od staruszki
która kiedyś mogła być podobna do zwiewnej tancerki

w domu spostrzegłem że na odwrocie
były skrzyżowane dwie szable
porcelana miśnieńska

wróciłem by dopłacić staruszce
ona pieniędzy nie chciała
miała na sobie stary sweter z wytartymi łokciami

mówiła z mocnym obcym akcentem
że
jej krewna tańczyła kiedyś w Teatrze Maryjskim
to niech jej postać będzie u artysty
wtedy
będą mniej płakać za sobą

obiecałem
że będę dla obu dobry

tańczyliśmy nocami
gdy świt pukał głośno do okna ona odchodziła
na półkę
ja
ścierałem z policzka i ust ślady jej szminki
pot z czoła
i
szybko zasypiałem ze zmęczenia

zwiewna tancerka tańczyła wtedy sama
w przerwach
cicho poprawiała moje sny
nieraz
przykładała palec do mych warg
bym za gośno nie wypowiadał jej imienia

2020 – 5 – 13

spojrzenie w głąb

ukończyła wydział scenografii teatralnej w Sztokholmie
była głównie znana jako artystka niepokorna
pisała muzykę filmową
dobrze grała na skrzypcach

piła whisky z lodem
na kaca lód z whisky

scenariusze i sztuki teatralne czytała przy bufecie
najczęściej
nuty pisała w domu i w samotności
najczęściej

ubierała się dobrze gustownie
rozbierała jeszcze lepiej i jeszcze gustowniej
mężom
których miała trzech
ale
nie tylko im

swoje nuty... zwłaszcza Lacrimosę i Requiem
czytała czytała przeglądała cicho nuciła
zamykała oczy
i patrzyła uważnie za siebie i w głąb siebie
jakby
wszędzie chciała sprawdzić czy nadal jest tą samą osobą
znaną
cenioną
jak dawniej kochaną

gdy była smutna czy przygnębiona
to przychodziła do mnie wczesnym wieczorem

mimo upływu lat
nadal
rozbierała się modnie i elegancko

piliśmy whisky z lodem
zakąszaliśmy lodem z whisky

wtedy można było usłyszeć jej śmiech
wychodząc nad ranem podawała mi rękę

z każdym rokiem bardziej rozedrganą

Stockholm 2022 – 4 - 22

Wiersze otrzymały Grand Prix konkursu im. Marii Jasnorzewskiej/Pawlikowskiej w Katowiczch

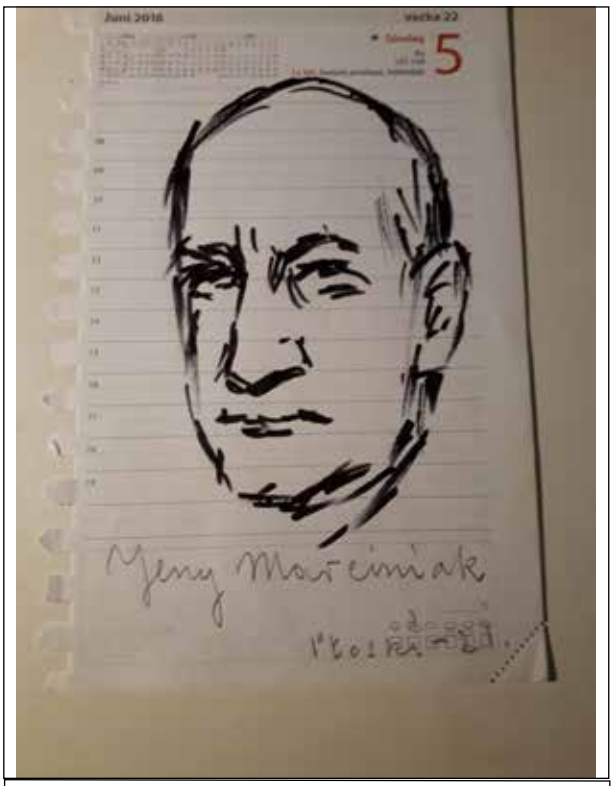

Rys. Andrzej Płoski

Maria Jolanta Fraszewska

Miniaturki - MURKI

***

kazał mi
policzyć żebra
nie wiem ile ich mam
nakazał jedno oddać
Adamowi

***

zanim
za nią
zdecydują
ona za nim
się opowie

***

mój dom bez dachu
niebo rozpostarte
nade mną żałością
jak ramiona bezmiaru
walące pięściami w nieboskłon

***

najpierw jest
dobrze
a potem nie jest
dobrze
upraszczam?

***

niedługo
dojdzie do tego
że oddech
nie ukryje się
nawet w powietrzu

***

ziemia objęta
pasem horyzontu
chudnie w oczach
wędrujemy w chmurach
po cienkiej lince

***

pędzę
do ciebie
w cztery światy
które
masz ze mną

Łukasz Szaruga

Rozkrusz, o dziecię

Rozkrusz, o dziecię ponurej doby,
gnuśności zwały sercu krócące swobody,
i wejrzyj na lico nienawistnie skrzywione,
ono Ci wyjawi, którą wzięło stronę,
gdzie zaranie łona wszechdziejów pulsuje,
co rysami rodowód mu nadało niezbicie,
czy Peryklesowa, nasłuchuj, fraza wędruje
duszy krętymi traktami, zali krużę obficie
umysłu Solonowych przepełnia gnom uczoność.

Badaj czujnie, czy stalowo chłodem nie bije
z ócz szczujących na ciebie zapiekłości żmije
pamięć Likurgowej pięści, prawom swym zadość
spiżowo czyniącej. I gdy zamierza się na Ciebie,
by przemocy, pohaniec, wywrzeć szał, w porę
pomnij, że Ty na jońskiej wolności zażywasz glebie
i w niewolę pęt ją gotów wziąć - ten Heraklidów
pomiot rozszalały, krwi niesyty, zwany Dorem.

Tyś - Słońce w zenicie, on to - chaosu nów.

11.11.2022 r.

O, Agathe Furiae!

„Jestem ślepcem, który nie może dostrzec cudowności dnia nawet w samo południe”
J.F.C Fuller „Skarbnica obrazów”

„Z warty noc czuwającą kura zwalnia pianie:
Nowenny dumnej brzaskiem oto nastaje zaranie!
Strome turnie spąsowiały i granity oblały skalne
spod zarządu mroku blaski wydobyte ranne.”
Po trzykroć z dni dziewięciu prężnie pikuje łukiem
stropu chmurnie spowitego potęga o niespożytej mocy
błyskawicowo przejawiona, ognie błękitne potoczy
glorii moc lucyferycznej w oddali ginąca z gniewu pomrukiem.
W Trinoctes pierwsze

Dzeusa-Perkunasa bisurmanią się skędzierzawione
siłacze rozmioty, z Elektry-czności zapiekłą mściwością
siostrzaną chramu rażą iglicę, gdzie pod kopułą chrome
dzieci wieku się kryją, w duchu dygoczące, senne żałością.
W Trinoctes drugie
Jęknęły i z trzaskiem się osunęły, hukiem niosąc w oddal głusz
Przez posągową srogość burz dźwierza wysadzone huraganowej dłoni
Co rozbłyskami raz po raz koląc ślepia Gai, pot żarki ze skroni
Ociera Mitry-Waruny, splendorem solarnym sycącego tonie mórz.
W Trinoctes trzecie
W zbroicy złoconej łzą jutrzni, karbunkułem wysadzanej i szafirem
błękitu niebosiężności światła lucyferycznego pastorałem z gładkiego
onyksu odlanym z cielskiem ziemi wiąże i puszcza przedsię ze skwirem
sokoła Hyperion-Sol Invictus, by brzasku zwiastowanie głosił świętego.

„Z warty noc czuwającą kura zwalnia pianie:
Nowenny dumnej brzaskiem oto nastaje zaranie!
Strome turnie spąsowiały i granity oblały skalne
spod zarządu mroku blaski wydobyte ranne".
Dziś zaś świtanie po stokroć rozpotoczyło mocarniejsze
Od blasków zbudzeń powszednich pasma rozlśnień bursztynowych
Doby bowiem uświęconej ognie rozbłysnęły przenajświętsze
Na głowni uległych skroniach, z kędziorów Trójwłodarzy niecone płowych,

Które lud pochwycił wiekuistych praw pomny. Ciemię słoneczne zenitu
Jeszcze nie sięgnęło, a rosą sperloną jawy rozbudzonej równinę hurmą
Ciżba już zaroiła rozognionej nabożności chórem donośnym. I rozkwitu
Wespół w sile masy dokonała furor w sercach gorejąc pod kopułą chmurną.

Gdy Erigone już na nocnym firmamencie blaskiem nie nęci,
I Wolarza z Syriuszem wraz szlaki dla wzroku nicestwem,
Kallisto futrem odziana niedźwiedzim światła Helike na piędzi
Drobne nie przeleje stropu dnia, z krynicy świtu jestestwem

Się objawiła, sploty gromów skręcając, atletka znakomita
W szatę odziana bezkresu skąpaną w rubinowej łunie,
piorunów wężowisko kosmykami przeplecione iskrząc sunie,
a przepaska opina kędziory, w rubiny połyskliwe obfita.

Wnet cisnęła stłoczona gromada pochodnie płonące
Do zagłębienia w ziemi; i sztorm płomienny rozgorzał,
chorały wraz się ozwały z rykiem nawałnicy niosące
pod niebiosa świętą dobą podsycony adoracji szał.

Opływa surowość padołu łuną sycącą chuć rozkoszną
Furia płachtą płomieni miękcząca trzewia zaciekłości,
opór spowijając dymu ćmą, którego smugi duszne tłamszą
karki w uległości ćwicząc, odporu nie dające jejmości.

Lucyferyczne światło swarzy się z niedolą, bytu matroną
Gromczyni chłodna i nieustępliwa jak blady rozpaczy płomień
z dumą namiętną diamentu chełpliwego powabem płonną
precz trwogę rozprasza z serc tętniących teraz melodią pień:

„Z warty noc czuwającą kura zwalnia pianie:
Nowenny dumnej brzaskiem oto nastaje zaranie!
Strome turnie spąsowiały i granity oblały skalne
spod zarządu mroku blaski wydobyte ranne.
Karawan kół skrzypieniem jękliwym pustoty
bezmiarem błądzących słowa jeno, tumultem
w beztreść zgęstwionym za salpinx biorącym loty
przeciągłej zgłoski w gardzieli drgającej skute,
Wokół modłów tkań roztocz się pierścieni,
przemijalne zastyga w kontorsji zachwycenia
huraganiąc się w sercach rozpacz z rozkoszą żeni
Furia, gdy dusze opłomienia,
nasza Puella Aeterna!
W piekielnym kontredansie
rot wymarsz się wszczyna,
wolna od rezuna znękana kraina,
prawicę raziła, sędziwy Twą Marsie
serc gniewliwych Tytanida!
O, Agathe Furiae!
nie szczędź nam znojów,
pokornych swych wojów
ku kresom ośmiel, Lemurie
nam roztocz, hiperborejskie rubieże
północy, uchyl dźwierze
gorejącej otchłani,
gdzie szałem Manii
ze śmierci w śmierć pchani

życie za życiem na szczęty szarpią
łkają i łkają i śmiechem się zanoszą
serca ludzkie, lecz z duszą harpią.
A wówczas, Tytanido, południem
wiekuistym, pod gorejącym zenitem
ludzkość w nasz oszczędź,
a zaprzepaść harpię! O, Furiae Agathe !"

Pieniami się tak zanoszą,
uświęcony dzień czcią roszą,
a wobec cudu dnia wciąż ślepcami
choć potnieją skronie pod słońcem południa.

26.09.2022

Sławomir Lęga

Konie

Grzywa powiewa na srebrnym grzbiecie
mróz ją perłami brzasku roziskrza,
konie po wałach pędzące przecież
W galopie obraz mroźnego mistrza.

Anielski łoskot kłusem kołysze
scenerią zimy zapłonął z nieba,
opadły płatki zmieniając w ciszę
pragnące w tańcu pieśni zaśpiewać.

Biegną spiętrzone konie w podmuchach
na giętkich nogach mocno z wigorem,
pod gołym niebem świt się zasłuchał
wiatr wieje świeżym rytmem amore.

Zanim

nim słońce
zblednie w moich oczach
i świat kolorów
szarością przeniknie,
pozwolę oczom się nasycić
ostatni już raz
świtem błękitu
duszy odetchnąć księżycem,
sercu wybrzmieć ostatni rytm
zanim poniosą
moje serce ku niebu,
i zabiorą swym zapachem
to co umarło
we mnie, żywe

Cove H. Warrenn

Rzeka

Znowu przychodzi ten dzień.
Ja będę od ciebie daleko,
A ty niebieskim się mień.
Ma piękna, srebrzysta rzeko.

Wylewam w ciebie smutku łzy,
Powoli zmieniam się w kamień,
Nad Tobą kwitną zielone bzy.
Proszę, w ważkę mnie zamień.

Ja, jak jeleń, ślepy z wyboru.
Od lat nie rusza się moje ciało.
Omijam przydrożne morze spokoju.
Choć niedawno miłością zawiało.

Chryzantemy

Me złociste chryzantemy
Gramy razem jak możemy
Pisać o tym nie łatwa sztuka
Zwłaszcza gdy w fortepianie coś stuka

Powolny zgrzyt młodych kości
Przerażonych i słabych ze starości
Lata dwudzieste w nowym wazonie
Ubranym w kryształowe słonie

Żal mój w dawnych wspomnieniach
Zaginie i minie jak w snach najsłodszych
Uśmiechnijcie się do mnie o złociste
Chociaż wyglądacie na tak mgliste

Michał Kaczmarek

Relacja z oddania władzy

najpierw przyszli barbarzyńcy
którzy jak sądzimy
działali w dobrej wierze

bombardowanie sierocińców
ostrzeliwanie cywilów
miało uzasadnienie
w postaci przerażenia
potrzebnego do osiągnięcia celu

strach kryjących się w schronach
koczujących na stacjach metra
gdy kończy się woda i słoiczki dla dzieci
osłabia wroga prowadzi agresora

nie odmówią logicznego rozumowania
sędziowie trybunału
zagraniczni obserwatorzy

zwycięża pragmatyka
triumfuje filozofia
jak woda wlana do naczynia
poddajemy się kształtowi zdarzeń

pomagamy w montażu nadajników
telewizji przekazującej rzetelne informacje
przynosimy najeźdźcom pożywienie
cerujemy ubrania

gdy przez przypadek spojrzymy na ciało
rozszarpanego w czasie prewencyjnych ostrzałów
brzuch rozpruty przez kule
otwarte płuca oderwane kończyny
pojawia się uczucie
niezgodne z wcześniejszymi założeniami

zwracamy się do przywódców z prośbą o wsparcie
bełkoczemy we łzach wybuchamy gniewem
kto nam pomoże
jeśli nie oni

Geometria

nie zdradza cech szczególnych twarz
wodza ministra przywódcy barbarzyńców

te same rysy mogły być sąsiednie
sprzedawać cebulę
odpoczywać w cieniu
na straganach powolne godziny
gdy kupcy liczą zarobek z tygodnia

siedzi przy stole szerokim jak ziemia
na którą chce napaść więc wydaje rozkaz
strzelać do kobiet starców i szpitali

gdyby żył z nami nie poznał słuszności
gniewu i mordu obsiewałby pole
naprawiał zamki ciął deski na stoły
bił żonę być może to robimy wszyscy

jakim sposobem jest tam a nie tutaj
nie śledzi doniesień czeka na raporty

nieuchronnym biegiem kreślone linie
łączą się w logicznie wyznaczonym punkcie
władca rysika cyrkiel metalowy
wpisuje oczy dwa kamienne kręgi
w beznamiętny trójkąt przypadkowej twarzy

Słysząc śmiech

śmierć przyszła kiedy spaliśmy
ale nie snem dziecka
położonego do łóżka
gdy przykrywamy ciało kołdrą

była powszednia śmierć
rysowana na słupkach
którym nie ufaliśmy
dlaczego mieliśmy ufać
elektronicznym przekazom
kiedy budził się ogród

miała postać kobiety
w szarym płaszczu
baliśmy się
braku ponaglenia z jej strony
gdy prowadzono chorych do transportu

weszła do ambulansu za ratownikami
jak do kwiaciarni albo cukierni
by usiąść przy stoliku z bezą
odjechali wspólnie
zostawiając nas
z książkami w dłoniach
z garnkami na palnikach
z niemowlakami przy policzkach

czy wrócą
nie wiemy
kroimy jabłka
namaczamy bieliznę

rozmowy toczymy po cichu
i niezbyt często

w częściach domu
do których nie zaglądamy
jest coś czego się boimy

Topografia

przy wejściu na cmentarz
groby dzieci
daty początku i końca
zbliżone lub równe
zmuszają by odwrócić wzrok
nie wierzyć

groby bliskich
niegroźne
obłaskawione po latach

grzebanie dokumentów
kremacja listów
odbywa się bez obrządku
w pokojach pachnących praniem i ogórkami

u wyjścia zacieniona przez drzewa droga
prowadzi na plac parkingowy supermarketu

przy kranie obmywają wiadra
ręce szczotki rozcieńczają substancje

wzmacniają kolor kamienia
aby uzyskać chłodną barwę nazwisk

Weronika Sikorska

*

O ósmej dwie łapałam dawno niewidziane słońce
O ósmej trzy pomyślałam, że umrę na sentymentalizm
że zabiją mnie podświadome znaczenia
i pragnienia bycia antykruchym
W pokoju urosły niepokoje
ciała zgniły pod ziemią
a świat nakazuje iść naprzód, bo do ulotności można się przyzwyczaić
Jean Jacques Rousseau niesie w worku ludzi ze szkodą zamiast pożytkiem
Każdy wór jest szkodą dla umysłu i powodem na kolejną książkę
Tęskny i smętny to dwie godziny w zawieszeniu
Rzewliwe serce nie potrafi być zagłuszone
Ono domaga się racjonalizmu, który nigdy nie nadejdzie
Egzaltacja mnie zeżre jak karalucha
Liryczność się kocha i nienawidzi
Czy wiesz jak to jest być ciągle pomiędzy?

*

Hedonizm powinien być w cenie świata
Materace w promocji przechodzące przez trzy miasta
trzy pokolenia
i trzy pokoje
przez smutki radości niepokoje ekstazy orgazmy i słowa nienawidzę
pościele po zniżce naznaczone psią śliną nie odzyskają spokoju
one chcą duszy na własność
potłuczonego szkła pod zmąconym spojrzeniem
odciśniętych zalanych ścian
za luźnych pierścieni i krwi pod paznokciami
nieumiejętnych rozkoszy tuszujących ascetów
chcę z pustym portfelem wznieść się ponad przyjemność
przybrać wyraz ulubionych kwiatów ukrywanych w spragnionych pachwinach
czarna dusza nigdy nie prosi o wodę
dlatego usta mam jagodowe
zzieleniałe gdy brakuje im pocałunków
kilometrowych doznań zalewanych cieczami
transcendentalnych wymiarów
hedonistom powinno się płacić

Przemysław Znojek

Dwudziesty czwarty

Obudziło go szczekanie psa. Podnosząc się z łóżka, zamglonym wzrokiem spojrzał na cyfrowy zegar i wypisany na jego wyświetlaczu ciąg cyfr 0-3-0-0. W mroku nocy, tak dotychczas niezmąconej, uzupełnił psią miskę wodą mineralną, znajdującą się na granitowym parapecie. Poczuł, że sen odpływa, opuszcza jego ciało, zaczęły dochodzić do niego dźwięki nocnej ulicy, ta kakofonia dobrze znanych, stałych i powtarzalnych sytuacji, które rozgrywały się sześć pięter poniżej mieszkania.

Słyszał teraz wyraźnie kłótnie młodej pary, powodowanej motywem zazdrości, trzaskające drzwi wejściowe klatki schodowej, rzucone w próżnie inwektywy. Następnie dźwięk wyrywanej betonowej doniczki, z którą siłował się pijany student administracji, udowadniający przed kolegami z roku, że alkoholowy eliksir potrafi w niedługim czasie zmienić kulturalnego i pilnego chłopaka w wandala. W korowodzie głosów nie mogło zabraknąć poszukujących nocą życiowych ścieżek, domniemanych kibiców, którzy nie wiedzieć czemu, postanowili tubalnie ogłosić miłość do ukochanego klubu piłkarskiego akurat w środku tej nocy, intonując zgodnie z zastaną porą: „obudzisz się dziś, obudzisz się dziś, obudzisz się dziś nad ranem..."Odnosił wrażenie, że zna te wszystkie dźwięki, nocną symfonię osiedla, na którym mieszkał prawie trzydzieści lat.

Siedząc na krawędzi łóżka oświetlał go blask smutnego księżyca. Spokój nocnego nieba nie zakłóciła ani jedna chmura. Jego umysł pozostawał w somnambulicznym stanie, kiedy mimowolnie udał się do kuchni. Z niej miał najlepszy widok na pogrożone we śnie Miasteczko, poczuł ogromną chęć zobaczenia przez cienką, przezroczystą szybę krajobrazu dziecięcej arkadii. Powoli podniósł zmęczone powieki, jego ciemne oczy oświetlił blask ulicznej latarni. Początkowo nie wierzył w to co widzi: otworzył szeroko usta, zimne krople potu wielkości grochu oblepiły jego kark. Oto na wąskiej uliczce prowadzącej wprost do stacji benzynowej, stały jeden za drugim wojskowe pojazdy: czołgi, transportery opancerzone oraz wozy z ogromnymi naczepami wypełnione żołnierzami. Nie przyjechały one na defiladę – ciemna zieleń nadawała im cechy agresywne, kryła się w nich zabójcza tajemnica. Zastanowił go brak oznakowania bojowych sprzętów, widocznie przybyły długą drogę za granicy.

Stał przy oknie dłuższą chwilę, która przerodziła się w niemal godzinę. Nie poruszał się, nic nie mówił, oddychając głęboko przyglądał się ciągnącemu się niczym rzeka, paśmie ustawionej armii. Zniecierpliwieni żołnierze wychodzili teraz z pojazdów, w nerwowym pośpiechu zapalali grube papierosy i porozumiewali się w obcym dla niego języku. Nic z tego nie rozumiał. O wojnie czytał w starych książkach, oglądał filmy o wspomnianej tematyce, zdarzyło się nawet, że uczestniczył w inscenizacji, która miała miejsce w Miasteczku, oczywiście jako bierny widz, ale nigdy nie przypuszczał, że naprzeciw rodzinnego bloku, w środku zimowej nocy stanie armia. Owszem konflikty zbrojne występowały na całym świecie, jednak zawsze gdzieś daleko. Dotykały mieszkańców Afryki czy Azji, przebitki pojawiały się w migawkach telewizyjnych wiadomości, ale nigdy bezpośrednio w Miasteczku. Realne zagrożenie odczuwał tylko raz, kiedy nastąpiła awaria reaktora, mgła radioaktywna niebezpiecznie zbliżała się tuż pod granice i kazali mu wtedy wypić płyn Lugola. Wraz z kolegami z klasy krzywili się później przez niemal cały dzień, a nawet barwiona guma do żucia nie dała rady zabić tego specyficznego smaku na języku. W kolorowym, ciężkim telewizorze oglądał pociski uderzające w centrum Belgradu, helikoptery w Afganistanie czy ostrzał w gruzińskich górach, wszystko w wersji przyspieszonej, dla niego nieważnej. Dalekiej.

Po tym, jak usłyszał dźwięk unoszących się nisko nad blokiem helikopterów, postanowił wyjść na ulicę. Pozostając w nocnej piżamie, z bosymi stopami opuścił mieszkanie, przedtem dokładnie zamykając je za pomocą kluczy. W nerwowym oczekiwaniu na przyjazd windy upewniał się jeszcze, że dom jest prawidłowo zabezpieczony – sięgał za klamkę, którą kilkakrotnie pociągał w dół. Na klatce schodowej panował zaduch, pomieszane wonie olejnej farby i wysuszonego betonu unosiły się w powietrzu. Pomieszczenie oświetlał biały blask ledowej żarówki, pozostawał w nim sam, rozglądając się na boki, a także co jakiś czas rzucając spojrzenie w kierunku srebrnej klamki. Dźwig windy zatrzymał się na szóstym piętrze, słychać było dźwięk delikatnego

szorowania w momencie pojawienia się kabiny. Drzwi otworzyły się automatycznie, wtedy w jego myślach dominował robotyczny głos wydobywający się z mechanizmu: „Piętro szóste". Niepewnym krokiem wkroczył do kabiny, nacisnął szorstki przycisk z numerem zero, po czym przyglądał się własnemu odbiciu w lustrze windy. Uświadomił sobie, że wygląda żałośnie: w nocnej odzieży sprawiał wrażenie uciekiniera ze szpitala, najprawdopodobniej specjalizującego się w leczeniu psychiatrycznym.

Przyglądał się swojemu obliczu z nieskrywaną odrazą, aż do momentu w którym niespodziewanie dźwig zatrzymał się. Automatyczny głos oznajmił: „Piętro trzecie", metalowe drzwi otwarły się i do windy wszedł współpasażer. Ku jego zdziwieniu przed sobą spostrzegł postać rosłego mężczyzny, z wygoloną głową, prawie na zero, poza kosmykiem ciemnych, tłustych włosów spadających mu na lewą stronę głowy, z długimi, sumiastymi wąsami, trzymającego w ustach filigranowy, drewniany przedmiot przypominający fajkę. Drugi z pasażerów mimo niecodziennego wyglądu zewnętrznego, przypominająco łudząco Zaporożca ubrany był w strój typowy, niczym niewyróżniający się: utrzymaną w ciemnym kolorze, kraciastą, flanelową koszulę, spodnie w typie blue jeans oraz brązowe, eleganckie buty. Przez chwilę nieznany mężczyzna zdawał mu się być imaginacją. Przypominał mu sąsiada zamieszkującego trzecie piętro: emerytowanego docenta historii, który niejednokrotnie ubarwiał podróże windą swoimi naukowymi wywodami, poświęconymi tematyce współczesnego świata. Podobieństwa dostrzegał w obrazie badacza, charakteryzującego się wygoloną na łyso głową i bujnym wąsem. Wydawało mu się, że stojący naprzeciwko Kozak to były nauczyciel akademicki, jednak gdy odezwał się w niezrozumiałym języku, wszelkie wątpliwości zostały rozwiane. Mimowolnie unikając wzroku mężczyzny spojrzał w taflę lustra, a w nim zamiast swojego odbicia i współpasażera na tle srebrnego prostokąta dostrzegł coś, co wprawiło go w osłupienie. W gładkiej powierzchni lustra ujrzał rozciągający się step, szeroki, pokryty wysokimi, zielono-żółtymi trawami. Nad nim rozciągało się błękitne niebo, pozbawione chmur, udekorowane lecącym kluczem żurawi. W pewnym momencie na środku stepu pojawiła się postać mężczyzny – Kozaka przemierzającego go na karym, zgrabnym koniu. Zwierzę rżało, zmęczone pospiesznym galopem, ślady białej, spienionej wydzieliny spadały wprost z pyska na szyję rumaka. Mężczyzna na koniu uczestniczył w pościgu. Uczestniczył, a może był ścigany? Przyjrzał się wyraźnie scenie rozgrywającej się przed nim w lustrze. Teraz dostrzegał, że jeździec na karym rumaku uciekał przed pościgiem. Krzyczał coś niezrozumiałego, balansował przy tym na grzbiecie konia, rozglądając się co rusz do tyłu. Ścigający nie byli dobrze widoczni, przypominali bowiem plamę w kolorze czerwonym, płynną maź poruszającą się swoistym ruchem. Coś przykuło jego uwagę: plama zmieniała kolor stepu, pokrywała jego roślinność zostawiając na niej kolor do złudzenia przypominający krew.

Wpatrzony w rozgrywane na jego oczach lustrzane przedstawienie nie zauważył, że został w kabinie całkiem sam, stał teraz na parterze. Wyszedł z klatki schodowej, otworzył szeroko drzwi wejściowe, a na zewnątrz przeraziła go zastana rzeczywistość. Nad głową, nisko latały helikoptery wraz z kluczem metalowych ptaków – dronów. Wszędzie słychać było odgłosy wystrzałów, wybuchów i wrzaski ludzi. Płacz dzieci, lament i głośne modlitwy starców. Obok niego niesiono niedawnego współpasażera z windy: leżał teraz bez ruchu na sporych rozmiarów, mocnym materiale w kolorze żółto-niebieskim. Materiał ów choć nadszarpany, nadpalony i poplamiony, gdzieniegdzie krwią, wydawał się silny-niezniszczalny, gotowy do przenoszenia kolejnych rannych. Teraz jego neurotyczna osobowość w konfrontacji z obrazem konfliktu zbrojnego, tak namacalnym, a przy tym brutalnym, wprowadziła go w stan niewyobrażalnej paniki. Ogłuszony, z rozmazanym od łez wzrokiem, nie potrafił zapanować nad trzęsącymi się dłońmi, palce nie mogły poprawnie wpisać czterocyfrowego kodu do domofonu, znajdującego się po lewej stronie drzwi wejściowych klatki schodowej. Wciąż pozostawały dla niego zamknięte.

RAJA

NR 1 W EUROPIE W OPAKOWANIACH

22 112 11 00

rajapack.pl

10 URODZINY MAGAZYNU